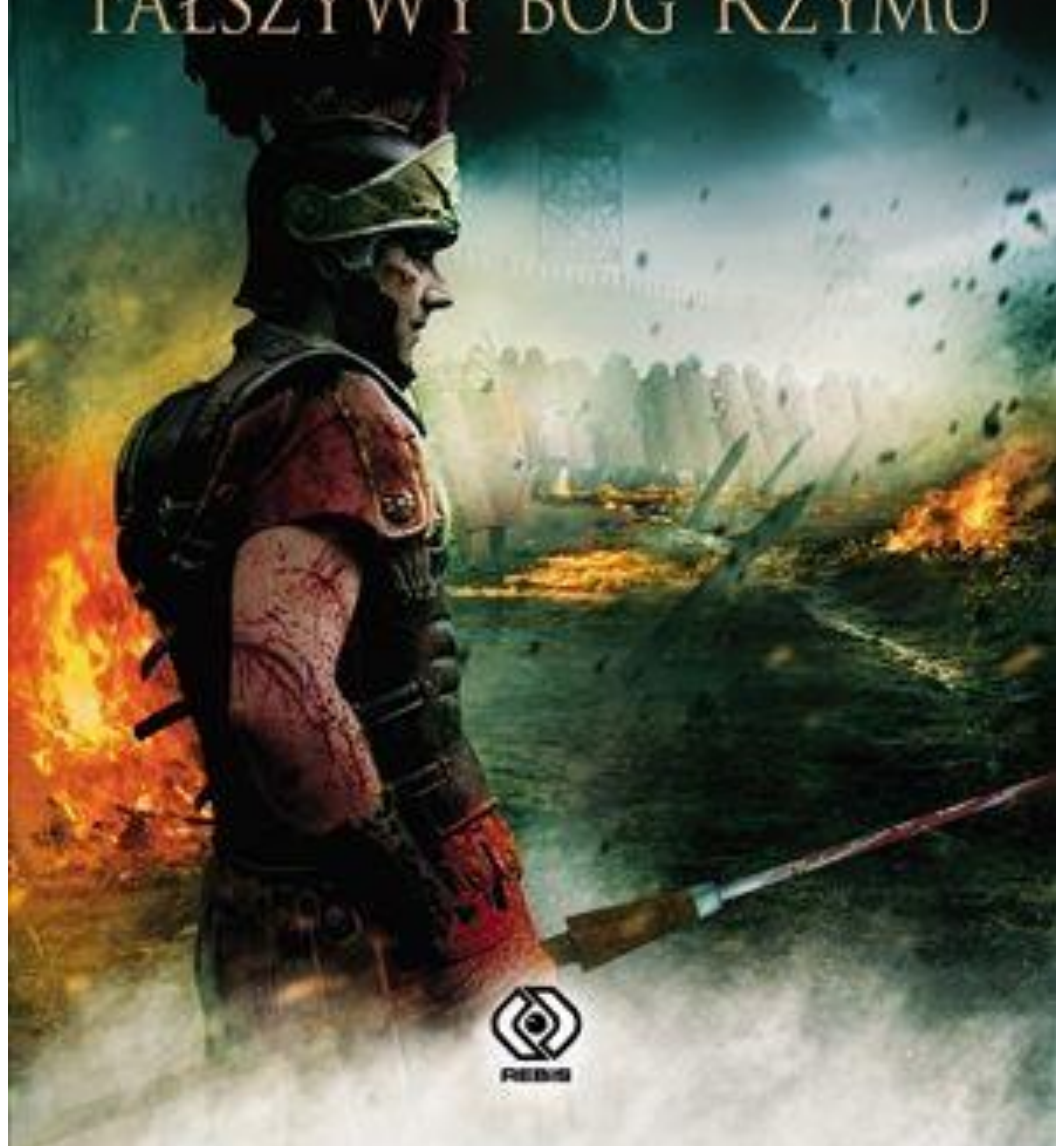


ROBERT FABBRI
WESPAZJAN
FAŁSZYWY BÓG RZYMU



Robert Fabbri

**Wespian. Fałszywy bóg
Rzymu.**

Dla Anji Müller, bez której tego by nie było.

Wyjdiesz za mnie, ukochana?

PROLOG

JEROZOLIMA, KWIECIEŃ 33 R.

Raptowne pukanie do drzwi wyrwało Tytusa Flawiusza Sabinusa ze snu. Otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje, oderwał policzek od blatu biurka, uniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Przyćmiony blask zachodzącego słońca, sączący się przez wąskie otwarte okno, wystarczył, by się zorientować w tym obcym miejscu, jakim był jego gabinet w twierdzy Antonia. Za oknem widoczna była górująca nad wszystkim świątynia. Jej wysokie, obłożone białym marmurem zewnętrzne ściany świeciły czerwono w wieczornym świetle, a zachodzące słońce rozpalało pokryty złotą blachą dach. Ta najświętsza z żydowskich budowli pomniejszała swym ogromem wielkie kolumny otaczającego ją czterokątnego dziedzińca; z kolei przy nich biegający w tę i z powrotem po wielkim dziedzińcu ludzie wyglądali jak krzątające się mrówki.

Do chłodnego wnętrza pokoju przeniknął zapach krwi z tysięcy jagniąt zarżniętych na terenie kompleksu świątynnego na wieczerzę paschalną. Sabinus zadygotał; zdążył zmarznąć podczas krótkiej drzemki.

Stukanie do drzwi stało się bardziej natarczywe.

- Jesteś tam, kwestorze? - zawołał ktoś z korytarza.

- Tak, wejść - odpowiedział głośno młody mężczyzna, szybko układając odpowiednio zwoje na stole, by wyglądało, że je studiował, a nie oddawał się popołudniowej drzemce, która miała pozwolić mu dojść do siebie po dwudniowej podróży z Cezarei, która była stolicą Judei, do Jerozolimy.

Drzwi się otworzyły i do środka wmaszerował centurion oddziałów pomocniczych, z hełmem przyozdobionym poprzecznym pióropuszem pod lewą pachą.

- Melduje się centurion Longinus z cohors Prima Augusta - rzucił jednym tchem, stanąwszy wyprostowany przed biurkiem.

- O co chodzi, centurionie?

- Dwóch Żydów prosi o audiencję u prefekta, kwestorze.

- To ich do niego zaprowadź.

- On teraz ucztuje z żydowskim księciem z Idumei i z kilkoma Partami, którzy właśnie przybyli do miasta. Jest pijany jak legionista na przepustce. Powiedział, że ty masz się nimi zająć, kwestorze.

Sabinus chrząknął; odkąd dziesięć dni wcześniej przysłano go do Judei, by na polecenie przełożonego - namiestnika Syrii, który sprawował najwyższą władzę w prowincji - przeprowadził kontrolę dochodów z podatków, miał już dostatecznie wiele razy do czynienia z prefektem Poncjuszem Piłatem, żeby wiedzieć, o czym centurion mówi.

- Powiedz im, by wrócili nazajutrz, kiedy prefekt będzie bardziej przystępny - oświadczył lekceważąco.

- Tak właśnie zrobiłem, panie, ale jeden z nich, Malchus, dowódca ich straży świątynnej, przysłany przez arcykapłana Kajfasza, przekonywał mnie, że informacja dotyczy czegoś, co ma się wydarzyć dzisiejszego wieczoru, po wieczerzy paschalnej.

Sabinus westchnął. Choć był w prowincji od niedawna, zdążył się już wystarczająco zorientować w skomplikowanych rozgrywkach pomiędzy tutejszymi swarliwymi rzymskimi poddanymi, by wiedzieć, że Kajfasz zawdzięcza swoje stanowisko łasce Rzymu i dlatego wśród całej, w przeważającej części wrogo nastawionej żydowskiej ludności tego zapalnego miejsca, jest kimś najbardziej zbliżonym do sojusznika. W mieście, które roiło się od pielgrzymów, nie byłoby mądrze irytować sojusznika podczas święta Paschy, skoro zarówno

on sam, jak i prefekt przybyli tu, by Jerozolimę podczas tego święta nadzorować.

- W porządku, centurionie, przyprowadź ich.

- Lepiej, żebyś zszedł na dół, panie, tam będziemy mogli trzymać ich z dala od ciebie.

- Longinus wyciągnął zza pasa dwa krótkie zakrzywione noże. - Znaleźliśmy je schowane w odzieniu tego drugiego mężczyzny.

Sabinus wziął od niego sztylety i obejrzał ich ostre jak brzytwa ostrza.

- Co to takiego? - zapytał.

- Sicae, panie. To oznacza, że jest członkiem sykariuszy.

Sabinus spojrzał pytającym wzrokiem na centuriona.

- To religijni skrytobójcy, panie - wyjaśniał dalej Longinus. Są przekonani, że dokonują dzieła bożego, eliminując tych, których uważają za nieczystych i bluźnierców, co oznacza mniej więcej wszystkich nienależących do ich sekty. Próba zabicia cię byłaby dla niego niczym, nawet gdyby przy tej okazji miał zginąć. Wierzą bowiem, że jeśli zginą podczas wykonywania świętego dzieła, to kiedy zjawi się wreszcie ten Mesjasz, na którego czekają od stuleci, wtedy zmartwychwstaną, razem ze wszystkimi prawymi zmarłymi, w dzień, który zwą Dniem Ostatecznym, by zgodnie z prawami ich boga żyć wiecznie w ziemskim raju.

- Zeloci wydają się przy nich całkiem rozsądni - zauważył Sabinus, czyniąc aluzję do żydowskiej sekty, która dotąd była najmniej rozsądną grupą pośród wszystkich religijnych ekstremistów, o jakich słyszał.

- Na tym zadupiu nie istnieje nic takiego jak rozsądek - skomentował centurion.

Sabinus zamilkł i zastanawiał się chwilę nad trafnością tego stwierdzenia.

- No dobrze - powiedział w końcu - zejść na dół. Idź i zapowiedz moje przyjście.

- Tak jest! - Longinus wyprężył się i wymaszerował energicznie z pokoju.

Sabinus zwinął dokumenty zawierające wyniki kontroli dochodów z podatków za miniony rok w Jerozolimie, poprawił togę i wyszedł. Choć zejście na dół do Żydów, zamiast kazać ich przyprowadzić przed swoje oblicze, obrażało jego dignitas, majestat rzymskiej władzy, to już na tyle dobrze zdążył poznać charakter tubylców, by posłuchać doświadczonego centuriona; nie miał ochoty skończyć jako ofiara jakiegoś samobójczego fanatyka.

- Nazywam się Gajusz Juliusz Paulus - oświadczył niższy z dwóch Żydów zniecierpliwionym tonem, kiedy Sabinus wszedł do wielkiej sali twierdzy. - Jestem obywatelem rzymskim i dowódcą straży świątynnej i domagałem się posłuchania u prefekta, a nie u jego podwładnego.

- Prefekt jest niedysponowany, zatem porozmawiasz ze mną - rzucił ostrym tonem Sabinus, czując od pierwszej chwili antypatię do tego zadufanego Żyda o pałkowatych nogach - i okażesz mi szacunek należny mojemu stanowisku, kwestora namiestnika Syrii, będącego bezpośrednim przełożonym prefekta Judei, bo w przeciwnym razie, nieważne, czyś obywatel czy nie, każę batami przegnać cię z twierdzy.

Paulus przełknął ślinę i przeczesał palcami rzadkie włosy.

- Wybacz, kwestorze, nie miałem zamiaru cię obrazić - oświadczył głosem dla odmiany ociekającym służalczością. - Przybywam z prośbą od arcykapłana Kajfasza, w sprawie dotyczącej agitatora i bluźniercy Joszui, syna Józefa.

- Nigdy o nim nie słyszałem - oświadczył obojętnie Sabinus. - A co takiego zrobił?

- To jeszcze jeden z tych, co to uważają się za mesjaszy, kwestorze - wyjaśnił pomocnie Longinus. - Próbowaliśmy pochwycić go za nawoływanie do buntu, ponieważ wywołał rozruchy cztery dni temu, kiedy przybył do miasta. Podważał autorytet cesarza, utrzymując, że jest królem. Sporo ludzi zginęło, w tym trzech moich żołnierzy z oddziałów pomocniczych. Potem rozeźlił arcykapłana, udając się do świątyni i obrażając tam, kogo tylko

zdołał, a potem powywracał stoły wekslarzy.

- A co robią wekslarze w świątyni? - zapytał szczerze zaciekawiony Sabinus.

- Żydzi uważają, że nasze pieniądze mają charakter bałwochwalczy, bo jest na nich głowa cezara. Pozwolono im płacić za owce na ofiarę i takie tam rzeczy specjalną walutą świątyni. Wymieniają pieniądze u wekslarzy, którzy, jak nietrudno sobie wyobrazić, mają z tego spory zysk.

Sabinus uniósł brwi; przestało go już dziwić cokolwiek u tych ludzi. Zwrócił się ponownie do dwóch Żydów; ten drugi, wysoki, brodaty, o połyskujących czarnych włosach spływających spod zawoju, stał bez ruchu, wpatrując się w Sabinusa pełnymi nienawiści oczyma. Ręce miał związane z przodu. Nie był jakimś nieokrzesanym wieśniakiem. Jasnoniebieska długa szata sięgała mu do kostek; była czysta i nie miała szwów, utkana z drogiego materiału w jednym kawałku, co świadczyło, że jest człowiekiem zamożnym. Doskonała jakość zarzuconego na ramiona czarno-białego płaszcza wzmacniała jeszcze to wrażenie.

- Co ten człowiek ma wspólnego z Jozuą? - Sabinus zwrócił się do Paulusa.

- To jeden z jego zwolenników - odparł z nieskrywaną antypatią Żyd. - Towarzyszył mu przez te dwa lata, które Jozua spędził na wywoływaniu niepokojów w Galilei. Twierdzi, że po wieczerzy paschalnej Jozua oświadczy, że dzień Sądu Ostatecznego nadchodzi. Przedstawi się jako długo oczekiwany Mesjasz i stanie na czele buntu przeciwko Rzymowi i kapłanom ze świątyni. Kajfasz prosi prefekta, by pozwolił go aresztować za bluźnierstwo i postawić przed sanhedrynem, sądem religijnym. Ten tutaj człowiek powiedział, że dzisiaj w nocy nas do niego zaprowadzi.

Sabinus zwrócił się do drugiego mężczyzny.

- Jak masz na imię, Żydzie? - spytał.

Mężczyzna wpatrywał się w niego długą chwilę.

- Jehuda - powiedział w końcu, prostując się.

- Powiedziano mi, że jesteś sykariuszem.

- Służba bogu jest zaszczytem - odparł spokojnie Jehuda niemal nieskazitelną greką.

- A zatem, sykariuszu Jehudo, o co prosisz w zamian za zdradę człowieka, za którym szedłeś przez dwa lata?

- Robię to z prywatnych powodów, nie dla nagrody.

- Człowiek z zasadami, he? - zadrwił Sabinus. - Powiedz mi, dlaczego to robisz, żebyś nie podejrzewał w tym jakiejś pułapki.

Jehuda patrzył na niego pustym spojrzeniem, po czym powoli odwrócił wzrok.

- Mógłbym wyciągnąć to z ciebie na torturach, Żydzie - pogroził mu Sabinus, tracąc cierpliwość w obliczu takiego braku szacunku dla rzymskiej władzy.

- Nie możesz, kwestorze - wtrącił szybko Paulus - obraziłbyś Kajfasza i kapłanów, którzy poprosili cię o pomoc w ujęciu renegata. Przeszło sto tysięcy pielgrzymów przybyło tutaj na Paschę i dla utrzymania porządku Rzymowi potrzebne jest wsparcie kapłanów. W ubiegłych dniach raz już doszło do zamieszek.

Sabinus spoglądał gniewnie na przysadzistego strażnika świątynnego.

- Jak śmiesz mówić mnie, rzymskiemu kwestorowi, co mogę, a czego nie mogę zrobić? - zapytał.

- Ale on ma rację, panie - zapewnił go Longinus - i rozsądniej będzie nie odmawiać prośbie kapłanów. Tu się tak nie postępuje, szczególnie że jesteśmy im winni przysługę.

- Za co?

- Bezpośrednio po zamieszkach wywołanych przez Joszua przekazali nam morderców naszych trzech żołnierzy. Jeden z tych drani, Jozua Barabasz, jest prawie tak samo popularny wśród swoich rodaków jak jego imiennik. Prefekt wczoraj, bezpośrednio po swoim przyjeździe, skazał wszystkich trzech. Jutro ma się odbyć egzekucja.

Sabinus uświadomił sobie, że centurion przecież wie, co mówi. Nie miał wyboru, mógł tylko zadośćuczynić prośbie Kajfasza. Przeklinał w duchu Piłata, który upiwszy się, zaniedbywał obowiązki, zrzucając je na jego barki; potem jednak doszedł do wniosku, że to zapewne nieznośna sytuacja w tej prowincji doprowadziła prefekta do nadużywania wina.

- No dobrze - burknął - powiedz Kajfaszowi, że może dokonać aresztowania.

- Prosi też, by towarzyszył nam rzymski oficer - odparł Paulus. - Bez jego obecności braknie nam niezbędnego autorytetu.

Sabinus zerknął na Longinusa, który skinął głową.

- Dobrze, pójdę z wami. Gdzie się spotkamy?

Paulus spojrział na Jehudę.

- Powiedz mu - rzucił krótko.

Sykariusz uniósł głowę i popatrzył pogardliwie na Sabinusa.

- Będziemy spożywać wieczerzę paschalną w górnym mieście, do izby prowadzą tylko jedne schody i celowo ją wybrano, żeby łatwo było się bronić. Później spotkamy się z nowymi zwolennikami poza murami miasta. Umówmy się zatem przy Owczej Bramie, na początku drugiej zmiany straży. Zaprowadzę cię do niego.

- Nie lepiej złapać go na ulicy, kiedy będzie wychodził?

- W ogrodzie Getsemani będzie spokojniej.

- Pozwalasz straży świątynnej zabrać tego prowodyrę motłochu - ryczał prefekt Piłat do Sabinusa, niewyraźnie i bełkotliwie wymawiając słowa - żeby mogli go sądzić inni Żydzi. A potem pozwalasz odejść jego uzbrojonym zwolennikom, żeby mogli wywoływać awantury, na dodatek w czasie, kiedy to brudne miasto roi się od najbardziej wojowniczych religijnych bigotów, jakich ktokolwiek miał nieszczęście podbić.

- Strażnicy świątynni puścili ich, gdy tylko zatrzymali Joszua. Ich dowódcy obcięto połowę prawego ucha i nie mieli najmniejszej ochoty się bić. Zresztą nie było ze mną żadnych żołnierzy.

- Dlaczego? - Piłat wytrzeszczył przekrwione oczy, nabrzmiałe wściekłością; jego kartoflowaty pijacki nos świecił jak rozpalone żelazo, po policzkach spływał mu pot. Raport Sabinusa dotyczący aresztowania Joszui, najogólniej mówiąc, go rozczarował. Jego trzech goście popijali w milczeniu wino, kiedy prefekt osunął się na sofę, pocierając skronie. Sięgnął po kielich, opróżnił go jednym haustem, odstawił z trzaskiem na stół, przez cały czas piorunując wzrokiem kwestora, wreszcie zwrócił się do spoczywającego na sofie po jego lewej stronie eleganckiego mężczyzny w średnim wieku.

- Herodzie Agryppo, potrzebuję twojej rady. Kwestor pozwolił temu buntownikowi wyprowadzić nas w pole.

Herod Agryppa pokręcił głową, kołysząc natłuszczonymi lokami, sięgającymi tuż poniżej krótko przyciętej brody. Okalały twarz o ciemnych oczach i mocno zarysowanych szczękach, która byłaby całkiem przystojna, gdyby nie haczykowaty nos, przypominający dziób jastrzębia.

- Masz rację, prefekcie - powiedział, wyciągając niepewnym ruchem rękę z kielichem w stronę usługującego mu niewolnika - kapłani weszli w zastawioną przez Joszua pułapkę bez... - Przerwał, kiedy niewolnik wylał wino na jego trzęsącą się rękę. - Eutychesie! Jesteś prawie tak samo beznadziejny jak ten kwestor. Wynoś się!

Sabinus stał, patrząc wprost przed siebie, z nachmurzoną miną, nie kryjąc antypatii do Heroda.

- W naszym kraju człowiek tak niekompetentny jak kwestor straciłby oczy - zauważył leżący po prawej stronie Heroda starszy z dwóch mężczyzn, gładząc długą karbowaną brodę.

Herod rzucił kielichem w wycofującego się niewolnika.

- Niestety, Sinnacesie, tutaj nie mają takiej swobody w wymierzaniu idiotom zasłużonej kary, jaką macie wy, w Partii.

Sabinus obrzucił Heroda jadowitym spojrzeniem.

- Przypominam ci, Żydzie, że jestem senatorem, uważaj więc, co mówisz. - Zwrócił się ponownie do Piłata. - Kapłani dali nam możliwość aresztowania tego człowieka, więc podjąłem działania z własnej inicjatywy, jako że ty nie chciałeś, bo byłeś... czym innym zajęty.

- Nie byłem „czym innym zajęty”, byłem pijany, a teraz jestem jeszcze bardziej pijany, jednak nawet w tym stanie wiedziałbym, że należy sprowadzić tego szaleńca tutaj, pod rzymską straż, a nie pozwolić Żydom go zabrać, nieważne ilu przeklętych kapłanów by to miało zirytować. Mam ich wszyskich gdzieś, kwestorze, słyszysz, co mówię? Mam ich wszyskich gdzieś.

- Ale kapłani osądzą go i stwierdzą, że jest winny. W ich interesie jest tak zrobić - obstawał przy swoim Sabinus.

- Już go sądzą i tak się palą do tego, by skazać go na śmierć, że nawet złamali szabat Paschy. Kajfasz przysłał mi wiadomość z prośbą, bym przybył rano do pałacu i zatwierdził ich wyrok, zanim go ukamienują.

Sabinus patrzył na przełożonego nierozumiejącym wzrokiem.

- W takim razie w czym problem? - zapytał.

Piłat westchnął z irytacją; zamknął oczy i przeczesał palcami włosy, odchylając do tyłu głowę.

- Jesteś nowy w tej dziurze, więc spróbuję ci to prosto wytłumaczyć - powiedział protekcyjnym tonem. - Jak wynika z twojego raportu, Jozua sam zorganizował swoje aresztowanie. Wysłał Jehudę, żeby go oddał w ręce kapłanów, bo chciał, by to oni uznali go za winnego, nie m y. Ponieważ jest popularny wśród prostych ludzi, liczy na to, że powstaną przeciwko kapłanom i całej tej świątynnej hierarchii za skazanie go na śmierć, a także przeciwko Rzymowi za zatwierdzenie tego wyroku. Popołniając jeden niezwykle głupi błąd, pozwoliłeś Jozui wbić klin pomiędzy ludzi i jedyną władzę, którą darzą szacunkiem, mianowicie kapłanów, którzy zawdzięczają swoją pozycję Rzymowi i dlatego niczego na buncie nie zyskają.

Sabinus nagle dostrzegł, jak bardzo się pomylił w ocenie sytuacji.

- Bo gdybyśmy my go skazali, kapłani mogliby apelować o zachowanie spokoju i spodziewać się, że zostaną wysłuchani, co, przy jednoczesnym pokazie siły z naszej strony, wystarczyłoby do zapobieżenia zamieszkom - powiedział.

- No właśnie - rzucił kpiącym tonem Piłat - wreszcie to pojąłeś. A zatem, Herodzie, muszę szybko załagodzić tę sytuację, zanim zwolennicy Jozui zaczną podburzać ludzi. Co według ciebie powinienem zrobić?

- Powinieneś rano udać się do pałacu.

- By unieważnić wyrok?

- Nie, nie możesz zostawić tego człowieka przy życiu, skoro go wreszcie masz. Musisz pojednać kapłanów z ludem, żeby mogli ten lud kontrolować.

- Tak, ale w jaki sposób?

- Zamieniając żydowskie ukamienowanie na rzymskie ukrzyżowanie.

- Ten człowiek musi umrzeć - syknął ponad długą, gęstą, siwą brodą arcykapłan Kajfasz do Piłata. Odziany we wspaniałe szaty, z kopulastym, ozdobionym klejnotami,

jedwabnym nakryciem głowy, bardziej niż kapłana przypominał Sabinusowi króla jakiegoś wschodniego, zależnego od Rzymu państwa. Z drugiej jednak strony, jeśliby sędzić po rozmiarach i wspaniałości świątyni Żydów, judaizm był religią bogatą i kapłani mogli pozwolić sobie na rozrzutność, dzięki szczodrości biedaków, mających nadzieję, że w ten sposób zyskają miano prawych w oczach swojego boga.

- I tak będzie, kapłanie - odparł Piłat. Ponieważ prefekt nigdy nie był w szczególnie dobrym nastroju przez kilka pierwszych godzin dnia, starał się z całych sił trzymać nerwy na wodzy. - Tyle że umrze na sposób rzymski, nie żydowski.

Sabinus stał obok Heroda Agryppy i z dużym zaciekawieniem obserwował zmagania pomiędzy dwoma najpotężniejszymi ludźmi w tej prowincji. Była to zajadła wymiana zdań, szczególnie gdy Piłat z ogromną satysfakcją zwrócił uwagę na pułapkę, którą Jozua zastawił na Kajfasza, i jak ten wykazał się polityczną nieudolnością, dając się w nią złapać.

- Aby uniknąć powstania - ciągnął rzymski prefekt - które, sądząc po raportach, jakie dostają, zwolennicy Jozui już wzniecają, musisz bezzwłocznie wykonać to, co poleciłem.

- Skąd mam wiedzieć, że ty zrobisz to, co obiecałeś?

- Udajesz głupiego? - rzucił Piłat, nie mogąc dłużej znieść rozmowy z tym wyrachowanym kapłanem. - Przecież w tej sprawie stoimy po tej samej stronie. Przygotowania już zakończono i rozkazy wydano. Idź już!

Kajfasz odwrócił się i z całą godnością, na jaką tylko mógł się zdobyć po takim potraktowaniu, wyszedł ze wspaniałej, wysoko sklepionej sali, centralnego miejsca pałacu nieżyjącego Heroda Wielkiego. Pałac usytuowany był po zachodniej stronie górnego miasta.

- I co myślisz, Herodzie? - spytał Piłat.

- Myślę, że odegra swoją rolę. Żołnierze są w pogotowiu?

- Tak - odparł prefekt. Zwrócił przekrwione oczy na Sabinusa. - A teraz masz szansę się zrehabilitować, kwestorze. Po prostu zrób to, co mówił Herod.

Zbliżając się do głównego wyjścia, Sabinus i Herod coraz wyraźniej słyszeli rozwrzeszczaną tłuszcę na zewnątrz pałacu. A kiedy już wyszli przez wysoką bramę z polerowanego cedrowego drewna, zobaczyli, jak ogromny tłum wypełnia cały plac i wylewa się aż na szeroką aleję prowadzącą do świątyni i twierdzy Antonia.

Cienie były wydłużone i powietrze chłodne, gdyż nie minęła jeszcze pierwsza godzina dnia. Rzucając spojrzenie w lewo, ku widocznemu za miejską Starą Bramą wzgórzu Golgota, Sabinus dojrzał krzyż, który zostawiono tam, by po kolejnych egzekucjach przypominał członkom miejscowej społeczności o losie, jaki ich czeka, jeśli spróbują się przeciwstawić władzy Rzymu.

Kajfasz stał ze wzniesionymi ramionami na szczycie pałacowych schodów, próbując uspokoić tłum. Otaczało go kilkunastu kapłanów; za nimi, strzeżony przez Paulusa i strażników świątynnych, ze związanymi rękoma i z głową owiniętą zakrwawionym bandażem, stał Jozua.

Zgiełk stopniowo przycichał i arcykapłan zaczął przemawiać.

- Co on mówi? - Sabinus zwrócił się z tym pytaniem do Heroda.

- Najpierw zaapelował o spokój, a teraz mówi, że z powodu swojej popularności wśród ludu Jozua zostanie ulaskawiony i wypuszczony z żydowskiego aresztu, na znak łaski związanej ze świętem Paschy.

Kiedy Kajfasz skończył, tłum zareagował radosnymi okrzykami. Po chwili arcykapłan uniósł ramiona, ponownie prosząc o spokój, i zaczął mówić dalej.

- Teraz ich prosi, żeby wrócili do domów - tłumaczył Herod - i obiecuje, że Jozua zostanie bezzwłocznie zwolniony.

Sabinus obserwował sytuację świadomy, że już za chwilę przyjdzie mu działać. Kajfasz odwrócił się i skinął głową do Paulusa, który niechętnie zaczął uwalniać ręce więźnia.

- Teraz! - syknął Herod. - I tylko nie powiedz czegoś głupiego.

- Ten człowiek jest od tej chwili więźniem senatu rzymskiego - ryknął Sabinus, ruszając do przodu; za jego plecami Longinus wyprowadził pół centurii żołnierzy z oddziałów pomocniczych, otoczył szybko strażników świątynnych i ich niedawnego więźnia. Od strony twierdzy Antonia aleją przymaszerowała kohorta żołnierzy i ustawiła się za tłumem, odcinając ludziom drogę ucieczki.

- Co to ma znaczyć? - zawołał Kajfasz do Sabinusa, nieco zbyt teatralnie odgrywając swoją rolę.

- Senat życzy sobie, by tego człowieka, Joszuę, sądził przedstawiciel cesarza, prefekt Piłat - odparł Sabinus donośnym głosem, który słyhać było na całym placu. Z tłumy zaczęły dobiegać gniewne okrzyki, kiedy znający grekę tłumaczyli innym słowa kwestora. Kiedy zgiełk przybrał na sile, żołnierze kohorty wyciągnęli miecze i zaczęli uderzać nimi rytmicznie o tarcze.

Piłat wyszedł z pałacu w towarzystwie brudnego i posiniaczonego Żyda. Minął Sabinusa i stanąwszy obok Kajfasza, dał znak, by się uciszono; krzyki i łoskot zamarły.

- Mam związane ręce - oświadczył, unosząc ramiona nad głowę i krzyżując nadgarstki. - Kwestor Tytus Flawiusz Sabinus w imieniu senatu zażądał, bym osądził Joszuę za to, że podaje się za króla i podburza lud do buntu przeciwko cesarowi. Jako sługa Rzymu nie mogę odmówić takiemu żądaniu. Jeśli zostanie uznany za winnego, skaże go Rzym, nie ja, wasz prefekt. Ja umyвам ręce i nie jestem winien jego krwi, bo to nie moja wola, tylko wola senatu. - Zamilkł i wysunął do przodu Żyda, którego ze sobą przyprowadził. - Jednakże w duchu dobrej woli i aby okazać łaskawość Rzymu, i aby uczcić wasze święto Paschy, uwolnię dla was innego drogiego wam Joszuę, tego oto człowieka, Joszuę Barabasa.

Przy ryku aprobaty Piłat sprowadził uwolnionego ze schodów i już po chwili mężczyzna zniknął w rozradowanym tłumie.

- Dostali już swój ochłap, arcykapłanie, użyj więc teraz swojego autorytetu i niech się rozejdą, zanim każę żołnierzom dokonać masakry - wycedził przez zęby Piłat do Kajfasza, po

czym odwrócił się i odszedł. - Chodź ze mną, Herodzie - rzucił jeszcze przez ramię.

- Jeśli pozwolisz, prefekcie, to cię teraz opuszczę. Nie przystoi, by żydowskiego księcia kojarzono ze śmiercią tego człowieka, a poza tym powinienem zabawiać partyjskich gości.

- Jak sobie życzysz. Longinusie, przyprowadź mi więźnia, kiedy go już trochę zmiękczysz.

- Zatem to ty jesteś tym człowiekiem, który nazywa siebie królem żydowskim? - upewniał się Piłat, spoglądając w dół na złamanego mężczyznę, który klęczał na posadzce przed jego krzesłem kurulnym.

- Tyś to powiedział, nie ja - odparł Joszua, z wysiłkiem podnosząc głowę, by spojrzeć w oczy oskarżyciela.

Krew z ran zadanych wciśniętą szyderczo na głowę koroną cierniową zlepiła mu włosy i ściekała po twarzy. Na jego plecach Sabinus widział krwawe pręgi od bicia.

- Jednak nie zaprzeczasz tym słowom.

- Moje królestwo nie jest z tego świata. - Joszua podniósł związane ręce, by dotknąć głowy. - Jak u wszystkich ludzi, ono jest tutaj.

- Tego właśnie nauczasz, Żydzie? - zapytał Sabinus, narażając się na gniewne spojrzenie Piłata, któremu przerwał przesłuchanie.

Joszua skierował uwagę na Sabinusa, który poczuł na sobie jego przesywające spojrzenie. Puls mu przyśpieszył.

- Wszyscy ludzie noszą w sobie królestwo Boże, Rzymianinie, nawet takie niebędące Żydami psy jak ty. Ja nauczam, że powinniśmy oczyścić się chrztem, by zmyć nasze grzechy. Wtedy, postępując zgodnie z nakazami Tory i okazując współczucie braciom w wierze, czyniąc im to, co chcielibyśmy, by nam czyniono, zostaniemy uznani za prawych i godnych

dołączyć do naszego Ojca w dniu Sądu Ostatecznego, który nadchodzi.

- Dość już tych bredni - warknął Piłat. - Czy zaprzeczasz, że ty i twoi zwolennicy aktywnie zachęcaliście ludzi do buntu przeciwko ich rzymskim panom?

- Żaden człowiek nie jest panem innego - odparł Jozua.

- I tu się mylisz, Żydzie. Ja jestem twoim panem, twój los jest w moich rękach.

- Los mojego ciała tak, ale nie mój los, Rzymianinie.

Piłat podniósł się i uderzył Jozuę w twarz; z szyderczą miną Jozua nadstawił ostentacyjnie drugi policzek; z rozciętej wargi na brodę kapłała mu krew. Piłat uczynił zadość jego niememu życzeniu.

Jozua splunął krwią na podłogę.

- Możesz mi sprawić ból fizyczny, Rzymianinie, nie możesz jednak tknąć tego, co mam we wnętrzu.

Sabinusa zafascynowała siła woli tego człowieka. Odnosił wrażenie, że tej nie da się złamać.

- Mam już tego dość - rozzłościł się Piłat. - Kwestorze, każ natychmiast go ukrzyżować, razem z dwoma pozostałymi więźniami.

- Za jakie winy, prefekcie?

- Nie wiem, za cokolwiek. Podburzanie, bunt, a może za to, że go nie lubię, co ci tam przyjdzie do głowy. A teraz go zabierz i dopilnuj, by zanim o zmierzchu zacznie się szabat, był już martwy i leżał w grobie, żeby nie obrażać żydowskich praw. Dość już spowodował kłopotów za życia, nie chcę, by sprawił ich więcej po śmierci.

Niebo poszarzało; zaczął padać deszcz, rozcieńczając krew sączącą się z ran trzech

ukrzyżowanych mężczyzn. Była dziewiąta godzina dnia; Sabinus i Longinus wracali ze wzgórza Golgota. W oddali przetoczył się grzmot.

Sabinus obejrzał się i spojrzał ku wiszącemu na krzyżu Joszui; mężczyzna miał zwieszoną głowę, a z rany w jego boku, zadanej włócznią przez Longinusa, by zakończyć jego cierpienia przed nadejściem szabat, ciekła krew. Sześć godzin wcześniej, poganiany batem, dźwigał krzyż na wzgórze, wspomagany przez jakiegoś mężczyznę z tłumu. Potem znosił w milczeniu wbijanie gwoździ w nadgarstki; wydawało się, że nie zauważa przybijania stóp do drewna. Gwałtowne szarpnięcia przy stawianiu krzyża pionowo, które wzmogły krzyki dwóch pozostałych skazańców do niemal nieludzkiego wycia, z jego ust wydarły jedynie cichy jęk. Sabinusowi wydał się teraz spokojny i pogodzony z losem.

Kwestor przeciął krąg żołnierzy, którzy odgradzali grupę pogrążonych w smutku ludzi od ukrzyżowanych mężczyzn, i zobaczył Paulusa, stojącego z dwoma strażnikami świątynnymi i przyglądającego się Joszui; bandaż owinięty wokół głowy przesiąkł mu krwią z okaleczonego ucha.

- Co tu robisz? - zapytał Sabinus.

Paulus wydawał się pogrążony w myślach, bo przez chwilę nie odpowiadał, po czym, kiedy pytanie w końcu do niego dotarło, zamrugął kilkakrotnie.

- Przyszedłem sprawdzić, czy już nie żyje, i zabrać ciało na pochówek w nieoznaczonym grobie, żeby to miejsce nie stało się celem pielgrzymek dla jego heretyckich zwolenników. Tak rozkazał Kajfasz.

- Dlaczego tak się go wszyscy baliście? - zainteresował się Sabinus.

Paulus patrzył na niego, jakby miał do czynienia z idiotą.

- Bo doprowadziłby do zmian - odparł.

Sabinus pokręcił pogardliwie głową i ruszył dalej. Wtedy podeszła do niego grupka złożona z dwóch mężczyzn i dwóch kobiet, z których młodsza była w zaawansowanej ciąży i

trzymała na rękach niemowlę.

Starszy mężczyzna, wyglądający zamożnie trzydziestokilkuletni Żyd, z gęstą czarną brodą, uklonił mu się nisko.

- Kwestorze, chcielibyśmy dostać ciało Joszui, by móc je pochować.

- Przyszli już tu po nie strażnicy świątynni. Jakie wy macie do niego prawo?

- Mam na imię Josef i jestem krewnym Joszui - odpowiedział mężczyzna, obejmując ramieniem starszą z dwóch kobiet - a to jest Miriam, jego matka.

Kobieta patrzyła błagalnie na Sabinusa, a łzy spływały jej po policzkach.

- Proszę, nie oddawaj im ciała, kwestorze, oddaj mi mojego syna, bym mogła zabrać go do Galilei i tam pochować.

- Otrzymałem rozkaz pochowania go jeszcze przed zmrokiem.

- Mam tu nieopodal rodzinny grobowiec - powiedział Josef - złożymy tam teraz ciało, a po szabacie je przeniesiemy.

Sabinus popatrzył na Paulusa ze złośliwym uśmieszkiem.

- Paulusie - powiedział - ci ludzie, jako krewni zmarłego, mają prawo do jego ciała.

Paulus wyglądał na rozwścieczonego.

- Nie możesz tego zrobić! - wykrzyknął. - Kajfasz zażądał ciała.

- Kajfasz jest rzymskim poddanym! Longinusie, odprowadź stąd tego obrzydliwego człowieczka.

Kiedy odciągano stamtąd protestującego Paulusa, Sabinus zwrócił się do Josefa.

- Możecie zabrać ciało. Rzym już z nim skończył - oświadczył.

Żyd skłonił głowę.

- Okazałeś życzliwość, której nie zapomnę, kwestorze.

- Kwestorze! - zawołał młodszy mężczyzna, zatrzymując Sabinusa. - Rzym może być teraz naszym panem, zważ jednak, że nadchodzi ostateczna era i jej częścią jest nauczanie Joszui. Powstanie nowe królestwo, nowi ludzie z nowymi ideami będą panowali, a stary porządek zacznie zanikać.

Przypomniawszy sobie, jak dwa lata wcześniej astrolog Tyberiusza, Trazyllos, przepowiadał nadejście nowej ery, Sabinus wpatrywał się w młodego mężczyznę i rozpoznał w nim człowieka, który rano pomógł nieść Joszui krzyż.

- Skąd u ciebie ta pewność, Żydzie? - zapytał.

- Pochodzę z Cyrenajki, Rzymianinie, która kiedyś była prowincją Egiptu. To tam właśnie oczekują odrodzenia się ognistego ptaka. Jego pięćsetletni cykl dobiega końca. W przyszłym roku Feniks odrodzi się w Egipcie po raz ostatni i w oczekiwaniu na dzień Sądu Ostatecznego wszystko zacznie się zmieniać.

CZĘŚĆ I

CYRENAJKA
LISTOPAD, 34 R.

Rozdział pierwszy

Masz? - Wespazjan krzyknął do Magnusa, schodzącego po trapie wielkiego statku kupieckiego, który właśnie zawinął do Apollonii.

- Nie, panie, niestety nie - odparł jego ochroniarz, zarzucając sobie worek na ramię - w tej chwili cesarz odmawia wszystkim pozwoleń na wjazd do Egiptu.

- Dlaczego?

Magnus uścisnął wyciągniętą ku niemu prawicę swego pana i przyjaciela.

- Z tego, co mówi Kaligula, robi to za radą swojego astrologa Trazyllusa. Nawet Antonia nie potrafiła przekonać go do zmiany decyzji.

- To po co w takim razie przybyłeś?

- No wiesz, chyba nie tak się wita przyjaciela, który przepłynął setki mil w tej gnijącej balii, i to o takiej porze roku, którą większość żeglarzy spędza ze sobą w łózkach.

- Przepraszam, Magnusie. Liczyłem na to, że Antonia załatwi mi pozwolenie. Minęły cztery lata od śmierci Atafanesa i od naszej obietnicy, że dostarczymy jego złoto rodzinie w Partii.

- No cóż, parę lat więcej nie zrobi wielkiej różnicy, prawda?

- Nie w tym rzecz. Egipt to bliska prowincja. W marcu, w drodze do domu, mógłbym skoczyć do Aleksandrii, odnaleźć alabarchę, dać mu skrzynkę Atafanesa i załatwić przekazanie pieniędzy jego rodzinie w Ktezyfonie, i jeszcze wrócić do Rzymu przed majem.

- Będziesz musiał to zrobić kiedy indziej.

- Tak, ale zajmie to dużo więcej czasu, kiedy trzeba będzie wyruszyć z Rzymu. A czasu może mi brakować. Muszę zarządzać posiadłością, chcę też, by za dwa lata wybrano mnie na edyla.

- W takim razie nie powinieneś składać obietnic, których nie możesz dotrzymać.

- Służył lojalnie mojej rodzinie przez wiele lat, jestem mu to winien.

- To nie żałuj mu swojego czasu.

Wespazjan ruszył nabrzeżem przez ciżbę pracowników portowych, rozładowujących świeżo przybyłe statki handlowe. Toga senatora robiła wrażenie i ustępowano mu z drogi, ułatwiając dotarcie do czekającej sto kroków dalej jednoosobowej lektyki.

Magnus szedł za nim, zadowolony, że miejscowa ludność okazuje jego młodemu przyjacielowi szacunek.

- Nie sądziłem, że w prowincjach kwestorzy cieszą się takim poważaniem - zauważył, kiedy jeden z czterech tragarzy całkiem zbytecznie pomagał Wespazjanowi wsiąść do lektyki.

- To dlatego, że namiestnicy nie znoszą tego miejsca, zresztą słusznie, bo gorąco tu jak w piecu piekarniczym, tyle że bez tego miłego zapachu. Starają się przebywać w stolicy prowincji, Gortynie na Krecie, a przysyłają kwestorów, by w ich imieniu administrowali Cyrenajką.

Magnus zachichotał.

- Ha, będą cię tu zawsze szanować, bo masz prawo decydowania o życiu i śmierci.

- Niekoniecznie, jako kwestor nie mam władzy. Wszystkie moje decyzje muszą być zatwierdzone przez namiestnika, co trwa w nieskończoność - oświadczył ponuro Wespazjan. - Ale mojej mocy wystarcza, jeśli potrzeba koni - dodał z uśmiechem, kiedy smagły młody niewolnik podprowadził osiodłanego wierzchowca.

Ucieszony i wdzięczny Magnus dosiadł konia, zarzuciwszy mu na zad swój worek.

- Skąd wiedziałeś, że dzisiaj przybędę?

- Nie wiedziałem, miałem tylko taką nadzieję - odparł Wespazjan, kiedy lektyka ruszyła i minęli położony tuż nad samym morzem teatr. - Gdy rano zauważono tę flotę handlową, postanowiłem tu przybyć, zakładając, że jest to zapewne ostatnia, jaka w tym sezonie przybędzie z Rzymu. Zresztą nie miałem nic lepszego do roboty.

- Aż tak tu źle, co? - spytał Magnus, unosząc kpiąco brew, kiedy młodzieńki niewolnik zaczął wachlować Wespazjana szerokim, zamocowanym na długim kiju, splecionym z pierzastych liści palmy wachlarzem.

- Jest okropnie. Tubylcze plemię Libu rabuje zamożnych greckich rolników. Grecy zabawiają się, wnosząc fałszywe oskarżenia o oszustwo albo kradzież przeciwko żydowskim kupcom; Żydzi nieustannie protestują w sprawie bluźnierczych posągów czy jakiejś innej religijnej okropności związanej ze świnia, a będący tu przejazdem rzymscy kupcy nie robią nic innego, tylko składają skargi na oszustwa Żydów, Greków i Libu, w tej kolejności. Jakby tego było mało, wszyscy tutaj żyją w strachu przed Garamantami z południa, którzy kolekcjonują sobie niewolników, albo wędrownymi Marmarydami z terenów leżących pomiędzy nami i Egiptem. To kipiący kocioł etnicznych nienawiści, a jedynymi ludźmi, których tubylcy nienawidzą bardziej niż siebie nawzajem, jesteśmy my, co nie powstrzymuje różnych osobników od wciskania mi pieniędzy, żebym w sprawach sądowych orzekał na ich korzyść.

- Mam nadzieję, że je bierzesz?

- Na początku nie brałem, ale teraz i owszem. Pamiętam, jaki byłem wstrząśnięty, kiedy wuj mi powiedział, że brał łapówki, będąc namiestnikiem Akwitanii, teraz jednak rozumiem ten system lepiej i jestem świadomy, że tego się ode mnie oczekuje. A zresztą, większość zamożnych autochtonów jest tak niesympatyczna, że branie od nich pieniędzy to sama przyjemność.

- Przypomina mi to Judeę, jeśliby sądzić po relacjach Sabinusa - powiedział z zadumą

Magnus, kiedy weszli na zatłoczoną agorę, otoczoną walącymi się dawnymi świątyniami poświęconymi greckim bogom i usytuowanymi wyżej, na zboczu wzgórza, budynkami użyteczności publicznej.

- Wierz mi, jest jeszcze gorzej - odparł Wespazjan, przypominając sobie opowieści powracającego ze wschodu brata o tym, jak to kompletnie nie da się rządzić Żydami. Spędzili ze sobą w Rzymie zaledwie dwa dni, zanim Wespazjan pod koniec marca wyruszył na Krete.
- Tam miało się do czynienia tylko z Żydami, których można było trzymać w ryzach przy pomocy ich własnych kapłanów albo za sprawą niewielkich ustępstw. Tutaj natomiast, gdybyś ustąpił choć odrobinę jednej grupie, każdy drań chciałby tego samego, aż wreszcie musiałbyś oddać im całą prowincję, a po powrocie do Rzymu zostałbyś postawiony przed senatem albo jeszcze gorzej. Dlatego żadnemu z nich nie daję niczego, chyba że mi dobrze za to zapłacą; w ten sposób inne grupy nie mogą narzekać, że kogoś faworyzuję, ponieważ wiedzą, że mnie przekupiono. Co najdziwniejsze, oni uważają, że tak jest w porządku.

- Założę się, że wolałbyś być teraz w Tracji - powiedział Magnus, podziwiając wysiłek niewolnika, który utrzymywał stały przepływ powietrza wokół swojego pana, nie potykając się przy tym na nierównym bruku; miasto najwyraźniej miało już najlepsze dni za sobą.

- Tam przynajmniej mieliśmy porządne oddziały wojska, którymi mogliśmy grozić miejscowym. Tutaj mamy zaledwie kohortę piechoty z lokalnych oddziałów pomocniczych, złożoną z ludzi zbyt głupich, by zarobili na życie kradzieżą. Jest też miejska milicja. Ci są zbyt głupi, by mogli się znaleźć w oddziałach pomocniczych. Jest wreszcie ala jazdy. Ten oddział ma nas chronić przed nomadami, ale to zwykła kpina, bo większość tamtych jeździ na wielbłądach.

- A co to jest wielbłąd?

- To coś takiego jak wielka brązowa koza, z długą szyją i garbem na grzbiecie. Konie nie cierpią ich zapachu.

- Aha, widziałem kiedyś takiego w cyrku. Śmieszyły ludzi, ale nie umiały walczyć.

- Nie muszą... z tego, co mówi prefekt jazdy Korwinus, potrafią biec przez cały dzień

przez pustynię. Nasza konnica nie nadaża za nimi.

Minęli miejską bramę, strzeżoną przez stojące po obu stronach marmurowe lwy. Mieli przed sobą osiem mil łagodnie wznoszącej się drogi prowadzącej do Cyreny, miasta położonego na wapiennym płaskowyżu. Wespazjan zapadł w ponure milczenie, rozmyślając o bezsensowności swojego stanowiska w tej części połączonej prowincji Kreta i Cyrenajki. Przez siedem miesięcy pobytu nie osiągnął niczego, głównie dlatego, że nie było pieniędzy, za pomocą których dałoby się coś osiągnąć. Od wieków bogactwem Cyrenajki był sylfion, bulwiasta roślina o długiej łodydze, której sok był wielce ceniony jako ostra przyprawa i lekarstwo na przeróżne choroby; mięso zwierząt karmionych sylfionem też osiągało wysokie ceny. Rosła na suchej nadbrzeżnej równinie, płaskowyż Cyreny natomiast nadawał się bardziej na uprawę drzew owocowych i warzyw. W ostatnich latach zbiory sylfionu zaczęły się tajemniczo kurczyć i przestano karmić nim zwierzęta, niszcząc w ten sposób wytwórstwo mięsa, a w ciągu ostatnich kilku lat jakość każdego kolejnych zbiorów się pogarszała.

Wespazjan próbował przekonać miejscowych rolników, by zaczęli uprawiać coś innego, jednakże cienka warstwa gleby, niedostatek deszczów na równinie, w połączeniu z ich żarliwą wiarą, że jeśli będą regularnie składać ofiary odpowiedniej liczbie bogów, to sylfion się odrodzi, udaremniły jego wysiłki. W rezultacie wpływy z podatków drastycznie zmalały, bo ci, którzy mieli pieniądze, ukrywali je i wydawali mało, kupując towary od tych, którzy mieli jeszcze mniej pieniędzy. Ponieważ w obrocie było niewiele środków płatniczych, zboże importowane z żyzniejszych sąsiednich prowincji Egiptu i Afryki osiągało niebotyczne ceny - w wyniku spekulacyjnych działań chciwych kupców, którzy kontrolowali ten handel. Kiedy Wespazjan wezwał ich do siebie, wyparli się wszystkiego i obarczyli winą zmniejszony import ziarna z Egiptu w poprzednim roku; tymczasem nie było żadnych doniesień o nieurodzaju w Egipcie. W rezultacie biedacy - Grecy, Żydzi czy Libu - przymierali głodem, w związku z czym rozruchy i niepokoje stanowiły ciągłe zagrożenie.

Bez wystarczającej liczby żołnierzy, by zdusić ewentualne powstanie niemal półmilionowej ludności siedmiu głównych miast Cyrenajki, a nie mając władzy, by móc działać we własnym imieniu, Wespazjan czuł się bezsilny i rozczarowany przez cały okres urzędowania. Poczul się jeszcze gorzej, kiedy cesarz Tyberiusz odmówił mu pozwolenia na wjazd do Egiptu, prowincji tak bogatej, że senatorom wolno było się tam wybrać jedynie po uzyskaniu specjalnego pozwolenia od samego cesarza. Pojawienie się w Egipcie bez tego

pozwolenia było przestępstwem zagrożonym karą śmierci.

Łajac się w duchu za takie uzalanie się nad sobą, odwrócił głowę do jadącego klusem towarzysza.

- Czy Sabinusa wybrano w końcu na edyla?

- Tak, ledwo, ledwo - odparł Magnus. - Ale jak ma zwyczaj mówić twój brat, ledwo, ledwo wystarczy. Choć odczuwał wyraźną ulgę, że w wyborach na pretora startuje dopiero w przyszłym roku... bo wszystkie te stanowiska zajęli synowie kolegów Makrona.

- I znów mamy sytuację, kiedy prefekt pretorianów wtrąca się do polityki, prawda? A można by sądzić, że Makron wyciągnął jakąś lekcję z przedwczesnej śmierci swojego poprzednika. Nie sądzę, by zaskarbił sobie sympatię Antonii. Ona uważa, że mieszanie się do polityki jest przywilejem rodziny cesarskiej, a w szczególności jej samej.

Magnus wskazał na dźwigających lektykę tragarzy.

- Nie przejmuj się nimi, nie znają łaciny - uspokoił go Wespazjan - a chłopiec jest głuchoniemy.

- I bardzo dobrze. No cóż, od twojego wyjazdu w marcu działy się dziwne rzeczy. Antonia zaczyna się tym niepokoić.

- Myślałem, że ona mówi ci wyłącznie o tym, co masz do zrobienia.

- Większość tych plotek słyszę od twojego wuja, senatora Pollona. Choć jej też zdarza się coś powiedzieć, już po wszystkim, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Ty stary capie! - powiedział Wespazjan i uśmiechnął się, pierwszy raz, jak mu się zdawało, od przybycia do Cyrenajki, bo zawsze bawił go ten niezwykle i, zdawałoby się niemożliwy, cielesny związek jego patronki Antonii, bratowej cesarza i najpotężniejszej kobiety w Rzymie, z Magnusem.

- Taa, cóż, powiem z zadowoleniem, że teraz nieczęsto się to zdarza, bo ona się trochę posunęła, nieco oklapła. W każdym razie martwią ją bliskie stosunki Kaliguli z Makronem, a ściślej mówiąc, z żoną Makrona, Ennią, do których Makron zdaje się oboje zachęcać.

Wespazjan uśmiechnął się i machnął lekceważąco ręką.

- Kaligula od jakiegoś czasu miał na nią oko; na pewno się nią znudzi, to człowiek nienasycony. Makron wykazuje tylko rozsądek w tej sprawie; wie, że jeśli narobi teraz szumu, to znajdzie się w bardzo groźnej sytuacji, jeśli i kiedy Kaligula zostanie cesarzem.

- Być może, ale twój wuj uważa, że zachowanie Makrona to coś więcej jak tylko uprzejmość, sądzi bowiem, że prefekt próbuje wkraść się w łaski Kaliguli, bo będzie chciał coś od niego, kiedy ten zostanie cesarzem.

- Jako prefekt pretorianów jest najpotężniejszym człowiekiem w Rzymie, poza rodziną cesarską; czego mógłby chcieć, chyba tylko zostać jego następcą? Kaliguli można wiele zarzucić, ale na pewno nie to, że jest głupi.

- To właśnie martwi Antonię, ona nie rozumie, do czego Makron dąży, a tego, czego nie rozumie, nie jest też w stanie kontrolować i to ją denerwuje.

- Wyobrażam sobie, ale nie nazywałbym tego niczym dziwnym.

- Zgoda, dziwne jest raczej to, że Makron zabiega o względy jeszcze jednej osoby - oświadczył Magnus z tajemniczą miną. - Chodzi o Heroda Agryppę. Był kiedyś przyjacielem Antonii i zwykł pożyczać od niej pieniądze, których nigdy nie oddawał, uważając, że skoro jest ulubieńcem Tyberiusza i dobrym przyjacielem jego syna Druzusa... razem się kształcili... to należy mu się utrzymanie. Jednak kiedy Druzus zmarł, Herod czmychnął razem z długami do swojej ojczyzny, Idumei.

- Gdzie to jest?

- Licho wie, chyba gdzieś blisko Judei, skoro to Żyd. W każdym razie wkrótce musiał stamtąd wyjechać, znowu z powodu długów, a potem już tylko zajmował się irytowaniem

wszystkich królików i tetrarchów ze Wschodu, domagając się wysokiego stanowiska albo pożyczki, tylko dlatego, że jest wnukiem Heroda Wielkiego. Kilka miesięcy temu wrócił do Rzymu i udało mu się znowu wkraść w łaski Tyberiusza. Z tego, co mówi twój wuj, zorganizował też przyjazd do Rzymu zbuntowanych partyjskich wielmożów; chcą oni, żeby cesarz pomógł im obalić ich króla. W nagrodę Tyberiusz zrobił Heroda Agryppę nauczycielem swojego wnuka Tyberiusza Gemellusa.

- To co w tym dziwnego, że Makron i on się przyjaźnią?

- A to, że Makron stara się wkraść w łaski Kaliguli, a zarazem przymila się do Heroda, człowieka, który posiada największy wpływ na drugiego potencjalnego następcę, Gemellusa.

- Obstawia więc oba rydwany?

Magnus uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, panie, wygląda na to, że obstawia wszystkie trzy. Herod Agryppa utrzymuje bowiem kontakty również ze swoim bliskim przyjacielem z dzieciństwa, którego kształcono razem z nim i Druzusem. Tym trzecim potencjalnym następcą z cesarskiej rodziny jest syn Antonii, Klaudiusz.

Słońce chowało się za horyzontem i leżące w dole morze iskrzyło się niczym polerowany brąz, kiedy Wespazjan i Magnus mijali główną bramę Cyreny, prowadzącą do dolnego miasta. Niosący lektykę tragarze musieli się przepychać przez ciżbę żebraków, którzy napłynęli tu ze zrujnowanych, opartych na uprawie sylfionu gospodarstw, tłoczyli się wokół nowo przybyłych kupców w nadziei, że dostaną jałmużnę, zanim zmęczeni nieustannym nagabywaniem ludzie ich odpędzą.

- Już zaczynam nienawidzić tego miejsca - rzucił Wespazjan, odpychając wyciągnięte błagalnie ręce. - Bo widzę wyraźnie, że pozycja mojej rodziny w senacie jest bardzo niska. Wysła się tutaj jedynie najmniej znaczących kwestorów.

- Przecież taki był wynik losowania.

- Owszem, tyle że tylko najmniej znaczący kwestorzy biorą udział w losowaniu. Ci z wielkich rodów otrzymują intratne stanowiska w Rzymie. Sabinus miał szczęście, że wylosował Syrię w ubiegłym roku.

Magnus kopniakiem odpędził zbyt natrętną staruchę.

- Mam w torbie list od Cenis, mam nadzieję, że poprawi ci humor; wyraźnie tego potrzebujesz.

- Na pewno mi pomoże! - zawołał Wespazjan, przekrzykując obelgi wyrzaskiwane pod adresem Magnusa przez leżącą na ziemi kobietę - choć myślę, że tak naprawdę poczuję się dobrze dopiero, kiedy w marcu rozpocznie się nowy sezon żeglugowy i przyplynie mój zmiennik. Muszę wrócić do Rzymu, muszę czuć, że robię postępy, a nie tkwić beczynnie na tym zadupiu cesarstwa.

- No cóż, mamy przed sobą cztery miesiące, a ja dotrzymam ci towarzystwa. Przyznam się, że kiedy Antonii nie udało się zdobyć dla ciebie pozwolenia na wjazd do Egiptu, powiedziałem jej, że i tak tu przyjadę, żeby przywieźć ci złe wieści. Zresztą w tej chwili zrobiło mi się w Rzymie trochę niewygodnie. Twój wuj postara się to załagodzić podczas mojej nieobecności.

- A co takiego wywinąłeś?

- Nic szczególnego, chodziło o sprawy związane z dbaniem o interes naszego bractwa rozstajnych dróg. Zostawiłem na czele mojego zastępcę, Serwiusza, dopilnuje wszystkiego.

Wespazjan wiedział, że nie należy wściubiać nosa w półświatek Magnusa, bo bractwo rozstajnych dróg Południowego Kwirynału, którego był przywódcą, zajmowało się głównie ochroną i wymuszaniem, jak wszystkie inne takie grupy.

- Jesteś tu mile widziany, tyle że nie będziesz miał co robić.

- A polowania, jak one tu wyglądają?

- W pobliżu miasta nie ma nic ciekawego, ale podobno jeśli pojedzie się ze dwa dni w kierunku południowym, to u podnóża płaskowyżu można natknąć się na lwy.

- Za kilka dni są twoje urodziny. Żeby je uczcić, zabijemy lwa - zasugerował Magnus.

Wespazjan popatrzył na przyjaciela z przeproszącą miną.

- Jedź więc i uczcij je sam - powiedział - bo ja niestety nie mogę. Nie wolno mi opuszczać miasta, chyba że w sprawach służbowych.

Magnus pokręcił głową.

- Widzę, że będzie to kilka bardzo nudnych miesięcy.

- Witaj w moim świecie.

- Jakie są tutejsze dziwki?

- Z tego, co mówią, miłe i stare, tak jak lubisz, tyle że się poca.

- Och, dajże już pokój, panie, nie kpij sobie, to nie jest kwestia wyboru... po prostu robię to, co mi dobra pani każe. I jak już powiedziałem, obecnie nie zdarza się to zbyt często.

Wespazjan znowu się uśmiechnął.

- Jestem pewien, że Kwintyliusz, mój sekretarz, zorganizuje coś odpowiedniego, żeby ci to zrekompensować.

Ulica doprowadziła ich do ruchliwego głównego placu dolnego miasta.

- Co tam się dzieje? - spytał Magnus, wskazując ręką duży tłum.

Żydzi sztychli z wysokiego, szerokiego w barach młodego mężczyzny, stojącego na cokole i próbującego do nich przemówić. Obok niego stała kobieta z roczną mniej więcej

dziewczynką na rękach; u jej stóp przykucnął trzyletni może chłopiec i patrzył przerażonym wzrokiem na otaczających ich ludzi.

- Pewnie jeszcze jeden żydowski agitator religijny - odparł, wzdychając, Wespazjan. - Ostatnio nastąpił ich wysyp. Rozpowszechniają jakiś nowy żydowski kult, który z tego, co słyszę, ich starszyźnie się nie podoba. Jeśli tylko nie wywołują zamieszek, zostawiam ich w spokoju. Jednego się tutaj nauczyłem, że najlepiej trzymać się z dala od spraw żydowskich, bo w żaden sposób nie da się ich zrozumieć.

Niespowalniani już przez żebraków tragarze żwawo podążali szeroką główną ulicą dolnego miasta, pomiędzy starymi i zapuszczonymi, ale wciąż imponującymi dwukondygnacyjnymi domami bogatszych kupców. Wkrótce zaczęli się wspinać ulicami górnego miasta.

Pokrzepiony perspektywą lektury listu od Cenis Wespazjan zwrócił myśli ku swojej ukochanej, której nie widział już ponad siedem miesięcy. Wciąż była niewolnicą w domu Antonii. Prawo nie pozwalało wyzwalać niewolników, którzy nie ukończyli trzydziestu lat. Wespazjan wiedział więc, że najwcześniej za trzy lata jej pani mogłaby obdarować Cenis wolnością. Choć mężczyźni w randze senatora prawo zabraniało poślubić wyzwolenicę, miał nadzieję, że będzie mógł ją zatrzymać jako kochankę, kiedy tylko będzie jej wolno decydować o sobie. Zamierzał urządzić ją w niewielkim domu w Rzymie, za pieniądze, których przyrastało za sprawą łapówek i darów, w sposób całkiem naturalny wręczanych mu przez tutejszych mieszkańców, którym zależało na względach najwyższego rangą rzymskiego urzędnika na tym terenie. Kiedy już pozbył się skrupułów i zaczął brać łapówki, liczył na to, że po powrocie do Rzymu będzie miał dość pieniędzy nie tylko na dom dla Cenis, ale także dla siebie i dla małżonki, którą wkrótce będzie musiał wziąć, by spełnić obowiązek wobec rodziny. Listy od rodziców, mieszkających obecnie w Awentikum, w Germanii Większej, gdzie ojciec kupił interes bankowy, uświadomiły mu, że dla ciągłości i bezpieczeństwa rodu musi się postarać o potomka.

Wkrótce dotarli do ulicy Króla Battusa w górnym mieście; na jej wschodnim krańcu znajdowało się rzymskie Forum, a dalej stała rezydencja namiestnika, o wiele nowocześniejszy od innych budynków, wzniesiony przed stu laty, kiedy Cyrenajka została rzymską prowincją.

Lektykę Wespazjana postawiono przed wejściem do rezydencji. Odtrącając ręce tragarzy, którzy rwali się do pomocy, młody człowiek wysiadł, poprawił togę i ruszył schodami pod górę.

Magnus szedł za nim, krzywiąc się, kiedy sterczący w portyku czterej strażnicy z oddziałów pomocniczych niezbyt składnie przyjmowali postawę zasadniczą.

- Teraz widzę, co miałeś na myśli - rzucił, kiedy wchodzili do przestronnego atrium, gdzie po jednej stronie siedzieli przy biurkach pracujący urzędnicy - toż to zwykle dziady, nawet ich własne matki nie mogłyby być z nich dumne.

- I to są ci najlepsi z pierwszej centurii - odparł Wespazjan. - A są takie centurie, w których żołnierze nie potrafią nawet utworzyć prostego szeregu. Centurioni muszą tam w szybkim tempie zużywać swoje kije z winorośli.

Zanim Magnus zdążył wyrazić swoją opinię dotyczącą skuteczności, albo też jej braku, wpajania siłą dyscypliny, w przypadku żołnierzy o standardzie poniżej przeciętnego, podszedł do nich zadbany, odziany w togę sekretarz kwestora.

- O co chodzi, Kwintyliuszu? - spytał Wespazjan.

- Od trzech godzin, kwestorze, czeka na ciebie jakaś kobieta. Próbowałem umówić ją na odpowiedniejszy termin, ale odmówiła. Powiedziała, że jako obywatelka rzymska ma prawo zobaczyć się z tobą natychmiast po twoim powrocie. I że twoim obowiązkiem jest ją przyjąć, bo jej ojciec był sekretarzem twojego wuja, kiedy ten był kwestorem w Afryce.

Wespazjan westchnął.

- No dobrze, wprowadź ją do mojego gabinetu. Jak się nazywa?

- To właśnie jest dziwne, kwestorze, twierdzi, że jest twoją krewną. Nazywa się Flawia Domicylla.

- I mija już półtora miesiąca, odkąd wyruszył na południowy wschód, a obiecał mi, że nie będzie go najwyżej czterdzieści dni - mówiła Flawia Domicylla, łkając w jedwabną chusteczkę, po czym bardzo ostrożnie dotykała nią oczu, by nie rozmazać grubych kresk proszku antymonowego, którymi były obwiedzione.

Wespazjan nie potrafił powiedzieć, czy jest naprawdę przejęta, czy tylko maksymalnie wykorzystuje kobiece sztuczki, zresztą było mu to obojętne; poraził go widok tej eleganckiej, nienagannie prezentującej się młodej kobiety. Wysoka, o krągłych biodrach i wąskiej talii, z pełnymi piersiami, miała wspaniałe ciało. Jej twarz o inteligentnych, iskrzących się ciemnych oczach, zgrabnym wąskim nosku i pełnych ustach okalały upięte wysoko czarne włosy, z warkoczami opadającymi na ramiona. Jeśli nie liczyć kilku niewolnic, Wespazjan nie miał godziwej kobiety od ostatniego spotkania z Cenis. Flawia Domicylla bez wątpienia była godziwą kobietą. Jej strój i biżuteria świadczyły o zamożności, a fryzura i barwiczki o tym, że ma czas, by się nią cieszyć; była doskonała. Wespazjan wpatrywał się w nią, wdychając kobiecą woń, wzmocnioną upałem i subtelnymi pachnidłami, kiedy łkała cichutko w chusteczkę. Czuł pulsującą w kroczu krew i żeby zamaskować ewentualny powód do zażenowania, poprawił fałdy togi, pierwszy raz od przyjazdu do prowincji zadowolony, że ją nosi. Usiłując oderwać umysł od spraw cielesnych, podniósł wzrok, by się przyjrzeć jej rysom. Poza delikatnym zaokrągleniem twarzy nie dostrzegł niczego, co mogłoby świadczyć o ich bliskim pokrewieństwie; jednak nie mogło być wątpliwości, że jej imię jest żeńską formą Flawiusza.

Uzmysłowiwszy sobie nagle, że zbyt jest pochłonięty podziwianiem jej urody, by usłyszeć, co mówi, odchrząknął i spytał:

- Jak się nazywa?

Flawia podniosła wzrok znad chusteczki.

- Mówiłam już; Statyliusz Kapella.

- A tak, oczywiście; i jest twoim mężem?

- Nie, jestem jego kochanką; czy w ogóle mnie nie słuchałeś? - spytała Flawia,

marszcząc czoło. - Jego żona jest w Sabracie. On nigdy jej nie zabiera, kiedy wyjeżdża w interesach, uważa, że moje wdzięki lepiej wpływają na jego klientów.

Wespazjan w to nie wątpił; na nim zdecydowanie wywarły wrażenie i teraz oszołomiony pożądaniem, rozpalony zmysłową wonią i dojrzałym ciałem Flawii, z całych sił zaciskał dłonie na poręczach fotela i starał się skupić uwagę na jej słowach.

- Zatem czym on się zajmuje? - zapytał.

Flawia spojrzała na niego ze złością.

- Siedziałeś tu i gapiłeś się tylko na moje piersi, bo najwyraźniej nie dotarło do ciebie ani jedno słowo z tego, co powiedziałam.

Wespazjan już otworzył usta, żeby zaprzeczyć temu oskarżeniu - bo przecież gapił się nie tylko na jej piersi - ale dał spokój.

- Przykro mi, jeśli uważasz, że nie słuchałem uważnie, ale jestem bardzo zajęty - powiedział chełpliwie, a jego oczy mimowolnie wróciły do tych właśnie wspaniałych wypukłości ciała Flawii.

- Nie aż tak zajęty, skoro marnujesz czas, gapiąc się na kobietę, zamiast słuchać tego, co mówi. Jest dostawcą dzikich zwierząt; kupuje je dla cyrków w Sabracie i w Leptis Magna. Wyprawiał się na pustynię, żeby zdobyć trochę wielbłądów. Nie są one zbyt wojownicze, ale wyglądają zabawnie i rozśmieszają ludzi. W prowincji Afryka ich nie mamy, ale tutaj jest plemię, które je posiada.

- Marmarydowie.

- Tak, tak to brzmiało, Marmarydowie - zgodziła się Flawia zadowolona, że wreszcie poświęca jej uwagę.

- Zatem twój ee... mężczyzna pojechał, żeby kupić wielbłądy od plemienia, które nie uznaje rzymskiej władzy na tym terenie, bo nigdy nie pokonaliśmy ich w bitwie, jako że są

nomadami, których znalezienie jest prawie niemożliwe?

- Tak, i powinien był wrócić już pięć dni temu - dodała Flawia, a jej dolna warga zadrżała.

Wespazjan zagryzł swoją, próbując nie dopuszczać do siebie myśli, dokąd ta warga mogłaby trafić.

- Powinnaś mieć nadzieję, że nie udało mu się do nich dotrzeć.

Flawia spojrzała na niego zaniepokojona.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

- Bo to są handlarze niewolników; łapią każdego, kogo tylko dopadną, i sprzedają Garamantom, którzy żyją setki mil stąd na południe i prowadzą szeroko zakrojone roboty irygacyjne, co pozwala im uprawiać tam różne rośliny, a te prace wymagają mnóstwo siły roboczej.

Flawia znów wybuchnęła płaczem.

Wespazjan stłumił chęć, by zacząć ją pocieszać, wiedząc, że jeśli tylko dotknie tego ciała, będzie stracony.

- Przykro mi, Flawio, ale taka jest prawda. Tylko szaleniec mógł się tam wybrać. Ilu ludzi miał ze sobą?

- Nie wiem na pewno. Sądzę, że co najmniej dziesięciu.

- Dziesięciu? To niedorzeczne, Marmarydów są tysiące. Módlmy się, by się okazało, że ich nie znalazł i że nie zabrakło mu wody. Ile jej wziął?

- Nie wiem.

- Cóż, jeśli nie zjawi się za kilka dni, to niestety, można spodziewać się najgorszego. Jeśli udał się na południowy wschód, to pierwszym miejscem, w którym może dostać wodę... chyba że wziął miejscowego przewodnika, żeby mu pokazał, gdzie kryją się studnie... jest oaza Siwa, tuż przed egipską granicą. To ponad sto mil stąd i dotarcie do niej zabiera od dziesięciu do dwudziestu dni, zależnie od warunków.

- To będziesz musiał wyruszyć i go odnaleźć.

- Odnaleźć go? Czy masz pojęcie o jak rozległym obszarze tu rozmawiamy i ilu ludzi musiałbym zabrać, żeby tylko zapewnić sobie możliwość powrotu?

- Nie obchodzi mnie to - warknęła Flawia. - On jest wolno urodzonym obywatelem Rzymu i twoim obowiązkiem jest chronić go przed niewolą.

- W takim razie powinien był poprosić mnie o eskortę, zanim się udał na tę idiotyczną wyprawę - odparł ostro Wespazjan, jeszcze bardziej podniecony jej animuszem. - Za rozsądną cenę mogłem przydzielić mu oddział jazdy.

- To daj mu teraz tę jazdę - powiedziała z naciskiem Flawia, wstając. - Jestem przekonana, że okaże się szczodry, kiedy go odnajdziecie.

- A jeśli odmówię?

- Wtedy, Tytusie Flawiuszu Wespazjanie, krewny czy nie, udam się do Rzymu i opowiem, jak to siedziałeś beczynn timer, podczas gdy pewnego ekwiterę uprowadzano i sprzedawano w niewolę. I stwierdżę ponadto, że powodem twojego postępowania była ochota, by przespać się z jego kobietą.

Co powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i wypadła jak burza z pokoju.

Wespazjan patrzył za nią z podziwem, potem wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze, kręcąc głową; w jednym na pewno ta kobieta miała słuszość; niewątpliwie chciał się z nią przespać. Jednak ona mogła dać mu coś więcej niż tylko rozkosz i podczas gdy serce wciąż w przyspieszonym tempie pompowało mu krew do wszystkich zakątków ciała, już

wiedział, że zaryzykuje wszystko, by ją osiąść.

Odruchowo wyrzucając w górę lewą rękę, Wespazjan przyjął na osłonę jelca swojej pugio opadający szybko gladius. Obracając sztylet w lewo, odepchnął miecz przeciwnika i kiedy pchnął gladiusem na wysokości brzucha, jego cios został odbity w prawo żelazem trzymanym pewną ręką.

- Więc ostatecznie może i zapolujemy na lwy - powiedział Magnus, wycofując się ze zwarcia, którym zakończyło się ostatnie starcie. Pot błyszczał na jego pokrytym bliznami torsie, a on, pierwszy raz od przyjazdu na Cyrenajkę, wyglądał na zadowolonego.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji, czy wyruszyć, czy nie - odparł Wespazjan, przyjmując pozycję obronną. Ugiął nogi w kolanach, mocno wychylił się do przodu, miecz trzymał nisko, a sztylet lekko wyciągnięty z pochwy.

Ćwiczyli obok granatowca, na ogrodowym dziedzińcu rezydencji namiestnika, wykorzystując chłód zmierzającego dnia. Dwóch niewolników obchodziło kolumnadę, zapalając pochodnie; dym unoszący się z nasączonych smołą szmat wdarł się w czyste świeże powietrze niedawno podlanego ogrodu.

Magnus wykonał zwód w prawo, po czym zamachnął się, celując w kark Wespazjana; odparowawszy cios sztyletem, młodszy mężczyzna natarł całą serią krzyżowych uderzeń, zmuszając broniącego się Magnusa do ciągłego cofania. Czując zwycięstwo, wymierzył pchnięcie w gardło Magnusa; ochroniarz uchylił się, unieruchomił mieczem sztylet Wespazjana, wcisnął mu prawy bark pod pachę drugiej, trzymającej miecz ręki, zahaczył prawą nogę o jego lewą i rzucił Wespazjana na ziemię.

- Za bardzo chciałeś wygrać, panie - powiedział Magnus, przyciskając tępy czubek miecza ćwiczebnego do gardła przyjaciela.

- Myśli miałem zajęte czym innym - odparł młody człowiek, odpychając miecz.

Magnus schylił się, aby pomóc mu wstać.

- No cóż, zdekoncentrowała cię. W każdym razie jeśli nie wyruszysz, to ona może ci narobić kłopotów w Rzymie.

Wespazjan skrzywił się drwiąco i strzepnął pył z ramienia.

- Nie, nie może. Wszyscy rozumieją, dlaczego nic nie zrobiłem. Kto będzie współczuł głupcowi, który wyrusza na pustynię prawie bez eskorty, żeby odnaleźć plemię handlarzy niewolników?

Magnus wyglądał na rozczarowanego.

- Więc nie zamierzasz wyruszyć?

Wespazjan podszedł do drzewa i usiadł na stojącej pod nim ławce.

- Tego nie powiedziałem; powiedziałem tylko, że nie wyruszę dlatego, że Flawia mi grozi. Jeśli pojadę, to z zupełnie innych powodów.

- Bo to może się okazać niezłą rozrywką?

- Widziałeś ją? - spytał Wespazjan, odpowiadając pytaniem na pytanie. Wziął ze stołu dzbanek z winem i napełnił dwa kielichy.

Magnus usiadł obok niego i wziął puchar z wyciągniętej ręki przyjaciela.

- Owszem, przelotnie. Wyglądała na kosztowną.

- To prawda, ale wyglądała dobrze; kobiecość w czystej formie. Pokazała też, że ma charakter i potrafi być lojalna; tylko sobie wyobraź, jakich zadziornych chłopców rodziłaby taka kobieta.

Magnus patrzył na przyjaciela ze zdumieniem.

- Nie mówisz chyba poważnie? A co z Cenis?

Przepełnione miłością słowa listu Cenis przemknęły przez umysł Wespazjana i młody człowiek pokręcił z żalem głową.

- Nieważne jak bardzo bym tego pragnął, nie bardziej mógłbym mieć dzieci z Cenis niż z tobą. Z tobą dlatego, że gdybym się nie wiem jak starał, nic by z tego nie wyszło; z Cenis, ponieważ jej dziecka nie uznano by za obywatela, jako owoc nielegalnego związku senatora z wyzwolenicą.

- Tak, pewnie tak. Nigdy wcześniej tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem - powiedział Magnus, kiwając głową i pociągając z pucharu. - Zatem będziesz musiał się rozejrzeć gdzie indziej za zarodową klaczą?

- I Flawia wydaje się idealna, a na dodatek jest z Flawiuszów.

- A co to za różnica?

- To oznacza, że posag pozostaje wewnątrz klanu i dlatego jest bardziej prawdopodobne, że jej ojciec będzie skłonny więcej Flawii zapisać.

- No cóż, przyda ci się to, jeśli zamierzasz otaczać ją luksusem; ona będzie cię sporo kosztować. Rozumiem, że podejmowanie prób ratowania jej kochanka nie ma sensu; lepiej pozwolić, żeby zniknął.

- Wprost przeciwnie, zamierzam wziąć cztery oddziały jazdy i wyruszyć, żeby go znaleźć. Jeśli tego nie zrobię, Flawia, jako kobieta lojalna, nigdy nawet nie rozważy możliwości poślubienia mnie.

- Jak go nie znajdziesz, to w porządku, ale jeśli go sprowadzisz z powrotem, to przecież ona zostanie z nim.

- Niekoniecznie. - Wespazjan uśmiechnął się nieśmiało do przyjaciela. - Jeśli uda mi się go znaleźć - powiedział - dam mu do wyboru pozostanie na pustyni bez konieczności zwrotu kosztów wyprawy ratunkowej albo powrót do cywilizacji i uregulowanie pokaźnego

rachunku.

- Jakiego? Masz na myśli koszt zaopatrzenia dla jazdy w czasie poszukiwań?

- Tak. I oczywiście moje wydatki.

- Które ile wyniosą?

- Och, nie więcej niż to, na co Kapellę stać... powiedzmy, jedna kobieta.

Rozdział drugi

Jak daleko jeszcze, Agilasie? - niecierpliwił się Marek Waleriusz Messala Korwinus, młody patrycjusz, prefekt złożonej z członków plemienia Libu lekkiej jazdy. Otarł pot, który spod słomkowego kapelusza z szerokim rondem spływał mu na twarz.

Ciemnoskóry wywiadowca wskazał ręką odległą o jakieś dwie mile niewielką grupę skał, rozedrganych w rozpalonym powietrzu.

- Niedaleko, panie; tam, pomiędzy tymi skałami.

- Czas najwyższy - mruknął Magnus, unosząc w siodle rozpalone i obolałe pośladki. - Dopiero trzy dni minęły, odkąd zjechaliśmy z płaskowyżu, a ja mam już serdecznie dość tej pustyni.

- Nie musiałeś z nami jechać - przypomniał przyjacielowi Wespazjan. - Mogłeś zostać u podnóża tamtych wzgórz i polować; jestem pewien, że Korwinus zostawiłby ci ze dwóch przewodników.

Prefekt jazdy rzucił mu spojrzenie, które miało go upewnić, że całkowicie się w tej sprawie myli.

Magnus spoglądał smętnie na duży i solidny oszczep myśliwski, sterczący pionowo w długim futerale ze stwardniałej skóry, i kręcił głową.

- Nie, nie chciałbym przegapić tej zabawy; po prostu nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tej pustyni jest aż tyle.

Rzeczywiście pustyni było mnóstwo.

Dwa dni wcześniej opuścili Cyrenę i od zejścia z płaskowyżu po wyjeździe z miasta kierowali się na południowy wschód, jadąc po twardym, płowym, usianym kamieniami

pustkowiu, które ciągnęło się aż za niejasno określoną południową granicę prowincji, a potem jeszcze dalej, tak daleko, jak pozwalała na to wyobraźnia. Pustynia tworzyła naturalną linię obronną przed tymi czy tym, co żyło za tą jałową ziemią. Mimo że był już listopad, w ciągu dnia słońce paliło z siłą zupełnie niepasującą do tej pory roku; nocą natomiast panowała zima, temperatura gwałtownie spadała i w szybkach bukłaków zamarzała woda.

Stu dwudziestu żołnierzy lekkiej jazdy uzbrojonych było w lekkie oszczepy, spatha - miecze nieco dłuższe od gladiusa piechoty - i w zakrzywione noże, mieli też niewielkie tarcze obite skórą. Pochodzili z plemienia Libu i bez trudu znosili panujące tu warunki. Twarze ocieniały im słomkowe kapelusze o szerokich rondach, a długie grube płaszcze z niefarbowanej jagnięcej wełny, noszone na wełnianych tunikach, chroniły przed palącymi promieniami słońca w dzień i grzały w mroźne noce. Ognisk nie rozpalano, bo nie było czym palić. Jeśli chodzi o odzież, rzymscy dekurioni wzięli przykład ze swoich żołnierzy, jako że w nieznośnym upale metalowe pancerze i hełmy byłyby podczas tej wyprawy bardzo niepraktyczne.

Każdy wiózł ze sobą bukłak z wodą, której było dość dla jeźdźca i wierzchowca na dwa dni. Oznaczało to, że razem z zapasową wodą, ziarnem dla koni i racjami dla żołnierzy, którymi objuczono muły podążające za kolumną mogli przetrwać bez zaopatrzenia trzy dni. Kluczową sprawą w tym monotonnym krajobrazie była orientacja w terenie, ponieważ musieli po drodze trafić do dwóch studni, należących do całej ich sieci. Marmarydowie wykopali je na pustyni wiele pokoleń wstecz, żeby umożliwić sobie przenoszenie się z pastwisk na północy, w pobliżu wybrzeża, jakieś sto mil na wschód od Cyreny, do oazy Siwa i jeszcze dalej.

- Jak, na Hadesa, Agilas znajduje tu drogę? - spytał dowódcę jazdy Magnus, kiedy zbliżali się do skalnego wypiętrzenia, gdzie, jak zapewniał ich przewodnik, znajdą pierwszą studnię na swojej trasie. - Nie ma się przecież według czego kierować.

Patrycjusz spojrział z wyższością na Magnusa, zanim raczył mu odpowiedzieć.

- Marmarydowie pochycili go, kiedy był zaledwie chłopcem. Zanim uciekł, żył z nimi dziesięć lat i mnóstwo razy wędrował przez pustynię; korzystałem już wcześniej z jego usług i nigdy mnie nie zawiódł.

- Kiedy tu byłeś ostatni raz? - zapytał Wespazjan, próbując zachowywać się przyjaźnie wobec tego wyniosłego patrycjusza; nie miał wcześniej wiele kontaktów z Korwinusem, który większość czasu spędzał w Barce, na południowy zachód od Cyreny, gdzie stacjonowała jazda.

- Tuż przed twoim przyjazdem, kwestorze. - Oficjalny tytuł Wespazjana wymówił niemal kpiącym tonem. - Przez kilka dni ścigaliśmy dokonującą napadów bandę; zresztą bezskutecznie. Ich wielbłądy nie są co prawda w galopie takie szybkie jak konie, ale potrafią pokonać osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu mil w dziesięć godzin bez zatrzymywania się dla napojenia; przy tej szybkości i w tym skwarze nasze konie po prostu padają.

- Schwytaliście kiedyś kogoś?

- Nie, ani razu w ciągu tych siedmiu miesięcy, kiedy mam nieszczęście tu stacjonować. I nie wiem, co każe ci sądzić, że tym razem będzie inaczej; musiałbyś zaskoczyć...

Ostry krzyk spadającego z wierzchowca Agilasa przerwał Korwinusowi; chwilę później jego własny koń stanął dęba, zrzucając go na twardą ziemię. Wespazjan usłyszał świst strzały tuż nad głową, a moment później krzyk jadącego z tyłu żołnierza.

- Sformować szyk, turmami! - zawołał prefekt jazdy, zrywając się na równe nogi, kiedy jego wierzchowiec zwałił się, rżąc, na ziemię obok; z piersi zwierzęcia sterczała zakrwawiona strzała.

Stu dwudziestu żołnierzy rozproszyło się po pustyni, słychać było ciche rzenie rannych koni i ostry dźwięk rogu, lituus.

Wespazjan zobaczył, jak sto kroków przed nimi napastnicy wyskakują z ukrycia pomiędzy skałami i pędzą ku kilkunastu podobnym w kolorze, ale mniejszym i zaokrąglonym kamieniom. Kilka chwil później można było odnieść wrażenie, że kamienie ozywają, kiedy ludzie na nie wskakiwali, bo podnosiły się z ziemi jeden po drugim, jakby nagle wyrastały im nogi, najpierw z tyłu, a potem z przodu; po czym wykonywały zwrot i galopowały na

południe.

- Dekurionie, weź swoją turmę i dopadnij tych chędożycieli wielbłądów; jesteśmy na tyle blisko, że możemy ich dogonić. Chcę mieć jednego Marmarydę żywego! - ryknął Korwinus w stronę najbliższej, wyglądającej na rzymską twarzy.

Kiedy oddział zaczął się oddalać, Wespazjan rzucił Magnusowi pytające spojrzenie.

- Nie przepadam za walką z konia, ale przypuszczam, że zrekompensuje mi brak możliwości polowania na lwy - oświadczył Magnus, piętą podrywając konia do galopu.

Wespazjan uśmiechnął się i pogalopował za nim. Wiatr natychmiast zerwał mu z głowy kapelusz, który trzepotał za nim, trzymając się na luźnym rzemyku zawiązanym pod brodą.

Szybko pokonali wypiętrzone skały i zaczęli się zbliżać do wolniejszych od koni, choć bardziej wytrzymałych wielbłądów. Widzieli je już w odległości niecałych dwustu kroków. Wespazjan doliczył się około dwudziestu. Turma pędziła w rozproszonym szyku, jeźdźcy sprawnie prowadzili konie, omijając większe głazy, którymi usiana była spieczona, popękana ziemia. Od czasu do czasu nad ich głowami przelatywała strzała, nie trafiając nikogo; trafienie z grzbietu wielbłąda do znajdującego się za plecami nieprzyjaciela musi być nie lada sztuką, uznał Wespazjan, obserwując pokraczny sposób poruszania się tych dziwnych zwierząt.

Po około pół mili Marmarydowie byli już tylko niecałe sto kroków przed nimi; czując, że uda im się dopaść napastników, żołnierze zmuszali swoje wierzchowce do zwiększonego wysiłku. Piana wypływała spod siodła i ślina toczyła się z pysków dających z siebie wszystko zwierząt.

Wespazjan sięgnął za siebie i wyciągnął jeden z dziesięciu lekkich oszczepów, które w podłużnej torbie przy siodle miał każdy z nich, i wsunął wskazujący palec w skórzaną pętelkę w połowie drzewca. Cel był niecałe siedemdziesiąt kroków przed nimi i Wespazjana przeszedł znany już dreszczyk i poczuł napięcie przed nadchodzącym starciem. Nie miał okazji walczyć od czasu ataku na posiadłość rodziców w Aquae Cutillae przeszło cztery lata

wcześniej i rwał się do walki dodatkowo znudzony kilkoma ostatnimi miesiącami.

Kiedy pozostało zaledwie sześćdziesiąt kroków, Marmarydowie, zdając sobie sprawę z tego, że nie mają szansy ucieczki, zawrócili raptownie wielbłądy i zaatakowali turmę, wypuszczając grad strzał. Żołnierz na prawo od Wespazjana spadł z krzykiem z siodła, a jego koń, niesiony gorączką pościgu, gnał dalej przed siebie.

- Rzucac! - wrzasnął dekurion, kiedy pozostało im pięćdziesiąt kroków.

Przeszło trzydzieści oszczepów poszybowało ku zbliżającym się wielbłądom, a po chwili poleciała kolejna ich chmara, ponieważ tą bronią żołnierze chcieli zadać przeciwnikom jak największe straty. Wiele z zakończonych żelaznymi grotami drzewc trafiło w piersi i głowy Marmarydów albo wbiło się głęboko w ich wierzchowce, które z gardłowym rykiem padały na ziemię.

Siedmiu ocalałych mężczyzn wyciągnęło z pochew długie proste miecze i zderżyło się z sięgającymi po miecze jeźdźcami. Nomadowie wyrzaskiwali nienawistnie zza płóciennych zasłon na twarzach, a czarne płaszcze wydymały im się na plecach.

Silny i nieznany zapach wielbłądów spowodował, że biegnący obok Wespazjana koń bez jeźdźca, spłoszony, rzucił się gwałtownie w lewo i zderzył się z jego wierzchowcem w momencie, kiedy na Rzymianina spadało błyszczące żelazo. Koń Wespazjana uniósł głowę i zarżał z bólu, a wycelowany w szyję jeźdźca miecz trafił zwierzę w gardło. Krew zbryzgała twarz Rzymianina, kiedy opuścił oszczep, odcinając trzymającą miecz rękę przeciwnika, który zawył, a jego wielbłąd wpadł na konia bez jeźdźca. Oba zwierzęta i nomada, z krwią buchającą ze świeżego kikuta, runęli na ziemię przy akompaniamencie trzaskających kości i ryku rannych wierzchowców.

Koń Wespazjana, z wbitym w gardło mieczem i ręką nomady wciąż zaciśniętą na rękojęści, przegalopował jeszcze kawałek, po czym zwałił się na ziemię. Wespazjan rzucił się do przodu, by nie zmiażdżył go ciężar ciała wierzchowca, i poturlał się po nierównym gruncie. Zatrzymawszy się, spojrzął do tyłu i natychmiast odskoczył w lewo, w ostatniej chwili unikając stratowania przez toczącego dziko oczyma konia, którego pozbawiony głowy jeździec wciąż siedział mocno w siodle, ściskając udami boki zwierzęcia.

- Nic ci się, panie, nie stało? - zawołał Magnus, podjeżdżając do Wespazjana.

- Chyba nie - odparł młody człowiek, obserwując z niezdrową ciekawością dalszą jazdę jeźdźca bez głowy; po kilkunastu krokach mięśnie ud się rozluźniły i ciało zsunęło z siodła, a koń pędził dalej, ku granatowemu horyzontowi.

Kiedy wszyscy zgromadzili się w jednym miejscu, Wespazjan zobaczył jeszcze dwa samotne konie. Na ziemi leżały martwe wielbłądy i ich jeźdźcy, natomiast z tyłu, w pobliżu wypiętrzenia skalnego, jeden wielbłąd wciąż stał na nogach; Marmaryda obrócił go pyskiem w ich stronę, podniósł miecz nad głowę i zaszarżował.

- Ma jaja, trzeba mu to przyznać - zauważył Magnus, zeskakując z konia i biorąc do ręki swój myśliwski oszczep. - No dobra, on jest mój, cofnąć się! - zawołał do żołnierzy, którzy uśmiechnęli się na myśl o obejrzeniu ciekawego pojedynku.

Magnus ustawił się na wprost rozpędzonego wielbłąda, trzymając w poprzek ciała długi na osiem stóp oszczep o dębowym drzewcu; grot w kształcie liścia błyskał w słońcu. Żołnierze zachęcali go okrzykami, a jeździec się zbliżał, wydając głośny zawodzący okrzyk bojowy swojego ludu i okładając płazem zakrwawionego miecza bok wielbłąda, by zmusić go do jeszcze szybszego biegu.

Magnus ani drgnął.

Dopiero w ostatniej chwili uskoczył w lewo, uchylając się przed zamaszystym cięciem miecza nomady i z boku wetknął oszczep pomiędzy przednie nogi zwierzęcia. Prawa piszczel zwierzęcia pękła, natrafiwszy na twarde lite drzewce, ruch do przodu zakręcił oszczepem i kiedy Magnus go puścił, grot wbił się w brzuch wielbłąda. Kiedy jego prawa noga ugięła się pod nim, zwierzę, rycząc przeraźliwie, osunęło się na oszczep, wyrzucając jeźdźca w powietrze. Impet przepchnął oszczep przez dygoczące ciało wielbłąda, rozerwał wnętrzności i w fontannie krwi wystrzelił z grzbietu zwierzęcia tuż przed miednicą. Rycząc i parskając, wielbłąd wierzgał tylnymi nogami, bezskutecznie próbując się uwolnić od narzędzia swojej męki. Magnus chwycił miecz nieprzytomnego Marmarydy, obiema rękoma uniósł i opuścił ostrze na kark wierzącego się rozpaczliwie stworzenia. Stęknąwszy z wysiłku, rozłupał mu

kręgosłup i niemal całkowicie odrąbał łeb.

Ciało drgało przez chwilę konwulsyjnie, po czym znieruchomiało.

Żołnierze nagrodzili Magnusa wiwatami.

Wespazjan, kręcąc z podziwem głową, podszedł do przyjaciela.

- Widziałem w cyrku, jak bestiarius załatwił wielbłąda w taki sposób - przyznał się Magnus - więc pomyślałem sobie, że będzie zabawa, jak sam tego spróbuję, ponieważ te zwierzęta niespecjalnie potrafią się bronić.

- Petus by to docenił - odparł Wespazjan, myśląc o nieżyjącym przyjacielu - lubił porządne polowania.

- Chyba straciłem przy tej okazji oszczep. Bo na pewno nie uda mi się go wyciągnąć.

Usłyszeli za sobą jęk. Odwrócili się i zobaczyli, że nomada się porusza.

Wespazjan obrócił go na plecy. Mężczyzna stracił w zamieszaniu nakrycie głowy z zasłoną na twarz i okazało się, że to człowiek młody, najwyżej dwudziestoletni, niewysoki i żyłasty, z kręconymi włosami, wąskim nosem i ustami. Na każdym z jego smagłych policzków widniał dziwny tatuaż, składający się z trzech falistych kresek.

- Trzeba go zabrać na przesłuchanie, być może widział członków wyprawy Statyliusza Kapelli.

- Jeśli myślisz o torturowaniu, to nie ma mowy - powiedział Magnus, stając nad leżącym - jak chcesz, to sprawdź, może jakiś inny żyje.

- O co ci chodzi?

- O to, że nie pozwolę uszkadzać mojej własności. On teraz jest mój. Zamierzam go sobie zatrzymać. Uważam, że zdobyłem go uczciwie.

- Masz szczęście - oświadczył Wespazjan, budząc kopniakiem Magnusa, kiedy nazajutrz słońce rozjarzyło się czerwono nad horyzontem. - Właśnie rozmawiałem z Korwinusem. Nasz przewodnik, Agilas, wylize się, usunięto mu strzałę z barku, nie powodując dużej utraty krwi, i dzisiaj chłopak wydaje się w niezłej formie.

- I niby dlaczego to ja mam szczęście? - zapytał rozespany Magnus, nie wykazując najmniejszej ochoty, by wyjść spod koca.

- Bo to oznacza, że nie musisz zmuszać twojego nowego małego przyjaciela, żeby nam pokazał, gdzie jest następna studnia - odparł Wespazjan, spoglądając na Marmarydę. Chłopak siedział oparty o skałę, ze związanymi z tyłu rękoma. - I pośpiesz się, jeśli chcesz coś zjeść, bo turma już siodła konie. Musimy ruszać. Do oazy Siwa mamy jeszcze pięć dni.

Napełnianie bukłaków dla stu dwudziestu ludzi zajęło niemal resztę dnia po potyczce, więc musieli rozbić na noc obóz przy skalnym wypiętrzeniu. Jeden z napastników był w dość dobrym stanie i zdołał potwierdzić, za pośrednictwem tłumacza - odpowiednio zachęcony zakrzywionym nożem żołnierza - że Kapellę i kilku jego ludzi rzeczywiście pochwycili Marmarydowie i zabrali do Siwy. Tam mieli czekać, aż kolejna karawana z niewolnikami wyruszy do dalekiego miasta Garama, leżącego siedemset mil na południowy zachód.

Mamrocząc pod nosem, Magnus wstał wreszcie, pogrzebał w torbie i wyciągnął pasek suszonej wieprzowiny i kawał czerstwego chleba. Jego nowy niewolnik spoglądał łakomym wzrokiem na jedzenie.

- Chyba jest głodny - zauważył Wespazjan - lepiej go nakarm, bo może okazać się, że jesteś właścicielem umarlaka.

Magnus chrząknął.

- Miej miecz w pogotowiu - powiedział - kiedy będę go rozwiązywał. Podeszedł do Marmarydy i obrócił go, żeby dostać się do węzła. - Lepiej się zachowuj, rozumiesz? - syknął mu w ucho, kiedy sznur opadł. Rozumiejąc ton głosu, nomada kiwnął głową.

Magnus odkroił kawałek chleba i plaster wieprzowiny i podał młodemu mężczyźnie. Chłopak wziął jedzenie jedną ręką, a drugą dotknął czoła, mówiąc coś w swoim języku.

- Chyba ci dziękuje - zauważył Wespazjan.

- No i powinien, zawdzięcza mi przecież życie.

Przełknąwszy szybko kilka kęsów, młodzieniec podniósł na nich wzrok i wskazał na siebie ręką.

- Ziri - powiedział, kiwając głową. - Ziri - powtórzył.

Wespazjan roześmiał się.

- Poznałeś imię, będziesz go musiał zabrać do domu.

- Ziri - powtórzył Marmaryda, po czym wskazał ręką Magnusa.

- Twój pan - powiedział Magnus, wskazując siebie. Potem wskazał Wespazjana. - Pan.

Ziri z zadowoloną miną kiwał energicznie głową.

- Twójpan. Pan - powtarzał.

- No cóż, to wyjaśnia sytuację - oświadczył Magnus, wbijając zęby w chleb.

Agilas, choć osłabiony raną, doprowadził ich bez przygód do drugiej studni, odległej od Siwy o dwa dni drogi. Krajobraz uległ zdecydowanej zmianie; twarda, wypalona ziemia ustąpiła miejsca piaskowi. Z początku była go cienka warstewka na twardym pustynnym podłożu, ale kiedy zaczęli się oddalać od studni, warstwa stawała się coraz grubsza, a późnym popołudniem wędrowali już po piaszczystych wydmach wysokich na kilka stóp. Konie się męczyły, zmagając się z sypkim piaskiem, i w końcu musieli z nich zsiąść i je prowadzić. Wsypujący się do sandałów piasek niemiłosiernie palił stopy.

- Zaczynam myśleć, że to trochę za duży wysiłek, tylko po to, żebyś sobie zdobył dobrą rozplodową kobietę - gderał Magnus, kiedy z Korwinusem i Agilasem pokonywali kolejne wzgórze z miążkiego, zdradliwego piasku; za nimi cztery turmy znikwały w migotliwym rozedrganym powietrzu.

- Ratujemy również obywatela Rzymu przed nieszczęsnym żywotem niewolnika na jakimś dalekim pustkowiu - przypomniał przyjacielowi Wespazjan.

Magnus mruknął coś pod nosem i dalej zmagał się ze swoim wierzchowcem, który się zaparł i nie chciał zejść z drugiej strony wydmy.

- Koń, iść! - krzyknął Ziri, uderzając krnąbrne zwierzę w zad.

Koń skoczył do przodu. W obłoku piasku ześlizgnął się w dół, siedząc na tylnych nogach, i ku wielkiej radości Wespazjana i Ziriego pociągnął za sobą Magnusa.

- Przeszanę cię uczyć łaciny, ty kudłaty mały bracie wielbłądów, jeśli taki będziesz z niej robił użytek - wykrztusił Magnus, próbując wyleźć spod szamoczącego się konia.

Wespazjan zaśmiewał się, sprowadzając swojego wierzchowca.

- Według mnie było to idealne użycie języka; wybrał przecież najbardziej odpowiednie dwa wyrazy z ponad dwudziestu, jakie zna, by ruszyć konia z miejsca.

Ziri zszedł z wydmy i wyszczerzył białe zęby w uśmiechu.

- Ziri twójpan pomagać? - zapytał.

- Niepotrzebna mi twoja przekłeta pomoc, pustynny szcurze - odparł Magnus, któremu udało się w końcu wygramolić. Strzepnął piasek z tuniki i zaczął prowadzić konia w stronę kolejnej wydmy.

Ziri szedł za nim, niezmiennie uśmiechnięty.

- Czemu on jest taki wesoły? - spytał Wespazjan Agilasa, kiedy wspinali się z trudem po osypującym się piasku. - Gdybym ja dostał się do niewoli, tobym się nie cieszył.

- Tacy są Marmarydowie. Ponieważ sami handlują niewolnikami, to woleliby umrzeć niż znaleźć się w niewoli, dlatego walczyli przy tamtej studni jak samobójcy. Honor wymagał, by wziąć cenę krwi za zabranie im ich wody, ale kiedy stało się oczywiste, że ich dopadniemy, wybrali walkę i śmierć. Ziri Marmaryda zginął w tamtej walce; to, że Magnus pokonał go w pojedynku i mało, że go nie zabił, to jeszcze zrobił swoim niewolnikiem, oznacza, że nie będzie mógł już nigdy wrócić do swojego ludu. Teraz ma całkowicie nowe życie i akceptuje swój los.

- Cieszy się, że jest niewolnikiem i nigdy już nie zobaczy rodziny?

- Tak, to jedyne, co może zrobić. Gdyby miał żonę i dzieci, byłby dla nich jak martwy. Powrót oznaczałby powolną i bolesną śmierć z rąk członków jego własnej rodziny. Pozostało mu tylko życie w służbie Magnusa.

- Czy to znaczy, że Magnus może mu ufać?

- Bezgranicznie.

- Nawet w walce przeciwko Marmarydom?

- Zwłaszcza przeciwko Marmarydom.

Wespazjan popatrzył na Marmarydę podążającego za Magnusem jak wierny pies i zastanawiał się, jak ten nomada zareaguje na Rzym. Zadumę przerwał mu ostrzegawczy krzyk i zobaczył, że Ziri wskazuje ręką na południe. Wespazjan zmrużył oczy i osłonił je dłonią od słońca. Horyzont, który normalnie był ostrą linią oddzielającą jasny brąz od błękitu, stał się rozmazany i niewyraźny.

- Niech bogowie mają nas w swojej pieczy - wymamrotał Agilas.

- Co to jest? - spytał Korwinus.

- Burza piaskowa i wygląda na to, że sunie w tę stronę; jeśli tak jest, przyjdzie jeszcze przed zmierzchem.

- Co możemy zrobić?

- Żadnej jeszcze nie przeżyłem, więc nie wiem, ale myślę, że nic. Dotrze do nas na otwartym terenie, bo przed nami nie ma żadnych skał czy innej osłony. Musimy poruszać się naprzód najszybciej jak się da i modlić, by nas ominęła, bo jeśli to potężna burza, to pogrzebie nas żywcem.

Przez kilka następnych godzin w największym pośpiechu parli do przodu po tym bezlitosnym terenie. Słońce przesunęło się nad zachodni horyzont. Wiadomość o nadciągającej nawałnicy dotarła do wszystkich w kolumnie i żołnierze w półmroku zerkali nerwowo na południe, w stronę narastającego z każdą chwilą zagrożenia, odległego już nie dalej jak o dziesięć mil. Rozmazana plama na horyzoncie zmieniła się w masywną, ciemnobrązową, sunącą tuż przy ziemi, błyskawicznie powiększającą się chmurę.

- Pogódźcie się z waszymi bogami - powiedział Agilas - bo jej nie uciekniemy. Jesteśmy już martwi.

Ziri podbiegł do Agilasa, coś mu powiedział i przez chwilę rozmawiali.

- On mówi, że jest szansa wyjścia żywym z burzy piaskowej - wyjaśnił Agilas. - Każe się wielbładowi położyć na szczycie wydmy i należy skryć się za nim. Nie wie, czy konie są do tego wystarczająco duże i silne, ale warto spróbować.

- Podać tę informację dalej - krzyknął Korwinus - kryć się za końmi albo mułami na szczytach wydm.

Wespazjan podjechał do Magnusa i Ziriego. Wyczuwając w powietrzu niebezpieczeństwo, wszystkie zwierzęta zrobiły się niespokojne i trzeba je było mocno trzymać. Wespazjan obejrzał się i poczuł powiew wiatru na twarzy.

- Na wrzące szczyny Wulkana, popatrz, jakie to wielkie - wykrzyknął Magnus - jest wysokie na trzysta albo czterysta stóp.

Wespazjan wlepił zdumiony wzrok w toczącą się brązową chmurę; była rzeczywiście wielka, jednak największą grozę budziła jej szybkość. Odległa już tylko o jakieś dwie mile sunęła po pustyni i nie prześcignąłby jej najszybszy koń wyścigowy z cyrku. Patrzył z niedowierzaniem, jak się zbliża, niczym potężna ruchoma góra, pożerając teren przed sobą.

Nagle się ściemniło.

A potem chmura uderzyła.

W jednej chwili wiatr z lekkiego przyspieszył do wyjącego, nieznośnego dla uszu wichru. Temperatura wzrosła, a widoczność zmalała. Prawie nie widział Magnusa chowającego się za koniem dwa kroki dalej, ponieważ powietrze wypełniały maleńkie, ostre drobiny piasku, które fruując z ogromną prędkością, uderzały w końskie boki, boleśnie kłując skórę zwierzęcia przez gęstą sierść. Wespazjan szarpnął w dół wodze, bo jego wierzchowiec próbował się podnieść i uciekać przed wszechogarniającą furią żywiołu; trzymał zwierzę ze wszystkich sił, aż się poddało. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze. Zakrył tuniką nos, zwinął się w kłębek i mocno zacisnął powieki, modląc się do wszystkich bogów, jacy mu tylko przyszli do głowy, podczas gdy wiatr szalał wokół niego, zrywając mu z głowy kapelusz i szarpiąc bezlitośnie za płaszcz, który w końcu pękł z trzaskiem.

Słońce zaszło i zapanowała całkowita ciemność.

Wespazjan stracił poczucie czasu.

- Ciągnij, ty mały kudłaty gnojku! - wrzeszczał Magnus, gwałtownie przywracając Wespazjanowi świadomość.

Rzymianin poczuł, jak silne dłonie chwytając go za kostki, wyprostowując mu nogi, po czym zaczął zsuwać się w dół. Nagle ujrzał gwiazdy, tysiące gwiazd.

- Nic ci nie jest, panie? - zapytał Magnus, pochylając się nad nim.

Wespazjan podniósł głowę i wypluł garść piasku.

- Na to wygląda. - Z trudem poruszał wyschniętymi ustami.

Ziri przyłożył mu do ust bukłak.

- Pan, pić.

Rzymianin pociągnął łyk i poczuł, jak letni płyn spływa mu do wnętrza.

Ziri zabrał bukłak.

- Pan, przestać - oświadczył.

- Niestety, ma rację - powiedział Magnus, wyciągając rękę, żeby pomóc przyjacielowi wstać. - To jedyna woda, jaką mamy, chyba że uda nam się do jakiejś dokopać.

Wespazjan stanął na niepewnych nogach i rozejrzał się wokół. Było spokojnie, wiatr ustał. Księżyc w ostatniej kwadrze srebrzył pofalowane wydmy; na północy można było jeszcze dostrzec tę monstualną chmurę burzy piaskowej, mknącą w kierunku wybrzeża. Tu i tam Wespazjan widział ludzi, nie więcej niż dwudziestu, którzy pojedynczo lub w parach przekopywali piasek.

- Gdzie Korwinus? - zapytał, oglądając się tam, gdzie ostatni raz widział prefekta jazdy i jego konia.

- Nic mu nie jest - uspokoił go Magnus - organizuje grupy poszukiwawcze, choć podejrzewam, że to bezskuteczne. Większość koni poniosła, przeżyli tylko ci chłopcy, którym udało się swoje utrzymać. Agilasowi zabrakło na to siły.

- A niech to, w takim razie jesteśmy zgubieni.

- Niezupełnie - powiedział z uśmiechem Magnus, głaszcząc kędzierzawą czuprynę

Ziriego. - Ziri wie, jak dotrzeć do Siwy.

Marmaryda skinął głową.

- Twójpan, pan, Ziri, Siwa, tak.

- Robi się całkiem gadatliwy - zauważył Wespazjan.

- To prawda - przyznał Magnus - a my gadamy, zamiast zająć się kopaniem. Może coś się jeszcze uda uratować.

Wespazjan grzebał w piasku w poszukiwaniu swojego bezcennego bukłaka i czując słońce na twarzy, pomyślał, jak dobrze jest żyć. Chwilami oddawał się rozpaczy podczas tego trwającego, jak mogłoby się zdawać, całą wieczność odrętwienia, kiedy leżał zwinięty w kłębek osłonięty martwym teraz koniem.

Na początku udawało mu się odepchnąć piasek, który gromadził mu się przy twarzy, ale kiedy burza przybrała na sile, całe jego zwały zbierały się wokół niego i nad nim. Utrzymywanie się na powierzchni oznaczało, że będzie się powoli podnosił i ostatecznie znajdzie się wyżej od osłaniającego go wierzchowca. Zrezygnowawszy z nierównej walki, naciągnął płaszcz na głowę i podtrzymując go długim mieczem, utworzył sobie przy twarzy coś w rodzaju namiotu wypełnionego powietrzem. W końcu zrobiło się tak duszno, że stracił przytomność.

Nie miał pojęcia, jak udało mu się przeżyć. Może rzeczywiście matka miała rację, mówiąc, że bogini Fortuna własnoręcznie go osłaniała, by zdołał wypełnić swoje przeznaczenie. Kiedy miał piętnaście lat, podsłuchał pewną rozmowę rodziców. Wspominali wtedy coś o znakach towarzyszących jego narodzinom i o związanych z nimi przepowiedniach. Jednak nikt nigdy nie chciał mu zdradzić, co było w przepowiedniach, bo wszystkich obecnych w ceremonii nadania mu imienia, dziewięć dni po jego urodzeniu, matka związała stosowną przysięgą.

Na początku go to irytowało, stopniowo jednak, z konieczności, ciekawość bladła i zepchnęła tę sprawę w zakamarki pamięci. Zainteresowanie ożyło na nowo, przed czterema

laty, po tym jak w sanktuarium Amfiaraosa w Grecji jemu i jego bratu, Sabinusowi, odczytano celowo zagmatwane proroctwo. Wspomniano w nim o jakimś bracie, mówiącym prawdę wschodniemu królowi. Sabinus nie powiedział, czy to może coś oznaczać, twierdząc, że jest wciąż związany złożoną matce przysięgą.

W ciągu dwóch lat pomiędzy zakończeniem kadencji na stanowisku jednego z triumwiri capitales a wyborem na kwestora, spędzonych głównie na prowadzeniu zostawionej mu przez babkę posiadłości, niewiele o tym myślał. Aż do teraz. Bo teraz był przekonany, że zachowała go przy życiu jakaś niewidoczna dłoń; nie wiedział, w jaki sposób udało się przeżyć innym, wiedział natomiast, że minionej nocy powinien był się udusić, zakopany w piasku w swoje dwudzieste piąte urodziny.

- Nie wygląda to za dobrze - wycedził Korwinus, podchodząc do Magnusa i Wespazjana, który właśnie natrafił na swój bukłak - poza nami czterema przeżyło dwudziestu sześciu, a mamy tylko osiem bukłaków, zresztą w połowie pustych.

- Teraz już dziewięć, prefekcie - oznajmił Wespazjan, wyciągając skórzany worek z głębokiej dziury w piasku. - Na pewno możemy dojść do tego, gdzie były konie, i się do nich dokopać.

- Próbowaliśmy to zrobić, ale większość koni i wszystkie muły poza jednym poniosły, zabierając ze sobą cały prowiant. Wszystkie się gdzieś tam pogubiły - warknął Korwinus, zataczając ramieniem koło - i nigdy ich nie odnajdziemy. Dokopywaliśmy się tylko do martwych żołnierzy; straciłem trzech z moich czterech dekurionów. Nie zasłużyli sobie na taką śmierć, to coś okropnego.

- Cóż, jeśli nie ma nadziei na odnalezienie żywych ludzi, to powinniśmy szybko wyruszyć, zanim zrobi się nieznośnie gorąco.

- Dokąd wyruszyć? - krzyknął Korwinus.

- Do oazy Siwa, jak było zaplanowane, prefekcie; czeka nas najmniej dzień drogi.

- I co zrobimy, jak tam dotrzemy? Niewielu żołnierzy nam zostało; udało ci się

większość wygubić w tym twoim szalonym przedsięwzięciu.

- Pozwól, że ci przypomnę, do kogo mówisz, prefekcie - rzucił ostro Wespazjan, mierząc palcem w twarz młodego oficera jazdy.

- Nie trzeba mi przypominać, bo wiem, że mówię do niewychowanego homo novus z sabińskim akcentem.

- Niezależnie od tego, co twoje patrycjuszowskie uprzedzenia każą ci myśleć o mnie, jestem w Cyrenajce przedstawicielem namiestnika, a tym samym senatu, i masz bez kwestionowania wykonywać moje rozkazy. A jeśli uważasz, że ratowanie obywateli przed losem niewolnika jest przedsięwzięciem szalonym, to mimo wszystko życzę ci, by ktoś taki jak ja ruszył ci na pomoc, jeśli przypadkiem znajdziesz się w podobnej sytuacji. A teraz przygotuj ludzi do...

Przerwał mu dochodzący z daleka i wysoka żałosny ptasi krzyk.

Wespazjan spojrział w górę, ku wschodowi.

- A to co takiego, na jaja Hadesa?

- Jeszcze jeden pechowiec, który podążył za tobą na pustynię - rzucił Korwinus. Odwrócił się na pięcie i oddalił energicznie, rzucając ostrym głosem rozkazy pozostałym przy życiu żołnierzom, którzy spoglądali nerwowo w niebo.

- Uważam, że należało postawić sprawę jasno - powiedział Magnus, odprowadzając wzrokiem Korwinusa - i wyjaśnić, że ruszyłyś za nim wyłącznie wtedy, gdyby towarzyszyła mu atrakcyjna niewiasta, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wespazjan obrzucił go jadowitym spojrzeniem.

- Bardzo zabawne!

- Tak też myślałem; i niedalekie od prawdy.

Wespazjan chrząknął. Nie mógł zaprzeczyć; gdyby nie zapragnął Flawii, nie byłoby ich tutaj, a stu mniej więcej ludzi wciąż by żyło. Z drugiej wszakże strony, jeśli los człowieka jest z góry ustalony, to przeznaczeniem tych ludzi było tu zginąć; Fortuna osłoniła jedynie kilku z nich, tych, którzy mieli zostać oszczędzeni do innych zadań i umrzeć inną śmiercią. Zastanawiał się, jakie jest jego zadanie.

Rozdział trzeci

Siwa, siwa! - wykrzykiwał Ziri ze szczytu wydmy, wymachując na wszystkie strony rękoma i nogami w jakimś szaleńczym, pełnym podskoków tańcu.

Wespazjan spojrział na niego znużonym wzrokiem, mrużąc oczy przed bezlitosnym południowym słońcem. Wargi miał spękane, w nieosłoniętej głowie pulsowało.

Następnego dnia po burzy piaskowej wszyscy byli już osłabieni dręczącym ich pragnieniem. Każdy z nich wypił jeden kubek wody, a przez cały poprzedni dzień tylko trzy. Jedynie Ziri kipiał energią i kontynuował ten swój żywiołowy taniec, podczas gdy pozostali z wielkim trudem wspinali się na wydnię.

- Czas najwyższy - wychrypiał Magnus, przebijając nogami, by znaleźć punkt oparcia w miękkim piasku. - Bo już przez całe rano marzyłem o wypiciu swoich sików.

- Co za zbieg okoliczności - odparł Wespazjan, uśmiechając się na tyle, na ile pozwalały mu wyschnięte wargi - ja też przez cały ranek marzyłem o wypiciu twoich sików.

- Musiałbyś mi je odebrać siłą.

Słowa uwięzły Wespazjanowi w suchym gardle, bo właśnie z dużym wysiłkiem dotarł na szczyt wydmy. Dwie mile dalej rozpościerało się morze soczystej zieleni i ginęło gdzieś za horyzontem; oaza życia w tym nagim i nieprzyjaznym terenie. Długa na pięćdziesiąt mil i ponad dziesięć szeroka okrywała piasek pustyni niczym wykwintny zielony kobierzec.

Korwinus zatrzymał się obok Wespazjana.

- Dzięki niech będą bogom, udało nam się.

- Taa, tylko jak wrócimy - mruknął pod nosem Magnus.

Kiedy tak stali, podziwiając tę bujną roślinność po wielu dniach patrzenia na płową jałową pustynię i intensywnie błękitne niebo, usłyszeli dalekie odgłosy rytmicznego bębnienia, dźwięk rogów i brzęk czyneli.

- A to co takiego? - spytał Wespazjan.

- Nie wiem - odparł Magnus - ale brzmi tak, jakby ktoś urządził sobie przyjęcie.

Wypili resztę wody, dzięki czemu pokonanie ostatnich dwóch mil było łatwiejsze, i już po godzinie znaleźli się pod pierwszymi palmami daktylowymi. Muzyka się zbliżała, ale poza tym nie zauważyli żadnych oznak życia. Robiło się coraz chłodniej i w końcu czuli się tak jak w upalny dzień w Rzymie.

Kolejną milę posuwali się pośród coraz gęstszych drzew, ciesząc się cieniem, aż ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu dotarli do jeziora. Bez chwili wahania rzucili się do orzeźwiającej wody. Gasili pragnienie zanurzeni po szyję, a ich ciała wreszcie się ochładzały.

Odświeżeni ruszyli przetartym szlakiem, kierując się w stronę muzyki. Wkrótce do ich uszu dotarł monotony śpiew. Minęli kilka niskich, zbudowanych z cegły mułowej domów o płaskich dachach. Wespazjan i Magnus zajrzeli do środka przez otwarte okna i nie zobaczyli nikogo.

- Pewnie wszyscy są na tej zabawie - zauważył Wespazjan, kiedy zbliżyli się do innego, większego tym razem skupiska podobnych domostw.

Teraz muzyka była już bardzo blisko. Droga skręciła ostro w prawo, przeszła pomiędzy kolejnymi dwoma domami i doprowadziła ich do ogromnego zatłoczonego czworokątnego placu, otoczonego domami z cegły mułowej, które wyglądały, jakby postawiono je jeden na drugim. Muzyka i śpiew osiągnęły szczytowe napięcie i wszyscy obecni podskoczyli ze wzniesionymi ramionami.

- Amonie! Amonie! Amonie! - zawołali przy akompaniamencie czyneli i bębnow.

Potem zapadła cisza.

Na drugim końcu placu, na stopniach niewielkiej świątyni stał mężczyzna wyglądający na kapłana, odziany w skórzaną spódniczkę i szeroki złożony pas; na głowie miał wysoki, czarny skórzany kapelusz bez rona, ozdobiony złotymi wizerunkami słońca. Uniósł do góry zakrzywiony kij i zgromadzeni padli na ziemię.

Mężczyzna zaintonował modlitwę, po czym przerwał ją raptownie, kiedy zauważył Wespazjana i jego towarzyszy. Skierował kij w ich stronę i krzykiem nakazywał im paść na brzuch. Ponad tysiąc głów się odwróciło i tyleż par oczu wpatrzyło się w nich.

- Nieważne, czy nam się podoba, czy nie, lepiej zrobmy to, czego żąda - powiedział Wespazjan, opuszczając się na ziemię.

Magnus, Korwinus i żołnierze poszli za jego przykładem.

Uniżone czołganie się w pyle nie było dla Rzymian czymś naturalnym. Ujarzmiając inne ludy, przywykli patrzeć raczej z góry niż z dołu i dlatego też Wespazjan, Magnus oraz Korwinus z wielką niechęcią zrobili to, czego od nich oczekiwano. Ziri i jeźdźcy Libu nie czuli upokorzenia.

Kapłan, usatysfakcjonowany, że już całe zgromadzenie okazuje należyty szacunek, podjął śpiew, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

- Amonie! - zawołał w końcu w stronę nieba.

- Amonie! - powtórzył za nim tłum.

Modlitwa wreszcie dobiegła końca, bo ludzie zaczęli się podnosić.

Wespazjan wstał i bezskutecznie próbował strzepnąć pył z mokrej tuniki.

Kapłan zbliżył się do nich, torując sobie drogę pośród tłumu, i zatrzymał się przed Wespazjanem.

- Co tutaj robisz, cudzoziemcze? - zapytał po grecku.

- Nie jestem cudzoziemcem - odparł Wespazjan z godnością, na jaką było go stać w tym zabłoconym ubraniu. - Jestem Tytus Flawiusz Wespazjan, kwestor prowincji Kreta i Cyrenajki, której część stanowi to miejsce.

Kapłan pochylił głowę.

- Kwestorze - powiedział - ty i twoi ludzie jesteście tu mile widziani.

Wespazjan poczuł, jak ustępuje napięcie żołnierzy za jego plecami.

- Mam na imię Ahmose - ciągnął mężczyzna - jestem kapłanem Amona, Tego, Który Jest Ukryty, Tego, Który Przyszedł Pierwszy. Przekonasz się, że jesteśmy lojalnymi poddanymi Rzymu, a ja udzielę wam wszelkiej możliwej pomocy. Wydaje mi się, że jednak wprawdzie musicie coś zjeść, a potem mi powiecie, jak wam się udało dotrzeć tu pieszo z zachodniej pustyni.

Wespazjan, Magnus i Korwinus siedzieli niewygodnie na dywanie w zaskakująco bogato urządzonego domu Ahmosego, gdzie zaproszono ich na posiłek złożony z chleba, oliwek, daktyli i z pieczonego mięsa, jakiego nie znali. Było twarde, ale wygłodniałi jedli je chętnie, nie zastanawiając się nad jego pochodzeniem.

- Zatem szukacie karawany Marmarydów z niewolnikami - powiedział Ahmose, wysłuchawszy opowieści o drodze przez pustynię. - Chyba wciąż są tutaj. Przybyli zaledwie cztery dni temu, dlatego ten wielbłąd smakuje tak świeżo.

- To wielbłąd?! - wykrzyknął Magnus, patrząc na kawałek mięsa, który trzymał w ręce.

- Jak najbardziej. Marmarydowie zawsze, kiedy tędy przejeżdżają, płacą wielbłądem za prawo korzystania z naszej wody. W ramach tej wymiany dajemy im też chleb, daktyle i oliwki.

- No cóż, smakują lepiej, niż pachną - zauważył Magnus, zanim ugryzł kolejny kęs.

- Owszem, ich mięso jest całkiem smaczne, tak jak i mleko.

Magnus się skrzywił.

- No nie, to już jest obrzydliwość - oświadczył.

- Marmarydowie nie porywają waszych ludzi na sprzedaż? - spytał Wespazjan, usiłując przestać sobie wyobrażać picie wielbłądziego mleka.

- Nie, jesteśmy im potrzebni ze względu na wodę i zaopatrzenie niezbędne na drogę do Garamy. Gdybyśmy im tego odmówili, ich wędrówka byłaby jeszcze bardziej ryzykowna niż teraz.

- Mogliby przecież sami wziąć sobie to wszystko - zauważył Korwinus, nagryzając dorodną zieloną oliwkę.

- W oazie żyje przeszło dziesięć tysięcy ludzi, przepędzilibyśmy Marmarydów; a gdybyśmy mieli trudności, moglibyśmy odwołać się do cezara, tak jak niegdyś, kiedy byliśmy jeszcze częścią królestwa Egiptu, odwoływaliśmy się do faraona.

Wespazjan wątpił, by wysłano jakąś armię dla obrony tej wysuniętej tak daleko placówki cesarstwa, ale zatrzymał te myśli dla siebie.

- Jak odnajdziemy ich karawanę? - zapytał.

- Powinni być przy ostatnim jeziorze w południowo-zachodniej części oazy, jakieś sześć mil stąd.

- Będziemy potrzebowali koni.

- Jestem pewien, że i tak je zarekwirujecie, jeśli sami ich wam nie damy.

- Rzeczywiście, jako kwestor mam do tego prawo.

- Jako kwestor masz również prawo, by uczynić te konie częścią podatku, jaki corocznie płacimy.

Wespazjan uśmiechnął się do sędziwego kapłana.

- Jeśli dorzucicie oszczepy i dość prowiantu, by starczyło na drogę powrotną do Cyreny, jestem przekonany, że da się to zrobić.

- Zatem załatwione, kwestorze. - Ahmose splunął w dłoń i wyciągnął rękę do Rzymianina; Wespazjan ujął ją ostrożnie. - Ale to już wszystko, co mogę wam dać; gdybym dał ludzi, naruszyłoby to delikatną równowagę, jaka istnieje pomiędzy nami i Marmarydami.

- Ludzi też mógłbym zarekwirować.

- Mógłbyś, ale obawiam się, że miałbyś z tym pewien problem. Właśnie obchodzimy święto Amona, od dziś przez trzy dni, ku pamięci Aleksandra, który przybył tutaj przed trzystu sześćdziesięciu siedmiu laty po mądrość tego boga. Dzisiaj wyprawiamy ucztę na jego cześć i jesteście na niej mile widziani. Przed świtem konie i broń będą na was czekać i możecie ruszać w drogę.

Wespazjan otworzył oczy; była głęboka noc. W głowie lekko mu się kręciło od daktylowego wina, które lało się strumieniami podczas uczyty. Magnus był w stanie pić kielich za kielichem bez widocznych złych skutków, natomiast Korwinus i jego żołnierze bardzo szybko upili się do nieprzytomności. Nie zdziwiło to specjalnie Wespazjana. Trunek był mocny i on sam bardzo wcześnie ograniczył się do jednego kielicha od czasu do czasu, a mimo to nie był całkiem trzeźwy. Ziri nie wypił ani kropli przez cały wieczór, bo gorliwie obsługiwał Magnusa. Teraz leżał zwinięty w kłębek u stóp swojego pana.

Uwagę Wespazjana przyciągnął brzęk metalu za oknem. Był pewien, że właśnie ten dźwięk go przebudził. Nasłuchiwał bacznie, starając się oddzielić go od chrapania Korwinusa i ciężkiego oddechu Magnusa. Znowu go usłyszał. Teraz już był przekonany, że ktoś jest za oknem, może nawet kilku ludzi.

Sięgnął lewą ręką po miecz leżący na podłodze przy materacu i położył go sobie na piersi; prawą dłoń zacisnął na rękojeści i ponownie wytrzymał słuch.

Cisza; zaczął się powoli odprężyć.

Usiadł raptownie, kiedy usłyszał z oddali trzask pękającego drewna i niemal natychmiast po nim krzyki. Wysunął miecz z pochwy.

- Magnus! - zawołał i zamilkł.

Drzwi runęły z hukiem na podłogę; do wnętrza wpadło światło księżyca a razem z nim jakieś ciemne postaci.

Zerwał się z rykiem i unosząc wysoko miecz, rzucił się do przodu. Zdążył jeszcze zauważyć, że Magnus wyciąga miecz i Ziri zrywa się z podłogi, i zamachnął się na oślepa w ciemności. Poczł, jak ostrze w coś trafia, i usłyszał przeraźliwy krzyk, a twarz spryskała mu krew. Niesiony impetem ciął ukośnie z lewej strony, powalając drugiego z ledwie widocznych napastników. Magnus rzucił się na mężczyznę obok, powalając go uderzeniem ciała, po czym wbił mu miecz w brzuch. Ziri zaatakował kolejnego głową, miażdżąc mu nos i zwalając z nóg. Wespazjan prawym kolaniem uderzył z ogromną siłą w krocze następnego, który osunął się na podłogę, wydając chrapliwy ryk, przechodzący po chwili w łapczywe chwytnie powietrza. Z podłogi dobiegał gulgol duszonego przez Ziriego mężczyzny. Cios pięścią w oko wymierzony przez Magnusa kolejnemu napastnikowi przekonał atakujących, że powinni się jak najszybciej wycofać.

- O co, na jaja Hadesa, w tym wszystkim chodziło? - zapytał Magnus, dysząc ciężko.

- Nie wiem, ale pewne jest, że powinniśmy się stąd wynosić; pomóżcie mi tylko z Korwinusem - odparł Wespazjan, wbijając czubek miecza w gardło mężczyzny, trzymającego się wciąż za zmiażdżone jądra.

Odnalezienie prefekta po odgłosach chrapania nie było trudne; niełatwo natomiast było go obudzić.

- A niech to, będziemy musieli nieść tego drania. Ziri, chodź tutaj - powiedział Magnus, kiedy trzecie z kolei mocne uderzenie w twarz okazało się nieskuteczne.

Obaj podnieśli śpiącego, wzięli pod ramiona i pociągnęli ku otwartym drzwiom.

Wyjrawszy na oświetloną blaskiem księżycą agorę, Wespazjan nie zobaczył w pobliżu nikogo, natomiast ich napastnicy dobiegali już do przeciwległego skraju placu, gdzie grupa ludzi otaczała magazyn, do którego zaciągnięto wcześniej półprzytomnych żołnierzy, by się przespali po przepiciu.

- Nie możemy nic dla nich zrobić - syknął Wespazjan, odwracając się i chwytając Korwinusa za nogi w kostkach - już ich pewnie zdążyli wyrzucić. Wynosmy się stąd, zanim te dranie otrzymają posiłki.

Biegli skrajem placu, dźwigając bezwładnego prefekta jazdy. Dotarli do pierwszej odchodzącej uliczki, a kiedy w nią skręcili, od strony magazynu dobiegł ich potężny krzyk.

- A niech to! Gonią nas - wysapał Magnus w biegu. Korwinus zaczął pojękiwać; głowa kolebała mu się z jednej strony na drugą. - Szkoda, że drań nie umie pić.

Uliczka nagle dobiegła do głównej ulicy; zatrzymali się i rozejrzeli w obie strony. Była pusta, przecięli ją więc i wpadli w zaułek po drugiej stronie. Za sobą, coraz bliżej, słyszeli pogoń.

Jakieś sto uderzeń serca później nędzne domy po obu stronach nagle się skończyły, a zaczął się gaj palmowy.

- Prosto przed siebie! - rzucił, dysząc ciężko Wespazjan. - I rozglądać się za jakąś kryjówką; z tym obciążeniem im nie umkniemy. Módlmy się, żeby nie zauważyli, w którą uliczkę żeśmy wpadli.

- Dlaczego go po prostu nie zostawimy?

- Jeśli dojdzie do wyboru, czy mamy zginąć wszyscy czterej, czy tylko on, to go zostawimy.

- Myślę, że już dotarliśmy do tego punktu, panie - zauważył Magnus, kiedy z alejki zaledwie sto kroków za nimi wysypała się gromada ludzi.

Popatrzyli po sobie, upuścili Korwinusa i pognali dalej.

Kluczyli pomiędzy palmami z dużą szybkością, jednak znający okolicę miejscowi zaczęli ich w końcu doganiać.

- Rozdzielamy się - krzyknął Wespazjan, skręcając w lewo - spotkamy się przy jeziorze, tuż po świcie.

Magnus natychmiast odbił w prawo, a Ziri za nim. Wespazjan biegł niezmordowanie na obolałych z wysiłku nogach. Czuł ucisk w piersi, w uszach mu łomotało. Po coraz głośniejszych krzykach zorientował się, że to właśnie jego ścigają i że prześladowcy są coraz bliżej.

Nagle wypadł na otwartą przestrzeń, co było błędem, i natychmiast rzucił się ku palmom po drugiej stronie.

Miał jeszcze dziesięć kroków do pierwszych drzew, kiedy w powietrze wdarł się przeraźliwy krzyk. Rzymianin stanął jak wryty i padł na ziemię, zakrywając dłońmi uszy. Po chwili krzyk przeszedł w zawodzenie, łagodne i drżące, niczym jakiś piękny rzewny hymn bogów. Tony wznosiły się wyżej i wyżej, aż nabrały tak przejmująco intensywnego i czystego brzmienia, że Wespazjan chłonał je z zachwytem całym sobą. Stopniowo dźwięki zaczęły opadać i płynąć wolniej, jakby śpiewak, zmęczony uczuciem wyrażonym w pieśni, postanowił ją zakończyć coraz delikatniejszymi, coraz niższymi cudownymi tonami, aż wreszcie, po tym ostatnim, przypominającym westchnienie dźwięku, zapadła cisza.

Wespazjan uniósł się na kolana, oszołomiony tym niezwykłym przeżyciem. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że dalej, pod palmami, prześladowcy padli pokornie na twarze.

Nagły złoty błysk zmusił go do zaciśnięcia powiek i opuszczenia głowy; poczuł na skórze narastające z każdą chwilą ciepło. Otworzył oczy; cała ta odsłonięta przestrzeń była skąpana w świetle, z każdą chwilą przybierającym na sile, jakby naśladowało dopiero co zakończoną pieśń.

- Bennu! Bennu! - zawołali mężczyźni na ziemi.

Wespazjan podniósł wzrok i ocieniając oczy, zobaczył, że źródłem światła jest latarnia tkwiąca nieprawdopodobnie na szczycie palmy w jego pobliżu. Siała złotymi iskrami, które zmieniały się najpierw w pomarańczowe, potem czerwone, po czym ostatecznie opadły na ziemię, tworząc u stóp drzewa rosnący w oczach stos żarzących się węgielków.

Coraz intensywniejszy płomień stał się czystą bielą; jego żar palił twarz i ręce Wespazjana, klęczącego na ziemi w kręgu światła.

- Bennu! Bennu! - wołano.

Z głośnym trzaskiem, przywodzącym na myśl uderzenie głazu o głaz, ogień nagle zgasł, jakby nieoczekiwanie strawił wszystko i nie zostało nic, co pozwalałoby mu zamierać stopniowo.

Ostatnia iskra spadła na ziemię i światło zniknęło.

W ciemności stos węgielków żarzył się delikatnie niczym dogasające ognisko tuż przed świtem.

Wespazjan obejrzał się i zobaczył, że mężczyźni wstali i są już w połowie drogi do niego, cały czas powtarzając swoje „Bennu”.

Kiedy rzucił się do ucieczki, w górze za nim rozprysła się chmura gorącego popiołu, a wołanie przybrało na sile. Odwrócił się i dostrzegł, że stosik węgielków zniknął, zastąpiony teraz mgłą migocącego czerwonego pyłu.

Wołanie umilkło, a czerwona mgła zaczęła wirować, jakby wprawiał ją w ruch jakiś

gigantyczny wachlarz. Wespazjan poczuł na sobie tchnienie wiatru, coraz silniejszego z każdą chwilą, zupełnie jakby z ciemności spadał na niego wielki ptak. Uchylił się przed niewidocznym zagrożeniem, ale potężny podmuch zachwiał nim i rzucił go na ziemię.

Powietrze znieruchomiało.

Po kilku chwilach Wespazjan otworzył oczy i zobaczył przed sobą dwie męskie stopy. Podniósł wzrok.

- Nic ci nie grozi - powiedział do niego Ahmose, wyciągając rękę, by pomóc mu wstać. Towarzyszący kapłanowi ludzie patrzyli na Wespazjana z mieszaniną lęku i zachwytu. Oczy kapłana, szeroko rozwarte od religijnego zapału, iskrzyły się w świetle księżyca. - Masz błogosławieństwo Amona, jesteś bezpieczny - oświadczył.

- A co z moimi towarzyszami? - spytał Wespazjan, podnosząc się.

- Żyją. Sprzedamy ich Marmarydom na niewolników.

- Mam gdzieś twoje błogosławieństwa - warknął Rzymianin, prawą pięścią uderzając kapłana w splot słoneczny. - Mieliśmy umowę, ty nędzny szczurze.

Ahmose zgiął się wpół, a jednocześnie kilka rąk powstrzymało Wespazjana.

Ahmose złapał po chwili oddech i podniósł na niego wzrok.

- Czy naprawdę sądzisz, że moglibyśmy powstrzymać Marmarydów, by nie porywali naszych ludzi i nie sprzedawali w Garamie? Nie jesteśmy wojownikami jak oni, jesteśmy rolnikami; co roku musimy sprzedać im kilku niewolników, żeby ich zadowolić. Twój przyjaciele będą w sam raz, ale ty z nimi nie pojedziesz; moim obowiązkiem jako kapłana Amona jest zabrać cię do Jego Wyroczeni w sercu Siwy, gdzie, jeśli rzeczywiście masz Jego błogosławieństwo, podobnie jak Aleksander i kilku innych wybrańców na przestrzeni stuleci, wysłuchasz Jego mądrości.

Wespazjan patrzył z odrazą na starego podstępного kapłana.

- Dlaczego jest to twoim obowiązkiem? - zapytał.

- Bo dotknął cię wiatr Benu i skąpałeś się w świetle jego ognia. Amon wie, że byłem tego świadkiem.

- Co to takiego to Benu?

- Święty ptak Egiptu, którego śmierć i odrodzenie wyznaczają koniec jednej ery i początek nowej. Człowiekowi, który skąpał się w jego świetle i poczuł wiatr jego skrzydeł, kiedy Benu leciał do świętego miasta Heliopolis, by zbudować gniazdo na ołtarzu Ra, przeznaczone jest odegrać jakąś ważną rolę w nowej erze. W waszym języku ten ptak nazywa się Feniks.

Wespazjana prowadzono na wschód przez resztę nocy i cały następny ranek. Odebrano mu miecz, ale rąk nie związano. Zresztą, otoczony przez dwunastu uzbrojonych mężczyzn, nie próbował nawet uciekać. Nawet gdyby mu towarzyszył jedynie Ahmose, poszedłby z nim chętnie, zachowując zemstę na bardziej sprzyjający moment, bo ciekaw był, co usłyszy w wyroczni Amona i czy rzuci to jakieś światło na przepowiednię wyroczni Amfiaraosa.

Podczas tej wędrówki w głąb oazy natykali się na więcej zbiorników wodnych, o wiele większych od jeziora, w którym kąpali się zaledwie dzień wcześniej. Kanały irygacyjne doprowadzały wodę do położonych w pobliżu niewielkich gospodarstw rolnych, gdzie rosły drzewka oliwne, ciecierzycy i warzywa. Na brzegach pasły się owce i kozy. Coraz więcej też było ludzi. Mężczyźni w nakryciach głowy pracowali na polach, orząc, zbierając owoce czy ładując swoje produkty na wozy; kobiety prały odzież i kąpały dzieci przy brzegach jezior, nabierały wody w gliniane dzbany, które potem niosły na głowach do domów, albo gotowały jakieś potrawy na otwartym ogniu przed swoimi lepiankami. Wyglądało to wszystko o wiele bardziej zamożnie, niż mógł sądzić po otrzymywanych z Siwy dokumentach podatkowych; najwyraźniej kwestor nigdy tu nie przyjechał, by ocenić sytuację. Postanowił po powrocie do Cyreny dokonać rewizji obowiązującego tu systemu podatkowego, co miało być częścią zemsty na ludziach, którzy w taki barbarzyński sposób złamali prawa gościnności. Doszedł do wniosku, że wykorzystując zamożność tej oazy, można w znacznym stopniu poprawić trudną

sytuację finansową prowincji.

Tuż przed południem dotarli do muru z cegły mułowej i przez szeroką bramę weszli do pełnego życia miasta. Eskorta Rzymianina musiała się przepychać przez zatłoczone ulice, po których bokach stali rolnicy sprzedający swoje produkty z rozłożonych na ziemi koców i mat uplecionych z pierzastych liści palmowych. W powietrzu unosił się zapach egzotycznych przypraw i ludzkiego potu.

Na wzgórzu pośrodku miasta stała wybudowana z piaskowca świątynia, ze zwężającą się ku górze wieżą po północnej stronie. Kiedy znaleźli się bliżej, Wespazjan zobaczył niezliczone rzędy maleńkich obrazków wyrzeźbionych w jej kamiennych murach.

- Co to takiego? - spytał Ahmosego, kiedy ciekawość wzięła górę nad antypatią do kapłana.

- Hymny do Amona, spisy kapłanów oraz królów, którzy odwiedzili tę świątynię od czasu jej wybudowania ponad siedemset lat temu.

- To jest pismo? - spytał Wespazjan zdumiony, że te dziwne wizerunki zwierząt i dziwaczne znaki można złożyć w sensowne zdania.

Ahmose skinął głową i ruszyli schodami ku drzwiom świątyni, pozostawiając eskortę na dole.

W budynku było znacznie chłodniej niż na dworze. Wysoki strop podtrzymywały rzędy ustawionych symetrycznie kolumn, co trzy kroki każdy. Sprawiało to wrażenie uporządkowanego kamiennego lasu. Snopy światła z wirującymi drobinami kurzu wpadały do środka pod ostrym kątem, przez kilka umieszczonych wysoko w południowej ścianie okien, i przecinały to ponure wnętrze ze skamieniałym lasem. Nie unosił się tu zapach leśnych kwiatów, tylko kadzidła i przesłodzony aromat bardzo starego suchego kamienia. Podkute sandały Wespazjana stukały głośno o kamienną posadzkę.

Podniesiony, bezcielesny głos w języku, którego Wespazjan nie rozumiał, zatrzymał ich przy pierwszym rzędzie kolumn.

- Ahmose, twój współkapłan w Amonie - odparł Ahmose po grecku, żeby Wespazjan mógł zrozumieć.

- A kto ci towarzyszy? - zapytano teraz, już też po grecku.

- Bennu przefrunął minionej nocy.

- Nie rozumiemy powodu, dla którego przybył tutaj. Słyszeliśmy, jak przelatywał nad świątynią, i sprawdziliśmy zapisy; mija dokładnie pięćset lat od dnia, w którym ostatni raz widziano go w Egipcie, ale pięciokrotnie dłuższy okres minął, odkąd widziano go w Siwie, tak daleko na zachód.

- Ten człowiek poczuł żar jego ognia i podmuch wywołany ruchem jego skrzydeł.

Zapadła cisza.

Wespazjan rozejrzał się; nie dostrzegł nikogo.

Po chwili usłyszał cichy tupot bosych stóp na gładkim kamieniu i spośród lasu kolumn, z różnych stron, wyłoniło się dwóch kapłanów. Ubrani byli podobnie jak Ahmose, tyle że w wysokie nakrycia głowy mieli wetknięte po dwa długie pióra.

Zbliżyli się, idąc obok siebie, prostym, wytyczonym rzędami kolumn przejściem, stanęli przed Wespazjanem i zadziwieni przyjrzeni mu się uważnie. Poczuł się nieswojo pod bacznym spojrzeniem kapłanów, z których jeden, co rzucało się w oczy mimo półmroku, był bardzo sędziwy, a mimo to miał postawę młodego i zdrowego mężczyzny. Drugi z nich miał natomiast dwadzieścia kilka lat.

Stary kapłan, zanim się odezwał, rozłożył ręce, uniósł otwarte dłonie do góry.

- Ty poznasz tego, który grzeszy przeciwko Tobie. Biada temu, kto Cię nęka. Miasto przetrwa, ale ten, kto Ciebie nęka, upadnie. Amonie! - zawołał w przestrzeń.

- Amonie - powtórzyli drugi kapłan i Ahmose.

- Dom tego, kto Cię nęka, kryje się w mroku, podczas gdy cały świat jest w świetle. I oto dla każdego, kto Ciebie przyjmie do serca, wszędzie słońce, Amonie.

- Amonie.

- Jeśli ten człowiek nie poczuł wiatru Bennu i nie skąpał się w świetle jego ognia, Amon, niewidzialny i widzialny, wszechkształtny, nie przemówi do niego i odpędzi go od swojego słońca, by już nigdy nie ujrział świtu. A ty, Ahmose, podzielisz jego los.

- Widziałem to tymi oczyma i niech będą mi odjęte, jeśli nie mówię prawdy. Klęczał w świetle ognia Bennu, a potem uderzył w niego tak silny podmuch wiatru przelatującego nad nim Bennu, że rzucił go na piasek. Amon, którego imię nie jest znane, przemówi do niego.

- Zatem niech tak się stanie - odezwał się drugi kapłan - poczynimy stosowne przygotowania.

Rozdział czwarty

Pozdrowienie Tobie, który siebie zrodziłeś i stworzyłeś wszystko, co istnieje, Tobie, którego ciało to miliony, Amonie.

Wespazjan ukląkł przed zdumiewająco małym posązkami boga, stojącym we wbudowanej w ołtarz szafce oświetlonej przyściennymi lampkami, w samym sercu świątyni. Otaczający go trzej kapłani monotonnie śpiewali swój hymn. Posązek przedstawiał siedzącego Amona; w prawej ręce trzymał berło, w lewej ankh; miał twarz mężczyzny, usta otwarte i puste. Na jego kolanach leżał miecz w bogato zdobionej, pochodzącej z dawnych czasów pochwie. W powietrzu unosiła się ostra woń kadzidła, od której Wespazjanowi kręciło się w głowie; czuł się zarazem beztroski i zadowolony.

- Przed Nim nie było innego boga. Nie było z Nim żadnego boga, który by mógł nam powiedzieć, jak On wygląda. Nie miał matki, która nadałaby Mu imię. Nie miał ojca, który by Go spłodził czy który by rzekł: „Ten należy do mnie”. Amon.

Wespazjan poczuł, że stawiają go na nogi; wylano mu na czoło olejek, który spływał strużkami po twarzy. Poczul się odprężony. Uśmiechnął się.

- Ty, który chronisz wszystkich podróżnych, kiedy wzywam Cię w twódcę, przychodzisz, by mnie uratować. Daj oddech nieszczęśnikowi i ocal mnie od niewoli. Bo Ty jesteś Tym, który jest miłosierny, kiedy się do Ciebie uciekają; Ty jesteś Tym, który przybywa z daleka. Przybądź teraz na wezwanie Twoich dzieci i przemów, Amonie.

- Amonie - powtórzył mimowolnie Wespazjan.

Słowo to odbiło się echem od ścian.

Potem nastąpiła cisza.

Wespazjan wpatrywał się w boga; kapłani stali bez ruchu.

Zrobiło się zimno. Dym wisiał nieruchomo w powietrzu. Płomienie lampek przygasły.

Wespazjan czuł, że serce bije mu coraz wolniej.

Usłyszał leciutki oddech wydobywający się z ust posążka i w słabym świetle zobaczył, jak wokół twarzy boga zaczyna wirować dym.

Jeszcze jeden oddech, tym razem bardziej chrapliwy, przyspieszył ruch dymu; przygasłe płomienie zapłonęły.

- Przychodzisz za wcześnie - rozległ się szept, a dym przy ustach posążka zawirował.

Zdumiony Wespazjan otworzył szeroko oczy; pochylił się lekko do przodu, by mieć pewność, że głos rzeczywiście dobywa się z ust.

- Na co za wcześnie? - zapytał, zastanawiając się, czy nie stosują wobec niego jakiejś bardzo wymyślnej sztuczki.

- Za wcześnie, byś znał swoje pytanie.

Gdyby dym znowu nie zafalował, Wespazjan gotów byłby przysiąc, że ten głos odezwał się w jego głowie.

- Kiedy będę wiedział?

- Kiedy twój dar sprosta temu darowi.

- Temu darowi? - Spojrzał na miecz leżący na kolanach posążka.

- Dorówna mu.

- W jaki sposób?

- Brat będzie wiedział.

- Kiedy?

- Kiedy tobie będzie to potrzebne.

- Skąd ja... - zaczął.

Świszczący wdech wciągnął dym do ust posągu jedną ciągłą, zwężającą się strużką; płomienie lampek ponownie rozgorzały.

Czar przysł.

Wespazjan rozejrzał się wokół; trzema kapłanami targnęły nagłe konwulsje, jak gdyby wychodzili raptownie z transu. Wszyscy jednocześnie powrócili do swoich śpiewów.

- Bogowie są związani wszystkim, co wychodzi z Jego ust, jak zostało nakazane. Kiedy pojawia się przesłanie, dotyczy ono dawania lub odbierania życia; albowiem życie wszystkich zależne jest od Niego. Nie istnieje nic, co nie jest Nim. Wszystko jest Nim. Amonie.

- Amonie - powtórzył Wespazjan.

Kiedy kapłani odwrócili się i odeszli od ołtarza, obrzucił posąg jednym zdziwionym spojrzeniem i ruszył za nimi.

- Co to znaczyło? - zapytał, kiedy zagłębili się w las kolumn.

- Nie potrafimy ci powiedzieć - odparł pierwszy kapłan - nie słyszeliśmy niczego. To, co On powiedział, było przeznaczone wyłącznie dla ciebie. Wiemy jedynie, że bóg do ciebie przemawiał i że cię pobłogosławił. W Jego świętej ziemi Siwa nikt nie może cię teraz skrzywdzić. Ty oraz twoi towarzysze jesteście pod Jego ochroną.

- Już na to za późno; ten człowiek sprzedał moich towarzyszy podróży na

niewolników.

- Zatem dla zadośćuczynienia będzie musiał ich odkupić - oświadczył młodszy kapłan.

- Świetnie, a skoro o tym mówimy, Ahmose, możesz też odkupić człowieka, którego przybyliśmy uratować, Rzymianina o imieniu Kapella.

- Zrobię to - powiedział Ahmose, z wyczuwalną w głosie nerwowością. - A ty powinienesz mi podziękować za to, że cię tu przyprowadziłem.

- Nie zamierzam - rzucił ostro Wespazjan, czując, że nienawidzi tego człowieka prawie tak samo jak nieżyjącego już swojego nieprzyjaciela, trackiego arcykapłana Rotekesa - sam powiedziałeś, że to twój obowiązek.

- Bo tak rzeczywiście jest - powiedział starszy kapłan - i gdyby nie przyprowadził przed Boga człowieka dotkniętego przez Bennu, zostałby przez Niego przeklęty.

- On, Rzymianinie, zaprowadzi cię bezpiecznie z powrotem i połączy cię z przyjaciółmi, odda ci też twój miecz.

- Kto dał bogu tamten miecz?

- To był dar od wielkiego Aleksandra. Zostawił miecz w podzięce za radę, którą tu otrzymał.

Wespazjan wychodził ze świątyni, zastanawiając się, co mogłoby dorównać takiemu darowi, a nawet gdyby wiedział, jakie pytanie skłoniłoby go do odbycia takiej uciążliwej wędrówki przez te wszystkie piaski do Siwy, by tam je zadać. Piasek? Przypomniał sobie przepowiednię z sanktuarium Amfiraosa:

Dwóch tyranów przepada, z trzeciego wkrótce życie ulata, Na Wschodzie król wysłuchuje słów prawdy od brata. Z darem po śladach lwa przez piaski należy iść jemu, By nazajutrz odebrać Zachód temu czwartemu.

Iść z darem przez piaski po śladach lwa; takim, który zgodnie z przyszłą sugestią brata, będzie dorównywać darowi Aleksandra. Aleksandra, Lwa Macedonii. Skoro jednak on miał nieść ten dar, to musiałby zostać wschodnim królem; jak to możliwe? - rozmyślał Rzymianin.

W drodze powrotnej do miasta Wespazjan nie odezwał się ani słowem; myśli zajęte miał roztrząsaniem proroctwa i tego, co właśnie usłyszał z ust boga: tyrani, królowie, bracia i dary, by zyskać Zachód; gdzie w tym wszystkim było miejsce dla niego i dlaczego jakieś pytanie miałoby ściągnąć go znowu do tego miejsca?

Kiedy już to wszystko przeanalizował i do niczego nie doszedł, zajął myśli problemem ocalenia swoich towarzyszy i Kapelli oraz tym, czy obłudny kapłan, który szedł przed nim, dotrzyma słowa. Ahmose rzeczywiście oddał mu miecz, przymilnie przepraszając ulubieńca Amona, i obiecał wykupić Kapellę, a także odkupić ludzi Wespazjana za cenę, jaką za nich uzyskał. Rzymianin wątpił, by Marmarydowie się na to zgodzili.

Po południu następnego dnia, kiedy zbliżali się do miasta, Wespazjana podniósł na duchu znajomy głos.

- Stój, kapłanie, bo klnę się na mroczne królestwo Hadesa, że cię zadżgam i poślę do niego! - wołał Magnus, wyłaniając się razem z Zirim spośród palm. Obaj trzymali w górze oszczepy.

Ludzie Ahmosego wyciągnęli miecze i odwrócili się do nich przodem.

- Wszystko w porządku, Magnusie - uspokoił go Wespazjan - sytuacja się zmieniła. Wygląda na to, że mam błogosławieństwo Amona, teraz już żadnemu z nas nic nie grozi.

- Nie dalej jak wczoraj patrzyliśmy, jak Korwinusa sprzedają Marmarydom; mnie wydaje się to paskudnie groźne.

- Ale ta nędzna łachudra ich odbierze. Tak będzie? - spytał groźnie Wespazjan, zwracając się do Ahmosego, a kapłan z nieszczęśliwą miną skinął głową. - W porządku, w takim razie ruszamy.

- Ale ja muszę najpierw wziąć to, co potrzebne, żeby odkupić twoich ludzi - zaprotestował Ahmose.

- Będziesz potrzebował o wiele więcej pieniędzy niż to, za co oni ich kupili.

- Nie chodzi o pieniądze, to będzie prosta wymiana.

- Marmarydowie, pan, twójpan, tam - powiedział Ziri, wskazując przestrzeń pomiędzy palmami.

- Ilu ich jest? - spytał Wespazjan, kiedy w zanikającym świetle dnia spoglądali obaj na obóz Marmarydów rozbity nad jeziorkiem w południowo-zachodniej części oazy.

- Wczoraj doliczyłem się co najmniej setki, ale dzisiaj wydaje się ich więcej - odparł Magnus.

Trzydzieści do czterdziestu czteroosobowych namiotów, podtrzymywanych umieszczonym pośrodku słupkiem, ustawiono w dwóch koncentrycznych kręgach wokół zbiornika wodnego. Rozpalono ogniska i prowadzono wielbłądy do wodopoju. Byłby to pełen spokoju obrazek, gdyby nie pilnie strzeżona zagroda na południowym krańcu obozu, w której siedziało co najmniej dwieście osób, mężczyźni, kobiety i dzieci, przywiązanych do wbitych w ziemię pali.

Wespazjan obejrzał się na Ahmosego, idącego na czele jakichś trzydziestu ludzi. Przywiódł ich ze sobą z miasta, by eskortowali nieszczęśników, którzy mieli być w tej transakcji zapłatą.

- No cóż, kapłanie, ruszaj. Będziemy cię stąd obserwować.

- Szybko się sprawię, to będzie proste. Amon będzie miał mnie w swojej pieczy, bo działałam dla niego.

- Nie cierpię religijnych fanatyków - powiedział Magnus, kiedy kapłan prowadził

swoją grupę w stronę obozu Marmarydów.

Wespazjan skinął głową.

- A ja nie cierpię tych wszystkich - powiedział - którzy zarabiają na życie jako zawodowi kapłani i sprzedają religię lękliwym biedakom, a za otrzymane od nich pieniądze kupują sobie luksus i władzę. U nas robimy to lepiej, bo tam kapłaństwo jest nagrodą za służbę Rzymowi, a nie środkiem prowadzącym do wygodnego życia.

- Coś w tym jest, panie; na ogół jednak ci, którzy przyjmują kapłaństwo, są już wcześniej bogaci, choć nie zauważyłem, by kiedykolwiek przeszkadzało to komuś chcieć jeszcze więcej.

- Zazwyczaj jest wręcz przeciwnie - rzekł Wespazjan z uśmiechem.

- W rzeczy samej - zgodził się Magnus i obaj zaczęli obserwować, jak Marmarydowie zbierają się wokół Ahmosego i jego ludzi.

Po krótkiej rozmowie zaprowadzono kapłana do największego namiotu.

Wespazjan, Magnus i Ziri czekali w zapadającym zmierzchu. Zapalone wokół obozu pochodnie oblewały wszystko pomarańczowym blaskiem. Zaczęło się robić coraz chłodniej.

W końcu Ahmose wyszedł z namiotu w towarzystwie siwobrodego mężczyzny i gestem polecił swoim ludziom pokazać towar, który miał być przedmiotem wymiany. Siwobrody obejrzał każdego człowieka po kolei, zajrzał w zęby i pomacał mięśnie ramion i nóg, zupełnie jakby kupował konie. Kiedy już wszystkich sprawdził, zwrócił się do kapłana. Po jego zachowaniu widać było, że nie jest zadowolony.

- Wygląda na to, że będziemy musieli wdrzeć się tam jakoś siłą, żeby zabrać naszych - zauważył Magnus, kiedy tamci dwaj zaczęli coraz energiczniej wymachiwać rękoma.

Podniesione w kłótni głosy dotarły z drugiej strony jeziora do ich kryjówki.

- Nie wygląda to dobrze - przyznał Wespazjan.

Nagle Marmarydowie wyciągnęli miecze, otoczyli i rozbroili ludzi Ahmosego. Pięciu oddzielono od pozostałych i opierających się zawleczono do Siwobrodego, żeby ich sobie obejrzał. Najwyraźniej zadowolony wydał głośny rozkaz i grupa Marmarydów skierowała się w stronę zagrody z niewolnikami.

- Wydaje mi się, że cena właśnie poszła w górę - skomentował sytuację Wespazjan. - Ludzie Ahmosego nie pokochają go za to.

Tymczasem zapadła noc i w całym obozie zapłonęły pochodnie; w ich migotliwym świetle Wespazjan zobaczył grupę mężczyzn wyprowadzanych z zagrody.

- To nasi chłopcy, widzę Korwinusa - powiedział.

Magnus wytężył wzrok.

- Nie widzę nikogo, kto mógłby być Kapellą - oświadczył.

- Musimy po niego pójść; teraz przynajmniej będziemy mieli potrzebnych do tego ludzi.

Przyprowadzono żołnierzy do Siwobrodego i Ahmosego. Obaj ich przeliczyli, po czym skinęli głowami i kapłan wyprowadził swoich ludzi i niedoszłych niewolników z obozu. Ludzi wymienionych na żołnierzy odprowadzono do zagrody.

- Gdzie jest Kapella? - spytał Wespazjan Ahmosego, kiedy kapłan dołączył do nich.

- Nie chcieli go oddać.

- Nie chcieli czy podali za wysoką cenę?

- Musiałem mu dać dodatkowo pięciu swoich ludzi tylko po to, żeby dostać tych, których mu wczoraj sprzedałem - warknął kapłan. - Na więcej nie mogę sobie pozwolić.

- Pięciu twoich ludzi? Chcesz powiedzieć, że żaden z nich nie był niewolnikiem?

- My nie mamy niewolników, to nie miałyby sensu, bo Marmarydowie i tak by ich porwali. Musiałem im dać wolnych ludzi z miasta. Ciągnęli losy i ci, którzy przegrali, chętnie poszli błogosławieni przez Amona.

Wespazjan wpatrywał się w kapłana z niedowierzaniem.

- Sprzedałeś w niewolę własnych ludzi? - zapytał.

- Taka była wola Amona; słyszałeś, że tak właśnie powiedzieli kapłani w wyroczni.

- Dlaczego nie spróbowałeś odkupić moich ludzi srebrem, którym Marmarydowie za nich zapłacili?

Ahmoze zmarszczył czoło, jakby nie zrozumiał pytania.

- To srebro należy do Amona - oświadczył.

- I Amon ceni je bardziej niż życie tych ludzi?

Kapłan wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że nie chodzi o Amona - powiedział Wespazjan - tylko o ciebie. Zależy ci na tym, by żyć w luksusie, podczas gdy ludzie wokół harują w skwarze; budzisz we mnie odrazę, kapłanie. Wrócimy do twojego miasta i użyjesz mi wszystkich swoich nadających się do walki ludzi, bo nie zamierzam odjechać stąd bez Kapelli i nie uwolniwszy tych nieszczęśników, których poświęciłeś dla swojej chciwości.

- Nie możesz tego zrobić; woli Amona należy być posłusznym.

- Jego woli czy twojej, kapłanie?

- Wespazjanie, ty wsiowy draniu, zostawiłeś mnie na pastwę handlarzy niewolników - wrzeszczał Korwinus, z wykrzywioną wściekłością twarzą. - Nigdy ci tego nie zapomnę.

- Nie miałem wyboru, byłeś pijany jak bela i tylko nas spowalniałeś. Poza tym przypominam ci, prefekcie, że wróciłem po ciebie i twoich ludzi i jesteś teraz wolny dzięki mnie, co byłoby niemożliwe, gdybyśmy wszyscy razem tkwili w tamtej zagrodzie; o tym też pamiętaj.

- I naucz się pić - poradził mu Magnus - wtedy może tak łatwo nie zrobią z ciebie niewolnika.

Korwinus zamachnął się prawą pięścią, ale Magnus zrobił unik pod jego ręką i wymierzył mu solidny cios w brzuch.

- Wybrałeś sobie niewłaściwego człowieka do walki na pięści - oświadczył Magnus, kiedy prefekt padł na podłogę. - Kiedyś zajmowałem się tym zawodowo.

Wespazjan stanął pomiędzy nimi.

- Dość tego! Wstań, Korwinusie. Proponuję, byś następnym razem, kiedy cię uratujemy, raczej podziękował, niż wszczynał bójkę i mnie obrażał.

Prefekt obdarzył Wespazjana jadowitym spojrzeniem.

- Jeszcze kiedyś tego pożałujesz, kwestorze, obiecuję ci to - oświadczył.

- Zobaczymy; tymczasem mamy do uratowania obywatela, któremu grozi los, przed jakim właśnie ciebie uratowano. Sprawdź, czy któryś z twoich chłopców zna miejscowy język.

Dwie godziny później dotarli na miejski plac. Był całkowicie pusty; jedynie zza kilku okiennic błyskały płomienie lampek.

- Zwołaj swoich ludzi, Ahmose - rozkazał Wespazjan - przemówimy do nich, ty i ja.

- Teraz?

- Tak, teraz! Będziesz tłumaczył, co powiem. I każ przynieść miecze moich ludzi z waszego schowka.

Wysłańcy kapłana rozbiegli się po mieście i zaczęli łomotać do drzwi domów.

Wkrótce cała oświetlona migocącymi pochodniami agora wypełniła się tłumem ciekawskich. Wespazjan, a za nim Magnus i Ziri weszli na schody świątyni z Ahmosem i żołnierzem, który mówił miejscowym językiem Siwi.

Ludzie Korwinusa odzyskali swoje długie miecze i ustawili się u stóp schodów.

- Masz pilnować, żeby wszystko tłumaczył - powiedział Wespazjan do żołnierza. - A kiedy odmówi, bo jestem pewien, że to zrobi, ty będziesz tłumaczył.

- Tak jest, kwestorze.

- Ahmose, każ im się uspokoić.

Zabrzmiał róg i zgiełk ucichł.

Wespazjan wystąpił do przodu i przemówił do zebranych.

- Dwie noce temu Bennu się odrodził, by rozpocząć nowy pięćsetletni cykl - oświadczył. Przerwał, by Ahmose mógł przetłumaczyć jego słowa. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na żołnierza dla potwierdzenia tłumaczenia, ciągnął: - Ogrzał mnie jego ogień i poczułem podmuch jego skrzydeł, a wasz kapłan zabrał mnie do świątyni Amona, gdzie przemówił do mnie bóg.

Twarze zgromadzonych wyrażały podziw, kiedy Ahmose powtarzał jego słowa.

- Mam błogosławieństwo Amona i zarówno ja, jak i ci, którzy ze mną podróżują,

znajdują się pod jego ochroną. Tymczasem wasz kapłan sprzedał moich towarzyszy, żołnierzy rzymskich, Marmarydom.

Ahmose rzucił Wespazjanowi nerwowe spojrzenie.

- Tłumacz, kapłanie - rozkazał Rzymianin.

Kiedy kapłan mówił, Wespazjan spojrział na żołnierza, który pokręcił głową.

- Nie przetłumaczył drugiego zdania; wymyślił tylko coś o chwale Amona - powiedział.

- A to ci dopiero niespodzianka. W takim razie zrób to za niego.

Kiedy żołnierz przetłumaczył właściwą wersję, na twarzy Ahmosego najpierw pojawiło się zdumienie, potem panika, kiedy kapłan uświadomił sobie, że traci kontrolę nad wydarzeniami.

- By ich odkupić, wykorzystał trzydziestu dwóch waszych współbraci; ci wolni ludzie zostali niewolnikami za sprawą waszego kapłana.

- Uczyniłem to dla Amona! - wrzasnął Ahmose w stronę Wespazjana.

- Nie, ty dla Amona nie robisz nic, wszystko robisz dla siebie, jak wielu innych tobie podobnych. Przetłumaczysz to teraz, czy on ma to zrobić?

Ahmose zawył z wściekłości i rzucił się na Wespazjana, ale pochwyciły go silne ręce Magnusa i Ziriego. Wespazjan skinął głową do żołnierza, podczas gdy kapłan próbował się bezskutecznie wyrwać trzymającym go mężczyznom. Słuchacze reagowali okrzykami oburzenia, kiedy żołnierz tłumaczył. Ruszyli do przodu, ale zostali powstrzymani przez ludzi Korwinusa.

Wespazjan wznosił ramiona ku niebu, apelując o spokój.

- Ten wasz kapłan - powiedział - który żyje w luksusie za wasze pieniądze, nie przejmuje się waszą pomyślnością, jedynie swoją.

Zgromadzeni, usłyszawszy tłumaczenie tych słów, głośno zgodzili się z tym stwierdzeniem.

- Oddał żołnierzy rzymskich i waszych ludzi handlarzom niewolników, a tym czynem sprowadził gniew Rzymu i Amona na was wszystkich. By naprawić to zło, poprowadzę was dzisiejszej nocy do obozu Marmarydów i wspólnie ich zniszczymy, i uwolnimy waszych ludzi.

Przyjęto te słowa entuzjastycznie.

- Najpierw jednak, ja, który jestem ulubieńcem waszego boga, domagam się pomsty na waszym kapłanie za to, jak potraktował moich ludzi; ma stracić życie - oznajmił Wespazjan. Pod Ahmosem ugięły się kolana, ale Magnus i Ziri go podtrzymali, żeby nie upadł. - Mogę dokonać egzekucji teraz albo, jeśli sobie życzyście, oddać wam waszego kapłana, dla którego sprzedanie w niewolę na całe życie trzydziestu dwóch spośród was wydaje się niczym, byście ukarali go tak, jak uznacie za stosowne. Uwolnicie się od niego.

Kiedy żołnierz skończył tłumaczyć, reakcja ciżby była jednoznaczna. Wespazjan dał znak Magnusowi i Ziriemu. Mężczyźni ściągnęli wrzeszczącego kapłana ze schodów, przeszli przez kordon żołnierzy i rzucili go w tłum ludzi, którzy pozwalali mu żyć w luksusie, a których on tak nisko cenił.

Ze zwierzęcą dzikością wciągnęli go między siebie, bezlitośnie kopali i okładali pięściami i drapali paznokciami, a ich nienawistne krzyki zagłuszyły jego wrzask. Wespazjan z towarzyszami przyglądali się z ponurą satysfakcją, jak podrzucają i łapią zawodzącego kapłana. Oczy wytrzeszczył z przerażenia, kiedy mężczyźni pochwycili go za nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach, rozciągając w przeciwnych kierunkach; inni cięli nożami, mierząc przede wszystkim w stawy. Ciągnięto coraz mocniej, aż wywichnięto kończyny i wreszcie przy dzikim ryku tłumu lewa ręka, której ściągnęła została posiekana, oderwała się od barku. Po chwili to samo stało się z prawą. Kiedy wymachiwano w powietrzu tymi makabrycznymi trofeami, głowa Ahmosego uderzyła z trzaskiem o ziemię. Mężczyźni

trzymający nogi, ciągnąc ze wszystkich sił, rozdarli ścięgna i mięśnie i jedna noga rozerwała się w kolanie, chlapiąc dokoła krwią. Nie mogąc już nic urwać, ludzie okładali okaleczony korpus kapłana oderwanymi kończynami, aż zgasły resztki tłącego się jeszcze życia.

- Myślę, że to dodało im animuszu - powiedział Magnus, który kiwając głową, wyraził aprobatę dla sposobu, w jaki pozbyto się kapłana.

- Miejmy nadzieję - odparł Wespazjan. - Zabierajmy ich więc do obozu Marmarydów, póki są w takim nastroju.

Minęła północ i księżyc już zaszedł. Wespazjan skradał się w mroku gaju palmowego, prowadzony jedynie światłem kilku pochodni i ognisk, które wciąż płonęły w obozie Marmarydów. Za nim czaiło się w ciemnościach ponad dwustu mężczyzn z miasta oraz Korwinus ze swoimi żołnierzami.

Kiedy dotarł na skraj gaju, ukląkł za pniem palmy i przyjrzał się obozowi łowców niewolników; panował tam całkowity spokój. Upewniwszy się, że poza kilkoma drzemiącymi przy ogniskach wartownikami wokół nie ma nikogo, wycofał się do czekających ludzi.

- Nie spodziewają się towarzystwa - wyszeptał, kucając obok Magnusa i prefekta. - Widziałem sześciu wartowników, z których większość chyba śpi, nikt nie patrolował terenu; wszyscy inni są w namiotach.

- Jak możesz być tego pewien? - spytał Korwinus, który miał wątpliwości, czy ten atak to dobry pomysł.

- Bo nigdzie ich nie widziałem, choć masz rację, to tylko założenie, a nie pewność. Tak czy owak, nie ma powodu, by tego nie zrobić, jest nas co najmniej o pięćdziesięciu więcej.

- Ale większość naszych to zwyczajni mieszkańcy miasta z prowizoryczną bronią, a mają przed sobą wprawionych w bojach wojowników.

- Dlatego niezbędne są szybkość i zaskoczenie, Korwinusie, więc przestańmy o tym

gadać, tylko to zrobimy; chyba że wolisz, żebym wszystko odwołał i powiedział namiestnikowi, że musiałem pozwolić zabrać obywatela rzymskiego jako niewolnika, bo prefekt jazdy wzdragał się przed walką?

- Ty draniu.

- Tak już lepiej. A teraz zostaw mi tłumacza i zabierz swoich ludzi na południową stronę obozu; Magnus i ja weźmiemy tych z miasta i obstawimy pozostałe strony. Pozbądźcie się wartowników przy zagrodzie jak najciszej. Kiedy będą już martwi, zajmijcie zagrodę i dajcie mi znać, machając pochodnią. Wtedy uderzymy ze wszystkich stron, podpalimy namioty i zabijemy tylu, ilu zdołamy, zanim się obudzą; potem to już będzie zacięta walka. Jeśli usłyszymy jakieś krzyki, zanim dacie nam sygnał, zaatakujemy natychmiast.

Korwinus mruknięciem wyraził zgodę.

- I starajcie się nie zabijać wielbłądów - dodał Wespazjan.

- A niby czemu?

- Bo będą nam potrzebne, żeby wrócić do domu.

Mężczyzna podniósł się, otrzepał piasek z kolan i ruszył do swoich żołnierzy.

- Co o tym myślisz? - spytał Magnus.

- Myślę, że zrobi to, co mu kazano; to dobry oficer, po prostu mnie nie lubi.

- Miejmy nadzieję, że nie przeszkodzi mu to rozsądnie myśleć.

- Chodź, zabierzmy tę zbieraninę na stanowiska.

Kiedy już Wespazjan przy pomocy tłumacza poinstruował wszystkich, że mają nic nie robić, dopóki nie zobaczą, że on sam rusza do przodu, mieszkańcy miasta, poruszając się cicho po sytkim piasku, zajęli wyznaczone pozycje. Wespazjan i Magnus czekali z

wyciągniętymi mieczami, spoglądając w ciemności ku obozowi Marmarydów, wokół którego, co pięć kroków, stał jeden człowiek. Ziri leżał obok Magnusa, ściskając w ręku drzewce oszczepu. Panującą wszędzie ciszę przerywało jedynie sporadyczne parsknięcie któregoś ze spętanych przy namiotach wielbłądów. Wartownicy spali spokojnie przy gasnących ogniskach.

Wespazjan poczuł ucisk w żołądku i wiedział, że narasta w nim napięcie przed starciem. Zaniósł w myślach modlitwę do Fortuny, by chroniła go przed wojownikami pustynnymi, tak jak uratowała przed żywiołami pustyni, i poczuł pewność, że tak się stanie. Wiedział, że inni nie będą mieli tyle szczęścia, i kiedy tak snuł myśli w ciemności, samo nasunęło mu się porównanie własnego postępowania z postępkiem Ahmosego. Obaj poświęcali ludzi dla zaspokojenia własnych pragnień; kapłan dla luksusu, a on dla zaspokojenia żądz. Kosztowało to Ahmosego życie i uczyniło Korwinusa nieprzyjacielem Wespazjana, a wysokie urodzenie prefekta pozwoli mu pewnego dnia spełnić obietnicę zemsty. Lepiej, żeby Kapella zapłacił należność, a Flawia okazała się warta ryzyka i wysiłku, myślał.

Czas mijał, napięcie związane z czekaniem zaczęło działać ludziom na nerwy i Wespazjan posłyszał szelest ubrania czy brzęk sztyletu, kiedy wierzili się niespokojnie w ciemności.

- No już, Korwinusie, co tak długo? - mruknął pod nosem.

- Może po prostu dał nogę razem ze swoimi ludźmi - odpowiedział mu szeptem Magnus.

Wespazjan zaczął się już obawiać najgorszego, kiedy od strony zagrody dobiegł zduszony krzyk.

- A niech to! - syknął, obracając spojrzenie na wartowników. Kilku z nich poruszyło się, rozejrzało dookoła, ale po kilku wielbłądzych parsknięciach najwyraźniej uznali, że tamten dźwięk wydało zwierzę, i ponownie zapadli w drzemkę.

Wespazjan odprężył się nieco, przekonany, że żołnierze robią co trzeba.

Po kilku chwilach ktoś wyjął pochodnię z uchwytu w pobliżu zagrody i pomachał nią w powietrzu.

- Ruszamy - powiedział spokojnym głosem Wespazjan, prostując się.

Ludzie po obu stronach poszli za jego przykładem, wywołując efekt lawinowy, bo w ciemności każdy z czekających wyczuwał, że podnosi się jego sąsiad; wkrótce ponad dwustu ludzi w ponurym milczeniu zbliżało się ze wszystkich stron do niczego niepodważających Marmarydów.

Wespazjan podszedł do zewnętrznego kręgu namiotów po północnej stronie sadzawki; dopiero za nimi było pierwsze z ognisk wartowników. Gestami nakazał Ziriemu wziąć pobliską pochodnię, Magnusowi i ludziom z miasta pilnować wejść od namiotów, a sam skradał się dalej. Wartownik siedział na ziemi, przodem do niego, ze skrzyżowanymi nogami, z głową opuszczoną na pierś i z nagim mieczem na kolanach. Gdy Wespazjan, wstrzymując oddech, zbliżył się cicho do śpiącego i już miał zadać cios, wartownik, wyczuwając w pobliżu czyjąś obecność, otworzył oczy i w słabym świetle ogniska zobaczył przed sobą stopy obute w sandały. Podniósł gwałtownie głowę, z rozwartymi szeroko z niepokoju oczyma, by zobaczyć spadający miecz; to była ostatnia rzecz, jaką w życiu widział. Czubek miecza trafił go w szyję tuż pod zarośniętą brodą i przebił się aż do podstawy czaszki. Nie zdążyłby wydać krzyku, ponieważ krew zalała mu krtań i zatkała tchawicę. Padł martwy, twarzą w ognisko. Prawie natychmiast jego przesiąknięta owczym tłuszczem wełniana szata i płaszcz zajęły się ogniem, oświetlając Wespazjana.

- Teraz - syknął do Magnusa.

Chwyciwszy pochodnię od Ziriego, Magnus przytknął ją do namiotu. Buchnęły płomienie, pnąc się w górę po suchym szorstkim płótnie, tak że w krótkim czasie wejście wypełniła kula ognia. Pierwszy nomada, w przepasce biodrowej, rzucił się przez szalejący ogień na zewnątrz i nadział na oszczep Ziriego. Chłopak pchnął i rozpruł mu brzuch, potem kopniakiem posłał mężczyznę z powrotem w ogień, gdzie jego uwolnione z ciała wilgotne jelita syczały i parowały.

Rozległy się głośne krzyki, po tym jak Magnus i ci, którym udało się porwać jakąś pochodnię, zaczęli się przesuwać wzdłuż kręgu namiotów, podpalając jeden za drugim. Co odważniejsi spośród mieszkańców miasta, zachęcając się nawzajem okrzykami, bo teraz już zachowywać ciszy nie musieli, runęli do przodu, by zasieć pozostałych wartowników.

Wszystkie namioty zewnętrznego kręgu płonęły. Ponaglając swoich towarzyszy, Wespazjan ruszył ku kręgowi wewnętrznemu. Tutaj płonęło mniej namiotów i nomadowie zaalarmowani zrywali się ze snu i rzucali do obrony. Ryk spętanych, przerażonych wielbłądów, które nie mogły uciec przed ogniem, mieszał się z krzykiem i wyciem rannych, tworząc przeraźliwą kakofonię dźwięków.

Stojąc z boku płonącego wejścia do namiotu, Wespazjan opuścił miecz, kiedy poły się gwałtownie rozchyliły, ale zrobił to odrobinę za wcześnie i odciął uciekającemu obie wyciągnięte do przodu ręce. Pozostawiając go krwawiącego i wijącego się z bólu, machnął mieczem w wejściu namiotu, tnąc przez pierś kolejnego mężczyznę, podczas gdy następny, płonąc żywym ogniem, przebiegł obok niego i rzucił się do sadzawki z wrzaskiem i przy akompaniamencie syku pary.

Rzymianin zabił ostatniego, który wydostał się z namiotu, i szybko rozejrzał się wokół; Magnus i Ziri postępowali tak samo z lokatorami sąsiedniego namiotu. Wszędzie rozgrywały się podobne sceny, kiedy rozsierdzeni ludzie, z pałkami, rolniczymi narzędziami i sztyletami, wpadali na zaskoczonych handlarzy niewolników, którzy od dawna napawali ich przerażeniem, zagrażając pokojowej egzystencji. Teraz, mając za zadanie ocalić trzydziestu dwóch swoich ziomków, zabrali się do tego z dziką zawziętością. Dym snuł się wszędzie, kiedy namioty rozgorzały ogniem; wybiegali z nich ludzie w płomieniach, nadziewając się na widły i padając pod kosami. Zapach ich przypalonej skóry mieszał się z ostrą wonią palących się włókien.

W chaosie, pośród gęstniejącego dymu i płomieni, Wespazjan zobaczył, że Marmarydowie zdołali uformować się w kilka grup, które wzięły się do energicznej obrony. Kiepsko uzbrojeni i niedoświadczeni mieszkańcy miasta zaczęli ustępować pod ciosami ich długich mieczy i powoli tracili ochotę do walki, mając przed sobą zorganizowanych wojowników.

- Magnus, do mnie! - wrzasnął, przeskakując stos ciał. Wyciągając lewą ręką sztylet z pochwy, popędził ku trzem Marmarydom, napierającym na przeredzający się szereg niepewnych mieszkańców miasta. Przedarł się przez wyrwę w szeregu i uchylając przed mieczem, uderzył głową w brzuch tego, który się nim zamachnął, i jednocześnie wbił swój miecz głęboko w pachwinę jego towarzysza. Ostatecznie wszyscy trzej padli w piasek, a mieszkańcy miasta wykorzystali chwilowe zaskoczenie wywołane nagłym pojawieniem się Wespazjana i odzyskawszy pewność siebie, zaatakowali trzeciego nomadę. Rzymianin stoczył się z ciała przeciwnika i wbił mu sztylet między żebra, przebijając płuca.

- Wydawało mi się, że wołasz o pomoc - powiedział Magnus, mocnym pociągnięciem za ramię stawiając Wespazjana na nogi, podczas gdy Ziri wbijał grot oszczepu w gardła leżących na ziemi mężczyzn.

- Bo też wołałem - odparł Wespazjan, dysząc ciężko; serce mu biło jak młot. - Część z nich zaczyna organizować opór; ruszajmy więc dalej po obwodzie kręgu, aż spotkamy się z chłopcami Korwinusa.

Kiedy mijali dwa zapadnięte, płonące namioty, których wrzeszczących lokatorów złapano w pułapkę i bezlitośnie uśmiercano, natknęli się na gromadę mieszkańców miasta. Pierzchając w popłochu, niemal zepchnęli Wespazjana i jego towarzyszy na płonący namiot. Za plecami mieli Siwobrodego.

Magnus zaklął, kiedy wszyscy trzej gwałtownie się zatrzymali; żar ognia opalał im włoski na ramionach i nogach.

Wymachując ogromnym dwuręcznym mieczem, wódz Marmarydów, z czterema współplemieńcami po bokach, kroczył ku nim, a w oczach miał żądzę zemsty. Na widok Rzymian Siwobrody wykrzywił twarz i ruszył z uniesionym nad głową mieczem wprost na Wespazjana. Jego ludzie biegli za nim; dwóch z nich dostrzegło Ziriego i z krzykiem rzuciło się na niego.

Zręcznym podrzutem oszczepu Ziri wyrzucił płonący namiot w powietrze tak, że wylądował na napastnikach. Tymczasem Wespazjan odparował zadany z góry potężny cios Siwobrodego, którego miecz, krzesząc iskry, ześlizgnął się po jego mieczu i zatrzymał

gwałtownie na owalnej osłonie jelca. Rzymianin kątem oka dostrzegł, jak tuż obok Magnus rzuca się na ziemię, podcinając nogi obu mężczyznom z prawej strony Siwobrodego. Wódz Marmarydów zwiększył znacznie nacisk i zmusił Wespazjana do przykłonienia. Słychać było krzyki szamocących się w płonącym namiocie ludzi. Siwobrody uderzył stopą w klatkę piersiową Rzymianina, obalając go na plecy, po czym warcząc i obnażając z wysiłku zęby, uniósł miecz. Kiedy broń znalazła się w najwyższym punkcie, Marmaryda znieruchomiał raptownie, a z jego ust chlusnęła krew. Stał kilka chwil bez ruchu, jakby zastygł, potem upuścił miecz za siebie i obróciwszy lekko głowę, zobaczył Ziriego, którego oszczep tkwił w jego boku. Skinąwszy powoli głową w stronę swojego zabójcy, ze zrozumieniem, jak się Wespazjanowi zdawało, wódz Marmarydów runął na ziemię.

Odgłosy toczonych w pobliżu zmagania zmusiły Wespazjana do odwrócenia wzroku od umierającego wodza, by się zorientować w sytuacji. Magnus siedział okrakiem na nieprzyjacielskim wojowniku, a każdy z nich trzymał ręce zaciśnięte na gardle przeciwnika. Tuż za nimi drugi współplemieniec, z krwią płynącą z pustego oczodołu, uniósł nóż, mierząc w plecy Magnusa. Wespazjan zakręcił w powietrzu ramieniem, puszcżając jednocześnie rękojeść długiego miecza, który pofrunął i obróciwszy się, uderzył płazem w brzuch wojownika, pozbawiając go tchu. Rzymianin zerwał się na nogi i przeskakując przez Magnusa, skoczył z pięściami na jednookiego Marmarydę. Padli na splamiony krwią piasek. Nie przestawał go okładać nawet wtedy, kiedy mężczyzna miał już zmiażdżony nos i złamaną szczękę, dopiero czyjaś ręka chwyciła go za włosy i poczuł na gardle ostrze.

- Spokojnie, kwestorze - usłyszał przy uchu głos Korwinusa. Wespazjan zamarł. - Ktoś ci powinien wyjaśnić, jakie bywają skutki utraty kontroli nad sobą podczas bitwy.

- Już to zrobiłem - odparł Magnus, podnosząc się z martwego przeciwnika, który leżał na ziemi z wytrzeszczonymi oczyma. - Chyba jednak zapomniał, że tak można bardzo łatwo stracić życie.

- Puszczaj, prefekcie - rzucił Wespazjan, odzyskując zmysły i odtrącając Korwinusa.

- Mogłem podciąć ci gardło i nawet miałem ochotę - warknął Korwinus, opuszczając miecz - gdyby nie on.

Wespazjan obrócił się i zobaczył Ziriego, który trzymał zakrwawiony grot oszczepu przytknięty do karku prefekta.

- Już dobrze, Ziri - powiedział, gestem nakazując mu, by opuścił broń.

Ziri skinął głową i cofnął się.

Wespazjan wstał i rozejrzał się. Namioty wciąż płonęły, rzucając łagodny bursztynowy blask na nieruchome w tę bezwietrzną noc palmy, ale odgłosy walki ucichły. Przez pobojowisko szły grupki mieszkańców miasta i żołnierzy; co jakiś czas któryś z nich unosił i opuszczał broń, by dobić ранego Marmarydę.

- Czy jacyś uciekli? - zapytał, kiedy podnosił z ziemi miecz, nie zwracając się przy tym do nikogo konkretnego.

- Nie wiem, ale wątpię - odparł Korwinus. - Zagroda z niewolnikami jest zabezpieczona, postawiłem tam straż.

- Doskonale, chodźmy więc ich obejrzeć.

- Czas sprawdzić, czy Kapella odda ci swoją kobietę z wdzięczności za cały ten twój wysiłek - rzucił do niego Magnus. Nie zauważył, jak prefekt jazdy marszczy brwi.

Kiedy Wespazjan i Magnus odwracali się, by odejść, zobaczyli, że Ziri spogląda na dwa wciąż palące się ciała; po kolei przebił mężczyznom oszczepem serca.

- Chodź, Ziri - powiedział Magnus.

Ziri potrząsnął głową.

- Oni Ziri bracia - oświadczył rzeczowo.

Wespazjan spojrzał osłupiały na młodego Marmarydę i pełen złych przeczuć wskazał ręką Siwobrodego.

- A tamten człowiek, którego zabiłeś, by uratować mi życie? - zapytał, przypominając sobie słowa Agilasa: Zwłaszcza przeciwko Marmarydom.

Ziri spojrział na niego, a jego oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

- On Ziri ojciec - odparł.

Rozdział piąty

Statyliusz Kapella! Statyliusz Kapella! - wołał Magnus, przekrzykując zawroźnienie przerażonych kobiet i płacz dzieci, kiedy z pochodniami w ręku razem z Wespazjanem i Korwinusem przedzierał się przez zapchaną ludźmi zagrodę dla niewolników.

- Tutaj - odezwał się w końcu męski głos, kiedy byli już blisko środka.

- Korwinusie, wypuść wszystkich urodzonych wolno i wyzwolenców - rozkazał Wespazjan - ale trzymaj w więzach wszystkich tych, którzy byli niewolnikami, zanim schwytali ich Marmarydowie. I niech kilku twoich ludzi zbierze wielbłądy; ja zamierzam odbyć małą pogawędkę z tym idiotą, który nas tu ściągnął.

- Czy to oznacza, że zamierzasz pogadać ze sobą? - zapytał z uśmiechem Magnus, kiedy prefekt się oddalił.

- Bardzo zabawne. Jeśli chcesz zrobić coś pożytecznego, dopilnuj, żeby ludzie z miasta pochowali zabitych i wyciągnęli trupy z sadzawki; nie powinniśmy zostawić najmniejszego śladu po tym obozie. A potem idź i sprawdź, co zostało z namiotu ich wodza. Domyślam się, że znajdziesz tam sporo pieniędzy, choćby sakiewkę Kapelli.

Magnus wskazał głową swojego niewolnika, który stał zamyślony opodal; na twarzy młodego człowieka nie malowały się żadne emocje.

- Zważywszy na okoliczności, nie będę brał ze sobą Ziriego.

- Jak on się ma?

- Wydaje się, że nieźle, jak zresztą każdy, kto by się dopuścił podwójnego bratobójstwa... i ojcobójstwa na dobitkę.

- Cóż, po tym wszystkim nie można już wątpić w jego lojalność wobec ciebie i mnie.

- Tak, to prawda, ale sposób, w jaki to udowodnił... Nie mam pojęcia, jakich bogów mają Marmarydowie, ale będzie musiał bardzo się starać, by ich ułagodzić, jeśli nie chce być przeklęty do końca swoich dni.

Wespazjan zerknął na Ziriego, który był przecież tak młody.

- Myślisz, że będzie wiedział, jak tego dokonać?

- Nie wiem, ale musi znaleźć jakiś sposób. To, co zrobił, jest wbrew prawom natury i nie może z tego wyniknąć nic dobrego.

- Poza uratowaniem nam życia, chcesz powiedzieć?

Magnus burknął coś i odszedł sztywnym krokiem.

Wespazjan przepychał się do Kapelli i zastanawiał, jakiego rodzaju śmierć spotkałaby młodego nomadę z rąk ojca i braci, gdyby go pochwycili, skoro on był w stanie zabić ich bez wahania i najwyraźniej bez emocji.

- Jestem Tytus Flawiusz Wespazjan, kwestor tej prowincji, a ty, Statyliuszu Kapello, jesteś głupcem - poinformował Wespazjan Kapellę, kiedy go tylko odnalazł.

- To dość pochopna ocena z ust kogoś, kto widzi mnie pierwszy raz w życiu, młodzieńcze - odparł Kapella, który siedział przywiązany za ręce i szyję do pala. Był znacznie starszy, niż się Wespazjan spodziewał. Miał czterdzieści kilka lat, zachował jednak szczupłą sylwetkę, głowę pokrywały mu czarne kędzierzawe włosy, a jego pobrużdżona twarz była wciąż przystojna. Wokół niego unosił się odór odchodów; mężczyzna musiał załatwiać swoje potrzeby tam, gdzie siedział.

- Tylko głupiec mógł wybrać się na pustynię z niewielką eskortą, w poszukiwaniu handlarzy niewolników, by kupić od nich wielbłądy.

Kapella uśmiechnął się.

- Aha, rozmawiałeś z Flawią. Cóż, zatem mnie uwolnij, skoro to ona wysłała cię tak daleko, żebyś mnie ratował. Wiem, że potrafi być przekonująca.

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw musimy omówić warunki twojego uwolnienia.

- To znaczy?

- To znaczy, że ponad stu mężczyzn, żołnierzy rzymskich oddziałów pomocniczych, którzy przeszli kosztowne przeszkolenie, utraciło życie, żeby cię odnaleźć; by już nie wspomnieć utraty stu dwudziestu koni i jeszcze trzydziestu mułów z całym wyposażeniem, jakie niosły. To wyniesie dobrych kilka tysięcy denarów, które ty, jako przyczyna tych strat finansowych, powinieneś zwrócić.

- I na pewno uważasz, że tobie osobiście też jestem coś winien?

- Naturalnie.

- A jeśli odmówię?

- Wtedy całe to przedsięwzięcie okaże się tragiczną i kolosalną stratą czasu i pieniędzy. Bo dotarliśmy tak daleko i nie zdołaliśmy cię odnaleźć.

Kapella pomimo ściskającego mu szyję powroza wybuchnął śmiechem.

- Zostawiłbyś mnie tutaj? - spytał.

- Nie przywiązanego do słupa, w żadnym razie; ale owszem, zostawiłbym cię w Siwie, byś wracał samopas i prawdopodobnie znowu wpadł w łapy Marmarydów. Jakie miałbyś prawo do mojej ochrony w podróży powrotnej do Cyreny, gdybyś odmówił zapłaty za szkody, jakie spowodowało twoje lekkomyślne postępowanie?

- Rozumiem, co masz na myśli, kwestorze, skoro postrzegasz sprawę w taki sposób i zakładasz, że moje postępowanie było lekkomyślne. Bo rzeczywiście byłoby takie, gdybym

próbował kupić wielbłądy od handlarzy niewolników.

- Zatem nie próbowałeś?

- Młody człowieku, gdybym chciał to zrobić, to czy sądzisz, że udałbym się po to aż tutaj, kiedy mogłem pożeglować sto mil wzdłuż wybrzeża z Apollonii do pastwisk Marmarydów i tam kupić od nich wielbłądy, prowadząc przy tym negocjacje z bezpiecznego pokładu statku, jak już to robiłem wiele razy wcześniej? Oczywiście, że nie, to byłaby skrajna głupota.

- To dlaczego powiedziałeś Flawii coś takiego?

- Przetnij mi więzy, a może uzyskasz odpowiedź.

Wespazjan nie miał wyboru; czując się niepewnie, zabrał się z nożem za powrozy. Wszędzie wokół niego zawrodość pochwyconych ludzi zmieniała się w okrzyki radości, kiedy żołnierze szli przez zagrodę, przecinając pęta wolno urodzonych i wyzwoleńców; jedynie posępni niewolnicy zostali przy palach, czekając na swój los.

- Tak jest znacznie lepiej - oświadczył Kapella, masując obolałe nadgarstki i ruszając w stronę wyjścia. - Teraz obmyję w sadzawce tyłek, a potem docenię czystą tunikę, przepaskę biodrową i coś do jedzenia.

Wespazjan poszedł za nim.

- Powiedziałeś, że odpowiesz na moje pytanie - rzucił.

- Powiedziałem, że może odpowiem, ale niech już ci będzie. Oznajmiłem Flawii, że kupuję wielbłądy, bo nie chciałem mówić jej prawdy. Powiedziałem, że wrócę za czterdzieści dni, bo wiedziałem, że jak nie wrócę, to przekona kogoś takiego jak ty, by mnie odnalazł. I miałem rację, skoro tu jesteś. Jej bardzo trudno odmówić, co najwyraźniej sam odkryłeś.

- Jestem tutaj, bo poinformowano mnie, że obywatel Rzymu został prawdopodobnie sprzedany w niewolę - odparł nonszalancko Wespazjan.

- Bzdura. Jesteś tu, bo chciałeś zaimponować Flawii.

- Nie bądź śmieszny, to był mój obowiązek - wybuchnął Wespazjan.

Kapella uśmiechnął się.

- Nie wstydz się tego, ani trochę cię za to nie winię, a kto wie, jeśli jej zaimponujesz wystarczająco mocno, to może rzuci mnie dla ciebie i wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Zrobiła na mnie wrażenie bardzo wobec ciebie lojalnej.

- Bo jest i będzie lojalna, dopóki ktoś inny nie przejmie tej lojalności. Powiedzmy, że ona lubi mieć pewność, iż jej lojalność jest dobrze wynagradzana. W każdym razie zrobiła, co do niej należało, i ocaliła mnie przed bardzo nieprzyjemnym końcem mojego życia.

- Za co musisz zapłacić, a także zrekompensować mi moje wysiłki.

- Kwestorze, jestem przekonany, że mój patron, dla którego odbyłem tę podróż, będzie zachwycony, mogąc wypłacić ci marne kilka tysięcy denarów, jeśli tylko sprowadzisz mnie z powrotem do Cyreny z tym, co dla niego mam. Jeśli zaś chodzi o to, czego ty chcesz, to będziesz musiał zwrócić się do niej.

Wespazjan zmarszczył brwi i zerknął na Kapellę, zastanawiając się, czy jego pragnienie posiadania Flawii jest aż tak widoczne.

- Oddałbyś mi Flawię? Dlaczego?

- Bo zaczęła mnie już nużyć. Jest dużym obciążeniem dla moich dochodów i jest bardzo wymagająca... choć w dużym stopniu rekompensują to jej wdzięki. Jeśli jesteś na tyle lekkomyślny, by przejąć te wydatki, to proszę bardzo, weź ją sobie, z tym że ja nie mogę ci jej dać, to musi być decyzja Flawii. Zatem przyjmijmy, że rzecz jest ustalona, i ruszajmy, jak tylko twoi ludzie odzyskają moje rzeczy. - Kapella zatrzymał się przy wejściu do zagrody i z miłym uśmiechem wyciągnął rękę.

Wespazjan ją uściskał, oszołomiony, że Kapella tak łatwo rezygnuje z takiej kobiety.

- Jesteś niezwykle wspaniałomyślny, Kapello.

- Tak sądzisz?

- Kwestorze, lepiej przyjdź tu i popatrz na to - zawołał Korwinus od strony namiotów, przerywając im rozmowę.

Wespazjan podszedł do prefekta.

- O co chodzi?

- Magnus odkrył szkatułę zakopaną pod namiotem wodza.

- Aha, świetnie - zawołał Kapella, idąc za Wespazjanem - należy do mnie.

Prefekt przyglądał się, jak Magnus i Ziri wyciągają z płytkiej dziury w piasku niewielką drewnianą szkatułę.

Wespazjan wskazał palcem Ziriego.

- Dlaczego on przy tym pomaga? - zapytał.

- Uparł się, żeby iść ze mną; prawdę mówiąc, pokazał mi nawet, gdzie mam szukać - odparł Magnus, kiedy postawili szkatułę obok stosu cennych przedmiotów wyciągniętych wcześniej z namiotu; do rączki miała przywiązane dwa klucze.

- Tak, należy do mnie - potwierdził Kapella.

- Jak możesz to udowodnić? - spytał go Korwinus, a Wespazjan schylił się i odwiązał klucze.

- To proste, mogę wam powiedzieć, co jest w środku, i pozwolić wam ją otworzyć, ale nie sądzę, byście mi za to podziękowali.

Wespazjan wsunął klucze do zamków umieszczonych po bokach szkatuły.

- A niby czemu nie?

- Bo ona może jest i moja, ale jej zawartość należy do mojego patrona. Załatwiłem jego sprawy tutaj, w Siwie, i wracałem do Cyreny, kiedy pochwycili mnie Marmarydowie. Gdyby mój patron dowiedział się, że widzieliście to, co dla niego wiozłem, musiałby was zabić.

Wespazjan spojrzał na Magnusa.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

- Myślę, że zależy to od tego, kto jest tym patronem.

Kapella skinął z aprobatą głową.

- Twój człowiek jest bardzo mądry, Wespazjanie; zawsze lepiej trzymać się z dala od polityki cesarstwa, jeśli tylko da się tego uniknąć. Mój patron jest... jak mógłbym to ująć... blisko czubka cesarskiego drzewa.

Wespazjan wyjął klucze z zamków.

Świtało, kiedy Wespazjan dokonywał przeglądu obozu. Ludzie z miasta i wszyscy uwolnieni całą noc ciężko pracowali. Zakopali resztki spalonych namiotów i ciała zabitych; miejsca te znaczył teraz co prawda mokry piasek, ale i tak wkrótce miał wyschnąć.

Wszystko, co dało się uratować, załadowano na wielbłądy, mniej więcej stu niewolników z rękoma spętanymi na plecach powiązano ze sobą w rzędkę. Pozostali utworzyli nieregularną kolumnę i byli gotowi wracać do miasta.

- Prowadź, Korwinusie - rozkazał Wespazjan.

Prefekt ostrym głosem rzucił komendę i znajdujący się na czele kolumny żołnierze ruszyli.

- Miejmy nadzieję, że Marmarydowie dojdą do wniosku, że ich karawanę pogrzebała burza piaskowa na pustyni, a nie ludzie z miasta w tym miejscu - odezwał się Wespazjan do Magnusa, kiedy patrzyli obaj na ruszającą powoli kolumnę - bo w przeciwnym razie miejscowi wpadną po szyję w gówno.

Magnus wzruszył ramionami.

- Może to ich nauczy gościnności i nie będą upijać ludzi po to, by ich sprzedać.

- No cóż, będą mieli do sprzedania tych wszystkich niewolników, kiedy następnym razem Marmarydowie wpadną do nich z wizytą. W zasadzie powinienem spróbować oddać niewolników właścicielom, ale to chyba byłoby zupełnie niemożliwe, dałem ich więc ludziom z miasta w zamian za wszystko, co nam potrzebne na powrotną drogę przez pustynię.

- Rozumiem, że twoja pogawędka z Kapellą przebiegła pomyślnie, skoro on najwyraźniej wraca z nami.

- Tak, bardzo pomyślnie, dzięki.

- I?

- I powiedział, że jego patron zrekompensuje straty prowincji.

- I?

- I że odda mi Flawię, jeśli sam się do niej zwrócę, a ona nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Tak po prostu?

- Tak.

Magnus zaczął się śmiać.

- Co w tym takiego zabawnego?

- Bystrzak z niego, o tak.

- Niby dlaczego?

- Założę się, że powiedział tak: weź ją, jeśli zechce do ciebie pójść, kosztuje mnie fortunę i już mi się znudziła.

- Tak to mniej więcej brzmiało, rzeczywiście - przyznał Wespazjan, zaskoczony trafnością wypowiedzi Magnusa.

- Dałeś się wykiwać.

- Co masz na myśli?

- Powinieneś kazać mu przysiąc, że się jej wyrzeknie, bo wtedy nie miałaby wyboru, musiałaby pójść do ciebie, bo inaczej zostałaby sama, bez protektora, w obcej prowincji. Tymczasem on ci powiedział: idź i ją poproś, mnie nie zależy.

- I zrobię to - zapewnił go Wespazjan przez zaciśnięte zęby.

- Ależ, panie, nie rozumiesz? Ona rzuci jedno spojrzenie na ciebie, kvestora w jednej z najmniej prestiżowych prowincji w całym cesarstwie, który będzie miał szczęście, jeśli zakończy swoją kadencję z wystarczającą ilością gotówki, by zapewnić kobiecie takiej jak ona klejnoty i pachnidła na kilka następnych lat; a potem popatrzy na swojego bogatego mężczyznę, który ma kontrakt na dostawę dzikich zwierząt do cyrków w Afryce, ma też zapewne własny statek i kontakty na wysokim szczeblu. Co postanowi?

- Jestem zamożny, mam swoje posiadłości.

- Tak, ale pieniądze są w ziemi, mułach i niewolnikach. Ona na pewno nie zechce pójść z tobą do jubilera, kiedy będziesz ciągnął za sobą ryczącego muła, by nim zapłacić, nie uważasz? Ani nie zamierza mieszkać w posiadłościach, otoczona przez miejscowych kmiotów; będzie chciała mieć piękny dom na Eskwilinie.

- Mam też gotówkę. - Wespazjan prawie krzyknął.

- Nie tyle co Kapella.

Młody Rzymianin otworzył usta, po czym uświadomił sobie, że ten spór nie ma sensu; Magnus miał rację. Przyłożył rękę do czoła i masował je długą chwilę.

- Dał mi szansę jej zdobycia, wiedząc, że ona powie nie; zatem pozbył się wobec mnie zobowiązań i nie kosztowało go to nawet jednego miedziaka. Imponujące!

- Też tak uważam.

- Cwany drań, a ja nie mogę zerwać naszej umowy. - Starając się, bezskutecznie zresztą, ukryć zażenowanie, że dał się nabrać, ruszył przed siebie, zostawiając Magnusa z rozbawioną miną.

Szedł energicznym krokiem wzdłuż zagłębiającej się w palmowy gaj kolumny i rozpamiętywał swoją naiwność. Dał się ponieść wysokiemu mniemaniu o sobie we wszystkim, co robił od spotkania Flawii. Był przekonany, że działa we własnym interesie, dopiero teraz uświadomił sobie, że to Kapella, mężczyzna starszy i bardziej przebiegły od niego, mami go przez cały czas. I na dodatek zamierzał odmówić mu nagrody, której użył, by go skusić: Flawii.

Ten człowiek miał rację: uznał, że Wespazjan jest tutaj wyłącznie po to, by jej zaimponować.

Przypomniał sobie ostatnie rozmowy ze swoją babką Tertulą i wiedział, że byłaby

wstrząśnięta jego postępowaniem. Nie szedł bowiem za głosem serca i nie zastanawiał się, co jest właściwe, tylko działał z osobistych pobudek. Kierowany przyziemnym pożądaniem wykorzystał władzę w niedojrzały i nieprzemyślany sposób, wyłącznie dla osiągnięcia swoich celów, a wszyscy ci ludzie zginęli z powodu jego arogancji. Zapomniał o ideałach, które przyjął, kiedy pierwszy raz ujrzał Rzym - wtedy nawet przyjęcie łapówki uważał za rzecz niestosowną - i ogarnął go wielki wstyd.

- Kwestorze! - zawołał jakiś głos ze środka kolumny, wrywając go z tych samopotępiających rozmyślań.

Odwrócił się i zobaczył, że jakiś trzydziestokilkuletni mężczyzna przepycha się w jego stronę.

- O co chodzi? - zapytał zadowolony, że może zająć umysł innymi sprawami.

- Po pierwsze, muszę ci podziękować za uratowanie nas od śmierci na pustyni - oświadczył, zrównując się z nim, mężczyzna.

- Powinieneś podziękować tym, którzy wtedy zginęli, nie mnie - odparł Wespazjan, spoglądając z ukosa na mężczyznę, który sądząc po rysach twarzy i nakryciu głowy, był Żydem.

- Taka odpowiedź mogła paść tylko z ust człowieka, który wie, co to współczucie - odparł Żyd. - W każdym razie to ty poprowadziłeś ich na nasz ratunek, podczas gdy mogłeś nie ruszać się z Cyreny, a nas zostawić własnemu losowi.

- Gdybyś tylko znał całą prawdę - powiedział Wespazjan, w dużej mierze do siebie.

- Jakakolwiek by ta prawda była, to nie zmieni faktu, że tobie zawdzięczamy wolność, więc wszyscy tu obecni ludzie mają wobec ciebie dług. Ja osobiście nigdy o tym nie zapomnę.

Wespazjan mruknął coś pod nosem i zapytał:

- A po drugie?

Żyd obrzucił go pytającym spojrzeniem.

- Że co?

- Powiedziałeś „po pierwsze”, więc przypuszczam, że będzie „po drugie”.

Przez kilka kolejnych kroków Żyd nie spuszczał z niego wzroku.

- Przepraszam, że pytam, kwestorze - odezwał się w końcu - ale bardzo przypominasz wyglądem człowieka, którego spotkałem w Judei, porządnego człowieka, niejakiego Tytusa Flawiusza Sabinusa.

- To mój starszy brat - oświadczył Wespazjan, ocierając pot z czoła, bo słońce tymczasem powędrowało wyżej i zrobiło się gorąco.

- W takim razie jestem podwójnie twoim dłużnikiem, ponieważ to on przyspieszył śmierć mojego krewnego na krzyżu; rozkazał centurionowi przebić go oszczepem, zamiast łamać mu nogi i pozwalać, by umierał w męczarniach. A potem oddał nam jego ciało.

- Dlaczego ukrzyżowano twojego krewnego?

- To coś, czego tak naprawdę nikt nie był w stanie zrozumieć.

- Musiał być przecież winien jakiejś zbrodni.

- Kapłani chcieli, by go ukamienowano za bluźnierstwo, ponieważ nauczał, że my, Żydzi, powinniśmy odłożyć na bok nasze dziesięć przykazań i przestrzegać tylko jednego nowego: Miłuj bliźniego swego jak siebie samego!

- Ale skoro został ukrzyżowany, to znaczy, że był sądzony zgodnie z prawem rzymskim.

- Tak, lecz nie podano uzasadnienia wyroku. Co się stało, to się nie odstanie. Jego nauki żyją pośród mojego ludu, bo przetrwały jego śmierć dzięki tym, którzy byli najbliżej niego i podziwiali jego zdolność współczucia, choć teraz nas się za to prześladowuje.

- Nas?

- Tak, ja jestem jednym z tych, którzy rozpowszechniają jego nauki.

- To dlaczego nie robisz tego w Judei?

- W jego wizji judaizmu nie ma miejsca dla kapłanów, a ponieważ ci chcą zachować swoją władzę, bezlitośnie nas prześladowują.

- Zatem uciekłeś.

- Nie, kwestorze, jestem kupcem, handluję cyną. Muszę zarabiać na życie i jednocześnie głosić jego słowo, więc robię to w gminach żydowskich tych miast portowych, które odwiedzam. Właśnie byłem w drodze do kopalń cyny w południowej Brytanii, poza granicami cesarstwa, kiedy pomiędzy Aleksandrią a Apollonią, podczas napełniania wodą naszych bukłaków, mnie i moich dwóch towarzyszy pochwycili Marmarydowie. Co prowadzi do tego „po drugie”.

- To znaczy?

- Gdy mnie pochwycono, mój statek na pewno popłynął dalej, do Apollonii, by uzupełnić zapasy i wysadzić mojego przyjaciela, który wracał do Cyreny; nie wiem jednak, czy potem popłynął dalej na zachód, czy też zawrócił do Judei, bo załoga zapewne bała się płynąć dalej beze mnie, jako że byłem jedynym spośród nich, który podróżował już do Brytanii wcześniej.

- To co chcesz, bym w związku z tym zrobił?

- Prosiłbym o wyświadczenie mi drobnej uprzejmości, kwestorze, choć świadom jestem tego, jak wiele ci już zawdzięczam.

Wespazjan popatrzył na mężczyznę; nie zobaczył w jego oczach cienia podstęp.

- Mów zatem.

- Bym się dowiedział, którądy popłynęli, i mógł ruszyć za nimi, musiałbyś zajrzeć do zapisków raportów portowego edyla; zapewne przesyła ci codziennie kopię raportu.

- Rzeczywiście. Przyjdź do mnie, kiedy wrócimy do Cyreny.

- Dziękuję, kwestorze - powiedział wyraźnie zadowolony mężczyzna. - Mam na imię Josef. Zapytam o ciebie w rezydencji namiestnika.

- Dopilnuję, żeby cię wpuszczono.

Wczesnym popołudniem kolumna dotarła do miasta i Wespazjan przespał resztę dnia i całą noc. Był to jego pierwszy porządny odpoczynek od przybycia do Siwy i nawet nieustanny stukot młotków i jęk pił dobiegający z miejsca, gdzie cieśle budowali sześćdziesiąt sanek, które zamówił, nie było w stanie go obudzić.

- Wstań, panie - powiedział Magnus, szarpiąc go za ramię. - Już prawie świt i formują kolumnę.

Wespazjan poczuł się wreszcie wypoczęty i gotowy stawić czoło zmudnej trzystumilowej drodze powrotnej do Cyreny.

Zawiązał wojskowe sandały, przepasał tunikę i ruszył za Magnusem na oświetlony pochodniami plac. Sześćdziesiąt wielbłądów ustawiono w trzech rzędach; do każdego zwierzęcia przyczepiono sanki, na których leżały stosy bukłaków. Wespazjan miał nadzieję, że razem z bukłakami na grzbietach zwierząt zapewnią im dość wody, by mogli przejść pustynię bez korzystania ze studni Marmarydów. Zamierzał obejść je szerokim łukiem, jeśli okaże się to możliwe, obawiając się, by jego słabo osłaniana kolumna nie padła łupem handlarzy niewolników. W miarę opróżniania i wyrzucania bukłaków ich miejsce na sankach mogliby zająć ci, którzy opadliby z sił. Około czterdziestu uwolnionych osób pochodzenia

egipskiego zdecydowało się zostać w Siwie i czekać tu na następną karawanę do Aleksandrii; reszta, ponad osiemdziesięcioro, wyruszyła do Cyreny, doskonale znając niebezpieczeństwa tej podróży.

Przypomniawszy w ostrych słowach naczelnikowi miasta, że ci, którzy zostają, są jego towarzyszami i tym samym znajdują się pod opieką Amona, Wespazjan dosiadł jednego z dwunastu koni, które poza bukłakami, żywnością i sankami udało im się uzyskać drogą wymiany za wszystkich niewolników i kilka wielbłądów, i wydał rozkaz wymarszu. W pierwszych promieniach wylaniającego się zza horyzontu słońca postaci wędrowców rzuciły przed siebie długie cienie, kiedy Wespazjan wyprowadzał z miasta wolno sunącą kolumnę, raz jeszcze wyruszając na bezlitosną pustynię.

Rozdział szósty

Przez ostatnie trzy dni płaskowyż Cyreny nieustannie rósł w oczach. Wespazjan oceniał, że od pogórza dzieli ich niecałe dziesięć mil i że wieczorem rozbiją obóz pośród wątlej roślinności, uczeptionej u dołu pagórków.

Był ranek szesnastego dnia od opuszczenia oazy i teraz już wiedział, że uda im się wrócić. Wątpił w to wielokrotnie podczas tej nieznośnie powolnej wędrówki przez monotonne, spalone słońcem pustkowie. Żołnierze z oddziałów pomocniczych, którzy nie mieli koni, oraz kilkoro z uwolnionych jechali na wielbłądach, pozostali musieli się poruszać pieszo. Ruszali przed świtem i wędrowali jeszcze po zapadnięciu zmroku, zatrzymując się tylko na kilka godzin, kiedy słońce było najbardziej piekące; w ten sposób pokonywali średnio dwadzieścia mil dziennie. Wraz z ubywaniem wody na sankach robiło się więcej miejsca dla kobiet, dzieci i słabszych mężczyzn. Ciągnięto ich po nierównej ziemi, półprzytomnych od żaru lejącego się z nieba. Pierwszy zgon spowodowany porażeniem słonecznym nastąpił czwartego dnia podróży, a potem nie było już dnia, by nie porzucano kolejnego ciała, znacząc trasę wędrówki kolumny.

Wespazjan zauważył, że Josef opiekuje się cierpiącymi, pilnuje, by mieli zakryte głowy, i podaje im wodę, kiedy parę razy w ciągu dnia wolno było dotknąć bezcennych bukłaków.

Prowadził ich Ziri, jadący swobodnie na wielbłądzie; okrążył od południa studnie Marmarydów, a potem skręcił na północny zachód, by kosztem kilku dodatkowych dni wędrówki ominąć szlaki najczęściej wykorzystywane przez handlarzy niewolników. W wełnianej szacie i zawoju na głowie zdawał się być niewrażliwy na skwar. Zabawiał przy tym Wespazjana, Magnusa i Kapellę, nieustannie ćwicząc łacinę - jego biegłość rosła z każdym dniem - i gardłowo wyśpiewując pieśni swojego plemienia. Wespazjan zauważył kilkakrotnie, że po bardziej przejmujących pieniąch Ziri spogląda ze smutkiem na północ, w stronę pastwisk swojego ludu, jakby na zawsze żegnał się z tamtym życiem.

Wydawało się, że w miarę upływu dnia i wraz ze zmniejszającą się odległością do

pogórza tempo marszu rośnie, zupełnie jakby pragnienie zakończenia tej udręki dodawało siły nogom tych wszystkich, którzy musieli podróżować pieszo. Wkrótce zaczęli się piąć ku płaskowyżowi, lawirując pomiędzy ogromnymi głazami i kolczastymi krzewami. Para szakali - pierwsze oznaki życia, odkąd opuścili Siwę - przebiegła im drogę, płosząc Wespazjanowego wierzchowca.

- W jaki sposób dostarczacie niewolników do Garamy, Ziri? - spytał zaintrygowany Rzymianin, kiedy już uspokoił konia. Obejrzał się i wskazał ręką wlokącą się łagodnym zboczem kolumnę. - Ci ludzie ledwo żyją po trzystu milach, a do Garamy jest siedemset.

- Garama, bardzo wolno, dwa księżycy pełne - odparł Ziri, błyskając białymi zębami. - Jedna studnia trzy dni, niewolnicy żyć. Jedna studnia cztery dni, niewolnicy umierać.

- Ale im się to opłaca - wtrącił Kapella. - Garamantowie dobrze płacą za niewolników; stać ich, bo to zaskakująco bogate królestwo.

- Byłeś tam? - spytał Wespazjan, poganiając konia.

- Raz, by wymienić niewolników na dzikie zwierzęta. Mogę tam dostać lwa za dwóch zaledwie niewolników. To zadziwiające miejsce; sześć czy siedem miast na grzbietach wzgórz, których pasmo wyrasta wprost z pustyni. Garamantowie wykopali studnie i zapewnili sobie, jak się wydaje, stałą dostawę wody, kierowaną gdzie trzeba kanałami irygacyjnymi.

- Dużo woda - potwierdził Ziri, kiwając głową.

- Mają na ulicach fontanny i bieżącą wodę, pośrodku pustyni... to wprost niewiarygodne. Uprawiają pszenicę i jęczmień, i figi, a także warzywa, sieją tam nawet trawę dla bydła. Są całkowicie samowystarczalni, jeśli nie liczyć wina i oliwy, i oczywiście tego towaru, jaki im jest najbardziej potrzebny, to znaczy niewolników do pracy na roli. Mają ich tam tysiące, w istocie jest ich więcej niż samych Garamantów.

- Kiedy niewolnicy to sobie uświadomią, Garamantów czeka bardzo nieprzyjemny wstrząs - zauważył Magnus.

- Och, oni są całkiem dobrze strzeżeni... - Kapella zamilkł, kiedy tym razem jego wierzchowiec spłoszył się z powodu kolejnych szakali, które przebiegły im drogę. Uspokoił konia, a wtedy za szakalami podążyła gazela. - A niech to, w życiu nie widziałem czegoś takiego: gazela goni szakale.

Wespazjan roześmiał się i odwrócił ku Kapelli. Uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy zobaczył prawdziwy powód ucieczki zwierząt. Potężne zwierzę wskoczyło na głaz i nie zatrzymując się na nim ani na chwilę, skoczyło z chrapliwym rykiem prosto na dostawcę dzikich bestii.

- Lew! - wrzasnął Wespazjan, ściągając wodze, kiedy zwierzę rzuciło się na Kapellę, wbijając mu w ramiona ostre pazury i powalając krzyczącego przeraźliwie mężczyznę.

Ryk drapieżnika zagłuszył rzenie koni, które wierzgały i stawały dęba, zrzucając jeźdźców. Wielbłąd Ziriego poniósł. Wespazjan spadł ciężko na ziemię obok Magnusa, trzy kroki od znieruchomiałego już Kapelli. Zastygli obaj, wpatrując się w ogromnego samca; lew podniósł ozdobiony bujną grzywą łeb i z groźnym parsknięciem obnażył zakrwawione kły, drapiąc pazurami klatkę piersiową Kapelli, rwąc tunikę i rozdzierając ciało.

- I gdzie jest ten myśliwski oszczep, kiedy go naprawdę potrzebuję? - wymamrotał Magnus, wyciągając powoli długi miecz.

- Podpiera wielbłąda - odparł Wespazjan, sięgając ostrożnie po swój.

- Musimy zabić tego drania, panie; jeśli spróbujemy uciekać, dopadnie nas, to pewne jak to, że westalka zabawia się sama ze sobą.

Lew raz jeszcze wydał potężny ryk, kiedy nadbiegł Korwinus z kilkunastoma żołnierzami.

- Nie zbliżaj się, Korwinusie - rozkazał Wespazjan, nie spuszczać oczu z lwa. - Jeden gwałtowny ruch wystarczy, żeby dopadł któregoś z nas.

Ogon zwierzęcia przeskakował złowrogo z jednej strony na drugą.

- Jeden z nas musi przyjąć na siebie jego atak - powiedział Magnus ostrożnie kącikiem ust - i wtedy drugi uderzy z boku.

- No cóż, to tobie tak zależało na polowaniu na lwy, wobec czego ja zaatakuję z boku.

- Miałem nadzieję, że nie będziesz o tym pamiętał.

Wespazjan zaczął się przesuwać powoli w lewo. Lew potrząsnął łbem i znowu ryknął, kiedy zauważył ruch; Wespazjan zamarł.

- Kici, kici! - zawołał Magnus.

Z groźnym pomrukiem lew wpatrzył się w śmiałka, a tymczasem Wespazjan bardzo ostrożnie przesunął się o kilka kolejnych kroków w lewo.

- Jesteś gotów, panie?

- Jak najbardziej. Bardziej już nie będę.

Magnus naprężył się; lew, wyczuwając zagrożenie, czaił się na piersi Kapelli. Kiedy Magnus z wrzaskiem skoczył do przodu, wyciągając przed siebie miecz, lew natychmiast rzucił się w stronę jego głowy. Wespazjan zerwał się na równe nogi i popędził przed siebie, mierząc czubkiem miecza w muskularny kark zwierzęcia, podczas gdy Magnus schylił się, unikając wyciągniętych łap bestii, na oślep dźgając w masę przelatującego nad nim futra. Lew odwrócił się, sięgając łapą pleców Magnusa, kiedy Wespazjan skoczył na niego, wbijając mu miecz pod grzywę. Rycząc z bólu, zwierzę rzuciło się ku nowemu napastnikowi i z kłapięciem zębów chwyciło go za tunikę, unosząc tylną łapę i przeorując nią lewe udo Wespazjana. Magnus się wyprostował i wbił bark w miękki brzuch bestii, unosząc jego zad w powietrze i spychając łeb w dół. Zwierzę runęło na ziemię, pociągając ze sobą Wespazjana za rękaw, którego nie puściło. Rzymianin leżał na prawej łopatce, a jego miecz wciąż tkwił w karku zwierzęcia. Lew przekręcił się na grzbiet, zrzucając Wespazjana, i wtedy Magnus rzucił się pomiędzy wymachujące w powietrzu zakończone ostrymi pazurami łapy i wbił miecz w brzuch wielkiego kota, obracając nim, kiedy przecinał mięśnie i wnętrzości, i pchając w

górze, pod żebra. Z nadnaturalną siłą zdesperowanego zwierzęcia lew zamachnął się potężną łapą w pierś Magnusa, rozcinając mu głęboko skórę. Uderzenie odrzuciło mężczyznę, a jego miecz pozostał wbity w ciało zwierzęcia. Wespazjan chwycił miecz Magnusa, uniósł się i padł całym ciężarem na jego rękojeść, w momencie, w którym lew wbił mu pazury w bark. Wyjął z bólu, mężczyzna z całych sił napał na miecz, wbijając jego czubek w serce bestii. Poczuli, jak łapa lwa na jego barku sztywnieje, kiedy serce zwierzęcia eksplodowało. Tylne łapy również zeszywniały, po czym zwiotczały i lew padł do tyłu, pociągając Wespazjana, w którego ciele wciąż tkwiły jego pazury.

Magnus wstał z trudem i zataczając się, podszedł do przyjaciela.

- Nie ruszaj się, panie - powiedział i chwyciwszy wielką łapę, oderwał ją od barku Wespazjana, wrywając pazury z przebitej skóry.

Wespazjanowi z bólu kręciło się w głowie.

- A niech mnie, ależ to była ogromna bestia - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- I jaka walka, he? - Magnus się uśmiechnął, dysząc ciężko. Krew sączyła mu się z czterech podłużnych rozcięć, biegnących ukośnie przez klatkę piersiową.

- Godna cyrku w Italii - przyznał Korwinus, podchodząc do nich. - Wy dwaj macie jaja z żelaza, żeby brać się do czegoś takiego. Muszę wam to przyznać.

- Nie dał nam wyboru - mruknął Magnus, pomagając Wespazjanowi wstać.

- Biednemu Kapelli nie dał żadnego wyboru - powiedział Wespazjan i kulejąc, podszedł do poskręcane go i zakrwawionego ciała. - Każ ludziom na nowo utworzyć kolumnę, Korwinusie.

Ukląkł przy Kapelli i delikatnie obrócił jego głowę. Mężczyzna otworzył powoli oczy i skupił wzrok na Wespazjanie; oddech miał płytki i nieregularny, klatkę piersiową poszarpaną.

- Subtelna ironia, nie uważasz? - odezwał się świszczącym głosem; uśmiechnął się blado, a z kącików ust popłynęła mu krew. - Dostawca bestii przez bestię uśmiercony.

- Jeszcze nie umarłeś - odparł Wespazjan, kiedy dołączył do nich Magnus.

- Wkrótce odejdę, nie mam czucia w całym ciele. Posłuchaj, Wespazjanie, jestem zmuszony ci zaufać. Musisz koniecznie dopilnować, by wiadoma szkatuła dotarła do mojego patrona. Jest wyzwolencem w domu Klaudiusza, syna Antonii, na imię ma Narcyz.

Wespazjan zachował obojętny wyraz twarzy.

- Słyszałem o nim - powiedział, nie całkiem zgodnie z prawdą.

- Wobec tego wiesz, że jest człowiekiem bezwzględny i nie należy mu się narażać.

Wespazjan nie odniósł takiego wrażenia, kiedy widział Narcyza, ale domyślał się, że to zapewne Kapella ocenia go właściwie.

- Jak większości ludzi z tych kręgów - przyznał.

- Koniecznie musisz dostarczyć mu tę szkatułę, i to tak, by nie dowiedział się o tym nikt z rodziny cesarskiej. Dlatego właśnie spotkałem się z jego agentem w Siwie, żeby móc ją wywieźć potajemnie z Egiptu. Gdyby znalazła się na statku w Aleksandrii, sprawdziliby ją celnicy i przekazali prefektowi Flakkusowi. Jest całkowicie oddany Tyberiuszowi i posłałby szkatułę jemu, czego właśnie mój patron chce uniknąć.

- Zatem to, o co mnie prosisz, jest zdradą, prawda? Dlaczego sądzisz, że się zgodzę?

- Pieniądze. Weź klucze, miałem je na szyi, powinny leżeć gdzieś blisko. W szkatule jest trochę złota, niewiele, jakieś pięćdziesiąt aureusów, tyle zostało po wydatkach podczas podróży.

- To niewiele.

- W moich interesach nie używa się gotówki. Jest tam też weksel bankowy, płatny na okaziciela, na ćwierć miliona denarów, wystawiony przez Talesa z Aleksandrii; można go zrealizować u niego za pięcioprocentową prowizję albo u braci Kleliuszów na Forum Romanum za dwudziestoprocentową.

Magnus wciągnął z sykiem powietrze.

- Tak czy inaczej, panie, to mnóstwo pieniędzy - oświadczył.

- Narcyz uzna, że zostały dobrze użyte, jeśli dopilnujesz, by reszta zawartości znalazła się u niego.

- A czym jest ta reszta zawartości? - zapytał Wespazjan, zastanawiając się, co też może być aż tak cenne.

- Akty własności ziemi. Przez minione trzy lata Narcyz kupował dla Klaudiusza ogromne połacie ziemi w Egipcie.

- I co w tym złego? Jego matka posiada mnóstwo ziemi w Egipcie.

- Owszem, ale Antonia nie jest potencjalną dziedziczką purpury. - Głos Kapelli słabł z każdą chwilą; mężczyzna odchodził. - W rok dobrych zbiorów dochód z tej ziemi jest ogromny; Narcyz zdobył dla swojego pana fortunę.

- Która, jak ma nadzieję, uczyni go cesarzem?

Kapella skinął słabo głową, oczy miał zamknięte.

- Właśnie, żeby mógł kupić sobie lojalność gwardii pretoriańskiej. Klaudiusz musi zostać następnym cesarzem.

- A co z Kaligulą?

- Kaligula oznacza ruinę Rzymu.

- Kaligula jest moim przyjacielem.

Zaniepokojony Kapella otworzył oczy.

- Bogowie podziemni, cóżem najlepszego uczynił? - wychrypiał. Oddychał z coraz większym trudem. - Narcyz każe za to zabić moją rodzinę - jęknął i wydał ostatnie tchnienie.

- I co teraz zrobimy, panie? - spytał Magnus, kiedy Wespazjan zamykał Kapelli oczy.

- Znajdziemy klucze do szkatuły. - Wespazjan podniósł się z trudem i zaczął rozglądać wokół; bolały go rany na udzie i pulsowało w barku.

Magnus nie próbował mu pomóc.

- Chodzi mi o to, co zrobimy z tą szkatułą? - dodał.

- Jasne, że zabierzemy ją do Antonii i niech ona decyduje.

- Mam lepszy pomysł. A jakby tak zabrać złoto i weksel, a resztę spalić? W ten sposób będziesz się trzymał z daleka od cesarskiej polityki. Kiedy ostatni raz się w nią wplątałeś, to o ile dobrze pamiętam, niewiele brakowało, by zrzucili mnie z nadmorskiej skały.

- Mam je - powiedział Wespazjan, schylając się i podnosząc klucze. - Obawiam się, że jest na to za późno, bo już jestem wplątany. Kiedy Kapella nie pojawi się w Rzymie z tymi aktami własności ziemi, Narcyz przeprowadzi śledztwo. Jego agentom nie zajmie dużo czasu wykrycie, że to ja ocaliłem Kapellę z rąk Marmarydów, ale że zmarł w drodze powrotnej. Założy, słusznie zresztą, że mam te akty, i choć ma wobec mnie dług wdzięczności, znajdzie sposób, by mi je odebrać. Gdybym je spalił, nie uwierzyłby mi, a ja nie miałbym nic, co mógłbym przeciwko niemu wykorzystać. Mam więc tylko dwie możliwości; bezzwłocznie mu je oddać i narazić się na gniew Antonii albo oddać je Antonii i ściągnąć na siebie gniew Narcyza.

- Antonia nie musi nic wiedzieć.

Wespazjan spojrział na przyjaciela, unosząc brwi.

- Naprawdę uważasz, że to możliwe?

- No cóż, nie, chyba nie, na pewno ma szpiega w domu Klaudiusza. W takim razie masz rację, najlepszym rozwiązaniem jest dać je Antonii.

- No pewnie, bo prędzej ona uchroni mnie przed Narcyzem niż Narcyz przed nią, a poza tym, gdybym wystąpił przeciwko niej, straciłbym wszelki kontakt z Cenis.

- Co nie byłoby takie najgorsze, jeśli pozwolisz, że tak powiem.

- Niby dlaczego?

- No cóż, teraz, kiedy Kapella nie żyje, komu przypadnie zadanie opieki nad Flawią? Odniosłem nieodparte wrażenie, że bardzo ci zależy, by zająć to konkretne wolne miejsce, jeśli wiesz, co mam na myśli?

- Wiem doskonale - odparł Wespazjan z uśmiechem - ale to rzeczywiście wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności. Te pieniądze ze szkatuły pozwolą mi odpowiednio urządzić je obie.

Wieczorem dwa dni później, w miarę zbliżania się do południowej bramy Cyreny, Wespazjan był coraz bardziej zaniepokojony. To, co z większej odległości wydawało się zwyczajnym dymem z miejskich piekarni, kuźni i kuchni, nad północno-wschodnią częścią miasta okazało się zdecydowanie bardziej gęste.

- Wygląda na to, że w żydowskiej dzielnicy dolnego miasta jest pożar - odezwał się do Magnusa, który jechał pomiędzy nim i Zirim.

- Cóż, jeśli tylko nie rozprzestrzeni się do łaźni w rezydencji namiestnika, to mam to w nosie - odparł Magnus, drapiąc się po zabandażowanej klatce piersiowej. - Muszę przecież zeskrobać z siebie całą pustynię.

Wespazjan pomasował poraniony bark; pulsował nieustannie, a teraz na dodatek zaczęła się z niego sączyć żółta ropa.

- Masz rację, też niczego nie będę robił, dopóki mi tego nie oczyszczą i nie przyżegą. Kiedy dojedziemy, pošlę po Marcjusza Festusa, prefekta kohorty tutejszych oddziałów pomocniczych; cokolwiek się pali, to na pewno zajmują się tym jego ludzie.

Przejechali przez bramę, obok której o dziwo nie było żadnych żebraków, i skierowali się do rezydencji namiestnika, usytuowanej w sercu miasta. Za ich plecami kolumna się rozproszyła, bo wyczerpani ludzie szli każdy w swoją stronę, wiedząc, że nie mogą się spodziewać dalszej pomocy od Rzymu. Kilku szczęśliwców miało domy w mieście, pozostali jednak musieli liczyć na uczynność krewnych, przyjaciół czy obcych, żeby móc dotrzeć do celu podróży.

Kiedy ostatni zniknęli w bocznych ulicach, Wespazjan zauważył dziwną pustkę dookoła.

- Korwinusie - zawołał do jadącego za nim prefekta jazdy - czy dla ciebie to wygląda normalnie?

- Nie, a popatrz na okna, większość ma zamknięte okiennice.

- Może są jakieś igrzyska - zasugerował Magnus. - Jest tutaj amfiteatr, prawda?

- Tak, ale nawet wtedy byliby jacyś ludzie na ulicach, tacy, którzy nie mogli się tam dostać, albo wrażliwcy.

- Nie znoszę tych wrażliwych.

Kiedy dotarli do Forum, okazało się, że i ono jest puste. Wespazjan ostrożnie zsiadł z konia przed rezydencją namiestnika i popatrzył na Korwinusa.

- Prefekcie, ty i twoi ludzie jesteście wolni, podziękuj żołnierzom ode mnie.

- Tym, którzy przeżyli - odparł kwaśno Korwinus - i wątpię, by twoje podziękowanie zrekompensowało im utratę towarzyszy broni i trudy, jakie znosili podczas tej nieprzemysłanej wyprawy.

- Zabierz wielbłądy, sprzedaj je i wykorzystaj pieniądze na rekrutację kolejnych żołnierzy - zaproponował Wespazjan, nie zwracając uwagi na drwinę.

- Tak zrobię.

- Możesz też spędzić tutaj noc i zjeść ze mną wieczerzę, zanim powrócisz do Barki.

- Dzięki, kwestorze, wolę jednak sam sobie wybrać towarzyszy posiłku - powiedział Korwinus, zwracając wierzchowca. - Pewnego dnia ci się przypomnę - wycedził złowieszczo i pognął galopem.

Jego ludzie, zabrawszy wielbłądy, ruszyli za nim.

- Miałeś rację - zauważył Magnus - on cię naprawdę nie lubi.

- Pies z nim tańczył - rzucił Wespazjan, wchodząc na schody. - Wyciągnąłem do niego gałązkę oliwną, a on jej nie przyjął. Jak chce być moim wrogiem, to niech będzie.

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał kiedyś tego żałować.

- Dzięki bogom, kwestorze, że wróciłeś - zawołał, podbiegając do wchodzącego do atrium Wespazjana Kwintyliusz, jego sekretarz.

- Co się dzieje, Kwintyliuszu?

- Przez ostatnie trzy dni Żydzi biją się między sobą. W mieście są już setki zabitych.

- A gdzie jest Marcjusz Festus i jego żołnierze?

- Teraz zdołał już ograniczyć walki do dzielnicy żydowskiej.

- Niech przyjdzie złożyć mi meldunek i wezwij medyka, żeby zajął się moimi ranami.

- Udało nam się ugasić większość pożarów, ale na terenie kontrolowanym przez uczestników zamieszek wciąż jest ich kilka - meldował Festus, trzymając lampę medykowi, żeby mógł lepiej widzieć w zapadającym zmroku. - Jest ich kilka tysięcy, ale wszystkich okrążyliśmy już w ośmiu ulicach dzielnicy żydowskiej; zbudowali tam barykady, które jutro o świcie zamierzam zaatakować.

- Zatem nie wiesz, co było powodem wybuchu tak gwałtownych zajęć? - spytał Wespazjan przez zaciśnięte zęby, bo medyk właśnie oczyszczał mu octem ranę na barku.

Festus pokręcił głową. Miał około czterdziestki, był żołnierzem zawodowym, który doszedł do obecnej rangi, zaczynając od szeregowego legionisty.

- Nie, kwestorze, pewności nie mam, ale wygląda na to, że wszystko zaczęło się na głównym placu dolnego miasta. Pewien młody człowiek regularnie głosił tam swoje nauki i coraz więcej ludzi przychodziło go słuchać. Widziałem go kilkakrotnie i nigdy nie mówił nic przeciwko Cesarowi czy Rzymowi, zatem, jak kazałeś, zignorowałem to.

- Czego naucza?

- Nie wiem; czegoś o ich żydowskim bogu. Słyszałem, jak kilka razy mówi „odkupienie w dniu sądu ostatecznego”, ale naprawdę nie zwracam na jego słowa uwagi; zawsze ma przy sobie młodą kobietę z dwojgiem dzieci, ale ona się nigdy nie odzywa.

- A tak, pamiętam, widziałem go kilka dni przed wyprawą do Siwy. Wiesz, kim on jest? - spytał Wespazjan, krzywiąc się, bo medyk zaczął właśnie zakładać mu szwy na barku.

- Wiem tylko, że nieco ponad miesiąc temu przyplłynął tutaj na judejskim statku handlowym.

- Jaki towar wozi ten statek?

- Cynę, według zapisów edyla portowego.

- Cynę? Statek wciąż tu jest?

- Nie, według tych samych zapisów odpłynął dzień po wybuchu zamieszek.

- No dobrze, zduś jutro te przekłete rozruchy, a potem znajdź mi tego agitatora. Jeśli to on jest przyczyną tego wszystkiego, pošlę go do namiestnika. Niech go ukrzyżują. Kwintyliuszu!

- Tak, kwestorze? - zawołał urzędnik, wpadając przez drzwi.

- Pewien Żyd o imieniu Josef poprosi o wysłuchanie; muszę się z nim zobaczyć, jak tylko się zjawi.

- Tak, kwestorze.

- I dowiedz się, gdzie mieszka ta kobieta, Flawia Domicylla, która przyszła do mnie. Chciałbym, by jutro, kiedy rozwiążemy już ten problem z Żydami, przyszła do mnie na kolację.

- Tak, kwestorze. Czy to już wszystko?

Wespazjan drgnął, kiedy medyk zaczął mu oczyszczać rozcięcia na udzie; machnął ręką, jego sekretarz uklonił się i wyszedł.

- Dzięki, Festusie, dobrze się sprawiłeś. Teraz wracaj do swoich żołnierzy. Zjawię się o pierwszym brzasku, żeby ocenić sytuację, zanim zaatakujesz barykady. Aresztuj członków żydowskiej starszyny i przyprowadź ich tutaj, by wyjaśnili zachowanie swoich ludzi. Chcę wiedzieć, czy istnieją jakieś powody, które pozwolą potraktować łaskawie uczestników zamieszek.

Następnego dnia przed świtem Wespazjan w wojskowym stroju kroczył przez atrium,

gotów tłumić zamieszki i zdecydowany zająć się wieczorem uwodzeniem Flawii Domicylli.

Magnus czekał na niego, siedząc na brzegu jednego z opuszczonych biurk urzędników.

- Dzień dobry, panie, jak się czujesz?

- Pewnie tak samo jak ty, zeszywniały - odparł, trąc zabandażowane udo. - Przynajmniej w barku przestało mi pulsować. Po co wstałeś? Nie musisz tam ze mną iść.

- I przegapić okazję do walki ulicznej? Jeszcze czego, przecież byłem w miejskiej kohorcie, jeśli nie zapomniałeś. Uwielbialiśmy, kiedy po wyścigach stronnictwa poszczególnych zespołów napadały na siebie. To były jedyne walki, w jakich mieliśmy okazję brać udział. Świetna zabawa, chyba że trzeba było dołożyć Zielonym, bo wtedy trochę im odpuszczałem, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- No cóż, wśród tych nie będzie żadnych Zielonych.

- Jasne, będę sobie wyobrażał, że tam są sami Czerwoni.

- Kwestorze - powiedział Kwintyliusz, wchodząc głównymi drzwiami - ten Josef jest wśród czekających na zewnątrz.

- Świetnie. Odnalazłeś Flawię Domicyllę?

- Nie, kwestorze, nie było wcześniej dość czasu, ale o świcie wyślę więcej ludzi na poszukiwanie.

- Zrób to - powiedział Wespazjan i wyszedł na chłodne nocne jeszcze powietrze.

Zgromadzeni interesanci natychmiast go otoczyli, wymachując zwojami i wykrzykując prośby i skargi.

- Poczekajcie na mnie - rzekł, odsuwając wyciągnięte ręce - zajmę się wami, jak

wrócę. - Na tyłach tłumu zauważył Josefa i wskazał go ręką. - A ty chodź ze mną - powiedział.

Żyd wyrwał się z cizby i dołączył do schodzącego po schodach Wespazjana. Magnus odepchnął ostatnich natrętnych suplikantów.

- Czy ten człowiek, którego przewoziłeś do Apollonii, miał ze sobą młodą kobietę i dwoje dzieci?

- Na statku była kobieta z dwojgiem dzieci, ale ona nie towarzyszyła Szymonowi; podróżowała we własnych sprawach do południowej Galii, żeby uniknąć prześladowania z rąk judejskich kapłanów.

- Cóż, wygląda na to, że teraz towarzyszy temu Szymonowi; była z nim, kiedy wzywał do tego powstania.

- Szymon nie wzywałby do buntu.

- Nie? To wyjaśnij mi w takim razie, dlaczego żydowska dzielnica tak kipi.

- To nie jest wina Szymona. On naucza pokoju, tak jak i ja. My postępujemy zgodnie z prawdziwą nauką mojego ziomka Joszui.

- To ten człowiek, którego, jak mówiłeś, ukrzyżowano?

- Tak, kwestorze. Był dobrym człowiekiem, który wierzył, że my, Żydzi, powinniśmy okazywać sobie wzajemnie miłość i współczucie, nadchodzi bowiem kres dziejów i tylko sprawiedliwi zostaną ocaleni w dniu Sądu Ostatecznego.

- Ocaleni od czego? - spytał Wespazjan, kiedy opuszczali Forum.

Na ulicach widoczne były ślady toczonych przez trzy dni walk.

- Od wieczystej śmierci. Będą żyć wiecznie w ziemskim raju, razem ze

sprawiedliwymi, zgodnie z bożym ładem, który zapanuje po końcu świata.

- I to dotyczy tylko Żydów?

- Każdy się może nawrócić, pod warunkiem że przestrzega bożych praw, które spisane są w pięciu księgach Tory, i zgodzi się na obrzezanie.

- A to co takiego? - spytał Magnus, dając krok nad przewróconym kramem.

- Usunięcie napletka.

Wespazjan patrzył na mężczyznę z niedowierzaniem.

- Nigdy nie zrozumiem was, Żydów. Chcesz, bym uwierzył, że obcięcie człowiekowi napletka uczyni z niego sprawiedliwego?

Josef wzruszył ramionami.

- Takie jest boże prawo - oświadczył.

- Cóż, możecie go sobie przestrzegać, jeśli wam to odpowiada, ale nie narzucajcie tego innym.

- Nie robimy tego, nauczamy jedynie naszych żydowskich braci, którzy zbłądzili. Jozua wypowiedział się jasno w tej sprawie: nie powinniśmy nieść słowa bożego do nie-Żydów, a nawet do Samarytan, którzy postępują według heretyckiej wersji Tory.

Wespazjan chrząknął tylko i w milczeniu szedł dalej, ku dolnemu miastu, zastanawiając się, dlaczego ci ludzie wierzą, że jedynie oni rozumieją wolę Boga, i są tak uparci, że nie przyjmują żadnego innego punktu widzenia.

Kiedy wiszące wysoko chmury zapłonęły pomarańczowo od pierwszych promieni słońca, ze spustoszonej zamieszkałej głównej ulicy skręcił w prawo i zobaczył ustawiających się centuriami żołnierzy oddziałów pomocniczych, czemu towarzyszyły krzyki centurionów i

ich zastępców.

- Co za przeklęty bałagan - mruknął Magnus, kiedy mijali żołnierzy w kolczugach, usiłujących w półmroku formować szyk. Obrzucali się wzajemnie przekleństwami, gdy owalne tarcze jednych zaczepiały o oszczepy innych, bezlitośnie okładani przez centurionów kijami z winorośli.

- Dla większości z nich to będzie pierwsza akcja - poinformował go Wespazjan, zastanawiając się, czy starczy im dyscypliny, by przeczesać całą dzielnicę i znaleźć odpowiedzialnych za rozruchy.

- Jeśli w taki sposób będą formować szyki, to okaże się ich ostatnią - skomentował Magnus.

- Dzień dobry, kwestorze - pozdrowił Wespazjana Festus, kiedy zbliżyli się do czoła pierwszej centurii. - Żydowska starszyzna czeka na ciebie.

- Dziękuję, prefekcie, każ ich tu przyprowadzić. - Spojrzał w głąb ulicy; mimo słabego światła jakieś sto kroków dalej zobaczył potężną barykadę.

Trzech starych mężczyzn z bujnymi siwymi brodami, odzianych w długie białe szaty i czarno-białe płaszcze zbliżyło się do niego.

- Kto będzie mówił w waszym imieniu? - spytał Wespazjan.

- Ja, kwestorze - odparł stojący pośrodku mężczyzna - na imię mi Menachem.

- Wobec tego, powiedz mi, Menachemie, co było powodem tego wszystkiego?

- Człowiek głoszący herezje.

- Szymon?

- Znasz go, kwestorze?

- Słyszałem o nim. Cóż takiego mógł powiedzieć, co usprawiedliwiłoby te wszystkie zniszczenia i zabójstwa?

- Przeciągnął na swoją stronę setki naszych ludzi. Nie postępują już zgodnie z naszym nauczaniem.

- Aha, więc na tym polega problem; boicie się, że stracie wpływy.

- To, czego naucza, jest bluźniercze.

- Myślałem, że nauki Jozui każą Żydom kochać się nawzajem i postępować zgodnie z Torą... cóż w tym bluźnierczego?

Menachem otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Dużo wiesz jak na nie-Żyda, kwestorze. Masz rację, nie ma w tym nic bluźnierczego. Jednakże Szymon twierdzi, że Jozua był Mesjaszem i synem Boga. Na to nie możemy się zgodzić.

- Więc kazaliście swoim ludziom zabić jego i jego zwolenników.

- Niczego im nie kazaliśmy. W tłumie był agitator, ktoś, kogo wcześniej nie widzieliśmy. On to zaczął, kiedy Szymon wygłosił coś jeszcze bardziej bluźnierczego.

- Mianowicie?

- Że kiedy Jozuę uśmiercono, to on trzy dni później ożył, by dać dowód, że sprawiedliwi zmartwychwstaną.

- Co za brednie. A wy nie zrobiliście nic, by powstrzymać swoich ludzi?

- Po tym stwierdzeniu Szymona agitator zwrócił się do tłumu. Tak ich rozпалиł, że nie chcieli nas słuchać. Powiedział, że niedostatek zboża i nieurodzaj sylfionu to kara boża na nas

za to, że słuchamy kłamstw Joszui.

- Przecież te braki występują już od lat.

Menachem wzruszył ramionami.

- To biedni ludzie, a nieurodzaj uczynił ich jeszcze biedniejszymi. Nie stać ich na ziarno za taką cenę i potrzebują kozła ofiarnego. Rzucili się na zwolenników Szymona, a agitator ich do tego zachęcał, krzycząc, że powinni pochwyć tę kobietę i jej dzieci, którzy zawsze są przy nim. Jednak zwolennicy Szymona powstrzymali naszych ludzi i zdołała uciec z dziećmi. Ale od tamtej pory na ulicach wciąż trwają walki, bo ten agitator nie przestaje ich szukać.

- Przypuszczam więc, że zabarykadowali się w dzielnicy żydowskiej i nie ruszą się stamtąd, póki ich nie znajdą.

- Niestety tak - przyznał ze smutkiem w głosie Menachem, spoglądając w stronę żołnierzy, którym udało się wreszcie stanąć w szyku. - Ten człowiek to fanatyk. Spowodował już śmierć wielu naszych ludzi, a nim dzień dobiegnie końca, jeszcze wielu więcej zginie.

- Jak on wygląda?

- Niski, krzywonogi i brakuje mu połowy ucha.

- No cóż, po tym powinniśmy go rozpoznać. Powiedz mi jednak, Menachemie, co ma ten człowiek przeciwko tamtej kobiecie i jej dzieciom?

- By Bóg sprawił, żeby sylfion znów rósł, powiedział, należy oczyścić mieszkających w Cyrenie członków ludu wybranego przez Boga, zmiatając z powierzchni ziemi potomków Joszui. Twierdził, że to są dzieci Joszui.

Rozdział siódmy

Pierwsze promienie słońca wystrzeliły ponad horyzont i zrobiło się wystarczająco jasno, by można było zauważyć ewentualne zasadzki w uliczkach po lewej i prawej stronie zabarykadowanej ulicy. Wespazjan spojrział ku barykadzie wzniesionej z przewróconych wozów, z beczek i połamanych mebli i zobaczył za nią wielu mężczyzn; kilku z nich wychyliło głowy, patrząc w kierunku Rzymian. Domy stojące dalej były w znacznie gorszym stanie niż pozostałe domy w mieście, co świadczyło o panującej w dzielnicy żydowskiej nędzy.

- Daj rozkaz do natarcia, Festusie - zwrócił się do prefekta stojącego obok niego, na czele ustawionych ósemkami żołnierzy pierwszej centurii.

- Nie mogę uwierzyć, że będą na tyle głupi, by stawić nam opór - powiedział Magnus, podając Wespazjanowi owalną tarczę.

- Są zdesperowani, bo przy brakach sylfionu ubożeją. Teraz uwierzyli temu kłamcy, że jeśli zabiją tych dwoje dzieci, to znikną wszelkie nieszczęścia, a ich bóg przywróci urodzaj.

Zabrzmiało cornu, wydając cztery głębokie, dudniące dźwięki, i signifieri, chorążowie, każdej centurii pochyłili znaki; rozpoczęła się atak.

- Tarcze w górę! - krzyknął Festus.

Pięćdziesiąt kroków przed barykadą Wespazjan usłyszał charakterystyczny świst wypuszczonych strzał.

Zacisnął mocniej rękę na uchwycie tarczy, skulił się za nią tak, żeby tylko móc widzieć ponad jej zakrzywioną krawędzią; wyczuł, że żołnierz za nim unosi tarczę nad jego głowę, i modlił się w duchu, by był na tyle doświadczony, żeby ją odpowiednio trzymać. Chwilę później rozległ się stukot żelaznych grotów strzał o dach utworzony z obciążonych

skórą drewnianych tarcz nad głowami żołnierzy. Kilka wrzasków w szeregach potwierdziło mniejszą skuteczność owalnych tarcz w tworzeniu idealnej osłony i brak doświadczenia u trzymających je żołnierzy oddziałów pomocniczych.

Stukot podbitych ćwiekami sandałów o bruk odbijał się echem od ścian po obu stronach ulicy i krążył wokół tej utworzonej na poczekaniu drewnianej skrzyni, w jakiej się zamknęli.

- Członkowie przeklętych stronnictw cyrkowych nigdy nie strzelali do nas z łuków - narzekał idący obok Wespazjana Magnus, kiedy dwie strzały z drugiej nadlatującej chmury grzmotnęły z podwójnym wibrującym hukiem w jego tarczę.

Wespazjan poczuł lekki podmuch, kiedy strzała przeleciała pomiędzy zakrzywionymi krawędziami tarczy jego i Magnusa; żołnierz idący za nim ze zduszonym charkotem osunął się na ziemię, a jego tarcza opadła z dźwięcznym stukotem na hełm Wespazjana. Rzymianin potrząsnął głową, by dość do siebie; chwilę potem wyczuł, że ma nad sobą inną tarczę, bo cały rząd żołnierzy przesunął się do przodu i pierwszy z nich wypełnił lukę.

Dwadzieścia kroków od celu trzeci raz grad strzał zasypał centurię.

- Oszczepy brać, celować nad barykadą - krzyknął Festus, kiedy spadły ostatnie strzały. - Tarcze w dół!

Żołnierze unieśli oszczepy nad głowy.

- Rzucać!

Mniej więcej siedemdziesiąt smukłych pocisków poszybowało w stronę barykady. Większość przeleciała nad nią i obsypała nieosłoniętych tarczami obrońców, zajętych zakładaniem strzał na cięciwy i naciąganiem łuków. Choć oszczepy nie były tak ciężkie jak pilum legionisty, wbijały się w niczym niechronione klatki piersiowe i czaszki, przebijały ręce i nogi, powalając mężczyzn na ziemię wśród bryzgów krwi i przy akompaniamencie okrzyków bólu.

Grad chaotycznie wystrzelonych strzał nie poczynił już żadnych szkód w szeregach atakujących Rzymian.

- Naprzód! - rozkazał Festus, przekrzykując wrzask rannych.

Wyciągając miecze, żołnierze ruszyli truchtem, kuląc się za trzymanymi mocno tarczami.

Wespazjan zamknął oczy pod wpływem wstrząsu spowodowanego zderzeniem z barykadą; żołnierz z tyłu napierał tarczą na jego plecy, pchany przez pozostałych ludzi z ich rzędu. Skrzypiąc drewnem o kamień, barykada przesunęła się do tyłu o kilka stóp, po czym, kiedy napała na nią cała centuria, raptownie się rozpadła. Łapiącego z trudem oddech Wespazjana wciśnięto między fruujące resztki rozsypującej się przeszkody; potknął się o deskę i runął do przodu. Ledwo uniknął rozpaczliwego pchnięcia wrzeszczącego na całe gardło obrońcy, wbijając mu wysoki i twardy pióropusz hełmu w krocze. Kiedy z brzękiem padał na ziemię, czuł, jak żołnierz zza jego pleców, który go ominął, by zamknąć lukę, wbija miecz w klatkę piersiową wrzeszczącego mężczyzny.

Usiłując wstać pośród chaosu spowodowanego przełamaniem barykady, widział tylko sunące do przodu nogi Rzymian. Wrzeszczący żołnierze nie zauważali go, dążąc do bezpośredniego starcia z kiepsko uzbrojonymi obrońcami, kopano go więc i deptano mu po rękach i nogach, zanim zdołał się w końcu podnieść i dołączyć do atakujących.

Znalazł się po drugiej stronie barykady i parł do przodu, uświadamiając sobie nagle, że nieprzyjaciel uległ naporowi żołnierzy i zaczął umykać. Fakt ten potwierdził niski dźwięk rogu oznaczający komendę „stać”.

Przepchnął się przez masę ciężko dyszących żołnierzy na czoło pierwszej centurii, gdzie Festus przyglądał się kilkunastu przerażonym jeńcom, klęczącym na ziemi pośród zakrwawionych ciał swoich zabitych towarzyszy.

- Aha, jesteś, kwestorze - powiedział prefekt z wyraźną ulgą - co mam z nimi zrobić? Już miałem kazać ich zabić.

- Nie, zostaw ich przy życiu. Jeśli Żydzi zobaczą, że bierzemy jeńców, pomyślą, że najrozsądniej będzie dać sobie spokój z tą niedorzeczną awanturą. Wyznacz jedną mniej sprawną centurię do ich pilnowania, a pozostałe niech przeczeszą dzielnicę i sprawę zakończą. Powiedz centurionom, że od tej pory ma być jak najmniej zabijania, a już w żadnym razie nie wolno krzywdzić kobiet ani dzieci.

Im dalej pierwsza centuria zagłębiała się w dzielnicę żydowską, tym bardziej widoczne były skutki zamieszek. Wszędzie leżały ciała, całymi grupami, znacząc miejsca, gdzie toczyły się walki, albo pojedynczo, jakby ci ludzie zginęli podczas próby ucieczki. Byli to w większości mężczyźni w różnym wieku, chociaż Wespazjan zobaczył wśród nich kilka kobiet i dzieci, nie wyglądały jednak na osoby, które mogły towarzyszyć Szymonowi.

Centuria metodycznie posuwała się główną ulicą, pozostałe centurie szły równoległymi ulicami. Po drodze udało im się zakończyć kilka potyczek, przyjść z odsieczą mieszkańcom obleganych domów i odesłać ich w bezpieczne miejsce, wziąć dziesiątki jeńców i zabić najbardziej nieustępliwych uczestników rozruchów po obu stronach. W miarę upływu poranka kohorta wspólnym wysiłkiem żołnierzy znacznie ograniczyła obszar walk.

- Ci Żydzi muszą nienawidzić tego nowego kultu jak zarazy - oświadczył Magnus, kopiąc odcięte owłosione ramię w stronę ciała, do którego najwyraźniej przedtem należało. - Zupełnie tego nie pojmuję. Pomyśl tylko, jaki zrobiłby się zamęt, gdybyśmy zaczęli walczyć między sobą o to, czy Marsowi powinno się składać w ofierze czarnego byka, a Jowiszowi białego, czy odwrotnie. Nigdy byśmy niczego nie dokonali.

Wespazjan zrobił krok w lewo, żeby nie wdepnąć we wnętrznosci jakiegoś młodzika z rozplatanym brzuchem.

- I zrobiłoby się nas znacznie mniej - powiedział. - A ponieważ wszystkich bogów traktujemy jednakowo, nikt nie może mieć pretensji, że jego ulubiony bóg jest obdarzany mniejszym szacunkiem. I dzięki bogom, wszystkim bez wyjątku, że tak postępujemy.

- I to nam pozwala podbijać świat. - Magnus zachichotał, a gdzieś w pobliżu rozległy się krzyki.

- Nie zapominaj, że mieliśmy niemało wojen domowych; jednak wybuchały z powodów politycznych, a przypuszczam, że różnice polityczne łatwiej pokonać niż religijne. Według Sabinusa Żydzi spędzają czas na kłótniach o doktryny religijne, co jest zapewne przyczyną, że nigdy nie mieli imperium, niech bogom będą za to dzięki. Wyobrażasz sobie życie w świecie takiej religijnej nietolerancji? Trudno byłoby coś takiego...

- Tolerować?

- Właśnie - zgodził się Wespazjan, szczerząc zęby w uśmiechu.

Główna ulica skręciła ostro, doprowadzając ich na niewielki plac, który był sercem dzielnicy żydowskiej.

- Na jaja Hadesa! - Festus splunął, kiedy stało się oczywiste, co było źródłem krzyków. - Centurionie Regulusie, każ żołnierzom stanąć w szyku i pchnij szybkich posłańców do dwóch najbliższych centurii, żeby natychmiast przybyli nas wesprzeć.

- Tak jest - rzucił wyprostowany primus pilus kohorty i ruszył z powrotem.

Pięćdziesiąt kroków przed nimi kłębił się tłum co najmniej czterystu ludzi, którzy skupili uwagę na trzech domach po drugiej stronie placu. Jeden z nich płonął. Nad wrzeszczącą tłuszcą unosił się czarny dym.

Żołnierze pierwszej centurii wysypali się z głównej ulicy na plac i ze stukotem podbitych sandałów ustawili się w poprzek jej wylotu w dwóch szeregach - dopiero wtedy ktoś zauważył ich obecność. Mężczyźni znajdujący się z tyłu odwrócili się, zaczęli odrywać od pozostałych i wymachując bronią, mieczami, pałkami i łukami, ruszyli w stronę tworzących cienką linię żołnierzy.

Uwagę Wespazjana przyciągnęły dobiegające z obu stron krzyki; to pojawiły się centurie idące dotąd dwiema równoległymi ulicami, a teraz błyskawicznie formujące się po obu bokach pierwszej.

Na ten widok prowodyrowie się zatrzymali, nie mając ochoty walczyć z ponad

dwustoma uzbrojonymi i osłoniętymi tarczami żołnierzami, natomiast ci za nimi posuwali się dalej, coraz ciasniej zbijając tłum, jako że mężczyźni na jego czele nie zamierzali się ruszyć.

Na rozkaz Festusa odezwał się róg; uderzając głośno mieczami o tarcze, żołnierze wszystkich trzech centurii wystawili do przodu lewe nogi, następnie wysunęli przed siebie tarcze i cofnęli miecze do tyłu, do prawego biodra, ustawiając je nieco skośnie do góry, gotowi wykonywać zabójczą robotę.

- Wygląda na to, że chwycili, w czym rzecz - zauważył zza tarczy Magnus, zaskoczony tym równo i jednocześnie wykonanym manewrem.

- Krew im się wzburzyła - stwierdził Wespazjan, obserwując, jak przez tłum przepycha się jakiś niewysoki mężczyzna. - Ten tam wygląda mi na agitatora, którego opisał Menachem. Ma czelność, że się pokazuje.

- Kto tu dowodzi? - zawołał mężczyzna do Rzymian.

- Ja! - krzyknął w odpowiedzi Wespazjan, wysuwając się z szeregu, ale nie opuszczając tarczy.

- Spotkajmy się pośrodku - rzucił rozkazującym tonem mężczyzna, ruszając do przodu na pałakowatych nogach.

- Dlaczego miałbym prowadzić z tobą rozmowy, Żydzie? - spytał Wespazjan, któremu bardzo się nie spodobał tupet tego człowieka. - Powiedz swoim ludziom, żeby odłożyli broń, i wtedy porozmawiamy.

- Jesteś Tytus Flawiusz Wespazjan, kwestor tej prowincji?

- Zgadza się - odparł zaskoczony Wespazjan.

- No cóż, kwestorze, sugeruję, żebyś ze mną porozmawiał - oświadczył obojętnym tonem mężczyzna, zatrzymując się w połowie odległości pomiędzy dwiema stronami.

Mając do wyboru rozmowę z Żydem albo natychmiastowe starcie, Wespazjan ruszył przed siebie, zastanawiając się, czy ten mały człowiek o władcym sposobie bycia może powiedzieć mu coś takiego, co pozwoliłoby zakończyć zamieszki.

- Jestem Gajusz Juliusz Paulus, obywatel Rzymu - oświadczył mężczyzna. Z wyniosłą miną wyjął zwój z torby wiszącej u pasa. - Mam pełnomocnictwo od arcykapłana z Jerozolimy, potwierdzone w imieniu cesarza przez Piłata, prefekta Judei, oraz Flakkusa, prefekta Egiptu. Zostało ono również podpisane przez twójgo bezpośredniego przełożonego, Sewerusa Sewerianusa, namiestnika tej prowincji, kiedy w ubiegłym miesiącu odwiedziłem go w Gortynie, by prosić o zgodę na moje działanie tutaj. Czy teraz ze mną porozmawiasz?

Wespazjan przyglądał się irytująco zadowolonemu z siebie człowieczkowi; brakowało mu połowy lewego ucha, co potwierdzało, że był owym agitatorom, który wzniecił zamieszki.

- Gównu mnie obchodzi, kto podpisał ten świstek papirusu, Żydzie - warknął w odpowiedzi, niezdolny opanować niechęci - ty rozpocząłeś trzydniowe zamieszki, co doprowadziło do śmierci wielu ludzi. Nie sądzę, by ktokolwiek cię do tego upoważnił.

- Polecono mi zrobić wszystko, co okaże się niezbędne, by zdusić herezję głoszoną przez Joszue, a którą jego zwolennicy nazywają Drogą. Polecono mi ponadto dopilnować, by duże społeczności żydowskie zrozumiały, że ten nowy kult jest nie do przyjęcia i stanie się przyczyną nieszczęścia ludu bożego.

- Tak jak te brednie, które rozpowszechniasz, że jest on odpowiedzialny za brak zbiorów sylfionu?

Paulus obrzucił go przebiegłym spojrzeniem.

- Kłamstwo staje się prawdą, jeśli za jego pomocą osiąga się rezultaty, których życzy sobie Bóg.

- Pokaż mi ten dokument.

Paulus wyciągnął gwałtownie rękę ze zwojem, a Wespazjan włożył miecz do pochwy

i wziął papirus.

- Ja, Kajfasz, arcykapłan Żydów - kwestor czytał na głos - lojalny poddany cesarza Tyberiusza, niniejszym pozwalam Gajuszowi Juliuszowi Paulusowi korzystać ze wszelkich środków niezbędnych do wymazania nauk Joszui, syna Josefa, które zagrażają spokojowi cesarza, zarówno w Judei, jak i w żydowskich społecznościach na terenach jego władzy podległych. - Spojrzał na pieczęcie i podpisy: Kajfasz, Piłat, Flakkus i Sewerianus. Oddał zwój.

Paulus uśmiechnął się z wyższością.

- Zatem widzisz, kwestorze, jestem bardzo ważnym człowiekiem z potężnymi patronami. Odniosłem sukcesy w Cezarei i Aleksandrii, a teraz kończę wypełniać swoje zadanie w Cyrenie. Potem wrócę na Wschód.

- To nie daje ci prawa do popełniania morderstwa.

- To nie morderstwo, to egzekucja - odparł Paulus - i jest to czysto wewnętrzna żydowska sprawa. Już skazałem tego nauczyciela, Szymona z Cyreny, na śmierć, a w jednym z domów za moimi plecami znajdują się żona Joszui i jego dzieci; dopóki żyją, będą rozgłaszać kłamstwa. Zatem, kwestorze, pozwól mi wykonać wolę Bożą i nie sprawię ci dłużej kłopotu, bo czeka mnie dużo pracy w Damaszku, gdzie również zakorzeniła się ta straszna sekta.

- Widziałem już egzekucje dzieci, bo nosiły imię swojego ojca, i więcej nie będę tego oglądał.

- Nie masz dość władzy, by mnie powstrzymać.

Wespazjan chwycił Paulusa za ramię i okręcił go, ściskając lewym ramieniem jego szyję, po czym wyciągnął sztylet i przyłożył czubek tuż przy nerkach mężczyzny.

- Może nie mam władzy, ale mam wolę. Jeden fałszywy ruch, ty worku gówna, a będzie twoim ostatnim. Festusie! Daj tu ośmiu ludzi, żeby aresztowali tego agitatora.

Ze strony tłumu rozległ się ryk protestu, ale ze strachu nikt się nie ruszył.

- Nie możecie mnie aresztować - wrzeszczał Paulus - ja mam stosowny dokument.

Wespazjan przycisnął sztylet, kalecząc skórę Żyda.

- To lepiej go podrzyj, bo jak nie będę cię mógł aresztować, to mój sztylet może się przypadkiem ześlizgnąć. - Przeciągnął ostrzem, rozcinając mężczyźnie ciało.

Paulus wrzasnął z bólu i bezskutecznie próbował się wyrwać. Wziął jednak zwój, przedarł go na pół, potem w poprzek i upuścił kawałki papierusa na ziemię.

- Jesteś równie arogancki jak twój brat, którego miałem nieszczęście poznać w Judei - oświadczył z pogardą.

- Twoja opinia nic dla mnie nie znaczy.

- Jestem człowiekiem o wielkich możliwościach, kwestorze, a powstrzymują mnie małosłowne ambicje ludzi takich jak ty. Zapewniam cię, że pewnego dnia okażę się dla ciebie bardzo ważny.

Wespazjan pchnął Paulusa w stronę żołnierzy.

- Zabierzcie go do portu - rozkazał - wsadźcie na pokład najbliższego statku płynącego do Judei.

Żyd patrzył na niego z odrazą i splunął mu pod nogi.

Wespazjan odwrócił się do niego tyłem i przemówił do tłumu.

- Wasz przywódca podarł dokument upoważniający go do działania i jest już w drodze powrotnej do Judei. Wszyscy ci, którzy teraz rzucą broń, będą żyli, pozostali zginą. Ci, których aresztowano wcześniej, zostaną wysłani do namiestnika i osądzeni. Zalecaną karą jest

śmierć i tego punktu nie będę negocjował. Moi żołnierze są gotowi do akcji. Zatem, co będzie?

Prawie natychmiast ludzie zaczęli rzucać broń na ziemię.

- Prefekcie, zbierz ich wszystkich, każ gasić pożary i usuwać szkody. Jeśli ktoś odmówi, dołączy do więźniów wysyłanych na Kretę. I przyprowadź tę kobietę i jej dzieci do mnie, do rezydencji namiestnika, a także Josefa.

- Jak mam ci dziękować, kwestorze? - mówiła kobieta, szlochając z ulgą, kiedy Kwintyliusz wprowadził ją i Josefa do gabinetu Wespazjana. Padła mu do stóp; dwoje onieśmielonych dzieci stało tuż za nią.

- Jak masz na imię? - zapytał Wespazjan, po czym nachylił się i ująwszy ją za podbródek, unióś jej głowę do góry.

- Miriam, kwestorze.

- I co mam z tobą zrobić, Miriam?

- Pozwól mi zabrać dzieci w bezpieczne miejsce.

- Do Galii?

- Najpierw do Kartaginy, a wiosną popłyniemy do Galii.

- Dlaczego do Galii?

- Jest tam niewielu Żydów, nie rozpoznają mnie.

- Dlaczego żydowscy kapłani chcą twojej śmierci?

- Mogę odpowiedzieć na to pytanie - odezwał się Josef. - Trzeciego dnia po śmierci Jozui ona i kilku uczniów udało się do jego grobu, by zabrać ciało do Galilei. Grób okazał

się pusty.

- Ktoś inny wziął ciało?

- Nie wiemy. Arcykapłan Kajfasz chciał pogrzebać Jozuę w nieoznaczonym miejscu, możliwe więc, że strażnicy świątynni cichaczem zabrali ciało z grobu. Oni na nie czekali, ale twój brat oddał je mnie. Możliwe jednak, że on wciąż żyje. Są ludzie, którzy utrzymują, że go widzieli i rozmawiali z nim. Niektórzy powiadają, że udał się na Wschód.

- Przecież to niedorzeczność, ten człowiek został ukrzyżowany. Nawet gdyby w jakiś sposób przeżył, byłby kaleką.

- Wiem. - Josef rozłożył ręce, skulił ramiona. - Tak czy owak, ciała nie było w grobie, a jego potem widziano. Może nie umarł, może zmartwychwstał, jak utrzymują ci, którzy go widzieli, a może ktoś inny go udaje. To nieważne, ponieważ kapłani ścigają wszystkich, którzy mogą zaświadczyć, że grób był pusty albo że Jozua żyje.

- Wiercie sobie, w jakie tylko chcecie brednie - powiedział Wespazjan, a jego myśli zaczęły zwracać się ku Flawii. - Możecie odejść, ale jak i gdzie się udacie, zależy od was. Według raportu edyla portowego wasz statek kilka dni temu zawrócił na wschód.

- Bóg nam pomoże - oświadczyła Miriam, podnosząc się z kolan.

- I znowu jestem twoim dłużnikiem, kwestorze. Bóg z tobą - powiedział Josef.

- Wolę, kiedy ma mnie w opiece więcej niż tylko jeden bóg.

Kwintyliusz otworzył drzwi, wypuszczając całą czwórkę.

- Kwestorze - odezwał się urzędnik, kiedy zostali sami - znaleźliśmy dom, w którym zatrzymała się Flawia Domicylla.

- Doskonale. Czy przyjęła zaproszenie na obiad?

- Nie było jej tam.

- Więc idź i poczekaj, aż wróci.

- Obawiam się, że to bezcelowe. Gospodarz powiedział nam, że dzień po rozpoczęciu zamieszek Flawia Domicylla wsiadła na judejski statek handlowy i popłynęła na wschód.

CZĘŚĆ II

RZYM

LIPIEC, 35 R.

Rozdział ósmy

Co też, w imię Marsa, one wyprawiają? - zwrócił się do Magnusa zaniepokojony Wespazjan, kiedy zobaczył, jak najwyraźniej obłąkane kobiety biegną w ich stronę przez Forum Boarium, okładając się gałązkami.

- Nic, w imię Marsa, panie - odparł Magnus, powstrzymując Ziriego, który zostawił wózek zawierający ich rzeczy oraz szkatułę Kapelli i brał się do obrony ich obu przed nadbiegającymi rozwrzeszczanymi kobietami. - To niewolnice, a zachowują się tak w imię Junony. To ich Caprotinia i wszystkie niewolnice w mieście dostają dzień wolny, żeby mogły biegać wkoło i smagać się gałązkami figowca.

- Po co?

- Nikt tak naprawdę nie wie. - Kiedy już kobiety przebiegły obok, Magnus pomógł kompletnie zdezorientowanemu Ziriemu zająć się ponownie wózkiem. - Słyszałem, że ma to jakiś związek z kobietą uwięzioną w galijskim obozie podczas ich najazdu na Italię. Gałązka z drzewa figowego dała wtedy sygnał naszym chłopcom, żeby dokonali wypadu z miasta i zaskoczyli tych kudłatych drani. A zresztą, gównu to kogo obchodzi, dlaczego one to robią, ważne, że robią i że zawsze następuje po tym wspaniała noc. Bo kiedy już skończą biegać i się okładać, są niezwykle podniecone i bardzo uległe, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem, wiem - odparł Wespazjan, zastanawiając się, czy Cenis też biega i chłoscze się aż do szaleństwa, i doszedł do wniosku, że to bardzo intrygująca myśl.

Kolejna gromada kobiet, niektóre z obnażonymi piersiami, wpadła z wrzaskiem na Forum, roztrącając przechodniów, którzy śmiali się dobrodusznie z tych błazeństw.

Magnus obliznął wargi, doceniając ten widok.

- Wróciliśmy w odpowiednim momencie. Nie tylko czekają na nas pełne entuzjazmu półnagie kobiety, spędzimy też kilka miłych dni w cyrku, żeby dojść do siebie po tych

wszystkich ekscesach, ponieważ ledwo skończą się Caprotinia, zaczną się Igrzyska ku czci Apollina. Uwielbiam lipiec.

- Wyobrażam sobie - zgodził się Wespazjan, niezbyt zadowolony z przypomnienia, że minęła połowa roku, a on dopiero teraz wraca do Rzymu.

Do rozczarowania spowodowanego zniknięciem Flawii Domicylli dołożyło się przymusowe przedłużenie pobytu w Cyrenajce; do czerwca musiał czekać na swojego następcę, młodego człowieka z kwaśnym wyrazem twarzy, który najwyraźniej uważał, że otrzymał stanowisko poniżej swojej godności, i nie było mu śpieszno do swoich obowiązków. Kiedy wreszcie Wespazjan był wolny, rzadkie o tej porze roku wichury opóźniły jego powrót.

Oprócz tęsknoty za Cenis i chęci zapomnienia przy niej o Flawii głównym powodem, dla którego pragnął jak najszybciej wrócić do Rzymu, było przekazanie szkatuły Kapelli - bez złota i bankowego weksła - Antonii. Narcyz mógł wkrótce zacząć się martwić jej losem i wszcząć dochodzenie, które według wszelkiego prawdopodobieństwa doprowadziłoby go do Wespazjana, a młodemu człowiekowi nie bardzo podobała się myśl, że jakieś wynajęte i opłacone przez ambitnego wyzwolénca Klaudiusza zbiry mogą go napaść i pozbawić tego świeżo uzyskanego bogactwa.

Opuszczając Forum Boarium, z ogromną fasadą Circus Maximus po jego prawej stronie, skręcili w lewo, w vicus Tuscus, kierując się ku Forum Romanum. Nieprzerwanie zdumiona od chwili przybycia do miasta twarz Ziriego teraz wyrażała pełne niedowierzanie, kiedy młody nomada spoglądał na wysokie marmurowe ściany wieńczącego szczyt Palatynu monumentalnego domu Augusta.

Magnus poklepał niewolnika po ramieniu.

- Trochę to inne od zadka wielbłąda, co, Ziri?

- Masz kurwa rację, panie; nigdy nie widziałem takiej kurwa rzeczy, niech to kurwa jak widziałem.

Wespazjan zmarszczył brwi.

- Nie pozwól mu ciągle przeklinać, Magnusie, bo wpadnie w tarapaty.

- Chłopak świetnie sobie radzi. Powinieneś podziwiać, jak szybko opanował łacinę.

- Podziwiam... kłopot w tym, że to twoja łacina.

- I kto to mówi, ty z tym swoim wsiowym sabińskim terkotaniem, za przeproszeniem, panie. Tak to przynajmniej gada jak Rzymianin.

- Tak, gadam jak Rzymianin, panie - oświadczył z dumą Ziri - a nie jakaś tam cipa.

- Ziri! - zganił go Magnus i zdzielił w ucho.

- Przepraszam, panie.

Przepchnąwszy się przez świąteczne tłumy do Kwirynału, stanęli w końcu przed znajomymi drzwiami domu senatora Gajusza Wespazjusa Pollona. Magnus zapukał i po chwili drzwi otworzył im młody i bardzo atrakcyjny ciemnoskóry młodzieniec.

- Wygląda na to, że wuj poszerza swoje zainteresowania - zauważył Wespazjan, kiedy już polecił chłopcu, by pokazał Ziriemu, zajmującemu się ich wszystkimi rzeczami poza szkatułą Kapelli, od której Magnus zdążył już go uwolnić, wejście do kwater niewolników.

- Miła jest odmiana. - Magnus zacytował Eurypidesa, kiedy przechodzili z westybulu do atrium.

- Drogi chłopcze - zagrział tubalnym głosem Gajusz, wychodząc z gabinetu - i ty, Magnusie, mój przyjacielu! Słyszałem, że ktoś jest u drzwi, i modliłem się, byście to byli wy. Okropnie się o was martwiłem przez kilka ostatnich dni. - Toczył się ku nim po mozaikowej posadzce, zwały jego tłustego ciała przelewały się pod tuniką. Objął Wespazjana i obsypał jego policzki wilgotnymi miękkimi pocałunkami. - Kiedy usłyszałem o złej pogodzie na morzu, martwiłem się, żeby nie spotkał was los płynącej z Egiptu pierwszej tegorocznej dostawy ziarna. - Poklepał serdecznie Magnusa po plecach.

- A co się z nią stało, wuju? - spytał Wespazjan niby zafrasowany, przykładając dłoń do twarzy, by ukradkiem wytrzeć ślinę z policzków.

- Tylko dwa z trzydziestu statków dotarły do celu, reszta rozbiła się w pobliżu Kytery; dlatego właśnie tak się o was zamartwiałem. Dowcipnisie mówią, że sztormy ustały, bo Neptun zajęty jest pieczeniem chleba. Sabinus znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, bo jako edyl jest przecież odpowiedzialny za zaopatrzenie miasta w zboże, a spichlerze pustoszeją i ludzi ogarnia gniew. Na szczęście dla Sabinusa i senatu złość kierują przeciwko przebywającemu na Capri Tyberiuszowi, który, jak uważają, pozostawił ich na łasce losu. Ale wchodź dalej i siadaj. - Gajusz poprowadził Wespazjana przez atrium do perystylu. - Enorze, podaj wino i zabierz Magnusa do kuchni, żeby coś przekąsił - zawołał do młodego, jasnowłosego i niebieskookiego germańskiego niewolnika, który kręcił się w pobliżu, czekając, aż jego pan skończy witać gości. - I ciasteczka, koniecznie ciasteczka z miodem.

- Wygląda na to, mój chłopcze, że znalazłeś się w niezręcznej sytuacji - mówił Gajusz, przeglądając zawartość szkatuły Kapelli. - Instynkt słusznie ci podpowiada, żeby zabrać to do Antonii i pozwolić jej decydować, co dalej z tym zrobić, choć niektórzy mogliby to uznać za zdradę.

- Co masz na myśli, wuju? Przecież ja nie pomagam Narcyzowi, a to on właśnie dokonuje aktu zdrady, kupując w Egipcie ziemię dla Klaudiusza bez cesarskiego zezwolenia.

- Przyznaję, nie pomagasz mu, ale też nie demaskujesz go jako zdrajcy, a jeśli zamienisz jego weksel na gotówkę, może to zostać uznane za łapówkę. Ponieważ wznowiono procesy o zdradę, można to posunięcie potraktować jako hmm... lekkomyślne.

Wespazjan próbował protestować, ale Gajusz powstrzymał go, unosząc dłoń.

- Wysłuchaj mnie, drogi chłopcze. Musisz pamiętać, że nie jesteś już najniższym stopniem trybunem, lecz senatorem. Masz obowiązki wobec senatu i cesarza, a nie Antonii, która jest tylko osobą prywatną, i na dodatek kobietą. Owszem, jest na swój sposób potężna, ale nie pełni żadnych funkcji ani nie jest urzędnikiem państwowym. - Gajusz przerwał, żeby napić się wina i sięgnąć po ostatnie ciasteczko.

Powietrze w ogrodzie było przyjemnie chłodne, wino delikatne i odświeżające; gdyby wuj nie dał mu powodu do zmartwienia, Wespazjan odprężyłby się pierwszy raz, odkąd szkatuła Kapelli znalazła się w jego posiadaniu.

- Radzisz zatem, wuju, żebym dostarczył szkatułę senatowi albo wprost cesarzowi?

- Tego nie powiedziałem, wskazywałem ci jedynie, względem kogo masz obowiązki. Natomiast twój dług wdzięczności to już całkowicie inna sprawa i właśnie dlatego znajdujesz się w takiej niezręcznej sytuacji. Gdybyś poszedł z tym do senatu, Antonia nigdy by ci nie wybaczyła, że naraziłeś jej syna, nieważne jak bardzo go nie lubi, na niebezpieczeństwo, to bowiem uważa za swój przywilej.

- I wtedy miałbym za wrogów zarówno ją, jak i Narcyza - jęknął Wespazjan. Odstawił kielich i złapał się za głowę, przeklinając dzień, kiedy poznał Flawię, oraz własną arogancję, która doprowadziła go do tej sytuacji. - Mógłbym to zabrać całkiem prywatnie do jednego z konsulów - stwierdził po chwili zastanowienia.

- Dobry pomysł, tyle że nie sprawdzi się w wypadku konsulów zastępczych, jakich mamy w tym półroczu. Decymus Waleriusz Azjatyk jest człowiekiem Antonii, pilnował jej interesów w Galii Narbońskiej. Zawdzięcza jej wszystko, między innymi to, że jest pierwszym konsulem galijskiego pochodzenia. Antonia w godzinę dowiedziałaaby się o wszystkim. Młodszy Aulus Gabinius Sekundus to beztalencie i człowiek zły, który wykorzystałby tę informację, by przysporzyć jak najwięcej kłopotów wszystkim zainteresowanym. Obawiam się, że zostało ci jedno wyjście, a mianowicie zręczne lawirowanie.

- Co masz na myśli?

- Nie możesz teraz wypełnić obowiązku wobec senatu, ponieważ posiedzenie odbędzie się dopiero za trzy dni, po zakończeniu świąt ku czci Apollina, proponuję więc, byś tymczasem wypełnił swoje zobowiązania wobec Antonii. Pokaż jej te prawa własności i wyjaśnij, w jak trudnej sytuacji się znalazłeś, kładąc nacisk na lojalność, która kazała ci przyjść z tym najpierw do niej, i zapytaj, czy powinieneś zabrać to do senatu. Nigdy nie

wiadomo, może cię zaskoczyć.

- A co zrobię, jeśli nie zaskoczy?

- Wtedy, mój drogi chłopcze, gdyby doszło do tego najgorszego, będziesz się miał jak bronić. Zgodnie z prawdą, powiesz w sądzie, że Antonia nie poleciła ci zabrać dokumentów do senatu.

- Ale jak mógłbym to udowodnić?

- Poproś Antonię o oficjalne spotkanie, wtedy będziesz miał kopię protokołu z rozmowy.

- Mimo to może zaprzeczyć.

- Nie, jeśli weźmiesz ze sobą świadka. Niestety, ja nim nie mogę być ani Sabinus; sąd nie uwierzy, że nie kieruje nami lojalność obowiązująca w rodzinie.

- Zatem kto?

- Myślę, że to oczywiste: twój stary kamrat z Czwartego legionu, Korbulon. Wiem, że jest w tej chwili w Rzymie, bo stara się, by wybrano go na pretora na następny rok, i bardzo mu zależy na uzyskaniu lepszego rezultatu, niż uzyskał Sabinus. Jego ojciec dawno temu powiedział mi, że ma wobec nas dług wdzięczności, ponieważ uratowałeś życie jego synowi w Tracji. Natychmiast poproszę go o tę przysługę.

- Nie mogę rzec, bym czuł się zadowolony, Wespazjanie - oświadczył Gnejusz Domicjusz Korbulon, kiedy zbliżali się do położonego na Palatynie domu Antonii. - Szczególnie że nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi. - Wskazał niezbyt precyzyjnie za siebie, na Magnusa z dwoma członkami bractwa rozstajnych dróg, Mariuszem i Sekstusem, po bokach i Zirim z tyłu. - Mogę jedynie założyć, że ma to coś wspólnego z tym, co znajduje się w szkatule, którą niesie twój człowiek.

- Ten człowiek ma na imię Magnus, Korbulonie - oświadczył lekkim tonem Magnus -

pamiętasz? Siedziałeś w moim gównie, a ja w twoim, na tamtym wozie, całą drogę przez Trację, dziewięć lat temu, gdy nas pochwycili bardzo nieprzyjemni ludzie z tamtejszego plemienia.

Korbulon zmarszczył nos na wspomnienie wydarzeń w Tracji, próby ucieczki i niezwykłego ocalenia, nie chciał jednak pokazać, że po tak długim czasie może pamiętać imię kogoś stojącego o wiele niżej od siebie.

- Zadufany dupek - mruknął Magnus, nie całkiem pod nosem.

Korbulon z pogardą wysunął brodę. Wespazjan rzucił Magnusowi przez ramię miażdżące spojrzenie; mężczyzna wzruszył ramionami i uśmiechnął się z niewinną miną.

- Wierz mi, Korbulonie, najlepiej, byś nie wiedział, o co chodzi, chyba że będziesz musiał - stwierdził Wespazjan, próbując powrócić do tematu rozmowy. - Masz rację, że chodzi o tę szkatułę. Zamierzam pokazać jej zawartość pani Antonii, a potem w twojej obecności przedyskutujemy, co z nią uczynić. W ten sposób nie zostaniesz narażony na żadne niebezpieczeństwo, ponieważ nie będziesz wiedział, o czym rozmawiamy; chcę tylko, byś był świadkiem jej słów, kiedy mi powie, co powinienem zrobić, żebyś mógł poprzeć mnie w sądzie, gdyby do tego doszło.

Korbulon popatrzył na niego wzdłuż długiego nosa.

- Tkwisz w sprawach, które cię przerastają, Wespazjanie. Tak czy owak, zrobię to, by spłacić dług, jaki wedle mojego ojca mam wobec ciebie, ale nic więcej... potem będziemy kwita.

- Módlmy się obaj, żebyśmy mieli jakieś potem - mruknął Wespazjan, kiedy podchodzili do wysokiej jednopiętrowej willi, która należała do najpotężniejszej kobiety w Rzymie.

Wespazjan wszedł na schody, kiedy słońce skryło się za Awentynem i cień padł na miasto. Zapukał do drzwi; klapka okienka odskoczyła i ukazało się dwoje oczu.

- Tytus Flawiusz Wespazjan i Gnejusz Domicjusz Korbulon proszą o rozmowę ze szlachetną Antonią.

Klapka się zatrzasnęła, drzwi się otwarły i odźwierny wpuścił Wespazjana i Korbulona do westybulu, pozostawiając Magnusa i pozostałych na zewnątrz, razem ze szkatułą. Kiedy przechodzili do imponującego, wytwornie umeblowanego atrium, z drugiej strony dobiegł znajomy głos.

- Panowie Wespazjan i Korbulon, jak miło znowu was widzieć - oświadczył swoją bezbłędną łaciną Pallas, grecki zarządca domu Antonii. - Mam nadzieję, że mieszkańcy Krety i Cyrenajki nie okazali się nazbyt męczący.

- Byli wojowniczy, jak należało się spodziewać, Pallasie. I ciebie również miło znowu zobaczyć - odparł Wespazjan z uśmiechem.

Korbulon burknął coś pod nosem.

- Jesteście bardzo uprzejmi, panowie. Jestem zaszczycony, że cieszy was widok zwykłego wyzwolenca.

- Nie ma nic zwykłego... powiedziałeś: wyzwolenca?

Pallas wysunął zza pleców prawą rękę i włożył na głowę pileus, stożkową filcową czapkę wyzwolenca.

- W rzeczy samej, panie. Moja pani była tak dobra, że dała mi wolność tuż po tym, jak wyjechałeś do swojej prowincji. Jestem teraz Marek Antoniusz Pallas, wyzwolony obywatel Rzymu.

- Gratuluję, Pallasie - powiedział Wespazjan, pierwszy raz, odkąd się znali, wyciągając do Greka rękę.

Pallas uścisnął mocno jego prawicę.

- Dziękuję ci, Wespazjanie. Zawsze z wdzięcznością będę pamiętał szacunek, który ty, twój brat i wuj byliście mi uprzejmi okazywać, chociaż byłem tylko zwykłym niewolnikiem.

Korbulon wymamrotał stosowne gratulacje, na które Pallas zareagował lekkim pochyleniem głowy.

- A teraz, panowie, sprawdzę, czy szlachetna Antonia gotowa jest was przyjąć.

- Chcielibyśmy, Pallasie, by to spotkanie miało oficjalny charakter, jeśli nie sprawiłoby to kłopotu - poprosił nieco nerwowo Wespazjan. - To, co chcę z nią omówić, jest bardzo delikatnej natury dla wszystkich zainteresowanych. Magnus ze swoimi towarzyszami z bractwa czeka na zewnątrz z pewnym przedmiotem, który muszę polecić uwadze pani Antonii.

Pallas uniósł brew, ale poza tym zachował neutralny wyraz twarzy.

- Rozumiem - powiedział i zaklaskał dwa razy. - Feliksie!

Z drugiego końca pokoju pewnym krokiem zbliżył się do nich kolejny Grek. Wespazjan przyglądał mu się z zaciekawieniem; poza mocną opalenizną był wierną kopią Pallasa, takiego Pallasa, jakiego poznał dziewięć lat wcześniej.

- Feliksie, przed domem są pewni ludzie, zaprowadź ich na dziedziniec przy stajni i niech się czymś pokrzepią. Mają tam czekać na wezwanie.

- Tak, Pallasie - odparł Feliks i pospieszył ku drzwiom.

- Proszę za mną, panowie - powiedział wyzwoleniec.

- Czy to twój brat, Pallasie? - spytał Wespazjan.

- Trudno zaprzeczyć.

- Od jak dawna należy do domowników Antonii?

- Tutaj przybył niedawno, jednak przez większość życia należał do szlachetnej Antonii. Był zarządcą jej domu w Egipcie, a sprowadziła go tutaj, by zajął moje stanowisko, kiedy już zapoznam go z panującą w Rzymie etykietą.

- Co w takim razie ty sam zamierzasz robić?

- Obawiam się, Wespazjanie, że to sprawa pomiędzy moją panią i mną - odparł Pallas, kiedy wchodzili do pięknej, wysoko sklepionej sali z kosztownym, ale gustownym umeblowaniem i rzeźbami pochodzącymi ze wszystkich stron cesarstwa. Gestem wskazał Wespazjanowi i Korbulonowi miejsca do siedzenia.

- Poczekajcie tutaj, panowie. Każę podać wino i przekażę waszą prośbę mojej pani.

Zapadła noc i dziesiątki lamp oświetlały pokój; dym z nich zawisł pod sklepieniem, nie dopuszczając tam światła.

Wespazjan i Korbulon czekali ponad godzinę, dzban i dwa kielichy na niskim stoliku stały już puste. Mimo to czas minął im względnie szybko, bo Korbulon zapoznawał Wespazjana z machinacjami różnych rzymskich stronnictw, oczywiście zgodnie z jego konserwatywnym, patrycjuszowskim punktem widzenia.

- Obecność tego śliskiego homo novus, Poppeusza Sabinusa, w Rzymie stanowi obrazę dla mojego honoru - mówił właśnie Korbulon. - Mało że Antonia nie pozwoliła mi go wplątać w spisek Sejana, co byłoby moją zemstą za to, że próbował mnie zabić w Tracji...

- Mnie również, Korbulonie - przypomniał mu Wespazjan.

- Rzeczywiście, ciebie też... to jeszcze wrócił tutaj, co jest nieznośne, bo najwyraźniej współpracuje z Makronem, wnosi oskarżenia przeciwko każdemu, do kogo ma jakąkolwiek pretensję, nawet jeśli są członkami najlepszych rodów. Było już ich ponad dwadzieścia. Pomponiusza Labeona postawiono w stan oskarżenia tuż po twoim zeszłorocznym wyjeździe, za rzekome złe administrowanie prowincją podczas tych trzech lat, kiedy to zarządzał przejętą od Poppeusza Mezją.

- To dopiero karłowate śmierdzące gównno.

- Właśnie. Można mówić różne rzeczy o nawykach Pomponiusza, ale osobiście przekonałem się, że to człowiek honoru i porządny legat Czwartego.

- Więc jak potoczył się ten proces?

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz?

- Dopiero dzisiaj wróciłem do Rzymu, nie znam żadnych nowości poza tym, co mi teraz opowiedziałeś.

- A tak, oczywiście. - Korbulon zamilkł i wziął głęboki oddech. - No cóż, przykro mi, że muszę ci to powiedzieć - ciągnął z najbardziej zatroskanym wyrazem twarzy, na jaki było go stać - ale Poppeusz tak zaszczuł Labeona i jego małżonkę Pakseę, że w ubiegłym roku popełnili samobójstwo.

Wespazjan był wstrząśnięty.

- A to drań. Jak? Dlaczego? Przecież oskarżony był tylko o kiepskie administrowanie, a to nie pociąga za sobą kary śmierci.

- Na początku tak było, jednak potem Poppeusz odkrył, że Labeo spekulował zbożem. Powiedział o tym Makronowi, który poinformował cesarza, i Tyberiusz, który nie przepada za spekulantami zbożem, osobiście go o to oskarżył. W tej sytuacji Labeo nie miał innego wyjścia, jak tylko popełnić samobójstwo, by mieć pewność, że jego majątek nie zostanie skonfiskowany. Jeśli zaś chodzi o to dlaczego, to odpowiedź jest prosta: ponieważ Pomponiusz zameldował senatowi, że Poppeusz pozwolił, by jego żołnierze pozdrawiali go tytułem przysługującym cesarzowi. Od tamtej pory Poppeusz żył w nieustannym strachu przed zemstą Tyberiusza, do której niestety nie doszło.

- Wręcz przeciwnie... został ponownie namiestnikiem Mezji i Macedonii podczas mojego ostatniego roku pobytu w Tracji.

- Ano właśnie, właśnie, ale to było za podszeptem Sejana, który do końca swoich dni dbał o bezpieczeństwo Poppeusza. Trudno jednak pojąć, dlaczego po jego upadku ten łajdak mógł wieść taki spokojny żywot... aż do swojego powrotu do Rzymu latem ubiegłego roku...

- Kiedy się okazało, że współpracuje z Makronem - powiedział Wespazjan, kończąc zdanie za Korbulona.

- O, słyszałeś o tym?

- Tak, właśnie mi powiedziałeś.

- Rzeczywiście.

- Panowie, przepraszam, że musieliście czekać.

Antonia ukazała się w drzwiach i obaj mężczyźni zerwali się na równe nogi.

- Pani - powiedzieli jednocześnie, pochylając głowy.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłam wam kłopotu?

- Bynajmniej, pani - odparł Wespazjan, kiedy z Pallasem za plecami podchodziła do nich - to już raczej ja sprawiam tobie kłopot.

- Dość dziwną prośbą jak na człowieka, którego uważam za przyjaciela.

- Przykro mi, pani, że o to proszę, mam jednak nadzieję, że zrozumiesz, kiedy wyjaśnię, co mnie tutaj sprowadza.

Kobieta zatrzymała się przed nim i przypatrywała mu się przenikliwymi zielonymi oczyma; wyczuł potencjalną groźbę, która się tam czała, i struchlał. Widząc jego nerwowość, uniosła brwi i się uśmiechnęła.

- Akty własności ziemi, którą Narcyz kupował w Egipcie w imieniu mojego syna? - spytała.

Wespazjan otworzył usta ze zdumienia.

- A ty się martwisz, że niezameldowanie stosownym władzom o tym akcie zdrady będzie uznane za zradę z twojej strony?

Młody Rzymianin skinął głową.

- I dlatego przyprowadziłeś mojego drogiego przyjaciela Korbulona jako świadka o nieskazitelnym charakterze i poprosiłeś o oficjalne spotkanie, żebyś mógł zatrzymać kopię protokołu?

- Tak, pani - wykrztusił z najwyższym trudem. - Skąd wiedziałaś?

- Będąc w twojej sytuacji, sama bym tak postąpiła.

- Miałem na myśli, skąd wiedziałaś o dokumentach dotyczących własności ziemi?

- Bo odkąd odkryłam, że mojego głupiego syna stać na znacznie więcej, niżby się zdawało, postanowiłam wiedzieć o wszystkim, co się u niego dzieje. A o tym, skąd wiem różne rzeczy, możemy porozmawiać później. - Zwróciła się do Pallasa. - Czy konsul już przybył? - spytała.

- Tak, pani, on i kolacja czekają na ciebie w twoim prywatnym pokoju.

- Doskonale. Niech Magnus przyniesie szkatułę tutaj. Panowie, powinniśmy się posilić. - Antonia odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

Zerknąwszy na Korbulona, który kręcił powoli głową i cmokał, Wespazjan poszedł za nią, czując, że zupełnie nie panuje nad sytuacją.

- Decymusie Waleriuszu Azjatyku, pozwól, że ci przedstawię Tytusa Flawiusza

Wespazjana. Gnejusza Domicjusza Korbulona, jak sędzę, już znasz - powiedziała Antonia, kiedy weszli do jej prywatnego królestwa.

Czekał tam starszy konsul na ostatnie sześć miesięcy roku, podziwiając ogromne, w wyrafinowany sposób oszklone okno wykuszowe.

Azjatyk odwrócił się, skinął na powitanie głową Wespazjanowi i Korbulonowi, po czym zwrócił się do Antonii.

- Pani, czy mogę spytać, co to za pilna sprawa odrywa mnie od stołu w trakcie kolacji?

- Przepraszam za to, konsulu. Mam nadzieję, że mój kucharz skomponował potrawy, które zrekompensują ci niedokończoną kolację. Panowie, spoczniemy. Konsulu, proszę zająć sofę po mojej prawej stronie, dwaj młodszy panowie po mojej lewej. - Ulokowała się na środkowej z trzech sof ustawionych wokół niskiego stołu z orzechowego drewna, nie pozostawiając mężczyznom cienia wątpliwości, że jest to rozkaz, a nie zaproszenie.

Pallas zaklaskał w dłonie i z sąsiedniego pokoju wyłoniły się trzy niewolnice; zabrały mężczyznom togi i zamieniły sandały na pantofle, po czym wycofały się, a dwie kolejne obeszły wszystkich, myjąc im dłonie i rozkładając na sofach przed nimi serwetki.

Wespazjan starał się nie pokazać rozczarowania, że to nie Cenis służy swojej pani.

Kiedy wszyscy spoczęli wygodnie z kielichami w rękach i na stole postawiono przekąski, gustatio, Antonia odprawiła niewolnice, a Pallas zajął swoje zwyczajowe miejsce przy drzwiach.

Antonia nałożyła sobie na talerz niewielką porcję ostrych filecików z sardeli.

- Panowie, poradzimy sobie sami, nikt nam dzisiaj nie będzie służył - oznajmiła. - Konsulu, winna ci jestem wyjaśnienie. - Przerwała, by się upewnić, czy trzej mężczyźni poszli za jej przykładem i częstują się zakąskami. - Kiedy późnym popołudniem pojawił się tutaj Wespazjan z prośbą o oficjalne spotkanie i przyprowadzając ze sobą jako świadka szacownego Korbulona, miałam podstawy, by się domyślić, o jaką sprawę może chodzić.

Pallasie, niech Magnus przyniesie szkatułę. - Zarządca wystawił głowę za drzwi, żeby przekazać polecenie swojemu podwładnemu, a Antonia mówiła dalej. - Od razu zrozumiałam jego obawy i dlatego posłałam po ciebie.

Dopiero teraz Wespazjan pojął powód tego długiego oczekiwania.

Drzwi się otworzyły i wkroczył Magnus ze szkatułą Kapelli.

- Postaw ją na stole, Magnusie, a potem idź i zjedz kolację ze swoimi towarzyszami.

Magnus wymamrotał coś niezrozumiałego i opuścił pokój, w którym cztery osoby wpatrywały się w szkatułę.

- Wespazjanie, wiem, że nie jest to formalne spotkanie, bo w tej sytuacji byłoby ono niemożliwe, ale skoro informujesz teraz o swoim odkryciu starszego konsula, a także mnie, to sądzę, że chroni cię to przed wszelkimi oskarżeniami o zdradę.

- Tak, pani - odparł Wespazjan, jak zawsze pod ogromnym wrażeniem umiejętności Antonii odczytywania jego myśli.

- Zdradę, pani? - zapytał wyraźnie zaniepokojony Azjatyk.

- Tak, konsulu - potwierdziła kobieta, popijając wino z kielicha. - Popelnioną przez mojego beznadziejnego zidiociałego syna, którego ty, z niepojętych dla mnie powodów, uważasz za przyjaciela. Ale nie o to chodzi. Wespazjanie, otwórz szkatułę.

Gdy Wespazjan podniósł pokrywę szkatuły, Azjatyk i Korbulon wyciągnęli szyje, żeby zobaczyć, co jest w środku.

- To, konsulu - oświadczyła Antonia, nawet nie spojrzawszy w tamtą stronę - są akty własności siedmiu wielkich posiadłości w Egipcie, w których uprawia się zboże. Kupił je potajemnie, na przestrzeni ostatnich trzech lat, na rzecz Klaudiusza, agent jego wyzwolenca Narcyza.

- Ale przecież to...

- Zdrada, konsulu, wiem. Nikt, nawet ja, nie może kupować posiadłości na tę skalę w Egipcie bez pozwolenia mojego szwagra.

Azjatyk spojrział na nią przerażony i opróżnił kielich do dna; w jednej też chwili całkowicie stracił apetyt.

- Ale co zamierzasz z tym zrobić, pani?

- Jesteś tu właśnie po to, konsulu, by rzecz omówić. Pallasie, dolej moim gościom wina. Tymczasem Wespazjan opowie konsulowi, w jaki sposób wszedł w posiadanie tego wszystkiego.

Kiedy Wespazjan skończył krótko opisywać wydarzenia, Antonia spojrzała nań taksująco, skinęła głową i kazała podać następne danie. Młody człowiek nie opuścił żadnych szczegółów dotyczących Kapelli czy Flawii - poza osobistymi motywami - bo uświadomił sobie, że Antonia zna tę całą historię, choć nie miał pojęcia, jak się dowiedziała.

Kiedy niewolnicy wyszli, wniósłszy półmiski z dwoma młodzietkami kozłętami w miodowo-kminkowym sosie, Antonia zwróciła się do Azjatyka.

- Zatem problem wygląda tak: dlaczego Narcyzowi tak bardzo zależało, by sprowadzić te dokumenty do Rzymu, kiedy mógł je spokojnie przetrzymać w podziemnym skarbcu, w którejkolwiek z nowych posiadłości swojego patrona? - Zadała to pytanie tak, jakby znała już odpowiedź.

- Rzeczywiście włożono w to wiele wysiłku, nie mówiąc o ryzyku odkrycia ich przez agentów Tyberiusza czy utraty dokumentów.

- Do czego zresztą doszło.

- Istotnie. Mogę jedynie założyć, że mają one dla Klaudiusza większą wartość tutaj, niż gdyby były w Egipcie, ale dlaczego tak jest, nie wiem.

- Ja też nie wiedziałam, do niedawna. - Zamilkła, żeby ukroić kilka plasterków kruchego koźlęcego mięsa, i poczekała, aż goście zrobią to samo. Wreszcie, stwierdziwszy, że wszyscy przy stole nałożyli sobie dość soczystej potrawy i przynajmniej w niej dłubią, kontynuowała: - Być może nie wiesz, konsulu, że mój wnuk Gajusz Kaligula ma romans z żoną Makrona Ennią?

Mina Azjatyka potwierdzała jego dotychczasową niewiedzę na ten temat.

- A ja myślałem - powiedział konsul - że on bierze ślub w Ancjum i że na zakończenie świąt Apollina sam cesarz przybędzie na tę ceremonię.

- To prawda, ale mój Gajusz to bardzo aktywny chłopiec i mimo zbliżającego się ślubu znalazł czas, by zadurzyć się w tej ladacznicy. Zaczęło się to, kiedy w zeszłym roku Makron przeniósł ją na Capri; dziwne posunięcie, najogólniej mówiąc, chyba że celowo podsuwał ją Gajuszowi. Nie mogłam zrozumieć, co Makron chciał na tym zyskać, więc obserwowałam i czekałam, nie mówiąc nic na ten temat w listach do Gajusza, bo i tak coraz bardziej lekceważył sobie moje rady, a teraz ma zwyczaj postępować wręcz odwrotnie do tego, co zalecam. Kilka miesięcy temu moja cierpliwość została wynagrodzona. Pallasio, pozwól.

Wyzwoleniec podszedł do biurka stojącego po drugiej stronie pokoju, wziął z niego zwój i przyniósł swojej pani.

- Przysłał mi to Klemens, kapitan gwardii straży Gajusza. Jest równie lojalny wobec mojego wnuka jak nieufny wobec Makrona. To kopia dokumentu podpisanego przez Gajusza, w którym przysięga on uczynić Ennię cesarzową, kiedy odziedziczy purpurę. Żeby wynagrodzić Makronowi tę stratę i odwdzińczyć się za pomoc, obiecuje uczynić go prefektem Egiptu.

Korbulon nie mógł ukryć oburzenia.

- Sprzedał własną żonę, dla pozycji i władzy! To nie do pomyślenia.

- Bynajmniej, Korbulonie, to po prostu nowoczesna polityka - odparła Antonia - nie uważasz, konsulu?

- To prawda. Wygląda na to, że nasz prefekt pretorianów wyciągnął lekcję z błędów swojego poprzednika.

Wespazjan się uśmiechnął; nagle pojął pomysłowość strategii Makrona.

- On wie, że nigdy nie zostanie cesarzem - powiedział - bo podobna próba kosztowała Sejana życie, wobec tego sięga po mniejszą nagrodę.

- Mniejszą i owszem - przyznała Antonia - jednak w kategoriach bogactwa i władzy ogromną. Wystarczającą, by jej użyć jako odskoczni do tego, co, jak sądzę, zaspokoi jego niepohamowane ambicje. Chce naśladować mojego ojca Marka Antoniusza i podzielić cesarstwo na dwie części poprzez opanowanie jego wschodnich prowincji.

Goście Antonii zamilkli wstrząśnięci. Nie myśleli już o jedzeniu, tylko zastanawiali się, jak można osiągnąć taki cel i jakie by to miało konsekwencje dla stabilności znanego im świata.

- Uważam, że w tym momencie przydałoby się więcej wina, Pallasie - stwierdziła Antonia.

Kiedy napełniono kielichy, gospodyni przedstawiła zafrapowanym słuchaczom dalszą analizę sytuacji.

- Załóżmy na chwilę, że Gajusz zaspokaja pragnienie Makrona, a nie jest to wysane z palca założenie. Mój mały Gajusz może ma wiele wad, ale nie należy do nich brak szczodrości. Pragnie być uwielbiany i jest na tyle naiwny, by uważać, że tę miłość można kupić. W takiej sytuacji Makron miałby kontrolę nad najbogatszą prowincją w cesarstwie, bronioną przez dwa legiony i będącą, praktycznie rzecz biorąc, półwyspem. Armia nie może przejść przez ciągnącą się na jej zachodzie pustynię, o czym teraz sam się przekonałeś, Wespazjanie. Południowa granica stanowi kraniec cesarstwa, a na północy i wschodzie jest morze. Zatem, jeśli nie brać po uwagę wielce ryzykownej inwazji od strony morza, jedynym

sposobem ataku na Egipt jest uderzenie z północnego wschodu, przez Judeę i całą tę grupę drobnych królestw i tetrarchii, które ją otaczają, używając w tym celu jedynych czterech legionów z tego regionu, stacjonujących w Syrii. Zatem, aby utrzymać Egipt, Makronowi wystarczyłoby, żeby legiony z Syrii zajęte były w innym miejscu, do czego zresztą doprowadził w ubiegłym miesiącu za pomocą posunięcia świadczącego o dalekowzroczej politycznej zręczności.

Azjatyk otworzył szeroko oczy.

- Delegacja Partów - powiedział powoli - błyskotliwe.

- Tak, godne podziwu - zgodziła się Antonia, wyraźnie zadowolona, że konsul posiada polityczną przenikliwość, która pozwala mu nadążyć za tokiem jej rozumowania.

- Ale przecież to była grupa szlachetnie urodzonych buntowników, którzy chcieli zastąpić króla Artabanosa Fraatesem, który był tutaj, w Rzymie, zakładnikiem - zauważył Korbulon. - Co oni mają wspólnego z Egiptem czy z Makronem?

Wespazjan pamiętał niejasno, że po przyjeździe do Cyrenajki Magnus wspominał coś o zbuntowanych Partach.

- Wszystko - odpowiedziała Antonia - jeśli przyjrzeć się temu, kiedy i kto organizował tę delegację.

- Herod Agryppa - oświadczył Wespazjan, któremu nagle przejaśniło się w głowie. Nagrodził się za to dużym łykiem wina.

Antonia popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem, zastanawiając się, skąd to wie.

- Zgadza się - potwierdziła. - Od bardzo dawna Herod próbował namówić Tyberiusza, by podporządkował Judeę Rzymowi, a jego osadził na tym tronie, ale Tyberiusz wciąż mu tego odmawiał. Najwyraźniej Makron obiecał dać Herodowi to, czego ten pragnie, w zamian za co miał on wykorzystać swoje znaczące wpływy wśród niezadowolonych partyjskich wielmożów i przekonać ich, że to odpowiednia chwila na zmianę króla. Przyjaciel Heroda,

Fraates, jest jedynym żyjącym potomkiem starożytnej dynastii Arsacydów i tym samym prawowitym dziedzicem partyjskiego tronu. Na pewno byłby szczęśliwy, gdyby mógł się tej sprawie przysłużyć.

Azjatyk się uśmiechnął.

- To naprawdę piękne. Tyberiusz na to poszedł, ponieważ odkąd Artabanos umieścił swojego syna Arsacesa na tronie Armenii, nastąpiło zachwianie równowagi sił na korzyść Partii.

- Otóż to, konsulu. Wiem, że Tyberiusz zmusił Fraatesa, by w zamian za jego tron obiecał przywrócić Armenię do strefy rzymskich wpływów. Tyberiusz uważa, że to dobry układ dla rzymskiej dyplomacji, i dlatego wysłał Lucjusza Witeliusza, nowego namiestnika Syrii, z legionami do Partii, na wojnę, która potrwa co najmniej dwa, może nawet trzy lata; dłużej, niż można oczekiwać, że Tyberiusz pożyje. Kiedy już Makron i Herod wprawili w ruch to partyjskie przedstawicielstwo, mogli siedzieć spokojnie i obserwować, jak Tyberiusz się na to nabiera.

Zrozumienie rozjaśniło twarz Korbulona.

- Aha, rozumiem - powiedział. - Makron spodziewa się, że Tyberiusz umrze, śmiercią naturalną albo nieco wspomaganą, zanim wojna dobiegnie końca; dopilnuje, żeby Kaligula został cesarzem, i w nagrodę otrzyma Egipt. Ponieważ syryjskie legiony będą wciąż zajęte walką, będzie mógł utworzyć państwo buforowe, jednocząc Judeę z Galileą, Idumeą i wszystkimi mniejszymi żydowskimi tetrarchiami, z Herodem jako królem Judei Większej.

Antonia skinęła głową.

- A Herod już przygotowuje pod to grunt. W ubiegłym roku w drodze do Rzymu zatrzymał się w Aleksandrii i jego małżonka przekonała alabarchę, by pożyczył im mnóstwo pieniędzy, które Herod, zamiast mnie spłacić dług, wykorzystał, by potajemnie kupić zboże od Klaudiusza i Narcyza.

- Ale przecież niezależnie od tego, jak skrycie by przeprowadzono te transakcje,

cesarscy agenci by się o nich dowiedzieli, a on zostałby ukarany - zauważył logicznie Azjatyk.

- Tylko wtedy, gdyby zboże zabrano z samego Rzymu. Z posiadłości, w których je odkupił, wysłano do Rzymu wyznaczone ilości; Herod kupił zboże przeznaczone dla mniej ważnych prowincji.

- To wyjaśnia, dlaczego mieliśmy takie poważne niedobory w Cyrenajce - zauważył Wespazjan - co zresztą było jednym z powodów niepokojów wywołanych tam przez Żydów.

- Wątpię, by Herod przejmował się Żydami w Cyrenajce, chciał mieć to ziarno, by pomogło mu zdobyć jego nowe królestwo. Niezależne zjednoczone państwo żydowskie miałyby dość ludności, by stworzyć dużą armię, którą trzeba nakarmić. Herod będzie potężnym człowiekiem, może na tyle potężnym, by nie pozwolić Gajuszowi wysłać armii przez Judeę do opanowania Egiptu.

- I Kaligula nie poradzi sobie z Makronem, bo ten będzie miał w rękach znaczącą część zboża dostarczanego do Rzymu i może grozić wstrzymaniem jego dostaw.

- Właśnie - zgodziła się Antonia. - Zanim jednak Makron zdobędzie dla siebie Egipt, będzie potrzebował pieniędzy, mnóstwo pieniędzy, by kupić sobie lojalność stacjonujących tam legionów i kohort pomocniczych. Pieniądze to jedyna rzecz, jakiej mu brakuje.

- To dlatego ostatnio sprzymierzył się z Poppeuszem - powiedział Wespazjan, napełniając sobie puchar. - Należące do jego rodziny kopalnie srebra w Hiszpanii przynoszą dość pieniędzy, skoro sfinansowały tracką rebelię.

- Więcej niż dość - przyznała Antonia, dając znać Pallasowi, by napełnił jej puchar. - I w zamian za to, że Makron da mu wolną rękę, by mógł prześladować w Rzymie swoich wrogów, jakich wielu sobie narobił, Poppeusz zgodził się pożyczyć mu pieniądze potrzebne, by Makron mógł zostać bogatym właścicielem ziemskim w Egipcie, wy...

- Wykupując posiadłości Klaudiusza - weszli jej w słowo wszyscy trzej.

- A ich produkty właśnie zyskały znacznie na wartości w związku z zatonięciem statków z ostatnim transportem ziarna.

- W takim razie cena posiadłości też na pewno wzrosła? - zauważył Wespazjan zadowolony, że dyskusja dotyczy spraw, na których naprawdę się zna, mianowicie pieniędzy.

- Rzeczywiście, ale to akurat jest dobra okoliczność dla wszystkich czterech stron. Poppeusz będzie zachwycony, ponieważ Makron pożyczy od niego więcej pieniędzy, więc zarobi fortunę na dodatkowych odsetkach. Makron uzyska natychmiast ogromne dochody z nowych nabytków, co mu się przyda, by mógł kupić sobie niezbędną lojalność. Nie obchodzi go, ile musi zapłacić teraz, bo to nie są jego pieniądze, a kiedy już pochwyci Egipt, będzie w stanie spłacić pożyczkę tym, co dostanie w formie podatków. Klaudiusz zarobi jeszcze więcej na swojej inwestycji. Herod natomiast jest zadowolony, bo nie tylko kupił od Klaudiusza ogromną ilość zboża, ale wciąż je kupuje, odkąd jest w Rzymie z pieniędzmi pożyczonymi od Poppeusza. Część tego zboża może odprzedać po wyższych obecnie cenach, by uniknąć problemów z płynnością.

- Cóż za szczęśliwe towarzystwo - skomentował z żalem Azjatyk.

- Dwóch rzeczy nie rozumiem, pani - oświadczył Wespazjan.

- Mam nadzieję, że potrafię udzielić ci odpowiedzi, choć dopiero na początku tego roku poskładałam to wszystko, kiedy odkryłam, że Narcyz próbuje sprowadzić te akty własności do Rzymu i że Herod dokonuje zakupów zboża.

- No tak, pani, ale jak się tego dowiedziałaś? - wtrącił się z pytaniem Azjatyk.

Antonia uśmiechnęła się dobrodusznie.

- Sądzę, że można to wam już powiedzieć. Kiedy dowiedziałam się o interesach Klaudiusza i Narcyza w Egipcie, kazałam Feliksowi, mojemu zarządcy w Aleksandrii, by się temu przyjrzał. Bardzo szybko odkrył, co oni robią. Kiedy się okazało, że Klaudiusz sprzedał część zbiorów Herodowi, a następnie agent Narcyza zabrał do Siwy akty własności siedmiu posiadłości, zdał sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego, i natychmiast wsiadł na statek, by

zameldować mi o tym osobiście, zamiast ryzykować, że jego list wpadnie w niepowołane ręce.

- Skąd jednak wiedziałaś, że ja je mam, pani?

- Do dzisiaj nie byłam tego pewna. Wiedziałam jedynie, że spotkałeś w Siwie niejakiego Kapellę, który potem zmarł, zostawiając ci szkatułę. Nie mogłam mieć pewności, co ona zawiera, ponieważ mój agent nie usłyszał twojej ostatniej rozmowy z Kapellą; kazałeś mu bowiem odejść i sformować kolumnę.

- Korwinus! - wykrzyknął zaskoczony Wespazjan. - On mnie szpiegował?

- Nie ciebie osobiście, Wespazjanie, on po prostu dla mnie pracuje. Podobnie jak ty, ma wobec mnie zobowiązania. Kiedy usłyszał, jak w Siwie Kapella mówi do ciebie, że zawartość tej szkatuły należy do kogoś znajdującego się blisko szczytu cesarskiego drzewa, pomyślał, że może mnie to zainteresować, wobec czego, kiedy wrócił do Barki, wysłał mi list. Pochodzi z bardzo ambitnego rodu i stara się sprawdzić w służbie dla Rzymu; w swoim liście podał mi szczegółowo powody, dla których wyprawiłeś się na pustynię.

Wespazjan spurpurowiał, zastanawiając się, czy jest coś, czego Antonia nie wie.

- Nie przejmuj się - powiedziała z uśmiechem - szczęśliwie się złożyło, że właśnie tak postąpiłeś, niezależnie od twoich motywów. To jakie w końcu były te twoje pytania?

- A tak - powiedział, kręcąc głową i próbując od nowa zebrać myśli. - Nie rozumiem, dlaczego Klaudiusz sprzedaje Makronowi wszystkie swoje posiadłości, kiedy mogą się stać dla niego środkiem kontroli Egiptu z cesarstwa, którym pewnego dnia może rządzić.

- Mnie również intrygowało to przez jakiś czas, póki nie uświadomiłam sobie prostej prawdy: on nie zna planów Makrona, Narcyz również. Może nawet nie wiedzą, że to Makron jest osobą kupującą. Pośrednikiem transakcji był Poppeusz, który, jak wiemy, jest blisko Klaudiusza. Mój syn i Narcyz chcą jedynie spłacić ogromną pożyczkę, którą wzięli na kupno tych posiadłości; nie sprzedają ich jednak wszystkich, w rzeczywistości kupili dwa razy więcej. Zysk ze sprzedaży tych siedmiu natychmiast zapewni im własność pozostałych.

- Domyślam się, że nie ma nagrody za odgadnięcie, kto pożyczył im pieniądze na samym początku - powiedział Wespazjan z krzywym uśmiechem.

- To właśnie jest najpiękniejsze; mój syn daje akty własności Poppeuszowi, ten anuluje dług Klaudiusza i przenosi go razem z aktami własności na Makrona. Wszystko to bez udziału pieniędzy, bez dokumentów dotyczących transakcji i bez spotkania trzech zaangażowanych stron.

- Co w takim razie ma z tego Poppeusz poza wzięciem pieniędzy od wszystkich stron? Przecież nie potrzeba mu ich więcej.

- Nad tym najdłużej się zastanawiałam - przyznała Antonia - po czym nagle to do mnie dotarło. Co może zyskać Poppeusz, kiedy Makron weźmie Egipt i postawi Rzym w przymusowej sytuacji? Nic, chyba że jest częścią intrygi. Pomyślcie tylko: Makronowi nie grozi atak z zachodu z powodu pustyni; legiony syryjskie są zaangażowane w Partii i Armenii, a inwazja z morza to bardzo ryzykowne posunięcie. Jak byście w tych okolicznościach zaatakowali Egipt?

- To proste - powiedział Korbulon. - Pomaszerowałbym z sześcioma legionami via Egnatia, przez Macedonię i Trację, przepawił się do Azji, a potem poszedł wzdłuż wybrzeża, zmiatając po drodze Heroda.

- Doskonale. A kto jest namiestnikiem Mezji, Macedonii i Achai? Poppeusz. Wystarczy, że wycofa swoje dwa legiony i dziesięć kohort oddziałów pomocniczych znad Dunaju, przekroczy Hellespont i obsadzi go, by móc powstrzymać każdą nadchodzącą armię. Prowincje wschodnie byłyby całkowicie w rękach Makrona i Poppeusza. Dolnego Dunaju nie miałby kto bronić i plemiona północne wdarłyby się całym mrowiem do Mezji, co zapewne zachęciłoby Traków do kolejnego powstania. W ten sposób każda wysłana na wschód armia musiałaby najpierw poradzić sobie z tym, a dopiero potem myśleć o przedostaniu się do Azji; to mogłoby zająć ze dwa lata. Zresztą skąd miałyby się wziąć te legiony? Znad Renu, żeby zostawić Germanom wolną drogę do Galii? Znad górnego Dunaju, żeby ryzykować utratę Panonii? Czy może z Hiszpanii i Ilirii, gdzie jedynie ich obecność utrzymuje w spokoju tamtejsze plemiona? Od czasu kiedy Warusowi udało się stracić trzy legiony w Lesie

Teutoburskim, w całym cesarstwie pozostało ich tylko dwadzieścia pięć.

- A co z Lucjuszem Witeliuszem? - spytał Azjatyk.

- Po zakończeniu kampanii partyjskiej stanąby przed paskudnym wyborem. Mógłby zaangażować się w wojnę domową na dwa fronty, z Poppeuszem od północy, Herodem i Makronem od południa, a z tyłu miałby jeszcze nowego króla Partii, który by wiele zyskał na osłabieniu cesarstwa rzymskiego. Na pewno przyznacie, że to niezbyt przyjemna perspektywa. Wybrałby zapewne jedyne w tej sytuacji wyjście, a mianowicie, zadeklarował lojalność wobec nowej władzy i dalej strzegł wschodniej granicy.

- Albo popełnił samobójstwo - zasugerował Korbulon.

- Co wychodzi na to samo: legiony nie zechcą walczyć. Stacjonowały już tam tak długo, że to miejsce stało się ich domem, co ich obchodzi, kto jest dowódcą?

- Pani, za wszelką cenę musimy temu zapobiec - oświadczył Azjatyk, kiedy dotarła do niego prawda o sytuacji.

- I tak uczynimy - zapewniła go Antonia - uważam jednak, że dla dobra nas wszystkich nie powinniśmy dyskutować o tym, co należy zrobić, dopóki nie pozbieramy naszych myśli. Przynajmniej ja muszę opuścić ten pokój, by poczuć się lepiej.

Rozdział dziewiąty

Magnus patrzył w skupieniu prosto przed siebie.

- Więc dlatego, że podążyłeś za swoim fiutem na pustynię - oświadczył przez zaciśnięte zęby - Antonia wciągnęła cię od razu z powrotem w swój świat i teraz będziemy odwalać za nią brudną robotę. - Westchnął i napięcie zniknęło z jego twarzy.

Wespazjan odwrócił się do siedzącego obok przyjaciela.

- Już lepiej? - spytał.

- O wiele.

- Nie jest jeszcze pewne, że będzie chciała, bym coś robił. Nawet jeszcze nie postanowiła, co zrobić z Makronem.

- Gówno prawda, na pewno już postanowiła - powiedział Magnus, znowu się najeżając. - Naprawdę sądzisz, że ty i Korbulon siedzielibyście tam sobie z Antonią i Azjatykiem, wysłuchując jej poglądów na problemy polityczne, gdyby nie uważała was za część rozwiązania? - Zamilkł i stęknął z zadowoleniem. - Jasne, że nie; zaplanowała dla nas coś okropnego, możesz mi wierzyć, bo inaczej powiedziałyby ci tylko, żebyś zostawił szkatułę Kapelli na stole, podziękowała ci słodziutko i odesłała do domu na kolację.

Wszedł Korbulon i obrzuciwszy Magnusa szybkim spojrzeniem, przeszedł obok niego, zdjął przepaskę na biodra, powiesił ją na kołku i rozsiadł się nad dziurą po drugiej stronie Wespazjana. Ulżył sobie niemal natychmiast, i to całkiem głośno.

- Nie byłem na to przygotowany, Wespazjanie - oświadczył zdecydowanie. - Przybyłem tutaj, by być świadkiem rozmowy, a nie angażować się w politykę na najwyższym szczeblu.

- Nie, Korbulonie, przybyłeś tutaj, by spłacić dług. Już raczej powinienes mi podziękować, bo przecież wybory pretorów są za kilka dni, a ty miałeś okazję poznać się bliżej ze starszym konsulem, którego opinia będzie się liczyła w senacie. Może uda ci się w tym roku. Możliwe nawet, że pokonasz w wyborach mojego brata.

- Sam to sobie wypracowałem, i oczywiście, ktoś z mojego rodu powinien zawsze pokonać takiego nowobogackiego jak Sabinus - odparł krótko Korbulon. - Martwi mnie raczej, że jeśli Antonia tę intrygę powstrzyma, to pięć ważnych osób nieźle się rozeźli.

- Co masz na myśli?

- Cóż, Makron i Herod tracą szansę na zdobycie prawdziwej władzy, Klaudiusz straci mnóstwo pieniędzy, Poppeusz pieniądze i szansę na zdobycie trochę władzy, a Kaligula straci twarz, przede wszystkim dlatego, że w ogóle do tego dopuścił.

Po chwili zastanowienia Wespazjan doszedł do wniosku, że Korbulon ma rację.

- A kiedy odkryją, że to ty zwróciłeś na to uwagę Antonii - ciągnął Korbulon - a ja ci przy tym pomagałem, wtedy rzeczywiście będę miał poważnych wrogów.

- A nie mówiłem, panie? - odezwał się Magnus z zadowolonym uśmiechem. - Trzymać się z dala od polityki cesarstwa.

- Och, zamknij się i podaj mi wiadro.

Wespazjan wyciągnął z wiadra pełnego czystej wody kij z przywiązaną do niego gąbką. Odcisnął z niej nadmiar wody, przykucnął i zaczął się myć.

- Kaligula chyba nie będzie miał nam tego za złe? Próbujemy go przecież chronić przed popełnieniem strasznego błędu.

- Tak, wiem - zgodził się Korbulon, kiedy Wespazjan włożył gąbkę z powrotem do wiadra i zakręcił nią, żeby opłukać. - Wszyscy widzimy, że dla dobra Rzymu trzeba tak zrobić, ale czy dostrzeże to Kaligula?

- Oczywiście, że tak. - Wespazjan zawiązał przepaskę na biodra, a Magnus sięgnął po gąbkę.

- Czy też może uzna, że zaszkodzi mu to, kiedy już zostanie cesarzem? Władcy nie życzą sobie, żeby widziano ich błędy. Sądzicie, że będziemy mieli jakieś szanse na awans podczas jego rządów, jeśli się dowie, że wywlekliśmy na światło dzienne jeden z największych błędów, jakie w życiu popełnił?

- W tym coś jest, panie - powiedział Magnus, kończąc zabiegi higieniczne. - Nawet jeśli uważasz obecnie Kaligulę za przyjaciela, to kiedy zostanie cesarzem, możesz okazać się osobą niemile przypominającą o błędnych ocenach z przeszłości.

- A widzisz, Wespazjanie, nawet twój człowiek jest dość bystry, by to dostrzec.

Magnus podniósł wiadro i postawił je z rozmachem obok stóp Korbulona, wylewając niezbyt już czystą wodę na jego kaptcie.

- Gąbkę, Korbulonie? - spytał uprzejmie, podając mu nieopłukane narzędzie.

- Zgodziliśmy się wszyscy, że trzeba położyć kres intrydze Makrona - oświadczyła Antonia, kiedy zebrali się ponownie w jej pokoju. - Pytanie brzmi, jak to zrobić z możliwie najmniejszą szkodą dla moich interesów.

Trzej mężczyźni wlepili w nią wzrok. Jedyne Azjatyk miał dość odwagi, by spytać o to, o czym wszyscy myśleli.

- Chyba masz, pani, na myśli interes Rzymu?

- To jest to samo, konsulu. Powiem otwarcie; przez kilka ostatnich lat byłam jedyną osobą, która stała pomiędzy względnie stabilnymi rządami a powrotem do wojny domowej. Ponieważ Tyberiusz przebywał w swoim własnym świecie na Capri, mnie przypadło nastawiać stronnictwa w senacie jedne przeciw drugim, by żadne nie stało się zbyt potężne. Ja musiałam zająć się Sejanem, bo Tyberiusz był ślepy na jego machinacje, a senat zbyt

przestraszony, by stawić mu czoło.

Azjatyk próbował protestować.

- Daruj mi swoje argumenty, konsulu; byłeś w świątyni Apollina, kiedy senat zebrał się tam w przekonaniu, że będzie głosował za przyznaniem Sejanowi władzy trybuna. Powiedz mi, gdyby Tyberiusz poprosił o to wtedy w swoim liście, to jak by głosowano?

- Jednomyślnie za przyznaniem - odparł Azjatyk i zasznurował wargi.

- Tak, bo każdy z senatorów bałby się pokazać, że głosuje przeciwko. Jedyne ci, którzy „przypadkowo” zapomnieli o głosowaniu i udali się do swoich wiejskich posiadłości albo ci, którzy mieli nieszczęście zjeść poprzedniego wieczoru zepsute krewetki, uniknęliby konieczności podejmowania takiej trudnej decyzji.

Ku ucieście Wespazjana Korbulon drgnął wyraźnie, słysząc tę uwagę; sam bowiem użył wtedy tego drugiego wybiegu.

- Rozumiem twój argument, pani - przyznał Azjatyk.

- Nie oznacza to braku szacunku dla twojej osoby, konsulu, ja po prostu podaję fakty, a ponieważ one tak wyglądają, to jest sprawą żywotnie ważną, bym po śmierci mojego szwagra wciąż odgrywała decydującą rolę w polityce Rzymu, albo za pośrednictwem jednego z moich wnuków, Gajusza lub Gemellusa, albo mojego syna Klaudiusza... którą to możliwość zaczynam właśnie brać pod uwagę. - Zamilkła, ciesząc oczy zdumieniem na twarzach gości. - Ale do tego jeszcze dojdę. Najpierw rozważmy, jak bezzwłocznie zniweczyć plany Makrona, by nie podejrzewał, że ja za tym stoję, bo jeśli się zorientuje, to zachowa się jak osaczone zwierzę i nim minie miesiąc, ja i Tyberiusz będziemy martwi. Jeśli wtrączę się w plany Klaudiusza i Narcyza dotyczące sprzedaży aktów własności, Makron zacznie coś podejrzewać. Podobnie kiedy spowoduję, by Gajusz wycofał się ze swojej obietnicy, bo wtedy prefekt na pewno dojdzie do wniosku, że to ja za tym stoję. Co zatem zrobić?

- Usunąć go, tak jak usunęłaś Sejana, pani - doradził Azjatyk.

- Podjęłam już pierwsze kroki w tym kierunku. Niestety, będzie to długa droga, chyba że każę go skrytobójczo zabić, czego się nie ośmielę zrobić z obawy przed buntem gwardii pretoriańskiej, która, jak wiecie, jest wobec niego bardzo lojalna i potraktuje to jako atak na własną pozycję w Rzymie.

- Usuń Poppeusza - zaproponował Korbulon z mściwym błyskiem w oku - bez niego nie będzie pieniędzy.

- Owszem, ale jak? Jeśli spowoduję, by oskarżono go o zdradę, Makron zorientuje się, że wiem o jego planach.

- To każ go zamordować - rzucił Wespazjan, sam sobie się dziwiąc, że mówi coś takiego. Ile czasu mu zabrało przejście od brania łapówek do doradzania morderstwa?

- Doprowadziłoby to do tego samego co poprzednia propozycja - odparła lekceważąco Antonia.

- Nie, gdyby wyglądało na śmierć z przyczyn naturalnych, pani.

Antonia popatrzyła na młodego człowieka; powoli usta jej się rozciągnęły w uśmiechu.

- Doskonale, Wespazjanie, to może się udać. Jeśli po prostu umrze, Makron będzie musiał to uznać za pechowy zbieg okoliczności i zacznie szukać innego bogatego i zdolnego do zdrady protektora, co może zająć całe miesiące, jeśli nie lata. To bardzo pomysłowe rozwiązanie.

- Ale jak moglibyśmy to przeprowadzić i kto by tego dokonał? - spytał konsul, najwyraźniej nieprzekonany. - Nie można przecież wejść do jego domu i udusić go w łóżku, za wiele tam ludzi, żeby udało się komuś prześlizgnąć.

- Ja to zrobię - zaproponował cichym głosem Korbulon. - Wiem, że to niehonorowo zabić kolegę senatora, ale on próbował mnie zabić jeszcze mniej honorowo, więc jeśli to moja jedyna szansa na zemstę, to z niej skorzystam.

Wespazjan wiedział, że już nigdy nie będzie mógł spojrzeć w oczy Korbulonowi, jeśli nie weźmie udziału we wprowadzeniu w czyn własnego niegodnego pomysłu.

- A ja ci pomogę, Korbulonie - powiedział z ciężkim sercem.

Bolało go, że te wszystkie ideały, z jakimi wjeżdżał do Rzymu niemal dziesięć lat wcześniej, sprowadziły się do czegoś takiego. W tym samym momencie uświadomił sobie, że gotów jest zrobić wszystko, by zachować swoją wizję Rzymu - takiego, w którym liczy się honor, wolnego od wojen domowych, które położyły kres republice. I co robi? Chce chronić tę wizję za pomocą morderstwa. Pomyślał, że jego babka Tertulla uśmiełaby się serdecznie, gdyby mogła go teraz zobaczyć.

- Dziękuję wam, panowie - powiedziała Antonia, a jej głos brzmiał szczerze. - Wiem, jak bardzo kłóci się to z tym, w co nauczyliście się wierzyć, i nie prosiłabym was o zajęcie się tą sprawą, gdybym widziała jakiegokolwiek inne wyjście.

Wespazjan i Korbulon popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się smutno; obaj wiedzieli, że zgłosili się do dokonania rzeczy, której nigdy nie będą sobie w stanie wybaczyć.

Azjatyk odchrząknął; nie był zachwycony pomysłem, jednak rozumiejąc, że jest to jedyna droga postępowania, skierował rozmowę na praktyczną stronę zagadnienia.

- Zatem jak to zrobić, skoro nie można w jego własnym domu?

- Trucizna wykluczona - stwierdziła Antonia - bo zbyt długo trzeba by ją podawać w małych dawkach, żeby wyglądało to na jakąś wyniszczającą chorobę, a poza tym jak moglibyśmy uzyskać stały dostęp do jego potraw?

Nastąpiła cisza, bo wszyscy obecni próbowali wymyślić, jak upozorować naturalną śmierć osoby nie leżącej akurat we własnym łóżu ani nie siedzącej przy biurku w gabinecie.

W końcu milczenie przerwał stojący przy drzwiach Pallas.

- Czy mógłbym pomóc, pani? - spytał.

Antonia podniosła na niego wzrok.

- Bez wątpienia masz w zanadru jakąś cenną uwagę, Pallasie. Zawsze dobrze ją usłyszeć, proszę więc, przyjdź nam z pomocą.

Zarządca domu wysunął się z cienia i stanął w kręgu światła.

- Jesteś bardzo uprzejma, pani. Mam tylko jedną uwagę, a mianowicie taką: aby wyglądało to przekonująco, należy rzeczy dokonać w miejscu ustronnym, ciało zaś musi zostać znalezione w miejscu publicznym. Jeśli zatem wykluczamy zabicie Poppeusza w jego własnym domu, musimy znaleźć inne miejsce, gdzie można to zrobić. Dokąd jeszcze chodzi Poppeusz w Rzymie? Do senatu, łaźni, sądów, do domów przyjaciół na uczyty? Żadne z tych miejsc nie jest ustronne. Nigdy nie przyjąłby zaproszenia od ciebie, pani, tego aktu nie można by też dokonać w domu starszego konsula... byłby to dyshonor zbyt daleko posunięty.

Azjatyk przytaknął głową.

- Nadużylibyśmy cierpliwości bogów, gdybyśmy mieli skalać morderstwem urząd wysokiego urzędnika rzymskiego - oświadczył.

- Istotnie - zgodził się Pallas. - Zatem wyobrażam sobie, że Poppeusz może się znaleźć w ustronnym miejscu jedynie przy okazji przeprowadzania jakiejś tajemnej transakcji.

- Wymieniając akty własności na weksel dłużny w domu Klaudiusza! - wykrzyknął Wespazjan. - Oczywiście! Ale to by oznaczało, że Klaudiusz i Narcyz musieliby być częścią tego planu.

- Nie sędzę, by był z tym większy problem - orzekła Antonia. - Rzecz sprowadza się tylko do pieniędzy. Jeśli poczekamy, aż dokonają wymiany, to jestem przekonana, że zarówno mój syn, jak i jego oślizły wyzwoleniec z przyjemnością nam pomogą albo przynajmniej przymkną oczy, jako że nie tylko będą mieli wtedy splecony weksel, ale zatrzymają też akty własności tych siedmiu posiadłości. To powinno być dla nich

wystarczającym bodźcem i przysłuży się moim własnym celom: da Klaudiuszowi dodatkowe dochody, których będzie potrzebował, gdybym doszła do wniosku, że dla Rzymu będzie lepiej, jeśli to on zostanie następnym cesarzem.

- A możesz dojść do takiego wniosku, pani? - spytał konsul, unosząc brwi.

- To zależy od tego, jak mój mały Gajusz będzie się sprawował przez kilka najbliższych miesięcy. Jednak na twoim miejscu, Azjatyku, dalej podtrzymywałabym przyjaźń z tym moim zidiociałym synem.

- Och, zamierzam to czynić - odparł mężczyzna, uśmiechając się konspiracyjnie.

Antonia spojrzała znowu na zarządcę.

- Dziękujemy za twoje przydatne uwagi, Pallasie. Teraz, kiedy już oświeciłeś nas w sprawie miejsca, czy wiesz może, jak się do tego zabrać?

- Niestety nie, pani - odparł przeproszającym tonem Pallas - jednakże pamiętając tajemniczy zgon jednego z edylów w ubiegłym roku, myślę, że wiem, kto mógłby nam pomóc w tej delikatnej sprawie. Czy mogę tu poprosić Magnusa?

Antonia uniosła brwi.

- Uważam, że to doskonały pomysł.

Magnus obrzucił rozbieganym spojrzeniem cały pokój.

- Nie jestem pewien, że dobrze rozumiem, co masz, pani, na myśli - powiedział, wierząc się na twardym drewnianym stołku, postawionym przy wolnym końcu stołu biesiadnego.

- Nie czaruj mnie tu fałszywą skromnością, Magnusie - rozkazała Antonia - to proste pytanie i jestem pewna, że znasz na nie odpowiedź.

- Cóż, istnieje jeden sposób; nie próbowałem go, ale słyszałem o nim od znajomka - przyznał. - Którego już nie znam, tak naprawdę nigdy nie znałem, jeśli wiecie, co mam na myśli - dodał szybko, rzucając niepewne spojrzenie na Azjatyka.

- Nie obawiaj się, Magnusie - uspokoiła go Antonia - starszy konsul jest tutaj, żeby skorzystać z twojej mądrości, a nie by cię osądzać.

- Jeśli jesteś tym Magnusem, który przewodzi Bractwu Południowego Kwirynału - dodał Azjatyk - i masz na myśli, powiedzmy, „naturalną” śmierć edyla tej dzielnicy w roku ubiegłym, to nie masz powodu do niepokoju. Senator Pollo przekonał miejskiego prefekta, że nie miał z tym nic wspólnego i że nie ma nic dziwnego w znalezieniu na ulicy trupa młodego zdrowego człowieka bez najmniejszych obrażeń. Mnie jednak bardzo interesuje, jak tego dokonano, bądź więc tak uprzejmy i oświeć nas.

Magnusowi wyraźnie ulżyło.

- Cóż, tak naprawdę to całkiem proste: topi się człowieka, wpychając mu głowę do beczki z wodą. Trzeba uważać, żeby nie zostawić żadnych sińców na ciele. Należy go przedtem rozebrać, żeby ubranie się nie porwało ani nie zmoczyło. Potem wieszka się go do góry nogami, owijając kostki nóg kocem, żeby powróż nie zostawił śladów, i naciskając na klatkę piersiową, wypompowuje całą wodę. Trzeba jednak poczekać jakiś czas, zanim się to zrobi, bo tacy potrafią ożyć. Potem się go zdejmuje, osusza mu włosy, ubiera i gotowe, trup bez żadnych znaków na ciele. Aha, jak się go wieszka, to najlepiej przy rozpalonym ogniu, żeby był ciepły, to znaczy, jeśli ciało ma być znalezione szybko.

- Dziękujemy, Magnusie - powiedziała Antonia, spoglądając na mężczyznę z błyskiem w oku, w którym, o czym Wespazjan wiedział, było coś więcej niż tylko podziw dla jego wiedzy.

- Jest jeszcze inny sposób - zaczął Magnus, najwyraźniej rozgrzany tematem - ale wtedy z kolei trzeba wcisnąć mu lejek w...

- Wystarczy, Magnusie; myślę, że już mamy nadające się do wykorzystania rozwiązanie. To byłoby wszystko... na razie.

- Tak, pani - mruknął Magnus i opuścił pokój.

Wespazjan domyślił się, że tego wieczoru jego przyjaciel nie będzie mógł skorzystać z szalejących niewolnic obchodzących Caprotinia.

- A teraz, panowie - podjęła Antonia, kiedy drzwi się zamknęły - skoro Poppeusz już nie żyje, jak i gdzie nastąpi odkrycie tego nieszczęsnego wypadku?

- Jeśli mogę, pani - odezwał się Pallas.

- Miałam nadzieję, że się zgłosisz, Pallasie - powiedziała Antonia z uśmiechem.

- Poppeusz na ogół chodzi z laską i uważa, że byłoby poniżej jego godności wybrać się w jakiegokolwiek miejsce w Rzymie inaczej niż w lektyce, i bez wątplenia również w lektyce przybędzie do domu Klaudiusza. Będziemy musieli umieścić w niej jego ciało i kazać tragarzom zanieść go na Forum. Najlepiej, żeby zatrzymał lektykę starszy konsul, odsunął zasłonki i ku swojej konsternacji odkrył, że ten dobry człowiek nie żyje.

Azjatyk parsknął śmiechem.

- Trudno byłoby wymyślić bardziej publiczne miejsce na znalezienie zwłok. Świetny pomysł i z przyjemnością odegram swoją rolę.

- Ale jak umieścimy ciało w lektyce, żeby tragarzom wydawało się, że ich pan żyje i że to on im wydaje polecenie, by zanieśli go na Forum? - spytał Wespazjan.

- Stworzymy wrażenie, że wciąż żyje.

- Ale jak?

- Zostaw to mnie, Wespazjanie. Nie będzie to takie trudne, jak myślisz - zapewnił go Pallas. - Musisz jednak zostawić szkatułę tutaj.

- Cóż, panowie, uważam tę sprawę za zakończoną - oświadczyła zdecydowanym tonem Antonia. - Dziękuję wam za poświęcony czas. Konsulu, słówko na osobności?

- Oczywiście, pani.

- Dziękuję. Wespazjanie i Korbulonie, jutro rano Pallas i ja złożymy wizytę mojemu śliniącemu się synowi i jego okropnemu wyzwoleńcowi, by ustalić co trzeba i poinformować obu o konsekwencjach, jakie ich czekają, jeśli nie spełnią moich życzeń. Dołączycie tam do nas o drugiej godzinie dnia.

- Z przyjemnością, pani - odparł niezupełnie szczerze Wespazjan.

Wespazjan opuścił pokój w towarzystwie Korbulona i przemierzając oświetlony pochodniami perystyl, odczuwał rozczarowanie, że nawet nie zobaczył Cenis, która przecież niemal zawsze była u boku swojej pani. Zastanawiając się nad tym, z nieprzyjemnym uczuciem uświadomił sobie nagle, że jako sekretarka Antonii Cenis wykonała kopię listu Korwinusa. Dowiedziała się zatem o Flawii, zanim on sam miał szansę cokolwiek jej wytłumaczyć.

- A nie mówiłem? - powiedział Magnus, wynurzając się z cienia. - Rzeczywiście zaplanowała sobie dla nas paskudną robótkę. Wygląda mi to na morderstwo z zimną krwią. Kto jest celem... Poppeusz?

- Tak - odpowiedział krótko Wespazjan.

- Cóż, w takim razie przypuszczam, że sprawa jest bardziej strawna, bo dotyczy tego głównianego obrzydliwca.

- Jednak się pomyliłeś; ona tego nie zaplanowała. W istocie nie bardzo wiedziała, co robić. To ja zasugerowałem, żeby go zamordować.

Magnus wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, że ty, panie, ale jestem pewny, że dopiero wtedy, kiedy ona odrzuciła

wszelkie inne możliwości jako niewykonalne albo wymagające zbyt wiele czasu.

- Człowieku, to było jedyne możliwe posunięcie - rzucił Korbulon. - Zgłosiłem się na ochotnika, żeby to zrobić, a Wespazjan powiedział, że mi pomoże. Nie prosiła nas o to.

- Oczywiście, że nie, bo to było jedyne możliwe posunięcie, którego sama nie mogła zasugerować.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał Wespazjan.

- Cóż, to zrozumiałe, no nie? - powiedział zirytowanym głosem Magnus. - Antonia zawsze wie, co robić w każdej sytuacji; problem w tym, że w obecności starszego konsula nie mogła sobie tak po prostu powiedzieć: „Poppeusza należy zamordować tak, by wyglądało to na śmierć z przyczyn naturalnych; a przy okazji, Wespazjanie i Korbulonie, czy nie zechcielibyście odłożyć na bok swojego honoru i działać jak eunuch będący szambelanem jakiegoś wschodniego króla albo jakaś mściwa kobieta?”. Obaj byście z miejsca odmówili, zupełnie zresztą słusznie, a ona nie mogłaby was za to winić.

Mężczyźni popatrzyli na siebie, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie Magnus jest bardzo bliski prawdy.

Wespazjan jęknął.

- A fakt, że pomysł był nasz, pozwolił nam też zaproponować wprowadzenie go w czyn i w rezultacie Antonia dostała, co chciała, bez konieczności proszenia dwóch senatorów o zamordowanie trzeciego.

- Trzeba przyznać, że nieźle wszystko rozgrywa - zauważył wesoło Magnus.

- Ty wiesz to najlepiej. Idź i pograj sobie z nią, a przy okazji posiniacz ją trochę w moim imieniu.

- Ona to lubi, o to jej właśnie chodzi. Im ostrzej, tym lepiej.

- Cóż, ostrzejszych od ciebie nie ma. Do zobaczenia jutro, musimy komuś złożyć wizytę; przyjdź o świcie do domu Gajusza.

- Tak, przypuszczam, że o tej porze już będę wolny. Żałuję jednak, że Caprotinia przejdzie mi koło nosa. Dobranoc, panie. Ziri zostaje ze mną, ale moi chłopcy cię odprowadzą.

- Jak ty jesteś w stanie go znieść, Wespazjanie? - spytał Korbulon, kiedy Magnus poszedł czekać na wezwanie Antonii.

- Tak jak znoszę ciebie: lubię go.

Powietrze było chłodne, czyste i spokojne. Księżyc wisiał nisko nad miastem; jego blade światło odbijało się od marmurowych ścian i kolumn większych świątyń i gmachów publicznych, wydobywając je spośród ciemniejszych, starszych i skromniejszych budowli z cegły, pokrytych terakotowymi dachami. Tu i ówdzie kolumny dymu z piekarń i kuźni wznosiły się pionowo w niebo, w miarę rozpraszania się w atmosferze coraz bledsze i rzadsze. Spokojne widoki kontrastowały z pijackim wrzaskiem dobiegającym z Subury, gdzie biedacy radowali się ostatnimi godzinami święta niewolnic. Zgrzyt okutych żelazem kół i stukot kopyt koni zaprzęgniętych do kupieckich wozów zaopatrujących nocą warsztaty i sklepy miasta dodatkowo potęgowały jeszcze ten zgiełk.

Wespazjan i Korbulon szli szybko w dół Palatynu za Mariuszem i Sekstusem, odzywając się tylko z rzadka i nie patrząc sobie w oczy. Jeśli cel uświęca środki, to teraz właśnie mamy do czynienia z takim przypadkiem, pomyślał Wespazjan, kiedy u stóp wzgórza Celius Korbulon, odrzuciwszy ofertę, by ktoś mu towarzyszył, wymamrotał tylko ponure dobranoc i ruszył pospiesznie pod górę.

Kiedy okrążali zachodni kraniec Subury, coraz wyraźniej widzieli chaos wywołany świętowaniem. Po ulicach włóczyły się pijackie bandy, wyrzaskując wulgarne piosenki i wdając się w bójki. Pijani do nieprzytomności ludzie leżeli w kałużach własnych wymiocin i moczu, a inni oddawali się publicznej rozpuście po bramach i zaułkach.

- Miasto rzeczywiście się dzisiaj bawi - zauważył z żalem w głosie Mariusz, kiedy

mijali dwóch groźnie wyglądających wyzwolenców zabawiających się z jedną niewolnicą i pociągających wino z bukłaków.

- Taa, ale należy się to ludziom - odparł Sekstus - przy tych wszystkich nowych kłopotach i takich tam.

- Jakich nowych kłopotach? - spytał Wespazjan.

- No cóż, oczywiście chodzi o brak zboża, panie, nie słyszałeś?

- Taa - potwierdził Mariusz. - Miesiąc temu obcięli o połowę przydział ziarna i jak niby ludzie mają przeżyć?

- Ale przecież to dlatego, że pierwsze statki ze zbożem zatoneły. Kiedy przyplyną następne, wszystko wróci do normy - zapewnił ich Wespazjan.

- Nie byłbym taki pewien, panie - odparł Mariusz, kiedy zaczęli się wspinać na Kwirynał. - Braki zaczęły się już o wiele wcześniej, zanim w ogóle usłyszeliśmy o zatonięciu tej floty ze zbożem. Mój kuzyn pracuje w spichrzach i nigdy nie widział, żeby było w nich tak mało ziarna. Powiedział, że kłopoty zaczęły się pod koniec ubiegłego lata, kiedy każda kolejna flota przywoziła coraz mniej ziarna. Trzymają to w tajemnicy, ale słyszał pogłoski o spekulantach.

Sekstus splunął na ziemię.

- Zawsze jest kurwa tak samo, nie? Biedacy cierpią, podczas gdy kilku bogatych drani robi pieniądze na ich nieszczęściu. Przekłęci senatorowie, za przeproszeniem pana.

- Mało prawdopodobne, żeby byli to senatorowie - oświadczył Wespazjan, przypominając sobie z zażenowaniem, co powiedział Korbulon o Pomponiuszu. - Prawo nie pozwala im zajmować się handlem.

- Taa, ale to ich wcale nie powstrzymuje - zauważył Mariusz.

- Jestem pewien, że masz rację co do niektórych, Mariuszu.

- Wiem, że mam. Kuzyn powiedział mi, że jeden z tych dwóch statków, które nie zatoniły, złożył swój ładunek w prywatnym magazynie i edyl odpowiedzialny za zboże nie może go skonfiskować, bo nie wie, czyj to magazyn i gdzie się znajduje.

- Mój brat jest edylem od zboża; spytam go, dlaczego nie mogą go znaleźć.

- Bo jest dobrze schowane, dlatego. Tylko senator chciałby trzymać coś takiego w tajemnicy.

- Senator byłby głupcem, gdyby zajął się spekulacją zbożem. Wystarczy, żeby cesarz miał podejrzenia, a senator straciłby głowę i majątek.

- Cesarz? A co tam cesarz! Prawie dziesięć lat nie widziano go w Rzymie. Tak utknął na tej swojej wyspie, że równie dobrze mogli go już dawno wrzucić do Tybru... i to nie tylko ja tak mówię.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny, komu to powtarzam, bo to zbrodnia zdrady.

- Cóż, nie znam się na tym, panie, ale jedno jest pewne, nie wystarczy ziarna dla miasta na następny miesiąc i nikt nie ma o tym wiedzieć, a ponieważ cesarza gównem to obchodzi, ktoś próbuje na tym nieźle zarobić.

Dotarli do domu Gajusza i Wespazjan odprawił obu członków bractwa rozstajnych dróg, dając im za fatywę po denarze. Do środka wpuścił go rozespany nowy ciemnoskóry młody odźwierny i natychmiast wrócił na swoje posłanie w westybulu.

Wespazjan szedł przez milczący dom, zastanawiając się nad swoim pierwszym dniem po powrocie do Rzymu; nie przebiegł on tak, jak by sobie życzył. Nie zobaczył Cenis i chyba wiedział dlaczego. Martwiło go również, że znowu zaangażował się w intrygi Antonii i raz jeszcze wciągnięto go w świat, w którym działaniami mężczyzn kieruje wyłącznie polityczna konieczność. Kiedy wszedł do pokoju, zdjął togę i tunikę i pomyślał o sprawie braków zboża, co wzmogło jego zaniepokojenie. Widział już podobną sytuację na Cyrenajce, ale teraz

wiedział, że to Herod Agryppa, dla własnych celów, wykupywał ziarno przeznaczone dla tej prowincji. Wyglądało na to, że coś podobnego dzieje się tutaj, w Rzymie.

Położył się na łóżku i wpatrzył w biały sufit swojego niewielkiego pokoju. Może to tylko rezultat zatonięcia kilku statków i egoizmu pewnych osób, pomyślał. Jednak jedno wiedział na pewno: jeśli ktoś chce dla własnych celów zdestabilizować sytuację w Rzymie, to najłatwiej może to zrobić, wykorzystując brzuchy biedaków.

Rozdział dziesiąty

Następnego ranka Wespazjan wstał tuż przed świtem. Wszedł do atrium i stanął zaskoczony na widok brata. Sabinus siedział z Gajuszem przy niewielkim ogniu i jedli śniadanie złożone z chleba i oliwek z czosnkiem, popijając wino z dużą ilością wody. Usługiwał im Enor.

- A zatem młody kwesor powraca z prowincji - odezwał się Sabinus, przeciągając samogłoski - i udaje mu się przywieźć szkatułę pełną kłopotów.

- Odwal się, Sabinusie - warknął Wespazjan, podając Enorowi złożoną togę i siadając, podczas gdy wuj napelniał mu puchar.

- Ciebie też miło znowu zobaczyć, bracie. Podobały ci się wielbłądy?

- Właśnie wyjaśniałem Sabinusowi trudną sytuację, w jakiej się znalazłeś - wtrącił się szybko i zupełnie niepotrzebnie Gajusz, chcąc uniknąć kłótni. Braciom nigdy nie było łatwo się dogadać; choć w ostatnich latach Sabinus zaczął okazywać więcej szacunku młodszemu bratu, wciąż jednak sprawiało mu przyjemność prowokowanie go, szczególnie kiedy się długo nie widzieli. - Zjedz, proszę, z nami śniadanie i powiedz, co postanowiła Antonia.

- Morderstwo? - wykrzyknął Gajusz, wysłuchawszy szczegółowego sprawozdania ze spotkania u Antonii. - To nie jest ładne słowo.

- Wiem, wuju, to kobieca metoda - powiedział zawstydzony Wespazjan - ale innego sposobu nie widzieliśmy.

- Uważam, że miałaś rację, sugerując to rozwiązanie - oświadczył Sabinus, znów zaskakując Wespazjana - bo to najszybszy i najpewniejszy sposób poradzenia sobie z problemem, choć rzeczywiście niewieści.

Wespazjan zignorował kpinę.

- A przy okazji Korbulon i ja zemścimy się na Poppeuszu - rzucił.

- Co też jest satysfakcjonujące - przyznał Sabinus - bo oznacza, że dotrzemy obietnicy, którą w imieniu nas obu złożyłem Pomponiuszowi Labeonowi.

- Jakiej obietnicy?

- Przysłał po mnie tamtego dnia, kiedy otworzył sobie żyły, wiedząc, że mamy wobec niego dług wdzięczności za udzielenie naszym rodzicom schronienia przed Sejanem. Kazał mi obiecać, że spłacimy dług, mszcząc się na Poppeuszu.

- Cóż, cieszy mnie, że mogę się przysłużyć - oświadczył z wyraźnym sarkazmem Wespazjan.

- Och, przysłużysz się, jak najbardziej. I to na dwa sposoby... bo właśnie mi pokazałeś, jak mogę wyrównać swoje rachunki z Herodem.

- A co masz przeciwko niemu?

- W skandaliczny sposób upokorzył mnie publicznie w Judei. Nie daruję mu tego. Nadzoruję w tym roku rozdawnictwo zboża w mieście i powiem ci w zaufaniu, że cena ziarna rośnie, bo w spichrzach jego poziom alarmująco spadł.

- Tak, słyszałem.

- Co? - Sabinus był wstrząśnięty. - To miało być utrzymane w tajemnicy.

- I jest. Wiesz o tym tylko ty, ja, członkowie Magnusowego bractwa rozstajnych dróg oraz ich przyjaciele i krewni.

- Bardzo zabawne - parsknął gniewnie Sabinus.

- A co z tym zbożem z drugiego statku, dlaczego go nie odnajdziecie i nie rozdacie?

- A skąd ty o tym wiesz?

- Bo to kolejny świetnie strzeżony sekret.

- Jakimi jeszcze tajemnicami podzielili się z tobą członkowie bractwa? Pewnie, że mnie przekupiono, bym nie znalazł zboża.

- Mam nadzieję, że nie, drogi chłopcze, bo to przestępstwo zagrożone najwyższą karą - wykrzyknął Gajusz i żeby się uspokoić, pociągnął duży łyk wina.

- Nie jestem taki głupi, wuju. W każdym razie lada dzień przyplyną pierwsze statki z afrykańskim zbożem i sytuacja zacznie powoli wracać do normy. Niemniej z powodu tych braków musimy płacić niemal jedną piątą więcej niż w roku ubiegłym, a cena wciąż rośnie i daleko jej do stabilizacji. Tak więc każdy przyłapany na magazynowaniu zboża, tak jak nasz przyjaciel Herod, poniesie konsekwencje. Napiszę anonimowo do alabarchy i poinformuję go, że Herod wykorzystał pożyczone od niego pieniądze na nielegalne spekulacje zbożem. Poradzę mu, by poinformował prefekta Flakkusa, zanim ja sam to uczynię, wplątując tym samym w te transakcje jego osobę. Flakkus jest całkowicie oddany Tyberiuszowi, zatem będzie musiał zbadać te oskarżenia. Znajdzie zmagazynowane ziarno, zamelduje o nim Tyberiuszowi i poinformuje, kto jest jego właścicielem, i to będzie koniec Heroda.

- Powinieneś być bardzo ostrożny, drogi chłopcze - poradził mu Gajusz, kiedy rozległo się pukanie do drzwi frontowych. - Herod kupił to ziarno od Klaudiusza. Jeśli to wyjdzie na światło dzienne, on również znajdzie się w tarapatkach. Antonia nie traktuje uprzejmie ludzi, którzy sprawiają kłopoty członkom jej rodziny; zachowuje to prawo dla siebie.

- W tym właśnie jest cały urok anonimów. Ani ona, ani Herod nigdy się nie dowiedzą, że to ja - odparł Sabinus, kiedy wpuszczono Magnusa, który ani trochę nie wyglądał na wypoczętego.

Wespazjan wstał i dał znak Enorowi, by udrapował na nim togę.

- Antonia ma wyjątkową umiejętność dowiadywania się o wszystkim, Sabinusie; jedno jej słowo i stracisz szanse w wyborach na pretora. Gdybym był tobą, posłuchałbym rady wuja i pomyślał o innym sposobie odegrania się na Herodzie.

Sabinus się skrzywił.

- Zastanowię się - oświadczył.

- Dzień dobry panom - powiedział Magnus, kiedy stało się oczywiste, że rozmowa dobiegła końca.

- Witaj, Magnusie, musimy iść - odpowiedział Wespazjan, kiedy Enor ułożył ostatnią fałdę togi.

- Ziri czeka na dworze, panie.

- A ja powinienem powitać swoich klientów - oświadczył Gajusz, wstając ciężko. - Życzę ci powodzenia w tej nieprzyjemnej sprawie, drogi chłopcze. Enorze, moja toga.

Skinąwszy bratu głowę, Wespazjan odwrócił się i ruszył za Magnusem na zewnątrz. Minęli po drodze jakichś czterdziestu klientów, którzy czekali, by złożyć poranne wyrazy szacunku swojemu patronowi.

Odnaleźli Ziriego na tyłach tłumu i razem poszli w stronę Kwirynału. Był piękny rześki poranek, z zapowiedzią ciepła w powietrzu. Z głębi ładu wiał lekki wietrzyk i Wespazjan miał wrażenie, że spośród zapachów miasta jest w stanie wyłowić woń ściętej trawy i polnych kwiatów. Pomyślał o posiadłościach w Kosie i Aquae Cutillae i stwierdził, że dałby wiele, by znaleźć się w jednym z tych miejsc, a nie zajmować się planowaniem morderstwa.

Dom Klaudiusza był inny, niż Wespazjan mógł się spodziewać po członku cesarskiej rodziny, nawet będącym w niełasce. Stał prawie pod miejskim murem, na cichej bocznej uliczce Eskwilinu, i wyglądał na dom kupca, któremu właśnie przytrafiła się cała seria nieudanych transakcji. Łuszcząca się biała farba nie pokrywała spękanego tynku, spod

którego tu i ówdzie wзираły cegły. Budynek był przynajmniej duży i braki w wyglądzie rekompensowało położenie; to wręcz idealne miejsce, pomyślał Wespazjan, dla kogoś, kto nie chce się rzucać w oczy.

Krótko przed drugą godziną dnia z za rogu ulicy wyszedł Korbulon w towarzystwie dwóch niewolników. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

- Dzień dobry, Wespazjanie - powiedział, ignorując Magnusa i Ziriego. - Coś dobrego wyniknęło z tej smutnej sprawy: dostałem rano wiadomość od Azjatyka, który obiecuje mi, że poprze moje starania o urząd pretora. Z jego poparciem w senacie mam ogromną szansę wygrać wybory i po roku zostać propretorem.

- Bardzo się cieszę, Korbulonie - powiedział szczerze Wespazjan - ze względu na ciebie... i na siebie.

- Dlaczego, czy tobie też Azjatyk coś obiecał?

- Nie, ale ponieważ to za moją sprawą się z nim spotkałeś, uważam, że znowu jesteś mi coś dłużny. W końcu nie jesteśmy jeszcze kwita, he?

Korbulon zmarszczył brwi, zanim jednak zdążył zareagować, zobaczyli wyłaniającą się z za rogu lektykę Antonii, obok której szedł Pallas, niosąc szkatułę Kapelli.

Dwunastu muskularnych Nubijczyków postawiło lektykę przy schodach prowadzących do drzwi frontowych. Antonia rozsunęła zasłonki i wysiadła. Wespazjanowi serce skoczyło do gardła, kiedy zobaczył za nią Cenis. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się nieśmiało; smutek zachmurzył jej kryształowo przejrzyste błękitne oczy, które zatrzymały się na chwilę na nim, zapierając mu dech w piersiach. Otworzył usta, żeby jej wszystko wytłumaczyć, po czym zorientował się nagle, że otaczają ich ludzie, posłał jej więc tylko nerwowy uśmiech. Skinęła głową, jakby dawała do zrozumienia, że muszą porozmawiać, i odwróciła się po swoje materiały piśmienne.

- Witam panów - powiedziała Antonia, wrywając Wespazjana z jego intymnego świata. Rozbawieniem widocznym na twarzy dała Wespazjanowi do zrozumienia, że jego

milcząca rozmowa z Cenis miała o wiele bardziej publiczny charakter, niż oboje zamierzali. - Ja będę mówić, wy powinniście zachować milczenie, chyba że poproszę, będziecie się odezwali. Pamiętajcie, że jesteście tutaj wyłącznie po to, by wypracować sposób przeprowadzenia naszego... ee... przedsięwzięcia.

Pallas wszedł po schodach i zapukał do drzwi.

- Byłem c-całkowicie nieświadom, m-m-matko - twierdził Klaudiusz, ocierając chusteczką strużkę śliny, która spływała mu z opuszczonego kącika ust - tego, co może stać się z tymi posiadłościami. - Jego czujne spojrzenie pobiegło ku wyzwolencowi Narcyzowi, siedzącemu obok niego na ławce pod obwieszoną owocami gruszą w dobrze utrzymanym ogrodzie. - Podobnie jak N-N-Narcyz.

Wespazjan i Korbulon siedzieli po obu stronach Antonii i z zainteresowaniem obserwowali, jak przesłuchuje swojego syna. Klaudiusz nie potrafił opanować podrygiwania i jąkania, kiedy pokazała mu akty własności, i przyznał się do swojej wiedzy o tym, że Narcyz nielegalnie kupuje dla niego ziemię w Egipcie. Narcyz pozostał niewzruszony przez cały czas, jakby sprawa nie miała większego znaczenia i zajmowanie się nią było poniżej jego godności. Wespazjan zerknął na Cenis, ale dziewczyna miała głowę opuszczoną, skupiona na zapisywaniu rozmowy na woskowych tabliczkach. Za nią, z kamiennym wyrazem twarzy, stał Pallas.

- Mam uwierzyć, że zamierzałeś sprzedać siedem z największych zajmujących się uprawą pszenicy gospodarstw w Egipcie - powiedziała Antonia, wskazując ręką szkatułę Kapelli, która stała otwarta na stole pomiędzy nimi - nieznanemu kupcowi, zupełnie nie interesując się, kim on jest?

- Ależ myśleliśmy, że to wiemy, droga pani, my myśleliśmy, że to był Poppeusz - odparł Narcyz, gładząc się pulchną dłonią po natłuszczonej brodzie; pierścienie na każdym palcu, z ostentacyjnie wielkimi kamieniami, błysnęły w promieniach coraz mocniej świecącego słońca.

- Nie kierowałam tego pytania do ciebie, wyzwolencze - rzuciła ostrym tonem Antonia. - Ty już i tak zachowałeś się skandalicznie, siadając bez zaproszenia w mojej

obecności, nie pogarszaj więc sytuacji, odzywając się niepytany; i dla ciebie jestem „pani”.

- W istocie, pani - odparł Narcyz, pochylając powoli głowę i rozkładając ręce w geście uległości.

- Więc nie wiedziałeś, że ostatecznym kupcem jest Makron?

- M-M-Makron! - wykrztusił ze zgrozą Klaudiusz. Pełne usta Narcyza zadrgały. - Nie, m-m-m-matko. Poppeusz powiedział, że anuluje długi za wszystkie posiadłości, jeśli siedem sprzedam j-jemu.

- I nie powiedział ci, co zamierza z nimi zrobić?

- Nie, m-m-m-matko.

- Przestań powtarzać to m-m-matko, Klaudiuszu. Skoro masz taki problem z tym słowem, to go nie wymawiaj, wtedy ta rozmowa przebiegnie szybciej.

- Tak, m-m... tak. My...ee... to znaczy, ja założyłem, że zamierza zatrzymać je dla s-siebie. - Klaudiusz znowu zerknął na Narcyza, który przyglądał się uważnie swoim zadbanym paznokciom; prawie niedostrzegalnym skinięciem głowy wyzwoleniec dał mu do zrozumienia, że udzielił właściwej odpowiedzi.

- No cóż, zamierza sprzedać je Makronowi. Na szczęście dla ciebie, wierzę w twoją wersję. Wiem, że nawet ty nie jesteś taki głupi, by przekazywać takie potencjalne bogactwo w ręce pozbawionego skrupułów człowieka, planującego podzielenie cesarstwa, którym pewnego dnia być może będziesz władał.

- J-j-ja! - wykrzyknął z przesadnym zdumieniem Klaudiusz.

Wespazjan zauważył, jak cień uśmiechu musnął kąciki ust Narcyza.

- Tak, ty, Klaudiuszu. Nie udawaj przede mną niewiniątka, bo to obelga dla nas obojga. A teraz posłuchaj, jeśli chcesz, bym poważnie potraktowała cię jako potencjalnego

sukcesora, musisz mi pomóc dokończyć tę transakcję, tak by Makron nie podejrzewał, że to ja działałam przeciwko niemu. I nie wolno ci nikomu o tym mówić, nawet twojemu zachłannemu przyjacielowi Herodowi Agryppie.

Narczyz przyłożył do ust jedwabną chusteczkę i delikatnie odchrząknął, unosząc brwi i patrząc na Antonię.

- O co chodzi? - spytała zniecierpliwiona.

- Moje wielkie dzięki, pani - oświadczył wyzwoleniec, a jego głos ociekał służalczą szczerością. - My, to jest, mój pan i ja, naturalnie zrobimy wszystko, czego sobie życzysz, i możesz polegać na naszej dyskrekcji. Jeśli wolno, pozwolę sobie zauważyć, że odstąpienie od tego interesu czy nawet wyeliminowanie Poppeusza nie będzie wystarczająco wyrafinowanym posunięciem, by zmylić Makrona.

- Czy sądzisz, że o tym nie pomyślałam?

Narczyz podniósł dłonie i skulił ramiona, odchylając do tyłu głowę i przymykając oczy.

- Nie, pani, oczywiście, że nie. Czy nie mógłbym zasugerować przypadkowej śmierci?

- Nie, nie możesz, bezczelny człowieczku. Zamierzamy zainscenizować śmierć naturalną i zrobimy to w tym domu.

Narczyz, który natychmiast zrozumiał, jakie to będzie miało konsekwencje, otworzył szeroko oczy.

- I stanie się to po dokonaniu transakcji, pani?

- Tak, Klaudiusz zostanie zarówno ze spleconym wekslem, jak i z aktami własności.

- Czy mogę, pani, wyrazić uznanie za taką finezję?

- Nie, nie możesz. To był pomysł Wespazjana.

Młody Rzymianin już nie wiedział, czy to prawda, czy nie. Poczuł na sobie wzrok Narcyza i zerknął w jego stronę; spojrzenie wyzwolenca zdradzało mieszaninę podziwu i wdzięczności; uśmiechnął się lekko i skłonił odrobinę głowę. Pomyślał o bankowym wekslu na okaziciela; kiedy będzie już po transakcji, zamieni go na gotówkę u braci Kleliuszów, zwracając im przy okazji dług.

- Zostawiam was, byście omówili szczegóły - powiedziała Antonia, wstając i spoglądając surowo na syna. - Zrób to porządnie, Klaudiuszu, a być może będę miała o tobie lepsze zdanie. Chodź, Cenis.

Wszyscy mężczyźni wstali; Cenis podążyła za panią, rzuciwszy Wespazjanowi pełne wahania spojrzenie. Patrzył, jak znika, i zastanawiał się, czy będzie miał okazję, by ułożyć z nią sprawę.

- A zatem zrekapitulujmy nasz plan, panowie - odezwał się Pallas, odstawiając szkatułę Kapelli, kiedy weszli do atrium. Wcześniej obeszli cały dom i dziedziniec, gdzie dołączył do nich Magnus. - Poppeusz i jego sekretarz Kosmas zaraz po przybyciu zostaną zaprowadzeni do ogrodu, by dokonać transakcji. Potem Klaudiusz poprosi Poppeusza o rozmowę w cztery oczy; Narcyz zabierze Kosmasa do swojego gabinetu, drogą przez atrium, i zobaczy, że czekamy na posłuchanie u Klaudiusza. Tymczasem lektyka Poppeusza zostanie odesłana na dziedziniec stajenny i ustawiona jak najbliżej schodów prowadzących do domu. Tragarze dostaną w kuchni poczęstunek i zatrzymają się tam aż do chwili, kiedy wpadnie Magnus, by im powiedzieć, że ich pan czeka przed...

Odprawę przerwało głośnie pukanie do drzwi. Zanim Narcyz zdołał go powstrzymać, odźwierny otworzył i do środka wszedł wysoki, elegancki mężczyzna w średnim wieku, odziany w sięgającą mu do kostek czarną jak noc szatę i purpurowy płaszcz obramowany złotym haftem. Towarzyszył mu wyzwoleniec.

- H-H-Herodzie, mój drogi przyjacielu - zawołał Klaudiusz, kuśtykając, by powitać gościa. Przy każdym kroku uderzał kolanem o kolano i przez ten chwiejny chód sprawiał wrażenie, że jeśli tylko straci rozpęd, to padnie jak długi na twarz.

Herod ścisnął rękę Klaudiusza.

- Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłem - powiedział, rzucając nad ramieniem gospodarza zaciekawione spojrzenie na zebrane towarzystwo. - Chodźmy, Eutychesie, Klaudiusz jest najwyraźniej zajęty, wrócimy później.

Wyzwoleniec odwrócił się i wyszedł.

- N-n-n-nie, Herodzie, ci p-p-p-panowie w-właśnie wychodzili.

- Dlaczego jąkasz się przy mnie, stary przyjacielu? To zupełnie do ciebie niepodobne.

Pallas rzucił Wespazjanowi spojrzenie i ruchem głowy wskazał drzwi.

- Zostawimy cię z twoim nowym gościem, szlachetny Klaudiuszu - powiedział Wespazjan i ruszył ku wyjściu.

- Chyba jednak najpierw nas sobie przedstawisz, Klaudiuszu? - rzucił Herod, spoglądając podejrzliwie na Pallasa. - Pallasa znam, to zarządca domu twojej matki; i senatora Korbulona też, dzień dobry, senatorze - ciągnął. W odpowiedzi Korbulon skinął głową. - Nie miałem jednak przyjemności poznać tego młodego człowieka. - Obdarzył Wespazjana obłudnym uśmiechem.

- Ależ ocz-czywiście - zgodził się Klaudiusz, a twarz oblała mu się czerwienią.

Wespazjan stał w pełnym zażenowania milczeniu, podczas gdy Klaudiusz, nie przestając się jąkać, podawał jego wszystkie imiona, usiłując rąbkiem togi powstrzymać ślinę spływającą z kącików ust.

- Wywołujesz u gospodarza dużą nerwowość, Wespazjanie - powiedział Herod, ujmując go za rękę - ciekawe dlaczego? - Rzucił kolejne nieufne spojrzenie w stronę Pallasa, po czym ponownie zwrócił wzrok na Rzymianina. - Poznałem w Judei twojego brata i miałem z nim też kontakt tutaj w Rzymie; pozdrów go, proszę, ode mnie.

- Na pewno to uczynię - odparł Wespazjan ciekaw, jakie to sprawy mogą łączyć Sabinusa z człowiekiem, który go obraził.

- Nie pozwól jednak, bym cię zatrzymywał.

- Mam nadzieję na dłuższe spotkanie z tobą, Herodzie - powiedział Wespazjan uprzejmie, jeśli nawet niezupełnie zgodnie z prawdą.

- W istocie, ja również - odparł Herod, równie uprzejmie. - Eutychesie, wracaj tutaj, ty głupcze; masz sprawę do załatwienia.

- Ch-ch-ch-chodź, Herodzie, Narcyz ich odprowadzi, a my nacieszmy się o-g-g-grodem. Dobrego dnia, p-p-panowie. - Klaudiusz chwycił Heroda za łokieć i podejrzanie szybko wyprowadził z pokoju, gdy tymczasem wyzwoleniec jego przyjaciela wbiegał z powrotem do domu.

- Mojemu panu wydaje się, że zna sztukę podstępów, ale niestety tak nie jest - zauważył Narcyz. - Zrobię, co będę mógł, by Herod pomyślał, że sprowadziły was tutaj jakieś całkowicie legalne sprawy. Na nieszczęście jego oczy, uszy i nos wyćwiczone są w wykrywaniu intryg; ten człowiek może być problemem.

- W takim razie powinniśmy zrobić to jak najszybciej - zauważył Korbulon.

- Twoja ocena sytuacji jest bez zarzutu, senatorze - oświadczył słodkim głosem Narcyz - i doskonale o tobie świadczy. Również Poppeuszowi zależy na tym, by jak najszybciej dokonać tej transakcji. Jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko temu, by w tym celu zjawić się tutaj jutro o drugiej godzinie dnia; w związku ze świętem ku czci Apollina posiedzenia senatu nie ma.

- Będziemy tutaj o świcie, chyba że powiadomisz nas o jakiejś zmianie, Narcyzie - rzekł Pallas, podnosząc szkatułę. - Powiem Azjatykowi, by od trzeciej godziny dnia tkwił na Forum gotów zatrzymać lektykę.

- Doskonale, przyjacielu, a ja przygotowuję sznur i beczkę wody. Oby bogowie okazali

życzliwość naszemu przedsięwzięciu.

Odźwierny wypuścił ich na ulicę.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Pallas zaskoczył ich wszystkich.

- A niech to kurewska zaraza! - wyrzucił z siebie z wściekłością.

Zostawili Korbulona u podnóża Celis, skąd ruszył do swojego domu, a sami zaczęli wspinać się na Palatyn. Setki ludzi szło powoli pod górę, śpiewając peany na cześć Apollina i trzymając w górze polerowane krążki z brązu mające symbolizować słońce. Nie mogąc przepchnąć się przez zbity tłum, musieli się posuwać powoli, w tempie nadawanym przez prowadzące procesję trzy białe woły.

- Będą składać ofiarę Apollinowi, Ziri - wyjaśnił Magnus niewolnikowi.

- Apollinowi? Co to? - spytał Ziri, rozglądając się nerwowo po napierającej ze wszystkich stron ciżbie.

- On jest bogiem całego mnóstwa rzeczy; prawdy, pasterzy, nowo założonych miast i kolonii, łucznictwa, wszelkiego rodzaju... - Magnus zamilkł; z twarzy Ziriego można było wyczytać, że jego łacina nie wystarcza, by zrozumieć wyjaśnienia. - Nieważne. Po złożeniu ofiary w amfiteatrze Taurusa na Polu Marsowym odbędą się walki gladiatorów... pójdziemy tam, powinno być kilka niezłych pojedynków. - Magnus spojrzał na Wespazjana. - Miałbyś ochotę, panie? - spytał.

- Nie, dzięki. Jak tylko porozmawiam z Antonią, udam się do łaźni - odparł Wespazjan. Udało im się wreszcie wyrwać z procesji i skręcić w ulicę, przy której stał dom Antonii. - Nie byliśmy tam od pobytu na Krecie - dodał, spoglądając znacząco na Magnusa.

- Taa, cóż, w takim razie jeden dzień nie robi różnicy, prawda? Poza tym bardzo chcę się przekonać, jak Ziri zareaguje, kiedy zobaczy, że wszyscy mają świetną... no cóż, wiesz.

- Myślisz, że jest już na to gotowy? - spytał Wespazjan, marszcząc brwi.

- Nie jestem pewien, czy Rzymianie powinni być szczególnie dumni z tego, że za każdym razem, kiedy ginie gladiator, dokonują publicznej masturbacji - zauważył Pallas.

Magnus się uśmiechnął.

- Taa, ale dodaje to temu wszystkiemu pieprzyku, nie? Szczególnie kiedy ma się do pomocy ładną młodą dziwkę, jeśli wiesz, co mam na myśli?

- Masturbacji? Co to? - zainteresował się Ziri.

- Myślę, że niedługo się tego dowiesz, Ziri - odparł Wespazjan, kiedy znaleźli się pod drzwiami domu Antonii.

Wespazjan odprawił Magnusa i Ziriego, każąc im być w domu Gajusza na godzinę przed świtem, i wszedł za Pallasem do środka. Po krótkiej chwili pojawiła się Antonia w towarzystwie Cenis ubranej w płaszcz z kapturem.

- Wszystko ustalone? - spytała Pallasą.

- Tak, pani. Ale widział nas tam Herod Agryppa i jego wyzwoleniec Eutyches.

Twarz Antonii zastygła.

- Herod! Kto jak kto, ale on na pewno zauważy zbieg okoliczności towarzyszący śmierci Poppeusza. Muszę mieć chwilę, żeby się zastanowić, co z tym zrobić. Kim jest ten wyzwoleniec?

- Herod był zmuszony dać mu wolność kilka lat temu, żeby w jego imieniu mógł podpisać zaciągnięcie pożyczki. Wiem o nim tyle, że kupił go jako małego chłopca i zawsze traktował jak idiotę.

- Jest lojalny?

- Wątpię. Kto może być lojalny wobec człowieka, który jest lojalny jedynie wobec siebie samego?

- Spróbujmy z nim porozmawiać... może zechce wyjawiać kilka sekrecików.

Pod wpływem nagłego olśnienia Wespazjan przypomniał sobie pomysł Sabinusa na zdemaskowanie Heroda.

- Pani, a czemu by nie zagrozić zdemaskowaniem Heroda jako spekulanta? Mogłabyś to uczynić, nie narażając na niebezpieczeństwo Klaudiusza, który mu je sprzedał.

- Jak to zrobić?

- Wykorzystując mojego brata. Jako edyl odpowiedzialny za zboże w mieście ma prawo, w sytuacji poważnych braków, skonfiskować egipskie zapasy Heroda. Jestem pewien, że Sabinus nie będzie wnikał w to, gdzie Herod je kupił.

Antonia zwróciła się do Wespazjana z uśmiechem.

- Pozostawiając Herodowi wybór pomiędzy utratą wszystkich pieniędzy albo całkowitym milczeniem na temat podejrzeń, które mógłby mieć w związku z zawaleniem się transakcji Makrona dotyczących nieruchomości. Doskonale... wyraźnie się uczysz, Wespazjanie. Natychmiast się tym zajmę. A tymczasem Cenis chce zobaczyć składanie ofiary w świątyni Apollina; wiem, że to dość niezwykle, by prosić członka senatu o towarzyszenie czyjejs niewolnicy, ale pomyślałam sobie, że ten jeden raz będziesz skłonny uczynić wyjątek.

Wespazjan spojrział na Cenis, która uśmiechnęła się do niego skromnie.

- Z przyjemnością, pani - oświadczył.

- Świetnie. Pallasie, chodź ze mną. Mamy pracę do wykonania. Wyślij wiadomość do Sabinusa, żeby przybył tutaj, kiedy tylko skończy pracę w spichrzach. - Uścisnęła krzepiąco ramię Cenis i odwróciwszy się, wyszła z pokoju.

Wespazjan postąpił krok w stronę dziewczyny.

- Cenis, ja...

Odsunęła się.

- Nie tutaj, kochany, chodźmy - powiedziała.

- Moja pani już to wyjaśniła - wyrzuciła z siebie Cenis, uderzając zaciśniętymi pięściami o uda. - Wiem, że nie możemy być sobie poślubieni. Wcześniej nie słyszałam o takim prawie, dopiero moja pani powiedziała mi o nim, zanim dała do skopiowania list Korwinusa. Wtedy nie rozumiałam, dlaczego mi to mówi, pojawiło się to ni stąd, ni zowąd i mocno mnie zabolalo. Marzyłam przecież o poślubieniu ciebie, ukochany, i nagle dowiaduję się, że to niemożliwe, i chwilę potem pojmuję, dlaczego Antonia mi o tym powiedziała. Chciała mnie przygotować na wiadomość, że zainteresowała cię inna kobieta.

- Moim obowiązkiem jest mieć synów - odparł dość nieprzekonująco Wespazjan.

- Obowiązkiem! Wiem, że to twój obowiązek - wybuchnęła Cenis, aż ludzie na ulicy się obejrżeli. - A co ze mną? Z nami? Gdzie w tym wszystkim jest nasza miłość?

- Pierwsza i najważniejsza, Cenis, i zawsze taka będzie - oświadczył Wespazjan ściszym głosem świadomy, jakie rozbawienie wywoływała ta sprzeczka zakochanych.

- Więc kiedy już założysz rodzinę z tą drugą kobietą, spodziewasz się, że ja usunę się na bok, czekając na rzucony mi na pocieszenie okruch, w tych rzadkich chwilach, kiedy zdołasz się uwolnić od obowiązków wobec rodziny i Rzymu? Tymczasem ja będę płonąć z zazdrości, wiedząc, że mój ukochany, mój najlepszy przyjaciel dostaje od kobiety, której, jak twierdzi, nie kocha tak jak mnie, coś, co ja tak bardzo chcę mu dać i na co prawo mi nie zezwala: dzieci. - Cenis zamilkła i stanęła przed nim. - Jakże mogę to zrobić, mój ukochany? Jak możesz tego ode mnie oczekiwać? - zapytała łagodnym, drżącym głosem.

- Ale Flawia zniknęła, nie znajdę jej już.

- Znajdziesz inną, to tylko kwestia czasu.

Wespazjan spojrział w jej wypełnione łzami, patrzące błagalnie oczy i poczuł straszliwe przygnębienie. Cenis miała rację, tego właśnie od niej oczekiwał, chociaż nigdy nie myślał o tym w taki sposób. We wszystkich swoich planach zakładał, że Cenis zrobi miejsce dla jego przyszłej żony i obie kobiety przystaną na taki układ; teraz widział, jak bardzo się łudził. Świadomie czy nie, rozważał uczucia Cenis jedynie w powiązaniu z jej społecznym statusem... niewolnicy, która wkrótce zostanie wyzwolona. Pierwszy raz zobaczył ją jako kogoś równego sobie; teraz byli po prostu parą zakochanych.

- Znaleźliśmy się w pułapce, prawda, najdroższa? - wyszeptał, nie zważając na przepływające z obu stron tłumy. Widział wyłącznie Cenis.

Ujęła jego dłonie w swoje.

- Tak, Wespazjanie, jesteśmy w pułapce, chyba że zrezygnuję z dzieci, mimo że moje ciało domaga się, bym ci je dała, albo ty zrezygnujesz ze swojej pozycji i kariery, mimo że ucierpi na tym twoja godność.

- To co robimy?

Uśmiechnęła się słabo i opuściła wzrok.

- W tej chwili mogę jedynie zaproponować, byśmy poszli zobaczyć składanie ofiar.

Tłum przed świątynią Apollina był spory, taki sam jak tamtego pamiętnego dnia, prawie cztery lata wcześniej, kiedy pogrążono Sejana. Wespazjan i Cenis przedostali się na sam przód - jego senatorska toga wystarczyła, by zrobiono mu przejście - przypominając sobie, jakie role odegrali w tamtych burzliwych wydarzeniach. Oboje ochłonęli i rozmawiali ze sobą, jakby wybrali się gdzieś razem i miło spędzali czas. Wiedzieli jednak, że to chwilowe odłożenie decyzji, którą i tak wkrótce będą musieli podjąć; na razie chcieli o tym zapomnieć i cieszyć się swoim towarzystwem.

Kiedy dotarli do schodów świątyni, Wespazjan spojrział na Cenis; nigdy wcześniej jej

tak nie kochał. Poczwała to spojrzenie i ukradkiem chwyciła za rękę, powodując, że przeszedł go dreszcz.

- Jesteśmy świadomi obecności Apollina, który wypuszcza strzały z daleka. - Melodyjny głos celebrującego uroczystość kapłana wdarł się w ich prywatny świat.

Przed zamkniętymi drzwiami świątyni, pod portykiem, czekały cierpliwie trzy białe byki ozdobione złotymi wstążkami, a młodzieńcy z pomalowanymi złotą farbą twarzami trzymali postronki. Celebransowi towarzyszyli dwaj inni kapłani, w togach okrywających również ich głowy. Na najwyższym stopniu w regularnych odstępach ustawiono trzy duże miedziane misy. Grupę ludzi i zwierząt z dwóch stron otaczali muzycy.

- Ojczy Apollinie, modlę się do ciebie, wszytkowidzący boże opiekuńczy, bądź łaskaw dla Rzymu i ochraniaj go. Miej zawsze baczenie i ostrzegaj cesarza przed tymi poddanymi i obcymi, którzy przeciwko niemu intrygują; pozwól zachować mu czujność, by był przygotowany na wszelkie zdradzieckie spiski. Chroń nas i spraw, byśmy byli bezpieczni.

Na głos czyneli drzwi świątyni otwarły się, ukazując posąg boga ozdobiony girlandami kwiatów i obłany złocistym światłem pochodni odbijającym się od wypolerowanych krążków z brązu.

Na ten widok Cenis skłoniła głowę i zaczęła odmawiać własną modlitwę, podczas gdy byki podprowadzono do miedzianych mis. Ze świątyni wyszło trzech akolitów; jeden niósł złotą urnę, drugi płaski złoty talerz, a trzeci tacę z trzema nożami ofiarnymi. Każdemu u pasa wisiał ciężki młot.

Kapłan prowadzący ceremonię wziął z talerza trzy małe płaskie słone ciasteczka i po jednym pokruszył nad głowę każdego zwierzęcia. Drugi kapłan polał okruchy winem. Trzeci wziął noże i podał kolegom. Akolici ustawili się obok zwierząt; odczepili młoty i trzymali je w pogotowiu.

- Obróć ku nam oblicze, potężny Łuczniku, modlimy się, byś w końcu teraz, Apollinie, przybył nam na pomoc. Ojczy, osłaniaj nas i naszego cesarza swoimi dłońmi. Jeśli aprobujesz to, co robimy, wlej siłę w nas i w tego, który jest najważniejszy dla dobrobytu

naszego miasta. Ojczy Apollinie, zechciej przyjąć ten dar.

Trzy młoty uderzyły jednocześnie w szerokie czoła byków, oszalałymi zwierzęta, ale ich nie powalając. Potem jak na komendę błysnęły w powietrzu trzy noże, przecinając im gardła. Trysnęła krew i płynęła coraz obficie, kiedy młodzieńcy przecinali arterie i tchawice. Serca zwierząt wciąż biły i krew jednostajnymi strumieniami wypełniała szybko misy, a kiedy się przelała, trzema strużkami zaczęła spływać ze schodów. Dwie zewnętrzne zbliżyły się stopniowo do siebie i wreszcie zlały w jedną strugę ze środkową, ponieważ po tak wielu latach marmur był bardziej wytarty pośrodku stopni.

Kiedy pierwsze z wielkich zwierząt padło na kamienną posadzkę, struga krwi dotarła do stóp Wespazjana i Cenis. Tam rozdzieliła się na dwoje, wędrując szparą wokół kamiennej płyty o nieregularnym kształcie, na której stali. Patrzyli oboje, jak dwa strumyczki łączą się, otaczając kamień i pozostawiając ich na małej wysepce pośrodku rzeki krwi.

Cenis podniosła wzrok na Wespazjana.

- Modliłam się, by Apollo dał mi znak, jaką decyzję mam podjąć, i on to właśnie uczynił - powiedziała, wskazując ręką w dół. - Krew jemu poświęcona otoczyła nas kręgiem, co pokazuje, że zawsze powinniśmy być razem. Nie mogę spierać się z wolą Apollina. Ty musisz robić to, co wymaga od ciebie obowiązek. Ja pozostanę na zawsze twoja, niezależnie od okoliczności.

Wespazjan tak bardzo pragnął ją pocałować, jednak przyzwoitość nie pozwalała senatorowi na takie zachowanie w miejscu publicznym. Cenis wyczuła to pragnienie i szepnęła mu do ucha:

- Moja pani powiedziała, że mam wrócić o świcie; zabierz mnie do swojego łóżka, ukochany.

Rozdział jedenasty

Następnego ranka, dobrze przed świtem, Wespazjana obudziło natarczywe stukanie do drzwi sypialni.

- Tak? - spytał rozespany.

- Już czas, panie - odpowiedział mu młody głos z ciężkim germańskim akcentem.

Wespazjan stęknął i otoczył ramieniem ciepłe ciało Cenis. Poruszyła się, kiedy musnął nosem jej kark.

- Już rano, kochany? - spytała odwracając się do niego.

- Niestety tak. - Pocałował ją delikatnie, przytulił do siebie i leżeli tak przyłgnięci.

Ulga, jaką poczuł, usłyszawszy decyzję Cenis, była oszałamiająca; kiedy wcześniej pomyślał o życiu bez niej, wydawało mu się, że zagląda w przerażającą otchłań.

Wstrząsem było uświadomienie sobie, że nie może od niej oczekiwać, by dopasowała się do jego planów, jednak jeszcze bardziej zaskakujące okazało się zrozumienie własnych priorytetów. Gdyby miał dokonać wyboru pomiędzy miłością do Cenis i obowiązkiem wobec Rzymu, połączonego z awansem jego rodziny - którego to obowiązku żaden człowiek honoru nie zaniedba - musiałby pozwolić Cenis odejść, mimo cierpienia, na jakie ich oboje by skazał. Leżał, wpatrując się w mrok, tuląc ją w objęciach, i dziękował Apollinowi, że nie musi wybierać. Przysiękł sobie, że kiedy ten dzień dobiegnie końca, z wdzięczności złoży bogu ofiarę.

Leżeli jeszcze przez kilka chwil, a potem ubrali się i przeszli do atrium. Magnus właśnie rozmawiał z Gajuszem. Ziri stał przy drzwiach, gapiąc się na homoerotyczne dzieła sztuki, które znajdowały się wszędzie, gdzie tylko oczy obrócił.

- Dzień dobry, drogi chłopcze, dzień dobry, Cenis - przywitał ich Gajusz - mam nadzieję, że w końcu troszkę się przespaliście.

Wespazjan uśmiechnął się, widząc, jak Cenis się rumieni.

- Dziękujemy, wuju.

- Powinniśmy już wyruszyć, jeśli mamy być u Antonii pierwsi - stwierdził Magnus.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Sabinus.

- Wuju, potrzebuję twojej pomocy - oświadczył bez jednego słowa powitania. - Udaję się teraz do Antonii i chciałbym, byś poszedł ze mną.

- A niby po co?

- Bo jest coś, czego ci nie powiedziałem.

- To słucham.

Sabinus obrzucił nerwowym spojrzeniem Cenis.

- Nie powtórzę niczego, co usłyszę w tym domu, Sabinusie, możesz mi zaufać.

Sabinus usiadł i chwycił puchar z winem.

- Antonia wezwała mnie wczoraj do siebie i powiedziała, bym spotkał się dzisiaj z nią i Herodem Agryppą, żeby zagrozić mu konfiskatą jego zboża w Egipcie. Oczywiście nie mogłem odmówić.

- Myślałem, że będziesz zadowolony, mając sposobność zemsty na Herodzie - powiedział Wespazjan, nie rozumiejąc powodu wzburzenia brata.

- Ty podsunałeś jej tę myśl?

- Tak, bo to wydawało się bezpieczniejsze niż list do alabarchy.

- Ale ja zamierzałem napisać anonimowo; Herod nigdy by się nie dowiedział, że to ja. Bo jeśli się dowie, to zdemaskuje mnie za to, co zrobiłem, i zostaną oskarżony o najcięższą zbrodnię.

- A coś ty takiego zrobił, drogi chłopcze? - zdziwił się Gajusz.

- Kiedy spotkałem Pomponiusza, poprosił mnie, bym sprzedał zapasy zboża, którym spekulował, i przekazał pieniądze jego spadkobiercom. Powiedział mi wtedy, że jedyne, co jest pewniejsze od śmierci, to to, że następnego roku cena ziarna pójdzie w górę. Powiedział mi nawet, kto zaryzykuje kupno. Ale ja go nie sprzedałem.

- Och, ty idioto! - wykrzyknął Wespazjan. - Sam zająłeś się spekulacją i je kupiłeś, zgadza się?

- Cóż... wydawało się to łatwym sposobem na dobry zarobek. Właśnie wróciłem ze Wschodu z przyzwoitą sumką, wystarczającą na kupno głosów w ubiegłorocznych wyborach na edyla i sponsorowanie igrzysk przed wyborami na pretora, a gdyby nie to, nie zostałyby mi już prawie nic.

- Zatem wsadziłeś wszystko w zboże Pomponiusza.

- Jego spadkobiercy dostali pieniądze, a ja miałem okazję zarobić na transakcji. Miało to trwać tylko przez rok, kiedy ceny będą szły w górę. Skąd miałem wiedzieć, że zrobią mnie akurat edylem odpowiedzialnym za zboże? Kiedy tylko zostałem mianowany, sprzedałem je najszybciej jak mogłem, a i tak wyciągnąłem z tego niezły zysk.

- Edyl odpowiedzialny za zboże czerpiący zysk z transakcji zbożem... za to rzeczywiście grozi najwyższy wymiar kary - przyznał Gajusz.

- Komu je sprzedałeś? - spytał Wespazjan, lękając się odpowiedzi. - Czy jest to może niemądre pytanie?

Sabinus oklapł raptownie.

- Herodowi Agryppie, bo skąd inaczej by o tym wiedział?

Policzki zaniepokojonego Gajusza drgnęły.

- Dlaczego akurat jemu? - zapytał zdumiony.

- Bo Pomponiusz właśnie jego wskazał, a ja go znałem. Był oczywistym kandydatem pomimo tego, co o nim myślałem.

- Kto jeszcze wie?

- Tylko bracia Kleliusze z Forum; oni wypłacili mi pieniądze i sporządzili akt sprzedaży, który wciąż mam, a oni mają kopię, podobnie jak Herod. I Herod wykorzystał tę swoją, by mnie zaszantażować; jeden z tych dwóch statków ze zbożem, które przetrwały sztorm, wiozł część egipskich zapasów, które kupił od Klaudiusza. Ściągnął je tutaj, by z ogromnym zyskiem sprzedać na czarnym rynku. Wiem, gdzie to zboże jest w Ostii, ale jeśli je skonfiskuję, co zresztą powinienem zrobić, on upubliczni ten akt sprzedaży Pomponiuszowego ziarna.

- Ale wtedy sam siebie wplączę w spekulację zbożem.

- Owszem, tyle że on nie jest edylem od zboża. Ja na pewno zostanę stracony.

Gajusz potarł kark i wciągnął powietrze przez zęby.

- Myślę, że twoja ocena sytuacji jest niestety poprawna. Chcesz zatem, bym porozmawiał z Antonią i znalazł dla ciebie jakieś wyjście?

Sabinus z nieszczęśliwą miną skinął głową.

- W takim razie ruszajmy.

- Tak - zgodził się Wespazjan, spoglądając z dezaprobatą na brata - miejmy już ten dzień za sobą.

Klaudiusz był bardzo zdenerwowany, kiedy Narcyz wprowadził do jego gabinetu Wespazjana, Korbulona i Pallasa. Spóźnili się o pół godziny - jako że Antonia, dowiedziawszy się, co chciał jej powiedzieć Sabinus, zatrzymała na dłuższą chwilę Pallasa - co nie wpłynęło szczególnie dobrze na stan jego nerwów.

- H-H-Herod był bardzo pod-d-dejrzliwy. Myślę, że mi nie uw-w-wierzył.

- Co mu powiedziałaś? - spytał Pallas, stawiając na biurku szkatułę Kapelli.

- Że byliście tutaj w prawnych sprawach Antonii - odparł Narcyz, oszczędzając wszystkim pełnych jąkania wyjaśnień. - Jak na mój gust zbyt łatwo przyjął to do wiadomości. Według mnie wiedział, że ma do czynienia z kłamstwem, bo sam, będąc notorycznym łgarzem, bez trudu kłamstwa rozpoznaje. Uważam, że powinniśmy zrezygnować z naszych planów.

- Nie możemy - oświadczył z naciskiem Wespazjan. - Wkrótce zjawi się gotowy do przeprowadzenia transakcji Poppeusz; jeśli odejdzie z niczym, nabierze podejrzeń, a jeśli zabierze akty własności, nie zdołamy powstrzymać go przed przekazaniem ich Makronowi.

- Ja m-m-mógłbym po prostu wyjść, jakbym o tym zap-p-pomniał - zasugerował Klaudiusz.

Wespazjan, Korbulon i Pallas popatrzyli po sobie, a potem na Narcyza, który spuścił wzrok, zażenowany żalonym pomysłem swojego pana.

Klaudiusz nie ustępował, nie zdając sobie sprawy, jakiego robi z siebie głupca.

- A potem m-m-mógłbym do niego napisać, przeprosić i zap-p-proponować, że zrobimy to w przyszłym miesiącu, kiedy Herod już o wszystkim zap-p-pomni. - Spojrzał na obecnych triumfalnie, jakby właśnie rozwiązał najtrudniejszy problem, a rozwiązanie było

błyskotliwe i pełne finezji.

Zapanowała chwila niezręcznego milczenia.

- To warte jest rozważenia, panie - oświadczył Narcyz z takim szacunkiem w głosie, że Wespazjan prawie mu uwierzył.

- Ale niepotrzebne, szlachetny Klaudiuszu - zapewnił go Pallas. - Właśnie twoja matka podejmuje stosowne kroki, żeby... jak by to ująć?... Odizolować Heroda na dającą się przewidzieć przyszłość.

- Jak?

- W tej chwili nie jest to już nasz problem, tylko Heroda. Proponuję natomiast, byśmy się zajęli naszymi sprawami. Narcyzie, mój przyjacielu, zaprowadź Magnusa i Ziriego do drugiego pokoju, a my, tak jak zaplanowaliśmy, poczekamy w triklinium, podczas gdy szlachetny Klaudiusz powita swoich klientów.

Godzinę później wciąż siedzieli w ciszy przestronnego triklinium. Na stole pośrodku stały półmiski z nietkniętym chlebem, oliwkami, szynką i gotowanymi jajkami.

- Zaczyna mi to działać na nerwy - powiedział Korbulon, wstając, żeby popatrzeć na ogród przez drewnianą kratkę w drzwiach. - Klaudiusz już na pewno skończył spotkanie ze swoimi klientami.

Wespazjan podszedł do niego i popatrzył tam, gdzie dwa krzesła po obu stronach drewnianego stołu przygotowano na przybycie Poppeusza. Do ogrodu wbiegł niewolnik, postawił na stole dzban i dwa srebrne puchary, po czym zniknął za furtką prowadzącą na dziedziniec stajenny na tyłach domu.

Kiedy niewolnik zamknął za sobą furtkę, pojawił się Narcyz ze szkatułą Kapelli i postawił ją na stole. Za nim przyszedł Klaudiusz z naręczem zwojów. Usiadł i rozwinąwszy jeden z nich, zaczął czytać. Nieustanne podrygi i trzęsące się dłonie dawały świadectwo wcześniejszym słowom Narcyza o tym, że jego pan zupełnie się nie nadaje do podstępnych

działań.

- Ten idiota wszystko zepsuje - syknął Korbulon, kiedy Narcyz wrócił do domu.

- Miejmy nadzieję, że to Narcyz będzie mówił - odparł Wespazjan, przyznając w myślach rację Korbulonowi. Nagle krew odpłynęła mu z twarzy, kiedy uświadomił sobie, że wszyscy przegapili pewną ewentualność. - A niech to piorun strzeli! Co będzie, jeśli Poppeusz nie przyprowadzi swojego sekretarza? - Odwrócił się i spojrzał na Pallasę.

- Wciąż możemy działać zgodnie z planem, jeśli tylko każdy zrobi dokładnie to, co powiem.

Wespazjan zaczął tracić panowanie nad sobą, uspokoił się jednak, wierząc, że Pallasę i Narcyz wiedzą, co robią. On sam miał jedynie pomóc Korbulonowi zabić Poppeusza. Na tym zamierzał się skupić.

Na dochodzący z atrium dźwięk kroków ponownie spojrzał przez kratkę.

- Mój pan oczekuje cię tu, na zewnątrz, prokonsulu - powiedział Narcyz głosem pełnym szacunku, kiedy wprowadzał do ogrodu Poppeusza i jakiegoś wysokiego, żyłastego mężczyznę o ostrych rysach i prostych natłuszczonych włosach.

Wespazjan nie widział Poppeusza z bliska od ponad dziewięciu lat i był zdumiony, że ten drobny mężczyzna tak bardzo się postarzał. Przygarbiony wspierał się ciężko na lasce, przez co wyglądał na jeszcze mniejszego. Cienka skóra twarzy obwisała luźno. Włosy zniknęły. Nie był już wodzem, który wykazał się w Tracji taką walecznością, stojąc na murze pod gradem strzał z łuków i pocisków z proc; był kruchym starcem.

- To będzie odrażające morderstwo - mruknął Korbulon.

Wespazjanowi nie trzeba było tego mówić; czuł się okropnie. Znowu zerknął do ogrodu.

- Mój drogi Pop-p-p...

- Poppeuszu, K-K-Klaudiuszu! - warknął starzec, kuśtykając do stołu. - Załatwmy to szybko i lepiej, żebym to ja mówił.

- O-cz-cz-czywiście. - Klaudiusz zmrużył na moment oczy i Wespazjan dojrzał w nich nienawiść zarezerwowaną dla ludzi, którzy go przedrzeźniali.

- Kosmas, weksel - rzucił Poppeusz, siadając bez zaproszenia, plecami do kratki w drzwiach, odległych zaledwie o pięć kroków.

Żyłasty sekretarz zdjął z ramienia skórzaną torbę i podał swojemu panu, podczas gdy Narcyz wyjął dwa klucze do szkatuły Kapelli.

- To jest weksel na czternaście i pół miliona denarów, które ode mnie pożyczyłeś - oznajmił prokonsul, wyciągając z torby zwój i podając go Klaudiuszowi. - Pokaż mi te akty własności.

Narcyz przesunął szkatułę w jego stronę i Poppeusz zaczął studiować po kolei każdy z siedmiu zwojów.

Pallas dołączył do stojących przy drzwiach Wespazjana i Korbulona.

- Kiedy tylko złożą podpisy, przechodzimy do atrium - szepnął.

Poppeusz przeczytał ostatni dokument i włożył go z powrotem do szkatuły.

- Są w porządku - oświadczył.

Narcyz wręczył dwa klucze Kosmasowi, który zamknął wieko i przekręcił klucze w zamkach. Następnie włożył je do torby, a wyjął z niej pióro i kałamarz.

- Twój podpis, P-Poppeuszu - powiedział Klaudiusz, podając weksel swojemu sekretarzowi.

Wespazjanowi serce waliło jak młotem.

Narczyz rozłożył zwój na stole; Kosmas umoczył pióro w atramencie i podał swojemu panu. Poppeusz pisał starannie jak człowiek, którego zawodzi wzrok, po czym podał zwój i pióro Klaudiuszowi, a ten złożył swój podpis zaskakująco spokojną ręką. Potem obaj sekretarze poświadczyli podpisy.

- Za mną, panowie - powiedział Pallas, prowadząc swoich towarzyszy do atrium.

Z ogrodu doszedł ich głos Poppeusza.

- Skoro zakończyliśmy już interesy - mówił mężczyzna - to pożegnam się, życząc ci dobrego dnia.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym z tobą omówić, dotycząca zbliżających się wyborów - odparł Klaudiusz wyjątkowo sprawnie i płynnie. - Nie zajmie to więcej czasu niż opróżnienie jednego pucharu.

Zapadła cisza; następnie rozległ się odgłos nalewania wina i odstawiania dzbana na stół.

- W cztery oczy - nalegał Klaudiusz.

- Dobrze, tylko się pośpiesz. Kosmas, weź szkatułę i poczekaj na zewnątrz.

- Może pucharek wina w moim gabinecie, Kosmasie - zamruczał przymilnie Narczyz.

Pallas, Wespazjan i Korbulon stali po drugiej stronie impluwium, kiedy Narczyz wprowadził do atrium Kosmasa, przyciskającego szkatułę do piersi.

- Panowie - powiedział Narczyz - mój pan nie każe wam długo czekać, właśnie rozmawia z prokonsulem Poppeuszem.

- Bylibyśmy zaszczytzeni, mogąc złożyć prokonsulowi nasze uszanowanie, kiedy

będzie wychodził - odparł Pallas, kiedy Narcyz, ledwie rzuciwszy w ich stronę okiem, prowadził Kosmasa przez atrium.

Gdy odgłos ich kroków się oddalił, Pallas ruszył do przodu. Wespazjan podążył za nim z Korbulonem; w ustach miał sucho, żołądek ściśnięty. Z przeciwległej strony atrium dobiegł ich dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi do gabinetu Narcyza.

- Nie pozwólcie mu krzyknąć i nie posiniaczcie go - szepnął wyzwoleniec, kiedy wchodzili do ogrodu.

Korbulon skoczył do przodu, jedną ręką zakrył Poppeuszowi usta, drugą wsunął mu pod ramię, zanim starzec zdążył uświadomić sobie grożące mu z tyłu niebezpieczeństwo. Wespazjan schylił się i pochwycił go za kostki nóg, po czym unieśli starca z krzesła, przewracając przy okazji stół; Pallas zdążył złapać dzbanek w locie.

- Tędy - powiedział Klaudiusz, wstając szybko i kuśtykając ku drzwiom z tyłu ogrodu.

Wnieśli wrywającego się mężczyznę do pokoju; Pallas zamknął za nimi drzwi. W jednym rogu, obok wypełnionej wodą beczki, stali Magnus i Ziri; z haka białego w sufit zwisała lina na krążku przed płonącym na palenisku ogniem, jedynym źródłem światła w tym pomieszczeniu. Okiennice były szczelnie zamknięte i było bardzo duszno. Natychmiast zaczęli się pocić.

- Co to ma znaczyć, Klaudiuszu? - zapytał ostrym tonem Poppeusz, kiedy rzucono go bezceremonialnie na podłogę.

- To się przytrafia ludziom, którzy próbują zrobić ze mnie głupca.

- W takim razie masz ich długą listę - warknął pogardliwie Poppeusz, podnosząc się i rozglądając wokół.

- Korbulon! - wykrzyknął, kiedy jego słaby wzrok przyzwyczał się do półmroku; potem dostrzegł Wespazjana. - I ty, znam cię. Jesteś tym protegowanym Azyniusza, który zniknął po tej masakrze w jego namiocie. Wespazjan, zgadza się?

- Tak, Poppeuszu.

- Chodzi o coś więcej niż tylko kupno aktów własności od tego idioty... - Nie skończył, kiedy rozległ się odgłos siarczystego policzka.

- Nie zostawiaj śladów, panie - krzyknął Pallas, chwytając Klaudiusza za nadgarstek, by nie dopuścić do zamachnięcia odwrotną stroną dłoni.

- Nie będę tolerował nazywania mnie idiotą - wściekał się Klaudiusz, wrywając rękę.

Poppeusz otarł z wargi kroplę krwi, ignorując wybuch Klaudiusza.

- Co mogę wam zaoferować, panowie? Czy może jest to coś osobistego, wykraczającego poza pieniądze?

- Dalece poza pieniądze - odparł Korbulon. - Próbowałeś nas zgładzić razem z dwiema kohortami swoich rekrutów, i to w najbardziej niehonorowy sposób.

Poppeusz uśmiechnął się; po zaczerwienionym policzku spłynęła mu strużka potu.

- A więc to tamta historia wróciła, żeby mnie nękać, tak? Nie przypuszczam, bym coś mógł zmienić, mówiąc, że nie było w tym nic osobistego i że to, co robiliśmy, miało się przysłużyć większemu dobru.

- A niby jak to miało się przysłużyć większemu dobru? - wybuchnął Wespazjan.

- Ponieważ Rzym, młody człowieku, musi mieć silną, stanowczą władzę. Jeśli przyjmiesz, że nie ma powrotu do republiki w czystej postaci bez ryzyka wojny domowej co pokolenie, to musimy mieć cesarza. Popatrz tylko na to, co mamy teraz; Rzym musi się pozbyć tego dalekiego, szalonego cesarza i jego niedorzecznej rodziny. Kto zostanie cesarzem po Tyberiuszu? On? - spytał Poppeusz, nawet nie fatygując się, by spojrzeć w stronę Klaudiusza.

- Kiedyś mnie w tej sprawie popierałeś - przypomniał mu Klaudiusz.

- Tylko dlatego, że byłbyś takim sukcesorem, którego najłatwiej dałoby się pozbyć i zastąpić Sejanem.

- A teraz, kiedy on nie żyje, popierasz Kaligulę, żeby Makron mógł wykorzystać swoją żonę i kupić Egipt, przejąć Wschód i podzielić cesarstwo na dwoje. To niby ma być ta silna, stanowcza władza? - spytał Wespazjan.

Mężczyzna przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- Jestem pewien, że ktoś o umyśle znacznie potężniejszym od twojego przejrzał nasze plany. Widzę za tym wszystkim Antonię, a to znaczy, że już nie żyję, nieważne jak bardzo będę się starał was przekonać, że miałem rację. Zatem skoro mam zostać zgładzony, zachowam się z godnością, choćby po to tylko, by was zawstydzić; a przy okazji bardzo jestem ciekaw, jak zamierzacie niepostrzeżenie pozbyć się stąd mojego ciała.

- Najpierw ty mi powiedz, dlaczego podział cesarstwa miałby być dobry dla Rzymu.

- Czy naprawdę sądzisz, że zostałyby podzielone? Oczywiście, że nie. Ten, kto ma Egipt, ma Rzym. Kaligula i Ennia za kilka miesięcy byłiby martwi, a cesarzem zostałyby Makron, mając u boku jako cesarżową moją córkę, Poppeę Sabine, co kosztowałoby go tylko dotychczasową małżonkę.

- I założono by nową dynastię - zauważył Klaudiusz z szyderczym uśmiechem.

Poppeusz pokręcił głową.

- Nie, i to jest właśnie najlepsze. Gdyby cesarzem został Sejan, mielibyśmy problem, natomiast nie w przypadku Makrona, on nie ma dzieci i moja córka też ich nie może mieć w wyniku komplikacji przy narodzinach młodej Poppei. Nie byłoby męskiego następcy, zatem Makron musiałby wybrać najlepszego kandydata na to stanowisko i go usynowić, w ten sposób stwarzając precedens, który, jak miałem nadzieję, dla dobra Rzymu zostałyby już tu na stałe. Dlatego zgodziłem się mu pomóc, choć był moim wrogiem. Tak, przyznaję, że

pragnąłem zaszczytu dla mojego rodu, by mógł się chwalić cesarzową, jednak jeszcze bardziej pragnąłem wyzwolenia od tego dziedzicznego królowania, ze wszystkimi jego atrybutami poza samą nazwą; pozbyliśmy się królów pięćset lat temu, a teraz znowu ich mamy i to się nie sprawdza. Jednak jeśli Antonia koniecznie chce utrzymać swoją rodzinę u władzy, to ja nie zamierzam w tym uczestniczyć, wobec tego kończcie to już. - Poppeusz zdjął togę i ukląkł na podłodze. - Dajcie mi miecz, a umrę jak na Rzymianina przystało.

- To nie tak się odbędzie - powiedział cichym głosem Wespazjan, w pełni solidaryzując się z poglądami swojego starego wroga; jeśli Rzym miał być godnie rządzony przez cesarza, czyż nie lepiej byłoby wybrać odpowiedniego człowieka, a nie pozostawiać to kaprysom krwi? Wyraził tę samą opinię wobec Sabinusa, Korbulona i Pallasa w niedokończonych sypialni Tyberiusza na Capri, kiedy czekali, aż szalony stary cesarz przeczyta demaskujący Sejana list Antonii.

- Jak zatem to sobie zaplanowaliście? - spytał Poppeusz, podnosząc wzrok.

- Utopimy cię, panie - poinformował go Pallas.

- Rozumiem. Zastanawiałem się, po co ta beczka. Postaracie się zrobić to tak, by wyglądało na śmierć z przyczyn naturalnych. Cóż, sądzę, że to bardziej odpowiada celom Antonii. Niech więc tak będzie. - Podniósł się i podszedł do beczki. Magnus i Ziri odsunęli się, by zrobić mu miejsce. - Byłbym zobowiązany, gdybyście okazali mi tę uprzejmość i pozwolili, bym zrobił to sam; myślę, że wszyscy czulibyśmy się wtedy lepiej. Gdybym pod koniec potrzebował pomocy, użyjcie delikatnie jednej ręki; siła nie będzie potrzebna, jestem już słaby.

Wsadził głowę pod wodę, chwytając mocno boki beczki; mięśnie ramion pod wiotką bladą skórą napięły się wskutek wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie głowy w zanurzeniu. Szarpnął się pod wpływem nagłego odruchu wywołanego wtargnięciem wody do płuc i głowa wyskoczyła nad powierzchnię. Krztusząc się i charcząc, Poppeusz wcisnął ją z powrotem pod wodę. Korbulon rzucił Wespazjanowi pełne żalu spojrzenie i podszedł do beczki. Kolejny spazm raz jeszcze wyrwał głowę mężczyzny nad powierzchnię. Oczy miał wytrzeszczone, zęby odsłonięte w bezgłośnym krzyku; woda bluzgała z walczących o powietrze płuc. Przeogromnym wysiłkiem woli zanurzył głowę, a Korbulon oparł na niej prawą rękę. Nogi

Poppeusza młóciły powietrze, ale głowa pozostała pod wodą. Stopniowo kończyny się uspokajały i wreszcie, nie licząc drobnych drgnięć związanych z wyłączaniem się układu nerwowego, całkowicie znieruchomiały.

Poppeusz był martwy.

W pokoju zapadła głucha cisza. Wszyscy wpatrywali się w przewieszzone przez krawędź beczki, pozbawione życia ciało. Korbulon cofnął rękę.

- Na jaja Hadesa, to wymagało sporej odwagi - mruknął w końcu Magnus, przerywając to milczenie.

- Był o-b-b-brzydliwym zdrajcą, który planował uzurpację władzy - oświadczył stanowczym głosem Klaudiusz. - Nie n-n-należy mu się żaden szacunek.

Wespazjan, Korbulon i Pallas patrzyli na jękającego się i śliniącego potencjalnego dziedzica tronu dynastii julijsko-klaudyjskiej.

Klaudiusz zmrużył oczy, odczytując być może ich myśli.

- B-bierzcie się do roboty - rozkazał. - Narcyz nie może w nieskończoność zagadywać Kosmasa.

Magnus podszedł do ciała.

- Chodź, Ziri. Pomóż mi zdjąć mu tunikę i powiesić go za nogi.

Nagie ciało Poppeusza wisiało do góry nogami przed płonącym ogniem. Woda zbierała się na podniebieniu, przelewała i po obwisłych wargach maleńkimi strumykami spływała na twarz, wypełniając nozdrza, a potem, skapując z łysiny na czubku głowy, tworzyła na podłodze dużą kałużę.

- No dobra, to powinno wystarczyć; teraz go mocno trzymaj, panie - odezwał się Magnus do Wespazjana.

Wespazjan przyklął i z wielką niechęcią przyłożył dłonie do klejącej się skóry chudych pleców Poppeusza.

- Trzymaj mu usta otwarte, Ziri - polecił Magnus, chwytając z obu stron klatkę piersiową nieboszczyka. Zaczął ją regularnie uciskać. Z ust Poppeusza trysnął raptownie strumień wody, ochlapując twarz i tunikę Magnusa. Mężczyzna nie przestał pompować, aż w końcu strumień wody się zmniejszył, po czym zupełnie zanikł. - Dość - uznał. Teraz go zdejmujemy i położymy na brzuchu.

Ostrożnie opuścili ciało na podłogę i odwiązali sznur, usuwając ręczniki ochraniające kostki u nóg. Magnus nacisnął kilka razy plecy Poppeusza, żeby pozbyć się resztek wody, które mogły jeszcze tkwić gdzieś w tchawicy.

- Teraz go osuszymy i ubierzemy - powiedział Pallas, kiedy Magnus upewnił się, że w ciele nie ma już więcej wody.

Włożenie tuniki i pasa nie było trudne, jednak nikt nie przewidział, że tyle kłopotu sprawi udrapowanie togi na nieboszczyku. Ostatecznie, podczas gdy Magnus i Ziri trzymali ciało w pozycji pionowej, Wespazjanowi i Korbulonowi udało się ułożyć fałdy tak, by zadowolić Pallasa, podczas gdy Klaudiusz kuśtykał w tę i we w tę, zupełnie zbytecznie przypominając wszystkim, że czas ucieka.

- Zarzućcie sobie jego ramiona na barki i idźcie za mną - Pallas polecił Magnusowi i Ziriemu, otwierając drzwi.

- W życiu nie widziałem takiego szaleństwa - powiedział Ziri, podnosząc ciało - nawet w tym cyrku wczoraj, kiedy zaczęliście wszyscy...

- Tak, tak, już dobrze, Ziri - odparł Magnus, manewrując ciałem w drzwiach.

Wespazjan i Korbulon rozejrzeli się szybko, żeby sprawdzić, czy nie pozostały tam żadne należące do Poppeusza przedmioty, i też wyszli do ogrodu.

- P-p-poczekam na was tutaj - oświadczył Klaudiusz. - Ciekawi mnie ten n-n-następny etap.

- Wydaje mi się, że ten kaleki drań ma z tego niezłą uciechę - utyskiwał Korbulon, kiedy wślizgiwał się razem z Wespazjanem przez furtkę ogrodową na dziedziniec stajenny, przylegający z jednej strony do górującego nad nim fragmentu murów serwiańskich, wzniesionych z bloków tufu przed ponad czterystu laty.

U stóp schodów stała kryta lektyka Poppeusza. Pallas odsunął zasłonki i wskazał stos poduszek leżących w jej rogu.

- Umieście go tak, żeby miał głowę na poduszkach - powiedział. Następnie poprawił ciało i Poppeusz spoczął w pozycji półleżącej, wsparty na prawym łokciu. Wespazjan i Korbulon pomogli wyzwolęcowi unieruchomić ciało poutykanymi poduszkami.

- Poprawcie mu jeszcze tylko ubranie - powiedział Pallas, zadowolony z ogólnego efektu - zaraz wrócę.

Nim zdążyli ułożyć togę na Poppeuszu, Pallas wrócił ze szkatułą Kapelli.

- Jak ją zdołałeś zabrać Kosmasowi? - spytał zdumiony Wespazjan.

Pallas uśmiechnął się, co było u niego rzadkością.

- Nie zabrałem, bo to jest bardzo dokładna kopia, którą kazałem wykonać, kiedy zostawiliście mi oryginał; te same zamki i siedem fałszywych aktów własności w środku. - Postawił szkatułę obok Poppeusza i bardzo dokładnie zaciągnął zasłonki. - Magnusie, idź do kuchni i sprowadź tragarzy; niech bojaźń przed bogami każe im się spieszyć, nie chcemy bowiem, by zaglądali do środka lektyki. Potem ich obejdz i stań między frontem domu i tym jedynym tragarzem, który ma dobry widok na schody, i bądź gotów odsunąć nieco zasłonki, kiedy skinę głową. Ziri, otwórz bramę.

Magnus i Ziri ruszyli do swoich zadań. Pallas poprowadził Wespazjana i Korbulona z powrotem do ogrodu, gdzie czekał Klaudiusz.

- A teraz pozostaje nam tylko dokończyć tę mistyfikację, tak jak to ustaliliśmy wczoraj. Pamiętajcie, idziemy przez atrium, rozprawiając głośno o wyborach, zupełnie jakby Poppeusz był z nami - przypomniał im Pallas, kiedy szli przez ogród. - Kiedy zbliżymy się do wejścia, Narcyz wyprowadzi Kosmasa ze swojego gabinetu, tak że ten zobaczy nas wszystkich od tyłu. Kluczem jest to, by każdy z nas wymówił kilkakrotnie imię Poppeusz i żeby było sporo śmiechu; starajcie się jednak, by wszystko brzmiało naturalnie.

Kiedy przechodzili obok stołu, Pallas podniósł laskę Poppeusza i oparł o krzesło, na którym tamten wcześniej siedział.

- M-mój drogi Poppeuszu - Klaudiusz prawie wykrzyknął, kiedy weszli do atrium - nie widzę powodu, dla którego miałbym popierać młodego Lucjana. Toż to zwyczajny b-b-bufon.

Pallas wybuchnął śmiechem, a Wespazjan poszedł jego śladem. Patrycjuszowska rezerwa Korbulona kazała mu zachować się sztywno i milczeć.

- No cóż, dobrze powiedziane, Poppeuszu - zarechotał Pallas - masz całkowitą rację.

- A czy poprzesz w tym roku mojego brata w wyborach na pretora, Poppeuszu? - spytał Wespazjan, któremu udzielił się nastrój tej podstępnej gry.

- Jego brat to jeszcze jeden bufon, nie uważasz, P-p-poppeuszu?

Mijając impluwium, wszyscy ponownie wybuchnęli śmiechem.

- Byłbym zaszczycony, Poppeuszu, gdybyś mnie poparł w tym roku - wyrwało się nagle Korbulonowi, i to w momencie, gdy otworzyły się drzwi gabinetu Narcyza.

- Nie dosłyszałem, Poppeuszu - wtrącił natychmiast Pallas - możesz powtórzyć? - Roześmiał się głośno, by zamaskować brak odpowiedzi. - Zaiste, jesteś najmądrzejszym człowiekiem w Rzymie, Poppeuszu, spotkanie z tobą to prawdziwy zaszczyt.

Zaśmiewając się, doszli do otwartych frontowych drzwi i znaleźli się na zewnątrz. Wespazjan zerknął przez ramię i zobaczył, że Kosmas, przyciskając do piersi prawdziwą szkatułę, stara się ich dogonić.

- P-P-Poppeuszu, interesy z tobą to czysta przyjemność - oświadczył Klaudiusz, kiedy w ciasno zbitej grupie schodzili po stopniach do czekającej lektyki; Magnus zasłaniał tragarzowi stojącemu z tyłu lektyki widok na schody. - Do zobaczenia niebawem, na Forum.

- Pozwól, że ci pomogę wsiąść, Poppeuszu - powiedział Pallas, skinąwszy głową Magnusowi, który odsunął nieco zasłonkę. W chwili, kiedy Kosmas zbiegał pędem po schodach, mając Narcyza za plecami, Pallas trzymał zasłonkę lewą ręką, a prawą przesuwał po niej od środka, jakby o tkaninę ocierała się głowa.

- Twoja laska, Poppeuszu? Oczywiście, że poślę po nią Kosmasa. Kosmasie, twój pan zostawił w ogrodzie laskę - powiedział Pallas, puszczając zasłonkę i odwracając się do sekretarza. - Proszę, daj mi to, a ty skocz po nią. - Wziął szkatułę pod pachę, ponownie uchylił zasłonkę, ukazując sekretarzowi nogi Poppeusza, i postawił szkatułę przy nich, podczas gdy Narcyz przeszedł szybko na drugą stronę lektyki.

- Pospiesz się, Kosmasie - warknął Wespazjan - Poppeuszowi się spieszy, ma pilne spotkanie na Forum.

- Nic o tym nie wiedziałem - oświadczył zdezorientowany sekretarz.

Pallas włożył głowę do wnętrza lektyki.

- Oczywiście, Poppeuszu, powiem mu - powiedział, wyciągając głowę. - Forum Romanum, przy Rostra, tak szybko jak to możliwe - rzucił rozkaz tragarzom i zwrócił się do Kosmasa. - Mówi, żebyś tam się zjawił z jego laską.

Kosmas wzruszył ramionami i popędził do wnętrza domu. Tymczasem tragarze podnieśli lektykę i ruszyli biegiem, odsłaniając stojącego tyłem Narcyza. Wespazjan i Korbulon otworzyli szeroko ze zdumienia oczy, kiedy obrócił się do nich przodem; trzymał bowiem w rękach szkatułę Kapelli.

- Szybko, idź z tym do domu, tylnym wejściem - powiedział wyzwoleniec, podając szkatułę Magnusowi - nie chcielibyśmy, żeby zobaczył ją nasz przyjaciel Kosmas.

Ledwie Magnus zniknął za rogiem, pojawił się sekretarz Poppeusza z laską.

- Panie - zawołał Narcyz, przykładając dłoń do czoła - twoja książka!

- Rzeczywiście, Narcyzie, dziękuję. Co ja bym zrobił bez ciebie? - zareagował równie teatralnie Klaudiusz.

- Kosmasie, poczekaj chwilę, a ja znajdę pierwsze cztery księgi mojej Historii Etrusków, które obiecałem pożyczyć twojemu panu.

Nieszczęsny sekretarz rzucił spojrzeniem w głąb ulicy, potem odwrócił się i patrzył na Klaudiusza, który wchodził już z Narcyzem do domu; opuścił ramiona i poczłapał po schodach ku wejściu.

Wespazjan poczuł rozbawienie, widząc, w jaki sposób posłużono się Kosmasem.

- Będzie mógł tylko przysiąc, że Poppeusz oddalił się w pośpiechu, zmuszając go do biegania w tę i z powrotem po wszystko, czego zapomniał - powiedział.

- Taki był właśnie tego cel - oświadczył Pallas - z tym że jego rola jeszcze się nie skończyła. Klaudiusz i Narcyz zatrzymają go jeszcze chwilę, a potem pójdziemy za nim na Forum, żeby zobaczyć, jak zareaguje, kiedy odkryją martwego Poppeusza.

- Czy tragarze nie mogli zauważyć, że Narcyz wyjmuje szkatułę z drugiej strony lektyki? - spytał Korbulon, wciąż nieco oszołomiony szybkim biegiem wydarzeń.

- Tylko człowiek stojący z samego tyłu po tamtej stronie mógł to zobaczyć, ale Narcyz sięgnął do środka, kiedy oni się schylili, żeby podnieść lektykę, i przez cały czas stał plecami do tego właśnie tragarza. Zresztą nikt nie zapytał o szkatułę, bo w lektyce razem z ciałem Poppeusza znajdą tę drugą, fałszywą.

Rozmowę przerwało pojawienie się Kosmasa z Narcyzem.

- Mój drogi Kosmasie - przemówił słodkim tonem Narcyz, otaczając pulchnym ramieniem bark żylastego sekretarza - bardzo miło było cię znowu zobaczyć. My, sekretarze, powinniśmy się częściej spotykać.

- Tak, dziękuję ci, Narcyzie, masz rację. A teraz już muszę pędzić.

- Oczywiście. Do zobaczenia nieza długo.

Kosmas skłonił głowę w stronę Wespazjana i jego towarzyszy i popędził ulicą, niosąc laskę swojego pana, a także wcisnięte w torbę cztery cylindryczne skórzane futerały ze zwojami.

- Pójdziemy za nim, Narcyzie - powiedział Pallas, kiedy sekretarz zniknął za rogiem - i upewnimy się, czy Azjatyk zrobi, co do niego należy.

- Do zobaczenia jutro, Pallasie. Panowie, żegnam.

Kiedy Wespazjan odwrócił się, by ruszyć przed siebie, poczuł na ramieniu rękę Narcyza.

- A tak przy okazji, Wespazjanie - szepnął mu Narcyz do ucha - jeśli myślisz o złożeniu wizyty braciom Kleliuszom, kiedy będziesz na Forum, to jedynie zmarnujesz czas. Unieważniłem już u nich ten weksel.

Wespazjan odwrócił się i spiorunował go wzrokiem.

Narcyz obdarzył go wymuszonym uśmiechem.

- Z twojej miny wnoszę, że uczyniłem słusznie. Jednakże, ponieważ teraz jestem twoim dłużnikiem z dwóch różnych powodów, nie unieważniłem go u Talesa w Aleksandrii. Jeśli kiedyś uzyskasz pozwolenie na wizytę w Egipcie, w co wątpię, będzie twój. Przecież nie

mogę ci ułatwić sprzeniewierzenia pieniędzy mojego pana, prawda?

Rozdział dwunasty

Wespazjan milczał, kiedy podążali w dół Eskwilinu, ku Forum, przez cały czas mając w zasięgu wzroku sekretarza, który stopniowo doganiał lektykę. Przypomniawszy sobie, z jaką godnością Poppeusz wyszedł na spotkanie śmierci, i zastanawiając się nad motywami, które uczyniły go wrogiem Antonii. Uznał, że Poppeusz miał rację: ród julijsko-klaudyjski zupełnie nie nadaje się do rządzenia. Przez lata intryg i posługiwania się trucizną pozbawiono go najbardziej utalentowanych przedstawicieli i z męskiej linii pozostały jedynie niedobitki: Tyberiusz - zdeprawowany, szalony starzec; Klaudiusz - jękająca się, żądna władzy miernota; przyjaciel Wespazjana, Kaligula - hedonista i kazirodca; i Gemellus, nic nieznaczący młodzieniec, którego wyróżniało jedynie to, że nieustannie roztrząsano, który z jego krewnych ostatecznie go zamorduje. Była też Antonia, niewątpliwie błyskotliwy polityczny strateg. Kiedyś, będąc jeszcze przesiąkniętym idealizmem młodym człowiekiem, postrzegał jej bezwzględność w likwidowaniu zagrożeń dla pozycji rodziny jako wynikającą ze szczytnych zasad obrony prawowitej rzymskiej władzy. Jednakże teraz, starszy i bardziej doświadczony, zaczynał widzieć, kim naprawdę jest: bezwzględna przywódczyni bandy, niecofająca się przed niczym, by zachować władzę. Dokonał wyboru, będąc jeszcze żółtodziobem, i ugrzązł w świetle Antonii jako mało ważny członek tej grupy. Jego babka miała absolutną rację, kiedy już tyle lat wcześniej ostrzegała go, że to, co zdaje się służyć Rzymowi, niekoniecznie jest zaszczytne. Jednak to chyba miało się wkrótce zmienić; przecież przy tylu morderstwach ród julijsko-klaudyjski musiał wreszcie wyginać? Może nadchodziła ta nowa era, którą zapowiadał Feniks: era, kiedy Rzym będzie rządzony z honorem, przez ludzi mających zasługi, a nie przez ludzi ze skażoną krwią. Z drugiej strony, pomyślał, jak to możliwe, by jego przeznaczeniem miało być odegranie jakiejś roli w tej erze honoru, skoro on sam splamił się podłym morderstwem?

- Gdzie jest lektyka? - spytał Magnus, który dysząc ciężko, dogonił ich z Zirim na via Sacra.

- Jakieś sto kroków z przodu - odparł Pallas, wskazując przez tłum miejsce, gdzie nad morzem głów widać było podskakujący dach lektyki. - Kosmas jest tuż przed nami, ale już zaczyna ją doganiać; lepiej dopilnujcie, żeby nie dotarł do niej przed Forum.

- Ale przecież on mnie widział.

- Przelotnie, a Ziriego w ogóle.

- No rzeczywiście.

Za ich plecami rozległ się potężny ryk i Wespazjan zwrócił głowę w stronę Circus Maximus.

- Brakuje mi tych przeklętych wyścigów - jęknął Magnus. - Chodź, Ziri, poćwiczysz sobie przepychanie.

Młody nomada patrzył nierozumiejącym wzrokiem na swojego pana.

- Szybko chwycisz, w czym rzecz, to łatwe. Po prostu używaj łokci - pouczył go Magnus, wbijając się w tłum.

Zbliżali się do Forum i tłum gęstniał z każdą chwilą, bo ci mieszkańcy Rzymu, którzy nie mieli szczęścia załatwić sobie miejsca w cyrku, gromadzili się, by obejrzeć akrobatów, sztukmistrzów i innych artystów, dających tutaj występy na cześć Apollina.

Stopniowo zbliżali się do lektyki, aż, w pobliżu Rostry, była już tylko dziesięć kroków przed nimi. Po prawej stronie Wespazjan widział wysoką sylwetkę Kosmasa, usiłującego wyminąć Magnusa i Ziriego. Nagle tłum się cofnął i tuż przed sobą Wespazjan ujrzał topory wystające z wiązek różeg niesionych przez dwunastu liktorów, którzy zdążali wprost ku lektyce.

- Azjatyk już tam jest - powiedział, kiedy liktorzy otoczyli lektykę.

- Świetnie, stąd sobie na to popatrzymy - odparł Pallas.

Większość ludzi przesuwiała się dalej, poza oficjalny kordon, niezainteresowana obecnością starszego konsula w ten świąteczny dzień.

- Prokonsulu Poppeuszu! - zawołał Azjatyk, przekrzykując zgiełk - jak dobrze, że cię spotykam. - Podeszedł do lektyki i udawał, że czeka na odpowiedź. - Poppeuszu? - powtórzył po kilku chwilach. Wreszcie uchylił zasłonkę i zajrzał do środka. - Poppeuszu?

- Przepuście mnie, to lektyka mojego pana - zawołał Kosmas, przepychając się przez liktorów.

Azjatyk włożył do środka rękę, po czym szybko ją cofnął.

- Na Jowisza! Prokonsul nie żyje! - zawołał i odrzucił zasłonki, ukazując Poppeusza w pozie, w jakiej go ułożono, tylko głowa opadła mu na jedną stronę i spoczywała na fałszywej szkatule Kapelli. Kilka stojących najbliżej osób patrzyło z zapartym tchem na to, co się dzieje; wkrótce dołączyli do nich kolejni gapie. Tragarze spoglądali przerażeni na swojego martwego pana.

Kosmas rzucił się do lektyki.

- Panie? Panie? - wołał.

- Wygląda na to, że twój pan nie żyje - poinformował go Azjatyk.

- To niemożliwe, żył, kiedy go zostawiłem niecałe pół godziny temu.

- Cóż, teraz jest martwy... popatrz.

Kosmas uniósł podbródek Poppeusza i wstrząśnięty cofnął rękę.

- Przysięgam, że żył, kiedy opuszczaliśmy dom Klaudiusza, widziałem, jak wsiada do lektyki; posłał mnie jeszcze po swoją laskę. - Pomachał laską przed nosem Azjatyka, jakby chciał udowodnić prawdziwość swojej opowieści. - Musiał umrzeć w drodze na Forum.

Wespazjan i Korbulon zerknęli na Pallasa, który pozwolił sobie na pełen satysfakcji krótki uśmieszek.

- Kim jesteś? - spytał Azjatyk.

- Nazywam się Kosmas, jestem sekretarzem Poppeusza.

- A to co takiego? - spytał konsul, wskazując na szkatułę.

- Są w tym papiery mojego pana.

- Chcę je zobaczyć.

Kosmas zdjął z szyi klucze i otworzył szkatułę.

Azjatyk wyjął dwa zwoje, rzucił na nie okiem, po czym powąchał.

- Nie ma tu nic, co mogło go zabić.

Sekretarz zajrzał do środka szkatuły i pokiwał głową.

- Biegnij do jego domu i każ domownikom przybyć tutaj i zabrać stąd ciało z wszelkimi honorami. Nie wypada, by tak znamienitego człowieka do domu odnosili tragarze.

Kosmas popatrzył na konsula, następnie na Poppeusza i znowu przeniósł wzrok na konsula, nie całkiem pewien, co ma zrobić.

- Rusz się, człowieku! - krzyknął Azjatyk. - Przestań się zastanawiać. Ja tu zostanę z ciałem.

- Tak, konsulu, dziękuję.

- I lepiej zabierz ze sobą tę szkatułę.

- Tak, konsulu. - Kosmas szybko zatrzasnął wieko i zamknął zamki.

- Biegnij!

Wespazjan uśmiechnął się, kiedy nieszczęsny sekretarz podniósł szkatułę, położył na niej laskę i ruszył przed siebie.

- Już nigdy nie będzie w stanie uwierzyć własnym oczom - rzucił.

- Niestety, nie ma wiele czasu, by je wypróbować - powiedział Pallas, skinąwszy głową komuś na skraju tłumu po drugiej stronie.

Wespazjan pobiegł tam spojrzeniem i ujrzał, jak człowiek będący młodszą wersją Pallasa skinięciem głowy odpowiada bratu, poklepując nóż zatknięty za pas. Feliks oderwał się od tłumu i podążył za opuszczającym Forum Kosmasem.

- Uważam, że konsul wyśmienicie odegrał swoją rolę - zauważył Pallas, kiedy opuszczali Forum, huczące od pogłosek dotyczących śmierci Poppeusza. - I było wystarczająco wiele osób, które słyszały, jak Kosmas zaklina się, że Poppeusz był żywy, kiedy opuszczał dom Klaudiusza. Moja pani będzie zachwycona.

- Żal mi Kosmasa - powiedział Wespazjan. - Szkoda, że musiał umrzeć.

- Kosmas nie żyje? Od kiedy? - zdziwił się Korbulon.

- Mniej więcej od teraz, jak sądzę - poinformował go Pallas. - Mój brat dopilnuje, by ciało zniknęło, co wywoła podejrzenie, że nieuczciwy sekretarz wykorzystał sytuację i umknął z aktami własności posiadłości swojego pana. Nawet jeśli Makron będzie coś podejrzewał, niczego nie udowodni, bo musiałby przyznać, że wiedział o tych egipskich majątkach; na to nigdy sobie nie pozwoli.

- Zatem Klaudiusz jest teraz bogatszy o czternaście i pół miliona denarów - oświadczył kwaśno Wespazjan.

- Lepiej, że on, a nie Makron.

- Naprawdę, Pallasie? Poppeusz wskazał całkiem sensownie, co się stanie z sukcesją, jeśli Makron zostanie cesarzem.

- Tak - zgodził się Korbulon - to mi przypomniało, o czym mówiłeś na Capri. Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to rozsądne. Rzym nie może dłużej znosić szaleńców u władzy, tylko dlatego że się wywodzą od Juliusza Cezara.

- Obawiam się, że to idealizm - odezwał się Pallas. - Patrycjusze mogą nienawidzić julijsko-klaudyjskiego rodu, i nie bez powodu, bo wielu zostało zabitych, kiedy jego przedstawiciele sięgali po władzę, a jeszcze więcej umrze, kiedy się przy tej władzy utrzymają, jednak armia i lud nie przestaną ich popierać. Odpowiada im stabilizacja, a dla nich stabilizacja jest wtedy, kiedy rządzi jedna rodzina i wiedzą, kto im będzie rozdelał hojne dary w postaci ziarna i igrzysk. Dopiero kiedy nastąpi po sobie kolejno kilku tam złych cesarzy i wpłynie to na warunki ich życia, zaczną myśleć o lepszym systemie.

- Przygnębiający punkt widzenia.

- Nie, jeśli przypadkiem sam jesteś w służbie tej rządzącej rodziny.

I w tym właśnie tkwi problem, pomyślał Wespazjan, kiedy zaczęli się wspinać na Palatyn, w kierunku tłumu ryczącego w Circus Maximus. Było tak wielu ludzi posiadających pewną władzę, takich jak Pallas, Azjatyk, Narcyz, gwardia pretoriańska, jego własny wuj, większość senatu, których dobrobyt poprzez system patronatu nierozzerwalnie wiązał się z dynastią julijsko-klaudyjską. Sama myśl o zmianie budziła w nich przerażenie, bo mieli na względzie dobro własne i swoich rodzin. Całe to idealistyczne gadanie o systemie władzy w Rzymie musiało kończyć się niczym, skoro ludzie obawiali się, że na zmianie rządów nie mają nic do zyskania, a wszystko do stracenia. Taka jest ludzka natura i nic nie można na to poradzić.

Uświadomiwszy sobie to wszystko, Wespazjan szedł pod górę, w stronę domu Antonii, rozważając to, co nieuniknione: miał żyć bez zasad i zadbać o siebie, służąc ludziom posiadającym prawdziwą władzę. Nie o tym marzył, kiedy pierwszy raz wjeżdżał do Rzymu. Jednak powinien być w tym dobry, stwierdził ze smutkiem, przecież już zdążył się zniżyć do morderstwa.

Antonia zostawiła wiadomość, prosząc, by poczekali, aż załatwi pewną sprawę. Pallas zaprowadził Wespazjana i Korbulona do ogrodu, gdzie - ku zaskoczeniu Wespazjana - Gajusz i Sabinus popijali wino. Żaden nie wyglądał na szczęśliwego i obaj pocili się w południowym słońcu. Na stole postawiono cztery dodatkowe puchary.

- Zostawię tu panów, by usłużyć swojej pani - powiedział Pallas. - Jestem przekonany, że zajmuje się tym jedynym nierozstrzygniętym problemem. Wołajcie, jeśli będziecie potrzebowali więcej wina. - Odszedł ku czarnym lakierowanym drzwiom, prowadzącym do prywatnego pokoju Antonii po drugiej stronie wewnętrznego ogrodu.

- Herodem Agryppą? - spytał Wespazjan, kiedy siadali z Korbulonem przy stole.

- Tak - odparł Sabinus z posępną miną. - Zjawił się tutaj tuż przed wami.

- Czy Antonia zgodziła się ci pomóc? - spytał Wespazjan, nalewając wina do dwóch kielichów i podając jeden z nich Korbulonowi.

- Tak, ale nie była zadowolona. Bo oznaczało to, że będzie musiała znaleźć jakiś inny sposób na Heroda; teraz nie może mu już grozić konfiskatą jego zapasów, bo on zagrozi jej zdemaskowaniem mojej osoby. Wie, że tu jestem, bo kiedy przyszedł, postarała się, żeby mnie zobaczył.

- A co zrobiłeś? - zainteresował się Korbulon, pociągając łyk wina.

- Nic, co by dotyczyło ciebie, Korbulonie - odparł Sabinus i krew odpłynęła mu z twarzy, kiedy niewolnik wprowadził do ogrodu dwóch zażywnych i łysych ekwitów w średnim wieku. Wstał i ruszył w stronę przybyłych z wyciągniętą ręką. - Primusie i Tercjuszu - wykrztusił. - Co was tu sprowadza?

- Niedogodne, ale niemożliwe do odrzucenia wezwanie od szlachetnej pani Antonii, senatorze Sabinusie - odpowiedział starszy z mężczyzn, ujmując jego rękę. - A sądząc po dokumentach, jakie kazała nam ze sobą przynieść, nie powinieneś być zdumiony naszym widokiem. - Położył skórzaną torbę na stole i krótkim energicznym skinieniem głowy powitał

Gajusza i Korbulona. - Dzień dobry, senatorze Pollonie i senatorze Korbulonie.

- Primusie, Tercjusz - odpowiedzieli obaj, wstając.

- Panowie, to jest mój brat, Wespazjan - Sabinus dopełnił prezentacji, kiedy wszyscy usiedli. - Primus i Tercjusz Kleliusze z banku na Forum.

Słońce przygrzewało coraz mocniej, a oni czekali na otwarcie się czarnych lakierowanych drzwi. Rozmowa się nie kleiła. Wszelkie próby konwersacji utracane były przez bankierów, zajętych przeglądaniem rachunków na zwojach i sprawdzaniem ich za pomocą liczydła, które Primus wyjął z torby. Kleliusze odmówili też wypicia wina. Wespazjan zauważył kilkakrotnie, że rzucają w jego stronę ukradkowe spojrzenia, i zastanawiał się, czy Narcyz wspomniał jego imię, kiedy unieważniał tamten weksel. Nieustanne stukanie drewnianych kulek liczydła zaczęło go irytować.

W końcu drzwi się otworzyły. Antonia szła ku nim w towarzystwie Heroda, który miał bardzo zadowoloną minę. Za nimi dwojgiem podążał Pallas.

- Panowie, dziękuję, że zechcieliście poczekać. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, dokończymy nasze sprawy tutaj - powiedziała, siadając i gestem pokazując Herodowi, by zrobił to samo. - Potrzebuję świeżego powietrza. Primusie i Tercjusz, dziękuję za przyście. Mam nadzieję, że Sekundus jest zdrowy.

- Wyjechał w interesach, pani - odpowiedział Primus.

- Świetnie, to znaczy, że jest zdrowy. Czy przynieśliście wszystko, o co prosiłam?

Primus pogrzebał w torbie, wyjął z niej trzy zwoje i położył na stole.

Antonia wzięła jeden i popatrzyła na niego przez chwilę.

- Herodzie, to jest weksel bankowy na pół miliona denarów.

Herod z lubością spoglądał na dokument.

- A to - ciągnęła Antonia, podnosząc drugi zwój i machając nim przed oczyma Heroda
- wykonana przez braci Kleliuszów kopia aktu kupna-sprzedaży zboża, które kupiłeś od Sabinusa, a także kopia świadectwa własności, podpisana przez ciebie i Sabinusa. Braciom najwyraźniej bardzo zależy na tym, by mi je przekazać, bo doskonale wiedzą, że pobieranie przez nich procentów od transakcji dotyczących spekulacji zbożem jest wbrew prawu.

- Błędna ocena sytuacji z naszej strony - przyznał Primus.

- Którą z przyjemnością za was skoryguję. - Odłożywszy zwój na stół, Antonia zwróciła się do Sabinusa.

- Poproszę o twoje kopie, Sabinusie.

Sabinus wręczył jej dokumenty.

Antonia uśmiechnęła się sympatycznie do Heroda.

- Zatem, Herodzie, twoje kopie są już ostatnimi, jakie łączą to zboże z Sabinusem. - Oddała weksel braciom Kleliuszom, którzy go podpisali. Potem podała go Herodowi. - To zboże jest warte o wiele mniej niż ten weksel. Uważam, że w twoim interesie leży dokonanie wymiany.

Oburzony Korbulon otworzył usta, ale nim zdążył wyrazić swoją opinię, Antonia uciszyła go zdecydowanym ruchem ręki.

Herod wziął weksel.

- Kiedy tylko wrócę do domu, natychmiast przyślę swojego wyzwolenca Eutychesa z moją kopią aktu kupna-sprzedaży i świadectwem własności. Teraz zboże należy do was.

- Tak jak i twoja lojalność, Herodzie, jeśli wciąż pragniesz, by Judea znów była w strefie rzymskich wpływów, a ty jej królem. To prezent ode mnie, a nie od Makrona.

- Teraz to rozumiem. Po drodze tutaj przechodziłem przez Forum; wygląda na to, że Poppeusza spotkała śmierć tego dnia, którego miał przeprowadzić pewną transakcję z twoim synem. - Rozejrzał się wokół stołu. - Nie wiem, jak tego dokonałaś, ale zakładam, że do transakcji nie doszło i Makron nie jest w stanie zaoferować mi tego, co chcę.

- Nie zrobiłam absolutnie nic, Herodzie. Wszelkie nieuzasadnione podejrzenia zatrzymasz dla siebie. - Antonia podniosła trzeci zwój. - Makron nie może anulować twojego długu wobec mnie, który to dług, gdybym zażądała jego spłacenia, szybko by znowu wygnał cię na pustynię; i wierz mi, tym razem bez żadnej możliwości powrotu.

- Jak zawsze, szlachetna pani, negocjacje z tobą to sama przyjemność.

- Chcesz przez to powiedzieć, że przyjemnie jest brać moje pieniądze.

- Nie przeczę - zgodził się Herod, z uśmiechem skłaniając głowę.

- A teraz wynoś się z mojego domu.

- Z przyjemnością. - Herod wstał i złożył elegancki ukłon. - Żegnam was, panowie.

Kiedy odwracał się do wyjścia, Antonia machnęła w jego stronę wekslem dłużnym.

- I pamiętaj, Herodzie, zawsze jeszcze będę miała to.

- Pani, moje usta są zapieczętowane - rzucił Herod przez ramię, idąc przez ogród i wymachując wekslem bankowym.

Antonia zwróciła się do bankierów.

- Primusie i Tercjuszu, wiem, że mogę w tej sprawie polegać na waszej dyskrecji.

- Zajmujemy się liczbami, a nie plotkami, pani - odparł Primus, wstając, podczas gdy jego brat pakował zwoje i liczydło.

- Bardzo mądrze; to o wiele bardziej godna zaufania materia, szczególnie że w tych plotkach mogłyby się pojawić wasze imiona. A teraz, jeśli chodzi o tę drugą sprawę?

Primus wyjął kolejny zwój, czwarty, z zanadrua togi i podał go Antonii.

- To już jest ostatnia rzecz, o jaką poprosiłaś, pani; nasza kopia należącego do zmarłego pana świadectwa własności z tamtej transakcji, która cię interesowała. Musisz, pani, zrozumieć, że jest to wbrew wszelkim procedurom.

- Podobnie jak pobieranie dziesięciu procent od nielegalnej transakcji zbożem, Primusie, co, dzięki mojej dyskrecji, pozostanie wyłącznie pomiędzy nami.

- Pokorne dzięki, pani. W tych okolicznościach nie przyślemy notki dotyczącej naszego honorarium.

Antonia rozwinęła dokument i z uśmiechem zadowolenia zerknęła na jego zawartość.

- Zostanie to docenione, Primusie, bo wiem, jaką wyobraźnią potraficie się wykazać, kiedy przychodzi do obliczania honorariów.

- My nie mamy wyobraźni, pani, jesteśmy bankierami.

Skłoniwszy na pożegnanie głowy, bracia Kleliusz oddalili się.

- Było to wielce kosztowne, za twoją przyczyną, Sabinusie - powiedziała Antonia, kiedy ustał już odgłos kroków bankierów - ale w żadnym razie nie była to katastrofa.

Sabinus zaczerwienił się i zawstydzony opuścił głowę.

- Handlować zbożem, kiedy jest się edylem odpowiedzialnym za zboże! - wybuchnął w końcu Korbulon, kipiąc patrycjuszowskim gniewem. - Powiniennem o tym zameldować.

- Oczywiście, że powinieneś, ale tego nie zrobisz, prawda, mój drogi Korbulonie? - spytała łagodnym głosem Antonia. - To by nas donikąd nie zaprowadziło.

- Ale on chce, by wybrano go na pretora; to, co zrobił, stoi w sprzeczności ze wszystkimi zasadami postępowania senatorów.

- A to, co zrobiłeś dzisiaj rano, w takiej sprzeczności nie stoi? - warknęła Antonia. - Przestań się zachowywać, jakbyś był jednym z ojców założycieli republiki. Sabinus popełnił kosztowny błąd, a ja go naprawiłam w taki sposób, który nas samych uchroni, a wyrządzi poważne szkody Herodowi. Nie ufam mu, że nie zechce porozmawiać z Makronem, i dlatego zamierzam się postarać, by nie miał takiej sposobności. Pallasie, przyprowadź tu do nas Eutychesa, natychmiast jak się pojawi.

- I możesz przysiąc, że tak było? - spytała Antonia stojącego przed nią Eutychesa. Dwa zwoje, które przyniósł od swojego pana, położyła na stole obok stosu złotych monet.

- Tak, pani - odparł wyzwoleniec - mój pan powiedział do twojego wnuka Kaliguli tak: „Chciałbym, żeby stary się pospieszył i umarł, a wtedy ty zostałbyś cesarzem”. Jechali tego dnia w powozie Heroda, a ja powoziłem; słyszałem ich bardzo dobrze.

- I co odpowiedział mój wnuk?

Eutyches spojrzał chciwie na stos złotych monet, po czym ponownie przeniósł wzrok na Antonię.

- A jak myślisz, pani, co on odpowiedział?

- Widzę, że się rozumiemy, to bardzo dobrze. Jestem przekonana, że odpowiedział: „Herodzie, to zdrada! Niech Tyberiusz żyje wiecznie. Jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego, natychmiast o tym zamelduję”.

- To są dokładnie jego słowa, mogę przysiąc.

- Mój wnuczek zawsze zbyt łatwo wybaczał.

- Szlachetna to wada, pani - zgodził się ze smutkiem Gajusz.

- Miejmy nadzieję, że nie sprowadzi to kiedyś na niego kłopotów - dodał Wespazjan, patrząc na swojego wuja i kiwając potakująco głową.

- Dziękuję, Eutychesie, będziesz mógł wziąć te pieniądze, kiedy ta sprawa zostanie ostatecznie załatwiona. Do tego czasu zostaniesz tutaj. Pallasie, zaprowadź go tam, gdzie przyjmujemy naszych gości.

Wespazjan patrzył, jak prowadzą niczego niepodejrzewającego wyzwolenca do prywatnego podziemnego więzienia Antonii, i zastanawiał się, jak długo go tam potrzymają.

Antonia zgrnęła monety i wsypała je z powrotem do sakiewki.

- Uważam, że moim obowiązkiem jest naprawienie błędu mojego wnuka i doniesienie o tej sprawie. Makron wyjechał, by dołączyć do cesarza na ślubie młodego Gajusza, zatem powinniśmy działać, kiedy go nie ma. Senatorze Pollonie, każę wszystko spisać i będę zobowiązana, jeśli zechcesz to odczytać na najbliższym posiedzeniu senatu.

- Oczywiście, pani.

Rozmowę przerwał dobiegający z atrium histeryczny krzyk.

- Zejdź mi z drogi, muszę ją zobaczyć. Wiem, że tam jest.

Niewysoka, szeroka w biodrach kobieta koło trzydziestki, w poszarpanych szatach i z potarganymi włosami, wbiegła do ogrodu, odtrącając Feliksa, który usiłował ją powstrzymać.

- Antonio! - wrzasnęła. - Wiem, coś zrobiła!

- Moja droga Poppeo Sabino - powiedziała Antonia, wstając - uspokój się.

- Uspokoić się? Jak mogę być spokojna, patrząc na morderczynię mojego ojca?

- Dopiero co usłyszałam o śmierci twojego ojca, ci senatorowie właśnie mi opowiadali

o tej tragedii.

- Tragedii?! - wrzasnęła Poppea, obrzucając przenikliwym spojrzeniem wszystkich po kolei mężczyzn siedzących przy stole. - Ty go zabiłaś, a ci mężczyźni zapewne ci pomogli. Wiem, że senator Pollon i jego siostrzeńcy zawsze cię popierali przeciwko mojemu ojcu, powiedział mi to. Zabiłaś go, Antonio, bo chciał odsunąć twój zniechęcony ród od władzy. Zabiłaś go, by chronić siebie. Nie wiem jak, ale jeśli zmarł z przyczyn naturalnych, to dlaczego miał opuchniętą i rozciętą wargę? Widziałam go przecież nie dalej jak dzisiaj rano. Reputacja mojej rodziny jest nieskazitelna i ludzie posłuchają, kiedy będę się domagała sprawiedliwości. - Splunęła na ziemię, odwróciła się i odepchnawszy Feliksa, z godnością opuściła ogród.

- Przepraszam, pani, ona...

- Nic nie szkodzi, Feliksie, ona była zdeterminowana i musiała mnie zobaczyć. Czy ta druga sprawa poszła dobrze?

- Tak, pani, ciało i szkatuła są w Tybrze. Głowa została unicestwiona.

- Świetnie. Pójdź za tą kobietą i dopilnuj, żeby nie narobiła szkód. Wyślij wiadomość do Azjatyka, żeby jak najszybciej tu przybył. - Antonia ponownie zwróciła się do siedzących przy stole gości. - Wygląda na to, że musimy zszargać reputację dwóm osobom, jeśli nie chcemy dopuścić, by Poppea zyskała w senacie posłuch dla swojej wersji wydarzeń. Gajuszu, powstrzymaj się z doniesieniem na Heroda, do czasu aż Azjatyk, Korbulon i Wespazjan zrobią to, o co ich poproszę. - Antonia wzięła do ręki czwarty zwój, który dostała od Primusa, i wręczyła go Sabinusowi. - A kiedy już twój wuj zrobi swoje, Sabinusie, proszę, byś to odczytał. Sądzę, że teraz, kiedy Herod nie może cię już szantażować, będzie to dla ciebie całkowicie bezpieczne. - Poklepała przyniesione przez Eutychesa, a należące przedtem do Heroda dokumenty, kopię aktu kupna-sprzedaży oraz świadectwa własności zboża. - Zamierzałam zrobić z tego użytek później, myślę jednak, że biorąc pod uwagę wizytę Poppei, właśnie teraz jest stosowny moment, by rzecz upublicznić. Uważam też, że może to pomóc przy twoich wyborach na pretora.

Sabinus przeczytał szybko dokument i twarz mu się rozjaśniła.

- Zrobię to z przyjemnością - oświadczył.

- I dlatego, patres conscripti - kończył starszy konsul Azjatyk wystąpienie przed wypełnioną do ostatniego miejsca salą posiedzeń senatu - proponuję uchwalenie podziękowania od wdzięcznego senatu jego słudze, Gajuszowi Poppeuszowi Sabinusowi, za wiele lat bezinteresownej służby nam i naszemu cesarzowi. Wnoszę też o uchwalenie, by jego posąg z brązu, opłacony z funduszy publicznych, został ustawiony na Forum.

Azjatyk usiadł przy akompaniamencie głośniejszej aprobaty z obu stron sali posiedzeń. Wespazjan uznał, że Antonia byłaby zadowolona z tego, w jaki sposób konsul ustawił debatę ściśle według jej życzenia.

- Starszy konsulu - ryknął Korbulon, przekrzykując harmider - czy mogę zabrać głos?

- Senat wysłucha senatora Korbulona - zawołał Azjatyk, gestem prosząc o ciszę.

Wespazjan uśmiechnął się pod nosem, kiedy Korbulon wstawał, by przemówić, i z wielkim trudem starał się ukryć niesmak, jaki budziła w nim narzucona mu rozkazem Antonii pierwsza część jego wystąpienia.

- Patres conscripti, trzy lata służyłem pod rozkazami Poppeusza w Mezji i Tracji i dlatego poczynałbym sobie za zaszczyt poparcie propozycji konsula. Jak wy wszyscy, byłem wstrząśnięty, kiedy odkryto, że Poppeusz jest martwy, ale uważam za rzecz stosowną, kiedy człowiek taki jak on umiera w samym sercu naszego cesarstwa. Jednakże, o czym wszyscy wiemy, Poppeusz pozwolił, by jego żołnierze pozdrawiali go tytułem „imperator”, należnym tylko cesarzowi, zatem sądzę, że posąg na Forum, tak blisko pomników naszego prześwieczonego cesarza i jego poprzednika, w nieprzyjemny sposób przypominałby o tym jedynym błędzie... niektórzy mogą nazwać go aktem zdrady... popełnionym przez człowieka, którego pochwałę dzisiaj wygłaszamy.

Korbulon usiadł przy akompaniamencie aprobujących pomruków.

Ponownie zabrał głos Azjatyk.

- Senator Korbulon dobrze uczynił, przypominając szacownemu zgromadzeniu o tym niefortunnym zdarzeniu. W żadnym razie nie chcielibyśmy, by cesarz pomyślał, że senat bagatelizuje ten błąd Poppeusza, popełniony, o czym jestem przekonany, w euforii po zwycięstwie nad wrogami Rzymu. Fakt, że cesarz w swojej łaskawości zechciał tak długo na to nie reagować, powinien być dla nas sygnałem, że chociaż posąg byłby niestosowny, to dla człowieka, który popełnił tylko jeden błąd w swoim życiu, podziękowania są jak najbardziej na miejscu.

Zdenerwowany Wespazjan wstał, by pierwszy raz zabrać głos w senacie.

- Starszy konsulu, czy mogę? - spytał.

- Senat wysłucha pierwszego wystąpienia senatora Tytusa Flawiusza Wespazjana - oznajmił Azjatyk.

Idąc na środek sali, Wespazjan czuł na sobie spojrzenia ponad pięciuset senatorów. Opanował emocje związane z pierwszym publicznym wystąpieniem i odchrząknął.

- Patres conscripti... wielu z was zastanawia się, co ja, jeden z najmłodszych członków tego szacownego zgromadzenia, mógłbym dodać do tej debaty. Ja również byłem w Tracji z Poppeuszem i lojalność wobec senatu Rzymu i naszego cesarza nie pozwala mi milczeć o tym, co tam widziałem. Senator Korbulon miał rację, zwracając naszą uwagę na okrzyki „imperator”, nie powiedział jednak wszystkiego. Nie było go bowiem przy świętowaniu zwycięstwa po ostatniej bitwie, ponieważ wysłano go z dwiema kohortami, by zabezpieczyć fortecę pokonanych Traków, oczyszczając ją z ewentualnych niedobitków. Dlatego nie widział, jak Poppeusz upajał się tymi okrzykami, wręcz zachęcając żołnierzy, zamiast ich mitygować, co z lojalności wobec cesarza uczyniłby każdy z nas.

Wespazjan przerwał, kiedy senatorowie zaczęli się prześcigać w głośnym wyrażaniu swojej lojalności wobec cesarza.

- Mimo że była to karygodna obraza naszego cesarza, nie jest najgorszą zbrodnią, jaką tamtego dnia popełnił Poppeusz.

Zapadła cisza, bo senatorowie przerwali demonstrowanie swojej wierności, by usłyszeć, co takiego mogło być gorsze od zbrodni przeciwko cesarzowi.

- Byłem obecny, kiedy wasz wysłannik, prokonsul Marek Azyniusz Agryppa, przyniósł Poppeuszowi wiadomość o zaszczycie, jaki to zgromadzenie dla niego uchwaliło, a nasz cesarz łaskawie potwierdził, mianowicie o prawie do triumfu. Byłem świadkiem, jak Azyniusz w imieniu senatu rozkazał, by Poppeusz bezzwłocznie przekazał dowództwo Pomponiuszowi Labeonowi i wrócił do Rzymu. Nie okazując wdzięczności za ten nadzwyczajny zaszczyt, Poppeusz odmówił, a tym samym dopuścił się zbrodni nie tylko przeciw cesarzowi, ale także przeciw temu zgromadzeniu. Dopiero kiedy Azyniusz powtórzył ten rozkaz po bitwie, w obecności całej armii, Poppeusz poczuł się zobowiązany złożyć dowództwo.

Okrzyki oburzenia ponownie zmusiły Wespazjana do zamknięcia. Azjatyk zerwał się z miejsca i zaczął przywoływać senatorów do porządku.

- Senatorze Wespazjanie - zawołał, przekrzykując harmider - czy możesz przysiąc, że tak właśnie było?

- Mogę, mogę nawet zrobić znacznie więcej, a mianowicie, dostarczyć dowodu na swoje słowa. Senatorze Korbulonie, gdzie zastałeś Poppeusza w tę noc, kiedy zaatakowali Trakowie?

Korbulon wstał.

- W namiocie Azyniusza - odpowiedział.

- Kto jeszcze tam był?

- Azyniusz, ty, król Remetalkes i pierwszy centurion, Faustus.

- Niestety, konsulu, Azyniusz nie żyje, tak samo jak Faustus, ale król Remetalkes żyje. Napisz do niego i poproś o szczegóły rozmowy, którą prowadził Azyniusz z Poppeuszem

przed przybyciem Korbulona; potwierdzi wszystko, co powiedziałem.

Wespazjan wrócił na swój składany stołek, kiedy zerwał się pierwszy spośród wielu senatorów skorych wyrazić oburzenie takim lekceważeniem senatorskiego autorytetu.

Po serii mów, w których pomstowano na zachowanie Poppeusza, a z których każda kolejna bardziej go potępiała i zawierała więcej hipokryzji od poprzedniej, Azjatyk zakończył debatę.

- Patres conscripti... wycofuję wniosek, który zaproponowałem, a zamiast niego proponuję, byśmy zaznaczyli jego śmierć stwierdzeniem, że w swojej służbie dla Rzymu sprostął powierzonymu zadaniu i nic więcej. Powinniśmy napisać do cesarza i spytać, czy z uwagi na zachowanie Poppeusza nie życzy sobie, byśmy pośmiertnie pozbawili go przyznanych wcześniej zaszczytów. - Słowa te przyjęto jednomyślnym okrzykiem aprobaty. - Nie widzę powodu, by w tej sprawie przeprowadzać głosowanie.

- Konsulu - zawołał Gajusz - jeśli mamy napisać do cesarza, to jest jeszcze jedna sprawa, na którą chciałbym zwrócić jego uwagę.

- Życzenie śmierci cesarzowi jest rzeczywiście podstawą do poważnego oskarżenia - oznajmił Azjatyk, gdy odczytano oświadczenie Eutychesa. - Powinniśmy odesłać tego wyzwolenca cesarzowi, by osobiście mógł go przesłuchać. Czy wiesz, gdzie on się teraz znajduje, senatorze Pollonie?

- Wiem, konsulu. Szlachetna Antonia trzyma go w zamknięciu, bo próbował ją szantażować, ponieważ jej wnuk udzielił jedynie reprimendy Herodowi za jego słowa, zamiast donieść o zdradzie.

- Dobrze, poproszę ją, by zatrzymała go do czasu, aż prefekt miejski zorganizuje jego przeniesienie. A teraz powinniśmy zastanowić się, jak postąpić z Herodem.

Sabinus wstał i pomachał zwojem, który dała mu Antonia.

- Konsulu, mam pewne informacje, które dotyczą obu spraw, jakie omawialiśmy

dzisiejszego ranka.

- Udzielam ci zatem głosu.

- Z przyjemnością informuję, że szlachetna Antonia z własnej sakiewki kupiła partię zboża i przekazała nieodpłatnie do publicznych spichrzów, by pomóc w uzupełnianiu braków.

- Sabinus przerwał, dając senatorom możliwość wyrażenia swojej aprobaty i wdzięczności za ten akt altruizmu. - Kiedy zajmowałem się dokumentami dotyczącymi najświeższych dostaw ziarna, moją uwagę zwróciło to. - Dramatycznym gestem rozwinął zwój. - Jest to świadectwo własności zboża z Egiptu, wartego ponad ćwierć miliona denarów; stanowiło ono część ładunku egipskiej floty ze zbożem, która zatoniła podczas sztormu. To zboże trafiło jednak do Rzymu, przywiezione przez jeden z dwóch statków, które przetrwały tamten sztorm, a mimo to ja, jako edyl odpowiedzialny w tym roku za zboże, nie mogę go rozdzielić, bo nie jest własnością Rzymu; pozostaje w prywatnym magazynie w Ostii, przez cały czas nabierając wartości, bo ceny ziarna wciąż szybują. Ten dokument pokazuje, że z chwilą wyładowania ziarna w Ostii przechodzi ono na własność Gajusza Poppeusza Sabinusa jako zapłata za pożyczkę, której kiedyś udzielił Herodowi Agryppie.

Rewelacje te wywołały ryk wzburzonych słuchaczy.

Azjatyk przekrzykiwał tłum, kipiąc słusznym gniewem.

- Czy chcesz powiedzieć, że Herod Agryppa wykorzystuje bieżące kłopoty naszego miasta dla własnego zysku, żeby móc spłacić długi?

- Na to wygląda, konsulu.

- Pokaż mi to.

Sabinus przeszedł przez całą salę i wręczył zwój Azjatykowi.

Rzuciwszy okiem na dokument, konsul zwinął go i schował w zanadrzu togi.

- Dziękuję ci, senatorze Sabinusie. - Przesuwając wzrokiem po pełnych oczekiwania

twarzach, odnalazł twarz prefekta miasta. - Każ sprowadzić przed oblicze senatu Heroda Agryppę w łańcuchach - polecił.

CZĘŚĆ III

RZYM

MARZEC, 37 R.

Rozdział trzynasty

Ile czasu zajmie odbudowa? - spytał Wespazjan, kiedy przyglądali się, jak grupa robocza złożona z niewolników publicznych rozładowuje cegły przed szerniałymi od ognia gruzami domu Sabinusa na Awentynie.

Wszędzie wokół podobne grupy uwijały się wśród zgliszcz i rumowisk, przywracając do życia piękną kiedyś i kwitnącą dzielnicę na wzgórzu wznoszącym się nad Circus Maximus. Gęste chmury i ciągła mżawka podkreślały jeszcze tę ponurą atmosferę spustoszenia. Prawie wszystkie budynki zostały strawione w pożarze, jaki przetoczył się przez tę okolicę sześć miesięcy wcześniej, przydając cierpkiej nuty rocznej kadencji Sabinusa jako pretora. W rezultacie złożonego przez niego doniesienia na Heroda Agryppę przykuto żydowskiego króla do ściany w wilgotnej celi, Sabinus natomiast wygrał wybory - w których pokonał Korbulona, ku wielkiemu rozczarowaniu patrycjusza - i tym samym miał już objąć namiestnictwo prowincji senatorskiej.

- Z tego, co mówi nadzorca, powinno to potrwać około trzech miesięcy, ale ponieważ odbudowuje się niemal wszystkie domy na Awentynie, pewności mieć nie może. Zależec to będzie od dostępności materiałów budowlanych i niewolników, a także od tego, czy ty, jako edyl odpowiedzialny za drogi i ulice, dobrze wykonasz swoje obowiązki i utrzymasz ich stałą przejezdność. Tak czy owak, ponieważ szlaki wodne już się znowu otwierają, muszę za kilka dni wyruszyć do swojej prowincji, więc ty będziesz musiał za mnie dopilnować tych prac.

- Przynajmniej nie musisz się martwić o pieniądze, o to już cesarz zadbał.

Sabinus skrzywił się.

- Dwieście milionów sestercji może wydawać się ogromną sumą i nie można odmówić Tyberiuszowi hojności, ale i tak nie pokryje to kosztów budowy wszystkich domów na tym wzgórzu. Muszę gdzieś znaleźć dodatkowe fundusze, jeśli ten tutaj dom ma wyglądać jak wtedy, kiedy go zbudowano; Klementyna nie zgodzi się na nic skromniejszego. - Pokręcił z żalem głową. - Gdybym go nie kupił, a jedynie wynajął, nie byłby to mój problem.

Wespazjan zerknął na brata i doszedł do wniosku, że to nie najlepszy moment, by przypomnieć, że odradzał mu branie pożyczki od Petusa na kupno tego domu.

Sabinus zauważył jego spojrzenie.

- Pewnie chcesz powiedzieć: „A nie mówiłem?”. No cóż, smarkaczu, miałeś rację. Gdybym nie żył ponad stan, nie miałbym tych kłopotów. Od teraz żadnych pożyczek.

- Spłaciłeś ją już?

Sabinus wyglądał na zażenowanego.

- Nie, już wiele razy chciałem, ale ciągle coś wyskakuje, coś takiego jak kolejne dziecko albo to tutaj.

- Cóż, powinieneś to zrobić. Obiecałeś spłacić w ciągu dwóch lat.

- A ty dotrzymałeś obietnicy danej Petusowi, że będziesz miał oko na jego syna Lucjusza? - zrewanżował się Sabinus.

Z kolei Wespazjan miał zakłopotaną minę.

- Nie dotrzymałem. Muszę się nim bliżej zainteresować.

- Na pewno ma już siedemnaście lat, zaczyna karierę. Wygląda na to, że obaj mamy sobie coś do zarzucenia, bracie, jeśli chodzi o Petusa, więc przestań mnie pouczać. Oddam pieniądze, jak tylko je będę miał.

- A ja zajmę się młodym Lucjuszem. W każdym razie w ubiegłym roku jako pretor zarobiłeś trochę pieniędzy, a powinieneś wyciągnąć jeszcze więcej ze swojej prowincji. Bitynia jest bardzo zamożna; to nie najgorsze miejsce dla namiestnika.

- Ale i nie najlepsze. Jednak masz rację; w przyszłym roku o tej porze powinno mi być

już lepiej.

- Panie! Panie!

Bracia odwrócili się i zobaczyli Magnusa.

- Słyszeliście wieści? - spytał zdyszany Magnus, przepychając się obok dwóch niewolników dźwigających ciężką belkę. - W całym mieście aż huczy.

- No cóż, jeśli nie chodzi o to, że mój brat zdjął czasowo zakaz wjazdu za dnia do miasta wozów dostawczych z materiałami budowlanymi dla Awentynu - odparł Sabinus - to inne wieści nie dotarły do tej wypalonej dzielnicy.

- Twój szwagier Klemens godzinę temu przybył z Capri z wiadomością: Tyberiusz nie żyje.

- Nie żyje? Od kiedy? - spytał Wespazjan.

- Od wczoraj. Na wszystkich forach tłumy domagają się sprowadzenia ciała do Rzymu, żeby można je było wrzucić do Tybru.

- Wyzaczył Klaudiusza na swojego następcę?

- Testamentu jeszcze pewnie nie odczytano, ale podobno Kaligula ma na ręce pierścień cesarski i ogłosił się cesarzem. Wysłał Makrona, by przemówił do senatu i odczytał ostatnią wolę Tyberiusza; z tego, co mówi Klemens, Makron jest jakieś dwie godziny za nim.

Zaniepokojony Wespazjan spojrzał na brata.

- A niech to! Antonia nie będzie zadowolona; lepiej chodźmy do niej i zobaczymy, jakie ma plany.

- Niczego nie może zrobić. Jeśli Kaligula ma cesarski pierścień, a Makron daje mu poparcie gwardii pretoriańskiej, to jest cesarzem i koniec. Najlepsze, co w tej chwili możemy

zrobić, to zadbać sami o siebie, udać się do senatu, żeby się nie okazało, że jesteśmy jedynymi senatorami, którzy nie byli obecni, kiedy ogłaszano Kaligulę cesarzem.

Klemens stał u stóp schodów prowadzących do budynku senatu. Dziesiątki senatorów przybywały ze wszystkich stron, przepychając się przez rozszalały tłum, a każdy z nich, podobnie jak dwaj bracia Flawiusze, żywo zainteresowany tym, by jego lojalność została odnotowana przez nową władzę.

- Miałem nadzieję, że was tu spotkam - powiedział Klemens, wyciągając rękę do braci, a Magnusowi skinął głową, i pociągnął ich z dala od ciżby. Jego wąska ściągnięta twarz była jeszcze bledsza niż zwykle.

- Wyglądasz na zmartwionego, Klemensie - zauważył Sabinus.

- Oczywiście, że się martwię; każdy, kto ma choć odrobinę rozsądku, powinien się martwić. Bo przecież szaleniec ukradł cesarstwo.

- Co to znaczy „ukradł”?

- Kaligula zamordował Tyberiusza przy pomocy Makrona; udusili go, jestem tego pewien. Kiedy zobaczyłem ciało, krótko po tym jak wyszli z pokoju cesarza, żeby ogłosić jego śmierć, twarz była pozółkła, język opuchnięty i wywalony na zewnątrz. To prawda, że już i tak był na krawędzi śmierci, ale właśnie dopiero co zmienił testament.

- Na czym korzyść? Klaudiusza?

- A skąd mam wiedzieć? Jeszcze go nie odczytano. Mogę tylko powiedzieć, że Tyberiusz mnie wezwał i kazał posłać po sekretarza, żeby przyniósł mu jego testament. Kiedy dokonano zmian, sekretarz wyszedł z dokumentem, a Makron go pochwycił i razem z Kaligulą przeczytał. Potem weszli do sypialni Tyberiusza i zaraz potem wiadomo było, że Tyberiusz nie żyje, Kaligula ma jego pierścień, a germańska straż przyboczna okrzykuje go cesarzem. Sekretarz oskarżył Makrona i Kaligulę o morderstwo, więc pierwszym rozkazem Kaliguli jako cesarza było wyrwanie temu człowiekowi języka i ukrzyżowanie go.

Sabinus wzruszył ramionami.

- No więc Kaligula jest cesarzem; należało się tego spodziewać, skoro Tyberiusz pozwolił mu żyć, nieważne, co Antonia usiłowała w tej sprawie zrobić. Przynajmniej go poznaliśmy i możemy się na ten fakt powoływać, nawet jeśli to było jakiś czas temu. Dla nas może okazać się to dobrym rozwiązaniem; dla ciebie też, Klemensie... w końcu jesteś trybunem jego osobistej ochrony.

- Gdyby on był przy zdrowych zmysłach, to pewnie miałbyś rację, ale nie jest. Żaden z was nie widział go w ciągu ostatnich sześciu lat, a ja byłem z nim przez cały ten czas na tamtej szalonej wyspie. Patrzyłem, jak staje się równie rozwiązły jak Tyberiusz, tyle że z wytrzymałością, jakiej staremu człowiekowi już brakło. Jest nienasycony, nieważne, ile osób wychędożył czy kto wychędożył jego. Tyberiusz go jeszcze zachęcał... słyszałem, jak sobie żartował, że hoduje żmiję na piersi Rzymu... pokazując, jak nieograniczoną władzę można wykorzystać do nieskrępowanego zaspokajania swoich żądz, a Kaligula był dobrym uczniem. Jedna tylko rzecz ograniczała jego swobodę, a mianowicie świadomość, że cały czas jest niewolnikiem Tyberiusza, który pod wpływem kaprysu, czego Kaligula wcześniej był wiele razy świadkiem, może kazać go zabić; zatem nigdy nie było lepszego niewolnika od niego. Teraz, kiedy nie ma Tyberiusza, on jest panem i wierzcie mi, gorszego pana nie znajdziecie.

- Musimy więc się postarać, żeby ten pan nas nie zauważył - powiedział Wespazjan. Z tego, co wiedział o Kaliguli, Klemens mógł mieć rację.

- Na to jest już za późno; nie może się doczekać, by was zobaczyć. Miałem wam powiedzieć, że chociaż nie widział was sześć lat, to wciąż uważa was obu za swoich przyjaciół, a teraz, kiedy jest cesarzem i może wrócić do Rzymu, z niecierpliwością czeka na wspólną zabawę... jak to ujął... którą wam kiedyś obiecał.

- Po tym, czego sam byłem świadkiem, nie jestem przekonany, że podoba mi się jego pojęcie igraszek - zauważył Sabinus - bo wydaje się, że dotyczą uczestnictwa jego sióstr.

- Nie chodzi tylko o nie; bardziej mnie martwi, że on sobie wymyślił również uczestnictwo mojej siostry. Na wszelki wypadek odesłałem Julię, moją żonę, razem z dziećmi do posiadłości w Pizaurum. Od kilku miesięcy Kaligula mi opowiada, jak to nie może znieść

myśli, że ktoś tak piękny jak Klementyna jest pozbawiony szansy sprawdzenia jego wyjątkowej męskości. Przecież jestem jej bratem!

Sabinus wyglądał na bardzo przejętego tym, co usłyszał.

- Najlepiej zrobię, zabierając ją i dzieci z Rzymu. Jutro wczesnym rankiem, zanim jeszcze przybędzie Kaligula, wyruszymy do Bitynii.

- Idź stąd już teraz, przyjacielu. Jeśli wejdiesz do sali senatu, twoja obecność zostanie odnotowana i Kaligula dowie się, że nie czekałeś, by go powitać. Powiem mu, że wyjechałeś kilka dni temu, zanim usłyszałeś te wieści. Teraz, kiedy port w Brundyzjum ponownie otwarto, jest szansa, że w to uwierzy.

- To bardzo ładnie z twojej strony - powiedział Sabinus, ściskając ramię szwagra.

- Trzymaj się z dala od Rzymu najdłużej, jak zdołasz, wywołaj tam jakąś wojnę albo coś takiego. Wierz mi, Kaligula będzie tylko coraz gorszy.

- Wierzę. - Sabinus zwrócił się do Wespazjana. - Jeśli nie zastanę wuja Gajusza w domu, pożegnaj go ode mnie i podziękuj mu za gościnę, jakiej nam udzielał przez ostatnie sześć miesięcy, od czasu pożaru.

- Zrobię to i prześlę ci wszystko, czego będziesz potrzebował, Sabinusie - rzekł Wespazjan. - Idź już.

- Czterech moich chłopców odprowadzi was do Brundyzjum - zaoferował się Magnus - za godzinę się zjawią.

- Dziękuję, Magnusie, i tobie też, bracie - rzucił jeszcze Sabinus na odchodnym - i powodzenia w kontaktach z naszym przyjacielem.

- Poradzę sobie - zawołał Wespazjan do oddalającego się brata.

- Poradzisz sobie - zgodził się Klemens - jeśli będziesz dymał Kaligulę na jego

polecenie, tak jak ja muszę. Czasem mnie to kompletnie wykańcza.

- Co takiego? Ty, Klemensie? Zartujesz.

- Niestety nie i wierz mi, że jest to jeden z najmniej nieprzyjemnych obowiązków, jakie muszę wykonywać. Twój problem polega jednak na tym, że Klementyna nie jest jedyną kobietą, którą Kaligula postanowił zaciągnąć do łóża. Jestem przekonany, że teraz, kiedy jest cesarzem, nie będzie już zwracał uwagi na zakaz Antonii dotyczący Cenis.

Tłum na Forum Romanum wrzaskliwie świętował śmierć zniechwalonego cesarza i przejście władzy przez niosącego nadzieję Kaligulę. Natomiast w wypełnionej po brzegi sali senatu panowała prawie całkowita cisza, kiedy pojawił się tam Kwintus Newiusz Kordus Sutoriusz Makron w stroju wojskowym, ze zwojem w futerale w ręku. Otaczało go, co było oburzające, czterech uzbrojonych pretorianów, również w strojach wojskowych, a nie w zwyczajowych togach, które nosili, pełniąc obowiązki wewnątrz murów miasta. Wyraz twarzy większości senatorów odzwierciedlał to, co musieli czuć na widok takiego otwartego pokazu pretoriańskiej władzy nad coraz słabszym senatem.

- Daje do zrozumienia, że tym razem to gwardia pretoriańska wybrała cesarza - szepnęła Gajusz do Wespazjana, przy akompaniamencie mamrotania swoich niezadowolonych kolegów - a my musimy to zatwierdzić albo powstrzymać ich miecze.

Gnejusz Acerroniusz Prokulus, starszy konsul, nie ruszył się ze swojego krzesła kurulnego, kiedy niewielka grupa zbliżała się ku środkowi sali z chrzęstem żelaza.

- Senat wzywa Kwintusa Newiusza Kordusa Sutoriusza Makrona do złożenia sprawozdania dotyczącego zdrowia naszego umiłowanego cesarza Tyberiusza. Czy pogłoski są prawdziwe? - zawołał Prokulus, przejmując inicjatywę i próbując zachować autorytet senatu.

- Oczywiście, że to prawda, o czym dobrze wiesz, konsulu - warknął Makron - a ja jestem tutaj, żeby powiedzieć...

- Patres conscripti - przerwał mu Prokulus - prefekt pretorianów przynosi nam bardzo

smutne wieści, a mianowicie potwierdzenie, że nasz cesarz nie żyje. - Konsul zaczął teatralnie zawodzić.

Cały senat poszedł za jego przykładem; jęki rozpaczy i żalu wypełniły salę, udaremniając starania Makrona, by przemówić. Wreszcie, upokorzony, musiał czekać bezsilnie, aż dopuszczą go do głosu.

Wespazjan i Gajusz dołączyli do ogólnego lamentu, całym sercem ciesząc się z miny Makrona.

- Nie mam pojęcia, czy było to mądre posunięcie - krzyknął Wespazjan w ucho Gajusza - ale wykonano je dobrze i na pewno było bardzo zabawne.

- Tak jak zabawne jest drażnienie lwa - odparł Gajusz. - Jeśli jednak chodziło mu o to, by wyszarpać choć odrobinę władzy pretorianom i dodać autorytetu senatowi, to na pewno był to niezły początek.

Kiedy senatorowie wciąż głośno wyrażali swój ból, wzrok Wespazjana napotkał spojrzenie ciemnych oczu. Uświadomił sobie, że Korwinus wrócił do Rzymu i zajął należne mu miejsce w senacie.

- Proponuję zaczynający się od tej chwili dziesięciodniowy okres żałoby - zawołał w końcu Prokulus ponad gwarem. - Zawieszono zostaną wszystkie procesy, nie będą wykonywane wydane już wyroki, a wszelka publiczna działalność, włącznie z działalnością senatu, ustanie. Po okresie żałoby zatwierdzimy testament Tyberiusza i przyznamy Gajuszowi Cezarowi Germanikowi wszystkie zaszczyty należne jego stanowisku. Teraz senat będzie głosował.

- Teraz senat wysłucha mnie! - ryknął Makron.

- Senat będzie głosował, prefekcie. Nie chcesz chyba, by mówiono, że nie dopuściłeś do głosowania nad stosownym okresem żałoby po cesarzu, prawda?

- Mam gdzieś okres żałoby, konsulu. Teraz mnie wysłuchacie. Cesarz Gajusz przysłał

mnie, bym przekazał wam testament Tyberiusza i kazał go unieważnić.

Prokulus patrzył na niego z niepewną miną.

- Ale przecież chyba testament wyznacza go na następcę Tyberiusza?

- Wspólnastępcę, obok Tyberiusza Gemellusa. Nie można tego tak zostawić, bo to gotowy przepis na wojnę domową.

- Na jakiej podstawie możemy zmienić testament cesarza?

- Na takiej, że cesarz nie był w pełni władz umysłowych, kiedy go sporządzał. A jeśli to ci nie wystarczy, to posłuchaj sobie tego. - Makron machnął ręką w stronę drzwi, zza których dobiegała coraz głośniejsza wrzawa. - Oto głos ludu, domagającego się, by rządził nimi jeden mężczyzna, a nie mężczyzna i chłopiec. Moi pretorianie krążyli wśród tłumu, informując o warunkach testamentu, i ludziom się to nie spodobało; gwarantuję ci, że żaden z was nie wydobędzie się stąd żywy, jeśli go nie zmienicie. I sugeruję, byście przy okazji przyznali cesarzowi wszystkie tytuły i zaszczyty, jakie według was mogą go ucieszyć; a potem możecie już sobie głosować nad każdą gównianą rzeczą, jaka wam przyjdzie do głowy.

- Makron rzucił starszemu konsulowi futerał ze zwojem, wykonał zwrot i razem ze swoją eskortą wymaszerował z sali.

Prokulus oklapł; jego próba, by umocnić autorytet senatu jako legalnej władzy w Rzymie, skończyła się żałośnie. Wiedział, że żaden z kolegów nie narazi się na gniew motłochu. Wstał ciężko z krzesła.

- Stawiam wniosek - powiedział - by senat unieważnił testament Tyberiusza i uznał Gajusza Cezara Germanika za jego jedyne następcę i tym samym jedyne cesarza.

Łzy spływały po twarzy Kaliguli, kiedy mówił wysokim, wzruszonym, przepełnionym żalem głosem.

- W swojej skromności odmówił przyjęcia tytułu „Ojciec Ojczyzny”, nie zgodził się, żeby czczono go jako boga, ponieważ jego służba była bezinteresowna. Wystarczyło mu, że

lud nagrodził go miłością za sprawiedliwe i łagodne rządy.

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście mówi o Tyberiuszu - powiedział półgębkiem Gajusz do Wespazjana.

- Jeśli tak, jest to przynajmniej jakaś miła odmiana - odparł Wespazjan - bo dotąd jeszcze o nim nie wspomniał.

Stali już prawie dwie godziny, podczas których Kaligula słał swojego ojca Germanika, a także swojego ciotecznego pradziadka Augusta, tym samym przypominając ludowi Rzymu o swoim pochodzeniu i umacniając ich w przekonaniu do jego praw jako cesarza. Wydawało się, że wreszcie dotarł do osoby, którą miał opiewać, chociaż sądząc po wyrazie twarzy innych senatorów, stojących wraz z nimi na schodach teatru Pompejusza na Polu Marsowym, Wespazjan widział, że nie tylko jego wuj miał problem ze skojarzeniem słów nowego cesarza z charakterem jego poprzednika.

Stojąc na podium, Kaligula, otoczony przez aktorów w maskach pośmiertnych przodków Tyberiusza, kontynuował swój pean. Obok podwyższenia znajdował się stos pogrzebowy, na którym ustawiono mary z ciałem przemyconym do miasta pod osłoną nocy, po części, by chronić je przed wzburzoną tłuszcą, głównie jednak, by nic nie odwróciło uwagi ludzi od najważniejszego politycznego celu tego dnia, a mianowicie zaakceptowania przez obywateli Rzymu Kaliguli jako ich cesarza.

Pole Marsowe zatłoczone było ludźmi, którzy nie przyszli tu, by wysłuchiwać oczywistych bredni wygłaszanych przez Kaligulę, ale żeby zobaczyć olśniewającego młodego cesarza odzianego w haftowaną złotem purpurę i ukoronowanego wieńcem z połączonych wawrzynów. Kiedy wcześniej tego dnia przybył do miasta, obwoływali go swoim zbawcą i wykrzykiwali serdeczne słowa powitania, nazywając swoją gwiazdą, swoim ulubieńcem i ukochanym synem wielkiego Germanika, człowiekiem, który pojawił się, by zapoczątkować nowy złoty wiek Rzymu. To określenie dzwoniło Wespazjanowi w uszach, kiedy patrzył z narastającym przerażeniem, przemieszanym ze słabą jedynie nadzieją, że być może to schlebianie stanie się dla Kaliguli bodźcem do rządów rozsądnych i wstrzemięźliwych i do ukrycia swoich słabości, a do publicznego okazywania sympatycznej strony swojej natury.

Po dłuższej chwili nieznośnej paplaniny o Tyberiuszowych cnotach, o jego umiarkowaniu i poczuciu sprawiedliwości - z krótką zgodną z rzeczywistością wzmianką, kiedy chwalił go za erudycję - Kaligula dotarł wreszcie do zakończenia w formie skierowanej do bogów modlitwy dziękczynnej za obdarzenie Tyberiusza długowiecznością oraz wyraził żal - niepodzielany przez nikogo w tym ogromnym tłumie - że musiał nadejść czas na spotkanie cesarza z Przewoźnikiem. Kiedy ostatnie słowo wybrzmiało, zapalono stos pogrzebowy, a zawodowi żałobnicy podjęli od nowa zawodzenie i darcie szat z gorliwością, która rozbawiła tłum ludzi zaledwie kilka dni wcześniej wrzeszczących, by ciało znienawidzonego cesarza bez żadnych ceremonii wrzucono do Tybru.

Płomienie szybko pochłonęły suche, oblane oliwą drewno, śląc w górę dym i powodując drganie rześkiego wczesnowiosennego powietrza. Kapłani i augurowie szukali wzrokiem znaków na niebie w nadziei, że wypatrzą orła, który zrobi coś obiecującego, co będą mogli, po starannej konsultacji z młodym cesarzem, zinterpretować w sposób najbardziej sprzyjający przejęciu przez niego władzy. Niebo jednak było puste, a sami nie mogli nic sprokurować, bo wydarzenia obserwowane były przez ogromny tłum ludzi, tak jak i oni wypatrujących znaków.

Kiedy mary się zapaliły i ciało zaczęło skwierczeć, Kaligula zszedł z podwyższenia i w otoczeniu konsulów i pretorów, poprzedzany przez dwunastu liktorów, ruszył w stronę teatru Pompejusza, wprost przez tłum, który teraz wykrzykiwał na cześć swojego nowego bohatera z entuzjazmem podsycanym unicestwieniem ciała starego cesarza. Kaligula płaścił się w ich uwielbieniu, rozdawał szczerze pieniądze oraz bilety na igrzyska, które miały się odbyć po zakończeniu okresu żałoby.

- Lepiej już tam wejdźmy - mruknął Gajusz, odwracając się, by za innymi senatorami wejść do wnętrza teatru i poczekać, aż nowy cesarz do nich przemówi.

- Jeśli zaś chodzi o tytuły i zaszczyty, jakie mi przyznaliście, przyjmę je wszystkie z wyjątkiem „Ojca Ojczyzny”, ten możecie mi nadać w późniejszym czasie. Odłożę też do czerwca przyjęcie stanowiska starszego konsula. Przyznacie natomiast mojej babce Antonii tytuł „Augusta”, a moim trzem siostronom przywileje należne kapłankom bogini Westy.

Senatorowie, już zachrypnięci od wiewatów, kiedy Kaligula wchodził do teatru,

kolejnymi wyrażającymi uznanie okrzykami powitali i te polecenia.

- Myślisz, wuju, że to ostatnie miało być w zamierzeniu ironiczne? - rzucił półgębkiem Wespazjan.

Gajusz przezornie powstrzymał uśmiech.

Podczas gdy Kaligula kontynuował mowę, Wespazjan ukradkiem przyglądał się senatorom. Większość miała na twarzach wyraz posępnej akceptacji, kiedy słuchali żądań swojego nowego cesarza, nie mogąc uznać żadnego za niestosowne. Kiedy jego wzrok dotarł do końca rzędu, znowu napotkał wpatrzony w siebie ciemne oczy i poczuł płonącą w nich nienawiść.

- I wreszcie - oświadczył Kaligula, kończąc mowę - unieważnię wszystkie procesy o zdradę; jest bowiem czymś niewyobrażalnym, by ktoś nosił się ze zdradziecką myślą przeciwko swojemu cesarzowi, tak ukochanemu przez lud. W tym celu spalę wszystkie papiery zawierające dowody przeciwko członkom tego zgromadzenia, jakie zebrał Tyberiusz. Uczynię tak, by niezależnie od tego, jaką mogę żywić urazę wobec tych, którzy głosowali za śmiercią mojej matki i moich braci, nie móc ich ukarać za pośrednictwem sądów.

Te słowa wywołały najgłośniejsze owacje; wielu senatorów poczuło ulgę, że wybaczone im tamta zмова, kiedy to swoim oportunistycznym potępieniem członków rodziny Germanika wkradali się w łaski Tyberiusza i Sejana, z których każdy, dla własnych celów, dążył do zniszczenia rodziny Kaliguli.

Kaligula pozwolił, by dłuższą chwilę oklaskiwano jego wielkoduszność, po czym dał znak, by się uciszyli, i mówił dalej.

- Skoro jednak pozbawiliście mnie brata, z którym mógłbym dzielić konsulat w czerwcu, będę musiał poszukać współkonsula gdzie indziej, a najbardziej odpowiednią osobą, jaka przychodzi mi na myśl, jest mój stryj Klaudiusz.

Zapanowała głęboka cisza. Myśl o jękającym się i śliniącym Klaudiuszu, który miałby przewodniczyć tym wszystkim pradawnym ceremoniom, wydała się senatorom czymś

okropnym.

- Rozumiem waszą konsternację, patres conscripti - oświadczył współczującym tonem Kaligula, nie kryjąc rozbawienia. - Klaudiusz jest zaledwie ekwitą i nie jest członkiem senatu.
- Wzrok mu nagle stwardniał. - Zatem bezzwłocznie go nim uczynię. Konsulowie, pretorowie, edylowie i kwestorzy mogą mieć przywilej towarzyszenia mi do domu Augusta, w którym zamieszkam. To wszystko. - Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem ku wyjściu, a za nim rzucili się, zapominając o swojej godności, wysocy urzędnicy.

Spojrzenie podkrążonych, zapadniętych oczu młodego cesarza padło na Wespazjana, który czekał, by dołączyć do orszaku. Kaligula uśmiechnął się promiennie, gestem przywołując senatora do siebie.

- Przyjacielu - powiedział Kaligula - nie mogłem się doczekać, kiedy cię zobaczę; ale będziemy mieć teraz zabawę.

- Jestem zaszczycony, Princeps - odparł Wespazjan, czując na sobie pełne dezaprobaty spojrzenia starszych od siebie rangą urzędników.

- Pewnie rzeczywiście jesteście. Będę musiał się przyzwyczaić do tego, że moja łaskawość jest zaszczytem dla moich przyjaciół.

Wespazjan nie widział Kaliguli z bliska niemal sześć lat i dlatego zaskoczył go widok przeredzonych cienkich włosów na czubku jego głowy; czuł, jak to miejsce przyciąga jego wzrok. Kaligula zauważył jego spojrzenie i w jednej chwili radosny wyraz jego twarzy zniknął bez śladu.

- Po raz ostatni gapisz się na moje gęste włosy - ostrzegł go zimnym głosem. Po chwili ciepły uśmiech rozjaśnił jego oczy. - Zjesz dzisiaj ze mną wieczerzę. Zaprosiłem babkę; pomożesz mi sobie z nią poradzić. Na pewno będzie próbowała udzielać mi rad i mówić, co mam robić. Uważam, że byłoby to z jej strony bardzo niemądre; zgadzasz się?

- Skoro tak uważasz, to zgadzam się z tobą, pryncepsie - odparł ostrożnie Wespazjan.

- Och, dajże spokój z tym pryncpsem w kontaktach prywatnych, Wespazjanie, przecież jesteśmy przyjaciółmi. A teraz odprowadź mnie na Palatyn i opowiedz o uroczej Cenis.

Wespazjan przełknął ślinę.

- Przeszło pięćset milionów denarów, uwierzysz? - wykrzyknął Kaligula, kiedy dotarł wraz z ciągnącym za nim orszakiem urzędników na szczyt Palatynu, pozostawiając na dole wiwatujące tłumy. - Leży tam sobie w skarbcu, całkiem bezużytecznie. Ten stary skąpiec po prostu na nich siedział.

- Zawsze dobrze jest mieć jakieś rezerwy - zauważył Wespazjan, wciąż jeszcze odczuwając ogromną ulgę, że Kaligula nie potrafi na niczym dłużej się skupić i już po kilku urywanych zdaniach znudził się rozmową o Cenis. - Dzięki temu mógł, na przykład, przekazać aż tyle pieniędzy na odbudowę Awentynu.

Kaligula zmarszczył brwi.

- Tak, to okropne marnotrawstwo dawać je ludziom, których stać na to, by mieć spalone domy; nie przejmuj się, znajdę sposób, żeby wydostać od nich te pieniądze. Ale tylko sobie pomyśl, co mógłbym zrobić z całą resztą. Będziemy mieć codziennie igrzyska, a ja będę budował, Wespazjanie, będę budował. - Wskazał wspaniały dom Augusta, dokąd właśnie zmierzali, i stojący obok dom Tyberiusza. - Te dwie skromne siedziby zamienię w jeden ogromny pałac, godny cesarza i jego sióstr, a wypełnię go najlepszymi meblami, dziełami sztuki i niewolnikami z całego imperium. I jeszcze podboje, Wespazjanie, dokonam wspaniałych podbojów i odbędę triumfy, jakich nikt nigdy nie widział. Senat będzie zawistny o moją władzę i chwałę, będzie sarkać i spiskować za moimi plecami, schlebiając mi przyznawaniem tytułów, a ja będę sobie z nich kpił i upokarzał ich za tę służalczość. Będą mnie nienawidzić, tak jak nienawidzili Tyberiusza, ale ja, w przeciwieństwie do niego, zapelnę miasto łupami z setki podbitych krajów i wypełnię cyrk tysiącami jeńców, którzy zostaną wyróżnieni dla rozrywki ludu. I ten lud będzie mnie za to kochać i zapewni mi bezpieczeństwo.

Wespazjan zerknął na Kaligulę, kiedy wspinali się po stopniach do domu Augusta, i

zobaczył, że oczy cesarza płoną entuzjazmem i ambicją. Oznaczało to, że dla Rzymu nadchodzą kosztowne czasy. Ciekawe, co zrobi, zastanawiał się Wespazjan, kiedy zabraknie pieniędzy.

- Panowie, dziękuję, że towarzyszyliście mi w drodze do domu - powiedział Kaligula, zwracając się ze szczytu schodów do orszaku. - Teraz odpocznię i zbiorę siły na pokonywanie czekających mnie wyzwań. Możecie odejść.

Senatorowie prześcigali się w okrzykach na cześć cesarza, a Kaligula podniósł prawą dłoń z błyszczącym jaśniej od słońca cesarskim pierścieniem na palcu wskazującym i odchylił do tyłu głowę, chłonąc pochwały. Wespazjan dołączył do pozostałych, starając się okazać tyle samo entuzjazmu co oni, czynił to jednak z niemiłym uczuciem, widząc, jak Kaligula rozkoszuje się pochlebstwami, którym najwyraźniej nie miał ochoty położyć kresu. Czy już teraz drwił sobie z najważniejszych ludzi Rzymu, sprawdzając, jak długo są w stanie głośić jego pochwały? Wreszcie opuścił ramię, obrócił się na pięcie i wszedł do domu. Wespazjan stał, jakby mu nogi wrosły w ziemię, patrząc za znikającym Kaligulą. Nie wiedział, czy on też został odesłany, czy wciąż oczekuje się jego obecności na kolacji.

Miał już się oddalić, kiedy Kaligula wystawił głowę zza drzwi.

- No chodźże! - zawołał ze złością. - Jesteś moim przyjacielem, zostajesz przy mnie.

Wespazjan pobiegł ku wejściu, zastanawiając się, jaką korzyść, jeśli w ogóle, może nieść ze sobą fakt, że jest się przyjacielem cesarza.

Rozdział czternasty

Rozmiary wnętrza domu Augusta oszołomiły Wespazjana. Cały jego rodzinny dom w Aquae Cutillae zmieściłby się w samym atrium. O wiele większy od domów Antonii czy jej córki Liwilli, dwóch największych rezydencji, jakie odwiedził na Palatynie, został wybudowany, by onieśmielić odwiedzających go dygnitarzy potęgą człowieka, który został pierwszym wśród równych rzymskiej warstwy rządzącej. Nie było w nim jednak ani trochę ostentacji; stanowił architektoniczne studium władzy, a nie pretekst do zademonstrowania zamożności. Kolumny podtrzymujące strop atrium wykonano z najpiękniejszego białego marmuru, a skomplikowana mozaika posadzki ukazywała pięknie oddane sceny z Eneidy, w których postaci przedstawiono tak realistycznie, że wyglądały niemal jak żywe. Meble, ozdoby i posągi nie były okazałe; każdy obiekt z osobna był dziełem sztuki, choć nie krzykliwym czy prowokującym, a o ich wartości świadczyło wykonanie, a nie pozłota czy ozdoba ze szlachetnych kamieni albo cennych tkanin. Wszystko to było świadectwem smaku i politycznej przenikliwości człowieka, który tę siedzibę wybudował. Nie spustoszył skarbcza, by pławić się w wyzywającym luksusie w stylu wschodnim, podczas gdy duża część jego poddanych z trudem wiązała koniec z końcem; zbudował ten dom, by dać do zrozumienia tym, którzy go odwiedzali, że należy szukać z Rzymem przyjaźni i liczyć się z połączoną siłą wszystkich obywateli Rzymu. Wybudował go na obraz i podobieństwo Rzymu: był praktyczny, mocny, górował nad otoczeniem, a przede wszystkim był bezpretensjonalny.

- Żałosny, prawda? - poskarżył się Kaligula, kiedy Wespazjan się z nim zrównał. - August nie miał pojęcia, jak pokazać swoje bogactwo; dokonam tu mnóstwa zmian, żeby ożywić to miejsce.

- Uważam, że jest piękne, Kaligulo, niczego bym tu nie zmieniał.

- A co ty tam możesz wiedzieć o pięknie - rzucił drwiąco Kaligula - ty, chłopak ze wsi, z tym swoim sabińskim akcentem? Zresztą i tak nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia. Ja jestem cesarzem, a ty tylko moim poddanym.

- W istocie, pryncepsie.

- Gajuszu, mój najdroższy - odezwała się Antonia, wylaniając się z drugiej strony ogromnego atrium - czekałam na ciebie. Chodź tutaj, niech popatrzę na mojego nowego cesarza, którego nie widziałam od sześciu lat.

Kaligula stanął jak wryty.

- To ty podejdź tutaj, babko. Nie wykonuję już niczyich poleceń, nawet twoich.

Antonia zbliżyła się z przyklejonym do twarzy uśmiechem i stanęła przed wnukiem, po czym ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała w górę, w jego zapadnięte oczy.

- Chwała ci, Junono, dobrze wyglądasz. Długo modliłam się o tę chwilę i wreszcie nadeszła; mój mały Gajusz cesarzem.

- Wynagrodzę cię za twoje modlitwy, babko, choć prawdę mówiąc, mogłaś je sobie darować, bo takie było moje przeznaczenie. Już rozkazałem senatowi, by przyznał ci tytuł „Augusta”.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny. - Sięgnęła do jego głowy, by zmierzić mu włosy, jak miała zwyczaj robić, kiedy był dzieckiem pod jej opieką, ale zauważywszy, jak bardzo są przerzedzone, natychmiast cofnęła rękę.

- To od tego twojego ciągłego targania - warknął Kaligula. - Uważaj, kobieto, to, że w jednym momencie obdarzam cię jakimś zaszczytem, nie znaczy, że w następnym nie zażądam twojej śmierci. Teraz mogę traktować ludzi, jak tylko zechcę. - Oddalił się energicznym krokiem, pozostawiając Antonię, która spoglądała z niepokojem na Wespazjana.

- Jest gorzej, niż się obawiałam - powiedziała cicho - on nam wszystkim zgotuje śmierć.

Kaligula zanosił się niekontrolowanym, piskliwym śmiechem.

- Czyż nie są fantastyczni? - udało mu się w końcu wykrztusić. - Kazałem ich sobie

przysłać z Aleksandrii cztery lata temu, kosztowali mnie fortunę, ale warci są każdego zapłaconego denara.

Wespazjan przyglądał się uprzejmie wygibasom grupy nagich karłowatych akrobatów obojga płci, którzy, jak miał nadzieję, kończyli wreszcie swój występ. Szesnastu mężczyzn utworzyło piramidę, na pięciu karłów wysoką, na którą wspinały się cztery karlice, wykorzystując jako podpory dla stóp i uchwyty dla rąk znajdujące się w stanie erekcji penisy swoich towarzyszy, a wszystko to przy akompaniamencie szaleńczego walenia w bębny i zawodzenia pół tuzina toczących dziko wytrzeszczonymi oczyma perkusistek, niewiele większych od własnych instrumentów.

- Tyberiusz za nimi przepadał - entuzjazmował się Kaligula - szczególnie kiedy ogarniała ich chuć. Bo oni czasami po prostu nie potrafią się powstrzymać.

- Wyobrażam sobie - oświadczył Wespazjan z taką dozą entuzjazmu, na jaką mógł się zdobyć, mając nadzieję, że tego wieczoru występujący potrafią się jednak opanować. Tymczasem, jeśli miał sądzić po uwadze, z jaką kobiety traktowały każdy kolejny uchwyt, spodziewał się, że spotka go rozczarowanie, tak jak przez cały ten wieczór rozczarowaniem było dla niego zachowanie Kaliguli wobec Antonii. Cesarz nie zmarnował żadnej okazji, by jej zaprzeczyć czy się przeciwstawić, i było oczywiste, że robi to złośliwie, a nie dlatego, że się z nią nie zgadza. Antonia znosiła impertynencje z pozorną obojętnością, nawet wtedy, kiedy mu poradziła, by trzymał się z dala od sióstr, a on kazał jej słuchać, jak ze szczegółami opowiada, co zamierza zrobić z każdą z nich, kiedy wrócą do Rzymu. Wespazjan próbował jakoś lawirować pomiędzy nimi tak, by nie zirytować upojonego władzą cesarza, a zarazem w oczach Antonii nie wydać się zbyt pochlebny wobec niego, ale był to nadmiar ostrożności; kilka współczujących spojrzeń Antonii, rzuconych w jego stronę, kiedy uwaga Kaliguli skierowana była gdzie indziej, powiedziało mu, że ona doskonale rozumie jego kłopotliwą sytuację.

Wybuchy niefrasobliwej wesołości Kaliguli, wywoływane trwającym już pół godziny występem karłów, budziły u obojga uczucie zażenowania, tym bardziej że cesarza najwyraźniej cieszył niesmak malujący się na twarzy Antonii.

- Gajuszu, nie jestem pewna, czy jest to stosowna wieczorna rozrywka - zauważyła

Antonia, nie mogąc się dłużej powstrzymać od komentarza. Obierała jabłko, umyślnie ignorując powolną wspinaczkę akrobatek.

- O, dajże spokój, babko, to tylko trochę zabawy. Bardzo niewinnej w porównaniu z tym, co Tyberiusz miewał na Capri.

- To nie jest Capri, drogi Gajuszu, to Rzym i pewnych norm należy przestrzegać.

- Jakich norm? Patrycjuszy? Masz na myśli gustowanie w spoconych i skrwawionych po walkach pięściarzach, z którymi, jak już goście sobie pójdą, możesz się ostro zabawić? Takie są twoje normy i ja ich nie osądzam, skoro to właśnie lubisz. Podobają mi się moje karły, bo mnie rozśmieszają, i radzę ci powstrzymać się od krytyki, bo ja przynajmniej szczerze o tym mówię. Prawdę mówiąc, jestem prawdopodobnie jedynym szczerym człowiekiem pośród dobrze urodzonych w tym przesiąkniętym hipokryzją mieście o Janusowym podwójnym obliczu.

Antonia odłożyła na talerz obrane do połowy jabłko i wstała. Roztrząsanie jej upodobań w obecności Wespazjana było nie do zniesienia.

- Nie krytykuję cię, Gajuszu, po prostu wolę tej rozrywki z tobą nie dzielić. Jestem zmęczona, co całkiem naturalne w wypadku starej i rozczarowanej kobiety, zatem powiem wam obu dobranoc. To był interesujący wieczór, dziękuję. - Oddaliła się energicznym krokiem, nie oglądając się za siebie.

- Każę Wespazjanowi posłać jego człowieka, Magnusa, żeby cię rozweselił, babko - zawołał Kaligula, kiedy wychodziła z triklinium. Z triumfalnym śmiechem odwrócił się do Wespazjana, który starał się nie okazywać wstrząsu i zaniepokojenia, jakie odczuwał, będąc świadkiem najgorszej drwiny wieczoru, skierowanej przeciwko jego dobrodziejce. - Sądzę, że pokazałem wyraźnie, gdzie jest jej miejsce w stosunkach ze mną, nie uważasz?

- Wyjątkowo sprawnie sobie z nią poradziłeś - odparł Wespazjan, który teraz, kiedy nie ograniczała go już obecność Antonii, wybrał czystej wody pochlebstwo i nienawidził się za to. - I masz rację, jesteś jedynym szczerym człowiekiem w Rzymie.

Kaligula uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

- Bo jestem jedynym, który może sobie na to pozwolić. Senatorowie od dawna żyją w złudnym przekonaniu, że działają zgodnie z ideą Augusta i dzielą władzę z pryncypsem, a tymczasem w rzeczywistości proponowali i przegłosowali to, co uznawali najpierw za jego, a potem za Tyberiusza wolę, w nadziei zyskania ich łaskawości. Całkowicie zapomnieli, czym jest szczerść. Równie dobrze w kurii mogłoby siedzieć stado owiec. Cóż, ja zamierzam nauczyć te owce szczerści.

Wespazjan miał ochotę szczerze odpowiedzieć cesarzowi, ale się rozmyślił.

- Jestem pewien, że okażesz się świetnym nauczycielem - oświadczył.

- Masz rację, stary przyjacielu, będę nim - potwierdził Kaligula, ponownie kierując uwagę na piramidę karłów, gdzie wspinająca się jako pierwsza karlica dosłownie nadziała się na sam szczyt, podczas gdy jej towarzyszki energicznie zajmowały się uchwytami.

- Pryncypsie, chciałbym cię o coś prosić - powiedział Wespazjan, mając nadzieję, że zbliżający się punkt kulminacyjny, w wielorakim znaczeniu tego wyrażenia, ulubionego aktu Kaliguli wprowadzi go w nastrój sprzyjający spełnianiu próśb.

- Mów, Wespazjanie, mój przyjacielu.

- Mam pewną rodzinną sprawę do załatwienia w Egipcie. Czy dałbyś mi pozwolenie, żebym mógł się tam udać?

- I stracił towarzysza na cztery czy pięć miesięcy? Co ja bym bez ciebie robił? Niech ktoś cię zastąpi, byle nie jakiś senator, bo to wciąż niebezpieczne. Najwyraźniej Feniks się odrodził, ale jeszcze nie odleciał na wschód.

- Muszę się udać tam osobiście, zresztą i tak teraz nie mogę, bo moja kadencja kończy się dopiero z końcem tego roku - wyjaśnił Wespazjan, zastanawiając się, co może mieć wspólnego odlatujący na wschód Feniks z bezpieczną podróżą senatorów do Egiptu.

- Cóż, zobaczymy, może do tego czasu znudzi mi się twoje towarzystwo, a Feniks już odleci. Kallistosie! - Wbiegł niewysoki i żylasty zarządca, którego Wespazjan pamiętał ze swojej pierwszej wizyty w Mizenum. - Gdy moje karły skończą, wezwij Klemensa i przynieś nam kilka brudnych tunik i płaszczy z kapturami. - Kaligula odwrócił się, żeby obejrzyć nieuchronny, dość niechlujny finał występu. - Chcę się udać do miasta, popić i połajdaczyć się. Moglibyśmy wziąć Magnusa, żeby pokazał nam co ciekawsze miejsca; chcę usłyszeć, co zwykli ludzie, szczerzy ludzie o mnie mówią.

- To nie będzie najlepsze z tych, co tu piłeś, Magnusie - powiedział zażywny oberżysta, stawiając na brudnym, poplamionym stole pełen dzban wina - ale nie będzie też najgorsze.

- Jestem pewien, że nie będzie odbiegać od twojego zwykłego zatruwacza bebechów, Balbusie - odparł Magnus z uśmiechem, napełniając poszczerbione kubki swoich trzech towarzyszy.

- Kim są twoi kompani? Chyba ich jeszcze tu nie widziałem; nie żebym mógł dostrzec ich twarze.

- Wspólnicy spoza miasta, którzy przyjechali zobaczyć nowego cesarza.

Balbus cmoknął się w kciuk.

- Niech Jowisz strzeże naszą świecą gwiazdę, bo jest nową nadzieją Rzymu. Widziałem go dzisiaj i wyglądał jak młody bóg.

- Bo może nim jest - zasugerował Kaligula, odzywając się spod kaptura.

- Może nim być, August przecież był... jest. No cóż, witam was, chłopcy, ale dobrze byłoby, żebyście opuścili kaptury, jeśli wam to nie przeszkadza.

Wespazjan i Klemens odsłoniли głowy, ale Kaligula nie zamierzał tego zrobić; zamiast tego wyjął złoty aureus i podał Balbusowi.

- To powinno starczyć na wino i kobiety - oświadczył.

Balbus wsadził monetę między zęby, przygryzł i oczy mu rozbłysły, kiedy zorientował się, że ma do czynienia z autentykiem.

- Czego tylko sobie życzycie, chłopcy, za to możecie mieć nawet mnie i nie przeszkadzałoby mi, że nie widzę waszych twarzy ani miłości w waszych oczach.

Wieści o złocie obiegiły dużą niską salę tawerny zasnutą dymem z paleniska, znajdującego się za zastawioną amforami ladą. Po kilku chwilach każdemu z nowo przybyłych siedziała na kolanach pulchna, ostro woniejąca potem dziwka, podczas gdy inne kręciły się w pobliżu, mając nadzieję, że będą następne w kolejce, gdyby którąś z tych pierwszych szczęściar odtrącono. Mężczyźni z całego pogrążonego w mroku pomieszczenia, nagle pozbawieni kobiecego towarzystwa, zaczęli pomrukiwać.

- Nie uważam, Gajuszu, by błyskanie tu złotem było dobrym posunięciem - zauważył Magnus, usiłując napić się wina mimo entuzjastycznych zabiegów, jakim go poddawała jego towarzyszka. Tak jak im przykazano, używali wyłącznie pierwszego imienia Kaliguli.

Cesarz zmienił pozycję, by partnerka mogła mu sięgnąć pod tunikę.

- Jak już je masz, Magnusie, to się z nim obnoś - odparł.

- A ty niewątpliwie masz, mój śliczny - powiedziała kobieta, przesuwając rękę w górę jego uda. - I nie tylko to - dodała ze zdumieniem i podziwem. - Pomóż mi, Wenus! Tylko pomagajcie, siostry; nigdy nie spotkałam czegoś takiego.

Kaligula siedział, napawając się podziwem, jaki wywołała jego erekcja, a kobiety, mizdrząc się, po kolei głaskały i ścisnęły długi prawie na stopę i imponująco gruby członek.

- To godne samego Jowisza - wykrzyknęła dziwka Wespazjana, kiedy przyszła jej kolej - nie mogę objąć go palcami.

Wespazjan wykorzystał tę okazję, by pozbyć się kobiety z kolan i rozejrzeć po sali.

Wielu rozgniewanych klientów wstawało ze swoich miejsc i gromadziło się w zbitą grupę, spoglądając spode łba w stronę ich stołu.

- Myślę, że nie jesteśmy już tu mile widziani - szepnął do siedzącego obok Klemensa.

Klemens rozejrzał się, po czym szepnął coś Kaliguli do ucha, wysuwając nieco z pochwy ukryty pod płaszczem miecz. Odrzucając ręce swoich wielbicielek, Kaligula wstał, wciąż z kapturem na głowie.

- Balbusie - zawołał, nie przejmując się zadartą wysoko tuniką - wina i jadła dla wszystkich w tawernie. - Sięgnął do sakiewki i wyjął dwie kolejne złote monety. - Wypijemy zdrowie naszego nowego cesarza.

Rozległy się nieskładne radosne okrzyki, podczas gdy rozpromieniony Balbus wziął monety i dał znak swoim niewolnikom, którzy wyjęli amfory ze stojaków i zaczęli napełniać dzbany winem, stawiając je potem na ladzie obok talerzy z chlebem i pieczoną wieprzowiną. Wszyscy, poza grupką najbardziej zatwardziałych, ruszyli, by się uraczyć darmowym poczęstunkiem.

- Napełnij mi kubek, Magnusie - powiedział Kaligula, głaszcząc włosy kobiet, teraz klęczących u jego stóp.

Z pełnym kubkiem w ręku Kaligula przeszedł pomiędzy kobietami i stanawszy pośrodku sali, zwrócił się do obecnych.

- Syn Germanika i potomek boskiego Augusta wrócił do Rzymu jako cesarz! Chwalcie go! - Jednym haustem wypił wino, a po sali niesły się okrzyki: „Kaligula! Nasza świecąca gwiazda!”.

Wespazjan wstał i przyłączył się do tego entuzjazmu, ale w głębi dręczył go niepokój. Jeśli Kaligula zostanie ulubieńcem motłochu, to będzie mógł robić wszystko, na co ma ochotę, a Wespazjan doskonale wiedział, na co on ma ochotę.

- Widzisz, przyjacielu - powiedział Kaligula, odwracając się do niego z płonącymi

dumą, ledwie widocznymi spod kaptura oczyma - szczerzy ludzie mnie kochają.

Złoto Kaliguli pozwalało, by wino lało się strumieniem, i w końcu Wespazjana ogarnęła senność. Tawerna pękała w szwach, ponieważ wieść o darmowym winie rozeszła się po okolicy, i początkowe drobne sprzeczki zaczęły się przeradzać w bójki. Przy kilku okazjach wyciągnięto noże, a zakrwawione ofiary wyrzucono na ulicę, by tam radziły sobie same.

Kaligula pił nieustająco, co nie zmniejszyło jego jurności. Zaspokajał po kolei wszystkie kobiety, które zasiadały mu na kolanach. Ta jego wytrzymałość robiła wrażenie i Wespazjan, który sam nie wykazywał wstrzemięźliwości, mógł tylko go podziwiać.

Klemens zachowywał stałą czujność, pił niewiele i nie zadawał się z kobietami, natomiast Magnus pił i łajdaczył się bez ograniczeń. W końcu padł twarzą w talerz z zimną wieprzowiną, chrapiąc i śliniąc się, a wino z przewróconego kubka spływało mu na kolana.

- Powinniśmy już iść - oświadczył Kaligula, kiedy kolejna dziwka, dysząc ciężko, zsunęła się z jego kolan. - To miejsce zaczyna mnie nudzić.

Wespazjan, który poczuł ulgę, że ten wieczór dobiega wreszcie końca, przechylił się nad stołem i potrząsnął Magnusem.

- Wracamy do domu? - spytał zaspany Magnus, ściągając z policzka przylepiony plaster mięsa i odgryzając z niego kawałek.

- Nie, po prostu mam już dość tego miejsca - powiedział Kaligula - zabierz mnie gdzie indziej.

Magnus podniósł się ciężko.

- Gdzieś, gdzie jest większa różnorodność, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Różnorodność? Tak, tego mi właśnie potrzeba - odparł Kaligula i zaczął się przepychać przez ciżbę.

- Hej, chłopcy, nasza kopalnia złota odchodzi - wybelkotał jakiś pijany, wyglądający na zbira mężczyzna - upewnijmy się, że zostawi nam swoje pieniądze.

Dwóch jego kompanów skoczyło na Kaligulę, przytrzymując mu ramiona i zrzucając kaptur, podczas gdy pijany oprych sięgnął po sakiewkę.

Błysnął polerowany metal, kiedy Klemens wyciągnął miecz i wbił pomiędzy żebra najbliższego napastnika. Mężczyzna wrzasnął i szarpnął się gwałtownie, puścił ramię Kaliguli i padł na podłogę. Popłynęła struga krwi, kiedy Klemens uwolnił miecz. Wespazjan i Magnus wyciągnęli z pochew sztylety, które mieli na plecach, i skoczyli na dwu pozostałych mężczyzn, wywracając pobliskie stoły i z trzaskiem zwalając gliniane naczynia. Kobiety wrzeszczały, noże błyskały w mizernym świetle lampek, podczas gdy mężczyźni podejmowali błyskawicznie decyzję, czy stanąć w obronie swojego niedawnego dobroczyńcy, czy też dołączyć do próby rabunku.

Wespazjan obalił na podłogę oprycha, który nie wypuszczał z garści sakiewki Kaliguli. Magnus, już całkowicie rozbudzony, chwycił trzeciego zbira za czuprynę i przeciągnął mu nożem po odkrytej szyi. Krew ochlapała twarz i płaszcz Kaliguli. Klemens otoczył ramieniem cesarza i pociągnął w stronę względnie bezpiecznej grupy przerażonych kobiet, wciąż zgromadzonych wokół stołu, trzymając miecz skierowany czubkiem w stronę powszechnej walki na noże, która zdążyła przed nimi rozgorzeć.

Uniknąwszy szczęśliwie ciśniętego, pryskającego winem glinianego dzbana, Wespazjan skoczył ku leżącemu na podłodze pijanemu oprychowi i obutą w twarde sandały stopą kopnął go w krocze; ciało mężczyzny gwałtownie zadrgało od przejmującego bólu, ramiona wzniosły się do góry, a sakiewka, jak wystrzelona z katapulty, pomknęła w powietrzu ponad panującym w sali zamętem. Wespazjan obserwował jej trajektorię, kiedy zmierzała w stronę lady z dzbanami, i próbował pójść po nią, ale na drodze stanął mu Magnus, zmagający się z jakimś nowym przeciwnikiem, który koniecznie chciał go udusić. Wszyscy trzej padli na stół, roztrzaskując go na kawałki. Wespazjan, który był na wierzchu, zerwał się pierwszy, chwycił mężczyznę za ucho, odchylił jego głowę i walnąwszy nią o kamienną posadzkę, roztrzaskał mu czaszkę. W tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wpadła nowa siła, a mianowicie dzierżący w dłoniach pałki wigilowie.

Członkowie oddziałów porządkowych, głównie byli niewolnicy, nie mieli szczególnego powodu, by przepadać za obywatelami Rzymu, wobec czego zabrali się do likwidowania bójk z brutalnością znacznie przekraczającą tę, którą przybyli przerwać. Nie czekając na wyjaśnienia, po czyjej stronie jest racja, młócili jak popadło po głowach, plecach i wyciągniętych ramionach, łamiąc kości, wybijając zęby i rozcinając skórę. Wespazjan i Magnus ledwie zdążyli się zerwać z podłogi i wycofać na drugi koniec sali, gdzie poplamionego krwią i śmiejącego się historycznie Kaligulę osłaniał Klemens. Stanęli ramieniem przy ramieniu przed cesarzem i z bronią gotową do użycia czekali na rozwój wypadków.

W końcu wigilowie poskromili walczących, straciwszy tylko jednego spośród swoich, a teraz otoczywszy półkolem tych łotrzyków, którzy trzymali się na nogach, spychali ich na drugą stronę sali. Dowódca, krępy, łysy zastępca centuriona, o ramionach niczym pokryte mchem konary, poprzez tłum dostrzegł nagle dalej, w mroku, Wespazjana i jego towarzyszy.

- Ej, wy tam - warknął, ruszając w ich stronę - odłóżcie broń.

Ujrzawszy nagle miecz Klemensa, cofnął się o krok. Wiedząc, że nosić miecze w mieście mogą tylko członkowie kohort miejskich i gwardii pretoriańskiej, a i to wyłącznie będący na służbie, założył rozsądnie, że ma do czynienia z jakimś niebezpiecznym przestępcą.

- Na twoim miejscu pozwoliłbym nam odejść, centurionie - rzucił ostrzegawczo Klemens, stając pomiędzy Kaligulą a dowódcą straży.

- Chłopcy, do mnie - zawołał centurion do swoich ludzi - do tych tutaj trzeba się będzie dobrze przyłożyć.

Zepchnąwszy rozbrojonych klientów w kąt tawerny, wigilowie ustawili się w szeregu naprzeciwko Wespazjana, Magnusa i Klemensa.

- Dobrze służysz swojemu cesarzowi, centurionie - powiedział Kaligula, przepychając się obok Klemensa.

- A co ty możesz o tym wiedzieć, chudy szczurze?

- Bo to ja jestem twoim cesarzem i jeszcze jedna taka uwaga, a posłużysz mi już tylko na arenie.

Kaligula wyszedł z mroku i podniósł wysoko zachlapaną krwią głowę. W sali zaległa cisza, a potem wszyscy wciągnęli powietrze, bo większość obecnych rozpoznała mężczyznę, którego zaledwie tego ranka tłumnie witano; nawet zakrwawionego nie można go było pomylić z kimś innym.

- Pryncepsie - wyjąkał centurion, chyląc głowę - wybacz mi.

- Nasza gwiazda! - zawołał ktoś.

Inni podjęli ten okrzyk, a Kaligula podniósł ramiona i napawał się przez chwilę ich uwielbieniem, po czym wskazał trzymającego się za krocze mężczyznę, który pierwszy go zaatakował.

- Wygląda na to, że jądra tego człowieka sprawiają mu kłopot - zawołał, przekrzykując zgiełk. - Uwolnij go od nich, centurionie.

Hałasy umilkły, kiedy centurion spojrział na zbolełego mężczyznę, a potem na Kaligulę i uświadomił sobie, że to nie żarty. Lękając się o własne życie, bo przecież obraził swojego cesarza, nie miał wyboru. Wyjął nóż i pochylił się nad leżącym.

Przeraźliwy krzyk obwieścił wszystkim, czego dokonano. Kaligula uśmiechnął się.

- Dzięki, centurionie - powiedział - wybaczyłem ci. Możesz wypuścić pozostałych. Kochają mnie i pójdą za mną jak stado za swoim pasterzem, ufając, że nie uczyni im krzywdy.

- Pryncepsie, to należy do ciebie - powiedział Balbus, wyciągając rękę z sakiewką.

- Zatrzymaj ją, Balbusie, ale daj kilka monet kobietom. - Kaligula ruszył ku drzwiom,

a za nim szli jego towarzysze; tłum się rozstał, robiąc im przejście.

- Dziękujemy ci, panie - zawołała jedna z dziwek - zapamiętamy twoją szczodrość oraz rozkosz, jaką nam dałeś. To tak jakby sam bóg nas zaspokoił.

- Zaspokojone przez boga? - zastanawiał się Kaligula, kiedy wyszli na ulicę. - Może i rzeczywiście... może nim jestem. Ostatecznie pasterz włada stadem nie dlatego, że jest jakąś wyższą owcą, ale dlatego że jest wyższą istotą. Z tego wynika, że skoro ja jestem pasterzem rzymskiego stada zasiadającego w senacie, to niewątpliwie jest tak dlatego, że jestem istotą wyższą.

Wespazjanowi nie spodobał się sposób rozumowania Kaliguli.

- Może i tak wynika z logiki, pryncepsie, nie zapominaj jednak, że aby żyć, pasterz musi regularnie zjadać jedną ze swoich owiec.

Spojrzenie Kaliguli, kiedy odwrócił ku niemu twarz, spowodowało, że Wespazjan natychmiast pożałował swoich słów.

- Właśnie tak, mój przyjacielu. Pasterz musi być najedzony i zdrowy dla dobra swojego stada, wybiera zatem tę owcę, która najlepiej zaspokoi jego głód.

Rozdział piętnasty

Wespazjan rozglądał się po świeżo urządzonym atrium odbudowanego domu Sabinusa, gdzie ostatni rzemieślnicy zbierali swoje narzędzia. Wykonali świetną robotę, pomyślał, przy tych ograniczonych funduszach, jakie brat zdołał zebrać w swojej prowincji i przez lato odesłać do Rzymu. Może dom nie był urządzony tak, by spełniać najwyższe standardy, mimo to czuł, że Sabinus nie wysłucha zbyt wielu narzekań od Klementyny, kiedy już tu się wprowadzą.

Wespazjan czerpał sporo przyjemności z nadzorowania prac; to oraz obowiązki edyla odpowiedzialnego za ulice Rzymu pozwalało mu oderwać myśli od rozrzutności, która charakteryzowała pierwsze siedem miesięcy rządów Kaliguli.

Pragnąc zaskarbić sobie miłość ludu, cesarz nie skąpił uroczystości ku swojej czci, podobnie senat i kapłani wykazywali się wielką hojnością w pochlebczym poparciu dla nowego cesarza, zgodnie zresztą z tym, co Kaligula wcześniej przepowiedział. Przez pierwsze pięćdziesiąt dni jego rządów ołtarze spływały krwią owiec, byków, dzikiego ptactwa, koni i świń; sto sześćdziesiąt tysięcy ofiar złożono publicznie wszelkim bogom, w podzięce za nadchodzący złoty wiek. Dla prostych ludzi tak to rzeczywiście mogło wyglądać. Uczestniczyli bowiem w spożywaniu złożonych ofiar, oglądali niekończące się spektakle w Circus Maximus i na innych mniejszych arenach miasta, mieli też pieniądze do wydania, bo Kaligula dał każdemu po trzy złote aureusy, czyli więcej, niż wynosił roczny żołd legionisty. By jeszcze bardziej umocnić swoją pozycję, przekazał również po trzy złote aureusy każdemu legionście i żołnierzowi oddziałów pomocniczych w całym cesarstwie, tyle samo wigilom, po pięć członkom kohort miejskich, a po dziesięć pretorianom.

Przy tej ilości pieniądza w obiegu interesy kwitły, a sklepikarze, właściciele tawern i kupcy zgarniali gotówkę, którą ich współobywatele, chcąc naśladować swojego umiłowanego cesarza, wydawali lekką ręką, sądząc, że jej źródło nigdy nie wyschnie.

Aby senat nie protestował przeciw tej kolosalnej podaży pieniądza, odwołał z wygnania tych, których poprzednia władza tam zesłała, i ułaskawił wszystkich, którzy wciąż

jeszcze czekali na wyrok, czyniąc w ten sposób senat swoim dłużnikiem. Potem obraził senatorów, odrzucając przyznane mu z wdzięczności zaszczyty, i rozkazał, by już nigdy nie próbowali go honorować, demonstrując w ten sposób, że nie jest tworem senatu i nie włada z ich łaski.

By dać to samo do zrozumienia nielicznym żyjącym jeszcze członkom swojej rodziny, uwolnił Heroda Agryppę, nie zważając na protesty Antonii, i uczynił go tetrarchą w okręgach Batanea i Trachonitis, położonych na wschód od rzeki Jordan; podarował mu również szczerozłoty łańcuch, by zastąpił tamten żelazny, jakim był przykuty do ściany swojej celi.

Chcąc zrównoważyć efekt ataków na patrycjuszy, zadbał o zwiększenie swojej popularności u prostych ludzi, wykorzystując uczucia, jakie ku niemu żywili - sprowadził kości swojej matki i dwóch braci z grobów na wyspie i złożył je w Mauzoleum Augusta podczas ceremonii tak wzruszającej, że nikt w tłumie nie pozostał obojętny. Łzy ciekły zgromadzonym ludziom po twarzach, kiedy patrzyli, jak ich ulubieniec z posępną godnością celebrował żałobę po krewnych, których tak okrutnie zabrali mu tamci dwaj najbardziej znienawidzeni: Tyberiusz i Sejan. Senatorowie patrzyli z kamiennymi twarzami na przedstawienie Kaliguli, wiedząc, że z powodu winy, jaką ponosili za współudział w zamordowaniu cesarskiej rodziny, znowu zostali odsunięci na bok. Antonię ostatecznie znieważył, zabraniając jej udziału w uroczystości.

Nie wystarczyły mu pochlebstwa ludu, kiedy zjawiał się w cyrku czy na Forum, i kazał się nosić po mieście w otwartej lektyce. Rozrzucał monety na prawo i lewo, ukazując, na życzenie tłumu, swój ogromny penis... o którym pogłoski szybko obiegały Rzym po pierwszym publicznym pokazie w tawernie Balbusa.

Wespazjan jako urzędnik średniego szczebla i przyjaciel cesarza musiał być obecny na wielu widowiskach i mierzyła go towarzysząca im nieopisana rozrzutność. Brał udział w uczcie zorganizowanej dla setek senatorów, ekwitów oraz ich małżonek, podczas której każdy z mężczyzn otrzymał w prezencie togę, każda z kobiet pallę. Goście mogli sobie również zatrzymać dekoracje z czystego złota, którym nadano kształty różnych przekąsek. Obserwował z niesmakiem - choć sam brał w tym udział - przymilne podziękowania, jakie goście składali gospodarzowi. Siedział w cyrku przez cały dzień, podczas gdy dokonywano rzezi czterystu niedźwiedzi i kolejnych czterystu różnych innych zwierząt w spektaklu, który,

nawet jak na rzymskie normy, był przesadny. Musiał to znosić, ponieważ Kaligula zamierzał karać surowo każdą znaczącą osobę, która wyszła przed końcem albo w ogóle się nie pojawiła. Wespazjan, kierowany instynktem samozachowawczym, schlebiał cesarzowi, udając zadowolenie, podczas gdy tłum wznosił okrzyki na cześć swojego dobroczyńcy, który przewodniczył tej rzezi z cesarskiej loży, otoczony przez kapłanów Augusta i zaspokajany przez własne siostry i najbardziej zręczne kurtyzany w Rzymie.

Wespazjan miał tego dość, ale nic nie mógł zrobić; był w pułapce, jak wszyscy inni w Rzymie, i musiał brać udział w przymusowej rozrywce, narzuconej mu przez najwyraźniej obłąkanego cesarza, wspomaganego mieczami lojalnej i dobrze wynagradzanej gwardii pretoriańskiej.

Te ponure myśli przerwał mu cichy głos.

- Sądziłam, że cię tu znajdę.

Odwrócił się i w wejściu zobaczył Cenis; w jej zaczerwienionych oczach dostrzegł łzy.

- Co się stało? - zapytał, podchodząc do niej.

- Moja pani cię wzywa.

- Chodźmy. Co się dzieje?

- Ona chce się pożegnać.

- Pożegnać? Dokąd się wybiera?

Cenis wybuchnęła płaczem i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Na spotkanie z Przewoźnikiem - odparła.

- Wiele już osób, znaczniejszych od ciebie, Wespazjanie, próbowało mnie od tego

odwieść - oświadczyła Antonia - zatem nie marnuj mojego ani swojego czasu, decyzję już podjęłam.

- Ale dlaczego, pani? - spytał Wespazjan.

Siedział naprzeciwko Antonii, po drugiej stronie dębowego biurka. Światło zachodzącego słońca przesączało się przez wielkie okno, a kiedy padło na jej twarz, zobaczył, że zgryzoty wyryły bruzdy wokół ust i zmarszczki wokół oczu. Pierwszy raz wyglądała bardzo staro.

- Ponieważ nie zamierzam siedzieć i przyglądać się bezsilnie, kiedy ten głupiec, mój wnuk, rujnuje cesarstwo i pozbawia wpływów moją rodzinę. Lekceważy moje rady i publicznie mnie upokarza; zabronił mi nawet uczestniczyć w pochówku moich dwóch wnuków. Na nic już nie mam wpływu. Pieniądzy zaczyna brakować, a jeśli on nie przestanie kupować sobie miłości motłochu, to będzie musiał znaleźć ich nowe źródło. Znowu zaczną się procesy o zdradę, a bogaci i niegdyś potężni stracą majątki, żeby biedni wciąż mogli mieć chleb i igrzyska. Senat ulegnie rozpadowi, bo jedni będą denuncjować drugich, by zachować życie, aż wreszcie ci, którzy pozostaną, uświadomią sobie, że jeśli nic się nie zmieni, to oni też umrą, czego oczywiście pragnie Gajusz. Za trzy czy cztery lata on sam zostanie zamordowany i co wtedy? Gwardia pretoriańska wybierze sobie własnego cesarza, ale kogo?

- Może Klaudiusza albo Tyberiusza Gemellusa.

- Tyberiusz Gemellus nie dożyje końca roku, już Gajusz tego dopilnuje, ale to żadna strata; za dużo w nim jego matki Liwilli. A Klaudiusz... no cóż, kto wie? Zostawiam mu ten dom i tyle, ile mogę z majątku... większą część dostaje Gajusz, który i tak wszystko roztrwoni... być może te pieniądze pomogą Klaudiuszowi, jeśli dane mu będzie żyć, i to jest jeden z powodów, dla których sama odbieram sobie życie. Klaudiusz zadziwił wszystkich, kiedy był konsulem; znał wszystkie procedury, modlitwy i formułki, bardzo rzadko się przy nich jękał i nie przyniósł senatowi wstydu; ludzie postrzegają go teraz zupełnie inaczej. Gdybym żyła dalej i go wspierała, Gajusz widziałby w nim zagrożenie i na pewno kazałby go zabić, ale kiedy mnie nie będzie, istnieje szansa, że dalej będzie uważał go za obiekt żartów i zachowa przy życiu, choćby dla rozrywki. Naturalnie, moi wyzwoleńcy i wyzwolenice przeniosą swoją lojalność na Klaudiusza - dodała - natomiast Cenis zyska patrona, a nie pana,

bo w moim testamencie daję jej wolność.

Wespazjan otworzył szerzej oczy, słysząc, że nadeszła ta chwila, na którą niecierpliwie czekał jedenaście lat, żałował tylko, że staje się to w tak ponurych okolicznościach.

- Właśnie z tego powodu cię wezwałam, Wespazjanie. Cenis jest dla mnie jak córka i muszę mieć pewność, że będzie bezpieczna, a ty się nią zaopiekujesz.

- Oczywiście, pani, ale jak mam to robić, jeśli będzie mieszkała w domu Klaudiusza?

- Nie będzie. Klaudiusz nie ma dość siły, by mógł przeciwstawić się Kaliguli, gdyby przysłał po nią pretorianów. Jeśli cesarz zapyta cię o Cenis, powiedz, że wyjechała do Egiptu z Feliksem, aby pomóc mu tam w moich interesach. Zaproponowałam jej to zresztą, ale chciała pozostać tutaj, więc kupiłam jej dom na Kwirynale, bardzo blisko twojego wuja. Zabierz ją tam dziś wieczór, kiedy ja już odejdę. Będzie bezpieczna, pozostając w domu, jedynie ty, Pallas i ja wiemy o nim.

- Zrobię tak, pani, i dziękuję ci, jesteś nadzwyczaj wielkoduszna.

Antonia uśmiechnęła się.

- To jest dar dla Cenis, nie dla ciebie, choć wiem, że i ty z niego skorzystasz. Dla ciebie mam coś innego, ale najpierw jednak chcę cię o coś prosić.

- Cokolwiek sobie życzysz, pani.

Antonia parsknęła śmiechem, co podkreśliło jej zmarszczki.

- Na twoim miejscu nie mówiłabym tego, Wespazjanie, bo może się okazać, że nie będziesz mógł dotrzymać słowa.

Wespazjan się zaczerwienił.

Antonia wciąż się śmiała.

- I musisz zacząć kontrolować uczucia, bo widać je na twojej twarzy jak na dłoni. Ale dość już tych rad, czas ucieka. Gajusz dotrzymał słowa danego Makronowi i obiecał mu Egipt - mówiła - ale dopiero w przyszłym roku, kiedy sam poczuje się już całkiem pewnie w Rzymie. Nie jest to żadnym zaskoczeniem, bo wygląda na to, że wciąż sypia z Ennią, w ramach swojego napiętego harmonogramu. Niemniej, mimo że jego nowa małżonka zmarła w styczniu przy porodzie, to wciąż nie widać, by zamierzał, jak obiecał, uczynić Ennię cesarzową. Sądzę, że po prostu przestraszył się Makrona i uświadomił sobie, że z taką samą łatwością, z jaką Makron zrobił go cesarzem, może mu to cesarstwo odebrać. Musisz wykorzystać ten lęk; graj na nim, kiedy tylko będziesz mógł. Poprosiłam Klemensa, by robił to samo; on zawsze był lojalny wobec Gajusza i sądzą, że cesarz wkrótce sobie uświadomi, że bezpieczniej jako prefekta pretorianów byłoby mieć swojego przyjaciela Klemensa niż potencjalnego rywala Makrona. Gdyby do tego doszło, byłaby to tylko kwestia przekonania Klemensa, że Gajusz nie jest zdolny do rządzenia i pretorianie powinni go zabić.

- Prosisz mnie o doprowadzenie do śmierci własnego wnuka?

- Ktoś musi to zrobić, zanim on do końca oszaleje i doprowadzi Rzym do upadku. Kiedy już do niej dojdzie, cesarzem musi zostać Klaudiusz. Zobowiązałam Pallasa, by trzymał go z dala od kłopotów i dopilnował, że nie będzie się zajmował polityką i będzie nadal udawał głupca.

- A jeśli to się nie uda, co wtedy?

- Będzie kolejna wojna domowa - oświadczyła Antonia. Otworzyła szufladę, wyjęła miecz w pochwie i popatrzyła na broń z czułością. - Należał do mojego ojca Marka Antoniusza. Tuż przed tym, jak użył go do popełnienia samobójstwa w Aleksandrii, napisał do Augusta list, prosząc, by oddał go mnie, żebym mogła przekazać go swojemu przyszłemu synowi. August spełnił to ostatnie życzenie swojego szwagra i przyjaciela i sprowadził miecz dla mnie do Rzymu. Kiedy Germanik osiągnął pełnoletność, dałam mu go, a on go użył, by poskromić i podporządkować Rzymowi plemiona germańskie oraz odepchnąć Partów na wschód. Kiedy umarł, jego małżonka Agrypina chciała przekazać miecz swojemu najstarszemu synowi, Neronowi Cezarowi. Nie zgodziłam się, mówiąc, że to ja zdecyduję,

który z moich wnuków najbardziej na niego zasługuje... miał to być ten najbardziej nadający się na cesarza. Przez jakiś czas sądziłam, że dam go Gajuszowi, ale kiedy pozbyto się jego braci, zaczęłam dostrzegać jego prawdziwą naturę, wstrzymałam się więc i cieszę się, że tak postąpiłam, bo on przynosi hańbę imieniu swojego pradziadka. Wkrótce użyję tego ostrza - ciągnęła - by otworzyć sobie żyły; kiedy będę martwa, Cenis przyniesie miecz tobie. Jest twój. Pamiętaj, że nosiło go dwóch największych ludzi naszych czasów... używaj go dobrze, a być może im dorównasz.

- Dziękuję ci, pani.

- A teraz idź do atrium i czekaj na Cenis, która pomoże mi odejść z tego świata. Pallas zaprowadzi was oboje do jej nowego domu; weź ze sobą Magnusa, żeby wiedział, gdzie to jest, a potem już tylko od ciebie i niego będzie zależało, czy ona będzie żyć bezpiecznie, czy w ciągłym lęku. Żegnaj, Wespazjanie, i okaż się godny nosić miecz mojego ojca.

Wespazjan rzucił ostatnie spojrzenie na tę najpotężniejszą kobietę w Rzymie, pełen podziwu za to, jak starała się decydować o różnych sprawach, nawet zza grobu. Jednak pomimo politycznej zręczności nie potrafiła zapewnić sobie naturalnej drogi do tego grobu. Władza, jakiej pragnęła dla swojej rodziny, skupiona była w ręku tej jedynej osoby, nad którą nie posiadała żadnej kontroli, jej wnuka Kaliguli. Nagłe odejście z tego świata - choć, pomyślał sobie Wespazjan, nie bardziej nagłe niż jakakolwiek inna śmierć - było jej jedyną szansą na wydarcie mu tej władzy i złożenie jej w ręce Klaudiusza, którym zawsze pogardzała. Była to ironia losu i w posmutniałych zielonych oczach Antonii Wespazjan widział, że ona to dobrze wie.

- Żegnaj, pani, i dzięki za łaskawość, jaką mi okazałaś. - Skinął głową, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Wespazjan czekał ponad godzinę i dzień miał się ku końcowi, kiedy w atrium pojawiła się Cenis w towarzystwie Pallasa i Feliksa. Łzy płynęły po policzkach ich wszystkich. W domu panowała atmosfera smutku; życie zamarło, domownicy ucichli, kiedy ich pani wykrwawiała się na śmierć.

- Odeszła - zaszlochała Cenis, dwiema rękami podając Wespazjanowi miecz Marka

Antoniusza. - Teraz on należy do ciebie, mój ukochany.

Wespazjan ujął miecz za owiniętą ciasno czerwoną skórą rękojeść i wysunął go z pochwy. Był doskonale wyważony. Wypolerowane ostrze - z wrytym imieniem pierwszego właściciela - połyskiwało niebiesko na całej długości od czubka do niczym niezdobionej owalnej osłony na dłoń z brązu, noszącej ślady dawnych odbitych uderzeń. Głowica również była z gładkiego brązu, a pochwa prosta, drewniana, oklejona jasnobrązową koźlęcą skórą, wzmocniona czterema rozmieszczonymi w równych odstępach opaskami z brązu. Pomimo smutku wywołanego świadomością, że Antonia użyła go niedawno do otwarcia sobie żył, Wespazjan uśmiechnął się; nie była to broń paradna, należała do żołnierza i doskonale rozumiał, dlaczego ta kobieta wybrała właśnie ten miecz, by zakończyć swoje życie.

Z cichym skrzyknięciem umieścił go ponownie w pochwie.

- Jak umarła? - zapytał.

- Godnie - odparł Pallas - i bez lęku. Podpisała swój testament oraz dokumenty dające wolność Cenis i Feliksowi, a potem podyktowała kilka listów. Udała się do swojej sypialni, przygotowała się, po czym zanurzyła w ciepłej wodzie i bez najmniejszego wahania zrobiła, co postanowiła. Leżała z zamkniętymi oczyma, a potem, dopóki do końca nie osłabła i mogła jeszcze mówić, przeklęła Kaligulę wobec wszystkich bogów i duchów swoich przodków, wzywając ich, by doprowadzili go do upadku i uwolnili Rzym od cierpień.

- Jeśli w ogóle kogoś słuchają, to na pewno Antonii - oświadczył Wespazjan. Spojrzał na Cenis i uniósł jej podbródek; miała wciąż łzy w oczach. - Przestań płakać, Antonio Cenis, w końcu jesteś wolna.

Cenis uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Tak - odparła - zawsze będę nosić jej imię i zawsze będę ją pamiętać, bo była dla mnie jak matka.

Wespazjan przytulił dziewczynę i pocałował jej pachnące włosy. Usłyszał kroki, podniósł wzrok i zdumiał się na widok Magnusa.

- A ty co tutaj robisz? - zapytał, po czym zorientował się, że przecież zna odpowiedź. -
Aha, rozumiem.

- No taa, cóż - mruknął Magnus, wyraźnie zawstydzony.

- Powinniśmy już iść, Wespazjanie - powiedział Pallas, który ze względu na godność zmarłej pani nie chciał, by roztrząsano powody obecności Magnusa w jej domu.

- Tak, powinniśmy iść - zgodził się Wespazjan, również zadowolony ze zmiany tematu. Odwrócił się w stronę wyjścia.

- Wespazjanie, zanim pójdziesz... - odezwał się Feliks.

Wespazjan obejrzał się.

- Gratulacje z okazji wyzwolenia, Marku Antoniuszu Feliksie.

Feliks uśmiechnął się na dźwięk swojego nowego imienia.

- Dzięki. Moja pani poleciła mi udać się natychmiast z powrotem do Egiptu, by zakończyć tam jej interesy. To mi zajmie co najmniej rok. Powiedziała mi też, że próbowałaś uzyskać pozwolenie na wyjazd do Egiptu. Jeśli ci się to uda, a ja będę mógł ci tam być w czymś pomocny, skontaktuj się ze mną. Alabarcha będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć.

Wespazjan podziękował mu skinieniem głowy i objąwszy Cenis ramieniem, ruszył ku drzwiom.

Nowy dom Cenis, usytuowany przy cichej ulicy zaledwie trzysta kroków od posiadłości Gajusza, był niewielki i nie rzucał się w oczy. Antonia dobrze wybrała, pomyślał Wespazjan, kiedy podchodzili do drzwi wejściowych, tutaj Cenis będzie bezpieczna od Kaliguli.

- Zostawię was teraz - powiedział Pallas, pociągając za łańcuch połączony z

dzwonkiem - muszę się zająć pogrzebem mojej pani.

- Dziękuję ci, Pallasie. - Cenis pocałowała go w policzek.

- Większość twoich rzeczy jest już tutaj, pozostałe przyślę jutro.

- Pójdę z tobą - oznajmił z uśmiechem Magnus - bo na pewno tutaj bym tylko przeszkadzał. Dopilnuję, żeby zawsze jeden z moich chłopców obserwował ulicę, pilnując, by nikt tu nie węszył, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Drzwi wejściowe otworzyły się i Wespazjan zobaczył największego Nubijczyka, jakiego w życiu widział.

- Antonii najwyraźniej bardzo zależało na tym, żeby twoje drzwi były dobrze strzeżone - powiedział Wespazjan, po czym nachyliwszy się, wziął ją jedną ręką pod kolana, drugą pod plecy i podniósł. - Lepszej od tej okazji na przeniesienie cię przez próg zapewne mieć nie będziemy - oświadczył.

Cenis zachichotała i ująwszy w dłoń jego twarz, obdarzyła długim i gorącym pocałunkiem. Nubijczyk wycofał się dyskretnie, a Wespazjan, nie przestając jej całować, wniósł ją do westybulu, a stamtąd do atrium. Usłyszeli czyjeś chrząknięcie. Wespazjan podniósł wzrok i natychmiast postawił Cenis na podłodze.

- Dobry wieczór, pani - powiedział wysoki starszy Egipcjanin, pochylając się w głębokim ukłonie. - Mam na imię Menes, jestem zarządcą twojego domu, a to są - ręką wskazał stojących w szeregu piętnastu niewolników - twoi domownicy.

Wespazjan i Cenis oblali się głębokim rumieńcem, popatrzyli na rządę niewolników, spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

Wespazjan czekał wraz z innymi urzędnikami oraz wieloma spośród najstarszych rangą senatorów w sali audiencyjnej domu Augusta, gdy nad odległym zaledwie o półtorej mili Polem Marsowym ujrzał słup dymu. Kaligula kazał im czekać już ponad godzinę, celowo, jak się domyślał. Obok niego wuj Gajusz nerwowo zmieniał pozycję, starając się nie

okazywać rozdrażnienia, jakie odczuwał na widok tego dymu. Wszystkich ich zawiadomiono z samego rana, że o trzeciej godzinie dnia mają towarzyszyć cesarzowi, i nikt nie uznał tego za zbieg okoliczności, że właśnie o tej samej porze miała się rozpocząć uroczystość pogrzebowa Antonii. Zmuszając najważniejszych ludzi w Rzymie do nieobecności podczas tej ceremonii, Kaligula radykalnie pomniejszył jej wagę, czyniąc z tego ostatnią obelgę skierowaną przeciwko babce. Nawet jej synowi Klaudiuszowi nie oszczędził tej mściwej złośliwości.

Senatorowie z ożywieniem zaczęli rozmawiać ze sobą o różnych sprawach, tylko nie o Antonii. Udawali, że nie widzą znaków świadczących o tym, że stos pogrzebowy został już zapalony. Nikt nie chciał wyglądać na niezadowolonego, że nie może wziąć udziału w uroczystościach żałobnych najpotężniejszej kobiety w Rzymie. Cesarz mógł ich przecież obserwować i podsłuchiwać.

Lakierowane na czerwono i czarno dwuskrzydłowe drzwi na drugim końcu sali raptownie się otworzyły i wszelkie rozmowy umilkły. Wszedł Kaligula, z Makronem u jednego boku i trybunem pretorianów, którego Wespazjan nie rozpoznał, u drugiego.

Udając zdziwienie, Kaligula zatrzymał się i ponad głowami zgromadzonych popatrzył przez okno.

- Chyba coś się pali na Polu Marsowym - wykrzyknął, odgrywając niepokój - czy ktoś wezwał już straż ogniową?

Zebrani pochlebco wybuchnęli śmiechem, w czym rej wodzili Makron i trybun pretorianów.

Zauważywszy Klaudiusza, zaśmiewającego się dzielnie razem z całą resztą, Kaligula do przykrej złośliwości dodał obelgę.

- Wuju, ty jesteś z nas najszybszy, biegnij więc natychmiast i zaalarmuj straż, a potem, jak już ugaszą pożar, zamelduj się u mnie.

- Już biegnę, p-p-pryncepsie - odparł Klaudiusz i ruszył chwiejnym krokiem.

Kaligula przewodził rechoczącemu chórowi, gdy jego kuśtykający wuj opuszczał salę.

- Wypali się tam do końca, zanim ten kaleka zejdzie z Palatynu - zawołał.

Służalczy śmiech przybrał jeszcze na sile, zupełnie jakby cesarz powiedział coś najbardziej zabawnego na świecie. Kaligula miał purpurową twarz, nabrzmiałe żyły na karku i skroniach. Niezwykle ubawiony swoim dowcipem, śmiał się bez końca i senatorom coraz trudniej było dotrzymać mu kroku. Ku uldze wszystkich zmęczył się w końcu i wyprostował.

- Senatorowie, mam dla was oświadczenie dotyczące moich ukochanych sióstr. - Przerwał i obrzucił słuchaczy promiennym wzrokiem, wyraźnie ciesząc się tym, co zamierzał powiedzieć. Głowa zadrgała mu gwałtownie i przyłożył nagle dłonie do skroni.

Makron ruszył, by go podtrzymać, a zaskoczeni zgromadzeni wstrzymali oddechy.

- Zostaw mnie - rzucił ostro Kaligula, odzyskując panowanie nad sobą i odpychając Makrona. - Zaraz, gdzie to ja byłem? A tak, moje siostry. Od tej chwili mają być włączane, kiedy przysięga lojalności... - Z krzykiem upadł na posadzkę, sięgając rękoma do głowy, jakby chciał z niej coś wyrwać.

Senatorowie parzyli oniemiałi. Makron natychmiast ukląkł przy swoim panu.

- Cherea, sprowadź medyka - krzyknął do trybuna pretorianów.

Widok cesarza w takim stanie przeraził senatorów i rzucili się do ucieczki.

- Wygląda na to, że bogowie wysłuchali Antonii - szepnął Wespazjan do Gajusza, kiedy z całą resztą wypadali za drzwi.

Nie wiadomo, czy bogowie zareagowali na klątwę Antonii, natomiast jedno było pewne: to oni okazali się głównymi beneficjentami choroby Kaliguli, bo przez kolejne kilka dni mieszkańcy Rzymu składali dziesiątki tysięcy ofiar w intencji powrotu młodego cesarza do zdrowia. Biedacy robili to ze szczerego serca, pamiętając o otrzymanych hojnych darach i

o wystawnych igrzyskach dla nich organizowanych. Natomiast senatorowie i ekwici robili to ze strachu, lękając się, że ci, których by nie widziano przy składaniu ofiar, zostaną potraktowani okrutnie, jeśli Kaligula wyzdrowieje; prześcigali się więc w poświęcaniu swoich najlepszych byków, baranów i koni wyścigowych, a ci bardziej zapalczywi przysięgali, że jeśli cesarz wyzdrowieje, będą walczyć na arenie jak gladiatorzy. Jeden z ekwitów, przebijając wszystkich pozostałych, obiecał Jowiszowi swoje życie za życie Kaliguli.

Wespazjan spędzał popołudnia i wieczory z Cenis w jej domu, zabawiając się z nią w małżeństwo. Rankami, razem z pozostałymi senatorami brał udział w modlitwach i składaniu ofiar. Razem z innymi okazywał troskę o zdrowie cesarza i jak oni pragnął w duchu jego śmierci, by wreszcie mieli za sobą ten upiorny epizod w historii Rzymu. Po tym codziennym rytuale - nie zajmowano się bowiem niczym innym z obawy, że mogłoby to zostać uznane za obojętność wobec zdrowia cesarza - cały senat wraz z ekwitami, mijając tłumy ponurych obywateli, udawał się procesją na Palatyn, gdzie w domu Augusta wszyscy razem wysłuchiwali codziennego biuletynu o stanie zdrowia władcy. Trybun pretorianów, Cherea, groteskowo wysokim i piskliwym głosem dzień w dzień podawał tę samą informację: bez zmian, w dalszym ciągu cesarz to odzyskuje, to traci przytomność.

Miasto zamarło; zamknięto sądy, teatry i hale targowe, zawieszono wszelkie transakcje handlowe, nie obchodzono świąt, tylko liczne ołtarze nieustannie spływały krwią składanych ofiar.

- To staje się zupełnie niedorzeczne - szepnął Wespazjan do Gajusza, kiedy senatorowie i ekwici zebrali się przed kurią, by jak każdego dnia, od trzydziestu już dni, w ciągłej listopadowej mżawce, podreptać na Palatyn. - A jeśli będzie chorował przez kolejny miesiąc? Miasto zacznie podupadać.

- Dotyczy to wszystkich, drogi chłopcze, nikt nic nie robi. Mnóstwo ludzi traci mnóstwo pieniędzy, ale wolą już to, niż zostać uznani za tych, co osiągają zyski, gdy Kaligula stoi nad grobem.

- Cóż, najwyższy czas, żeby do niego wpadł.

- Nie mów tego za głośno - syknął Gajusz - szczególnie w otoczeniu tych

pozbawionych skrupułów pochlebców.

- Do których i my się zaliczamy.

- Hipokryzja, drogi chłopcze, bywa ratującą życie ułomnością.

Wespazjan chrząknął.

- Tak sobie myślałem, że was tu znajdę - zawołał Magnus, przepychając się ku nim w białej, niczym niezdobionej todze obywatela.

Wespazjan uśmiechnął się i przywitał z przyjacielem.

- Dołączysz do nas? - zapytał.

- Jeszcze czego. Mamy spotkanie przywódców bractw z Kwirynału i Wiminału i ubieramy się elegancko, żeby nawzajem robić na sobie wrażenie. Wy tutaj i wszyscy inni możecie sobie przestać pracować, ale w naszej robocie nigdy nie ma przerw.

- Miło mi to słyszeć; wymuszeń i ochrony nie powinno się przerywać, nawet jeśli się jest cesarzem.

- Ależ, mój panie, to niesprawiedliwe, przecież wszyscy musimy zarabiać na życie. A tak przy okazji, czy to nie ty jesteś w tym roku edylem odpowiedzialnym za stan ulic?

- Przecież wiesz.

Magnus wskazał ręką swoje stopy, oblepione błotem, łajnem i resztkami gnijących roślin.

- To skandal, żeby w niektórych częściach miasta było gówna po kostki... co chyba źle o tobie świadczy.

Wespazjan rozłożył bezradnie ręce.

- Nic na to nie poradzę. Moi ludzie nie chcą nadzorować niewolników sprzątających ulice, twierdzą, że są zajęci składaniem ofiar Jowiszowi i Junonie oraz modłami za cesarza.

- Cóż, niech jeszcze złożą ofiarę bogu zadków i pomodlą się, żeby ludzie i zwierzęta przestali srać.

- Cii... - syknął Gajusz ze zbolałą miną. Zakrył usta dłonią i zaczął się odsuwać, żeby nie słuchać tej pachnącej zdradą rozmowy.

Wespazjan uśmiechnął się.

- Czy przyszedłeś tu tylko po to, żeby doradzić mi w sprawie religijnych praktyk moich podwładnych?

- Nie, w poważniejszej sprawie - powiedział Magnus, rozglądając się i ścisząc głos. - Dziś rano jakąś godzinę ktoś węszył wokół domu Cenis, potem się zmył. Jeden z moich chłopców poszedł za nim na Awentyn; tamten wszedł do ładnego domu przy tej samej ulicy, przy której stoi dom Sabinusa. - Magnus zamilkł i uniósł brwi.

- I?

- Popytał tu i tam i dowiedział się, że dom należy do twojego dobrego przyjaciela Korwinusa.

Wespazjana przeszły ciarki.

- Jak on się o niej dowiedział?

- Prawdopodobnie śledząc ciebie, zresztą czy to ważne? Ale ponieważ wiem, że on za tobą nie przepada, podwoiłem straż na ulicy.

- Dziękuję, Magnusie.

- Za bardzo bym się tym nie przejmował. On tylko wie, że ty tam chodzisz, ale nie wie, kto jest w środku. Powinna być w miarę bezpieczna, jeśli tylko nie będzie wychodzić.

- Nie wychodzi, poza odwiedzinami u mojego wuja, a do jego domu jest kilkadziesiąt kroków.

- W takim razie niech wtedy pośle niewolnika po moich chłopców i porusza się w zamkniętej lektyce, a oni będą ją eskortowali.

- Powiem jej. Dzięki.

- Taa, cóż, wygląda na to, że właśnie ruszacie, pójdę już. Mam bardziej intratne zajęcia niż martwienie się o chorych, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- O co mu chodziło? - spytał Gajusz, który dołączył do Wespazjana, kiedy cała procesja dygnitarzy zaczęła opuszczać Forum.

- O nic ważnego - mruknął Wespazjan, zatopiony w myślach. - Zresztą on sam tego dopilnuje.

Ponad dwa tysiące najważniejszych w Rzymie mężczyzn przybyło pod dom Augusta. Kasjusz Cherea czekał już na nich w portyku. Po jego uśmiechniętej twarzy Wespazjan poznał, że Kaligula znów stoi daleko od grobu.

- Mam wreszcie dobre wieści - oświadczył swoim kobiecym głosem Cherea. - Godzinę temu cesarz w cudowny sposób odzyskał zdrowie; właśnie wyszedłem z jego pokoju, a on siedział na łożu i jadł. Kryzys minął!

Przemoknięci ludzie zaczęli wiwatować, aż ochrypli. Radosna wrzawa dotarła do stóp Palatynu, a stamtąd rozlała się po Rzymie i zanim Cherea mógł ponownie przemówić, wróciła echem z położonego niżej miasta.

- Cesarz dziękuje wam wszystkim za modlitwy oraz ofiary i nakazuje, by...

Drzwi za jego plecami otworzyły się i okrzykami zdumienia powitano Kaligulę, który wyszedł nieco niepewnie, ale samodzielnie. Niegolony od miesiąca i wychudzony, z jeszcze bardziej niż zwykle zapadniętymi oczyma, wciąż wyglądał na chorego, ale głowę trzymał wysoko. Uniósł ramiona, słysząc gromko skandowane „Ave Cezar!”.

Wreszcie dał znak, by umilkli.

- To nie wasza wina - oświadczył zaskakująco silnym głosem - że pozdrawiacie mnie jedynie jako waszego cezara. Nie wiecie, co się ze mną stało w minionym miesiącu. - Wskazał ręką na swoje wychudzone ciało. - To ciało, to słabe ludzkie ciało omal nie umarło, kiedy torturowałem je męką przeobrażenia. Gdyby umarło, wciąż bym tutaj był, ale nie taki, jakiego widzicie, ponieważ, moja trzódko, jestem nie tylko waszym cesarzem, ale stałem się także waszym bogiem. Macie mnie wielbić!

Na tę porażającą nowinę i szokujący rozkaz kilku bystrzejszych senatorów naciągnęło natychmiast togi na głowy, zupełnie jakby uczestniczyli w ceremonii religijnej. Pozostali szybko poszli za ich przykładem, a Kaligula wybuchnął śmiechem, spoglądając na tłum mężczyzn spowitych od stóp do głów w wełnę.

- Rzeczywiście, jesteście moimi owcami... ależ strzyżenie nas czeka. Zdaje się, że jeden z was obiecał mojemu bratu Jowiszowi swoje życie za moje; który to był tą szlachetną owcą?

- To ja, pryncepsie - powiedział ktoś z dumą. Wespazjan odwrócił się i zobaczył dobrze zbudowanego uśmiechniętego młodego ekwite, najwyraźniej zadowolonego, że jest obiektem uwagi cesarza.

- Jak się zwiesz, dobra owieczko?

- Publiusz Afraniusz Potitus, pryncepsie.

- Co tutaj robisz, Potitusie? Nie każ Jowiszowi czekać; my, bogowie, oczekujemy pośpiechu.

Potitusowi wyraźnie zrzęda mina, kiedy nadzieję na nagrodę zastąpiła przerażająca świadomość, że Kaligula nie żartuje. Rozejrzał się, szukając pomocy u kolegów, ale jakże oni mogli unieważnić rozkaz wydany przez ich nowego boga? Odsunęli się od niego i stał sam pośród tłumu ludzi. Zgarbił się i odwrócił bez jednego słowa.

- Jaką dobrą był owieczką - powiedział Kaligula, z zadowoleniem patrząc na Potitusa drepczącego ku swojej niepotrzebnej śmierci. - Teraz, kiedy znów jestem z wami, życie miasta potoczy się zwykłym trybem, a igrzyska, które powinny były się zacząć pięć dni temu, rozpoczną się bezzwłocznie. Ci wszyscy, którzy przysięgali, że będą walczyć jako gladiatorzy, jeśli powrócę do zdrowia, jutro, na arenie, otrzymają szansę spełnienia swojej obietnicy.

- Oszczędź go, Cezarze! Oszczędź go, Cezarze! - wołała jednym głosem dwudziestotysięczna widownia wypełniająca zbudowany z kamienia na Polu Marsowym amfiteatr Statyliusza Taurusa. Powietrze przesycił odór moczu, ponieważ ludzie, obawiając się utraty miejsc, pozwalali ulżyć sobie tam, gdzie siedzieli.

Zwycięski retiarius, walczący siecią i trójzębem gladiator, jedyny utrzymujący się na nogach z sześciu walczących różną bronią mężczyzn, przyciskał trójząb do gardła pokonanego przeciwnika, którym był uzbrojony w miecz i tarczę, wplątany w sieć sekutor, i spoglądał w górę na cesarza. Wespazjan zerknął na Kaligulę, siedzącego obok Druzylli, w cesarskiej loży przylegającej do sektora senatorów, i zastanawiał się, czy spełni on życzenie tłumu; do tej pory zawsze tak robił, ale dotąd za każdym razem widzowie żądali śmierci.

Kaligula wysunął palce spomiędzy pośladków młodzieńca klęczącego pomiędzy nim i siostrą i wyciągnął przed siebie dłoń zaciśniętą na znak łaski, przechylając głowę na ramię. Owacja na cześć łaskawego cesarza zmieniła się w szydercze gwizdy, kiedy jego kciuk wyskoczył nagle do góry, naśladując wyjęty z pochwy miecz, co było znakiem śmierci.

Summa rudis, sędzia, zabrał swoją długą laskę, trzymaną dotąd w poprzek piersi retiariusza, który się cofnął, by pozwolić swojemu przeciwnikowi zginąć śmiercią godną gladiatora, to znaczy klęcząc na jednym kolanie przed zwycięzcą, a nie leżąc niczym ranny jeleń na zakrwawionym piasku areny.

Wściekłość tłumu, który chciał, by oszczędzono dzielnie walczącego gladiatora, przybrała na sile, kiedy uwolniony od sieci mężczyzna pochwycił udo przeciwnika, przygotowując się w ten sposób do przyjęcia śmiertelnego ciosu. Retiarius upuścił trójząb i wyjąwszy z pochwy długi cienki nóż, przyłożył jego czubek do gardła sekutora tuż ponad obojczykiem. Skazany na śmierć skinął głową, całkowicie osłoniętą hełmem z brązu, jedynie z dwoma otworami na oczy. Kiedy obaj mężczyźni gotowi byli do dokonania rytuału, laska sędziego uderzyła nagle w pierś sieciarza, powstrzymując go.

Tłum zamilkł. Oczy wszystkich zwróciły się na Kaligulę, który siedział, śmiejąc się histerycznie, a jego kciuk dołączył do reszty palców, niczym miecz wsuwany do pochwy: powrócił znak łaski.

- Oszukałem was! - krzyczał wesoło. - Czy naprawdę uważaliście, że ja, ten, któremu dobro was wszystkich leży na sercu, nie spełniłbym waszego życzenia? Oczywiście, że taki miałem zamiar.

Widzowie wybuchnęli gromkim śmiechem, ciesząc się żartem, jaki zgotował im cesarz. Retiarius cofnął nóż, a sekutor zaczął oddychać z ulgą.

Wespazjan zerknął ponownie na Kaligulę i zobaczył, jak jego twarz wykrzywia gniew. Cesarz zerwał się z miejsca i wrzaskiem uciszył zgromadzonych.

- Ale wy mnie wygwizdaliście - wrzeszczał - jakbyście mnie nie kochali. Mnie! Szydziliście z waszego boga i cesarza. Jak śmieliście! Żałuję, że nie macie jednego wspólnego gardła, które można by poderznąć. Trzeba was nauczyć mnie czcić i kochać; każę postawić swój posąg w każdej świątyni, by wam o tym przypominał, nie tylko tutaj w Rzymie, ale w całym cesarstwie. - Zamilkł i rozejrzał się wokół ze smutkiem. - Mogę wam dawać, ale mogę wam też odbierać i nie spełnię teraz waszego życzenia. - Wyciągnął przed siebie pięść z wyprostowanym kciukiem.

Tłum milczał, kiedy dwaj gladiatorzy przyjęli ponownie stosowną pozycję. Kiedy sieciarz wbijał nóż w serce kolegi, a krew trysnęła na obu gladiatorów, nie rozległy się radosne okrzyki, tylko panowała ponura cisza. Zwycięski gladiator pozdrowił cesarza i trzymając wysoko sieć i trójząb, ruszył w stronę bramy prowadzącej do pomieszczeń

gladiatorów. Widownia pożegnała go milczeniem.

Cesarz skinął na siedzącego za jego plecami Makrona. Szepnął coś w ucho prefektowi, wskazując ręką jakieś miejsce na widowni. Nastąpiła krótka wymiana zdań, po czym Makron, wyraźnie rozgniewany, wstał z miejsca i powiedział coś do stojącego przy wyjściu z łoży Cherei. Nadąsany Kaligula włożył ponownie palce swojemu kochankowi tam, gdzie były przedtem, i raz jeszcze skierował uwagę na arenę, podczas gdy Druzylla czule gładziła chłopca po włosach, jakby był jej ulubionym zwierzątkiem. Cherea wyszedł z łoży.

Na piasku areny przebrany za Charona posługacz, łysy i odziany na czarno, obchodził leżących i dotykał rozżarzonym prętem ich genitaliów; upewniwszy się, że wszyscy nie żyją, zdejmował im hełmy i ciężkim młotem rozbijał czaszki, by uwolnić ducha. Po zakończeniu tego obrzędu ciała ściągnięto z areny, by je pogrzebać, piasek zagrabiono, a w miejscach, gdzie był zakrwawiony, wymieniono na świeży.

Nastrój tłumu poprawił się, bo ludzie czekali już na zapowiadaną wcześniej kolejną część widowiska, w którym czterech ekwitów, tych, którzy pochopnie złożyli obietnicę występu na arenie w intencji powrotu Kaliguli do zdrowia, miało walczyć ze sobą na śmierć i życie. Szmer zainteresowania przeleciał przez tłum, kiedy otwarto bramę i zamiast zobaczyć czterech gladiatorów, ludzie usłyszeli ryk zwierząt; tuzin wygłodniałych, popędzanych z tyłu przez niewolników z pochodniami lwów wypadł na arenę. Brama się zamknęła, na piasku pozostały same lwy. Widzowie, którzy wiedzieli, że zwierzęta nie będą walczyć między sobą, a skazańcy czy bestiarii zawsze pierwsi pojawiali się na arenie, zaczęli się teraz zastanawiać, kto będzie ofiarą lwów.

Stukot nabijanych ćwiekami sandałów na kamiennych schodach prowadzących do dwóch z wielu wejść na widownię dostarczył odpowiedzi. Pół centurii pretorianów z obnażonymi mieczami wpadło do amfiteatru, wywołując panikę wśród pobliskich widzów. Po kilku chwilach otoczyli dwudziestu mężczyzn siedzących w pierwszym rzędzie sektora, który przedtem wskazał ręką Kaligula. Ludzie siedzący za tymi nieszczęśnikami rzucili się do ucieczki, by uniknąć ich łatwego do przewidzenia losu, wzajemnie się tratując. Ryk lwów zagłuszył krzyki tratowanych, kiedy pierwsze dwie błagające o litość ofiary rzucono na arenę. Mężczyźni nie zdążyli nawet spaść na piasek, a potężne pazury już ich dosięgły, rozdzierając ciała, ciskając nimi na boki, tak że frunęli w powietrzu niczym szmaciane lalki wprost w

rozwarłe paszcze z obnażonymi kłami, które natychmiast zabarwiły się na czerwono.

Pretorianie błyskawicznie uporali się z pozostałymi, rzucając ich na piasek areny; większością zwierzęta zajęły się natychmiast i skończyli życie z rozdartymi gardłami, oderwanymi kończynami i wyszarpiętymi wnętrznościami, kilku jednak udało się ująć tej rzezi, tyle że nie mieli się gdzie ukryć. Ku zdumieniu Wespazjana ludzie w sektorach widowni, których nie dotknęła akcja pretorianów, zaczęli się świetnie bawić i zaśmiewać, kiedy lwy, bardziej teraz zainteresowane gonitwą niż zaspokojeniem głodu, rzuciły się za tymi kilkoma pozostałymi jeszcze przy życiu ofiarami. Spojrzał ponownie na Kaligulę i zobaczył, że cesarz z uśmiechem zadowolenia na twarzy palce jednej ręki wsuwa między pośladki kochanka, a jednocześnie z zapalem się masturbuje. Kiedy ostatnia z ofiar została rozerwana na strzępy, tłum ryknął z aprobatą; znowu go wszyscy kochali.

Wespazjan przesiedział w amfiteatrze resztę dnia, wiedząc, że próba wyjścia, która irytowała Kaligulę jeszcze przed jego chorobą, teraz, kiedy wyglądało na to, że cesarz kompletnie stracił rozum, może okazać się śmiertelnie niebezpieczna. W końcu ostatnie ciało padło na zakrwawiony piasek i Kaligula podniósł się, ale zanim wyszedł z łoża, przyjął dowody czołobitności tłumu. Wespazjan pospieszył ku wyjściu razem z resztą senatorów, którzy unikali wzajemnie swojego wzroku, nie chcąc rozmawiać o tym, czego właśnie byli świadkami.

Wyszedł na ulicę i szybkim krokiem ruszył w stronę domu.

- Tam jest! - usłyszał głos Kaliguli. - Makronie, każ go przyprowadzić.

Wespazjan zerknął przez ramię i zobaczył, że Cherea i dwaj pretorianie przepychają się przez tłum w jego stronę. Żołądek podszedł mu do gardła. Próba ucieczki nie miała sensu, pozwolił się zatem zaprowadzić do Kaliguli, który spojrzał na niego ze łzami w oczach.

- Myślałem, że jesteś moim przyjacielem - zaszlochał, potrząsając głową, jakby nie mógł uwierzyć, że sytuacja się zmieniła.

Druzylla pocieszająco otoczyła go ramieniem.

- Jestem nim, pryncepsie - odparł Wespazjan, zastanawiając się, co takiego zrobił.

- W takim razie jak wytłumaczysz to? - spytał cesarz, wskazując pod nogi.

W błocie ulicy wały się śmieci i odpadki, niesprzątane w czasie trwającej miesiąc choroby Kaliguli.

- To moje miasto - oświadczył Kaligula żalnym tonem - i mój przyjaciel jest odpowiedzialny za utrzymanie jego ulic w czystości. Och, Druzylllo, jak on mnie zawiódł.

Druzylla otarła łzę z kącika oka brata i zlizwała ją sobie z palca.

- Przepraszam, panie. To dlatego, że byłeś...

- O, to moja wina, tak?

- Ależ skąd, tylko moja.

- Powinieneś oddać go pod sąd - oświadczył zjadliwym tonem Makron - takie niedbalstwo w wypełnianiu obowiązków to niemal zdrada.

- Przestań mi podpowiadać, co mam robić, prefekcie. Chereo, niech twoi ludzie zbiorą trochę tego brudu i włożą edyłowi między fałdy togi.

Wespazjan stał bez ruchu, kiedy garść za garścią cuchnącego błota i śmieci wrzucano mu w zanadrze.

- Jutro wszystko naprawię, panie.

- Nie, nie zrobisz tego, bo najwyraźniej nie potrafisz. Znajdę na twoje miejsce kogoś innego. - Spojrzał groźnie na Wespazjana, po czym nagle się uśmiechnął. - Zresztą, mój przyjacielu, mam dla ciebie pewne zadanie. - Tok jego myśli uległ raptownej zmianie i cesarz zwrócił się do Makrona. - Gdzie się podziewa mój kuzyn Gemellus? Dlaczego nie świętował mojego przeobrażenia?

- Słyszałem, że ma ciężki kaszel.

- Kaszel, hę? A może po prostu życzy mi tego, co najgorsze, i nie chce oglądać mnie w pełni chwały. Jak sądzisz, Wespazjanie?

- To na pewno kaszel, przecież nikt nie życzyłby ci śmierci.

- Hmm, pewnie masz rację. Tak czy owak, uważam, że powinniśmy wyleczyć go z tego kaszlu, nie sądzisz?

Wespazjan nie wyjawiał, co o tym sądzi, mając w pamięci ostatnią radę Antonii i wiedząc, że zaprzeczenie miałooby fatalne skutki dla niego samego, a potwierdzenie - dla Gemellusa.

- Być może z czasem mu przejdzie, panie.

Kaligula wpatrywał się w Wespazjana nierozumiejącym wzrokiem.

- Z czasem? - powtórzył. - Z czasem? Nie, czas płynie zbyt wolno. Chereo, idź i wylecz mojego kuzyna z kaszlu... na zawsze.

- Czy to mądre, pryncepsie? - spytał Makron. - Gemellus cieszy się popularnością wśród młodych ludzi.

- To znaczy, że na jego pogrzebie będzie wielu żałobników - warknął Kaligula. - Już drugi raz dzisiaj kwestionujesz moje słowa, Makronie, uważaj, żeby nie zdarzyło się to po raz trzeci. A teraz zejź mi z oczu.

Makron otworzył usta, by zaprotestować, ale rozmyślił się, pochylił głowę i odszedł.

- A ty co tu jeszcze robisz, Chereo? - wrzasnął cesarz. - Nie wydałem ci przypadkiem jakiegoś rozkazu?

Cherea wyprostował się, odwrócił z niewzruszoną miną i odmaszerował, zabierając swoich ludzi.

Kaligula przymknął powoli oczy, odetchnął głęboko i swobodnie, po czym pocałował Druzyllę w usta.

- Czyż ona nie jest piękna, Wespazjanie? Każę wybudować na Forum teatr, bym mógł ją tam stosownie pokazywać. Chciałabyś, żeby cię oglądano, moja słodka?

- Jeśli sprawi ci to przyjemność, najdroższy Gajuszu - powiedziała Druzylla z kokieteryjnym uśmiechem, przesuwając palcem po jego ustach.

Kaligula popatrzył na nią czule i pogładził po szyi.

- Pomyśl tylko, Druzylllo, w każdej chwili mógłbym kazać rozplatać tę śliczną szyjkę.

Druzylla westchnęła z zachwytem.

- Kiedy tylko zechcesz, najdroższy Gajuszu.

Kaligula polizał ją po szyi, po czym przyjacielsko objął Wespazjana ramieniem i ku jego uldze oddalił się z nim w drugi koniec komnaty.

- Mam pewien problem, przyjacielu, który jest jak nieznośny świąd. Wiem, że jeśli się podrapię, będzie jeszcze gorzej, a muszę się go pozbyć.

- Przecież możesz zrobić, co zechcesz - odparł Wespazjan, poprawiając rękę, żeby dostosować się do ciężaru śmieci, jakie miał w zanadrzu.

- Prawda, ale czasami konsekwencje mogą być takie, że nawet ja nad nimi nie zapanuję.

- Jakie konsekwencje?

- Znudziła mi się żona Makrona i znudził mi się on sam, bo zaczął mi udzielać rad. Przed moją transformacją powiedział mi wręcz, że nie jest stosowne, by cesarz śmiał się głośno z żartu w sztuce; chodziło o Plauta. Jak można się nie śmiać z Plauta!

- Nie da się.

- No właśnie. I dzisiaj też zakwestionował moje słowa. Musi więc odejść.

- Ale konsekwencją tego będą złe nastroje w gwardii pretoriańskiej.

- Och, mój przyjacielu, jak ty dobrze mnie rozumiesz, to właśnie te konsekwencje. Gdybym tylko mógł wybić ich wszystkich. Co mi radzisz?

Wespazjan myślał dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy udzielanie rad Kaliguli nie okaże się przypadkiem zgubne dla niego samego, tak jak okazało się dla Makrona.

- Jeśli nie będzie prefektem pretorianów, to gwardia nie poczuje się zagrożona.

Kaligula odwrócił się do niego ze zboląłą miną, jakby miał do czynienia z opóźnionym w rozwoju dzieckiem.

- Ale przecież on jest prefektem pretorianów, idioto, i jeśli spróbuję go usunąć z tego stanowiska, konsekwencje będą te same.

- Nie musisz go usuwać, on sam już zapragnął się usunąć, a ty, w swojej mądrości, udzieliłeś na to zgody.

- Naprawdę? O, to świetnie. Kiedy to nastąpi?

- Kiedy tylko wiosną rozpocznie się znowu sezon żeglugowy.

Kaligula zmarszczył brwi.

- Przestań mówić zagadkami - rzucił zniecierpliwiony.

- Prynepsie, bardzo sprytnie obiecałeś Makronowi prowincję Egiptu. Kiedy postawi stopę na pokładzie statku w Ostii, zostanie prefektem Egiptu, a przestanie być prefektem pretorianów.

Kaligula rozpromienił się, zrozumiałwszy, w czym rzecz, i poklepał Wespazjana po ramieniu.

- I będę mógł kazać go zabić bez obaw o konsekwencje.

- Mógłbyś, ale czy nie lepiej kazać mu popełnić samobójstwo? W ten sposób nie można by nikogo oskarżyć o morderstwo.

- Och, jakie to szczęście, że mam takiego jak ty przyjaciela, Wespazjanie. Potem mi powiesz, jaką miał minę, kiedy mu to przekazałeś, dobrze?

Rozdział szesnasty

Niewielki płomień wystrzelił w górę i oświetlił stojące w głębi lararium: pięć figurek z brązu, reprezentujących bóstwa domowe Cenis; światło igrało na wypolerowanych kształtach, przydając im lekkości. Wespazjan przykrył głowę rąbkiem togi, a Cenis postawiła lampkę oliwną na ołtarzu i stanęła obok niego. Za nimi ustawili się wszyscy domowi niewolnicy, w kręgu bladego światła ognia płonącego na palenisku obok lararium; pozostała część atrium pogrążona była w mroku.

Wespazjan wylał na ołtarz wino libacyjne, posypał je solą i rozłożył ręce, z dłońmi zwróconymi wewnętrzną stroną do góry.

- Zwracam się do was, lares domestici... czy jak inaczej życzyście sobie być nazywani... byście sprawili, żebyśmy ja i moi domownicy w dobrym zdrowiu mogli się cieszyć tym, co już posiadamy, tak jak czyniliście to dla mnie wcześniej; byście chronili nas w kolejnym dniu przed niebezpieczeństwami, które mogą na nas czyhać. Jeśli pozwolicie, by sprawa, którą mamy na myśli, zakończyła się korzystnym rezultatem, i nie pogorszycie naszej sytuacji... obyście tak właśnie uczynili... to przysięgam, w imieniu wszystkich domowników, że po zachodzie słońca otrzymacie dowody naszej wdzięczności. O nic więcej nie proszę.

Cenis odwróciła się do ognia i wypełniła kobiecą część porannego rytuału, odmawiając modlitwę do Westy, bogini ogniska domowego, i rzucając w płomień słodko pachnące kadzidło. Wespazjan obserwował ze ściśniętym sercem, jak co ranka, przez ostatnie sześć miesięcy, spełnia obowiązki jego żony, którą nigdy nie będzie.

Po zakończeniu modłów niewolnicy rozeszli się do swoich zajęć, a blade światło dnia zaczęło się sączyć przez wychodzące na perystyl okna, zwiastując kolejny zimny dzień wczesnego kwietnia.

Wespazjan zsunął z głowy rąbek togi i poprawił jej ułożenie na barkach.

- Nasze bóstwa domowe będą miały kolejny pracowity dzień - zauważył z krzywym

uśmieszkiem. - Kaligula ma właśnie dokonać otwarcia teatru, który zbudował na Forum, by pokazywać Druzyllę motłochowi, i życzy sobie obecności mojej oraz kilku innych swoich „przyjaciół”. Powiedział, że może mu się przydać nasza pomocna dłoń. Jeśliby sądzić po wielkim łożu z purpurową pościelą stojącym pośrodku sceny, to podejrzewam, że będziemy musieli mu użyczyć nie tylko dłoni.

- Wobec tego nie idź tam, mój miły.

Wespazjan uniósł brwi.

- Wiesz przecież, że jemu się nie odmawia, więc nie dawaj mi takich bezużytecznych rad.

Cenis uśmiechnęła się smętnie.

- Przepraszam, nie powinnam. To właśnie dlatego, że jemu się nie odmawia, nie licząc kilku wizyt w domu twojego wuja, nie wyściubiłam stąd nosa, odkąd przenieśliś mnie przez próg.

Wespazjan zajął w jej smutne oczy, pięknie podkreślone naszyjnikami z przezroczystych cylindrycznych paciorków z błękitnego szkła, które w tym bladym oświetleniu migotały delikatnie na jej szyi. Współczuł jej z powodu tego uwięzienia, jednak chociaż Kaligula wierzył, że Cenis jest w Egipcie, a bractwo Magnusa nie donosiło już więcej o obecności szpiegów Korwinusa czy o jakichś innych podejrzanych wydarzeniach, wciąż uważał, że tylko tu jest bezpieczna. Pocałował ją.

W tym momencie rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Ogromny Nubijczyk otworzył i po chwili do atrium wszedł wyraźnie niespokojny Enor. Stał i czekał, aż się do niego odezwą.

- Czego życzy sobie mój wuj, Enorze?

- Poprosił, byś przybył bezzwłocznie do jego domu, panie - odparł gardłową łaciną młody Germanin.

- Podał powód?

- Miałem tylko powiedzieć, że czeka na ciebie ważna osoba.

- Kto?

Enor wykrzywił twarz, wysilając umysł, by przypomnieć sobie dokładny tytuł, który kazano mu powtórzyć.

- Prefekt gwardii pretoriańskiej - oświadczył w końcu.

Z ogromnym niepokojem Wespazjan wchodził do domu wuja, mijając po drodze zbitą grupę klientów czekających na okazję pozdrowienia swojego patrona. Ich oddechy tworzyły w zimnym porannym powietrzu obłoczki pary. Przed wyjściem uspokoił obawy Cenis, że może zostać aresztowany, ponieważ byłoby poniżej godności prefekta fatygować się osobiście po to, by aresztować młodszego rangą senatora. Mimo to, kiedy wchodził do atrium, pełen był złych przeczuć.

- Ach, jesteś już, drogi chłopcze - zadudnił radosnym głosem Gajusz, nie przejawiając żadnego zaniepokojenia. Siedział przy ogniu z Klemensem; obaj pogryzali pomarszczone zimowe jabłka. - Jadłeś śniadanie?

- Tak, dziękuję, wuju. Dzień dobry, Klemensie.

- Wespazjanie, przysłał mnie cesarz.

Wespazjan rozejrzał się zdezorientowany po pokoju.

- A gdzie Makron? - spytał.

Gajusz wybuchnął śmiechem.

- A nie mówiłem, Klemensie? On spędza za dużo czasu w tym słodkim gniazdku

rozkoszy, niczego jeszcze nie wie.

- Niby czego nie wiem? - oburzył się Wespazjan.

- Przepraszam cię, drogi chłopcze, ale sprowadzenie cię tutaj tak, żebyś spodziewał się Makrona, było moim pomysłem. Cesarz oficjalnie zwolnił Makrona ze stanowiska wczoraj wieczorem i dzisiaj ma on wypłynąć do Egiptu, żeby tam zająć stanowisko prefekta.

Wespazjan zerknął na Klemensa, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- A ty jesteś nowym prefektem gwardii?

- Jednym z nich - potwierdził Klemens. - Cesarz postanowił wrócić do zasady Augusta, że ma być dwóch prefektów, zatem dzieli to stanowisko z Lucjuszem Arruncjuszem Stellą.

- Wygląda na to, że nasz cesarz nie jest taki szalony, na jakiego wygląda - oświadczył Gajusz, opanowawszy w końcu wesołość - bo wyznaczył na prefektów dwóch ludzi, którzy się szczerze nie znoszą. Powinno to osłabić gwardię, he, Klemensie?

- Na pewno stworzy dwa stronnictwa.

- I dwukrotnie zwiększy prawdopodobieństwo, że któryś prefekt wystąpi przeciwko niemu - zauważył Wespazjan. - Nie żebym podejrzewał cię, Klemensie, o brak lojalności... na razie.

Klemens wyglądał na zmartwionego.

- Teraz, kiedy Klementyna ma z Sabinusem wrócić latem do Rzymu, kto wie, jaki mogę mieć powód do nielojalności, jeśli Kaligula uprze się na nią.

- Zatem Sabinus powinien trzymać ją w Aqua Cutillae, tak jak ty trzymasz swoją żonę w Pizaurum.

- Już nie, bo Kaligula kazał mi ją stamtąd sprowadzić i zabrać na ucztę do pałacu. Była tam jego nowa małżonka Lolia Paulina i dwanaście innych kobiet, wszystkie bez wyjątku żony zaproszonych gości. On zjawił się jako Apollin i obszedł je wszystkie, obmacując każdą po kolei, po czym wybrał dwie... na szczęście nie Julię... i zabrał do łoża, podczas gdy ich mężowie musieli dalej ucztować, jakby nigdy nic. Kiedy z nimi wrócił, zaczął porównywać z nieszczęsnymi mężami zalety i słabości seksualnej sprawności ich małżonek. Istny koszmar. Te dwie kobiety spoczywały na sofach i musiały tego słuchać jak najzwyczajniejszej w świecie rozmowy. Potem kazał Lolii rozebrać się do naga, by mógł dokonać praktycznej demonstracji co subtelniejszych punktów swojego wywodu.

- Nie słyszałem o tym - powiedział wyraźnie zgorszony Gajusz.

- Nie mogłeś, bo to się działo ubiegłej nocy podczas celebrowania objęcia przez Makrona nowego stanowiska, w czym jest całkiem sporo ironii, zważywszy na to, po co mnie tutaj przysłał Kaligula.

Wespazjan jęknął.

- Och, a miałem już nadzieję, że o tym zapomniał.

- Jeśli masz na myśli swoją propozycję, że będziesz tym człowiekiem, który, ledwo Makron wejdzie na pokład statku, przekaże mu rozkaz popełnienia samobójstwa, to nie, nie zapomniał.

- To wcale nie była moja propozycja, ja tylko zasugerowałem, że jeśli chce się pozbyć Makrona, będzie to najlepszy moment, miejsce i sposób na załatwienie tego.

- Cóż, tak czy owak, on chce, żebyś ty to zrobił, a ja mam cię eskortować z oddziałem jazdy i dopilnować, by Makron posłuchał rozkazu.

- Masz talent do wplątywania się w niemiłe sytuacje, drogi chłopcze - odezwał się Gajusz.

- Ta uwaga mi w niczym nie pomoże, wuju - odparł szorstko Wespazjan.

- Nie, ale jest trafna.

- Masz pisemny rozkaz? - Wespazjan zwrócił się do Klemensa, nie zwracając uwagi na ostatnie słowa wuja.

- Nie, mamy najpierw udać się do teatru Druzylli. Powiedział, że tam się z nim spotkamy, po występie, jak to ujął, co nie wróży najlepiej.

- Rzeczywiście, nie najlepiej. - Wespazjan wstał z westchnieniem. - Cóż, skoro nie ma od tego odwołania, przynajmniej zrobię to należycie. Jeszcze tylko muszę wziąć coś z mojego pokoju, Klemensie.

Nowego teatru Kaliguli nie wybudowano na ogromną skalę, co byłoby bardziej w jego guście, ale powód był wyłącznie praktyczny. Ta półkolista budowla zajmowała teren pomiędzy rostrą i świątynią Saturna, ze sceną tuż przy stopniach świątyni Zgody, co utrudniało dojście do nich. Mimo to mieścił ponad dwa tysiące widzów, którzy świetnie się bawili, wywołując konsternację i niesmak Wespazjana i innych zmuszonych do obecności członków senatu. Żeby upokorzyć senatorów, Kaligula zlikwidował rezerwowane dla nich miejsca i kazał im siedzieć pośród miejskiego motłochu. Witali owacyjnie scenę, w której cesarz, przebrany za Herkulesa w złotej lwiej skórze i ze złotą pałką w ręku, powoli rozbierał swoją siostrę. Krzyczeli jeszcze głośniejsze, kiedy ustawiał ją w różnych pozach, które miały w pełni ukazać jej kobiece kształty. A potem reagowali jeszcze żywiej, kiedy popisował się z nią całą serią wyczynów na ogromnym, okrytym purpurowym prześcieradłem łożu, w trakcie których Druzylla wyła niczym harpia.

- Sprowadźcie mi moich gladiatorów - zawołał Kaligula, uwalniając klęczącą przed nim na łożu siostrę, i Druzylla, dysząc, padła na brzuch.

Wespazjan poczuł ulgę, kiedy zobaczył, że czterech natłuszczonych, nagich gladiatorów, Etiopczyk i trzech Celtów, wszyscy w wysmienitej fizycznej kondycji, wchodzi na scenę. Obawiał się, że może zostać wezwany, by wziąć udział w obscenach rozgrywających się na jego oczach, teraz jednak był przekonany, że jego usługi nie będą wymagane.

- Będzie jeszcze gorzej, niż myślisz - szepnął mu Klemens do ucha, kiedy Druzylla zwróciła uwagę na nowo przybyłych, którzy otoczyli ją ciasno, z natarczywością niepoahamowanej, bezwstydnej żądzy.

- Jak może być jeszcze gorzej?

- Zobaczysz. Wszędzie wokół rozstawiłem łuczników, którzy mają zadbać o bezpieczeństwo Kaliguli... martwił się tym, że pozwolił, by w finale sceny jeden z gladiatorów miał miecz.

Nie wierząc własnym oczom, z rosnącym przerażeniem Wespazjan obserwował, jak rodzeństwo tworzy z udziałem trzech gladiatorów scenę tak wyuzdaną, że przy niej tamto zachowanie Kaliguli w cyrku wydawało się prawie niewinne. Splątane ciała wierciły się coraz energiczniej, czemu towarzyszyło coraz głośniejsze zachowanie publiczności, by ostatecznie dojść do takich szczytów ekstazy, że uczestnicy orgii przestali być świadomi otoczenia. W tym momencie na scenę wkroczył pretorianin, podał miecz stojącemu z boku czwartemu gladiatorowi i dał jakiś znak ze sceny. Wespazjan rozejrzał się i zobaczył, że łucznicy rozstawieni są w równych odstępach pośród widzów; wszyscy mieli naciągnięte cięciwy i mierzyli w uzbrojonego mężczyznę, który zbliżał się od tyłu do etiopskiego gladiatora obsługującego właśnie Kaligulę. Ryk tłumu, teraz, kiedy widzowie wyczuli bliski rozlew krwi, stał się ogłuszający. Na scenie Kaligula przyłożył pięści do ramion i zamachał ramionami niczym kogucik skrzydłami, po czym osunął się na plecy siostry. Chwyciwszy biodra Kaliguli, Etiopczyk odrzucił głowę do tyłu i wydał niedający się usłyszeć w ogólnym zgiełku okrzyk satysfakcji. Był to ostatni dźwięk, jaki w życiu wydał. Czwarty gladiator błyskawicznie zamachnął się mieczem i zmiotł mu głowę z barków. Poleciała w publiczność, a strumień tryskającej w górę krwi zbryzgał cesarza i jego siostrę. Kiedy deszcz krwi ustał, Kaligula sięgnął do tyłu i zepchnął z siebie pozbawione głowy zwłoki. Wykonawca egzekucji podniósł miecz, pozdrawiając tłum jak gladiator po walce, i w tym samym momencie trafiło go kilkanaście dobrze wymierzonych strzał. Runął do tyłu jak pociągnięty raptownie jakąś niewidoczną liną. Kaligula i Druzylla bawili się beztrąsko, spoglądając sobie czule w oczy, smarowali się wzajemnie krwią. Dwaj pozostali przy życiu gladiatorzy podnieśli się ostrożnie i spoglądali z niepokojem na łuczników, którzy założyli nowe strzały na cięciwy i mierzyli teraz w nich.

- Co za głupiec - krzyknął Klemens do ucha Wespazjana - powiedziano mu, że ma upuścić miecz natychmiast po odcięciu tamtemu głowy; gdyby posłuchał, żyłby. Tym dwóm nic nie będzie, jeśli tylko nie zbliżą się do miecza.

Wespazjan się nie odezwał, bo nie wiedział, co mógłby powiedzieć, i tylko prznosił osłupiały wzrok ze smarujących się krwią Kaliguli i jego siostry na widzów, którzy rzucali odciętą głową gladiatora jak piłką. Gdzie podział się honor? Co stało się z godnością? Czy tak ma wyglądać nowa era, zepsucie i staczenie się, aż Feniks wróci za kolejne pięćset lat? - myślał gorączkowo. A przecież to był Rzym, dla którego pracował, wspierając Antonię; to był Rzym, jaki ona niemądrze zachowała, zapewniając władzę swojej rodzinie. Widział, jak to się rodziło na Capri, na dworze Tyberiusza. Widział wtedy rozpasane „rybki” cesarza - karły i dzieci kopulujące bezwstydnie w wodzie - i słyszał, jak Kaligula nazywa to zabawą. Był świadkiem zachowania Kaliguli i jego sióstr i wiedział, że kazirodztwo jest tam na porządku dziennym; patrzył, jak Kaligulę cieszą wyczyny grupy karłów, i widział, jak w tawernie cesarz zabawia się z jedną dziwką po drugiej. Miał nadzieję, że to już szczyt jego ekscesów; ale nie, tamte zostały właśnie zdecydowanie przyćmione. Zaczął się obawiać, że szczytu jeszcze nie osiągnięto.

W końcu rodzeństwo powróciło ze swojego prywatnego świata do rzeczywistości; Kaligula wstał i dał znak, by wszyscy umilkli.

- Kto ma tę głowę? - zapytał.

Młody człowiek w przetartej tunice i znoszonym płaszczu podniósł ją za ucho do góry.

- Ja, cesarzu.

- W takim razie wygrasz tę grę oraz tysiąc aureusów, kiedy mi ją tu przyniesiesz.

Sąsiedzi młodego człowieka natychmiast rzucili się na niego, bo każdy z nich chciał się wydobyć z nędzy. Walka rozgorzała na dobre, bo było coraz więcej chętnych na obiecaną nagrodę.

Cesarz wybuchnął śmiechem, odwrócił się i podał rękę siostrze. Nagie i wysmarowane krwią rodzeństwo schodziło ze sceny z uniesionymi wysoko głowami, spokojnym krokiem, niczym świeżo poślubiona para ze starego i szacownego patrycjuszowskiego rodu, udająca się na przyjęcie weselne. Za sobą zostawiali chaos i śmierć.

- Lepiej się teraz u niego zameldujmy - powiedział Klemens - nalegał, byśmy przyszli do niego natychmiast po tym... tym... - Przerwał i machnął tylko ręką w stronę sceny, jakby nie umiał znaleźć właściwego słowa na określenie tego, czego właśnie byli świadkami.

Wespazjan doskonale go rozumiał.

- Czyż nie była cudowna? - entuzjazmował się Kaligula, zlizując krew z twarzy Druzylli, kiedy wprowadzano Wespazjana i Klemensa. Obaj mężczyźni stali teraz pośrodku namiotu z miękkiej purpurowej tkaniny, przez którą łagodnie przesączały się promienie słoneczne. - A czy ja nie byłem sprawniejszy niż ten zwykły półboski Herkules?

Wespazjanowi trudno było zauważyć jakiegokolwiek podobieństwo pomiędzy cesarzem o patykowatych nogach a mocarnym herosem. Próbował zapomnieć o wszystkim, co widział, i skoncentrował się na zachowaniu obojętnego wyrazu twarzy.

- Swoją jurnością przyćmiłeś wszystkich bogów, pryncepsie - przyznał tonem najwyższego szacunku - i my, zwykli śmiertelnicy, możemy tylko marzyć o takim wigorze i wytrzymałości.

- Tak - zgodził się Kaligula, spoglądając na niego współczująco - wasze kobiety muszą się czuć rozczarowane; nie dziwota, że Cenis spędza tyle czasu w Egipcie. Kiedy wraca?

- Nie wiem, panie - odparł Wespazjan. - Podobno żądasz moich usług? - dodał, koniecznie chcąc zmienić temat.

Kaligula przekrzywił głowę i przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego. Przesunął dłonią po zlepionych włosach.

- Usług? Zawsze ich żądam. - Strzelił palcami i Kallistos, gnąc się w ukłonach, wręczył zwój swojemu panu. - Makron i ta zdzira, jego żona, w południe wyruszają do Ostii. Macie z Klemensem czekać na nich w porcie i przekazać im ten zwój, którego treść będzie dla nich oczywista. - Podał papirus Wespazjanowi i w zamyśleniu przyglądał się mężczyźnie przez kilka chwil. - Uważam, że w przyszłym roku powinieneś zostać pretorem; lubię, jak moim przyjaciółom się powodzi.

- Dziękuję, panie, jeśli uważasz, że jestem tego godzien - odparł Wespazjan, ukrywając niepokój na myśl, że cesarz jest nieprzewidywalny, a on nie będzie mógł przez cały rok opuścić Rzymu.

Kaligula poklepał go po plecach i zaczął prowadzić do wyjścia z namiotu.

- Oczywiście, że jesteś tego godzien, twój bóg i cesarz za takiego cię bowiem uznaje.

Kiedy wyszli na zalane światłem słonecznym Forum, powitał ich ryk tłumu zgromadzonego przed wejściem. Kaligula - wciąż nagi, wciąż oblepiony krwią - rozłożył ramiona, przyjmując owacje, po czym ujął rękę swojego towarzysza i podniósł ją do góry.

- Ten człowiek ma już wkrótce oddać wielką przysługę mnie i Rzymowi! - zawołał. Tłum ucichł, by lepiej słyszeć jego słowa. - Nazywa się Tytus Flawiusz Wespazjan i mimo że jest senatorem, ma moją przychylność.

Wespazjan stał sztywno z wymuszonym uśmiechem, kiedy tłum krzyczał na jego cześć.

- Wystarczy - zawołał Kaligula; kiedy zgiełk ucichł, odwrócił się zdumiony do Wespazjana. - A ty co tu jeszcze robisz? Ruszaj i bierz się do tego, co masz zrobić.

- Tak, panie.

- A może tak wyścigi po południu, cesarze? - zawołał z tłumu jakiś głos, kiedy Wespazjan oddalał się już z Klemensem.

- Świetny pomysł - odpowiedział z entuzjazmem Kaligula. - Natychmiast wezwę do cyrku wszystkie stronnictwa, wyścigi rozpoczną się za dwie godziny i obejrzymy sobie pierwszy wyścig mojego nowego konia, Incitatusa, nie omieszkajcie więc postawić w pierwszym biegu na Zielonych.

Wespazjan spojrział na Klemensa, kiedy przepychali się przez ciżbę ludzi, którzy ruszyli w stronę Circus Maximus, by zapewnić sobie jak najlepsze miejsca.

- A teraz dla kaprysu wyda jeszcze więcej pieniędzy na jednodniowe wyścigi. Jak się miewa twoja lojalność, Klemensie, po tym, co dzisiaj obejrzelіśmy?

- Nadwerężona - przyznał Klemens.

Mewy klóciły się hałaśliwie, niesione ciepłą bryzą wiejącą znad łagodnie rozkołysanego morza. Wiatr brzdąkał na linach, bębnił po płótnach ożaglowania i wywoływał trzeszczenie drewnianych elementów, z których zbudowano całą tę masę statków handlowych, które stały przycumowane do ruchliwego kamiennego nabrzeża i do drewnianych pomostów.

Wespazjan i Klemens siedzieli na beczkach pod łopoczącym płóciennym daszkiem, jedząc posiłek złożony z suszonych owoców i mięsa. Milczeli, obaj pogrążeni we własnych myślach. Kilka kroków od nich przysadzisty kupiec sprawdzał świeżo przywieziony ładunek pochodzących z Egiptu zdobionych emalią szklanych naczyń, które niedawno wyładowano z dużego statku, mającego za kilka godzin odpłynąć z powrotem do Egiptu z Makronem na pokładzie. Najwyraźniej niezadowolony ze stanu części ładunku kupiec obsypał stekiem wyzwisk kapitana, który reagował wzruszaniem ramion i machaniem rąk, aż wreszcie pojawił się edyl portowy, uprawniony do rozsądzenia sporu. Tuż za tą grupą pospiesznie ładowano prowiant i towary przeznaczone na transport do Egiptu; najważniejszy dla maksymalizacji zysku z rejsu był szybki rozładunek i ponowny załadunek. W interesie, który przynosił niewielkie zwroty, a do takich należał przewóz towarów statkami, czas, jak zawsze, oznaczał pieniądze i przedłużając cumowanie w Ostii, gdzie opłaty portowe były wysokie, kapitan naraziłby się właścicielowi statku w Aleksandrii.

- Zdumiewające, że cokolwiek szklanego może przetrwać podróż z Egiptu, nieważne, ile słomy zużyją na opakowanie - zauważył Klemens, przerywając dłuższą chwilę milczenia. Pociągnął solidnie rozcieńczonego wodą wina i podał bukłak Wespazjanowi.

- Rzeczywiście to bardzo delikatne rzeczy - zgodził się Wespazjan, spoglądając na obtłuczony dzban, ozdobiony na boku kolorowym wizerunkiem Dionizosa, który kupiec właśnie pokazywał edyłowi jako dowód w sprawie.

Przybycie dekuriona oddziału jazdy pretoriańskiej, która towarzyszyła im do Ostii, zakończyło leniwą rozmowę i posiłek.

- Powóz Makrona właśnie przejechał przez miejską bramę, prefekcie - zameldował młody mężczyzna.

- Dziękuję, dekurionie - powiedział Klemens i wstał. - Kiedy już tu dotrą, niech twoi ludzie odetną im odwrót.

Pretorianin ruszył z powrotem do swojego oddziału, który rozmieścił w niewidocznym miejscu, za stojącymi na końcu nabrzeża magazynami.

Wespazjan wstał i poprawił togę; zawartość torby, którą wziął ze swojego pokoju, brzęknęła w zanadrzu, kiedy wyciągał dokument od Kaliguli.

- Mam nadzieję, że cesarz nie zabawia się naszym kosztem i dokument nie zawiera rozkazów dla Makrona, by wykonał wyrok śmierci na oddawcach - powiedział z uśmiechem.

- To nie jest zabawne - rzucił, krzywiąc się, Klemens.

- Rzeczywiście, przepraszam - powiedział Wespazjan, uświadamiając sobie, że właśnie coś takiego niezwykle rozbawiłoby Kaligulę.

Na końcu nabrzeża pojawił się powóz Makrona poprzedzany nie przez liktorów, jako że był on tylko ekwitą, ale przez dziesięciu członków jego warstwy, którzy w ten sposób chcieli przypomnieć, że jedno z najważniejszych stanowisk w cesarstwie należy się właśnie

im, a nie członkom senatu. Ekwici torowali drogę na zatłoczonym nabrzeżu, spychając kilku pechowych niewolników - niektórzy obładowani byli towarem - do cuchnącej wody. Oburzone krzyki właścicieli utraconych dóbr napotkały obojętne spojrzenia ochroniarzy. Za nimi wyrósł oddział jazdy i odciął im odwrót.

Klemens z zimnym uśmiechem podszedł do powozu w chwili, gdy jego drzwi się otworzyły i ukazała się zwalista postać Kwintusa Newiusa Kordusa Sutoriusza Makrona, a za nim pojawiła się jego ponętna małżonka Ennia.

- O, Klemens, jak to miło, że mnie odprowadzasz - powiedział Makron na widok swojego następcy. - Gdybyś z jakiegoś powodu uznał kiedyś, że powinieneś zmienić, jak by to ująć, swoje zobowiązania, to ludzi takich jak ty przywitam na Wschodzie z otwartymi ramionami. - Wyciągnął rękę; Klemens jednak nie wyciągnął swojej.

- Wyjazd na Wschód nie zmieniłby moich zobowiązań wobec Rzymu - oświadczył. - Bo jakżeby miał?

- Sytuacja się zmienia, Klemensie, wszystko się zmienia - odparł Makron, wciąż z wyciągniętym ramieniem, spoglądając znacząco w oczy Klemensowi.

- W rzeczy samej, wszystko się zmienia, prefekcie - przytaknął Wespazjan, wychodząc zza otaczającej edyla grupki ludzi, którzy przestali się kłócić i ustawili uszu.

- Ty! A co ty tutaj robisz? - spytał Makron, cedząc słowa.

Wespazjan wyciągnął rękę z dokumentem.

- Przybyłem, by przekazać ci cesarski rozkaz, a także ofiarować prezent.

Makron z niepewną miną wpatrywał się w zwój, w końcu przeniósł spojrzenie na Wespazjana.

- Dlaczego cesarz uważa za konieczne wydanie mi nowych rozkazów?

- Będziesz musiał przeczytać to sam, Makronie.

Makron wziął zwój, złamał cesarską pieczęć, odwinął dokument i po chwili zbladł.

- Rozumiem - powiedział, nie podnosząc wzroku. - A co będzie, jeśli odmówię wykonania tego rozkazu?

- Wtedy każę, by oddział jazdy zabrał cię z powrotem do Rzymu, żebyś mógł osobiście wyjaśnić cesarzowi, dlaczego zdecydowałeś się go nie posłuchać - powiedział Klemens, wskazując ręką żołnierzy.

Makron odwrócił się i stwierdził, że drogę ucieczki ma odciętą. Uśmiechnął się krzywo.

- Wygląda na to, że jesteście górą. Nie sprawię wam przyjemności i nie poniżę się, skacząc do wody. Zrobię to, co każe cesarz. - Odwrócił się do żony, która czekała w stosownej odległości przy powozie. - Ennio, twój były kochanek rozkazał nam odebrać sobie życie.

- To dla mnie żadne zaskoczenie, mężu - powiedziała, podchodząc do Makrona. - Wiem, odkąd złamał daną mi przysięgę, że nie dotrzyma również danej tobie obietnicy; najwyraźniej nigdy nie miałeś zobaczyć Egiptu.

Wespazjan miał pierwszy raz okazję przyjrzeć się bliżej kobiecie, którą Kaligula przysiągł uczynić cesarzową; była rzeczywiście piękna. Greczynka z pochodzenia, córka Tyberiuszowego astrologa Trazyllosa, miała jasną karnację i przejrzyste błękitne oczy tej starszej gałęzi swojej rasy; blond włosy częściowo przykryte szafranową pallą ułożono w rzymskim stylu: uniesione wysoko skomplikowane sploty przytrzymywały wysadzone klejnotami szpile. Kiedy ujmowała dłoń małżonka, na jej twarzy nie było widać oznak rozpacz, tylko wielkie znużenie i rezygnację.

- Zawiodłam cię, Kwintusie - powiedziała - nie potrafiłam zatrzymać go dostatecznie długo w swoim łóżu, wybacz mi.

- Nie mam ci nic do wybaczenia, Ennio. Zrobiłaś wszystko, co mogła zrobić lojalna żona.

- A ty zamierzałaś nagrodzić tę lojalność zdradą?

Makron wyglądał na szczerze wstrząśniętego.

- Wiedziałaś? - zapytał.

- Oczywiście, że wiedziałam. Nigdy byś nie zaspokoił swoich największych ambicji, gdybym wciąż żyła, to było oczywiste.

- Zatem dlaczego...?

- Bo cię kocham, Kwintusie, i chciałam ci pomóc. O jaką to zbrodnię nas oskarżył?

- Ciebie o cudzołożenie z nim, mnie o stręczenie mu ciebie.

Ennia prychnęła.

- Tylko na tyle było go stać po tym wszystkim, co zaplanowałaś, tylko o cudzołożenie z nim? Jakaż w tym ironia.

Makron odwrócił się do Wespazjana.

- Powiedziałeś, senatorze, że masz dla mnie prezent, ale jakoś nie mogę pojąć, do czego miałyby mi się przydać, skoro moje życie dobiega końca.

Wespazjan wyciągnął z zanadrza skórzaną torbę, otworzył i wyjął z niej dwa sztylety.

- Oba są twoje, Makronie. Ten zostawiłeś dwanaście lat temu w mojej lewej nodze na moście Emiliusza, a ten drugi upuściłeś w domu szlachetnej Antonii; kazałeś mi go zatrzymać i obiecałeś podarować do kompletu trzeci. Ponieważ teraz z oczywistych powodów nie możesz dotrzymać tamtej obietnicy, rezygnuję z kompletowania i zwracam je tobie. - Podał

sztylety Makronowi, który uśmiechnął się szczerze ubawiony.

- Wygląda na to, że mnie się bardziej przydadzą niż tobie. Doceniam twoją troskę, to życzliwy gest. - Oznaki rozbawienia zniknęły raptownie z jego twarzy i wbił wzrok w Wespazjana. - Pozwól, że ci powiem, dlaczego nigdy nie dostałeś trzeciego; był tylko jeden powód: Kaligula. Wiedział, że chcę twojej śmierci, ale w ramach umowy. Ja dopilnowałem, by on został cesarzem, w zamian za co miałem zostać prefektem Egiptu, ale musiałem mu przysiąc, że zachowam cię przy życiu, bo on cię zwyczajnie lubi.

- Dlaczego?

- Spytałem go o to i odpowiedział, że wiąże się to jeszcze z tamtą nocą, kiedy wyrwaliście Cenis ze szponów Liwilli. Nie widział, jak zabito tych dwóch strażników w tunelu; potem jednak, żeby zdobyć klucz potrzebny do jej uwolnienia, kazałeś jej krzyczeć, żeby przyciągnąć uwagę strażnika na schodach. Kiedy ten przeszedł przez drzwi, dźgnąłeś go w gardło; byłeś pierwszą osobą poza areną, którą Kaligula widział, jak zabija, i dlatego zawsze darzył cię szacunkiem.

Wespazjan przetrwał przez długą chwilę tę informację, odgrywając sobie w myślach tamtą scenę.

- Rzeczywiście, ale dlaczego to jest dla niego takie ważne?

- Bo nie spotkało cię nic za ten uczynek i uświadomił sobie, że zabijać można bezkarnie. Był to dla niego radosny moment.

Wstrząśnięty Wespazjan otworzył szeroko oczy, myśląc, ile krwi od tamtego czasu rozlał Kaligula.

- To ja pokazałem mu tę drogę?

Makron pokręcił głową i uśmiechnął się, choć jego oczy pozostały zimne.

- Odnalazłby ją z tobą czy bez ciebie; to tylko oznacza, że jesteś szczęściarzem,

którego on nigdy nie skrzywdzi. Przysiągłem mu, że zrezygnuję ze swojej zemsty, i dotrzymałem słowa. A teraz on mnie wynagradza, rzucając mi to w twarz i wysyłając właśnie ciebie z poleceniem odebrania sobie życia. Przypuszczam, że to jego pomysł na żart.

- Może rzeczywiście tak jest, a może jestem tutaj dlatego, że był to mój pomysł. Bo wiedziałem, czego chcesz dokonać w Egipcie, szlachetna Antonia to wydedukowała, a ja uznałem, że choć usunęła Poppeusza, to ty i tak znalazłbyś jakieś inne źródło finansowania, które pomogłoby ci zostać cesarzem Wschodu.

- Poppeusz zmarł śmiercią naturalną, wszyscy to wiedzą.

- Nie, Makronie, został zamordowany. Wiem, bo pomogłem to przeprowadzić.

Makron obrzucił Wespazjana taksującym spojrzeniem.

- Jesteś bardziej niebezpieczny, niż myślałem - stwierdził. - Może powinienem był jednak złamać tamtą przysięgę i kazać cię zabić. Ale rzeczywiście masz rację, znalazłem inne źródło pieniędzy, które teraz, kiedy moje życie się kończy, jest bezużyteczne.

- Jeśli chcecie mieć trochę prywatności, to radzę pójść do kajuty kapitana - powiedział Wespazjan, kończąc rozmowę.

- Za to przynajmniej ci dziękuję - powiedział Makron i podał jeden ze sztyletów Ennii.
- Chodź, moja droga, będę miał całą wieczność, by błagać cię o wybaczenie.

- Nie mam ci nic do wybaczenia, Kwintusie - odparła Ennia, biorąc go pod rękę.

Ruszyli oboje w górę po trapie na spotkanie śmierci.

Wespazjan patrzył, jak odchodzą, po czym zbywając skargi kapitana, że pozbawiono go dwójki płacących za rejs pasażerów, zwrócił się do towarzyszących Makronowi ekwitów.

- Kiedy już wykonają polecenie cesarza, pochowajcie ich, ale zróbcie to bezzwłocznie tutaj, nie w Rzymie.

- Lepiej sprawdźmy, czy rzeczywiście to zrobili - powiedział cicho Klemens, a ekwicy z ponurymi minami pokiwali głowami.

- Pewnie masz rację - odparł Wespazjan, czując wielką niechęć do oglądania zwłok Makrona. Sposób, w jaki Makron i Ennia przyjęli swój los, zrobił na nim duże wrażenie, bo uczynili to z godnością prawdziwych Rzymian i mimo że Makron na pewno upajałby się widokiem jego martwego ciała, on sam nie miał szczególnej ochoty zakłócać pośmiertnego spokoju dawnego wroga.

Poszli na rufę i przez luk zajrzeli do kabiny kapitana. Na dole, w półmroku, Makron i Ennia leżeli na podłodze, objęci lewymi ramionami, a w prawych rękach wciąż ściskali sztylety, które wbili sobie nawzajem w serca.

- To jedna z niewielu rozsądnych decyzji, jakie podjął Kaligula - zauważył Klemens, spoglądając na splecioną parę.

- Tak. - Wespazjan odwrócił się. - Wracajmy do Rzymu sprawdzić, jakie kolejne szaleństwo sobie zaplanował.

Jak się okazało, tym razem szaleństwo w sposobie myślenia Kaliguli miało wymiar praktyczny. Odczuwając potrzebę codziennych kontaktów ze swoim bratem Jowiszem, a nie życząc sobie przebywania pośród zwykłych śmiertelników, kazał postawić ogromny, długi na pięćset kroków drewniany pomost, łączący jego pałac na Palatynie ze świątynią Jowisza na Kapitolinie. Uznał bowiem, że pozwoli mu to przemieszczać się, jak przystoi bogu: wysoko ponad głowami mas, do których zstąpił, by nimi rządzić.

Przez kilka następnych miesięcy ludzie patrzyli w zdumieniu, jak ta okropna konstrukcja zaczyna się wic pomiędzy dwoma wzgórzami, psując widoki, a także paraliżując handel i interesy, ponieważ środki finansowe Rzymu skierowane zostały na zaspokojenie najnowszego kaprysu boskiego cesarza. Nie zważając na utrudnienia, jakie powoduje, Kaligula kontynuował swój program przymusowej rozrywki dla wszystkich. Codziennie odbywały się wyścigi albo walki gladiatorów, polowania na dzikie zwierzęta, wystawiano sztuki i pokazywano Druzyllę w coraz bardziej nedorzeczny sposób, nie tylko ze względu na

liczbę uczestników, ale także czas trwania widowiska, pomysłowość i natężenie plugawości.

Jeśli chodzi o Wespazjana, to od śmierci Makrona udało mu się trzymać w cieniu. Ponieważ nie pełnił już w mieście żadnej funkcji, mógł trzymać się z dala od organizacji ekscesów Kaliguli, miał tylko obowiązek je oglądać i podziwiać. Wespazjan udawał zadowolenie, obserwując ze zgrozą, jak szkatuła w szybkim tempie pustoszeje. Jego życie obracało się wokół Cenis i zgromadzeń senatu, który zgadzał się pokornie na wszystkie żądania władcy. Bardzo rzadko spotykał cesarza prywatnie i jeśli nie liczyć uczt w pałacu, których nie cierpiał, odkąd Kaligula nabrał zwyczaju, żeby dla rozbawienia gości dokonywać egzekucji przestępców pomiędzy poszczególnymi daniami, mógł prowadzić spokojne życie, nie rzucając się nikomu w oczy.

Rano, w dniu ukończenia pomostu, całe miasto przyszło, by zobaczyć, jak przechodzi po nim Kaligula, z boską godnością, w stroju Jowisza i z piorunem w ręku.

Wespazjan oglądał to wydarzenie razem z Gajuszem i pozostałymi senatorami ze schodów prowadzących do siedziby senatu. Cesarz ukończył wędrówkę u wrót najświętszej świątyni Rzymu i wszedł do środka, by porozmawiać ze swoim boskim kolegą. Niedługo potem wyszedł i oświadczył zgromadzonym tłumom, za pośrednictwem heroldów, że Jowisz uznał go za równego sobie.

- Co więcej - wołał stojący najbliżej siedziby senatu herold, czytając słowa Kaliguli ze zwoju - ogłaszam swoją siostrę Druzyllę boską, a dowód jej boskości ujawnię w teatrze na Forum.

To oświadczenie spowodowało ogromne poruszenie i ci, którzy znajdowali się najbliżej teatru, ruszyli pędem, by zająć najlepsze miejsca.

- Jeśli będę musiał znowu oglądać, jak kopuluje z Druzyllą, to udam się na dobrowolne wygnanie - szepnął Wespazjan do Gajusza.

- Myślę, że dziś nam odpuści. Kaligula ma bowiem kolejne żądanie i chce, byśmy jak najszybciej je przyjęli. Ukończył pomost i wymyślił nowy sposób na marnowanie pieniędzy, ominie nas więc dziś przyjemność wysłuchiwanie jęków rozkoszy Druzylli.

- Pewnie i tak będziemy ją tu słyszeć - zauważył Wespazjan, wchodząc do siedziby senatu.

- Chyba masz rację, drogi chłopcze - odparł Gajusz. - Ona jest taka wytrwała, prawda?

Obawy Wespazjana okazały się uzasadnione i uroczyste modlitwy na otwarcie obrad oraz poprzedzające obrady wróżby odbywały się przy akompaniamencie głosu Druzylli, osiągającego szczytowe natężenie w chwili, kiedy starszy konsul, Marek Akwila Julianus oznajmił, że dzień na posiedzenie senatu jest pomyślny.

- Wniosek, który senatorowie mają dzisiaj do rozpatrzenia - przemówił, kiedy wszyscy usiedli - dotyczy przyznania naszemu boskiemu cesarzowi sum potrzebnych na wybudowanie na jeziorze Nemorensis dwóch długich na dwieście trzydzieści stóp statków, na których on i jego boska siostra mogliby się odprężyć i które ułatwiłyby im konwersację z zamieszkującymi jezioro wodnymi nimfami.

Słowa te przyjęto kiwaniem głowami i pomrukiem aprobaty, jakby szukanie bliższego kontaktu z wodnymi nimfami było niezwykle istotną sprawą. Debacie cały czas towarzyszył dobiegający z teatru wrzask Druzylli i ryk publiczności, a Wespazjan pomyślał sobie, że gdyby choć jeden z senatorów przestał zachowywać powagę, to wszyscy skręcaliby się ze śmiechu. Zakrył twarz dłonią, by stłumić wstrząsający nim chichot, podczas gdy starszy konsul wyliczał wymagania dotyczące wyposażenia statków - gorąca i zimna bieżąca woda, kompleks łaźni, marmurowe posadzki i inne niedorzeczne luksusy. Wespazjan zaczął się na serio martwić, że to on sam może się okazać pierwszym, który zrzuci maskę i da wyraz swoim prawdziwym odczuciom. Poczul na drgającym ramieniu rękę wuja i zdołał nad sobą zapanować, ocierając tylko łzę z kącika oka.

Starszy konsul zamilkł, kiedy uderzył w nich kolejny przeraźliwy i przeciągły krzyk, przerastający wszystko, co można by uznać za wyraz rozkoszy, wyrażający udrękę. Zamarł raptownie, zastąpiony przez krótki okrzyk przerażonej widowni; potem zapadła cisza.

Długa, bardzo długa cisza.

Wszyscy senatorowie odwrócili głowy, spoglądając przez otwarte drzwi w stronę drewnianego teatru.

Cisza trwała. Nikt się nie poruszył.

W ten spokój wdarło się boleściwe zawodzenie. Narastało i narastało, okrążając całe Forum. Wszyscy senatorowie rozpoznali ten głos: Kaligula.

Ludzie zaczęli wysypywać się z teatru, byle dalej od bolejącego, oszalałego cesarza, który w rozpaczy może kazać ich wyrznąć. Senatorowie zostawili swoje stołki i ruszyli ku wyjściu.

- Coś mi się wydaje, że wytrwałość Druzylli dobiegła końca - stwierdził Gajusz, kiedy razem z Wespazjanem znaleźli się w słońcu na zewnątrz budynku.

- Co robimy? - spytał Wespazjan. - Wracamy do domu i przyczajamy się, dopóki wszystko się nie uspokoi?

- Myślę, drogi chłopcze, że tych, którzy otwarcie nie połączą się w bólu z cesarzem, wkrótce będą oplakiwać ich rodziny. Najlepsza szansa na przetrwanie to pójść do niego niezależnie od konsekwencji.

Wespazjan wziął głęboki wdech i ruszył do teatru za Gajuszem i wieloma innymi senatorami, którzy doszli do takiego samego wniosku jak oni.

Kaligula, teraz już w milczeniu, stał pośrodku sceny i trzymał siostrę w ramionach; krew płynęła z rozerwanych wnętrzności Druzylli, tworząc kałużę wokół jej stóp. Wokół leżały ciała zabitych mężczyzn, którzy mieli pecha, że brali udział w jej ostatnim zakończonym tragicznie występie. Klemens i kilku pretorianów z zakrwawionymi mieczami stali z boku.

Starszy konsul poprowadził senatorów przez pustą widownię ku scenie. Kaligula patrzył na nich niczego niepojmującym wzrokiem. Dygotał, a głowa Druzylli kiwała się, zwisając z jego ramienia.

- Do kogo mam się udać po ukojenie i pociechę? - wykrzyknął nagle cesarz. - Do kogo? Dziecko może się zwrócić do matki, żona do męża, a człowiek może zwrócić się do swoich bogów, ale do kogo zwraca się bóg? Odpowiedzcie mi, wy mądrzy i uczeni członkowie senatu. - Padł na kolana, rozbryzgując ciągle powiększającą się kałużę krwi, i zaczął obsypywać pocałunkami usta i szyję martwej siostry.

Nikt z obecnych nie odezwał się ani słowem, a namiętność Kaliguli przybrała na sile i cesarz zaczął pieścić ciało zmarłej, szepcząc do jej niesłyszanych uszu. Milczenie wstrząśniętych widzów trwało, kiedy obrócił i ustawił jej bezwładne ciało na klęczkach. Wszyscy wiedzieli, że cesarz jest zdolny do łamania wszelkich tabu... ale to... to było odrażające.

- Rozkazuję ci żyć - zawołał Kaligula, wbijając się w ciało Druzylli. - Żyj! - Strumienie jego łez rozmywały krew Druzylli plamiącą policzki cesarza, który rozpaczliwie usiłował wpompować na nowo życie w ciało siostry. - Żyj! Żyj! Żyj! Żyj!

Wraz z ostatnim żalonym jękiem, nakazującym siostrze powrót z krainy cieni, osiągnął orgazm, osunął się na podłogę i znieruchomiał.

Wszyscy skamienieli, wpatrując się w cesarza, który nie dawał oznak życia. Wespazjan poczuł przypływ nadziei, myśląc sobie, że Kaligula przebrał miarę i bogowie mają wreszcie dość.

Nadzieje okazały się płonne; wciągnąwszy raptownie powietrze, cesarz powrócił ze świata zmarłych, tyle że sam. Ukląkł i potoczył dokoła pustym wzrokiem. Po kilku chwilach jego przekrwione, zapadnięte oczy spoczęły na Wespazjanie; uśmiechnął się niedorzecznie i przywołał go gestem.

Z najgorszymi przeczuciami Wespazjan podszedł do sceny.

Cesarz podpełzł bliżej i położywszy mu dłoń z tyłu głowy, przysunął twarz tak blisko jego twarzy, że ich czoła się zetknęły.

- Nie mam nic, co mogłoby mnie pocieszyć poza własną wielkością, mój przyjacielu - syknął. - Pamiętasz, jak powiedziałem, że będę budował, Wespazjanie?

- Tak, pryncepsie - odparł Wespazjan, sztywniejac z przerażenia - powiedziałeś, że będziesz budował wspaniale, co już udowodniłeś swoim pomostem.

- W rzeczy samej, ale to był drobiazg. Teraz, dla upamiętnienia Druzylli, dokonam największego w historii osiągnięcia; przy nim mosty Dariusza i Kserksesa łączące Azję z Europą będą się wydawać dziecięcymi zabawkami.

- Jestem pewien, że potrafisz tego dokonać, ale co to będzie?

- To będzie most godny boga. Zbuduję most przez Zatokę Neapolitańską, po czym pokażę swoim kolegom bogom i całej ludzkości, że jestem największym przywódcą, jaki kiedykolwiek istniał, zamierzam bowiem przejechać po tym moście w napierśniku człowieka, którego przewyższyłem, Aleksandra.

- Ale przecież on znajduje się w jego mauzoleum, w Aleksandrii.

Uśmiech Kaliguli był uśmiechem szaleńca.

- No właśnie, a ponieważ ty chcesz tam pojechać, więc daję ci pozwolenie, pod warunkiem że udasz się do tego mauzoleum i zabierzesz Aleksandrowi jego napierśnik. Masz przywieźć mi go do Rzymu.

CZĘŚĆ IV

ALEKSANDRIA

LIPIEC, 38 R.

Rozdział siedemnasty

Na pewno w życiu nie zobaczę budowli wyższej od tej - mruknął Wespazjan, spoglądając ze zdumieniem w górę, na latarnię morską, która wznosiła się na wysokość ponad czterystu stóp. Obliczył sobie, że gdyby insula, kamienica w Rzymie, była tej samej wysokości, to miałyby prawie pięćdziesiąt pięter, i zwątpił, by planowany przez Kaligulę most mógł coś takiego przebić. Zacisnął ręce na barierce nadburcia cesarskiej triremy, by zachować równowagę, kiedy w okręt uderzyła kolejna duża fala odbita od ogromnego falochronu, który osłaniał Wielki Port w Aleksandrii. Mgielka drobniutkich kropelek niesionych słońcą bryzą zwilżyła mu togi i ochłodziła skórę wystawioną na słoneczny żar. Regularne dźwięki piszczałki nadające wioślarzom tempo zwolniły rytm i opuszczono główny żagiel; dopływali do celu podróży.

- To musi być kurewsko największa rzecz w całym kurewskim świecie - oświadczył Ziri, który biegle już władał łaciną i równie biegle przeklinał. - Powiedziałbym, że to by było wielkie nawet przy największej gorze w środku kurewskiej pustyni.

- Długo musieli to budować - skomentował Magnus.

Wespazjan skinął głową.

- Siedemnaście lat. Skończono ją nieco ponad trzysta lat temu. Zamówił ją pierwszy z Ptolemeuszów, a jego syn dokończył budowę. Pewnie jak ktoś chce, by go pamiętano, to właśnie tak powinien postąpić: wybudować coś wspaniałego.

- Takiego jak most Kaliguli? - spytał jego przyjaciel z uśmiechem.

- To będzie zapamiętane tylko jako szaleństwo. Miałem na myśli wybudowanie czegoś pożytecznego, bo wtedy ludzie zapamiętają twoje imię.

- Kto wybudował Circus Maximus?

Wespazjan zmarszczył brwi i zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wiem - odparł w końcu.

- No widzisz, to nie zawsze tak działa.

Wespazjan spojrział raz jeszcze w górę. Latarnia morska u wejścia do portu w Aleksandrii w miarę zbliżania się do niej rosła w oczach. Dzień wcześniej, z odległości ponad pięćdziesięciu mil, pierwszy raz dostrzegli jej światło. Za dnia promienie słońca, a w nocy blask potężnego ogniska odbijały się od ogromnego lustra z polerowanego brązu. Była bezsprzecznie wspaniałym osiągnięciem: usytuowana na wschodnim cyplu długiej wąskiej wyspy Faros, nazwana jej imieniem, zbudowana została na kwadratowej podstawie dziewięćdziesiąt stóp wysokiej, o boku długości trzystu pięćdziesięciu stóp, z granitowych bloków połączonych roztopionym ołowiem, by mogła się oprzeć uderzeniom morza. Sama wieża składała się z trzech części: pierwsza była kwadratowa i stanowiła nieco ponad połowę jej wysokości, następna ośmiokątna, a ta najwyżej położona, gdzie umieszczono lustro i ognisko, okrągła. Całość wieńczył gigantyczny posąg Posejdona, a podstawę zdobiły przy czterech rogach trytony. Wespazjan nie wyobrażał sobie, by cokolwiek mogło przewyższyć tę budowlę pod jakimkolwiek względem.

- Przestań się gapić i dziwować, Ziri, tylko idź spakować nasze rzeczy - rzucił Magnus, kiedy się już napatrzył. - Wkrótce cumujemy.

- Tak, panie. - Mały Marmaryda popędził do ich kabiny na rufie.

- I nie zapomnij... - zawołał za nim Wespazjan.

- Nie, nie zapomnę tej twojej kurewskiej skrzynki, panie - odpowiedział Ziri, nie pozwalając mu dokończyć.

Wespazjan popatrzył na Magnusa.

- Czy muszę znosić taką bezczelność? - spytał.

Magnus wzruszył ramionami.

- Nie musisz, zawsze możesz powiedzieć, żebym go trzymał z dala od ciebie, ale skoro nie wzięłeś własnego niewolnika, kto by zadbał o twoje potrzeby?

- Widzę, że już najwyższy czas, bym zainwestował w niewolników - uznał Wespazjan. Do tej pory zawsze korzystał z niewolników rodziców albo Gajusza i nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby kupić własnych; nawet podczas pobytu w Cyrenajce dbali o niego niewolnicy z rezydencji namiestnika. - Kłopot w tym, że są tacy kosztowni, najpierw kiedy się ich kupuje, a potem kiedy trzeba ich żywić.

- Jak już zamienisz u Talesa ten weksel na gotówkę, to będzie cię stać na wielu, a na razie przestań gderać, kiedy użyczam ci swojego za darmo.

Okręt wszedł właśnie do Wielkiego Portu Aleksandrii - wybudowano go w skali odpowiadającej latarni morskiej, mierzył bowiem dwie mile na półtorej. Po prawej znajdował się Heptastadion, ogromne molo, pełniące również funkcję falochronu, długie na siedem stadiów, czyli tysiąc czterysta kroków, i szerokie na dwieście kroków, które łączyło wyspę Faros z lądem stałym; za nim, w porcie handlowym prawie tak dużym jak sam Wielki Port, Wespazjan zobaczył potężne kadłuby statków zbożowych, zacumowanych przy wielkich zbiornikach z ziarnem. Po lewej stronie kolejny długi, zakręcający ostro falochron zwany Diabatrą, biegł zgodnie z naturalną linią brzegową od wejścia do portu aż do świątyni Artemidy, obok królewskiego pałacu Ptolemeusza. Pomiędzy tymi ogromnymi wytworami rąk ludzkich, stanowiącymi zabezpieczenie przed morskim żywiołem, ciągnęły się budynki dorównujące wspaniałością budowlom Rzymu. W centralnym punkcie nabrzeża, na czubku niewielkiego cypla, stało Tymonium, kolumnadowy letni dom, który Marek Antoniusz zbudował po klęsce zadanej mu przez Augusta pod Akcjum. Na zachód od niego, aż do Heptastadionu, ciągnęły się pomosty i nabrzeża portu floty wojennej. Tutaj kołysały się zacumowane triremy, kwadremy i kwinkweremy floty Aleksandryjskiej, wypucowane i nieskazitelne po niedawnych zimowych naprawach. Słońce odbijało się od ich zanurzonych do połowy, obitych płytami z brązu taranów, a mrowie ludzi krzątało się na pokładach. Akwen portowy o powierzchni trzech mil kwadratowych usiany był jednostkami pływającymi, z wydętymi trójkątnymi żaglami. W nieodłącznym towarzystwie skrzeczących mew kursowały w tę i z powrotem promy i łodzie rybackie, zwiększając jeszcze wrażenie

Wespazjana, że oto wpływa do najruchliwszego i najokazalszego portu na świecie.

Z podziwem myślał o wizji człowieka, który spowodował, że powstało tu to wszystko z niczego. Tym człowiekiem był Aleksander Wielki Macedoński. To jego napierśnik miał zabrać do Rzymu i zawieźć cesarzowi, który uważał, że przerósł wodza Hellenów. Patrząc na to majestatyczne miasto, jedno z wielu, jakie Aleksander założył w ogromnej monarchii, którą stworzył, uzmysłowił sobie głębię urojeń Kaliguli, ponieważ największe dzieło człowieka zostało już zrealizowane. Nikt nigdy nie przewyższy Aleksandra... nawet Cezarowi czy Augustowi daleko było do tego, co ten wódz osiągnął w swoim krótkim życiu. Można było co najwyżej dążyć do tego, by stać się bladym cieniem człowieka, którego spuścizna, a przynajmniej jej część, leżała teraz przed Wespazjanem, skąpana w upalnym letnim słońcu - tam, gdzie przed przybyciem Aleksandra znajdowała się tylko przycupnięta na rozprażonym piasku mała rybacka osada.

Trirema wślizgiwała się gładko do doku; na głośny rozkaz wiosła z lewej burty wciągnięto do środka. Natomiast z prawej burty wciąż delikatnie wiosłowano wstecz i przy akompaniamencie cichego plusku oraz pokrzykiwań żeglarzy i pracowników portowych burta przywarła do grubych drewnianych bali chroniących kamienny pomost. Rzucono cumy, zwinięto żagiel przedni i opuszczono trap; podróż dobiegła kresu.

Triarchus, kapitan triremy, potwierdził, że okręt nie odpłynie, póki nie wrócą po załatwieniu cesarskiej sprawy, niezależnie jak długo to będzie trwało. Wespazjan sprowadził Magnusa i Ziriego z okrętu i ruszył ku edyłowi portowemu, czekającemu na pomoście razem z szesnastoma legionistami dowodzonymi przez optio, zastępcę centuriona, z XXII legionu Deiotariana. Po dziesięciu dniach spędzonych na morzu Wespazjan miał wrażenie, że solidna konstrukcja pomostu kołysze się pod jego nogami; zatoczył się lekko i poczuł, że Magnus chwyta go za łokieć.

- Ostrożnie, panie, nie możemy sobie pozwolić, żeby senator rymnął publicznie na plecy jak jaka westalka po zakończeniu trzydziestoletniej służby dla bogini.

- Tak, dziękuję ci za to przypomnienie, Magnusie - odparł cierpko Wespazjan, stojąc przez chwilę bez ruchu dla odzyskania równowagi, po czym wręczył cesarskie pismo edyłowi.

- Senator Tytus Flawiusz Wespazjan z pełnomocnictwami cesarza - oświadczył.

Edyl przeczytał uważnie dokument, zerknął na cesarską banderę powiewającą na maszcie i uniósł brwi.

- Wszystko się zgadza, senatorze. Ostatni raz widzieliśmy tu senatora cztery lata temu, jako że poprzedni cesarz, za radą swojego astrologa, zakazał wam tu przybywać. - Zamilkł i zachichotał drwiąco. - Teraz wreszcie pojawia się senator, i to na osobistym okręcie cesarza. Czym mogę służyć?

- Chcę się natychmiast spotkać z prefektem w sprawach cesarskich.

Edyl skinął głową i zwrócił się do zastępcy centuriona.

- Hortensjusz, udaj się z senatorem do pałacu królewskiego i pozostań przy nim przez cały czas jego pobytu tutaj, udzielając mu wszelkiej pomocy, jakiej będzie potrzebował.

Wespazjan wymamrotał podziękowanie, odnosząc wrażenie, że właśnie znalazł się pod strażą wojskową.

- To absolutnie wykluczone - poinformował Wespazjana prefekt Aulus Awiliusz Flakkus, kiedy usłyszał, czego życzy sobie cesarz. - Gdyby zabrano ten napierśnik, cała tutejsza grecka społeczność, zdecydowanie największa, z wściekłości wzniesłaby powstanie. Oni wszyscy otaczają Aleksandra wielką czcią i jakiegokolwiek świętokradcze posunięcie z naszej strony wobec jego mauzoleum zostałyby uznane za wypowiedzenie wojny. Edykt Kaliguli dotyczący umieszczenia posągów cesarza we wszystkich świątyniach już wywołał zbrojny sprzeciw Żydów, a ja nie będę w stanie ostro się z nimi rozprawić, mając jednocześnie na głowie Greków - oświadczył stanowczo.

Jego opalona twarz o silnie zarysowanych szczękach znieruchomiała, a ciemne oczy spoglądały na Wespazjana spod siwiejących brwi, prowokując go do sprzeczki. Przez okno za jego plecami widać było, jak w popołudniowym słońcu lśni Wielki Port. Do wnętrza wpadała łagodna bryza, chłodząc komnatę, tę samą, w której kiedyś przebywali Kleopatra, Juliusz

Cezar i Marek Antoniusz.

- Ale takie jest życzenie Kaliguli.

- To niech ten dupek wymyśli sobie inne życzenie.

Wespazjana zaskoczyła taka jawna obelga rzucona pod adresem cesarza przez jednego z jego namiestników.

- Nie możesz w ten sposób wyrażać się o cesarzu, szczególnie w obecności senatora.

- A kto niby mu to powtórzy? Ty? Cóż, nie krępuj się, mam to gdzieś.

Wespazjan się wyprostował.

- Jako członek senatu przewyższam cię rangą, domagam się więc, byś wydał mi napierśnik.

- Możesz sobie być senatorem, a ja tylko zwyczajnym ekwitą, ale tutaj, w Egipcie, to ja rządę i ja ci mówię, że jeśli cesarz nie chce, by dostawy zboża zostały wstrzymane na resztę lata, podczas gdy ja będę zajęty tłumieniem dwóch rebelii, to niech przejeżdża po swoim żalonym moście wystrojony w coś innego. I możesz mu przekazać, że to moje słowa.

- Każe cię zastąpić, sprowadzić do Rzymu i zabić.

- Miał już mnie zastąpić Makronem, ale jemu kazał się zabić i postanowił ponownie zatwierdzić mnie na tym stanowisku. Miałem nadzieję, kiedy cię zobaczyłem, że przywozisz mi tę cesarską nominację, ale zapewne wyleciało mu to z głowy. Nieważne, jestem pewien, że niedługo ją przywiozą. A jeśli się rozmyśli i mnie odwoła, i tak nie wrócę do Rzymu. Jesteśmy oddaleni o tysiąc mil, ale to i owo do mnie dociera. Kaligula jest szalony i nawet własnego kuzyna kazał zabić za to, że kaszlał, i dlatego dopóki on będzie cesarzem, moja noga w Rzymie nie postanie.

- Tutaj chyba nie możesz zostać?

- Oczywiście, że nie, ale świat jest duży, a stanowisko prefekta Egiptu jest bardzo lukratywne. Mam dość pieniędzy, by się udać, gdziekolwiek zechcę.

Wespazjan zamierzał już zakwestionować ten ostatni punkt, ale rozmyślił się i postanowił zmienić temat.

- Mam tutaj do załatwienia pewną osobistą sprawę, co zajmie mi kilka dni, i byłbym zobowiązany, gdybyś udzielił mi w tym czasie gościny.

Flakkus uśmiechnął się pojednawczo.

- Przynajmniej w tej sprawie mogę ci służyć, senatorze. Oddam ci do dyspozycji wiele pokoi, zobaczysz, że będzie ci wygodnie. Mam nadzieję, że zjesz ze mną wieczorem kolację. Będziemy mieli z małżonką kilkoro gości.

- Dziękuję, prefekcie, będę zachwycony - odparł Wespazjan nie do końca szczerze, ale nie zamierzał irytować człowieka, który czuł się na tyle pewnie w swojej prowincji, że odważał się przeciwstawić cesarzowi.

- Czy coś jeszcze?

- Gdzie mogę znaleźć bankiera Talesa, a także alabarchę?

Flakkus zachmurzył się.

- Bankier jest codziennie od świtu na Forum, a alabarcha mieszka obok żydowskiej świątyni, przy bramie Kanopskiej, ale po co ci on?

Wespazjan wyjaśnił krótko sprawę przekazania złota zmarłego wyzwolenca ojca, Atafanesa, jego mieszkającej w Partii rodzinie.

- Cóż, możesz mu zaufać, że to zrobi, pod warunkiem że dostanie swój procent - oświadczył Flakkus. - Nieuczciwość to ostatnia rzecz, o jaką bym go posądził, jest natomiast

przebiegłym politykiem... nie pozwól, by cię wykorzystał do własnych celów. Ostatnio Żydzi domagają się wielu rzeczy: pełnego obywatelstwa Aleksandrii, prawa do zamieszkania poza dzielnicą żydowską oraz usunięcia posągów cesarza z ich świątyń, a to tylko niektóre z nich. Jeśli dostarczysz mu okazji, nie omieszka wciągnąć cię w swoje sprawy. A teraz proszę mi wybaczyć, bo mam się spotkać z osobą, która, jak mam nadzieję, pomoże mi poradzić sobie z Żydami. - Flakkus uśmiechnął się chłodno i odprowadził Wespazjana do drzwi. - Do zobaczenia na wieczery, senatorze. Jeśli będziesz chciał gdzieś się wybrać, eskorta ma rozkaz, by wszędzie ci towarzyszyć. Żołnierze będą czekać na ciebie przy bramie. To jedyna droga do pałacu i z pałacu.

- Po prostu trzeba się włamać i to wykraść - oświadczył Magnus, kiedy siedzieli, popijając schłodzone wino, na tarasie usytuowanych na piętrze pokoi Wespazjana i oglądali zachód słońca nad Wielkim Portem.

- Nie możemy tego zrobić - odparł wstrząśnięty takim pomysłem Wespazjan.

- No dobra, a masz lepszy pomysł? Może wrócisz do Kaliguli i powiesz mu, że Flakkus nie pozwolił ci tego zabrać?

- A czyją szyję będzie miał przed oczyma, kiedy to powiem, moją czy prefekta?

- No właśnie. To masz jakieś inne pomysły?

- Nie - odparł Wespazjan, pocieszając się łykiem wina.

- To zostaje nam tylko mój.

Wespazjan wstał, podszedł do marmurowej balustrady, oparł się na niej i zamyślił głęboko. Magnus dołączył do niego.

- Skoro już zamierzamy to zrobić - odezwał się po jakimś czasie Wespazjan - musimy przeprowadzić to tak, by nikt nie zauważył, że coś się stało, w przeciwnym razie powstanie cała grecka społeczność.

- Myślisz, że powinniśmy mieć replikę i dokonać podmiany?

- Właśnie. Będziemy musieli wejść do pałacu i go opuścić niezauważeni.

Magnus spojrzął w dół. Od powierzchni wody dzieliło ich pięćdziesiąt stóp.

- To najszybsza droga, prosto w dół.

- Będzie potrzebna łódź.

- No cóż, nie zamierzałem płynąć wplaw.

- W takim razie będziemy musieli przejść obok straży, wchodząc do mauzoleum i wychodząc.

- Zrobimy rekonesans.

- Z naszą eskortą?

- Czemu nie?

- Flakkus się dowie.

- I co z tego? Po prostu zwiedzamy, nie?

- Pewnie tak.

- Potrzebny nam jest ktoś tutejszy, kto zna nocne zabezpieczenia wewnątrz mauzoleum i kto dostarczy nam łódź.

- Feliks? - spytał po dłuższym zastanowieniu Wespazjan.

- Możemy mu zaufać?

- A jak ty uważasz?

- A jest ktoś inny, komu moglibyśmy zaufać?

- Antonia mu ufała.

Magnus milczał przez chwilę, po czym skinął głową.

- Jak go znajdziemy?

- Powiedział, że alabarcha zawsze wie, gdzie go szukać.

- Więc jutro go zapytasz?

Pukanie do drzwi przerwało rozmowę. Zajrzeli do pokoju i zobaczyli, że Ziri wpuszcza bardzo atrakcyjną niewolnicę.

- Panie - zawołał Ziri - ona mówi, że ma cię zaprowadzić na kolację.

- Doskonale. - Wespazjan spojrział na Magnusa, który pozeriał wzrokiem dziewczynę. - Co będziesz w tym czasie robił? - spytał.

- Myślisz, że trafisz sam do triklinium?

- Na pewno - odparł Wespazjan, unosząc brwi.

- To ja tak sobie myślę, że nigdzie nie wyjdę przez cały wieczór, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Skręciwszy kilkakrotnie nie tak jak trzeba, Wespazjan wreszcie odnalazł drogę przez pałacowy labirynt i trafił do wysoko sklepionego szerokiego korytarza, wzdłuż którego stały posągi. Na końcu znajdowało się wejście, zza którego dobiegały odgłosy ożywionej rozmowy. Mijając posągi, podziwiał je po kolei. Były to naturalnej wielkości podobizny wszystkich członków dynastii Ptolemeuszy, mężczyzn i kobiet, poczynając od jej założyciela,

jednego z wodzów armii Aleksandra, Ptolemeusza Sotera. Kamienne postaci mężczyzn wyposażono w oryginalne kompletne stroje wojskowe z tamtych czasów: hełmy, modelowane na tors atlety pancerze, nagolenice i miecze. Posągi kobiet obleczono w jedwabne szaty, którymi lekko powiewał wiatr z dworu, głowy okryto imponującymi perukami. Odslonięte części kamiennych rąk i nóg pomalowano na cielisty kolor, twarze odtworzono realistycznie i szczegółowo.

Kiedy zbliżył się do końca szeregu, przystanął na chwilę przed przedostatnią figurą, przedstawiającą Kleopatę VII, i zapatrzył się w twarz kobiety, która urzekła najpierw Juliusza Cezara, a potem Marka Antoniusza. Nie była klasyczną piękną, miała długi i wydatny nos, chłopięcy podbródek i usta, jednak widoczna zmysłowość czyniła jej twarz pociągającą. Nie ulegało wątpliwości, że była niezwykłą kobietą.

- Wciąż wpatrujesz się w kobiety, kwestorze? Czy powinnam raczej powiedzieć: senatorze?

Wespazjan odwrócił się i na tle wejścia zobaczył kobiecą sylwetkę.

- Ta przynajmniej nie próbuje cię zmusić, byś jej wysłuchał - dodała kobieta.

- Flawia! Co ty tu robisz?

Flawia Domicylla ruszyła do przodu, pojawiając się w światłach korytarza.

- Jestem tu od czasu ucieczki przed rozruchami w Cyrenie. A ty?

Wespazjan przyjrzał się jej. Nic się nie zmieniła, a sądząc po tym, jak krew zaczęła zwawiej płynąć mu w żyłach, jego pożądanie również pozostało niezmiennie; wciąż była dla niego idealnie stosowną kobietą.

- Jestem tutaj na rozkaz cesarza - wykrztusił i aż zawirowało mu w głowie, kiedy poczuł jej zapach.

Otworzyła szerzej oczy, a jej źrenice się zwężyły; zbliżyła się o kolejny krok i

uśmiechnęła kusząco.

- Poruszasz się w najwyższych kręgach, prawda? Fascynujące... musisz mi o tym opowiedzieć przy wieczerzy. - Wzięła go pod rękę i przeprowadziła przez drzwi; poszedł chętnie, czerpiąc przyjemność z delikatnego dotyku jej dłoni.

- Och, Flawio, znalazłaś naszego senatora, jakże to zmyślne z twojej strony. Teraz możemy już jeść. - Bliska pięćdziesiątka przysadzista kobieta z uśmiechem na okrągłej twarzy i błyskiem w oku ruszyła energicznie w ich stronę. - Senatorze Wespazjanie, jestem Lelia, żona prefekta.

- Miło mi cię poznać, pani. Wybacz spóźnienie.

- Posłałam po ciebie dziewczynę, czyżby nie dotarła? Każę ją wychłostać, kiedy wróci.

- Nie, proszę tego nie robić. Dotarła, jak najbardziej, ale było ee... coś do zrobienia w moich pokojach, więc zostawiłem ją, aby się tym zajęła, i sam poszukałem drogi.

- Cóż, nieważne, skoro już tutaj jesteś. A ponieważ to Flawia cię znalazła, jej przypadnie w nagrodę miejsce obok ciebie. Inne kobiety będą bardzo zazdrosne.

- Ona to robi tylko dlatego, żeby jej małżonek trzymał ręce z dala ode mnie - szepnęła mu Flawia do ucha, kiedy szli za Lelią ku zebrany wokół niskiego stołu biesiadnikom.

Wespazjan zadrżał mimowolnie, kiedy usta Flawii znalazły się tak blisko jego twarzy i poczuł słodczy jej oddechu.

- Często tego próbuje? - spytał.

- Tak, a czasami pozwalam mu nawet dopiąć swego.

- Dlaczego? Mogłabyś powiedzieć nie.

- Jestem tutaj już trzy lata, jak według ciebie miałabym przetrwać bez mężczyzny, który by o mnie zadbał?

Rozdział osiemnasty

Wespazjana obudziło pukanie do drzwi sypialni. Po chwili pokazała się w nich głowa Magnusa.

- Kazałem, żeby krzesło... och! Nie będę przeszkadzał. Zajmuj się tym dalej - rzucił i wycofał się pospiesznie.

Wespazjan obrócił się na bok i spojrzał na Flawię; otworzyła oczy.

- Kiedy mówi „tym”, to rozumiem, że ma na myśli mnie - powiedziała, ziewnąwszy leniwie.

- Mógł mieć na myśli sam uczynek.

- Taka interpretacja byłaby stosowniejsza, ale uwierzę ci tylko wtedy, kiedy udowodnisz, że jest poprawna.

Wespazjan uśmiechnął się i pocałował ją, przesuając jednocześnie opuszkami palców po jej piersiach, po płaskim brzuchu, zanim wsunął rękę pomiędzy jej nogi. Jęknęła cicho, jak czyniła przez większą część nocy, kiedy jej wargi wędrowały po całym jego ciele, w przerwach pomiędzy chwilami wzmożonej aktywności; kochał się z nią w sposób, w jaki nie robił tego z żadną kobietą poza Cenis.

Postanowił wziąć ją do łóża w chwili, kiedy ponownie ją zobaczył. Okazała się nader chętna, szczególnie gdy jej wyjaśnił, że odnalazł Kapellę i sprowadził go z powrotem z pustyni - jednym słowem, nie zawiódł jej. Nie wyglądała na szczególnie przejętą, kiedy usłyszała o tragicznej śmierci mężczyzny, i była szczerze zaskoczona, że nie zajmował się handlem wielbłędami. Wespazjan nie powiedział jej, czym Kapella się zajmował, a kiedy zaczęła nalegać, napomknął tylko, że chodzi o sprawy cesarskie, o których lepiej, żeby nic nie wiedziała, co zresztą akurat było zgodne z prawdą. Zachwyciły ją jego koneksje na wysokim szczeblu i zaczęła z zapamiętaniem czarować go swoimi wdziękami, całkiem niepotrzebnie,

ale ku wielkiej uciechu Wespazjana, a ku zażenowaniu pozostałych gości. Kiedy kolacja dobiegła końca, Flakkus wyglądał na niezadowolonego, natomiast Lelia miała triumfującą minę i nawet nie spytała Flawii, czy chce, by sprowadzono jej lektykę.

Pomarańczowa poświata wschodzącego słońca przesączała się przez okiennice, a Wespazjan poczuł się wyczerpany. Zsunął się z Flawii i usiadł na brzegu łoża.

- Powinienem już iść; mam ważne sprawy do załatwienia.

- Jakie i ile? - spytała Flawia, podpierając głowę ręką.

- Prywatne i mnóstwo.

- Pójdę z tobą.

- Nie, po prostu bądź tutaj, kiedy wrócę.

Westchnęła i opadła z powrotem na poduszkę.

- Żaden problem - odparła krótko.

- Wygląda na to, że kolacja była udana - zauważył Magnus, kiedy Wespazjan wychynął ze swojej sypialni.

- Bardzo - odparł zagadnięty, a Ziri zaczął układać na nim togę.

- A więc?

- A więc najpierw pójdziemy się spotkać z alabarchą, potem udamy się na Forum, do Talesa, a jeszcze później spróbujemy znaleźć Feliksa.

- Wiem, co zamierzamy zrobić. Miałem na myśli: a więc, kim ona jest?

- To ci się nie spodoba.

Magnus pomyślał chwilę, a w końcu klepnął się otwartą dłonią w czoło.

- Niech Wenus da ci siłę, byś mógł oprzeć się tej kobiecie: Flawia!

- Mały ten świat, prawda?

- Za mały. Właśnie zamierzasz wziąć ćwierć miliona gotówką... nawet się nie spostrzeżesz, kiedy ona cię tego pozbawi.

- Nie, jeśli ją poślubię.

- Ostatnim razem, kiedy przyszło ci to do głowy, mnóstwo ludzi przeniosło się w zaświaty. Dlaczego nie zadowolisz się nią jako zabawką w łóżu podczas pobytu tutaj?

- Dlatego, że w tym roku skończę dwadzieścia dziewięć lat i muszę splotić synów. Moi rodzice praktycznie o niczym innym nie piszą w listach. - Wespazjan sprawdził ułożenie fałd przerzuconej przez lewe ramię togi i skinął z zadowoleniem głową. - Idealnie, Ziri, wreszcie to opanowałeś.

- Chcesz więc zabrać ją do Rzymu? - spytał Magnus, marszcząc brwi.

- Tutaj mieszkać nie zamierzam.

- Może nie zechce pojechać.

- Och, pojedzie. Będzie to najlepsza z ofert, jakie otrzymała, odkąd tu przybyła. A przy okazji, jak ci się udał wieczór?

- Podobnie jak tobie, tyle że bez dalekosiężnych zobowiązań wobec bardzo kosztownej kobiety.

- Jak to jest, że wam obu udało się wczoraj pochędożyć, a mnie nie? - spytał Ziri rozzalonym głosem.

- Ponieważ ty, Ziri, jesteś niewolnikiem - powiedział Magnus, trzepnąwszy go lekko w ucho - a poza tym nie zauważyłem w okolicach pałacu żadnych wielbłądów. A teraz przestań jęczeć i przynieś tu skrzynkę pana.

Hortensjusz, zastępca centuriona, czekał na nich z żołnierzami przy bramie pałacowej. Krył się w cieniu ogromnego posągu, który przedstawiał jakąś siedzącą postać, przypominającą Wespazjanowi wizerunek Amona ze świątyni w Siwie. Z greckiego napisu dowiedział się, że patrzy na przedstawiony w egipskim stylu wizerunek pierwszego Ptolemeusza.

- Możesz nas poprowadzić do domu alabarchy w pobliżu bramy Kanopskiej - rzucił Wespazjan do Hortensjusza, wsiadając do zamówionej przez Magnusa lektyki - skoro już jesteśmy na ciebie skazani.

Hortensjusz wyprężył się, a jego ludzie stanęli w szyku.

- Mógłbyś okazać się użyteczny i wystąpić w roli przewodnika, pokazując nam po drodze wszystko, co warto obejrzeć - powiedział Magnus, szczerząc zęby w uśmiechu.

Hortensjusz zignorował dowcip.

- Nie zrażaj go do siebie - mruknął Wespazjan, kiedy z bramy pałacu wyszli na teren zamkniętej królewskiej przystani - może nam się jeszcze przydać.

- Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz ktoś z Dwudziestego Drugiego zrobił coś przydatnego. Ten legion od niepamiętnych czasów nie brał udziału w żadnych walkach.

Opuścili królewską przystań i weszli do miasta, mijając po drodze dawne macedońskie dwukondygnacyjne koszary, służące obecnie za kwatery dla legionistów pełniących służbę na terenie miasta - rzymski obóz wojskowy usytuowany był na zewnątrz wschodnich murów. Skręciwszy w lewo, przeszli wzdłuż burej, długiej na dwieście kroków frontowej ściany budynku o prostokątnych oknach, a eskorta torowała im drogę przez tłum, potem skręcili w prawo i znaleźli się w dzielnicy żydowskiej.

Nastąpiła raptowna zmiana atmosfery; tutaj też panował duży ruch, ale jakaś pośepność wisiała w powietrzu, a kiedy szli środkiem ulicy, Wespazjan zauważył, że mieszkańcy obrzucają gniewnymi spojrzeniami nie tylko legionistów, ale równie wrogo zerkają na purpurowy szlak jego senatorskiej togi. Trzymał głowę wysoko i patrzył przed siebie, jak przystało rzymskiemu senatorowi w każdej części cesarstwa, która należała do senatu i ludu Rzymu.

Kiedy zagłębili się w tę dzielnicę, przechodnie coraz mniej chętnie ustępowali im z drogi i żołnierze musieli dla ostrzeżenia dobyć mieczy, a czasem wręcz zepchnąć tarczami na bok jakiegoś bardziej upartego człowieka.

- Może przydzielenie nam eskorty nie było takim złym pomysłem - powiedział Magnus - coś mi się zdaje, że nie przepadają tutaj za nami.

Przeszli pół mili wzdłuż rzędów domów w greckim stylu - piętrowych i zbudowanych wokół wydłużonego prostokąta wewnętrznego dziedzińca, z niewielką liczbą małych okien i zwyczajnymi drewnianymi drzwiami w białej ścianie frontowej - zanim skręcili na wschód, w ulicę Kanopską. Nic, co znał z Rzymu, nie przygotowało Wespazjana na taki widok; długa na trzy i pół mili i szeroka na sześćdziesiąt kroków, ze świątyniami i budynkami użyteczności publicznej po obu stronach, ulica biegła od bramy Kanopskiej we wschodnim murze prosto jak strzała do zachodniego muru i dalej, aż do nekropoli. Wespazjan starał się nie gapić jak jakiś rolnik z gór... którym zresztą, prawdę mówiąc, był.

Posuwali się teraz swobodniej, co ułatwiała im nie tylko szerokość ulicy, ale i znacznie większa różnorodność kulturowa przechodniów. Pomędzy budynkami, po obu stronach ulicy, Wespazjan zauważył niewielkie konstrukcje, otwarte z jednej strony i przypominające kształtem Circus Maximus, z miejscami siedzącymi dla co najwyżej stu osób. Byli tam głównie Grecy, słuchali jakiegoś mówcy znajdującego się z drugiej, półkolistej strony. Kiedy zbliżali się do czwartej z kolei takiej konstrukcji, dotarł do nich zgiełk, który nie mógł być wywołany przez grupę studentów przysłuchujących się debacie filozoficznej.

Z jeszcze mniejszej odległości Wespazjan zobaczył, że publiczność nie składa się z samych Greków, ale że są wśród niej także Żydzi i Egipcjanie. Wszyscy przekrzykiwali się

jak szaleni, a nawet poszturchiwali i nie rządziły tym podziały rasowe; mniejszość żydowska nie zgadzała się z większością słuchaczy - w tym również z wieloma członkami ich własnej rasy - która zdawała się popierać głównego mówcę, niskiego, łysiejącego mężczyznę, który usiłował przekrzyknąć klótnie. Zaskoczony Wespazjan niemal z opóźnieniem rozpoznał pałakowate nogi i władczy głos mówcy. Gajusz Juliusz Paulus.

- A co ten tu, do kurwy nędzy, robi? - wykrzyknął Magnus, kiedy i on zauważył Paulusa.

- Jak widać i słysząc, to, co mu najlepiej wychodzi - odparł Wespazjan. - Wywołuje bójki i sieje niezgodę.

- To ci dopiero obrzydliwy dupek!

- Tu mieszka alabarcha Aleksander, senatorze - poinformował Wespazjana Hortensjusz, kiedy zbliżyli się do dużego domu stojącego po północnej stronie ulicy, na samym skraju dzielnicy żydowskiej. Był w stylu greckim, ale na tyle okazały, by pasować do architektury domów ulicy Kanopskiej. - Ja i moi chłopcy poczekamy tu na ciebie, senatorze - dodał.

- Dziękuję, Hortensjuszu - powiedział Wespazjan, wysiadając z lektyki i biorąc od Ziriego skrzynkę Atafanesa. - Magnusie, ty z Zirim też tu poczekajcie; postaram się załatwić to jak najszybciej.

- Wciąż utrzymuję listowny kontakt z tą rodziną, senatorze - oznajmił Aleksander, alabarcha aleksandryjskich Żydów - i zapewniam, że dostarczenie im tego nie będzie żadnym problemem. Za trzy dni, przy najbliższej pełni księżyca, wyrusza do Partii karawana, jej właściciel jest moim kuzynem, możesz mu zaufać. Mogę zobaczyć, co jest w środku?

Wespazjan otworzył wieko stojącej pomiędzy nimi skrzynki. Siedzieli w chłodnym gabinecie alabarchy, po północnej stronie domu, i nie zagrażał im blask słońca. Pokój pełen był zwojów, z greckimi, hebrajskimi, aramejskimi i łacińskimi tytułami, przez co w powietrzu unosił się lekki zapach stęchlizny, przywodzący na myśl magazyn biblioteczny. Jedyne światło wpadało do środka między listewkami okiennic dwóch wychodzących na wewnątrz

dziedziniec okien, skąd dochodziły głosy młodych mężczyzn czytających coś jednocześnie, bardzo szybko i bardzo głośno.

- Wasz wyzwoleniec był bogaty - zauważył Aleksander, dotykając złotych monet i świecidełek. - Ile tego tu jest? - spytał.

- Niestety, nie wiem dokładnie.

- Wobec tego ja to zważę. - Aleksander wstał i z drewnianego kufra stojącego w rogu pokoju wydobyl dużą wagę. - Należność, która obejmie wszystkie koszty, włącznie z poniesionymi przez mojego kuzyna, wynosi osiemnaście procent wagi tego złota. Nie uwzględnię wartości robocizny włożonej w wykonanie wyrobów; czy to ci odpowiada, senatorze?

- Dziesięć.

- Szesnaście.

- Dwanaście.

- Piętnaście.

- Jedenaście.

Aleksander się uśmiechnął.

- Ostro się targujesz, jeśli zważyć, że nie są to twoje pieniądze. Bardzo dobrze, niech będzie dwanaście.

- Zgoda - powiedział Wespazjan.

Aleksander zaczął ważyć złoto.

Wygląd alabarchy zaskoczył Wespazjana, który spodziewał się zobaczyć

wyglądającego na mędrca, siwobrodego starca o załzawionych oczach, kapiącym nosie i może jeszcze do tego przygarbionego. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna: Aleksander był sprawnym fizycznie, silnym mężczyzną poniżej pięćdziesiątki, z czujnymi, niebieskimi, przenikliwymi oczyma i długimi włosami piaskowego koloru i takąż bujną brodą. Jedyne rzeczy, które zgadzały się z wyobrażeniem Wespazjana o stereotypowym Żydzie, było jego ubranie - bardzo typowe - oraz wydatny nos - zresztą w tym wypadku nie aż tak wydatny. Mężczyzna zachowywał się spokojnie, jak człowiek pewny siebie i swojej życiowej pozycji, i Wespazjan szybko się zorientował, że może mu zaufać.

- Sześć min, dwadzieścia cztery drachmy i trzy obole - oświadczył w końcu Aleksander.

- Z czego wynika, że twój procent wynosi siedemdziesiąt pięć drachm bez jednego obola - stwierdził Wespazjan po chwili zastanowienia - czy inaczej, prawie dokładnie jeden rzymski funt w złocie.

Aleksander wykonał szybko kilka obliczeń na tabliczce woskowej i uniósł brwi.

- Widzę, że niełatwo byłoby cię oszukać.

- Nie sądzę, byś tego próbował, Aleksandrze.

Mężczyzna zaczął odważać należną mu część.

- Wychowano mnie na uczciwego i prawdomównego i mam nadzieję, że tacy też będą moi synowie. - Wskazał ręką w stronę głosów na dziedzińcu. - To właśnie oni obaj, zajęci studiowaniem Tory, czego, jak się obawiam, nie znoszą tak samo jak ja w ich wieku. Jednak nalegam, by to robili, w przeciwnym razie, kiedy będą dorośli, na jakiej podstawie mogliby świadomie zdecydować, czy wyznawać religię, czy, jak ja sam, nie wyznawać.

- Nie jesteś Żydem?

- Oczywiście, że jestem Żydem pod względem rasowym, ale nie Żydem praktykującym. A jak sądzisz, dlaczego jestem alabarchą? Wraz ze mną Rzym otrzymuje to,

co najlepsze z obu tych światów; ma Żyda zarządzającego żydowską społecznością tutaj w Aleksandrii i zbierającego dla Rzymu podatki, co Żydzi są w stanie zaakceptować.

- Mimo że nie podzielasz ich wierzeń?

Aleksander zachichotał.

- Och, wystarczy to, co robię, żeby postrzegali mnie jako człowieka prawego. Ostatnio zapłaciłem za pozłocenie dziewięciu bram świątyni jerozolimskiej, więc muszą mnie akceptować; a jednocześnie Rzym ma alabarchę, który nie kieruje się religijnymi dogmatami. Rzym może we mnie widzieć człowieka bezstronnego.

- Nie takie wrażenie wyniosłem z rozmowy z Flakkusem - powiedział Wespazjan i uświadomił sobie, że popełnia nietakt. - Powiedział, że ostatnio masz zbyt wiele żądań.

- Ciągle jest nierozwiązana sprawa obywatelstwa Aleksandrii i to, czy Żydom wolno mieszkać poza dzielnicą żydowską, żeby już nie wspomnieć posągów cesarza w świątyniach. Ale jednocześnie staram się pośredniczyć pomiędzy starszyzną i prefektem w innej zupełnie sprawie. Oni chcą, żebym zlikwidował tę nową sektę, która według nich głosi herezję i którą uważają za atak Rzymu na swoją religię.

- Ależ to niedorzeczne, ta sekta nie ma nic wspólnego z Rzymem.

- Ich główny nauczyciel jest obywatelem rzymskim.

Wespazjan zmarszczył brwi.

- Paweł? Przecież on próbuje to wyplenić.

- Próbował wyplenić to, co znane było jako Droga; cztery lata temu robił bardzo nieprzyjemne rzeczy każdemu podejrzanemu o przynależność do tej sekty. - Aleksander wskazał ręką na idealnie równo wiszące szalki.

Wespazjan skinięciem głowy potwierdził zgodę na dwanaście procent.

- Tak - powiedział - natknąłem się na niego w Cyrenajce, był bezwzględny. Kazałem go aresztować i wsadzić na pokład statku wracającego na wschód.

- Szkoda, że nie kazałeś go zabić - powiedział Aleksander i zsunął należne sobie złoto do woreczka, który umieścił w szufladzie. - Cóż, teraz twierdzi, że doznał jakiegoś duchowego oświecenia w drodze do Damaszku. Kilka miesięcy temu pojawił się, wróciwszy z pustyni, gdzie żył samotnie trzy lata, i bez niczyjego zezwolenia zaczął nauczać. Twierdzi, że ma pozwolenie od Boga i że nie jest to w ogóle sprawa Żydów. I w pewnym sensie ma rację. Nie naucza on bowiem jakiejś zreformowanej wersji judaizmu, tej, której według swoich zwolenników Joszua, syn Josefa, nauczał wyłącznie Żydów. On naucza całkowicie nowej religii, zarówno Żydów, jak i nie-Żydów, religii, której punktem centralnym jest nasz Bóg, ale nie Tora. Twierdzi, że Joszua jest synem Bożym, który przyszedł na ten świat, by umrzeć za jego grzechy i zbawić całą ludzkość. Jedyne poprzez niego, jak utrzymuje Paweł, ci, którzy szczerze żałują za grzechy, mogą mieć nadzieję na życie z Bogiem w Królestwie Niebieskim, które nie jest z tego świata, zamiast czekać na zmartwychwstanie w ziemskim raju w Dniu Ostatnim, w co wierzy większość Żydów. Do swojego przesłania dodaje lęk i konieczność pośpiechu, utrzymując, że Dzień Ostatni czy też Dzień Sądu Ostatecznego, jak go nazywa, jest tuż-tuż. Paradoksalnie wini Żydów za ukrzyżowanie tego Jozui, mimo że jest to rzymski sposób egzekucji, zresztą gdyby nie ta egzekucja, Paweł nie miałby na czym oprzeć swojej niespójnej religii. Rozumiesz teraz, dlaczego starszyzna i reszta moich ludzi jest tak rozsierdzona.

- Tak, czułem to, kiedy przechodziłem przez żydowską dzielnicę. Dlaczego Flakkus nie zrobi czegoś z Pawłem?

- Sam go o to zapytaj - odparł Aleksander, wsypując złoto Atafanesa z powrotem do skrzynki. - Nie wiem dlaczego, ale sądzę, że po prostu o to nie dba. Ostatecznie, czymże takim jest nowa religia dla Rzymianina? Przyjmujecie je wszystkie.

- I zupełnie słusznie, jeśli tylko nie wymaga ona usunięcia napletka. Jednak ta wydaje się całkiem inna.

Aleksander zamknął skrzynkę.

- Jest inna i do tego niebezpieczna, nie uznaje bowiem żadnej ziemskiej władzy. Jest atrakcyjna, bo obiecuje zbawienie i nagrodę w przyszłym świecie, nie tu i teraz. Jeśli pozwoli się jej zakorzenić, to cały nacisk w naszej cywilizacji zostanie przeniesiony z debaty filozoficznej dotyczącej tego, jak żyć obecnie, na duchową, zajmującą się tym, jak się przygotować do owego teoretycznego życia po śmierci. Zastanawiałem się nad tym i ciekawi mnie, co by się stało z wiedzą i nauką, gdyby wszyscy ludzie zaczęli się przejmować wyłącznie ideą nieśmiertelnej duszy.

- Niestety, pogubiłem się w tym wszystkim - stwierdził Wespazjan, kiedy Aleksander zaczął wypisywać mu pokwitowanie. - Ale doskonale rozumiem, na czym polega niebezpieczeństwo religii, która nie uznaje najwyższej władzy cesarza... nieważne, jaki on jest. Tak czy owak, to chyba jest mała sekta stworzona przez jednego człowieka?

- Ale się rozrośnie, ponieważ Paweł kieruje swoje nauczanie do biedaków i niewolników, którzy nie mają na tym świecie nic do stracenia, natomiast wszystko do zyskania zgodnie z jego koncepcją zbawienia i obietnicą otrzymania duchowych bogactw na tamtym świecie; to bardzo potężny bodziec. Paweł to człowiek niezwykle ambitny i do tego przekonany, że nigdy tak naprawdę nie doceniono jego zdolności i przez całe życie odmawiano mu należnego miejsca w społeczeństwie. Tuż przed wyjazdem do Damaszku poprosił, wręcz zażądał, ręki córki arcykapłana i spotkał się z odmową. Myślę, że uznał to za ostateczne upokorzenie i postanowił znaleźć drogę do władzy własnymi siłami, ponieważ właśnie wkrótce potem zniknął. Teraz powrócił i sędzę, że znalazł sposób, żeby wywrócić ten świat do góry nogami, tak żeby to on znalazł się na górze.

- Porozmawiam z Flakkusem i spróbuję go przekonać, żeby aresztował tego człowieka - obiecał Wespazjan, nim uświadomił sobie, że alabarcha zrobił właśnie to, co przepowiedział Flakkus: wykorzystał go do własnych celów.

Aleksander uśmiechnął się i podał mu pokwitowanie za złoto Atafanesa.

- Dziękuję, Wespazjanie, byłbym ci za to wdzięczny. Jednak Flakkus powinien zrobić coś więcej... musi go skazać na śmierć.

Wespazjan spojrział w przenikliwe niebieskie oczy alabarchy i zobaczył, że mężczyzna nie żartuje. Najwyraźniej szczerze obawiał się tej nowej sekty.

- Cóż, zasugeruję mu to, Aleksandrze - zgodził się Rzymianin, wstając i wyciągając rękę nad biurkiem. - Muszę już iść, mam przed sobą pracowity dzień. Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć dawnego zarządcę majątku Antonii, Feliksa?

Aleksander uściskał wyciągniętą rękę.

- Jest akurat w mieście - powiedział. - Znajdziesz go w domu Antonii, tuż przy południowej ścianie gimnazjonu.

Wespazjan wyszedł za alabarchą na dziedziniec; czytanie natychmiast ustało, a dwaj synowie Aleksandra wstali; obaj mieli po kilkanaście lat.

- Senatorze Wespazjanie, to mój starszy syn Tyberiusz - Aleksander wskazał jednego z chłopców, który wyglądał Wespazjanowi na jakieś siedemnaście lat - i jego brat Marek.

Chłopcy skłonili głowy.

- Wasz ojciec wymaga od was solidnej nauki - zauważył Wespazjan.

- Wydaje się, że czerpie przyjemność z naszego cierpienia - odparł z uśmiechem Tyberiusz.

- Albo to, albo próbuje otumanić nasze umysły bezcelowym powtarzaniem - zasugerował Marek; chłopiec był jakieś dwa lata młodszy od brata.

Aleksander uśmiechnął się z dumą do synów.

- Za ten tupet możecie zarobić dodatkowe pięćdziesiąt wersów. Odpytam was o zachodzie słońca.

- Najpierw będziesz musiał nas znaleźć - oświadczył Tyberiusz, zgrabnie uchylając się

przed żartobliwym ojcowskim trzepnięciem w ucho.

- Dość już tego - oświadczył Aleksander ze śmiechem - wracajcie do nauki. Odprowadzę cię do wyjścia, senatorze.

Wespazjan, choć niesiony w lektyce, pocił się obficie, kiedy ulicą Kanopską wracali na zachodnią stronę miasta. Nie było jeszcze południa, a już skwar i suche nieruchome powietrze stały się nie do zniesienia, szczególnie dla kogoś odzianego w wełnianą togę. Inaczej niż w Cyrenie, usytuowanej na nadmorskim płaskowyżu, Aleksandrii nie owiewała dobroczynna chłodząca bryza.

- Jak sobie z tym radzicie, Hortensjuszu? - spytał Magnus zlany potem, mimo że miał na sobie jedynie tunikę. - W tych hełmach i zbrojach musicie się żywcem smażyć.

- Człowiek się przyzwyczaja, kolego - odparł optio przyjacielskim tonem - po jakichś dziesięciu latach.

- Chcesz powiedzieć, że po prostu przestaje cię to obchodzić.

- Masz rację, kolego - zgodził się Hortensjusz, wybuchając śmiechem - prawda, chłopcy?

Żołnierze przytaknęli dobrodusznie. Wespazjan domyślił się, że Magnus dobrze wykorzystał czas, kiedy czekali na niego przed domem alabarchy, i był teraz w dobrych stosunkach z żołnierzami eskorty.

- Wygląda na to, że Paweł przeniósł się dalej - rzucił Wespazjan do Magnusa, widząc, że arena, na której tamten nauczał, jest teraz pusta.

- Dowiedziałeś się od alabarchy, co on tu robi?

- Tak, ale nie uwierzysz, jak ci powiem...

Przerwały mu krzyki i głośny tupot wielu nóg. Ulicę, z południowej strony na

północną, przebiegało pędem dwóch Żydów. Goniła ich gromada wyjących, wymachujących kijami i ciskających kamienie Greków.

Wydawszy krótki krzyk, biegnący z tyłu Żyd padł do przodu trafiony w tył głowy. Sunął po brukowanej nawierzchni ulicy, zdzierając sobie skórę z twarzy. Jego towarzyszy pobiegł dalej, do dzielnicy żydowskiej, podczas gdy prześladowcy otoczyli leżącego bez ruchu mężczyznę, okładając go kijami i kopiać.

- Za mną, chłopcy - zawołał Hortensjusz, sięgając po gladius - w dwóch szeregach, tarcze trzymać wysoko i bić płazem!

Kobiety na ulicy zaczęły wrzeszczeć, a mężczyźni cofnęli się, wykrzykując obelgi albo słowa zachęty, zależnie od rasy. Wespazjan wysiadł z lektyki i razem z Magnusem i Zirim posuwał się powoli do przodu, podczas gdy legionieści zaatakowali napastników, którzy byli tak zajęci pastwieniem się nad ofiarą, że nie zauważyli zagrożenia, dopóki nie uderzyła w nich ściana dziewięciu tarcz, łamiąc im kości i zwalając z nóg. Polerowane żelazo migotało w promieniach słońca, kiedy żołnierze płazami mieczy walili po głowach ludzi stojących najbliżej.

Kto mógł, rzucił się do ucieczki, a legionieści szli dalej, kopiać i depcząc.

- Wystarczy, Hortensjuszu! - zawołał Wespazjan. - Odwołaj swoich ludzi.

Długa chwila minęła, nim legionieści zareagowali na rozkaz dowódcy, pozostawiwszy na ziemi kilka zakrwawionych ciał.

- Obejrzyj go - rozkazał Wespazjan i wskazał ręką leżącego bez ruchu, zakrwawionego Żyda.

Magnus przeszedł nad kilkoma ciałami, przyklęknął i odwrócił ciało; wystarczyło mu jedno spojrzenie na jego szkliste oczy.

- Nie żyje - stwierdził głośno, podczas gdy z żydowskiej dzielnicy nadbiegali mężczyźni i kobiety.

Hortensjusz ustawił żołnierzy, tworząc mur ochronny wokół martwych i rannych.

- Nie zbliżać się! - rzucił ostrzegawczo, kiedy pierwsi Żydzi byli już blisko.

- To mój brat! - krzyknął jakiś mężczyzna w średnim wieku, wysuwając się z tłumu.

- Przepuść go, Hortensjuszu - polecił Wespazjan - i każ zamknąć rannych. Powinni być osądzeni przez prefekta za morderstwo.

Legioniści rozstąpili się. Mężczyzna ukląkł przy zabitym i ujawszy jego dłoń, zapłakał.

- Dlaczego was ścigali? - spytał Wespazjan.

- W mieście jest głosiciel herezji, znowu pojawił się tutaj dzisiaj rano. Poszliśmy z bratem, żeby z nim dyskutować, ale on nie zamierzał nas wysłuchać. Twierdzi, że Bóg miłuje wszystkich ludzi, czy postępują zgodnie z Torą, czy nie, a drogą do Boga jest spożywanie ciała i picie krwi człowieka o imieniu Joszua, będącego, jak on utrzymuje, synem Bożym. A to jest bluźnierstwo.

- Spożywanie ciała i picie krwi? To niedorzeczne. Joszua nie żyje od jakichś pięciu lat.

- On mówi, że przemienia chleb i wino w jego ciało i krew.

Wespazjan starał się zrozumieć tę koncepcję.

- Czy należy to pojmować dosłownie? - zapytał.

- Nie wiem, mogę tylko tak założyć, bo po co inaczej by to mówił? Po spotkaniu powiedział swoim zwolennikom, że osobiście poprowadzi tę ceremonię. Poszliśmy z bratem za nimi, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Weszli do domu przy porcie, nad jeziorem. Udało nam się wspiąć na dach i przez szczelinę zajrzeć do środka, jednak zanim cokolwiek

zobaczyliśmy, dostrzeżono nas i musieliśmy uciekać.

- Przed zwolennikami tego człowieka?

- Nie, przed zwyczajnymi Grekami. W tej chwili my, Żydzi, jesteśmy niechętnie widziani poza naszą dzielnicą. Zawsze nas przeganiali, ale nigdy wcześniej nie robili czegoś takiego jak dzisiaj. - Wskazał zmasakrowane ciało brata i zaczął szlochać.

- Zabierz ciało i pochowaj - powiedział Wespazjan ze współczuciem w głosie. - Jak masz na imię?

- Nataniel - odpowiedział mężczyzna, tłumiąc szloch.

- Dopilnuję, by mordercy zostali postawieni przed sądem, masz na to słowo rzymskiego senatora. Winien jestem waszemu alabarsze przysługę za uprzejmość, jaką mi właśnie wyświadczył.

- Dziękuję, senatorze. - Mężczyzna z wysiłkiem podniósł ciało brata. Spojrzał na Wespazjana zaczerwienionymi oczyma. - Nie sądzę, by mój brat był ostatnią osobą zabita w tym mieście tylko za to, że jest Żydem.

Wespazjan odwrócił się do Hortensjusza, który miał teraz przy sobie tylko ośmiu żołnierzy.

- Ruszajmy - powiedział znużonym głosem - mam jeszcze wiele do zrobienia.

- Nie jest dobrze, kiedy zaczyna się mordować ludzi tylko za to, że są Żydami - powiedział Magnus do Wespazjana, kiedy już ruszyli.

- Ludzi morduje się tylko za to, że mają pełną sakiewkę.

- Nie to miałem na myśli, panie. Według mnie, im więcej ich się zabija za to, że są Żydami, tym szybciej oni zaczną brać odwet i wtedy okaże się, że ludzie są mordowani za to, że są Grekami czy Egipcjanami, czy, brońcie nas przed tym bogowie, Rzymianami. - Spojrzał

znacząco na senatorski szlak togi Wespazjana. - Jeśli wiesz, co mam na myśli - dodał.

Wespazjan doskonale wiedział.

Była już piąta godzina dnia, kiedy Wespazjan ze skromniejszą teraz eskortą dotarł do Forum, które, jak wszystko inne w Aleksandrii, było imponujące. Rozpościerała się stamtąd szeroka panorama Wielkiego Portu, po wschodniej stronie stał teatr na przeszło trzydzieści tysięcy widzów, a po zachodniej Cezareum, pałac z dwoma obeliskami, wybudowany przez Kleopatę dla ukochanego i jego imieniem nazwany. Długie na dwieście i szerokie na sto kroków Forum otaczała ogromna kolumnada z różnokolorowego marmuru. Roilo się tam od ludzi wielu ras i czuło się, że w tym miejscu bije serce wielkiego miasta. Talesa, który okazał się jednym z najważniejszych i najbardziej szanowanych miejscowych bankierów, nie było trudno znaleźć. Senatorska toga Wespazjana umożliwiła mu omińnięcie kolejki, jednak ku uldze innych, niezadowolonych klientów, jego sprawa nie zajęła wiele czasu. Odszedł po kwadransie z pokwitowaniem za swój weksel i z obietnicą od łysego i otyłego bankiera, że kiedy zjawi się następnego ranka, otrzyma 237 500 denarów gotówką, wypłacone w złocie dla łatwiejszego transportu do Rzymu. Tales zarobił 12 500 denarów prowizji na tej transakcji, jednak Wespazjan nie pozwolił, by psuło mu to humor, kiedy minąwszy rozległy kompleks gimnazjonu, dotarli do aleksandryjskiej siedziby jego nieżyjącej dobrodziejki.

Magnus pociągnął za łańcuch przy dzwonku i niemal natychmiast drzwi otworzyła ciemnoskóra niewolnica o falujących włosach, bardzo podobna do Ziriego.

- Senator Tytus Flawiusz Wespazjan do Marka Antoniusza Feliksa - oznajmił Magnus.

Wpuszczono ich bezzwłocznie i zaprowadzono do atrium, które zdobiło kilka fontann - chłodziły powietrze i wypełniały je delikatnym pluskiem wody.

- Senatorze Wespazjanie - dobiegł męski głos z drugiego końca pomieszczenia - jakże miło cię widzieć. Słyszałem o twoim przybyciu, ale nie spodziewałem się, że tak szybko będę miał zaszczyt cię zobaczyć.

Feliks wychynął zza posągu Posejdona, z którego ust wypływał strumień wody. Była to mała replika posągu wieńczącego latarnię na Faros, ale i tak dwa razy większa od

człowieka.

- Powiedziałeś, bym cię znalazł, jeśli będę potrzebował pomocy, Feliksie - odparł Wespazjan, idąc ku gospodarzowi - i właśnie jej potrzebuję.

- Nie powiedziałem, że będzie to niemożliwe - przypomniał im spokojnie Feliks - powiedziałem, że będzie trudne.

- Cóż, mnie się wydaje niemożliwe - mruknął pod nosem Magnus.

- Ale musi być zrobione - oświadczył kategorycznie Wespazjan, choć zastanawiał się, jak zdaniem Feliksa można tego dokonać.

Stali w mrocznym wnętrzu komory grobowej mauzoleum Aleksandra, znajdującego się w samym sercu Somy, świętego miejsca, w którym złożono ciała jego egipskich następców, Ptolemeuszy. Przed nimi, dziesięć stóp dalej, na granitowym bloku opartym na dwóch podobnych, ustawionych bokiem blokach, spoczywał sarkofag z przezroczystych płyt kryształu, umieszczonych w kratownicy z brązu. W migotliwym świetle trzech zawieszonych nisko po drugiej stronie lampek mienił się pomarańczowo i złociście, zupełnie jakby świecił od wewnątrz. W środku Wespazjan widział zarys ciasno owiniętego z mumifikowanego ciała Aleksandra Macedońskiego, największego zdobywcy i wodza, jakiego znał świat.

Chociaż sarkofag pozwalano oglądać z góry, przez szyb wycięty w sklepieniu komory grobowej i sięgający poziomu położonej trzydzięci stóp wyżej świątyni, sama komora nie była ogólnie dostępna. Jednakże kapłani kultu Aleksandra z przyjemnością dopuszczali do sarkofagu odwiedzających miasto dostojników, a za takiego z wielką chęcią uznali pierwszego od przeszło czterech lat senatora przybyłego do Egiptu i czuli się zaszczytzeni, mogąc spełnić jego życzenie. Jedynie Ziriemu nie pozwolono tam zejść i dlatego czekał w świątyni Aleksandra.

Pomimo konkretnego powodu tej wizyty Wespazjan był ogromnie przejęty, widząc namacalny dowód, że Aleksander naprawdę istniał, że nie był tylko jakimś mitycznym bohaterem. Już wcześniej miał okazję poczuć bliskość tego wielkiego wodza, kiedy w pałacu królowej Tryfeny w Tracji stał przy biurku, którego kiedyś używał Aleksander. Patrzył na ten

sam widok za oknem, jaki wielki Macedończyk oglądał każdego ranka, kiedy przybył tam, by zdobyć trackich najemników potrzebnych mu do podboju Wschodu. Tamto doświadczenie okazało się dla Wespazjana niczym w porównaniu z tym, że znalazł się teraz w tym samym pomieszczeniu co jego zachowane szczątki.

Wespazjan podszedł bliżej, by przyjrzeć się ciału i przy okazji zbadać, czy sarkofag dałoby się jakoś otworzyć.

- Możesz do niego podejść, panie, ale nie wolno go dotykać - ostrzegł go kapłan stojący w wejściu za ich plecami.

Wespazjan spojrział w dół poprzez kryształ i zobaczył twarz, która była wiekowa i zarazem młodzieńcza. Żadne zmarszczki nie znaczyły gładkiej, brązowej skóry, zabarwionej tak przez czas, okrywającej twarz i kość szczękową niczym najlepszej jakości pergamin, delikatny i niemal przezroczysty, tak że wyraźnie widoczny zarys kości tworzył wrażenie związanej z wiekiem kruchości. Kąciki wąskich ust uniesione były w delikatnym uśmiechu; powieki oczu, które widziały więcej cudów i dziwów niż jakiegokolwiek oczy przedtem czy potem, zamknięte, jak podczas snu. Długie włosy, wciąż bujne i jasne, zakrywały uszy i pieczołowicie ułożone leżały na poduszce, obramowując twarz delikatnym odcieniem ochry; wszystko to razem sprawiało wrażenie, że oto ma się przed sobą odpoczywającego spokojnie młodzieńca. Wespazjan zaczerpnął powietrza i wyteżył wzrok; jedyną niedoskonałością było to, że z nozdrza po ocienionej stronie twarzy odpadł kawałek.

- Wielki August zrobił to niechcący, kiedy kazał odsunąć wieko i dotknął Aleksandra - powiedział kapłan, zauważywszy, czemu Wespazjan się przygląda.

- Czy to wtedy zdjęto wieko po raz ostatni?

- Nie, Germanik przyprowadził tu swoich synów, a poza tym zdejmujemy je raz do roku, by wymienić mieszanki korzeni i ziół, które otaczają ciało Aleksandra i utrzymują je w tym stanie.

Wespazjan okrążył sarkofag, przyglądając się linii styku obu części, i zobaczył, że wieko utrzymuje się w miejscu swoim ciężarem i nie ma tam żadnych zabezpieczeń.

- Myślicie, że dwóch mężczyzn mogłoby to unieść? - spytał szeptem swoich towarzyszy, którzy podeszli do niego, kiedy skończył obchodzić sarkofag.

Magnus wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli nie, to na pewno zdołają unieść jeden koniec na tyle, żeby można było się dostać do napierśnika.

Spojrzenie Wespazjana pobiegło w stronę obiektu, który Kaligula kazał mu przywieźć z Egiptu; nie zobaczył oczekiwanych złociń, bogatych inkrustacji ani klejnotów. Napierśnik okazał się tym, który Aleksander nosił podczas bitwy, a nie wykonany specjalnie na wieczny spoczynek wodza. Tak jak w wypadku miecza Marka Antoniusza był to typowy wybór człowieka walki: wykonany z utwardzonej skóry i wymodelowany odpowiednio do mięśni torsu, który okrywał. Jedynymi ozdobami były złota inkrustacja pośrodku, przedstawiająca dwa stojące dęba naprzeciwko siebie konie, oraz pokryte brązem krawędzie przy szyi, barkach i biodrach, wzmacniające pancerz.

- Potrafisz zapamiętać tę inkrustację? - Wespazjan spytał szeptem Feliksa.

- Nie ma takiej potrzeby, prawie każdy posąg Aleksandra w tym mieście pokazuje go właśnie w czymś takim.

- W takim razie nie mamy już tutaj nic do roboty. - Wespazjan wyprostował się i odwrócił do czekającego kapłana. - Dziękuję za umożliwienie mi oglądania największego człowieka, jaki kiedykolwiek żył. To dla mnie wielki zaszczyt - oświadczył zgodnie z tym, co rzeczywiście odczuwał.

- Muszę zostać tu jeszcze chwilę, by przeprowadzić rytuał oczyszczający, niezbędny po każdej wizycie - powiedział kapłan, skłonieniem głowy przyjmując ich podziękowania. Stanął z boku, przepuszczając ich do kamiennych schodów prowadzących z powrotem do świątyni.

Kiedy minęli stojącego u szczytu schodów uzbrojonego wartownika w macedońskim

stroju wojskowym, ich oczy poraziła jasność. Wespazjan rozejrzał się po przepastnym, kolistym wnętrzu, na które zerknął jedynie przelotnie, kiedy prowadzono ich do grobowca. Uwagę natychmiast przyciągał ogromny posąg przedstawiający Aleksandra na Bucefale, bez hełmu, z powiewającymi włosami, z włócznią tak ułożoną pod pachą, jakby nią właśnie w kogoś mierzył. Obok, sprawiając dziwne wrażenie, stał obowiązkowy obecnie posąg Kaliguli.

Pośrodku świątyni znajdowała się wysoka do pasa balustrada, biegnąca wokół górnej krawędzi wąskiego szybu, który umożliwiał oglądanie ciała Aleksandra. Dokładnie nad nim, w znajdującym się pięćdziesiąt stóp wyżej stropie, wycięto tej samej średnicy otwór.

- W południe dziesiątego czerwca, w rocznicę śmierci Aleksandra, zgodnie z kalendarzem rzymskim - wyjaśnił Wespazjanowi kapłan - słońce ustawia się tak, że świeci prosto na jego twarz. Niestety, spóźniliście się o miesiąc.

- Szkoda - powiedział Wespazjan, spoglądając w górę. - A co się dzieje, kiedy pada deszcz?

- Tu rzadko pada, ale jest tam kłapa, którą w razie potrzeby możemy zamknąć.

Wespazjan skinął głową w zamyśleniu.

- Dziękuję - powiedział. - Byłeś bardzo pomocny.

Ruszył ku wyjściu, ale poślizgnął się i Magnus go podtrzymał. Popatrzył na zielonkawy ślad na posadzce.

- Proszę wybaczyć, senatorze - pospieszył z przeprosinami kapłan - każę ukarać za niedbalstwo niewolników, którzy myją tutaj podłogę.

- Co to takiego? - zainteresował się Wespazjan.

- Nocą, dla bezpieczeństwa, wpuszczamy do świątyni gęsi; gdyby ktoś unieszkodliwił stojące na zewnątrz strażę i dostał się do środka, ptaki podniosłyby alarm. To właśnie pamiątka po nich.

- Masz rację, okna musimy wykluczyć. Najlepiej byłoby wejść i wyjść przez dach, jeśli ta kłapa jest na tyle mocna, żeby można było przymocować do niej linę - zgodził się Magnus.

Siedzieli w cieniu, na terenie długiego i szerokiego centralnego dziedzińca Somy, otoczonego mauzoleami dynastii ptolemejskiej, ze świątynią Aleksandra na jego północnym krańcu. Pośrodku stał ołtarz, przy którym kapłan czekał na ofiary przynoszone przez mieszkańców miasta w nadziei, że ich półboscy nieżyjący władcy wstawią się za nimi u bogów w bliskich ich sercu sprawach, czy to finansowych, prawnych czy też osobistych.

- Najpierw jednak musimy się dostać do Somy - zauważył Wespazjan, spoglądając na jedyną bramę w wysokich murach kompleksu, przez którą właśnie przechodziła grupka Greków, prowadząc jagnię.

- To nie powinno być trudne - zapewnił ich Feliks. - Główna brama jest strzeżona, ale nigdy jej nie zamykają, żeby ludzie mieli i w dzień, i w nocy stały dostęp do tego ołtarza.

- Więc będziemy udawać błagalników?

- Właśnie.

- No dobrze - powiedział ze sceptyczną miną Magnus - założmy, że już wejdziemy i niezauważeni prześlizgniemy się do świątyni, dostaniemy się na dach, a potem na dół przez tę dziurę, to jak, na jaja Hadesa, poradzimy sobie z tymi ptaszyskami? - Wskazał ręką małe ogrodzenie po lewej stronie świątyni, za którym tkwiły dwa tuziny nocnych strażników.

Wespazjan wzruszył ramionami i spojrzał na Feliksa.

- Problem gęsi potrafię rozwiązać - zapewnił ich wyzwoleniec - musimy tylko umieścić kogoś w środku wieczorem przed akcją... to mógłby być Ziri. Większym problemem jest natomiast replika napierśnika.

- A co w tym jest takiego trudnego? - spytał Wespazjan. - Powiedziałeś, że wzór jest

łatwy do odtworzenia.

- Nie wzór mnie martwi. Ty powiedziałaś, że podmiana ma pozostać niezauważona, co nie byłoby trudne, gdyby kapłani patrzyli tylko przez kryształ. Ale raz w roku zdejmują pokrywę, no a wtedy zobaczą, że skóra nie jest stara. Nieważne, jak bardzo staralibyśmy się ją postarzyć, nigdy nie będzie wyglądała jak oryginał, szczególnie jeśli przyjrzą się jej z bliska.

- Czyli musimy znaleźć skórzany napierśnik, który ma mniej więcej trzysta lat? - spytał Wespazjan, unosząc brwi.

- Właśnie - odparł ze zrezygnowaną miną Feliks.

- To żaden kłopot; ubiegłej nocy widziałem takich kilkanaście.

Rozdział dziewiętnasty

Doskonale, naprawdę doskonale - powiedział Wespazjan, podziwiając skórzany napierśnik leżący na stole w gabinecie Feliksa.

- Mnie on wygląda na stary - zgodził się Magnus, kiwając z aprobatą głową.

- Jest niezły - przyznał Feliks - ale nie wytrzyma dokładniejszego badania.

- Nie wyobrażam sobie, by komuś chciało się wpatrywać w posąg Ptolemeusza, a jeśli nawet, to znaczy, że widzi go pierwszy raz, a w takim wypadku nie zna oryginału i uzna ten pancerz za prawdziwy. - Wespazjan podniósł napierśnik i obejrzał dokładnie krawędzie z brązu. Nie były identyczne z obrzeżeniem napierśnika Aleksandra, ale nie odróżniały się od krawędzi przy oryginale, który miał zostać zastąpiony, mianowicie przy napierśniku pierwszego Ptolemeusza. Wespazjan wybrał posąg Ptolemeusza Sotera, bo jego napierśnik był prostszy i mniej wyszukany od tych okrywających torsy jego potomków, których pancerze stawały się coraz bardziej zdobne, w miarę jak zmniejszała się waleczność tych, którzy je nosili. Jako jeden z dowódców armii Aleksandra, Soter naśladował zwyczaj swojego króla i nosił prosty, ale funkcjonalny pancerz macedoński, bez wypukłych ozdóbek, o które przeciwnik mógłby zaczepić oszczep i przebić utwardzoną skórę. W wypadku tego napierśnika wystarczyło więc tylko wymienić krawędzie z brązu i umieścić z przodu inkrustację przedstawiającą dwa stojące dęba konie.

- A co z Flakkusem?

- On chodzi tym korytarzem codziennie i zapewne nawet nie zerka na te figury - odparł Wespazjan, macając utwardzoną skórę napierśnika i podziwiając sposób, w jaki rzemieślnik nadał jej pewną miękkość, jakby była bardzo stara. - A poza tym, nawet gdyby zauważył podmianę, po czym uświadomił sobie, że ja to zrobiłem i dlaczego to zrobiłem, czy myślicie, że powiadomiłby aleksandryjskich Greków, że rzymski cesarz, człowiek, którego reprezentuje, kazał ukraść jeden z najbardziej czczonych przez nich przedmiotów? Nigdy w życiu. Miałby do czynienia z powstaniem, nim ktokolwiek zdążyłby wypowiedzieć „Kaligula

jest szalony”.

- Wygląda na to, że już ma na głowie jedno utrapienie - zauważył Magnus - i najwyraźniej coraz większe, jeśli sędzić po słupach dymu unoszącego się dzisiaj rano nad różnymi częściami miasta.

- Tak, zamieszki się rozprzestrzeniają - przyznał Feliks. - Teraz, kiedy Grecy w żądaniach Żydów, by przyznano im równy status, widzą zagrożenie dla swojej dominującej pozycji, zaczynają brać sprawy we własne ręce; ale to akurat może działać na naszą korzyść, bo na tym skupi się uwaga wszystkich.

W ciągu dziesięciu dni, kiedy czekali na wykonanie napierśnika, gwałtowność konfliktów na tle rasowym przybrała na sile. Żydzi wzięli odwet za męczyznę zamordowanego na ulicy Kanopskiej, kiedy jednak Flakkus kazał jego morderców jedynie wychłostać, a nie ukrzyżować, Grecy nabrali śmiałości i rzucili się do palenia żydowskich domów stojących poza dzielnicą żydowską i atakowania Żydów, którzy zapuścili się w inne części miasta. Żydzi natomiast zaczęli wysyłać własne bojówki, które atakowały, a czasami nawet zabijały tych nienależących do ich rasy. Prefekt wprowadził więcej oddziałów wojska, by utrzymać Żydów w ich dzielnicy, ale ten manewr się nie powiódł. Legioniści stali się celem ataków dla obu stron.

- Czyli teraz wystarczy je zamienić - stwierdził Magnus. - Kto to zrobi?

- Ja, jeszcze dzisiaj późnym wieczorem - odparł Wespazjan, przykładając napierśnik do klatki piersiowej. - To powinno być dość proste. Będę go miał na sobie, pod płaszczem, i tak samo przyniosę oryginał do swojej kwatery. Nikt nie ośmieli się mnie zatrzymać czy zapytać, co tam robię, a poza tym nocą ten korytarz nie jest używany.

- Doskonale - oświadczył Feliks, aprobując to rozwiązanie. - Mój rzemieślnik sądzi, że wykonanie inkrustacji i zmiana brązu na krawędziach zajmie mu pięć dni, więc przy założeniu, że dostarczę mu to jutro, jako termin akcji powinniśmy ustalić noc za sześć dni.

- Ile sobie policzy tym razem?

- Podwójnie, plus wartość złota użytego w inkrustacjach, które oblicza na jakieś dziesięć aureusów.

Wespazjan policzył szybko w pamięci i zbladł.

- Sześćset pięćdziesiąt denarów! - wykrzyknął. - To czysty rozbój.

- On nie jest głupcem i wie, do czego przykłada rękę. Chce, by mu zapłacono za dyskrecję.

Wespazjan wiedział, że Feliks ma rację; rzemieślnikowi należała się dopłata za to, że nie zadawał pytań. Zresztą nie musiał oszczędzać, zainkasował już pieniądze u bankiera, miał ich mnóstwo w wielkiej skrzyni na statku. Po prostu nie bardzo lubił się z nimi rozstawać.

- Dobrze, wezmę gotówkę w drodze powrotnej do pałacu.

- Dziękuję. Zatem, panowie, mam liny tyle, ile trzeba, oraz łódź, wymyśliłem też, jak się dostać na dach świątyni, tak żeby strażnicy nic nie zauważyli. Pozostaje więc jeden poważny problem, mianowicie gęsi.

- Myślałem, że wiesz, jak go rozwiązać.

- Wiem. Jeśli nie chcemy, żeby narobiły rabanu, musimy dać im zajęcie, co znaczy, że trzeba je karmić, i dlatego, jak powiedziałem, Ziri ma być na terenie świątyni wcześniej i rozrzucić im ziarno, zanim my opuścimy się po linie. Pytanie brzmi: gdzie on może się schować? Poszedłem tam wczoraj i nie widziałem takiego miejsca w samej świątyni; pozostaje więc tylko komora grobowa. Jest niewielki prześwit pomiędzy dwoma podporami płyty z sarkofagiem, w którym mógłby się zmieścić taki niewielki mężczyzna jak Ziri, ale...

- Jak ma się przemknąć obok strażnika tkwiącego przez cały dzień na szczycie schodów - dokończył Wespazjan.

- Trzeba odwrócić jego uwagę - zasugerował Magnus.

Feliks skinął głową.

- Tak, ale jak to zrobić? Kapłani nas znają, więc będą podejrzliwi, jeśli tam pójdziemy i zaczniemy się bić albo klócić czy co tam jeszcze.

- Mógłbym paść na ziemię i udawać chorego - zaproponował Magnus.

- Mógłbyś, ale który strażnik dla kogoś takiego jak ty opuściłby swoje stanowisko na tak długo, żeby Ziri mógł prześlizgnąć się za jego plecami?

- Ma rację, Magnusie - powiedział Wespazjan, uśmiechając się - poobijany były pięściarz nie wzbudzi większej troski, choćby nie wiem jak się wił i zawodził, natomiast piękna kobieta...

- Odwrócenie uwagi? Uważasz, że ja tylko odwracam uwagę od innych spraw?

- Nie, Flawio, chcę, byś odwróciła uwagę.

- Twoją?

- Nie, kogoś innego.

- Chcesz, bym się kurwiła z kimś innym?

Wespazjan zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze; ta rozmowa nie najlepiej się zaczęła.

- Posłuchaj, proszę. Musimy... trzeba odwrócić uwagę strażnika, tak żeby Ziri mógł się obok niego prześlizgnąć.

- Jakiego strażnika?

- W świątyni Aleksandra.

- Po co?

- Żebyśmy mogli dostać się do grobowca.

Flawia popatrzyła na niego podejrzliwie i usiadła w łożu. Światło słoneczne przesączające się przez półprzymknięte okiennice rozświetliło jej jasną skórę i rozbłysło na zwichrzonych, rozpuszczonych włosach.

- Co wy knujecie?

Wespazjan uświadomił sobie, że musi być z nią całkowicie szczery, jeśli ma liczyć na pełną współpracę.

- Kaligula chce, żebyś dla niego zabawił się w złodzieja? - spytała Flawia, kiedy wyjaśnił sytuację. - On jest rzeczywiście szalony.

- Tak, ale niestety jest też cesarzem.

- A jeśli nie ukradniesz dla niego tej rzeczy?

- Nigdy mi tego nie wybaczy albo jeszcze gorzej.

- Dlaczego nie zawieszysz mu po prostu tej repliki, którą kazałeś wykonać?

- Myślałem o tym, ale Kaligula widział z bliska napierśnik Aleksandra, kiedy z ojcem odwiedził Egipt; nie ośmielę się zaryzykować, bo może tam być jakiś szczegół, którego nie zauważyliśmy, a który on zapamiętał.

- Jeśli jest coś takiego, to kapłani odkryją podróbkę.

Wespazjan wzruszył ramionami.

- To ryzyko muszę podjąć; zresztą wtedy będziemy już w Rzymie.

- My?

- Jeśli zechcesz ze mną wrócić, wtedy tak, my.

Flawia popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

- A to znaczy, że chcesz, bym była twoją kochanką czy żoną?

Wespazjan przełknął ślinę, rozumiejąc, że już drugi raz podczas tej rozmowy szczerłość będzie najlepsza.

- Mam już w Rzymie kochankę, której nie porzucę.

Flawia obrzuciła go nieufnym spojrzeniem.

- W takim razie czego chcesz ode mnie? - spytała.

- Chcę synów, więc miałem na myśli raczej tę drugą możliwość.

- A co się stanie, jeśli uczynisz ciężarną swoją kochankę? Rozwiedziesz się ze mną i poślubisz ją?

- Nie mógłbym tego zrobić, ona jest wyzwolenicą.

- Zatem nie stanowi zagrożenia dla mojej pozycji?

- Nie, Flawio.

- Bo ja chcę, żebyś zapewnił mi poczucie bezpieczeństwa.

- Zawsze będziesz moją małżonką i matką moich dzieci.

Flawia rzuciła się na niego i obsypała pocałunkami.

- W takim razie, Wespazjanie, zgadzam się - oświadczyła. - Tak się ostatnio martwiłam.

- Że cię tutaj zostawię?

- Nie, że zawsze będę tylko kochanką i nigdy nie doczekam się dzieci, o które modłę się codziennie do Matki Izidy.

Kroki Wespazjana odbijały się echem we wspianą klatkę schodową, kiedy schodził ze swoich pokoi na parter królewskiego pałacu. Przed chwilą jawnie i pewnym krokiem przemierzył jego dobrze oświetlone korytarze na piętrze, ignorując obecność mijanych, gnących się w ukłonach niewolników. Nie spojrzał nawet na dwóch oddających mu honory legionistów, stojących na straży u stóp schodów. Celowo zachowywał się tak, jakby miał wszelkie prawa spacerować po pałacu w samym środku nocy. Doszedł bowiem do wniosku, że aby uniknąć podejrzeń, najlepiej zachowywać się z pewnością siebie, jakiej spodziewają się po kimś z jego pozycją.

Minąwszy wartowników, skręcił w lewo i szedł szerokim korytarzem wzdłuż rzędu nisz, w których na postumentach stały popiersia poprzednich prefektów; światło pochodni igrało na rzeźbionych w kamieniu obliczach i odbijało się od posadzki z polerowanego marmuru. Przez wychodzące na królewską przystań okno na końcu korytarza razem ze światłem księżyca wpadały okrzyki i nawoływania oraz zgrzyt wciąganych wiosł, jakby właśnie przybijał tam jakiś duży statek. Skręcając przy tym oknie w prawo, Wespazjan zerknął w dół, na prywatną pałacową przystań znajdującą się we wschodnim krańcu Wielkiego Portu i w bladym świetle księżyca dostrzegł cumującą do nabrzeża triremę oraz grupkę ludzi czekających na pokładzie u szczytu trapu, by zejść na ląd. Zastanawiał się przez moment, dlaczego miałyby się to odbywać w środku nocy, po czym doszedł do wniosku, że światło latarni morskiej na Faros mogło doprowadzić statek do portu o każdej porze.

Pokonawszy kilka kolejnych zakrętów i nie natykając się po drodze na nikogo, dotarł do nieoświetlonego korytarza, gdzie stały posągi Ptolemeusza niczym długi szereg wartowników, nieruchomych i w tym półmroku dziwnie złowrogich. Odsuwając myśli związane z duchami, zrzucił szybko ciężki płaszcz z figury Ptolemeusza Sotera i zaczął odpinać napierśnik, co okazało się po ciemku niełatwym zadaniem, w dodatku zapięte na

sprzączki skórzane paski były sztywne. Po kilku męczących chwilach, kiedy serce mu stopniowo, ale dość znacznie przyspieszyło, paski dały się odpiąć i napierśnik zwiśł luźno. Zdjął go, położył na podłodze i wyjąwszy spod swojego płaszcza replikę, zaczął ją nakładać na posąg. Kiedy zaciągnął ostatni pasek, kątem oka dostrzegł błysk pomarańczowego światła; odwrócił się i zobaczył, jak na końcu korytarza pojawia się pochodnia, a towarzyszy jej ostry stukot wzmocnionych skórzanych podeszew. W półmroku dostrzegł zmierzające w jego stronę trzy postaci, dwóch mężczyzn i kobietę. Błyskawicznie narzucił na siebie zdjęty z posągu płaszcz, podniósł napierśnik i z całych sił przyłgnął do kamiennego faraona, modląc się, by zbliżający się ludzie nie zauważyli w mroku, że Ptolemeuszowi Soterowi wyrosła dodatkowa para nóg i garb.

- Nie obchodzi mnie, od jak dawna prefekt jest w łożu - oświadczył władcym tonem czyjś męski głos. Wespazjan go znał, ale nie potrafił z nikim połączyć. - Masz go zawiadomić, że właśnie przybyłem z Rzymu i chcę przekazać mu, bezzwłocznie, wiadomość od naszego umiłowanego cesarza.

- Zapukam do drzwi jego sypialni, panie - odezwał się drżący, służalczy głos.

- Nie tylko zapukasz, ale go obudzisz i postawisz na nogi! Będę czekał w triklinium, tam mają mnie i mojej małżonce podać wina. A teraz już idź i zostaw mi pochodnię.

Wespazjan zdołał wreszcie rozpoznać przybysza, który właśnie przechodził obok niego, teraz już spokojnym krokiem: Herod Agryppa.

Kiedy tylko Herod z małżonką weszli do jadalni na końcu korytarza, Wespazjan wyrzwał ostrożnie spod płaszcza; upewniwszy się, że nikt już nie nadchodzi, opuścił szybko kryjówkę i przyciskając mocno do piersi swoją zdobycz, ruszył z powrotem.

Legioniści stojący u stóp schodów ponownie oddali mu honory, a on wspiał się na schody najszybciej, jak pozwalała jego godność, i skierował się do swoich pokojów.

- A czemu to pan nie śpi, senatorze? - zawołał ktoś, kiedy już zbliżał się do drzwi.

Wespazjan odwrócił się i zobaczył zaspanego Flakkusa.

- Usłyszałem, że jakiś statek cumuje, i byłem ciekaw, kto taki może przybywać o tej nocnej porze - skłamał Wespazjan, przyciskając do brzucha napierśnik.

Flakkus nie wyglądał na przekonanego.

- Przecież wystarczyło, żebyś wyjrzał ze swojego tarasu.

- Nie widać stamtąd królewskiej przystani - odparł Wespazjan, tym razem zgodnie z prawdą - i dlatego poszedłem do okna, z którego ją widać.

- Zaspokoileś swoją ciekawość?

- Owszem, zobaczyłem, że to Herod Agryppa, więc wracam do łoża.

- Z powrotem do pięknej Flawii, he? No cóż, będzie musiała jeszcze trochę poczekać. Herod chce się ze mną zobaczyć, a skoro ty i tak nie śpisz, możesz pójść ze mną jako świadek, bo jakoś zupełnie nie ufam temu śliskiemu Azjacie.

- Nie zamierzam zostać tu ani jednego dnia dłużej niż konieczne - oświadczył Herod, biorąc łyk wina. - Jutro chcę złożyć wyrazy szacunku alabarsze i zwrócić mu pieniądze, które mi pożyczył, potem załatwić kilka spraw i następnego dnia odpłynąć.

- Takie mogą być twoje zamiary, Herodzie - odparł Flakkus, trzymając w ręku zwój z cesarską pieczęcią, który przed chwilą wręczył mu Herod - nie możesz jednak w sytuacji prywatnej przekazywać mi cesarskiego mandatu potwierdzającego moje stanowisko jako prefekta. Musi to się odbyć w sposób stosowny i oficjalny, w obecności rady miasta, żydowskiej rady starszych oraz delegacji z Memfis, Sais i Peluzjum, a także z tych mniejszych pobliskich miejscowości, by każdy mógł zobaczyć, że rządę tutaj, mając za sobą władzę cesarską.

- Wobec tego zorganizuj to na jutro.

- Do Memfis są dwa dni drogi szybkim statkiem, więc najwcześniej da się to zrobić za

pięć dni.

- Wtedy mnie już tutaj nie będzie - oświadczył obojętnym tonem Herod.

- Ależ, Herodzie, nadal tu będziesz.

Herod spojrział na Flakkusa z uśmiechem rozbawienia na twarzy i zwrócił się do siedzącej obok żony.

- Wygląda na to, że prefekt staje się zbyt zarozumiały, moja droga Kypros.

Wespazjan przysłuchiwał się tej rozmowie, siedząc obok Flakkusa, ale nie brał w niej udziału. Herod okazał się dla niego uprzejmy, a kiedy wyciągali do siebie prawice, Wespazjan poczuł ulgę, że zanim zszedł na dół z Flakkusem, udało mu się wślizgnąć do swojego pokoju i zostawić tam napierśnik.

Obwieszona klejnotami kobieta uniosła wąskie czarne brwi.

- Wiesz chyba, prefekcie, że cesarz uczynił mojego małżonka królem? - spytała.

- Pani, jestem Rzymianinem, czy twój małżonek jest, czy nie jest królem, nie ma dla mnie znaczenia. Opuści tę prowincję dopiero wtedy, kiedy ja udzielę mu pozwolenia.

Herod wstał i pomógł wstać swojej żonie.

- To była bardzo ciekawa rozmowa, prefekcie - powiedział - mimo to nie zdołałem mnie przekonać. Moja małżonka jest zmęczona, wobec czego udamy się na spoczynek. Przypuszczam, że możemy skorzystać z tych samych pokoi, które mieliśmy podczas naszego ostatniego pobytu.

- Niestety, zajmuje je senator Wespazjan.

Herod spojrział na Wespazjana i zmarszczył brwi.

- Twojej rodzinie zaczyna już wchodzić w krew utrudnianie mi życia, czyż nie? -
Odwrocił się i energicznym krokiem opuścił pokój.

- Arogancki dupek! - rzucił Flakkus, kiedy kroki w korytarzu ucichły.

- Jeśli chcesz go trzymać w garści, to chyba wiem, gdzie trzeba się rozejrzeć -
powiedział Wespazjan.

- Co masz na myśli?

- Wydaje mi się, że potrafię odgadnąć, jakie interesy zamierza tutaj załatwić.

- W takim razie słucham.

- Naturalnie za taką informację jest pewna cena.

- Nie dostaniesz napierśnika Aleksandra.

- Nie to miałem na myśli. Chcę, byś aresztował tego mówcę, Pawła.

- Co, tego małego krzywonogiego krzykacza z brakującym kawałkiem ucha?
Dlaczego ci na tym zależy?

- Chcę, byś skazał go na śmierć za nawoływanie do buntów.

Na wargach prefekta pojawił się swawolny uśmiech.

- Chcesz powiedzieć, że alabarcha chce, bym to zrobił. Ostrzegałem cię, żebyś nie
pozwolił wciągać się w jego żydowską politykę.

- Ten Paweł to niebezpieczny fanatyk. Natknąłem się na niego w Cyrenajce, gdzie
prześladował wyznawców jednego kultu, a teraz szerzy inny. Jeśli zachęca do niego z takim
samym zapalem, z jakim chciał zniszczyć tamten, to wkrótce możesz mieć do czynienia z
poważnym problemem; on wywołuje wyłącznie niezgodę.

- Twierdzisz, że w tej sprawie interesy alabarchy i moje są takie same?

- Owszem, tak uważam.

Flakkus zastanowił się chwilę.

- W takim razie zgoda, jutro wydam stosowny rozkaz.

- Dziękuję, prefekcie.

- A zatem, jak mogę mieć Heroda Agryppę w garści?

- Zboże. Domyślam się, że chce przewieźć nielegalne zapasy ziarna do swojego królestwa, żeby kupić tam sobie poparcie nowych poddanych.

- Skąd o tym wiesz?

- Od szlachetnej Antonii.

Prefekt skinął głową.

- Ona wiedziała o większości ważnych spraw. Gdzie jest to ziarno?

- Nie wiem dokładnie. Gdzieś w tej prowincji.

- To niezbyt pomocne. Jak mam je skonfiskować, jeśli go nie znajdę.

- Przykro mi, tylko tyle wiem.

- Od kogo je kupił?

- Od Klaudiusza.

- No proszę. W takim razie znam kogoś, kto nam pomoże je znaleźć, a mianowicie Klaudiuszowego agenta w Egipcie, Talesa.

Ranek spędzony na wypełnionej szczelnie ćwiczebnej arenie gimnazjonu był męczący i długi. Wszyscy delegaci wygłaszali rozwlekłe mowy o lojalności wobec cesarza, a potem wychwalali Flakkusa za rządy sprawowane w cesarskim imieniu. I wszyscy prześcigali się w pochwałach i retorycznych ozdobnikach, usilnie ignorując krzyki uczestników zamieszek i stukot sandałów legionistów ścigających łotrów po ulicach miasta, które znajdowało się na krawędzi anarchii. Nawet nabierając powietrza, by wygłosić pochlebstwa, czuli gryzący dym ze spalonych żydowskich domów, sklepów i warsztatów.

Wespazjan siedział na podwyższeniu, przodem do trzysięcznego tłumu, po prawej ręce Flakkusa, jak przystało człowiekowi o jego randze. Herod Agryppa z kamienną twarzą siedział po lewej stronie prefekta, wciąż nie mogąc znieść upokorzenia, jakim było zmuszenie go, przez człowieka, którego uważał za niższego od siebie, do uczestnictwa w ceremonii.

Kiedy tylko Flakkus poinformował Talesa, że otrzymał już pełnomocnictwo od cesarza i że najprawdopodobniej będzie mógł pozostać prefektem Egiptu przez co najmniej dwa lata, bankier stał się bardzo uczynny i bez najmniejszego wahania dostarczył danych o miejscu składowania nielegalnego ziarna Heroda. Co więcej, z własnej i nieprzymuszonej woli przekazał prefektowi swoje kopie dokumentów sprzedaży i świadectw własności oraz zaoferował dużą pożyczkę, bez odsetek, którą po dłuższej namowie, z ociąganiem, ale i z wdzięcznością Flakkus w końcu przyjął. Tales opuścił pałac, zapewniwszy solennie prefekta, że gdyby ktoś jeszcze chciał dokonać za jego pośrednictwem nielegalnego zakupu zboża, Flakkus dowie się o tym pierwszy; z kolei prefekt szczerze mu podziękował i obiecał, że postara się spłacać niewielką część pożyczki za każdym razem, kiedy bankier zgłosi się do niego z tego rodzaju informacją. Rozstali się w duchu wzajemnego zrozumienia.

Flakkusowi udało się uzyskać również idealne porozumienie z Herodem: jeśli Herod zostanie na ceremonii, bezpośrednio po niej będzie mógł wyruszyć do swojego królestwa, a jeśli dobrze odegra swoją rolę, to będzie nawet mógł zabrać połowę swojego zboża; oczywiście drugą połowę przekaze Rzymowi we wdzięcznej podzięk za otrzymaną koronę.

Dlatego właśnie wcześniej tego ranka, na rozpoczęcie ceremonii Herod wygłosił

swoją mowę przez zaciśnięte zęby. Najpierw odczytał pełnomocnictwo od Kaliguli potwierdzające stanowisko Flakkusa, a potem chwalił mądrość cesarza, który podjął taką decyzję. Jego pochwały dla prefekta nie były wylewne i górnolotne, jak peany wygłaszane przez delegatów przemawiających po nim, ale zdaniem Wespazjana wystarczające, by mógł zachować połowę swojego ziarna. Jednak Wespazjan mało nie parsknął śmiechem, kiedy Herod wyraził smutek, że musi udać się do swojego królestwa po tak krótkim pobycie w gościnie u dobrego przyjaciela Flakkusa.

Ostatecznie przedstawiciele pobliskich miast skończyli wyliczanie cnót człowieka, który był panem ich życia i śmierci, i przysła kolej na przedstawicieli ogarniętej zamieszkami Aleksandrii. Pierwszym przyszło przemawiać Żydom, liczniejsi Grecy mieli zaszczyt zabrać głos tuż przed udzielającym odpowiedzi prefektem.

Alabarcha Aleksander wstał spomiędzy grupy odzianych w płaszcze i długie szaty starców, pocących się obficie w coraz mocniej palącym słońcu.

- My, aleksandryjscy Żydzi - przemówił po grecku - także chwalimy ukochanego cesarza za jego mądrość widoczną w zachowaniu naszego szlachetnego prefekta na dotychczasowym stanowisku. Możemy uważać się za szczęśliwców, że cesarz Gajusz wyznaczył takiego człowieka jak Aulus Awiliusz Flakkus, by nami rządził, bo wiemy, że możemy liczyć na jego bezstronność wobec wielkiej niesprawiedliwości, jaka w tej chwili spotyka nasz lud ze strony nieżydowskiej części mieszkańców tego miasta.

Flakkus wyraźnie zeszywniał, a wśród delegacji miejskich i ciżby aleksandryjskich Greków stojących za nimi nastąpiło poruszenie; wspomnianie takich spraw w przemówieniu gratulacyjnym ani nie należało do zwyczaju, ani nie było w dobrym tonie.

- Chociaż żydowskie mienie jest wciąż niszczone - ciągnął alabarcha - a morderstwa i grabieże z każdym dniem przybierają na sile, nie wątpimy, że prefekt osądzi odpowiedzialnych i nakaże przyznać zadośćuczynienie poszkodowanym. Jesteśmy również przekonani, że da w tej sprawie swoje słowo królowi Herodowi Agryppie, bliskiemu przyjacielowi cesarza i najwyższemu postawionemu ze wszystkich Żydów w całym imperium.

Pełne oburzenia głosy w greckim tłumie zaczęły narastać. Herod poruszył się

niespokojnie, najwyraźniej nie mając ochoty angażować się w zmagania swoich współwyznawców w tej prowincji.

- Musimy także podziękować prefektowi Flakkusowi - dodał alabarcha - za jego wysiłki włożone w wytropienie i aresztowanie bluźniercy Gajusza Juliusza Paulusa, co pomoże położyć kres jego obrzydliwej herezji. Choć nie udało mu się jeszcze go odnaleźć, jesteśmy pewni, że prefekt podwoi wysiłki i już niedługo zatrzyma tego niebezpiecznego mąciciela.

Słowa te wywołały okrzyki oburzenia ze strony słuchaczy. Było czymś niewyobrażalnym, by ktoś odważył się wspomnieć publicznie, że prefektowi nie udało się czegoś osiągnąć. Flakkus jednak siedział nadal bez ruchu, z lekkim uśmiechem na twarzy, najwyraźniej odprężony. Spowity w togę, opierał prawą rękę na podłokietniku, a lewą na kolanie wyciągniętej przed siebie nogi; jego godność nie pozwalała mu zakrzykiwać alabarchy.

Przy wejściu znajdującym się najbliżej Wespazjana zaczął się jakiś ruch, podczas gdy Aleksander mówił dalej.

- I dlatego obiecujemy przysiąc mu lojalność i posłuszeństwo i złożyć w jego intencji ofiary Bogu, kiedy tylko tych rzeczy dokona.

To okazało się dla Greków ostateczną obrazą; Aleksander odmówił uznania władzy Flakkusa, dopóki ten nie spełni jego żądań, co, wśród innych rzeczy, pociągnęłoby za sobą odszkodowania za straty, jakie spowodowali.

Kolejne słowa Aleksandra utonęły we wrzaskach protestów, które wkrótce zamieniły się w gromki śmiech, kiedy tłuszcza zauważyła dziwaczną procesję wchodzącą na teren areny. Niesiono na ramionach brudnego, bezzębego żebraka odzianego w purpurowy płaszcz. Na głowie miał karykaturę korony, wykonaną z kawałków żelaza przymocowanych do skórzanego paska, a w ręku mającą udawać berło gąbkę przymocowaną do kija, urządzenie, jakiego używa się w publicznych latrynach. Żebrak chichotał, kiedy jego eskorta, złożona z podobnych do niego obszarpańców, przepychała się przez tłum, wołając: „Przejdzie dla króla, tak niedawno jeszcze żebraka!”.

- Niech żyje król! - ryczał raz za razem rozbawiony tłum.

Wespazjan zerknął na Heroda, którego oczy płonęły wściekłością, a szczęki zacisnęły się, ponieważ dobrze wiedział, że to przedstawienie skierowane jest do niego, króla, jeszcze do niedawna gnijącego w więzieniu nędzarza. Obdartus, którego obnoszono, by upokorzyć Heroda, został wzięty wprost z ulicy, odziany w królewskie szaty i traktowany z honorami, podobnie jak Kaligula w jedną noc wyciągnął Heroda z celi i zrobił królem.

Herod wstał i z godnością, na jaką tylko potrafił się zdobyć, opuścił arenę, a za nim, przy akompaniamencie szyderczych okrzyków greckiego motłochu, podążył alabarcha oraz żydowska starszyzna.

- Rozumiem, co miałeś na myśli, Wespazjanie - rzucił Flakkus z leciutkim uśmiechem, wskazując głową wejście, przez które wkroczył ten karykaturalny orszak - on rzeczywiście siebie niezgodę.

Wespazjan obejrzał się i w cieniu łuku zobaczył złośliwie uśmiechniętego znajomego niewysokiego mężczyznę z brakującym kawałkiem ucha. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały, po czym Paweł odwrócił się i odszedł na swoich pałkowatych nogach.

Rozdział dwudziesty

Nie pojmuję, dlaczego, na jaja Hadesa, Flakkus nic z tym nie robi - zirytował się Magnus, spoglądając z niesmakiem na ciała dwóch żydowskich kobiet, które najwyraźniej najpierw zgwałcono, a potem podeznięto im gardła. Martwe niemowlę niby poduszkę podłożono pod głowę jednej z kobiet.

- Dlatego, że w tej chwili Grecy wykonują za niego robotę, trzymając Żydów w ich dzielnicy - odparł Wespazjan, starając się nie zauważać leżących ciał i spoglądając z niepokojem na Flawię w drugiej lektyce. Twarz jej pobladła, mimo wysiłków Ziriego, który chłodził ją wielkim wachlarzem. Przynajmniej łatwo przyjdzie jej zemdleć w świątyni Aleksandra, pomyślał z makabryczną ironią, szczególnie jeśli po drodze natkną się na jeszcze więcej trupów.

Wieść o upokorzeniu Heroda podczas ceremonii i jego pospiesznym wyjeździe z Aleksandrii poprzedniego dnia - na czym stracił drugą połowę swojego ziarna - rozeszła się po mieście. Żydzi, odebrawszy to jako obelgę wymierzoną we wszystkich ludzi ich rasy, rozjuszyli się na dobre i wpadli do dzielnicy greckiej. Przeważający liczebnie Grecy zareagowali zdecydowanie, wypchnęli ich z powrotem do żydowskiej dzielnicy i odcięli od reszty miasta, ograniczając akty przemocy. Nie wystarczyło im jednak samo okrążenie Żydów i stopniowo wdzierali się coraz dalej, spychając mieszkańców i stłaczając ich na kilku biegnących wzdłuż brzegu uliczkach, na wschód od pałacu królewskiego. To byli ci szczęśliwcy, tych bowiem, których schwymano, po wychłostaniu ukrzyżowano i żywcem spalono.

Tego ranka z pałacowych okien Wespazjan widział dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci, które uciekły na plażę, podczas gdy mężczyźni walczyli czym popadło, byle utrzymać w posiadaniu ostatnie kawałki terenu; reszta dzielnicy płonęła z taką intensywnością, że nawet dwie mile dalej, blisko świątyni Aleksandra, czuło się ostry zapach dymu. Chociaż walki ograniczały się do dzielnicy żydowskiej, Hortensjusz poprosił o powiększenie eskorty o kolejnych szesnastu żołnierzy, po tym jak młody senator - usłyszawszy, że replika napierśnika jest już gotowa - odrzucił wszelkie rady i uparł się wyprawić do świątyni pod pretekstem

pokazania Flawii ciała Aleksandra.

- Wciąż tego nie pojmuję - powiedział Magnus, kiedy grupa rozwrzeszczanych Greków, omijając z daleka Hortensjusza i jego legionistów maszerujących przed lektykami, pobiegła w stronę toczących się walk. - Skoro udało się powstrzymać rozprzestrzenianie zamieszek, to po co pozwalać na dalsze zabijanie?

- Ponieważ im gorsza będzie sytuacja, tym bardziej wdzięczni będą Żydzi, kiedy Flakkus wreszcie położy temu kres, a na dodatek będą musieli przyjąć jego warunki - powiedziała słabym głosem Flawia.

- Chyba będą raczej wściekli, że nie wkroczył wcześniej?

- Może i tak - zgodził się Wespazjan - ale wtedy Flakkus im powie, że następnym razem w ogóle nie zareaguje, więc powinni się uciszyć i przestać występować z żądaniami. Mają się cieszyć, że większość z nich żyje, i pogodzić z sytuacją, jaka panowała poprzednio. Zupełnie jakby sam to wszystko uknuł.

- Ależ tak właśnie było, jestem o tym przekonana - oznajmiła Flawia.

- Chodzi ci o to, że temu nie zapobiegł?

- Nie, jestem pewna, że on to wszystko ukartował.

- Skąd ta pewność?

- Widziałam tego, kto zorganizował tę farsę z żebrakiem, i pamiętam go też z zamieszek w Cyrenie, to prawdziwy wichrzyciel.

- Paweł? Wiem, jaki on jest, ale to nie oznacza, że Flakkus go wykorzystał; prawdę mówiąc, dał mi słowo, że postara się go aresztować.

- A ty mu uwierzyłeś?

- Czemu nie? Miał się tym zrewanżować za pewną użyteczną informację dotyczącą Heroda i było to również w jego własnym interesie.

- Wobec tego zadaj sobie takie pytanie: skoro zamierzał Pawła aresztować, to dlaczego nie zrobił tego wczoraj w gimnazjonie? Ty go widziałeś, ja go widziałam, Flakkus go widział, a mimo to nikogo za nim nie posłał; ten człowiek stamtąd nie uciekał, odszedł wolnym krokiem.

Nagle wszystko stało się oczywiste; Flawia miała rację.

- Prefektowi uśmiech nie zniknął z twarzy przez całą przemowę Aleksandra, ponieważ wiedział, co za chwilę nastąpi, bo sam to przygotował. Wiedział też, że w ten sposób sprowokuje Żydów do rozruchów na wielką skalę. Zatem nie zamierza powstrzymać przemocy, dopóki Żydzi nie będą go o to błagali, a wtedy zmusi ich, by zgodzili się na wszystko, co zechce, tak jak to sobie zaplanował. A ja dostarczyłem mu tej możliwości, mówiąc, jak świetnie Paweł potrafi skłócać i dzielić ludzi.

Kobieta uniosła brwi.

- Na twoim miejscu nie winiłabym się za bardzo, mój drogi. Flakkus już to wiedział. Bo widzisz, ja już wcześniej widziałam Pawła w Aleksandrii. Był w pałacu tego wieczoru, kiedy cię tam spotkałam. Widziałam, jak wychodził.

Wespazjan jęknął, przypomniawszy sobie, jak po pierwszej z nim rozmowie Flakkus pospieszył na spotkanie z kimś.

- Przez cały czas wykorzystywał Pawła, by w jeszcze jeden sposób wywołać niezadowolenie Żydów. Nie miał najmniejszego zamiaru go aresztować. Osiągnął wszystko, czego chciał. Podczas oficjalnej ceremonii przedstawiciele prowincji są świadkami, jak wysłannik cesarza, Herod, przekazuje mu stosowne pełnomocnictwo i jednocześnie zostaje tak upokorzony, że wyjeżdża bez swojego ziarna, które Flakkus niewątpliwie uzna za własne. Żydzi rozsierdzeni obelgą, jaka spotkała Heroda, wszczynają zamieszki, całkiem niemądrze stawiając się w sytuacji, z której jedynie Flakkus może ich uratować, naturalnie o ile zgodzą się na jego warunki.

- Pomysłowy człowiek - ocenił z podziwem Magnus, kiedy dotarli do Somy - ale uważam, że nie powinieneś nad tym, panie, rozmyślać; zrobmy to, co mamy zrobić, i wynośmy się z tego zadupia.

Hortensjusz zatrzymał eskortę przed bramą Somy, a Wespazjan westchnął, wiedząc, że próby odegrania się na Flakkusie za doznane upokorzenie, muszą poczekać na inną okazję. Pocięchą była świadomość, że zabiera mu Flawię. Ujął jej dłoń i pomógł wysiąść z lektyki.

- Odpowiada ci ta pora, moja droga?

- Jak najbardziej, Wespazjanie.

- Doskonale. Hortensjuszu, poczekaj tu, nie zajmie nam to dużo czasu. Szlachetna pani pragnie zobaczyć wielkiego Aleksandra.

Słońce wisiało już prawie nad horyzontem i świątynię Aleksandra wypełniło światło o głębokiej bursztynowej barwie, co stwarzało atmosferę kojącego spokoju, tak kontrastującego z okropnościami, jakie widzieli zaledwie dwie mile stąd. Stojąc pod pomnikiem Aleksandra na koniu, Wespazjan i Magnus patrzyli, jak kapłan prowadzi Flawię obok strażnika i potem w dół po stopniach do komory grobowej; Ziri czekał blisko wejścia, czego należało spodziewać się po niewolniku towarzyszącym swojej pani. Wespazjan nie przyjął propozycji kapłana, by powtórnie odwiedzić grobowiec, podając sensowne wytłumaczenie, że sam August odwiedził ją przecież tylko raz. W rzeczywistości chodziło o to, by przez te kilka chwil, jakie kapłanowi zajmował rytuał oczyszczenia, Flawia znajdowała się na szczycie schodów sama.

Kiedy głowa kobiety zniknęła poniżej poziomu posadzki, Wespazjan zwrócił się do Magnusa.

- Ustaw się na wprost schodów. Kiedy Flawia wróci, skręci i pójdzie w moją stronę; jak tylko zobaczysz, że na schodach pojawia się kapłan, potrzyj nos, a ja dam jej znak, by udała omdlenie.

Gdy już Magnus i Ziri byli gotowi do działania, Wespazjan obejrzał sobie brodatego i

wąsatego strażnika. Miał on na sobie strój elitarnych argyraspides, weteranów falangi stanowiącej trzon piechoty Aleksandra: hełm w trackim stylu, z pióropuszem, pancerz z utwardzonej skóry w brązowym kolorze na gładkim białym chitonie, nagolenice z brązu. Niewielka, pokryta srebrem tarcza - od której jednostka wzięła swoją nazwę - ozdobiona była wykonaną z brązu szesnastoramienną gwiazdą macedońską. Krótki miecz wisiał po lewej stronie na pasie przerzuconym przez prawy bark. Trzymał też opartą o posadzkę przerażającą szesnastostopową dwuręczną sarissę, taką, jaka kiedyś dzierzona w obu rękach zmiatała po kolei wszystkie armie, dopóki nie natrafiła na rzymskie pilum. On i jego czterej koledzy, dwóch strzegących wejścia do świątyni i dwóch przy bramie do Somy, byli jedynymi żołnierzami, którym Rzym, ze względu na szacunek dla Aleksandra, wciąż zezwalał nosić ten wojskowy strój. Wespazjan modlił się do Marsa Zwycięzcy, by ten rytualny strażnik nie wykazał się taką samą nieugiętą dyscypliną, która umożliwiła jego poprzednikom podbicie licznych ziem, tworzących największe w historii imperium. Miał nadzieję, że mężczyzna opuści swoje stanowisko, by ratować damę z opresji.

Senatorowi zdawało się, że minęła cała wieczność, zanim u szczytu schodów pojawiła się Flawia, chociaż w rzeczywistości spędziła w komorze grobowej bardzo niewiele czasu. Zatrzymała się obok strażnika i lekko zachwiała, wydając cichy jęk, jakby przejęta tym, co przed chwilą widziała, i dla utrzymania równowagi oparła dłoń na muskularnym przedramieniu mężczyzny. Strażnik spojrzał na nią zaniepokojony. Wespazjan uśmiechnął się w duchu. Ona naprawdę umiała postępować z mężczyznami, tym dotykem stworzyła pomiędzy nimi pewną więź. Uśmiechnęła się przepraszająco i poklepała strażnika po ramieniu, odwróciła się i powoli, niepewnym krokiem, ruszyła w stronę Wespazjana, który nie spuszczał oczu z Magnusa. Kiedy zrobiła cztery kroki, ręka Magnusa uniosła się do jego nosa. Wespazjan spojrzał na Flawię i skinął głową. Wydawszy cichy okrzyk, kobieta osunęła się na posadzkę. Strażnik natychmiast się odwrócił, upuścił ze stukotem włócznię i ruszył, by pomóc damie, której delikatny dotyk poczuł przed chwilą. W tym momencie kapłan pojawił się na szczycie schodów i również pospieszył z pomocą.

- Flawio! - zawołał Wespazjan, podbiegając, podczas gdy strażnik, przyklękawszy, unosił jej głowę z zimnej marmurowej posadzki.

- Co się stało? - spytał kapłan, z niepokojem zerkając na Flawię.

- Nie wiem - odparł Wespazjan z przejętą miną.

Podniósł wzrok i zobaczył zbliżającego się Magnusa. Ziri zdążył zniknąć.

- Magnusie, poślij Ziriego, niech lektyki czekają.

- Już pobiegł, panie.

- Doskonale. Pomóż mi ją podnieść.

- Nie trzeba - szepnęła Flawia, otwierając oczy i trzepocząc rzęsami. - Zaraz dojdę do siebie, trochę mnie to wszystko zmogło. - Usiadła powoli, korzystając z pomocnego ramienia strażnika.

- Widywałem już podobne reakcje - oświadczył z namaszczeniem kapłan - nawet patrząc z góry, przez szyb, na twarz Aleksandra, ludzie są pod ogromnym wrażeniem.

- Przebywanie tak blisko niego w tej komorze jest obezwładniające, szczególnie dla kobiety - oświadczyła słodkim głosem Flawia. - Radziłabym nie dopuszczać kobiet tak blisko tego potężnego człowieka.

Kapłan pokiwał z powagą głową.

- Możliwe, że masz rację, pani - rzekł. - Komitet kapłanów rozważy ten problem.

- Bardzo to z twojej strony uprzejme - oświadczyła Flawia całkiem szczerze i podtrzymywana przez strażnika podniosła się z posadzki. - Czuję się już znacznie lepiej. Przeniknęła mnie utajona energia Aleksandra. Pójdziemy już, Wespazjanie? Potrzebuję wsparcia mocnych męskich ramion.

- Tak, Flawio - powiedział Wespazjan, mając nadzieję, że na tym skończy się to przedstawienie.

Flawia uczepliła się jego ramienia i sarnimi oczyma spojrzała na strażnika.

- Dziękuję ci, mocarny strażniku Aleksandra.

W gęstwie wąsów i brody mężczyzny błysnęły zęby; Wespazjan, z przyklejonym do twarzy uśmiechem, pociągnął Flawię za sobą.

- Chodź już, moja droga - powiedział.

- Będę się modlił do Aleksandra o waszą pomyślność - zawołał za nimi kapłan.

Feliks czekał na nich u dołu schodów, spoglądając na gęsi w zagrodzie obok świątyni. Na ramieniu miał pusty worek.

- Jest w środku? - spytał, kiedy oddalili się od strażników stojących na zewnątrz.

- Tak - odparł Wespazjan. - Wyszło całkiem niezłe, nawet jeśli pod koniec nieco zbyt teatralnie. Do zobaczenia, Feliksie.

- Świetnie. O piątej godzinie nocy będę w łodzi pod waszym tarasem, z napierśnikiem. Teraz załatwię jeszcze te dwie potrzebne nam rzeczy.

- To, mój drogi, wcale nie był teatr - oznajmiła Flawia, kiedy tylko Feliks oddalił się w stronę zagrody dla gęsi. - Tak to zostało pomyślane, by tym dwóm mężczyznom pozostała w pamięci tylko jedna osoba, ja. Nie zauważą, że Ziri w żadnym razie nie zdążyłby dotrzeć do tamtych drzwi i zniknąć pomiędzy chwilą, w której zemdlałam, i oświadczeniem Magnusa, że go nie ma, po tym, jak ty tak niemądrze zwróciłeś uwagę na jego nieobecność.

- Nigdy by tego nie zauważyli.

- Owszem, nie zauważyli, bo ja tego dopilnowałam.

Wespazjan nie zamierzał się spierać. Flawia wykazała się odwagą i bez niej nie zdołaliby się tam włamać.

- I z pewnością będą sobie cenić te wspomnienia - przyznał. - A teraz, moja droga, kiedy wrócimy do pałacu, każ swoim pokojówkom dokończyć pakowanie i niech czekają na pokładzie statku, bo jeśli szczęście nam dopisze, wypłyniemy o brzasku.

- Już to zrobiłam. Jestem taka podekscytowana na myśl o powrocie z tobą do Rzymu.

Wespazjan spojrział na nią i uśmiechnął się.

- Ja też się na to cieszę, moja droga.

Plomienie pożarów rozświetlały nocne niebo, kiedy zbliżali się do pałacu. Z leżącej dalej dzielnicy żydowskiej dochodziły wrzaski.

- Wygląda na to, że sytuacja się pogarsza - zawołał Hortensjusz, kiedy grupa Greków ciągnęła w ich stronę wrzeszczącego Żyda. - Uważam, senatorze, że powinniście teraz wysiąść z lektyk i pójść pieszo.

- W porządku - zgodził się Wespazjan, dając znak tragarzom swoim i Flawii, by się zatrzymali.

- A niby dlaczego mamy iść? - spytała Flawia, kiedy Magnus pomagał jej wysiąść.

- Ponieważ łatwiej będzie nam cię bronić, jeśli nas zaatakują. Nie możemy pozwolić, by stała ci się krzywda, prawda? - wyjaśnił. Znacznie zyskała w jego oczach po swoim występie w świątyni Aleksandra.

Kiedy pokonywali ostatnie kilkaset kroków dzielące ich od pałacu, mijając grupki uczestników zamieszek przebiegających w tę i z powrotem, Wespazjana nie dziwiło, że na ulicach nie widać legionistów; Flakkus rzeczywiście prowadził z Żydami grę na przetrzymanie, zdeterminowany ją wygrać i ich sobie podporządkować.

W pobliżu bramy było już znacznie spokojniej, jako że tłuszcza czuła respekt przed stojącymi przed nią legionistami w rynsztunku bojowym.

Hortensjusz oddał honory wojskowe ich centurionowi.

- Optio Hortensjusz eskortujący senatora Tytusa Flawiusza Wespazjana - zameldował.

- Aha, senatorze - odezwał się centurion - czeka tu na ciebie jakiś człowiek, mówi, że ma na imię Nataniel... przyплыł wzdłuż brzegu z dzielnicy żydowskiej. - Wypchnął przed siebie posiniaczonego i zakrwawionego mężczyznę. - Z początku nie wierzyliśmy, że cię zna - dodał, co tłumaczyło wygląd Żyda.

- Senatorze, musisz pomóc - powiedział mężczyzna, wchodząc w krąg światła pochodni.

Wespazjan rozpoznał w nim człowieka, którego brata kilka dni wcześniej zamordowano na ulicy Kanopskiej.

- Czego chcesz, Natanielu? - zapytał.

- Powiedziałeś, że sprowadzisz zabójców mojego brata przed oblicze sprawiedliwości, ponieważ winien jesteś przysługę alabarsze. Jak wiesz, oszczędzono ich i dlatego wciąż masz dług wdzięczności do spłacenia.

- A w czym rzecz?

- Alabarcha i jego synowie są oblegani w świątyni niedaleko stąd. Jest z nimi kilku ludzi, ale długo nie wytrzymają. Tamten podżegacz doprowadził do sprzymierzenia swoich zwolenników z Grekami. Alabarcha zdążył mnie tu przysłać, zanim budynek całkowicie okrążono. Czy zechcesz pomóc?

Magnus uniósł brwi i spojrzał na Wespazjana.

- I co? - zapytał.

- Cóż, mam wobec niego dług wdzięczności i mierzi mnie myśl, że Paweł prowadzi swoje gierki kosztem alabarchy i jego synów. A poza tym może będziemy mieli okazję

wykończyć tego obrzydliwego fanatyka.

- Skoro idziemy, to nie możesz iść w takim stroju. Toga nie uratowała Cezara w portyku teatru Pompejusza.

- Masz rację, powinniśmy się stosownie uzbroić. Hortensjuszu, zaczekaj tutaj z tym człowiekiem i każ swoim ludziom naostrzyć miecze. Zaraz wrócimy.

- Nie możesz zabierać legionistów do dzielnicy żydowskiej, senatorze - zaprotestował centurion.

- Dlaczego nie?

- Bo byłoby to wbrew rozkazom, prefekt tego zabronił.

- Nie wątpię. Ale czy zabronił też wchodzić tam senatorom?

Mężczyzna patrzył na niego skonsternowany.

- Idę tam, centurionie - ciągnął Wespazjan - a jeśli Hortensjusz i jego żołnierze nie pójną ze mną, to złamię jednoznaczny rozkaz prefekta, że mają mi towarzyszyć wszędzie, dokąd się udam.

Odgłosy stały się bliższe, kiedy senator z tarczą i w pancerzu z brązu wbiegł poprzez snujący się dym do dzielnicy żydowskiej. U boku miał Magnusa i Nataniela, za sobą Hortensjusza i jego ludzi. Żar buchał od płonących domów. Wespazjan zaczął się pocić i swędziała go głowa pod filcem wyściełającym hełm legionisty. Miecz Marka Antoniusza objął się o jego prawe udo i w całym ciele poczuł napięcie, myśląc o tym, że pierwszy raz użyje tego miecza w gniewie akurat w tym mieście, w którym pierwszemu właścicielowi posłużył do odebrania sobie życia.

Na widok oddziału zbrojnych legionistów wkraczających do wolnej dotąd od wojska strefy, zajęci rabowaniem Grecy zaczęli porzucać co większe łupy, wyciągnięte z domów przed ich podpaleniem, i czmychać w boczne uliczki. Kilka ciśniętych kamieni odbiło się od

tarcz żołnierzy, nie wyrządzając żadnych szkód, ale pokazując nastawienie twardszy.

- Jeszcze dwie przecznice i skręcamy w lewo, w stronę morza - wychrypiał Nataniel, z trudem łapiąc powietrze. - Świątynia znajduje się na końcu tamtej ulicy.

Wszędzie wokół wałały się zmasakrowane ciała oraz mnóstwo śmieci. Przy tym zamieszki w Cyrenie wydawały się nieporozumieniem pomiędzy sąsiadami, łatwym do wyjaśnienia i zapomnienia.

- Nie wiem, jak ty sądzisz, panie, ale mnie się wydaje, że cztery contubernia to za mało, by stawić czoło całej greckiej populacji - zauważył Magnus, gdy kolejny kamień uderzył w tarczę. - Wolałbym słyszeć za sobą stukot znacznie większej liczby żołnierskich sandałów.

- Nie ma sensu tego roztrząsać, skoro mamy to, co mamy - odparł cierpkim tonem Wespazjan. - Musimy mieć nadzieję, że autorytet Rzymu weźmie górę, kiedy każemy uwolnić tych ludzi.

Magnus skrzywił się szyderczo, ale zmilczał.

Kiedy skręcili w lewo, Wespazjan się zatrzymał. Szeroka ulica była usiana trupami, oświetlonymi pożarami domów po obu stronach; w powietrzu wisiał ciężki odór palonych ciał, spośród odległego o pięćdziesiąt kroków tłumu dobiegały ochryple głosy krzyczących w męczarniach ludzi. Za tą cizbą Wespazjan widział płonąca żydowską świątynię.

- O, nie - jęknął Nataniel. - Spóźniliśmy się, oni żywcem obdzierają ich ze skóry.

Wespazjan zatrzymał swój niewielki oddział.

- Hortensjuszu, ustaw ludzi w czworobok, przodem na wszystkie cztery strony.

- Chyba nie uderzymy w to mrowie, co? - spytał z niedowierzaniem Magnus, zajmując miejsce po prawej stronie Wespazjana, podczas gdy legionieści pospiesznie formowali szyk.

- Nie, jeśli oni wiedzą, co dla nich dobre. Wyciągać miecze, równym krokiem do przodu.

Z częścią żołnierzy idących tyłem, a częścią bokiem, mały czworobok ruszył. Legioniści trzymali tarcze mocno przyciśnięte jedna do drugiej i tylko ostrza mieczy sterczały na zewnątrz, połyskując pomarańczowo w blasku pożarów.

Krzyki nie ustawały, zgromadzeni stopniowo zdali sobie sprawę z obecności Rzymian i ledwo czworobok przesunął się o dwadzieścia kroków, setki twarzy zdążyły się zwrócić w jego stronę.

- Stać! - rozkazał Wespazjan.

Zgiełk panujący w tłumie ucichł, słychać było jedynie krzyki katowanych ludzi.

- Kto tu dowodzi? - zawołał Wespazjan.

Po chwili przepchnęło się na zewnątrz czterech mężczyzn.

- Czego chcesz, Rzymianinie? - zapytał ich przywódca, wysoki, muskularny mężczyzna, z krótkimi czarnymi włosami, bujnymi wąsami i brodą. W ręce trzymał pałkę, której grubszy koniec przebity był długim gwoździem.

- Chcę uniknąć konieczności zabicia kogokolwiek z was. Jak się nazywasz?

- Izydor. Ale to żadna tajemnica, bo Flakkus mnie zna.

- I Flakkus pozwolił ci zabijać i palić wedle twojej woli?

Izydor uśmiechnął się zimno.

- Prefekt niczego nam nie obiecywał, ale też nie próbował nas powstrzymać, kiedy podjęliśmy próbę pozbycia się z miasta tej zarazy. Ci ludzie odmawiają uznania boskości wielkiego cesarza, a domagają się równego statusu z nami, posłusznymi prawu poddanymi.

- Twoje działania są oczywiste, ale ja nie jestem Flakkus, nie podlegam też jego władzy. Przysłał mnie do tej prowincji cesarz i cesarzowi zdam sprawę, kiedy wrócę do Rzymu. Masz zatem do wyboru, Izydorze: ruszyć naprzód i przekonać się, ilu twoich ludzi uśmiercimy naszymi mieczami, zanim zdołacie nas pokonać za pomocą swoich kijów i noży, albo oddać nam tych pojmanych w świątyni, zanim odbierzemy ich sami.

- Nie uda wam się.

Spojrzenie Wespazjana stwardniało.

- Chcesz się założyć? Jeden legionista bez trudu zabije dziesięciu z tej twojej zbieraniny, co oznacza ponad trzystu, a ty będziesz pierwszy. - Obrzucił wzrokiem tłum. - Który z was, dzielnych sklepikarzy, właścicieli tawern i złodziei, ma ochotę znaleźć się wśród tych trzystu i umrzeć razem z Izydorem, tylko po to, by zatrzymać więźniów? - Wyciągnął miecz w stronę otyłego, łysiejącego mężczyzny z zakrwawionymi rękoma i tuniką. - Może ty? - rzucił. Mężczyzna cofnął się w tłum. - A może ty? - krzyknął Wespazjan, mieczem wskazując sąsiada grubasa. Ten również natychmiast się wycofał. - Wygląda na to, że masz pewien problem, Izydorze, bo twoim dzielnym mieszczuchom bardziej zależy na życiu niż na zatrzymaniu pojmanych przez was ludzi, żebyś mógł sobie obdzierać ich ze skóry. Zatem decyduj, Izydorze, i to już!

Greki rozejrzeli się po nędznie uzbrojonej hałastrze i uświadomiwszy sobie, że nie starczy tym ludziom odwagi, by stawić czoło świetnie wyszkolonym legionistom, odsunęli się na bok.

- Bardzo mądrze - rzucił drwiąco Wespazjan. - Czworobok! Naprzód marsz.

Legioniści, wciąż osłonięci ścianą z tarcz, ruszyli wolnym, pewnym krokiem, tak żeby ci, którzy szli bokiem, mogli utrzymać się w szyku. Tłum się rozstąpił, odsuwając na bezpieczną odległość od sterczących spomiędzy tarcz mieczy.

- Marne nasze szanse, jeśli nagle wszystkim odrosną jaja - mruknął Magnus, kiedy zagłębiali się w tłum.

Przejmujące krzyki umilkły i zapadła nienaturalna cisza, przerywana jedynie równym krokiem żołnierzy.

Ich oczom ukazała się odrażająca scena: z solidnego drąga, umocowanego na samym przodzie mocnej drewnianej konstrukcji, zawieszeni za nadgarstki tak, że palce ich stóp ledwie dotykały ziemi, wisieli trzej mężczyźni i kobieta. Głowy opadły na piersi zmasakrowanych i ledwie dyszących ofiar, znajdujących się w różnych stadiach okaleczenia. Najbliższy mężczyzna miał najwięcej szczęścia. Zdarło mu z pleców jeden pas skóry, szerokości dłoni, który zwisał z wysokości bioder jak nasiąknięty krwią koniec szarfy. Pozostali byli w gorszym stanie. Ich obdarta skóra tworzyła upiorne spódniczki, powiewające wokół obracających się bezwładnych ciał. Za nimi czekała na swoją kolej grupa jeńców, przenoszących zdumione spojrzenie z Rzymian na ofiary. Wśród nich Wespazjan dostrzegł przykucniętego Aleksandra, obejmującego ramieniem młodszego syna.

- Otoczyć to miejsce! - rozkazał.

Czworobok się rozsypał i legioniści utworzyli krąg wokół drewnianej konstrukcji. Prześladowcy milcząco odsunęli się od swoich ofiar, spoglądając ponuro przed siebie, zupełnie jakby przybycie Rzymian zdjęło z nich jakiś rozbudzający nienawiść zły urok, a oni wstydzili się teraz swoich czynów.

- Nie sądziłem, że Natanielowi uda się przedostać - powiedział Aleksander, niecierpliwie wskazując najmniej okaleczoną ofiarę. - Odetnijcie go, prędko.

Wespazjan jednym ruchem miecza przeciął więzy i pojękujący mężczyzna osunął się w ramiona alabarchy.

- Och, mój synu, mój synu - zapłakał alabarcha - co oni ci zrobili?

Opadł na kolana, podtrzymując głowę nieszczęśnika, i wtedy Wespazjan zobaczył, że to chłopiec, starszy syn Aleksandra, Tyberiusz.

- Wyliże się, panie - pocieszył ojca Magnus - widziałem podobne sytuacje w

Germanii, kiedy ratowaliśmy naszych towarzyszy z rąk tubylców. Ci, którzy jak on, mają zerwany taki kawałek skóry, przeżywają. - Spojrzał na pozostałych dwóch mężczyzn i kobietę, na ich odarte ze skóry ciała. - Dla tamtych jednak nie ma nadziei. Powinniśmy ich dobić i jak najszybciej się stąd wynieść.

- Zgoda, ale ja to zrobię - powiedział Aleksander. - Marku, zaopiekuj się bratem. - Przesunął głowę Tyberiusza na jego kolana i wstał. - Daj mi twój miecz, Wespazjanie, mój przyjacielu.

- Zrób to szybko - powiedział Wespazjan, podając mu broń.

Aleksander skinął głową i podszedł do nieprzytomnej kobiety; miała zdartą skórę z przodu całej klatki piersiowej i obciętą pierś. Wyszeptał coś do jej niesłyszającego ucha i przez miękkie ciało wbił miecz prosto w serce; z ust kobiety wydobyło się ciche westchnienie, które było jej ostatnim tchnieniem.

- Filonie - zwrócił się do siwobrodego mężczyzny po sześćdziesiątce - poniesiemy ją wspólnie.

- Nie mamy czasu, by brać ze sobą ciała - powiedział Wespazjan.

Aleksander obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- To moja żona - oświadczył - i nie zostawię jej tutaj.

Pozostałych dwóch mężczyzn uśmiercono tak samo szybko, a ciała zabrali niedoszli skazańcy.

- Wiesz, on tu był - powiedział Aleksander, oddając Wespazjanowi miecz - to właśnie on i jego zwolennicy zachęcali ludzi do takiego okrucieństwa.

- Paweł, tak? Ale dlaczego? Przecież jest Żydem.

- Już nie. Wyznaje przecież własną religię, która każe mu nas, Żydów, nienawidzić.

- Gdzie jest teraz?

- On i jego zwolennicy czmychnęli, kiedy wy przybyliście.

- To istne zwierzęta - rzucił Filon - batożyli nas jak pospolitych fellachów pracujących na polu, nie użyli laski, stosownie do naszej pozycji. Chłostali nas najniżsi w hierarchii społecznej Grecy! To dla nas hańba - skarżył się.

Wespazjan popatrzył na niego zaskoczony, nie mogąc uwierzyć, że Filonowi nie chodzi o samo batożenie, lecz sposób jego wykonania, po czym zwrócił się do Hortensjusza.

- Centurionie, utwórz pusty czworobok, z dwoma szeregami żołnierzy z każdej strony, ustawionymi do przodu. Odmaszerujemy stąd jak Rzymianie, nie będziemy się wymykać jak ta zbrodnicza tłuszcza.

W kilka chwil legioniści zamknęli w czworoboku Aleksandra i jego współpracowników. Nataniel pomógł Markowi zająć się jego bratem, który zdążył odzyskać przytomność i bardzo cierpiał.

Wespazjan wydał rozkaz i oddział ruszył szybkim marszem z wyciągniętymi mieczami.

- Lepiej się pospieszmy - powiedział Magnus, kiedy z szerokiej ulicy skręcili w prawo - bo Feliks już wkrótce będzie na umówionym stanowisku.

- To poczeka - odparł Wespazjan - nie mogę pozwolić, by widziano, jak zmykamy z terenu, który teoretycznie znajduje się pod rzymską władzą.

Magnus wzruszył ramionami i obejrzał się za siebie.

- Nie wygląda na to, by szli za nami, pewnie szukają kolejnych nieszczęśników, nad którymi mogliby się poznęcać.

- Być może, ale sądzę, że pewien drań ma inne pomysły - mruknął Wespazjan, kiedy w migotliwym świetle dojrzał, jak z bocznych uliczek wylewają się dziesiątki ludzi i ustawiają na ich drodze. Sądząc po błyskach, uzbrojeni byli nie tylko w pałki i noże.

- Domyślam się, że masz odpowiednie określenie na tego drania - zauważył świadomy zagrożenia Magnus.

Wespazjan uśmiechnął się ponuro.

- Chyba mam: obrzydliwy krzywonogi piździelec.

W odległości pięćdziesięciu kroków od przeciwników Wespazjan zatrzymał legionistów. Opuścił bezpieczny czworobok i sam podszedł bliżej.

- W imieniu cesarza przepuście nas, a nikomu nie stanie się krzywda! - krzyknął.

- Nikt nie stoi ponad Bogiem i Jego synem, naszym Panem Jozuą, naszym zbawcą, Chrystusem. W jego imieniu żądamy, byście wydali waszych przywódców w tym mieście, należących do rasy, która go uśmierciła - odezwał się znajomy głos i Paweł wysunął się do przodu.

- Nie masz prawa żądać czegokolwiek, Pawle. Zejdź nam z drogi.

Na dźwięk swojego imienia zaskoczony mężczyzna wyteńczył wzrok, by dostrzec mówiącego.

- Przypomnę ci - ciągnął Wespazjan. - Szkoda, że mój sztylet nie omsknął się w Cyrenie, bo oszczędziłoby to wiele ludzkich istnień.

- To ty! No cóż, dobrze się składa. Oprócz uczestniczenia w dziele Pana będę miał przyjemność dokonania osobistej zemsty. Przekaż ich nam, Wespazjanie, albo sami po nich przyjdziemy. Otoczymy i rozniesiemy w puch waszą żalostną gromadkę. Zważ, że tym razem nie masz do czynienia z nieśmiałymi sklepikarzami. Ci ludzie są uzbrojeni i gotowi umrzeć, wykonując dzieło Boże z przekonaniem, że pójdą wprost do nieba, bo Jozua Chrystus zmasał

ich grzechy.

- Nie mam pojęcia, o czym pleciesz, ale jeśli to niebo jest miejscem, do którego udają się podobni tobie fanatycy, to ja nie chciałbym się tam znaleźć. - Wespazjan obrócił się na pięcie i rozkazał: - Formować klin!

Stanął z przodu, tworząc czubek klina; Magnusa miał za prawym barkiem, a Hortensjusza za lewym. Legioniści rozstawili się za nimi, wciąż osłaniając uratowanych Żydów.

- Taki sam przyjemniaczek jak wtedy, kiedy widzieliśmy go ostatni raz, prawda? - zauważył Magnus, sprawdzając pasek przy hełmie. - Ciekawe, czy jego ludzie rzeczywiście będą chcieli ginąć za tego boga.

- Mam niemiłe uczucie, że zamierzają się ścigać, który z nich będzie pierwszy - odparł Wespazjan. Czuł gniew na myśl, że Paweł przekonał swoich naiwnych zwolenników, by tracili życie w zamian za jakąś przyszłą nagrodę. Aleksander miał rację, to była niebezpieczna i oderwana od życia religia. - Hortensjuszu, czy żołnierze są gotowi?

- Tak, senatorze.

- Naprzód!

Wespazjan poprowadził żołnierzy spokojnym truchtem wprost na Pawła, który wycofał się natychmiast pomiędzy swoich zwolenników, przestępujących niepewnie z nogi na nogę na widok legionistów w zwartym szyku, odległych zaledwie o dwadzieścia kroków i z każdą chwilą coraz bliższych.

- Jakoś mu niespieszno, by dostać się do tego ichniego nieba - wysapał Magnus.

Zasłonięty tarczą Wespazjan zmrużył oczy. Czuł w ręku świetnie wyważony miecz i pragnął tylko jednego: zabić Pawła.

Kiedy odległość zmniejszyła się do dziesięciu kroków, Wespazjan przyspieszył;

legioniści za jego plecami zrobili to samo, ani trochę nie rozluźniając szyku. Zwolennicy Pawła stali w miejscu, niezdecydowani, patrząc, jak mur tarcz i mieczy ustawionych w literę V sunie prosto na nich. Jakiś młody mężczyzna z wrzaskiem wyskoczył z tłumu i lewą ręką chwycił górną krawędź tarczy Wespazjana. Senator wbił guz tarczy w jego brzuch, a hełmem od góry walnął w zbieleń palce, rozcinając skórę i miażdżąc kostki. Pchnięty czysto mieczem przez Hortensjusza mężczyzna padł w rozbryzgach krwi. Jednak jego przykład wystarczył, bo kiedy klin uderzył w chwiejący się szereg, widok krwi towarzysza poderwał zwolenników Pawła do brawurowej szarży. Z szaleńczymi okrzykami ruszyli na szybko posuwającą się formację, uderzając niezdarnie mieczami w krawędzie tarcz, łamiąc sobie żebra na ich guzach. Flanki zaczęły się zawijać, by okrążyć Rzymian.

Wespazjan przedarł się przez pierwszy i drugi szereg, mocno trzymając tarczę przed sobą; wywijał mieczem z taką łatwością, jakby był on przedłużeniem ramienia. Wbił go w miękki brzuch jakiegoś mężczyzny w średnim wieku, po czym przekręciwszy gwałtownie, wyszarpnął w fontannie krwi, by prawie natychmiast, krzesząc iskry, odparować cios z prawej strony, jednocześnie roztrzaskując podkutym butem kolano drugiego napastnika. Dysząc ciężko, podczas gdy Magnus obcinał ramię napastnika z prawej strony, odrzucił na bok wrzeszczącego mężczyznę i wparł się w trzeci szereg. Za jego plecami rozszerzający się klin spychał przeciwników na boki, zbijając ich coraz ciaśniej. Miecze wysuwały się z błyskiem pomiędzy tarcz, trafiając stłoczone, niechronione niczym ciała po obu stronach szyku, rozcinając brzuchy, z których wyslizgiwały się splątane wnętrzności, i uwalniając smród gazów i ekskrementów.

Kiedy posuwający się na końcu klina legioniści z głośnym jednoczesnym stęknieniem uderzyli w zdezorganizowaną i osłabioną linię, Wespazjan wyciągnął ramiona przed siebie, rozłożył je gwałtownie i przebił się przez trzeci szereg. Guz jego tarczy wbił się w żebra mężczyzny po lewej stronie, natomiast głowica miecza uderzyła w usta ostatniego człowieka, jaki stał pomiędzy nim a pałacem. Posypały się zęby z przemieszczonej szczęki i mężczyzna padł z krzykiem na plecy, a w blasku ognia podpalonego domu widać było jego wykrzywioną bólem twarz. Padając, uderzył głową o bruk, jego ciało zadrgało gwałtownie i krzyk ustał. Wyćwiczonym przez lata odruchem jakiś legionista, przechodząc nad leżącym, wbił mu czubek miecza w gardło.

Przedarli się.

Wespazjan zwolnił, umożliwiając żołnierzom za sobą zachowanie styczości, gdy tworzący najszerszą część klina przerąbywali się przez płataninę ciał ludzi, martwych i żywych, z desperackim pośpiechem, by nie dać się zaatakować od tyłu przez zamykające się teraz za nimi wraże flanki. Zadanie ułatwiały im wrzaski okaleczonych i rannych, które znajdującym się najbliżej miejsca krwawych zmagania zwolennikom Pawła odbierały ochotę do walki, tak że zaczęli się cofać, wpadać jeden na drugiego, byle tylko ratować skórę. Linia przeciwnika pękła, zbryzgany krwią klin pozostał nienaruszony. Wespazjan przebiegł truchtem kolejne pięćdziesiąt kroków i obejrzał się za siebie. Widząc, że nikt ich nie ściga, zatrzymał ludzi. Legioniści z trudem łapali powietrze. Mozolne przedzieranie się trwało jakieś sto uderzeń serca, a wydawało się ciągnąć dziesięć razy dłużej.

- Hortensjuszu, każ sformować kolumnę - odezwał się Wespazjan. Za sobą zobaczył kilkadziesiąt ciał, leżących tam, gdzie klin przebił się przez ciżbę. Słysząc było jęki rannych, a ci, którzy wyszli z tego cało, w ponurym milczeniu przyglądali się poboju. Drobny krzywonogi człowieczek uwijał się wokół, pocieszając rannych. Paweł nie odniósł najmniejszych obrażeń.

Wespazjan splunął, odwrócił się i wydał rozkaz marszu w stronę odległego zaledwie o pięćset kroków pałacu.

Przy bramie do królewskiej przystani zatrzymał kolumnę i zwrócił się do Hortensjusza.

- Niech dwie kontubernie odprowadzą tych Żydów na mój stojący w porcie statek; do rana powinni być tam bezpieczni.

Mężczyzna miał niepewną minę.

- Ależ, senatorze...

- Ty tylko to wykonaj! Ja będę odpowiadał przed prefektem.

Hortensjusz wrócił biegiem do kolumny.

Po kilku chwilach zbliżył się Aleksander i jego pobratymcy wraz z rzymską eskortą.

- Zawdzięczam ci życie, Wespazjanie - powiedział alabarcha - a także życie moich synów i brata. Nigdy tego nie zapomnę.

- Przykro mi, że przybyliśmy za późno, by uratować twoją żonę - odparł Wespazjan, spoglądając na zakrwawione ciało kobiety niesione przez Aleksandra i jego brata. - Spieszcie się, ci żołnierze zaprowadzą was na mój statek, rano tam się spotkamy.

- Musimy pogrzebać naszych zmarłych - zaprotestował Filon.

- Nie, musicie być bezpieczni i opatrzyć ranę Tyberiusza.

- Ale nasze prawo nakazuje...

- Chodź, bracie, zapomnij o swoim bezcennym prawie - przerwał mu Aleksander - jeśli teraz się do niego zastosujemy, to będziemy mieli więcej ciał do pochowania. Do zobaczenia rano, Wespazjanie - powiedział i Żydzi ponieśli dalej swoich zmarłych.

- Na nas też już najwyższy czas - przypomniał Wespazjanowi Magnus.

- Tak, masz rację.

Wespazjan poczuł nagle ogromne zmęczenie. Wprowadził resztę kolumny przez bramę do królewskiej przystani; nabrzeża były puste, czasami tylko w świetle pochodni widzieli przemykającego szczura.

Dotarli już prawie na drugi koniec przystani, kiedy otworzyły się drzwi pałacu i pojawił się w nich Flakkus w pełnym wojskowym stroju; towarzyszyli mu legat i trybunowie XXII legionu Deiotariana.

- Co ty wyprawiasz, senatorze? - ryknął prefekt, z twarzą purpurową z wściekłości.

- Ratowałem życie porządnych ludzi, co sam powinieneś robić, zamiast spiskować z religijnymi maniakami.

- A ilu Rzymian straciło przy tym życie?

- Ani jeden. A teraz zejdz mi z drogi. - Gwałtownie przepchnął się obok prefekta, niemal zwalając go z nóg.

- Nie wolno ci opuszczać swoich pokoi, senatorze, dopóki nie zdecyduję, co z tobą zrobić! - zawołał za nim Flakkus. - Straże dostaną rozkaz, by cię nie wypuszczać.

- A niech to! - zirytował się Magnus. - Jak w tej sytuacji dostaniemy się rano na okręt?

- Musimy już dziś zabrać bagaże i udać się na okręt prosto z mauzoleum.

- A co z Flawią?

- Czeka ją niemiła niespodzianka.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jeszcze tylko dziesięć stóp - powiedział stłumionym głosem Wespazjan do wiercącej się na końcu liny Flawii. Czterdzieści stóp nad nią majaczyła sylwetka Magnusa, który powoli opuszczał kobietę w dół. Wespazjan starał się zachować równowagę w łodzi podskakującej na łagodnej fali Wielkiego Portu; Feliks manewrował jednym wiosłem, żeby nie odsunęli się od schodzącej w morze ściany pałacu.

Po kilku pełnych niepokoju chwilach Wespazjan chwycił kobietę za kostki nóg.

- Trzymam cię - powiedział cicho - a teraz przestań wierzgać, bo wszyscy znajdziemy się w morzu.

Flawia znieruchomiała, kiedy Magnus opuszczał ją kilka ostatnich stóp.

- To, Wespazjanie, był najbardziej niegodny sposób opuszczenia pałacu Ptolemeuszy - poinformowała go, kiedy uwolnił ją od sznura, którym była przewiązana w pasie - i do tego bolesny - dodała.

- Ale konieczny - przypomniał jej, pociągając za luźny sznur. - A teraz siadaj i przestań narzekać.

Flawia pokręciła głową z krzywym uśmiechem i usiadła na dziobie obok ich wielkich worków podróżnych, podczas gdy Magnus ze swoim workiem przerzuconym przez ramię ześlizgnął się zręcznie po linie. Wylądował w łodzi i spojrzał w górę.

- Ten sznur nas zdradzi - zauważył.

- Flakkusowi nie przyjdzie do głowy nic więcej poza tym, że zbiegliśmy z aresztu.

- To już i tak go wystarczająco rozsierdzi - zauważył Magnus, stawiając swój worek przy pozostałych.

- To już wszystko czy będzie więcej niespodzianek? - spytał Feliks.

Wespazjan usiadł obok Flawii.

- Już żadnych więcej, Feliksie - odparł - jak tylko wsadzimy Flawię na pokład, dalej postępujemy zgodnie z planem.

Feliks prychnął i odepchnął się wiosłem od muru. Kiedy łódź się obróciła, sprawnie rozwinął trójkątny żagiel i zajął miejsce przy wiosle sterowym. Płótno załopotało cicho, kiedy wypełniła je lekka bryza, i łódź przecięła srebrzoną księżycowym światłem powierzchnię wody.

Magnus starał się nie dotknąć pośladków Flawii, kiedy razem z Wespazjanem pomagał jej wejść po drabince na rufę statku, ale bez tego wykonanie zadania okazało się absolutnie niemożliwe.

- Przepraszam, panie - mruknął, umieszczając prawą dłoń pod jednym lewym pośladkiem.

- Nie krępuj się - odparł z uśmiechem Wespazjan, który już trzymał rękę pod prawym. Skoordynowanym pchnięciem posłali Flawię w górę drabinki i kobieta z piskiem wylądowała w ramionach triarchy i Aleksandra. Dwie pokojówki przybiegły jej na ratunek, paplając zaniepokojone.

- Bądźcie gotowi do wypłynięcia za kilka godzin - polecił kapitanowi Wespazjan, wdrapawszy się ze swoim workiem na pokład.

- Będzie jeszcze ciemno, senatorze, nie zdołam się dostać do edyla portowego, żeby podstemplował stosowny dokument - odparł kapitan, kiedy pojawił się Magnus z dwoma ostatnimi workami.

- No właśnie, więc zrób to cichaczem.

Kapitan wzruszył ramionami i wydał rozkaz, by obudzić żeglarzy, którzy owinięci w koce spali na pokładzie.

- Będziecie musieli wszyscy popłynąć z nami, Aleksandrze - oświadczył Wespazjan, pomagając Feliksowi wdrapać się na pokład. Mężczyzna miał na ramieniu wypchaną skórzaną torbę, a w ręku małą klatkę z dwiema gęsiami.

- Nie możemy opuścić naszych ludzi - odparł Aleksander. - Musimy zostać i wrócić do nich.

- Decyzja należy do was. Wrócimy za kilka godzin. Przez ten czas wymyśl, jak zamierzacie to zrobić, skoro macie ze sobą zwłoki trzech osób i jednego rannego.

- Dokąd idziecie?

Wespazjan uśmiechnął się i poklepał Aleksandra po ramieniu, odszedł bez słowa.

Port był opustoszały, jeśli nie liczyć kilku pijanych żeglarzy, śpiących tam, gdzie powalił ich nadmiar trunku. Przy świetle księżyca Wespazjan i jego towarzysze przebyli szybko nabrzeże i weszli po schodkach na promenadę tuż obok Cezareum. Wespazjan zatrzymał się na chwilę, kiedy mijali jeden z obelisków strzegących tej budowli; sierp księżyca zdawał się tkwić idealnie na jego czubku, zupełnie jakby stanowił integralną część tego pomnika. Zastanawiając się, czy jest to jakiś omen, dogonił towarzyszy, przemykających się w głębokim cieniu otaczającej budynek kolumnady.

- Teraz powinniśmy już iść normalnym krokiem - powiedział Feliks, kiedy po kilku stopniach zeszli na szeroką ulicę - żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi.

Po zmroku większość mieszkańców miasta, całkiem zresztą rozsądnie, przebywała za zaryglowanymi drzwiami, ale ponieważ nie było zakazu poruszania się, od czasu do czasu na ulicach można było spotkać przechodniów. Szybkim krokiem przecięli ulicę i kolejną skierowali się na południe. Na wschodzie niebo wciąż jaśniało od pożarów szalejących w splądrowanej żydowskiej dzielnicy, jednak nic nie wskazywało na to, by zamieszki się rozlały na zewnątrz, szli więc kolejne ćwierć mili niezauważeni przez nikogo, aż doszli do bramy

Somy.

Stali tam dwaj macedońscy wartownicy, zagradzając wejście skrzyżowanymi włócznieami.

- Przyszliśmy złożyć ofiarę - wyjaśnił Feliks, podnosząc klatkę z gęsiami.

- Kapłan ma dzisiaj pracowitą noc - rzucił jeden z wartowników, kiedy obaj cofnęli włócznie. - Wy też chcecie rzucić przekleństwo na Żydów?

- Coś w tym rodzaju - odparł Feliks z uśmiechem, kiedy wchodzili pod łukiem wejścia do środka.

Skąpany w bladym świetle księżyca dziedziniec wydawał się jeszcze większy niż za dnia; ogień na stojącym pośrodku ołtarzu, ukazujący zarysy osób składających ofiary, wydawał się bardzo odległy.

Wciąż skryty w cieniu muru Feliks skierował się w prawo; pozostali ruszyli za nim. Przywierając do ściany, posuwali się na północ, w stronę świątyni Aleksandra, omijając mauzolea Ptolemeusza. Bez przygód dotarli pod to najbliższe świątyni, odległej zaledwie o trzydzieści kroków. Pomiędzy obydwoma budynkami rozciągała się pusta, zalana światłem księżyca przestrzeń. Na szczycie schodów, w cieniu portyku, ledwie widzieli dwóch nocnych strażników.

- Poszukajcie jakichś kamieni - szepnął Feliks, stawiając klatkę z gęsiami - przydałoby się ich ze sześć.

- Po co? - spytał Wespazjan, macając ręką ziemię wokół siebie i niemal natychmiast natrafiając na kilka kamyków.

- Żeby popędzić gęsi do przodu. - Feliks wyjął z klatki jednego ptaka, podał go Magnusowi, a następnie wyciągnął drugiego i wsadził sobie pod pachę. - Policzę do trzech, a wtedy, Magnusie, ciśnij swoją gęś najdalej jak zdołasz, w stronę świątyni, ja zrobię to samo ze swoją, a kiedy obie tam wylądują, ty, Wespazjanie, rzucaj w nie kamyki, żeby pognać je do

przodu.

- Nie odfruną? - zaniepokoił się Wespazjan, zbierając więcej kamyków.

- Podcięto im skrzydła, mogą przefrunąć zaledwie kilka kroków. No dobra, liczę; jeden, dwa, trzy.

Feliks i Magnus rzucili gęsi w stronę świątyni; ptaki zamachały skrzydłami i sycząc z oburzenia, pofrunęły najlepiej jak mogły, lądując ciężko tuż przed schodami. Wespazjan rzucił celnie kilkoma kamieniami i poczłapały dalej, głośno gęgając. Z budynku odpowiedziały im krzyki gęsi tam zamkniętych. Strażnicy popatrzyli na siebie, zamienili kilka słów, po czym jeden wręczył drugiemu swoją włócznię i zszedł ze schodów. Gęsi przyglądały mu się podejrzliwie. Kiedy znalazł się trzy kroki od nich, wyciągnęły szyje, zamachały bezużytecznymi skrzydłami i zasyczały groźnie. Mężczyzna rzucił się do przodu i ku rozbawieniu swojego kolegi zaczął uganiać się za jednym z hałasujących ptaków. Po całej serii zwrotów dopadł go wreszcie, kiedy ten bezskutecznie próbował wspiąć się na schody. Trzymając mocno gęś w ramionach, podbiegł ze śmiechem do kolegi, który zdjął z szyi sznurek z kluczem i odwrócił się do drzwi.

- Teraz! - szepnął Feliks.

Kiedy strażnicy zajęci byli otwieraniem drzwi i wpychaniem do środka gęsi, ku hałaśliwej konsternacji pozostałych ptaków, Feliks, a za nim Wespazjan i Magnus, ruszyli biegiem przez otwarty teren w stronę świątyni, skręcając natychmiast za jej róg i znikając z pola widzenia zamykających już drzwi strażników.

- Skąd wiedziałeś, że będą próbować łapać gęsi? - spytał Wespazjan, kiedy ruszyli w stronę miejsca, w którym świątynia przylegała do otaczającego Somę muru.

- Dziś wieczorem wykradłem je z ogrodu dla ptaków - odparł Feliks, zatrzymując się przy zamocowanej na murze drewnianej drabinie. - Strażnicy wiedzieli, że brakuje im dwóch gęsi, więc kiedy je zobaczyli, słusznie założyli, że to są właśnie te dwie brakujące. A teraz ruszamy w górę.

Wspiąwszy się na szczyt drabiny, przeszli przez niski murek na obrzeżu płaskiego dachu i zaczęli się skradać do znajdującej się pośrodku klapy.

- To powinno wystarczyć - oświadczył z ulgą Feliks, pomacawszy solidne żelazne zawiasy. - Nie uśmiechało mi się trzymanie tej liny w pojedynkę. - Pogrzebał w torbie i wyciągnął zwój konopnego powroza z ołowianym ciężarkiem na jednym końcu; drugi koniec zaczął okręcać wokół zawiasu. - A teraz czekamy.

- Na co? - spytał Wespazjan, zaglądając do dziury.

W bladym świetle dostrzegł we wnętrzu sylwetki gęsi. Wrzucenie między nie drugiego ptaka wywołało ich głośne wrzaski. Światło zgasło, drzwi zamknięto.

- Na to - rzucił krótko Feliks i zaczął opuszczać powróż.

Głęboko pod nimi przyćmiony blask lampek w komorze grobowej pozwolił im się zorientować, jak jest usytuowany szyb obserwacyjny. Po kilku nerwowych próbach Feliksowi udało się umieścić ciężarek w jego wlocie, po czym zaczął znowu poluzowywać powróż, kołysząc nim lekko, tak że ciężarek postukiwał delikatnie o kamienne ściany szybu.

- Informujemy Ziriego, że opuszczamy powróż - wyjaśnił Feliks. - Nie chcemy chyba, by ciężarek stłukł kryształ, co?

Po chwili poczuł szarpnięcia sznurem.

- W porządku, wie, że tu jesteśmy.

Wespazjan dostrzegł w mroku niewyraźną postać na szczycie schodów prowadzących do komory grobowej, wymachującą, jak mu się zdawało, rękoma. Gęganie przybrało na sile i słyszać było tupot wielu nóg.

- Na dół, panowie - powiedział Feliks, podając Magnusowi skórzaną torbę. - W środku jest napierśnik; sprawcie się jak najszybciej. Gęsi nie będą jeść przez całą noc.

- Pójdę pierwszy, panie - zaproponował Magnus. - Jestem cięższy. - Chwyć powróż i zagłębił się w otworze.

Wespazjan obserwował go przez cały czas. Magnus dotarł do balustrady otaczającej szyb obserwacyjny, zahuszał się lekko i zdołał wylądować na posadzce. Gęsi się ożywiły, kiedy znalazł się między nimi, ale wyglądało na to, że chleb i ziarno odciągają je wystarczająco od ich obowiązku strażniczek.

Feliks pomógł Wespazjanowi uchwycić dobrze powróż.

- One mogą być teraz wytrącone z równowagi i strażnicy nie będą się przejmować, jak trochę pohłasują; uważaj tylko, by którejs nie nadepnąć.

- Dzięki za radę, Feliksie - odparł Wespazjan i zaczął opuszczać się w mrok.

Idąc za przykładem Magnusa, on również zakołysał się lekko i wylądował za balustradą. Gęsi podniosły wrzask na znak protestu, ale po chwili wróciły do swojej niespodziewanej nocnej uczty. Omijając uważnie ptaki, podszedł do schodów i zbiegł na dół do komory grobowej, gdzie czekali Magnus i Ziri.

Przy świetle samych tylko płonących lampek ciało Aleksandra w kryształowym kokonie wydawało się jeszcze bardziej eteryczne niż oglądane za dnia, przy sączącym się z góry świetle słonecznym.

- Ziri, chwyć powróż i odczep ciężarek - polecił Wespazjan, kiedy stanęli z Magnusem po dwóch stronach sarkofagu. - Uniesiemy wieko tylko tyle, żeby wsunąć pod nie powróż, jasne?

Magnus skinął głową i obaj mężczyźni, zebrawszy siły, wsunęli palce pod krawędź wieka.

- Gotów, Ziri?

- Tak, panie - odparł młody Marmaryda, zajmując stanowisko od strony głowy

Aleksandra.

- Już.

Z ogromnym wysiłkiem oderwali wieko od podstawy i unieśli je nieco z jednego końca; woń ziół i kadzidła wypełniła pomieszczenie. Ziri szybko przewłókł powróż przez szparę i z ulgą opuścili z powrotem ciężki kryształ.

- Na obwisłe cycki Minerwy, to ci dopiero ciężar! - wykrzyknął Magnus, rozcierając palce. - Ziri, dawaj powróż. - Wziął luźny koniec i zarzuciwszy na wierzch pokrywy powtórnie, zawiązał w bezpieczny węzeł. - A teraz, Ziri, ty i ja to podtrzymamy, kiedy szlachetny pan będzie robił swoje. - Szarpnął lekko sznur i znajdujący się na dachu Feliks zaczął go ciągnąć.

Pokrywa unosiła się bardzo wolno, aż wreszcie Wespazjan zobaczył twarz nieznieształconą kryształem. W łagodnym świetle wyglądała bardziej na ogorzałą niż zmumifikowaną, jednak suchej skórze brakowało połysku żywego ciała i Wespazjan odczuł absurdalną ulgę, że nie narusza spokoju tego wielkiego człowieka, budząc go ze snu. Aleksander był ewidentnie martwy.

Wieko zawisło już na tyle wysoko, że można było się dostać do napierśnika. Wespazjan i Magnus podtrzymywali je cały czas, by choć trochę odciążyc powróż.

Wespazjan nachylił się i wymacawszy sprzączki klamry z obu stron, zaczął je rozpinać, po czym stwierdził, że nie są w ogóle zapięte. Pancierz po prostu położono na klatce piersiowej nieżyjącego bohatera.

- To ułatwia sprawę - mruknął, wsadzając palce w oba wycięcia na ręce i ostrożnie próbując go poruszyć. Nie stawiał oporu. Prawą dłonią delikatnie unióśł skrzyżowane ręce Aleksandra i lewą zsunął napierśnik. Zadrzał z emocji, czując przez chwilę dotyk suchej skóry.

Podniósł napierśnik do góry, żeby obejrzeć go w słabym świetle lamp.

- A to ci dopiero! - syknął.

- O co chodzi? - zapytał nerwowo Magnus.

- Tu jest plama - odparł Wespazjan, wskazując miejsce z lewej strony.

- Krew?

- Możliwe.

Ułożył obok siebie na posadzce oba napierśniki, po czym wyjął z pochwy sztylet i rozciął sobie czubek kciuka. Popłynęła krew i Wespazjan potarł palcem kopy, tworząc, jak miał nadzieję, znośną imitację oryginalnego śladu. Następnie osuszył świeżą plamę tuniką i zaczął układać replikę w sarkofagu.

Pasowała jak ulał.

- Zabierajmy się stąd - rzucił Magnus, szarpiąc dwukrotnie za sznur.

Pokrywa opuszczała się bardzo powoli. Wespazjan przyjrzał się swemu dziełu. W tym świetle było niemożliwością zauważyć różnicę. Nagle coś zwróciło jego uwagę.

- A niech to lichu! Zatrzymać.

Magnus i Ziri wzięli na siebie cały ciężar kryształowej pokrywy; na chwilę powróz zwisał luźno, po czym znowu się napiął, przejmując obciążenie.

- O co chodzi? - syknął Magnus.

- Zostawiłem krew na krawędzi napierśnika przy szyi - odparł Wespazjan, wychylając się do przodu i wycierając kroplę krwi, która najwidoczniej skapnęła mu z kciuka.

Magnus szarpnął dwukrotnie za powróż. Pokrywa opuściła się niżej i zanim dotknęła dolnej części sarkofagu, Magnus i Ziri ją zatrzymali. Wespazjan błyskawicznie rozwiązał

supel i wieko z lekkim zgrzytem spoczęło na swoim miejscu.

- To było zaskakująco łatwe - zauważył Wespazjan, wkładając napierśnik do skórzanej torby.

- Jeszcze stąd nie wyszliśmy - przypomniał mu Magnus, ruszając ku schodom. - Chodź, Ziri, i uważaj na gęsi.

Kiedy znaleźli się na poziomie świątyni, powitało ich gęganie, ale niespecjalnie energiczne, jako że większość ptaków szykowała się do snu po obfitej uczcie.

Młody nomada pierwszy wdrapał się na górę, zadziwiająco szybko pokonując pięćdziesiąt stóp sznura. Wespazjan zrobił to po nim, choć nie tak zwinnie.

- Dobrze poszło? - spytał Feliks, pomagając Wespazjanowi wygramolić się z otworu.

- Świetnie - odparł Rzymianin, patrząc na Ziriego, który właśnie wydalął ogromną ilość moczu.

- Ale mi się chciało - chłopak stęknął z ulgą - całe godziny na to czekałem.

- Nie dziwota, że tak szybko wdrapałeś się po powrozie - powiedział z uśmiechem Wespazjan. - I co teraz, Feliksie, wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy?

- Nie, wy trzej przechodźcie od razu przez mur Somy, potem ja wam rzucę sznur, a sam zejść po drabinie; jeśli mnie złapią na terenie Somy, będę miał przy sobie jedynie pustą klatkę na ptaki.

Kiedy Magnus znalazł się na górze, Feliks odwiązał powróż i wszyscy, pochyliwszy się nisko, ruszyli na tyły świątynnego dachu. Feliks obwiązał się sznurem i przerzucił jego koniec przez mur Somy. Ziri i Magnus opuścili się szybko na ulicę.

Wespazjan uścisnął mocno rękę Feliksa.

- Dzięki - powiedział. - Odwiedź mnie, kiedy będziesz w Rzymie, jestem twoim dłużnikiem.

Feliks nie zdążył nic odpowiedzieć, bo przy bramie do Somy powstało jakieś zamieszanie. Obejrzeni się za siebie i zobaczyli biegnący w stronę świątyni oddział legionistów pod dowództwem niosącego płonąca pochodnię centuriona, obok którego pędził jakiś kapłan.

- Na obwisłe pośladki Cybele! - wykrzyknął Wespazjan. - Flakkus musiał się domyślić.

- Ruszajcie, szybko, ja sobie poradzę, bo oni biegną wprost do świątyni.

Zarzuciwszy sobie na ramię skórzaną torbę, Wespazjan przeskoczył murek, podczas gdy Feliks wparł się nogami w dach, by utrzymać jego ciężar na sznurze.

Parząc sobie dłonie, Wespazjan ześlizgnął się na dół i wylądował ciężko na bruku, a zaraz potem tuż obok spadł powróż.

- Co to za panika? - zdziwił się Magnus, zbierając z ziemi sznur.

- Po prostu biegnij!

Przeskakując po trzy stopnie naraz, Wespazjan zbiegł do portu, czując tuż za sobą Magnusa i Ziriego. Widział swój statek, z podniesionym już żaglem. Biegąc kamiennym nabrzeżem, przeskoczył przez zwój liny i pijanego żeglarza, i skręcił ostro na pomost, przy którym zacumowany był okręt. Choć nie zauważyli żadnej pogoni, kiedy pędzili przez miasto, chciał koniecznie wypłynąć jak najszybciej z obawy, że kradzież mogła zostać odkryta.

- Kapitanie - zawołał, wbiegając po trapie - natychmiast odpływamy!

- Wygląda na to, że ci się spieszy - odezwał się znajomy głos, kiedy Wespazjan wpadł na pokład. - Ciekawe dlaczego?

Odwrócił się i zobaczył opartego o maszt Flakkusa. Ocaleni Żydzi i Flawia stali za nim pilnowani przez dwóch żołnierzy.

- Kiedy znalazłem sznur wiszący z twojego tarasu, pomyślałem sobie, że po prostu postanowiłeś uciec - powiedział Flakkus, wychodząc do przodu, kiedy już Magnus i Ziri wbiegli na pokład. - Wobec tego pospieszyłem tutaj i dowiedziałem się, że wydałeś rozkaz, by okręt był gotowy wyruszyć, kiedy tylko zjawisz się tutaj za jakąś godzinę. Zabawiałeś się w nocnego rabusia przed czmychnięciem z uroczą Flawią i swoimi nowymi żydowskimi przyjaciółmi do Rzymu, tak? Co masz w tej torbie?

- Nic, co by mogło cię zainteresować, Flakkusie.

- Ależ owszem, interesuje mnie. Jeśli zrobiłeś coś, czego jednoznacznie ci zabroniłem, to nawet bardzo mnie interesuje, byłbym zatem zobowiązany, gdybyś ją otworzył.

- Prefekcie, przypominam ci, że to jest okręt cesarski. - Wespazjan wskazał ręką wiszący na maszcie cesarski proporzec. - Dlatego tutaj jestem pod bezpośrednimi rozkazami samego cesarza i poza twoją jurysdykcją. Cokolwiek się znajduje w tej torbie, jest własnością cesarza.

Na twarzy Flakkusa pojawił się półuśmiech i prefekt odchylił głowę do tyłu.

- Może i tak - powiedział - ale to nieważne, ponieważ wysłałem jednego z kapłanów, by sprawdził grobowiec. Jeśli stwierdzi brak pewnego przedmiotu, to zapewne rozważymy, gdzie kończy się moja jurysdykcja.

- Możesz rozważać sobie, co chcesz, niemądrze jednak byłoby tykać własność Kaliguli. - Wespazjan podał torbę Ziriemu. - Zabierz ją do kabiny.

- Nie byłaby to własność Kaliguli, gdyby nie ukradł tego jego złodziej, ale już wkrótce się tego dowiemy... widzę, że kapłan się zbliża.

Wespazjan odwrócił się i zobaczył kapłana biegnącego nabrzeżem w eskorcie legionistów.

- On może wejść na pokład, ale żołnierze zostają na pomoście - oświadczył Wespazjan, kładąc rękę na rękojeści miecza. Wyczuł, że Magnus zrobił krok, by znaleźć się bliżej niego.

- Niech tak będzie - zgodził się Flakkus, podchodząc do szczytu trapu. - Nie ma potrzeby korzystać z siły na razie. Centurionie, niech twoi ludzie zostaną tam, gdzie są, ale niech będą gotowi wejść na pokład, kiedy zawołam. Przyślij tu kapłana.

Na pokład wszedł znajomy kapłan.

- I co? - spytał go Flakkus.

- Nic nie rozumiem - powiedział mężczyzna, kręcąc głową. - Ktoś tam był; musieli dostać się do środka przez dach, żołnierze tam odkryli kałużę świeżego moczu. Na posadzce świątyni rozsypano ziarno i chleb, najwyraźniej po to, żeby gęsi nie narobiły hałasu. Strażnicy powiedzieli, że nic nie widzieli i nie słyszeli, tylko pojawiły się dwie gęsi, które wcześniej uciekły, więc je schwytali i wsadzili z powrotem do środka.

- No tak, ale co z napierśnikiem? - niecierpliwiał się Flakkus.

- Tego właśnie nie pojmuję. On wciąż tam jest. Kazałem żołnierzom podnieść pokrywę i przyjrzałem się mu; jest autentyczny, mogę przysiąc, ma plamę po lewej stronie. Niczego nie brakuje, choć ktoś na pewno podnosił wieko.

- Skąd ta pewność?

- Bo przy wycięciu na szyję tuniki Aleksandra była kropla świeżej krwi.

Flakkus rzucił Wespazjanowi groźne spojrzenie.

- Co zrobiłeś, senatorze?

Wespazjan wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej nic, prefekcie. A teraz, proszę wybaczyć, muszę wracać do Rzymu. Kapitanie, wypływamy natychmiast, jak tylko prefekt i jego ludzie zejną z pokładu.

- Dobrze, możesz odpłynąć, ale ja zabieram tych Żydów.

- Jeśli to zrobisz, mój raport dla cesarza będzie jeszcze bardziej krytyczny i wierz mi, Flakkusie, nieważne, ile masz pieniędzy, on cię odnajdzie i w sposób najbardziej bolesny wyśle na tamten świat. Jest szalony, czyżbyś o tym nie wiedział?

Flakkus popatrzył na Wespazjana niepewnym wzrokiem, po czym splunął mu pod nogi i energicznym krokiem opuścił okręt.

- Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre - krzyknął za nim Wespazjan - to ściągniesz Greków z karków Żydów i ponownie przejmiesz kontrolę nad miastem cesarza. - Podszedł do żołnierzy pilnujących Żydów. - Wy dwaj, precz stąd!

- Co za okropny człowiek - powiedział Filon, kiedy legionisanci odeszli. - Napiszę o nim taką diatrybę, że jego imię będzie zszargane na wieki.

- Postaraj się, żeby nie było tam zbyt wiele kwiecistej retoryki jak w reszcie twojej twórczości, bracie - powiedział Aleksander ze smutnym uśmiechem. - Wystarczą same fakty.

Filon prychnął.

- Będziemy musieli pochować waszych zmarłych w morzu - powiedział Wespazjan, kiedy wciągnięto trap i rzucono liny cumownicze.

- To nie będzie konieczne - odparł Aleksander - postanowiliśmy wrócić.

- Jak? Przecież już odpływamy.

- Łódką, którą wy przyплыnęliście. Kiedy okręt opuści port, pożeglujemy do plaży przy dzielnicy żydowskiej.

- Flakkus każe was zabić.

- Nie, nie zrobi tego, bo będę mu potrzebny do zaprowadzenia spokoju. Jeśli moi ludzie zobaczą, że nie chcę pomsty za zamordowanie mojej żony, to może zechcą zrezygnować z domagania się odwetu.

- A Flakkus dostanie to, na czym mu zależy?

- Być może. My jednak nie możemy sobie pozwolić na kontynuowanie walk, wybito by nas do nogi. Co nie znaczy, że Flakkusowi kiedykolwiek wybaczymy. Kiedy tylko zapanuje spokój, mój brat stanie na czele delegacji do cesarza, żeby poskarżyć się na traktowanie, jakie spotyka nasz lud.

- A Paweł?

- Naszym jedynym warunkiem będzie, żeby Flakkus go wypędził, a najlepiej pozbawił życia, wtedy będziemy gotowi wrócić do poprzedniego stanu rzeczy. Uświadomiliśmy sobie bowiem, że w tym mieście jesteśmy za słabi, by wysuwać żądania, że powinniśmy się zadowolić tym, co mamy, nawet jeśli oznacza to, że pozostajemy obywatelami drugiej kategorii i musimy oglądać posągi szalonego cesarza w naszych świątyniach.

Prowadzony płonącym jasno światłem latarni Faros okręt pod żaglami, wspomaganymi wiosłami, wypłynął z portu, kiedy niebo nad horyzontem pojaśniało brzaskiem poranka.

Kiedy znalazł się z dala od mola, zatrzymał się, by Żydzi mogli wsiąść do łodzi. Najpierw spuszczone ciała, a potem miejsca zajęli żywi.

- Dziękuję ci, Wespazjanie - powiedział Tyberiusz, szykując się do przejścia przez nadburcie. Jego tors spowijały bandaż, przez które przesiąkała krew. - Zawdzięczam ci nie tylko życie, ale również skórę. Na zawsze pozostanę twoim dłużnikiem.

- Kiedyś ci o tym przypomnę - powiedział Wespazjan, pomagając mu zejść.

Ostatni schodził Aleksander.

- Słyszeliśmy twoją rozmowę z Flakkusem, a potem z kapłanem. Powiedz mi, masz ten napierśnik?

Wespazjan poklepał go po ramieniu.

- Aleksandrze, przyjacielu, pozwól, że ujmę to w ten sposób: gdybyś miał wybierać, czy człowiekowi, który jest panem twojego życia i śmierci, dać rzecz, której zapragnął, albo jej replikę, to co byś wybrał?

Aleksander skinął głową.

- Miło jest wiedzieć, że Grecy stracili coś dla nich bezcennego, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy.

Wespazjan spojrział ponad ramieniem Aleksandra, na dziesiątki pożarów wciąż szalejących w dzielnicy żydowskiej, i pokręcił głową na widok tego bezsensownego zniszczenia.

- Jeśli o mnie chodzi, Aleksandrze, to wolałbym, by został on tutaj, u nich. Teraz, kiedy mam napierśnik, z bólem serca myślę o oddaniu go Kaliguli. Kto wie, do jakiego nowego szaleństwa popchnie cesarza fakt, że go posiada?

CZĘŚĆ V

RZYM I ZATOKA
NEAPOLITAŃSKA
SIERPIEŃ, 38 R.

Rozdział dwudziesty drugi

Port w Ostii był dziwnie spokojny i cichy. Szaloną krzątaninę zastąpiła ospała gnuśność, zupełnie niepasująca do pełni sezonu żeglugowego. Jeśli nie liczyć kilku grup pracowników portowych rozładowujących dwa niewielkie statki handlowe, nabrzeża były prawie puste, pojawiali się tam tylko od czasu do czasu jakiś sprzedawca jedzenia albo dziwka, usiłujący zainteresować nielicznych, obojętnych przechodniów. Nawet mewy jakby straciły wszelką motywację i zamiast skrzeczeć ludziom nad głowami i pikować po resztki jadła, siedziały długimi rzędami na dachach magazynów i łypały nienawistnie w dół, na ten bezruch, który sprowadził niedostatek żywności zarówno na nie, jak i na mieszkańców Rzymu.

- Myślisz, że znowu wybuchła zaraza? - spytał Magnus, kiedy trirema zatrzymała się przy jednym z wielu opuszczonych pomostów.

- Nie pozwoliliby nam zacumować, gdyby tak było - poinformował go kapitan, kiedy opuszczono trap.

- Wkrótce dowiemy się, o co tu chodzi - oświadczył Wespazjan, patrząc na edyla, który z przejętą miną szedł szybkim krokiem w ich stronę w towarzystwie pomykającego małymi kroczkami sekretarza.

- Czy senator Tytus Flawiusz Wespazjan jest na pokładzie? - zawołał urzędnik, wchodząc po trapie.

- Tak, jestem tutaj.

- Dzięki bogom, senatorze. Tak się cieszę, że cię widzę. Może teraz uda nam się wreszcie zakończyć to szaleństwo i powrócić do normalności.

- O czym mówisz?

- O tym cesarskim moście oczywiście. Handel zamarł i ludzie zaczynają odczuwać głód, bo Kaligula zarekwirował wszystkie statki, jakie znalazły się na wodach wokół Italii, i posłał je do Zatoki Neapolitańskiej. Są ich tam tysiące, spięte ze sobą łańcuchami, a on nie pozwala ich ruszyć, dopóki po nich nie przejedzie, a nie przejedzie, dopóki nie dostanie tego, co mu miałeś przywieźć, czymkolwiek to jest. Mam nadzieję, że przez wzgląd na wszystkich, a szczególnie ciebie samego, masz to coś, bo on się zaczyna bardzo niecierpliwić. Dwa albo trzy razy dziennie przysyła posłańców, żeby sprawdzić, czy już przybyłeś.

- No cóż, mam - powiedział Wespazjan i dla potwierdzenia swoich słów podniósł do góry skórzaną torbę.

- To dobrze, bo otrzymałem rozkazy, by odesłać cię do Rzymu w łańcuchach, gdybyś zjawiał się z pustymi rękoma. W tej sytuacji natomiast masz bezzwłocznie udać się do cesarza. Kazałem w tym celu przygotować dla ciebie szybkiego wierzchowca.

- Jest ze mną pewna szlachetna pani.

- Będzie musiała pojechać powozem... dostarczę go. Kapitanie, kiedy tylko rozładują te dwa statki handlowe, popłyniesz z nimi do zatoki, żeby stały się częścią tego przeklętego mostu. - Co powiedziawszy, edyl popatrzył na nich udręczonym wzrokiem, pokręcił z niedowierzaniem głową i pośpiesznie opuścił pokład.

- O co mu chodziło, mój drogi? - spytała Flawia, wychodząc z kabiny.

- Mam bezzwłocznie stawić się przed cesarzem. Magnus i Ziri będą ci towarzyszyć w drodze do domu mojego wuja. Przy odrobinie szczęścia będę już tam na ciebie czekał, kiedy się zjawisz.

- Nie sądzę, by miało to jakikolwiek związek ze szczęściem - stwierdził ponurym głosem Magnus. - Raczej już z kaprysem szaleńca, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wespazjan nachmurzył się i energicznym krokiem zszedł po trapie na nabrzeże.

- Nie pozwolił ci go zabrać? - Kaligula z wściekłością wymachiwał trójzębem w

stronę Wespazjana. Za jego plecami przedstawiciele miejskiej biedoty w niedorzecznym rządku wlekli się przez wspaniałe atrium domu Augusta, bacznie obserwowani przez gwardię pretoriańską. - Dlaczego po prostu go nie wzięłeś?

- Tak właśnie uczyniłem, Nieziemski Boże Morza - odparł Wespazjan, używając tytułu, jaki podpowiedział mu Klemens, w związku z wyrażoną niedawno ambicją cesarza, by zająć miejsce Neptuna w rzymskim panteonie. - W tym celu musiałem jednak włamać się cichaczem do mauzoleum, ukraść napierśnik i zastąpić go wierną kopią.

- O, brzmi to jak niezła zabawa. - Kaligula wygramolił się z impluwium i z trudem ruszył w ciasnej spódniczce z pokrytej łuskami rybiej skóry, która zdobiła dolną część jego ciała. - Dobrze się bawiłeś?

- Chwilami.

- Szkoda, że nie popłynąłem z tobą. Przydałoby mi się trochę oddechu od tych wszystkich wymagań, jakie mają wobec mnie bogowie i ludzie.

- Jestem pewien, że wszystko przebiegłoby znacznie sprawniej, gdybyś był z nami, Nieziemski Boże Morza.

- Co? - Przez chwilę Kaligula wyglądał na zdezorientowanego, potem jednak spojrzał na ociekającą wodą spódniczkę. - A tak, oczywiście, to musi wywoływać u ciebie pewien zamęt; kiedy wychodzę z wody, jestem znowu boskim Gajuszem. A teraz pokaż mi ten napierśnik.

Wespazjan włożył rękę do torby.

- Klemensie! - wrzasnął Kaligula, przyciskając trójząb do klatki piersiowej Wespazjana i przebijając mu togę.

Wespazjan zastygł w bezruchu, a Klemens przedarł się przez rząd obszarpańców, którzy stanęli jak wryci, usłyszawszy krzyk cesarza.

- Czy on próbuje mnie zabić? - zawołał Kaligula, spoglądając gniewnie na Wespazjana podkrążonymi, zapadniętymi oczyma. Wokół każdego z trzech ostrych zębów pojawiły się plamy krwi.

- Nie, boski Gajuszu - zapewnił go Klemens, odbierając Wespazjanowi torbę - sam sprawdziłem, czy nie ma w niej broni. Jest tam wyłącznie napierśnik.

- Pokaż!

Klemens zanurzył powoli rękę w torbie. Kaligula oderwał trójząb od piersi Wespazjana i przyłożył do gardła Klemensa. Z brodą wysoko uniesioną i spoglądając wzdłuż drzewca na swojego cesarza, prefekt wyciągnął powoli napierśnik.

- Masz rację - oświadczył Kaligula i odetchnął głęboko. - To tylko pancerz; potrzyмай to. - Podał trójząb Klemensowi, nie pomyślawszy, że właśnie dał mu narzędzie, którym prefekt mógłby go z łatwością zamordować, i wziął do ręki napierśnik. Potarł go dłonią i popatrzył na Wespazjana, uśmiechając się szaleńczo. - To ten, mój przyjacielu, nie próbowałeś mnie oszukać, to naprawdę on, pamiętam tę plamę. Zapytałem wtedy ojca, dlaczego nie ukrzyżowano kapłanów za to, że pozwolili zbezczścić Aleksandra. - Przyłożył pancerz do piersi. - Jak wyglądam?

- Jak wielki Aleksander, tylko bardziej bosko - odparł Wespazjan uroczystym głosem, myśląc sobie, że cesarz wygląda jak człowiek obleczony w rybią skórę, który wkłada zupełnie niepasujący na niego napierśnik.

- Doskonale! Będziesz dziś ucztował ze mną i moimi przyjaciółmi. Twój brat wrócił wreszcie ze swojej prowincji, więc będzie tutaj... podobnie jak mój koń.

Wespazjan nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Nie mogę się doczekać, żeby ich obu zobaczyć, boski Gajuszu.

- Tak, Incitatusa też uraduje twój widok, bo nie może się doczekać, kiedy pociągnie mój rydwan przez most. A teraz możemy już to zrobić. - Z niekłamaną radością patrzył na

napierśnik. - Muszę go pokazać siostram, jeśli nie są zbyt zajęte obsługiwaniem biedaków. - Odwrócił się i z powodu wciąż spętanych nóg poczłapał, komicznie drobiąc.

Wespazjan otarł pot z czoła.

- Obsługiwaniem biedaków?

- Niestety tak - odparł Klemens, wpatrując się w trójząb i zastanawiając, co ma z nim zrobić. - Od śmierci Druzylli wszystkich traktuje z coraz większą podejrzliwością, szczególnie zaś obie pozostałe siostry. Postanowił je ukarać za rzekome spiskowanie, zmuszając, by kopulowały z każdym w Rzymie, kto dostaje darmowy przydział ziarna. W swoim pokrętnym umyśle uważa, że zrekompensuje to ludziom braki spowodowane jego mostem. Już trzy dni się tym zajmują i według ostatnich obliczeń przekroczyły liczbę dwóch tysięcy klientów.

- Zabije je to, podobnie jak Druzyllę.

- To więcej niż pewne, ale ponieważ on i tak zamierza pozabijać nas wszystkich, to co za różnica? Osiągnęło to już takie stadium, że przestałem się przejmować. Pozostaję lojalny, by jak najdłużej chronić swoją rodzinę. - Klemens popatrzył na Wespazjana znużonym wzrokiem. - Nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam. Do zobaczenia na ucztach. - Podawszy trójząb Wespazjanowi, wrócił kontynuować odrażające zadanie nadzorowania masowego gwałtu na dwójce dzieci Germanika.

Wespazjan patrzył na trójząb, potem na plamy krwi na swojej toczce, a kolejka nędzarzy cały czas się przesuwiała. Z obrzydzeniem wrzucił trójząb do impluwium i dumając nad przyszłym losem swoim i rodziny, odwrócił się i z ciężkim sercem podążył do domu wuja.

- Nawet o tym nie myśl, drogi chłopcze - ostrzegł go Gajusz, sięgając po kolejne ciasteczko z miodem i migdałami - bo byłoby to samobójstwo.

- Nie, jeśliby się udało, wuju - przekonywał go Wespazjan.

Orzeźwiający wietrzyk docierał do ocienionego ogrodowego dziedzińca, przynosząc nieco ulgi od popołudniowego skwaru. Basen aż kipiał od minogów raczących się swoim codziennym posiłkiem.

- Nawet gdybyś zdołał zabić Kaligulę i uniknął śmierci z rąk jego bezgranicznie lojalnych członków germańskiej straży osobistej, w ciągu dwóch dni byłbyś i tak martwy.

Wespazjan wrzucił kolejny kawałek ryby do wody.

- Dlaczego? - zapytał.

- Oczywiście, dopilnowałby tego następny cesarz. Przyznaję, byłby ci bardzo wdzięczny za zwolnienie dla niego stanowiska, ale musiałby kazać cię zabić, ponieważ nie wypadałoby, żeby ktoś spoza rodziny cesarskiej uśmiercił cesarza, nieważne jak zdegenerowanego, i przeżył. Chyba to rozumiesz? I daj mi spokój z tymi bzdurami o przywróceniu republiki... gwardia pretoriańska nigdy by się na to nie zgodziła; cesarz to jedyny powód ich istnienia.

- Ale coś trzeba zrobić, wuju, zanim będzie za późno.

- Już jest za późno. Zbyt wielu ludzi ma interes w tym, żeby Kaligula pozostał cesarzem. Dopiero kiedy kompletnie zabraknie mu pieniędzy i nie będzie mógł im zapłacić, zaczną się rozglądać za kimś innym; wątpię jednak, by do tego doszło, bo kiedy jego skarbiec się opróżni, zaczną zabierać pieniądze bogatym.

- Co wobec tego proponujesz?

- Dwie rzeczy: po pierwsze, nie składaj w banku złota, które przywiozłeś, bo Kaligula się o tym dowie. Trzymaj je schowane tutaj, tak że kiedy zacznie oskubywać bogatych, ty nie staniesz się jego celem. Po drugie, spełniaj jego zachcianki, wychwalaj go, popieraj, czcisz, śmiej się z jego dowcipów, rób wszystko, co konieczne, żeby zachować życie, i czekaj, aż ktoś inny okaże się na tyle głupi, żeby zabić cesarza.

- A co się stanie, jeśli wszyscy inni myślą podobnie jak ty? Może pozostać cesarzem

jeszcze wiele lat.

- Kaligula na pewno obrazi kogoś tak, że poczucie honoru nieszczęśnika weźmie górę nad zdrowym rozsądkiem, a wtedy wystarczy, żebyśmy się pomodlili, by temu desperatowi się udało.

- Tak - przyznał ponuro Wespazjan, rzucając znowu kawałek ryby minogom i obserwując, jak się kotłują ogarnięte szaleńcem żerowania. - Tylko wyobraź sobie odwet Kaliguli na winnych i niewinnych, gdyby spisek przeciwko niemu się nie powiodł.

- To jeszcze jeden powód, by utrzymać się w jego łaskach, drogi chłopcze. Weź, na przykład, takiego Liwiusza Geminiusza. Przysięgał, że na pogrzebie Druzylli widział, jak jej duch wstępuje do nieba, by obcować z bogami. Oczywiście to kompletne brednie, a mimo to został za to sownie wynagrodzony.

Przerwał im płynący przez atrium dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych.

- Aha, to pewnie Magnus i Ziri - powiedział Wespazjan, wstając. - Oni... eee... oni towarzyszą Flawii.

Gajusz spojrzał na niego zdziwiony.

- Flawia? - spytał. - To jakaś twoja krewna, kuzynka czy ktoś taki?

- Zapewne daleka krewna; tak czy owak, zamierzam ją poślubić.

Gajusz wyglądał na zadowolonego.

- Najwyższy czas, drogi chłopcze, byś zrobił ten krok.

- No właśnie, a ponieważ interesy ojca zatrzymują go daleko stąd, w Awentikum, chciałbym, żebyś to ty negocjował warunki kontraktu małżeńskiego.

- Byłbym zachwycony. Jak brzmi imię jej ojca i gdzie mieszka?

- Na północ od Rzymu, w Ferencjum. Flawia udaje się tam jutro, mogłaby więc wziąć ze sobą twój list do niego; zdaje się, że go znasz, nazywa się Marek Flawiusz Liberalis.

Gajusz zmarszczył czoło.

- Rzeczywiście go znam, był jednym ze skrybów, kiedy objąłem urząd kwestora w Afryce; miał kłopoty z udowodnieniem, że jest pełnoprawnym obywatelem, a nie tylko posiadaczem statusu Latyna.

Wespazjan wzruszył ramionami.

- Teraz jest na pewno pełnoprawnym obywatelem i dobrze mu się powiodło, skoro niedawno mógł zostać ekwitą.

- A co z Flawią? Urodziła się, zanim on uporządkował sprawę swojego statusu... pamiętam ją jako małą dziewczynkę.

- Twierdzi, że ma pełne obywatelstwo. Inaczej bym jej nie poślubił.

- Na wszelki wypadek trzeba to sprawdzić, drogi chłopcze, nie chciałbyś przecież, żeby twoje potomstwo miało jakieś prawne problemy.

- Wespazjanie, mój drogi - powiedziała oszłamiająco elegancka Flawia, wchodząc do ogrodu z taką pewnością siebie, jakby do niej należał - to na pewno twój wuj. - Zechcesz ponownie nas sobie przedstawić?

- Nie ma takiej potrzeby, Flawio - oświadczył Gajusz, ściskając delikatnie palce wyciągniętej ku niemu prawej ręki - choć minęło już dwadzieścia lat, doskonale cię pamiętam jako chyba sześciolletnią dziewczynkę. Długo pozostaliście w Afryce?

- Ojciec wyjechał stamtąd pięć lat temu, ale ja zostałam. Powiedzmy, że miałam pewne zobowiązania.

- Rozumiem. O ile pamiętam, twój ojciec miał jakieś problemy ze statusem obywatela, kiedy tam byłem.

Flawia robiła wrażenie, że nie wie, o czym mowa.

- Nawet jeśli, to nigdy mi o tym nie powiedział.

- Rzeczywiście, bo i po co? Byłaś dzieckiem; poza tym teraz na pewno wszystko jest w porządku. Wespazjan mówi, że został ekwitą.

- Tak i mam nadzieję, że obdarzy mnie wspaniałym posagiem, żebyśmy mogli z Wespazjanem cieszyć się tym, co najlepsze.

- Jestem pewien, że tak uczyni, a Wespazjan będzie uszczęśliwiony, mogąc wydawać pieniądze na zbytki - oświadczył Gajusz, unosząc ku siostrzeńcowi wyskubaną brew i rzucając mu ukradkowe spojrzenie.

Wespazjan wolał się nie wypowiadać na ten temat, myśląc sobie, że sprawa ta może w przyszłości być powodem wielu małżeńskich sprzeczek.

Flawia ręką wskazała mężczyznom miejsca.

- Może usiądziemy i poprosimy o wino? - zaproponowała.

- Ależ oczywiście - zgodził się Gajusz, wyraźnie zaskoczony, że Flawia wzięła na siebie rolę gospodyni w jego własnym domu.

Wespazjan pomógł Flawii usiąść.

- Niestety, muszę was opuścić i udać się na ucztę do cesarza.

Zachwycona Flawia otworzyła szeroko oczy.

- To pasjonujące. Sądzisz, że powinnam ci towarzyszyć?

- Najlepiej będzie, jak zostaniesz tutaj - zapewnił ją Gajusz - bo cesarz pozwala sobie na zbyt wiele wobec goszczących tam pań. Ze mną nie będziesz miała takich problemów, mogę ci to obiecać.

Wespazjan pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Nie wiem, kiedy wrócę, więc na mnie nie czekaj. Gdzie jest Magnus?

- Och, zostawiłam go i Ziriego z moimi pokojówkami, żeby pomogli im wstawić do pokoju bagaże.

- I nie miał nic przeciwko temu?

- A niby dlaczego? Bardzo grzecznie go poprosiłam.

Wespazjan uniósł brwi i odwrócił się, by pójść po Magnusa, zastanawiając się, czy przypadkiem jego przyjaciel nie ma racji, jeśli chodzi o Flawię.

- Mówię tylko - kończył swoją przemowę Magnus, kiedy dotarli na szczyt Palatynu - że przybycie Flawii z tobą do Rzymu nie oznacza jeszcze, że musisz się żenić. Byłbyś szalony, gdybyś to zrobił... ona cię unieszczęśliwi. Zgoda, wykazała się w Aleksandrii, no i owszem, urodziłaby świetnych synów, ale nie widziałeś jej, kiedy została w porcie. Tylko dlatego, że wezwał cię cesarz, ona zaczęła dyrygować wszystkimi i krzycheć na ludzi, którzy nawet nie byli niewolnikami. Ona cię wykorzystuje, co jest jeszcze w porządku, ale co zyskasz w zamian, hę? Jak będziesz się czuł ty, który nie możesz znieść myśli o kupnie i wyżywieniu choćby jednego niewolnika, kiedy ona zażąda, byś kupił ich do domu całą gromadę? Wyobrażasz sobie te gwałtowne awantury o to, ilu ona może mieć fryzjerczyków, bo taka kobieta będzie chciała mieć ich więcej niż dwóch, co jest równie pewne jak to, że młody rekrut chce wrócić do matki.

- Dwóch?

- Więcej niż dwóch.

Wespazjan skrzywił się, wiedząc, że jest trochę racji w słowach Magnusa. Spodziewał się, że Flawia będzie kosztowna, ale myślał jedynie o strojach i biżuterii, a nie jeszcze całej dodatkowej otoczce. Jedno z nich - a czuł, że nie będzie to ona - musi się zmienić, jeśli małżeństwo nie ma okazać się porażką. Ale przecież jaka inna kobieta zgodziłaby się zostać jego małżonką, wiedząc, że będzie miał stałą kochankę? A gdyby nawet znalazł jakąś inną kobietę, czy szybciej krążyłaby mu krew na samą myśl o niej, jak to było z Flawią? Ona się poświęcała, Cenis się poświęcała i dlatego on sam musi znieść kupno kilku niewolników dla zachowania pewnej harmonii i miru domowego, uznał.

- Nie, Magnusie, podjąłem już decyzję, poślubię ją i spróbuję zaspokoić jej potrzeby. Ostatecznie, co takiego strasznego może z tego wyniknąć?

- Jeśli wyda wszystkie twoje pieniądze, usuną cię z senatu - poinformował go Magnus, kiedy zbliżali się do domu Augusta. - Tak czy owak, tutaj cię, panie, zostawię. Ziriego wysłałem prosto na rozstaje dróg, więc bracia już wiedzą, że wróciłem. Na pewno przygotują dla mnie przyjęcie powitalne. Idę o zakład, że będzie dużo bardziej kulturalne niż to, na które ty się wybierasz.

- Pewnie masz rację - powiedział cicho Wespazjan, spoglądając na nieprzerwany sznur senatorów przybywających w towarzystwie nerwowo wyglądających małżonek i zastanawiając się, czy Magnus przypadkiem w obu sprawach nie ma racji.

Kiedy przyjaciel zniknął u stóp wzgórza, popadł w zwątpienie, ale trwało to tylko chwilę. Potrząsnął głową i ruszył za senatorami do wnętrza pałacu. I wtedy przy jego uchu odezwał się znajomy, przeciągły głos:

- Podobno teraz zniżyłeś się już do drobnej kradzieży.

- Odwal się, Sabinusie - odpowiedział, odwracając się do brata.

- Ostatnio stało się to twoim zwyczajowym powitaniem, bracie.

- Gdybyś zaczął od podziękowania za przesłanie ci twoich rzeczy do Bitynii i za

nadzorowanie odbudowy domu, to być może usłyszałbyś coś serdeczniejszego.

- Rzeczywiście; dzięki.

- Gdzie Klementyna? Mam nadzieję, że nie wzięłaś jej ze sobą.

- Skądże. Wydaje się, że Kaligula zapomniał, nie wspomniał o niej ani razu od mojego powrotu. Zostawiłem ją w Aquae Cutillae.

- Powinna być tam bezpieczna.

- Miejmy nadzieję. Chodź, powinniśmy już tam wejść i zobaczyć, któremu z nieszczęśników dziś wieczór cesarz publicznie przyprawi rogi.

- Skąd wiesz, że ukradłem ten napierśnik? - spytał Wespazjan, kiedy zbliżali się do pałacowego wejścia. - Wróciłem zaledwie dzisiaj i od razu oddałem go Kaliguli.

- Od Pallas.

- Pallas? A on jak się dowiedział?

- Och, teraz, kiedy mieszka w pałacu, wie wszystko. Kaligula kazał Klaudiuszowi się tutaj wprowadzić, żeby móc go codziennie upokarzać; Pallas należy do jego najbliższych domowników, więc i on się tu przeniósł.

- A Narcyz? - spytał Wespazjan, myśląc o złocie złożonym w domu wuja.

- Narcyz też - potwierdził Sabinus, spoglądając z ukosa na brata. - Czyżbym usłyszał w twoim głosie nutkę zaniepokojenia?

- Po prostu wolałbym go akurat teraz nie oglądać, nic więcej.

- Cóż, dzisiejszego wieczoru go nie zobaczysz, pojechał nad Zatokę Neapolitańską. Kaligula najpierw powierzył Klaudiuszowi zgromadzenie wszystkich statków na swój most,

ale potem kazał mu zostać w Rzymie, żeby móc wciąż go upokarzać; Klaudiusz przekazał organizowanie wszystkiego Narcyzowi.

Wespazjan był wstrząśnięty.

- Wyzwoleniec mający prawo do rekwirowania okrętów! - zawołał. - To oburzające.

Sabinus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Możesz sobie wyobrazić, co Korbulon o tym sądzi, bo przecież musi z nim współpracować. Polecono mu bowiem zbudować przez statki drogę i podciągnąć tam bieżącą wodę.

- Bieżącą wodę na most?

- Och, to nie jest tylko most, ciągnący się z jednej strony na drugą; są jeszcze różne odgałęzienia, z takim wyposażeniem, jakie według Kaliguli przystoi bogom: triklinia, w których wygodnie spoczęłoby i dwieście osób, atria z fontannami, a nawet kilka łaźni.

- I to wszystko w dwa miesiące! - wykrzyknął Wespazjan, kiedy już wchodzili do atrium, w którym wiała się kolejka miejskich biedaków.

- Z tego, co wiem, cała rzymska wytwórczość niczym innym się nie zajmowała. - Sabinus pochylił się ku Wespazjanowi. - To niesamowite marnotrawstwo pieniędzy, ale z chęcią obejrzę rezultat - wyszeptał mu do ucha.

- Zamierzasz tam pojechać tylko po to, żeby się temu przyjrzeć?

- Ty też pojedziesz; Kaligula rozkazał, by wszyscy senatorowie towarzyszyli mu w drodze do zatoki i byli świadkami jego triumfu.

Ogrody na tyłach domu Augusta, biegnące skrajem Palatynu, rozciągały się na dwóch poziomach. Był stamtąd widok na łukową fasadę położonego w dolinie Circus Maximus. Wzdłuż niskiej balustrady wyższego poziomu ustawiono stoły w taki sposób, że

spoczywający przy nich mieli dobry widok na część niższą, gdzie ustawiono dwie sceny. Choć do późnego letniego zmroku brakowało co najmniej trzech godzin, przy obu płonęły pochodnie umieszczone w mosiężnych uchwytych, podobnie zresztą jak na obrzeżach ogrodów i pomiędzy stołami. Pod płóciennymi baldachimami w jaskrawych kolorach, rozmieszczonymi w górnym ogrodzie, stali i siedzieli goście cesarza, popijając chłodzone wino i rozmawiając z ożywieniem charakterystycznym dla kogoś, kto czuje się nieswojo i próbuje to ukryć.

Wespazjan i Sabinus stali na szczycie schodów prowadzących z domu i podziwiali piękną scenerię roztaczającą się przed ich oczami, kolory, elegancję i delikatne przedwieczorne światło.

- Przyjemnie byłoby tu przebywać, gdyby nie ta niepewność, czy odejdziesz się stąd żywym, prawda? - odezwał się ktoś cichym głosem za ich plecami.

Bracia odwrócili się z uśmiechem, potwierdzającym prawdziwość tego stwierdzenia.

- Pallas - powiedział Wespazjan, szczerze uradowany - jakże się miewasz? Wiem od Sabinusa, że teraz mieszkasz tutaj.

- Myślę, że sam odpowiedziałeś na swoje pytanie - odparł Pallas z posępną miną. - Mieszkam tutaj.

- Aż tak źle, co?

Pallas wskazał ręką na grupkę gości, którzy udawali wesołość na widok stojącego pośród nich mężczyzny. Miał rozłożone ramiona, kończące się nie dłońmi, lecz szerniałymi kikutami; odcięte dłonie natomiast przywiązano do sznurka, który zawieszono mu na szyi razem z tabliczką.

- Na tabliczce jest napis: „Okradłem cesarza” - poinformował ich Pallas.

- Rzeczywiście okradł? - spytał Sabinus.

- Mały pasek srebra zdobiącego powóz odpadł i on go podniósł, żeby zanieść zarządcy do naprawy, kiedy Kaligula zobaczył go z tym kawałkiem w ręce. Życie tutaj stało się w ogromnym stopniu zależne od przypadku.

- Życie zawsze zależy od przypadku.

- Zgoda, jednak w zasadzie w ramach prawa, natomiast zdaje się, że nasz nowy bóg zapomniał o prawie. Z kolei mój patron, Klaudiusz, uwielbia prawo. Pomyślcie o tym, panowie. - Pallas poklepał ich obu po ramieniu i odszedł.

- Nie angażuj się w nic - ostrzegł brata Wespazjan, kiedy zaczęli schodzić ze schodów.

- Nie mam takiego zamiaru - odparł Sabinus, biorąc od niewolnika dwa kielichy wina i podając jeden bratu - bo zamierzam pozostać przy życiu. Niemniej miło jest wiedzieć, że mamy dobrego przyjaciela w pobliżu oczywistego dziedzica purpury.

W ogrodzie rozległy się głośne fanfary rogów, rozmowy umilkły, a spojrzenia wszystkich obecnych służalczo skierowały się ku głównym drzwiom u szczytu schodów. Pojawił się w nich koń i powiódł wokół na wpół zaciekawionym spojrzeniem, jak to konie mają w zwyczaju. Zza niego dobiegł głośny okrzyk:

- Bądź pozdrowiony, Incitatusie.

Zaproszeni na ucztę goście zareagowali bezzwłocznie, skandując te słowa.

Wespazjan, który nigdy jeszcze nie miał okazji składać hołdów koniowi, z najwyższym trudem utrzymywał powagę, kiedy dołączył do innych z entuzjazmem wywołanym raczej absurdalnością tej sytuacji niż szacunkiem dla tak wyróżnionego zwierzęcia.

Po chwili okrzyki zmieniły się w „Bądź pozdrowiony, boski Cezarze!”, kiedy obok swojego ulubieńca pojawił się Kaligula, z Klemensem i Chereą po bokach. Odziany był według Wespazjana całkiem statecznie - jeśli uwzględnić niektóre kostiumy, w jakich go wcześniej widywał - w purpurową togę ze złożonymi brzegami. Na głowie miał laurowy

wieniec ze złota.

- Jesteśmy tutaj dzisiejszego wieczoru - oświadczył Kaligula - by uhonorować nie tylko mnie, ale również mojego dobrego przyjaciela, zaufanego sojusznika, mojego towarzysza, człowieka, który przywiózł dla mnie z Egiptu napierśnik Aleksandra: Tytusa Flawiusza Wespazjana. Jutro w południe możemy wyruszyć do Zatoki Neapolitańskiej, gdzie jako triumfator przejadę przez most, moje najwspanialsze dzieło. Podejź, Wespazjanie, i przyjmij moje podziękowania... w przyszłym roku zostaniesz pretorem.

Wespazjan ruszył powoli po stopniach ku rozpromienionemu cesarzowi, który czekał na niego z rozłożonymi szeroko rękoma. Kiedy dotarł do przedostatniego stopnia, został otoczony okrytymi purpurą ramionami i ucałowany w oba policzki, a wszystko to przy aplauzie stojących niżej ludzi.

- Jedynie człowiekowi takiemu jak on - oznajmił Kaligula, odwracając Wespazjana przodem do gości i kładąc mu dłonie na ramionach - mogłem powierzyć wyprawę do Egiptu, tego źródła tyłu rzymskich bogactw. Żaden senator nie był tam od czterech lat, to jest od czasu, kiedy astrolog Tyberiusza, Trazyllos, ostrzegł cesarza przed rychłym powrotem Feniksa, zwiastującym wielkie zmiany, i wygłosił związaną z tym przepowiednię. Czy widziałeś Feniksa, kiedy byłeś w Aleksandrii, Wespazjanie?

- Nie, boski Gajuszu - odparł zgodnie z prawdą Wespazjan.

Kaligula przybrał triumfalny wyraz twarzy.

- Oczywiście, że nie, ponieważ on już odfrunął. W zeszłym roku, trzy lata po jego odrodzeniu, widziano, jak odlatuje z Egiptu na wschód; przepowiednia Trazyllusa nie została spełniona. Macie szczęście, moje owieczki, ponieważ to wszystko oznacza, że Rzymem włada nieśmiertelny bóg; będę zatem rządził przez następne pięćset lat, dopóki Feniks znów się nie odrodzi. Do tego czasu ponownie otwieram Egipt dla każdego członka senatu, który ma istotny powód, by tam się udać.

Wielu senatorów, którzy mieli interesy w tej prywatnej prowincji cesarza, powitało jego słowa głośnie owacją.

- A teraz będziemy ucztować; Wespazjan dostąpi zaszczytu i spocznie po mojej prawej ręce. - Minął Wespazjana i zaczął schodzić ze schodów.

- Boski Gajuszu - odezwał się swoim charakterystycznym piskliwym głosem Cherea, ruszając za nim - jakie jest hasło na tę noc?

Kaligula zatrzymał się i roześmiał.

- Uwielbiam jego słodki głosik! - Odwrócił się i położył środkowy palec na wargach Cherei, lekko je rozchylając i prowokacyjnie trącając. - Taki słodki głosik wymaga słodkiego hasła, czyż nie?

Pełne aprobaty okrzyki pochlebców pogłębiły dodatkowo upokorzenie trybuna pretorianów.

- W takim razie hasłem jest Wenus, najśłodsza bogini dla najśłodszego z mężczyzn.

Kaligula odwrócił się i przy wtórze rechotu gości zbiegł z wdziękiem ze schodów. Wespazjan dojrzał błysk gniewu w oczach Cherei, ale na twarzy trybuna nie drgnął ani jeden mięsień. Klemens położył dłoń na rękojeści miecza i obserwował bacznie, jak jego niższy rangą kolega stara się opanować. Wreszcie, oddawszy honory wojskowe, Cherea oddalił się sztywnym krokiem.

Magnus nie przegrałby zakładu, pomyślał Wespazjan, próbując przełknąć kęs okonia i oglądać przy tym kolejną egzekucję przez ścięcie głowy, na jednej z położonych niżej scen. W makabrycznym kontraście na drugiej scenie przy dźwiękach fletu płaśała grupa tancerzy.

- Dla każdego coś miłego - zachwycił się Kaligula, podsuwając jabłko Incitatusowi, który trzymał pysk pomiędzy nim i Wespazjanem. - Sztuka albo śmierć, nic tylko wybierać i dobrze się bawić.

- S-s-sam w-w-wybijam śmierć, boski i najwyższy G-g-gajuszu - wyjąkał Klaudiusz, rozkoszując się widokiem krwi bluzgającej z przeciętej szyi; jego podniecenie było dla

wszystkich widoczne, a ładna dziewczyna o jasnej karnacji odsunęła się od niego na tyle, na ile tylko pozwalały dobre maniery. - Nigdy nie p-p-pojąłem, o co chodzi w t-t-tańcu.

- To dlatego, że ciebie on nie dotyczy, kaleko - zauważył Kaligula - nogi odmówiłyby ci posłuszeństwa. - Zaczął się przesadnie zaśmiewać; chcąc nie chcąc, biesiadnicy dołączyli do niego.

- Twoja b-b-boska przenikliwość jest b-b-bezblędna - oświadczył Klaudiusz, również się śmiejąc.

- Zatem należy to wykazać - powiedział Kaligula. - Idź i zatańcz z nimi, wuju.

Klaudiusz rozchylił obwisłe wargi i przekrwionymi oczyma błagał spoczywających wokół stołu o pomoc. Nie miał na co liczyć. Nawet jego śliczna towarzyszka odwróciła spojrzenie, z lekkim uśmiechem mającym wyrażać żal na wilgotnych bladych ustach.

- Ruszaj! - wycedził groźnie Kaligula ze złośliwym błyskiem w oku.

Uświadomiwszy sobie, że nie ma wyboru i musi się upokorzyć w obecności całego towarzystwa, Klaudiusz stanął na niepewnych nogach i poczłapał po schodach do dolnego ogrodu.

- To będzie bardzo zabawne - stwierdził Kaligula. - Zmuszałem go już do biegania, skakania i czołgania, ale nigdy jeszcze do tańca. - Zwrócił się do atrakcyjnej towarzyszki Klaudiusza. - Zaciągnęłaś go już do łoża, Messalino, czy zostawiasz sobie tę okropność na noc poślubną?

Kobieta zaśmiała się jak wszyscy inni, ale wesołość nie sięgnęła jej zimnych ciemnych oczu, których gniewne spojrzenie Wespazjan poczuł na sobie, kiedy wycierał łzę z kącika oka.

Klaudiusz wgramolił się na scenę i zaczął nerwowo podrygiwać i obracać się dookoła, wymachując niezbornie ramionami, a zdezorientowani tancerze dalej z wdziękiem wirowali wokół niego. Na sąsiedniej scenie cztery lwy na łańcuchach zajęły się pożeraniem

pozbawionego przed chwilą głowy ciała przestępcy. Za nimi słońce zaszło za Circus Maximus.

- Spójrzcie na niego - powiedział rozbawiony Kaligula - gdybyśmy nie mieli w rodzinie boga, to on mógłby zostać cesarzem. Gdyby do tego doszło, to według mnie spełniłaby się przepowiednia Trazyllosa.

- Jak brzmiała ta przepowiednia, boski Gajuszu? - zapytał Sabinus w chwili, gdy ku rozbawieniu wszystkich obecnych, Klaudiusz zwałił się jak kłoda na scenę.

- Przepowiedział, że senator, który ujrzy Feniksa w granicach królestwa Egiptu, będzie założycielem następnej dynastii cesarzy.

Wespazjan o mało nie zakrzuszył się winem.

- Więc gdyby senator zobaczył, jak przelatuje na przykład nad Judeę - zapytał niewinnym tonem - toby się nie liczyło?

- Powiedział bardzo wyraźnie, że musiałyby się to wydarzyć w granicach Egiptu, właśnie dlatego tak długo nie udzielaliśmy senatorom pozwoleń na podróż do tej krainy.

Wespazjan skinął głową w zamyśleniu, nie zauważywszy pytającego spojrzenia Sabinusa.

Kaligula odchylił się do tyłu, żeby pogłaskać konia, po czym zwrócił się do Klemensa.

- Incitatus mówi, że jest zmęczony i chce iść spać. Podobnie jak ja ekscytuje się jutrzejszym dniem. Każ usunąć wszystkich mieszkańców z domów znajdujących się w promieniu ćwierci mili od jego stajni i postawić strażę, które dopilnują, by nikt nie hałasował; chcę, żeby dobrze wypoczął przed podróżą.

- Rozsądne środki ostrożności, boski Gajuszu - powiedział Klemens bez odrobiny ironii, podnosząc się z sofy.

Kaligula ruszył za nim.

- Wybaczcie, proszę, odprowadzę Incitatusa; poczułby się bardzo urażony, gdybym tego nie zrobił. - Pocałował konia w same wargi. - Czyż nie jest piękny? Może powinienem zrobić go konsulem; byłby świetnym dla mnie kolegą na kolejny rok, bardziej odpowiednim niż ten idiota o końskim pysku, którego już wybrałem. - Ucałowawszy raz jeszcze czule pysk zwierzęcia, odprowadził swojego specjalnego gościa do wyjścia.

- Co takiego było w przepowiedni dotyczącej Feniksa, że musiałeś zadać to pytanie? - spytał Sabinus, kiedy Kaligula dostatecznie się oddalił.

Wespazjan popatrzył na brata z uśmiechem rozbawienia na twarzy.

- Według tego starego szarlatana Trazyllusa niewiele brakowało, żebym to ja został założycielem kolejnej cesarskiej dynastii.

- Przecież powiedziałeś, że nie widziałeś Feniksa.

- Nie widziałem go w Aleksandrii, natomiast prawie cztery lata temu widziałem go w Cyrenajce; byłem świadkiem jego ponownych narodzin. A ponieważ Cyrenajka to nie Egipt, więc przepowiednia nie może dotyczyć mnie.

- Pamiętam, jak ktoś w Judei powiedział mi, że stanowiła kiedyś część państwa egipskiego.

- Była prowincją Egiptu, nie integralną częścią samego królestwa. Tak czy owak, byłem w Siwie. To oaza oddalona od wszystkich i wszystkiego, pośrodku pustkowia.

Sabinus wbił wzrok w brata.

- Kiedy Aleksander podbił Egipt, udał się do wyroczni Amona w oazie Siwa, która wtedy stanowiła część królestwa. To dopiero my, ze względów administracyjnych, dołączyliśmy ten teren do Cyrenajki; historycznie zawsze należał do Egiptu.

Wespazjan otworzył szeroko oczy, pokręcił głową i machnął lekceważąco ręką.

- Nic z tego. Zabrano mnie do wyroczni Amona po tym, jak zobaczyłem Feniksa. Wyrocznia przemówiła do mnie i nie powiedziała, że założę nową cesarską dynastię; prawdę mówiąc, nie powiedziała niczego konkretnego poza tym, że przybyłem zbyt wcześnie i że następnym razem mam przynieść dar, który dorówna mieczowi pozostawionemu tam przez Aleksandra.

- Jaki dar?

- Właśnie o to spytałem, ale to ty masz o tym zdecydować.

- Ja? Dlaczego ja?

- Ponieważ, Sabinusie, wyrocznia powiedziała, że brat zrozumie, a czy nam się to podoba, czy nie, zawsze będziemy braćmi.

Kaligula był tak podniecony przed rychłym wyruszeniem w podróż do Zatoki Neapolitańskiej, że wkrótce po zmroku zakończył ucztę, oświadczywszy, iż zamierza spędzić resztę wieczoru na załagodzeniu sporu z Neptunem, by bóg ten nie zesłał sztormu i nie zniszczył mostu. Goście odchodzili z wyraźną ulgą, że zachowali życie, ręce, nogi oraz cnotę.

Wespazjan rozstał się z Sabinusem, który ruszył do swojego domu na Awentynie, a sam, pomimo późnej pory, zdecydował się na złożenie wizyty, której się obawiał, ale której nie mógł odkładać.

Poza dwoma członkami bractwa rozstajnych dróg, pełniącymi wartę na rogu, ulica, przy której mieszkała Cenis, była całkowicie pusta. Wespazjan skinieniem głowy pozdrowił chłopców i zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi.

Ogromny Nubijczyk wpuścił go do środka.

- Wiedziałaś, że przyjdiesz - oświadczyła łagodnym głosem Cenis, kiedy wszedł do pograżonego w półmroku atrium. - Czekałam na ciebie. - Podeszła i zarzuciwszy mu ramiona

na szyję, pocałowała w usta.

Wespazjan zamknął oczy i wdychał jej upajającą woń, głaszcząc dłońmi po plecach.

- Skąd wiedziałaś, że wróciłem do Rzymu? - zapytał, kiedy oderwali się od siebie.

Spojrzała na niego wilgotnymi oczyma i uśmiechnęła się.

- Jak wiesz, od czasu do czasu, by przełamać monotonię, odwiedzam twój wuj. Byłam tam też dzisiaj wieczorem.

Wespazjan wciągnął powietrze.

- W takim razie...

- Spotkałam Flawię? Tak, ukochany, poznałam ją. Jest bardzo piękna.

Wespazjan przełknął ślinę, zastanawiając się, jak to spotkanie mogło przebiegać.

- Chciałem pierwszy ci o niej powiedzieć - wyznał.

- Dlatego wiedziałam, że przyjdiesz dzisiaj. Jednak nie musisz mi o niej opowiadać, zrobiła to sama, i to szczegółowo. Jeśli chcesz ją poślubić, to masz moje błogosławieństwo.

- Zawsze będziesz pierwsza i najważniejsza, ukochana.

- Wiem o tym i dlatego jestem szczęśliwa, że mogę dać ci wolną rękę; to takie moje osobiste nad nią zwycięstwo. Może będę na drugim miejscu, jeśli chodzi o twoją uwagę, i nigdy nie urodzę ci dzieci, ale zawsze będę pierwsza, jeśli chodzi o twoją miłość, i to mi wystarczy.

Objął ją i patrzył na nią z uśmiechem, a potem pocałował delikatnie w czoło.

- Mam zostać?

- Nigdy bym ci nie wybaczyła, gdybyś nie został.

Rozdział dwudziesty trzeci

Krótki sygnał rogów obiegił echem Forum Romanum, po czym rozległ się chóralny wrzask centurionów stawiających na baczność pięć kohort gwardii pretoriańskiej, czemu towarzyszyło równoczesne trzaśnięcie ćwieków o kamień. Via Sacra, z obu stron której stały tłumy, posuwały się klusem dwa oddziały jazdy pretoriańskiej, dotrzymując kroku gwieździe widowiska. Kaligula pięćdziesiąt stóp wyżej i sto kroków na lewo od nich pokonywał na Incitatusie swój most prowadzący z Palatynu na Kapitol. Był przebrany za Wulkana: tunika okrywająca tylko jedno ramię, pileus na głowie, w jednej ręce młot kowalski, wielka muszla w drugiej. Za nim szło dziesięć pomalowanych na złoto nagich kobiet, mających przedstawiać niewolnice, które bóg wykuł w swojej kuźni z tego cennego kruszcu, by mu służyły.

Wszędzie w pobliżu Forum płonęły ogniska, do których ludzie wrzucali żywe rybki, jako ofiary składane władcy ognia w nadziei, że oszczędzi mieszkańcom pożarów podczas upalnego suchego lata. Wigilowie, pełniący funkcję straży ogniowej, obserwowali uważnie te wszystkie poczynania.

Ze schodów Kurii Wespazjan i pozostali senatorowie obserwowali przejazd Kaliguli na Kapitol, patrzyli, jak zsiada z wierzchowca, schodzi schodami Gemońskimi obok świątyni Zgody i zatrzymuje się przed sanktuarium Wulkana, jednym z najstarszych w Rzymie. Tutaj, przed ołtarzem ocienionym cyprysem, czekało czerwone cielę i dzik, przygotowane na ofiarę bogu, którego święto przypadało na ten dzień.

- Przypuszczam, że zawarłszy pokój z Neptunem, teraz nasz cesarz zadba o to, by Wulkan nie spalił miasta podczas jego nieobecności - zauważył Wespazjan, kiedy w rękę Kaliguli błysnął nóż ofiarny i cesarz uśmiercił cielę.

- Albo nie wysłał ognia ze swojej kuźni pod Wezuwiuszem, żeby spalić mu most - szepnął Sabinus.

- To nie ta góra, drogi chłopcze - poprawił go Gajusz, patrząc, jak dzik pada, tryskając krwią. - Wulkan mieszka pod Etną na Sycylii. Zresztą on to robi tylko wtedy, kiedy jego

małżonka, Wenus, jest mu niewierna, zatem jeżeli chcemy uniknąć erupcji na Sycylii, to może właśnie jej powinniśmy składać ofiary, z prośbą o dobre sprawowanie.

Wespazjan uśmiechnął się do wuja i brata.

- Ja na pewno powinienem złożyć jej ofiarę dziękczynną po tym, jak Flawia zachowała się dzisiaj rano.

- Rzeczywiście, powinieneś - zgodził się Gajusz.

Sabinus wyglądał na zdezorientowanego.

- Kim jest Flawia? - zapytał.

- Jest to, drogi chłopcze, kobieta, którą twój brat zamierza poślubić. Kiedy Wespazjan wrócił rano od Cenis, dała mu całusa i spytała, czy miło spędził wieczór, spokojnie skończyła śniadanie, po czym spakowawszy się, wyjechała do ojca, zabierając mój list rozpoczynający negocjacje małżeńskie. Ostrzegła jedynie twojego brata, by na pewno zostawił coś dla niej na noc poślubną w przyszłym miesiącu.

Sabinus patrzył z niedowierzaniem na Wespazjana, który z niewinną miną wzruszył ramionami.

- Musi być bardzo głupia, skoro nie domyśliła się, że on spędził noc z inną kobietą - stwierdził starszy brat.

- Ależ ona o tym doskonale wiedziała; prawdę mówiąc, spotkała się nawet wczoraj wieczorem z Cenis i wyjaśniła reguły postępowania.

- Reguły, wuju? - spytał zaniepokojony Wespazjan.

- Tak, drogi chłopcze, reguły.

- Co to za reguły?

- Proste: Flawia ma pierwszeństwo, kiedy podejmuje gości, chce wyjechać na wakacje, zdyscyplinować dzieci, spacerować się po mieście albo zająć się ciążą. W pozostałym czasie Cenis może cię mieć, ale nie dłużej niż cztery noce z rzędu, zredukowane do trzech, kiedy pierwsze dziecko skończy dwa lata i będzie bardziej potrzebowało obecności ojca, i do dwóch, kiedy dziecko skończy lat siedem.

Sabinus zarechotał, ku wielkiemu oburzeniu znajdujących się w pobliżu senatorów. Szybko przybrał poważny wyraz twarzy, stosowny do religijnej ceremonii, której byli świadkami.

- Wygląda na to, że bardzo starannie się nim podzieliły - zauważył.

- Och, obie doskonale wiedziały, czego chcą. Były łodowato uprzejme, wychwalały nawzajem swoje fryzury i błyskotki, i takie tam, ale osiągnęły porozumienie pokojowo pomimo wzajemnej niechęci. Było cudownie to oglądać i zyskać potwierdzenie mądrości mojego stylu życia.

Wespazjan był oburzony.

- I pozwoliłeś im pertraktować w sprawie mojej osoby, jakbym był jakimś gladiatorem, który im obu wpadł w oko.

- Na nic im nie pozwalałem, drogi chłopcze - odparł Gajusz, wzruszając ramionami - to nie ma ze mną nic wspólnego; ja tylko obserwowałem. To ty się upierasz przy tym, żeby mieć skomplikowaną sytuację domową. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz musiał zapłacić za to zbyt wysokiej ceny, zarówno emocjonalnej, jak i finansowej.

Ryk tłumu ponownie przyciągnął ich uwagę do głównego wydarzenia dnia. Najwyraźniej znaki były pomyślne, bo Kaligula, na kwadrydze, z Incitatussem po lewej stronie zaprzęgu, opuszczał Forum, a za nim podążały oba oddziały konnicy. Kohortami, jedna za drugą, przy owacyjnych okrzykach tłumu, pretorianie ruszyli za nimi.

- Myślę, że to nie widowisko wywołało ich entuzjazm, lecz raczej fakt, że kiedy w

końcu Kaligula przejedzie przez swój most, statki przywiozą żywność, którą wreszcie napelnią sobie brzuchy - zauważył Gajusz, razem z resztą senatu ruszając za cesarzem i pretorianami. - Miejmy nadzieję, że ten żalorny spektakl szybko się skończy.

Dwie mile od bramy Kapeńskiej, na polu przyległym do via Appia, stały powozy senatorów, w których czekały już ich małżonki, troskliwie przez niewolnice chronione przed narastającym wciąż skwarem. Chaos, spowodowany przez z górą pięciuset mężczyzn szukających swoich pojazdów, trwał przeszło godzinę, a sytuację pogorszył jeszcze Kaligula, który w towarzystwie oddziału szczerzących się pretorianów jeździł rydwanem w tę i z powrotem wzdłuż rzędów powozów i wywijał ponaglająco batem. Niejeden zaprzęg mułów spłoszył się i pociągnął za sobą powóz z wrzeszczącymi pasażerami po nierównej drodze, co musiało zakończyć się katastrofą.

- Jestem tutaj - przebił się przez zgiełk głos Magnusa.

Wespazjan, Sabinus i Gajusz z ulgą zobaczyli Magnusa na koźle krytego powozu, zaprzęzonego w cztery krzepkie muły. Obok niego siedział Enor i jeszcze jeden młody germański niewolnik. Z tyłu powozu przywiązano konie dla Wespazjana i Sabinusa.

- Bogom niech będą dzięki, Magnusie! - zawołał Gajusz, ruszając szybkim kołyszącym się krokiem, podczas gdy obaj niewolnicy zsiadli z kozła, by pomóc mu wsiąść. - Myśleliśmy, że cię nie znajdziemy w tym zamęcie.

Kiedy znaleźli się w bezpiecznym wnętrzu powozu, pojawił się Kaligula w swoim rydwanie, siekąc biczem grupkę biegnących obok starszych zdeorientowanych senatorów.

- Dlaczego starzy zawsze spowalniają młodych? - ryknął do nich, okładając po grzbiecie ostatniego z senatorów, który wywrócił się i z krzykiem zniknął pod kopytami koni podążających za cesarzem pretorianów. - Stary bezużyteczny śmieć - zawołał z uśmiechem cesarz. Gdy zauważył Wespazjana i Sabinusa, zręcznie zatrzymał rydwan, pozwalając przegonić się pozostałym senatorom. - Jego rodzina zapewne była w senacie zaledwie jedno czy dwa pokolenia i jak widzicie, kiepskie pochodzenie osłabia pamięć. Prawdopodobnie nie pamiętał nawet, gdzie ma odbyć, nie dziwota, że tak trudno mu było trafić do swojego powozu.

- Bez wątpienia masz rację, boski Gajuszu - zgodził się z nim Wespazjan, nie mając najmniejszego zamiaru przypominać cesarzowi, że on, Wespazjan, też jest senatorem dopiero w drugim pokoleniu.

Kaligula się rozpromienił.

- Przynajmniej wy wszyscy jesteście gotowi na czas - stwierdził cesarz rozpromieniony. - Kiedy zbliżymy się do zatoki, dołączycie do mnie na czele tej procesji. Nie mogę się doczekać, kiedy ujrzę podziw na waszych twarzach, jak zobaczycie mój most. - Jeszcze szerzej otworzył rozradowane oczy. - I, Sabinusie, czekam szczególnie, żeby zobaczyć twoją minę; mam dla ciebie uroczą niespodziankę. - Strzeliwszy batem nad końskimi kłębami, oddalił się błyskawicznie, zostawiając dla rodziny starego senatora jego zakrwawione ciało.

Gajusz aż trząsł się cały od hamowanej wściekłości.

- To już za daleko się posunęło; traktowanie senatorów i zostawianie ich w kurzu na ziemi, jakby byli zbiegłymi dzikusami, a nie ludźmi, którzy przez całe życie służyli Rzymowi. To skandal!

- Wuju - Wespazjan uspokajającym gestem położył mu rękę na ramieniu - pamiętaj tę dobrą radę, jakiej mi sam udzieliłeś.

Gajusz wciągnął powietrze.

- Masz rację, drogi chłopcze: zachować życie i nie pozwolić, by poczucie honoru wzięło górę nad rozsądkiem. Niech przesadzi z prowokowaniem kogoś innego... przy takim zachowaniu nie potrwa to długo.

- Przy takim zachowaniu przynajmniej nie ma niespodzianek - zauważył Magnus. - Wiadomo, czego się spodziewać, i człowiek to przyjmuje, zanim się jeszcze wydarzy; w ten sposób łatwiej się kontrolować. Rozsądek traci się raczej, kiedy coś nas zaskoczy. - Popatrzył ponuro na Sabinusa, który robił wrażenie bardzo z siebie zadowolonego, że cesarz tak

wyraźnie go wyróżnił. - A jedyna rzecz, jakiej bym się obawiał, to niespodzianka przygotowana dla mnie przez Kaligulę, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Podążanie via Appia na południe nie przyniosło niespodzianek. Podróż w skwarze była długa i męcząca. Pod wpływem chwili Kaligula postanowił wyruszyć w drogę następnego dnia po przywiezieniu napierśnika. Nie było zatem czasu na zaplanowanie i zorganizowanie podróży tak wielkiej liczby ludzi przez okolice, które już zdążyły ucierpieć z powodu braku dostaw ziarna. Piątego dnia skończyły się racje żywnościowe gwardii pretoriańskiej, a to, co zabrali ze sobą senatorowie, zostało zjedzone albo uległo zepsuciu w palącym słońcu.

Szóstego dnia nie dotarli nawet do połowy drogi, a to dlatego, że Kaligulę nagle zainteresowała działalność obywateli i administracji każdego mijanego miasteczka. Zatrzymywał długą na pół mili kolumnę, kiedy jego lektyka znalazła się na forum, i spod baldachimu z łabędzich piór wymierzał sprawiedliwość - wedle własnego uznania - oraz ustanawiał nowe prawa, podczas gdy jego kwatremistrzowie ogałali miejscową ludność nie tylko z ostatnich zbiorów, ale także z żywego inwentarza i zapasów na zimę. Po godzinie czy dwóch kolumna ruszała dalej, pozostawiając za sobą kilku przestępców z obciętymi głowami, ukrzyżowanych lub okaleczonych, nowe prawa dotyczące składania cesarskiemu bóstwu ofiar z pawi i im podobnych stworzeń, a mieszkańców bez możliwości wyżywienia się w nadchodzących miesiącach, za to z cesarskim wekslem na tak oszałamiającą sumę, że ojcowie miasta nie mieli najmniejszej nadziei na jego zrealizowanie.

Co wieczór Kaligula kazał pretorianom budować kompletny obóz, z rowem i palisadą, zupełnie jakby brali udział w kampanii na nieprzyjacielskiej ziemi, co zresztą, w rezultacie ich działalności podczas dnia i po wycięciu drzew na mile wokół, w pewnym sensie stawało się faktem. Senatorowie i ich małżonki, jeśli nie znaleźli się wśród garstki zapobiegliwych, którzy zabrali w drogę własne namioty, musieli spać w dusznych powozach, ustawionych ciasno w jednym rogu obozu. Kobiety, przynajmniej w nocy, miały możliwość korzystania z pewnej prywatności, jaką zapewniały specjalnie dla nich budowane latryny. Ich mężowie, którzy służyli kiedyś w armii, jak to żołnierze nie mieli problemu z ulżeniem sobie na otwartym terenie podczas krótkich postojów. Jednak dla kobiet było to upokorzenie nie do zniesienia i ich nieustannie zbolale miny i łatwość wpadania we wściekłość pod koniec każdego dnia nie wynikały wyłącznie z wielogodzinnego obijania się we wnętrzach

powozów.

Wespazjan i jego towarzysze starali się nie zwracać na siebie uwagi, żeby mieć jak najmniej do czynienia z rozrywkami Kaliguli. Pechowcy, których wzywano wieczorami do ogromnego namiotu, wracali stamtąd z opowieściami o okaleczeniach, pederastii i gwałtach. O innych ekscesach ani oni, ani ich rozhisteryzowane przeważnie małżonki nie chcieli - albo też nie potrafili - mówić.

Skuteczne unikanie uwagi Kaliguli przewrotnie miało również inną konsekwencję: zaczęli się niepokoić, dlaczego on ich nie zaprasza. Cesarz zaliczał Wespazjana i Sabinusa do swoich najbliższych przyjaciół, tymczasem od celu podróży dzielił ich zaledwie jeden dzień drogi, a ich nie zaproszono jeszcze na żadną z tych wystawnych uczt, nieważne jak wstrętne towarzyszyły im rozrywki, i to zaczynało doskwierać Sabinusowi.

- Nie przejmowałbym się tym, drogi chłopcze - zadudnił Gajusz z głębi swojego względnie wygodnego, wymoszczonego poduszkami powozu - wyglądał na zadowolonego, kiedy zobaczył cię ostatnim razem.

- Właśnie o to mi chodzi, wuju - odparł Sabinus, jadący obok na koniu. - Wie, że tutaj jesteśmy, wydaje mu się, że jesteśmy jego przyjaciółmi, a mimo to już od piętnastu dni ignoruje naszą obecność. Czym mogliśmy go urazić?

- Wieczorem dostaniesz wezwanie na ten ostatni dzień, tak jak obiecał.

- Ale dlaczego tak długo zwlekał?

- Może nie chce zepsuć niespodzianki, która na ciebie czeka - zauważył Wespazjan, rozkoszując się chłodzącym podmuchem wiatru znad spokojnego Morza Tyrreńskiego, ciągnącego się zaledwie sto kroków od nich po prawej stronie.

- Bardzo zabawne, smarkaczu.

- Rzeczywiście - zgodził się Magnus.

Sabinus spojrział na niego spode łba i zwrócił się znowu do brata.

- Rzecz w tym - powiedział - że wolę mieć to wątpliwe poczucie bezpieczeństwa wynikające z przekonania, że jestem u niego w łaskach, niż martwić się, że czymś mu się naraziłem, i żyć w nieustannym lęku, bo w każdej chwili może kazać mnie zabić.

Wespazjan uśmiechnął się.

- Przynajmniej zaproszono by mnie na ucztę.

- Co masz na myśli?

- Klemens opowiedział mi, że kilka miesięcy temu Kaligula rozkazał, by ojciec był obecny przy egzekucji syna; naturalnie chciał się wymówić słabym zdrowiem, wobec czego cesarz posłał po niego lektykę. Potem zaprosił nieszczęśnika na kolację i cały wieczór starał się go rozweselić, opowiadając dowcipy. Może tę samą uprzejmość wyświadczy bratu.

- Jeśli tak zrobi, to jestem pewien, że po obejrzeniu, jak się wykrwawiam, nie miałbyś problemów, by śmiać się z jego dowcipów.

Długi dźwięk pretoriańskiego rogu oznajmił koniec przedostatniego dnia marszu, kolumna zatrzymała się i zaczęto rozbijać obóz. W kierunku grupy Flawiuszów czekających w cieniu powozu zbliżał się zatłoczoną drogą jakiś jeździec. Najwyraźniej nie był pretorianinem, bo miał na sobie tylko tunikę, a na głowie miękki kapelusz przeciwsłoneczny z szerokim rondem, taki, jakie nosiła jazda oddziałów pomocniczych w Cyrenajce. Przejeżdżając obok, zerknął w stronę braci i natychmiast zakręcił wierzchowcem.

- Sabinusie, cesarz kazał mi cię odnaleźć - oznajmił, zdejmując kapelusz. - Życzy sobie, byś wraz ze swoimi towarzyszami stawił się rano przed jego obliczem.

Wstrząśnięty Wespazjan rozpoznał jeźdźcę.

- Dziękuję, Korwinusie - odpowiedział Sabinus. - Będziemy tam o świcie. Nie widziałem cię w drodze, gdzieś się ukrywał?

- Dopiero co was dogoniłem, miałem pewne sprawy do załatwienia.

Sabinus odwrócił się i wskazał ręką Wespazjana.

- Znasz mojego brata, Tytusa Flawiusza Wespazjana? - zapytał.

Oczy Korwinusa zwęziły się lekko.

- O tak, już się spotkaliśmy - odparł. - Zatem do jutra. - Zawrócił konia i pospiesznie się oddalił.

Wespazjan, pełen obaw, spojrział na brata.

- Skąd go znasz? - spytał.

- Korwinusa? Mieszkamy przy tej samej ulicy na Awentynie i po moim powrocie często razem wracaliśmy z senatu. Dość szybko się zaprzyjaźniliśmy. To dziwne, bo nigdy nie powiedział, że cię zna; pytał mnie o rodzinę i wspomniałem mu twoje imię.

- Co jeszcze mu powiedziałeś?

- Och, nic, czego nie powiedziałbym każdemu innemu senatorowi, zadającemu grzecznie pytania: skąd pochodzimy, kim są nasi rodzice, kim jest rodzina mojej żony, takie tam rzeczy.

- Powiedziałeś mu o Cenis?

- Chyba nie. Dlaczego?

- On nie ma powodu, by mnie lubić; mówiąc szczerze, groził mi nawet.

- A dlaczegoż to, drogi chłopcze? - spytał Gajusz, spoglądając z niepokojem za oddalającym się Korwinusem.

- Był prefektem jazdy, kiedy przebywałem w Cyrenajce, podjąłem kilka decyzji, które mu się nie spodobały... i może miał rację. Znasz go?

- Marka Waleriusza Messalę Korwinusa? Oczywiście wiem o nim co nieco. Wygląda na to, że zrobiłeś sobie wroga z człowieka, który może się okazać wpływowym. Przy założeniu, że przyszedłemu szwagrowi uda się zachować życie, jego siostra może zostać cesarżową.

- Jak to... - Wespazjan zamilkł raptownie i wciągnął powietrze, przypomniawszy sobie groźne spojrzenie ciemnych oczu, kiedy śmiał się z dowcipu Kaliguli.

Gajusz skinął z powagą głową.

- Tak, drogi chłopcze, jego siostra to Waleria Messalina, przyszła małżonka Klaudiusza.

Następnego ranka o bladym świetle bracia nie bez obaw zbliżali się do namiotu Kaliguli. Wszędzie wokół trwały prace przy rozmontowywaniu i zwijaniu obozu, a w ciepłej morskiej bryzie wirowały dym i para ze świeżo zgaszonych wodą ognisk, na których wcześniej przygotowywano posiłek.

Świta Kaliguli zbierała się, by go powitać. Wszyscy stali małymi grupkami w pobliżu wejścia, rozmawiając cicho.

Bracia zsiadli z koni: oddali je niewolnikom. Od grupki Klaudiusza, Azjatyka, Pallasa i ku zaniepokojeniu Wespazjana - Narcyza - oderwała się znajoma postać.

- Zastanawiałem się, czy was dwóch tu zobaczę - powiedział Korbulon, podchodząc do nich.

- Mam nadzieję, że dobrze się macz - odparł Wespazjan na powitanie.

- Tak dobrze, jak może czuć się człowiek, który w niecałe dwa miesiące na przeszło dwóch tysiącach statków musi wybudować długie na trzy i pół mili przedłużenie via Appia.

Już nigdy więcej, przemawiając w senacie, nie będę narzekał na stan dróg.

Wespazjan z trudem powstrzymał uśmiech.

- To dlatego obarczył cię tym zadaniem?

Na długiej patrycjuszowskiej twarzy Korbulona malowało się przygnębienie.

- Tak. Powiedział, że jeśli nie podobają mi się istniejące drogi, to mogę mu wybudować porządną nową. Teraz moją rodzinę ludzie będą kojarzyli z największym w historii marnotrawstwem pieniędzy, a jakby tego było mało, ta dziwka, moja przyrodnia siostra, hańbi się przy każdej okazji, zabawiając się publicznie z cesarzem. Pozwoliła sobie nawet zająć z nim w ciążę, a przynajmniej twierdzi, że z nim.

- Nic o tym nie słyszeliśmy - oświadczył ze współczuciem Sabinus. - Przykro mi, że to cię spotyka.

- Cóż, obaj byliście daleko, a ja już wolę, byście dowiedzieli się ode mnie. W każdym razie od kilku dni ona jest tutaj. Kaligula przysłał ją do mnie, by mieć pewność, że odpocznie podczas ciąży, bo jeśli dojdzie do szczęśliwego rozwiązania, planuje ją poślubić. Choć na twarzach jeźdźców z pretoriańskiej turmy, którzy ją tutaj eskortowali, było widać zmęczenie, więc nie sądzę, by odpoczywała podczas podróży.

- Zatem droga jest gotowa? - spytał Wespazjan, starając się usilnie zmienić temat, ponieważ coraz trudniej przychodziło mu powstrzymywanie uśmiechu.

- Oczywiście, że gotowa - rzucił Korbulon - jestem Domicjuszem, a my wykonujemy powierzone nam zadania, choćby i niedorzeczne.

- Tak, naturalnie, dlatego cesarz wybrał ciebie.

- Nie powiem, żeby konieczność współpracy z tym napuszonym wyzwolencem, Narcyzem, ułatwiała mi sprawę. Tego człowieka trawi żądza władzy; kiedyś nawet próbował wydać mi polecenie, możecie to sobie wyobrazić?

- Jestem pewien, że Kaligula sownie wynagrodzi cię za twoje wysiłki.

- Mianuje mnie w przyszłym roku swoim współkonsulem - oświadczył z dumą Korbulon - a to w jakimś stopniu przywróci honor mojej rodzinie.

Wespazjan nie powiedział Korbulonowi, że Kaligula rozważa również nominację na konsula swojego konia.

- Mnie mianował pretorem - powiedział tylko.

Korbulon popatrzył na niego wzdłuż swojego patrycjuszowskiego nosa.

- To dość niezwykle, że homo novus na arenie politycznej zostaje tak uhonorowany już w pierwszym roku, po spełnieniu warunków do objęcia stanowiska. Co takiego zrobiłeś, by sobie na to zasłużyć?

- Och, coś równie niedorzecznego jak ty, po prostu byłem posłuszny woli Kaliguli.

Ł tłum wokół namiotu umilkł nagle, kiedy pojawił się Klemens.

- Senatorowie i ludu Rzymu - zawołał - oto wasz cesarz, boski Gajusz, pan ziemi i morza.

- Bądź pozdrowiony, boski Gajuszu, władco ziemi i morza! - zaczęli posłusznie powtarzać zgromadzeni.

Wkrótce w wejściu ukazał się Kaligula w napierśniku Aleksandra, okrytym upiętą na prawym ramieniu i powiewającą na wietrze chlamidą z purpurowego jedwabiu. Na głowie miał wieniec z dębowych liści, a w ręku połączony miecz i tarczę doborowych oddziałów argyraspides, inkrustowaną gwiazdą macedońską. Na jego widok okrzyki przybrały na sile, bo cesarz rzeczywiście wyglądał jak młody bóg.

Kaligula wznosił miecz i tarczę ku niebu i odchylił głowę, pławiąc się w uwielbieniu

tłumu.

- Dzisiaj - zawołał w końcu - dokonam największego jak dotąd wyczynu. Przejadę swoim rydwanem po wodzie, w towarzystwie mojego brata Neptuna. Nastąpi więc koniec naszej waśni!

Choć nikt nie wiedział, jaki jest charakter owej waśni, tłum wiwatował z ulgą.

- Kiedy ten dzień dobiegnie końca, ruszymy do Rzymu, by się przygotować do roku podbojów, który rozpocznie się najbliższej wiosny. Aby pokazać światu, że jestem prawdziwym panem ziemi i morza, poprowadzę nasze armie do Germanii i odzyskując ostatniego orła, utraconego podczas klęski w Lesie Teutoburskim, orła Siedemnastego legionu, zmyję hańbę, która wciąż plami honor Rzymu. Kiedy to się dokona, ruszymy na północ, na kraniec znanego świata, i wspólnie z moim bratem Neptunem poprowadzę nasze armie przez morze, i podbiję, dla siebie i dla Rzymu, Brytanię.

Nawet Wespazjan, razem z resztą zgromadzonych, przyjął te projekty z entuzjazmem. Oto wreszcie przedsięwzięcie, nie sprowadzające się do marnotrawienia pieniędzy, lecz służące większej chwale i dobrobytowi Rzymu. Może wreszcie młody cesarz znalazł sposób, by zaspokoić swoje pragnienie wielkości - niezależnie od kosztów mierzonych ludzkimi istnieniami i pieniędzmi - i zarazem pragnienia jego poddanych dotyczące podbojów oraz sławy.

- Ruszajcie za mną, przyjaciele - zawołał Kaligula - ruszajcie za mną do mostu, a ja przejadę po nim po zwycięstwo i chwałę, która czeka nas na jego drugim końcu.

Pierwszy raz od wielu lat Wespazjan z własnej i nieprzymuszonej woli ruszył za Kaligulą.

Rozdział dwudziesty czwarty

Wespazjan nie potrafił powstrzymać okrzyku zdumienia, kiedy kolumna, prowadzona przez kwadrygę Kaliguli, przecięła zachodnie zbocze mons Nova w najdalej na północ położonym punkcie Zatoki Neapolitańskiej.

Kaligula odwrócił się w swoim rydwanie i krzyknął triumfalnie w stronę niezliczonych, zwróconych ku niemu zdumionych twarzy.

- A co wam mówiłem, przyjaciele? Czy to nie zadziwiające dzieło boga?

Rzeczywiście zdumiewające. Pod nimi, tuż na północ od przylądka Mizenum, od Bajów aż do Puteoli, przez trzy i pół mili połyskujących wód ciągnął się podwójny rząd statków; szczipione łańcuchami burta przy burcie, kołysały się łagodnie na spokojnej morskiej fali. Ułożono na nich drogę, prostą jak via Appia, ale szerszą, o wiele szerszą. Most nie biegł jednak tylko prosto; co jakiś czas jego linia wyginała się na zewnątrz niczym macki, tworząc odnogi zakończone ustawionymi półkolem statkami, pokrytymi taką solidną nawierzchnią, że - co zdawało się całkiem niewiarygodne - stały tam budynki. Z tyłu widać było Portus Iulius, opustoszałe teraz miejsce stacjonowania floty zachodniej.

Trzasnąwszy z bicia nad kłębami koni w zaprzęgu i wykrzykując modlitwę do swojego bóstwa opiekuńczego, Kaligula popędził w dół stoku, aż żelazne obręcze kół krzeszały iskry o kamienie bruku. Rozpalony widokiem tak wspaniałej konstrukcji Wespazjan i pozostali jadący konno młodszy senatorowie ruszyli za nim, wyrzaskując z zachwytu jak mali chłopcy i ścigając się, który pierwszy wpadnie na most po cesarzu. Tuż za nimi jechali pretorianie, pozostawiając z tyłu piechotę i wozy, by podróżowały własnym, powolnym tempem.

Szeroko uśmiechnięty Wespazjan pędził za Kaligulą główną ulicą małego rybackiego portu Bajów. Kiedy dotarł do przystani, zobaczył przed sobą niknący w dali most. Dopiero z bliska można było ocenić jego wielkość; droga, którą położył Korbulon, miała trzydzieści kroków szerokości. Nie zbudowano jej z desek przybitych byle jak do statków; ułożono ją tak

jak na lądzie stałym. Pokład każdego statku przysypano ziemią, od masztu do rufy, na wysokość balustrady nadburcia. Aby zrównoważyć ten ciężar, na dziobach umieszczono ogromne głazy, poziomując statki, które spięto ze sobą, kadłub przy kadłubie, w dwóch rzędach, a po usunięciu wiosel sterowych połączono ze sobą rufy. Niewielkie przerwy pomiędzy statkami zakryto grubymi dechami, przybitymi do pokładów długimi na stopę gwoździami. Ziemię ubito, wyrównano i wygładzono, tworząc długą na trzy i pół mili gładką, nieprzerwaną nawierzchnię. Jakby tego było mało, wybrukowano ją kwadratowymi kamiennymi płytami o boku jednej stopy, zostawiając między nimi szpary na szerokość kciuka, żeby przy kołysaniu statków nie składały się w harmonijkę.

Kaligula wjechał wprost na most i zatrzymał się obok jakichś trzydziestu rydwanów o dziwnym wyglądzie, ciągniętych przez pary niskich, mocno zbudowanych kudłatych kuców.

Odwrócił się do jadących za nim.

- To są repliki rydwanów używanych przez plemiona Brytów, ale te konie szkolone do chodzenia w zaprzęgach rydwanów sprowadzono wprost z Brytanii. Do dzieła, przyjaciele, bierzcie rydwany i przejedźcie po tych wodach. Kiedy wieść o tym, że nie tylko potrafimy powozić ich rydwanami, ale również możemy przejechać nimi przez morze, dotrze do uszu dzikusów w Brytanii, padną przede mną na twarze i będą błagać waszego boga o zmiłowanie. Do dzieła, przyjaciele, ruszajcie!

Wespazjan zeskoczył z wierzchowca i dołączył do gromady pędzących, bo chętnych do powożenia było więcej niż pojazdów. Wyrwawszy lejce jednemu z celtyckich niewolników, odpowiedzialnych za każdy rydwan, wdrapał się na najbliższy pojazd. Zbudowany był prosto: prostokątna drewniana platforma na okutych żelaznymi obręczami kołach, o średnicy dwóch stóp, z półkolistymi wiklinowymi bokami, otwarta z przodu i z tyłu. Kuce zaprzęgnięto do wyginającego się ku górze dyszla za pomocą jarzma, a do powożenia nimi służyły odchodzące od wędzideł lejce.

- Potrafisz czymś takim powozić? - zawołał roześmiany Sabinus, wskakując na rydwan obok.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - zawołał w odpowiedzi Wespazjan i

szarpnął lejcami, kiedy niewolnik wskoczył za nim.

- Klęknij, panie - powiedział mężczyzna, kiedy ruszyli - o tak. W ten sposób lejce nie będą za wysoko.

Wespazjan zerknął do tyłu i zobaczył, że jego towarzysz przyklęknął nisko na jednym kolanie, i natychmiast poszedł w jego ślady, dzięki czemu lejce znalazły się tuż nad grzbietami kuców. Pociągnął lekko w prawo i konie zareagowały, wyciągając rydwan na środek drogi. Wszędzie wokół inni woźnice, z lepszym czy gorszym skutkiem, pobierali podobne lekcje.

Kiedy wszystkie pojazdy miały już woźniców i ustawiły się za Kaligulą, cesarz nie czekał dłużej, tylko ze wzniesionym wysoko pozłocanym mieczem ruszył stępą ku Puteoli, roziskrzonemu w porannym słońcu, zwieńczonemu wznoszącymi się z tyłu ciemnobrązowymi wzgórzami. Senatorowie, którym się nie udało albo nie chcieli skorzystać z rydwanu, ruszyli dalej konno, razem z tysiącособowym oddziałem jazdy pretoriańskiej. Niecałe pół mili za nimi widać było, jak ciemna masa piechoty, a za nią setki powozów, zbliżają się powoli do Bajów.

Wespazjan podjechał do Korbulona.

- Jak tego dokonałeś, Korbulonie? To sprawia wrażenie czegoś bardzo stabilnego.

Korbulon zerknął w jego stronę z wyrazem bliskim zadowolenia na nieruchomej zazwyczaj twarzy.

- Mnóstwo niewolników; zabrałem wszystkich niewolników płci męskiej w promieniu pięćdziesięciu mil. Wielu tłustych kupców musiało się obejść bez masażu czy porządnie przyrządzonej ryby przez ostatnie dwa miesiące. - Parsknął kilka razy, co jak przypuszczał Wespazjan, miało oznaczać odważną próbę wybuchnięcia śmiechem.

Kiedy minęli pierwsze odgałęzienie, odchodzące w jednej trzeciej długości mostu, Kaligula, puścił konie klusem. Przy tej szybkości Wespazjan coraz bardziej czuł delikatne kołysanie mostu, kiedy przejeżdżał z jednego statku na drugi i wyraźniej zaznaczała się

niewielka różnica poziomów między nimi. Na prawo łuk drogi odchodzącej w bok utworzył przystań, w której cumowały łodzie wycieczkowe, zbyt małe, by można je było wykorzystać przy konstrukcji mostu, ale w takiej liczbie, że później mogły starczyć dla wszystkich pragnących zażywać wodnych rozrywek.

Daleko za nimi na most wjechały powozy i wmaszerowała piechota.

Tuż za połową dystansu, zaznaczoną rozgałęzieniami drogi w obie strony, Kaligula pognął zaprzęg galopem. Euforia powożących rydwanami wzrosła, kiedy się okazało, że są zbyt nisko, by ponad wiklinowymi bokami pojazdów widzieć dzioby statków, po których pędzili; wszędzie widzieli tylko wodę. Chociaż od czasu do czasu przed ich oczami migwały maszty, mieli wrażenie, że poruszają się po bezkresnym morzu.

Ćwierć mili przed końcem mostu Kaligula puścił konie cwałem; wytrzymałe celtyckie koniki ruszyły za nimi, a dalej z tyłu pędziła pretoriańska konnica. Stukot tysięcy kopyt odbijał się dziwnym echem w pustych kadłubach statków, wzmacniając dźwięk pięciokrotnie, aż do ogłuszającego bębnienia, zagłuszając pokrzykiwania i wrzaski powożących rydwanami i żołnierzy. Wespazjan, nieświadom niczego poza oszałamiającą szybkością, szumem w uszach i wiatrem na twarzy, który wywiewał z głowy wszelkie zmartwienia, jechał na osłep za Kaligulą, wrzeszcząc na całe gardło.

Dotarli do końca mostu, jednak Kaligula się nie zatrzymał.

Pędził dalej; dalej, ku zwartej masie mieszkańców Puteoli, którzy wylegli tłumnie, by obejrzeć to wielkie widowisko. Wymachując połączanym mieczem, wjechał zaprzęgiem w niedowierzający własnym oczom tłum, przejeżdżając i tratując tych, którzy nie zdążyli usunąć się z drogi. Chwilę później, nie mogąc się zatrzymać, bo jazda napierała na nich od tyłu, również reszta rydwanów wpadła na tę kruchą zaporę z ciał i kości. Jęki i krzyki wypełniły powietrze, głośniejsze nawet od stukotu kopyt, wciąż bębniących na moście z tyłu, kiedy rozpedzone krępe koniki, wraz z ciężarem pojazdów, wyorywały krwawe bruzdy w ciżbie ludzi będących chwilę wcześniej w świątecznym nastroju.

Przerażony Wespazjan patrzył, jak jego zaprzęg wbija się w jakąś rodzinę, wyrzucając w powietrze krzyżące niemowlę, podczas gdy rodzice i starsze rodzeństwo, z przeraźliwym,

urwanym nagle krzykiem, znikali pod kopytami zwierząt, a przed jego rydwanem wyrastały kolejne twarze, skamieniałe z przerażenia, o oczach spoglądających ostatni raz na oszalamiający świat. Po jego obu stronach Sabinus i Korbulon dokonywali podobnej masakry, podczas gdy pędzący za nimi jeźdźcy, także niezdolni się zatrzymać z powodu napierającej z tyłu masy towarzyszy, rozjechali się na boki, wpadając na ludzi, którzy wcześniej nie ucierpieli.

Pośród tego pandemonium pogruchotanych kończyn i zmiażdżonych czaszek Wespazjan zdołał wreszcie zatrzymać swoje przerażone konie. Towarzyszący mu niewolnik z niewiarygodną zręcznością przebiegł po dyszlu i skoczył pomiędzy stojące dęba zwierzęta, chwycił za wędzidła, ściągnął im łby na dół i uspokoił. Również konnica wytracała stopniowo impet i ostatecznie cała kolumna stanęła. Nacisk na tłum zelżał i ludzie zaczęli wreszcie uciekać do wąskich uliczek odchodzących od portu, trując najsłabszych z zapamiętaniem tych, którzy za wszelką cenę chcą przeżyć.

Spomiędzy kłębówiska zmasakrowanych ciał wyłonił się Kaligula, prowadząc swój zaprzęg i histerycznie się śmiejąc. Koła jego rydwanu podskakiwały na ciałach zabitych i rannych, na co nie zwracał najmniejszej uwagi.

- Wracajcie na most, przyjaciele; złożymy ofiarę mojemu bratu Neptunowi, w podziękowaniu za spokojne morze, bez którego to chwalebne zwycięstwo nie byłoby możliwe.

Wespazjan i Sabinus spojrzeli po sobie. Na twarzach mieli przerażenie, a wstyd palił im serca. Przerażało ich, że wzięli udział w wydarzeniu o takich konsekwencjach, i wstyd im było, bo uwierzyli, że biorą udział w ekscytującym pokazie zręczności i odwagi, będącym wstępem do czegoś jeszcze wspanialszego, i że, co gorsza, czynili to z takim zapalem.

Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Milczeli, kiedy niewolnicy, kręcąc z niedowierzaniem głowami, zawrócili zwierzęta, które wciąż miały oczy wytrzeszczone z przerażenia, odprowadzili je od długiego wału zmasakrowanych ciał i wsiedli z powrotem na rydwany. Wszędzie wokół, na nabrzeżu i na moście, pretoriańska jazda w chaosie wynikłym z ich niezamierzonej szarży próbowała się przegrupować i utworzyć porządne szeregi, z których tak byli dumni.

Natomiast Kaligulę ani trochę nie interesowała wojskowa precyzja. Kiedy tylko za jego plecami zawrócono celtyckie rydwany, wskoczył na swoją kwadrygę i batem popędził zaprzęg wprost na zdeorganizowanych pretorianów, którzy nie mieli innego wyjścia, jak tylko rozstąpić się i zrobić miejsce dla cesarza. Ci na nabrzeżu nie mieli z tym kłopotu, ale kiedy Kaligula wjechał na most, rwąc zaprzęgiem do przodu, jeźdźcy usiłowali zrobić mu miejsce na drodze. Ponieważ nikt nie chciał być tym żołnierzem, który opóźni cesarza, każdy kolejny jeździec z całych sił skręcał swoim wierzchowcem w bok, popychając sąsiedniego konia i w rezultacie wywołując efekt domina, zrzucając rżące konie i ich jeźdźców z drogi na pokłady statków, które na szczęście znajdowały się zaledwie cztery stopy niżej. Wespazjan i inni powożący rydwanami jechali za Kaligulą przez cały ten chaos, aż wreszcie cesarz przedarł się przez ostatnie szeregi konnicy na pustą drogę, gdzie pognał zaprzęg galopem wprost na powozy i piechotę.

Koniki Wespazjana były wykończone, kiedy dotarły do centralnego punktu mostu, gdzie droga na największe z odgałęzień skręcała na południe. Kaligula przybył tam dość długo przed nimi, ale najwyraźniej jednocześnie z nadjeżdżającymi z drugiej strony powozami, sądząc po wywróconych pojazdach, wciąż połączonych z ryczącymi końmi, na samej drodze i na pokładach po obu jej stronach. Porzucił kwadrygę i odczepiwszy Incitatusa, razem ze swoim ulubionym wierzchowcem kroczył teraz na czele senatorów i ich małżonek po zakręcającej, szerokiej na jeden statek drodze na koniec wysuniętej w bok części mostu, gdzie stało coś, co wyglądało na świątynię, z kolumnami i schodkami ze wszystkich stron. W przystani utworzonej przez zakole drogi i wokół platformy świątyni cumowały kolejne dziesiątki małych łodzi, ale w przeciwieństwie do tamtych w pierwszej przystani, te były obsadzone przez załogi, w jednych podniesiono już żagle, w innych tkwiły w dulkach wiosła gotowe do użycia.

Wespazjan, Sabinus i reszta powożących rydwanami mężczyzn szybko opuścili swoje pojazdy i ruszyli biegiem, by dogonić cesarza i senatorów.

- Aha, drodzy chłopcy, czekałem na was - zawołał do nich Gajusz spod parasola, którym osłaniał go Enor; drugi chłopiec gorliwie chłodził swojego pana wachlarzem. - Jak wam się podobało? Bo z drugiego końca wyglądało bardzo efektownie.

- To było morderstwo, czyste morderstwo! - warknął Wespazjan pod nosem, z wdzięcznością przyjmując bukłak z rąk Magnusa. Napił się, podał bukłak Sabinusowi i wierzchem dłoni otarł usta. - A teraz mamy podziękować Neptunowi, że pozwolił Kaliguli wybić połowę ludności Puteoli.

- Tylko połowę? - spytał Magnus. - Najwyraźniej wychodzi z wprawy.

Wespazjan rzucił mu gniewne spojrzenie i na sztywnych nogach ruszył przed siebie.

Kaligula stał przed świątynią z Incitatussem u boku i w otoczeniu ośmiu członków swojej germańskiej straży osobistej. Ramiona miał czerwone od krwi byczka.

- Lękając się mojej mocy, mój brat Neptun przyjął łaskawie ofiarę, by mnie nie obrazić - oznajmił stłoczonym senatorom i ich małżonkom.

Sama świątynia, jak zauważył Wespazjan, nie była solidną budowlą, lecz konstrukcją z brezentu przemyślnie pomalowanego na marmur, z pniami drzew, podobnie pomalowanymi, w roli kolumn. - Ponieważ tak się mnie lęka, nie musimy się go obawiać, zatem przed uczną zwycięstwa wyruszmy wszyscy na morze. Do łodzi, moje owieczki, do łodzi!

Na czele swojej straży podszedł na skraj pomostu i zeskoczył do ośmiowiosłowej, płaskodennej łodzi o szlachetnej linii. Jego Germanie wsiedli za nim i ujęli wiosła.

- Przypuszczam, że może być nawet przyjemnie pożeglować trochę przed obiadem - zauważył Gajusz, kiedy Wespazjan, Sabinus i Magnus pomagali mu zejść do małej, lekkiej łodzi żaglowej, której załogę stanowili cuchnący, ogorzały starzec i jego wnuk. Usadził się na dziobie, z Enorem dzierżącym parasol i z drugim chłopcem wymachującym wachlarzem. Bracia i Magnus usiedli pośrodku łodzi, wnuk starca ją odepchnął, a jego dziadek rozwinął trójkątny skórzany żagiel. Popychana lekką bryzą łódź wypłynęła powoli na zatokę.

Nastrój tych senatorów i ich małżonek, którzy byli świadkami rzezi w Puteoli, znacznie się poprawił, kiedy już wsiedli do różnych łodzi i łódek, bo podobnie jak Gajusz uważali, że trochę żeglowania przed obiadem dobrze im zrobi. W krótkim czasie ponad sto

małych łodzi, wiosłowych albo żaglowych, unosiło się na gładkiej powierzchni morza pomiędzy świątynią i mostem, na którym stały długie ciemne szeregi piechoty i jazdy pretorianów. Ci, dla których zabrakło miejsca albo uznali, że ich kondycja fizyczna nie pozwala na stawianie czoła żywiołowi Neptuna, szli spacerowym krokiem po moście, podziwiając uroczą scenerię i machając do przyjaciół, którzy mieli więcej szczęścia albo więcej odwagi.

Łódź Kaliguli skręcała to w lewo, to w prawo, a on sam stał na rufie, trzymając wiosło sterowe, i pokrzykiwał jak szalony. Kiedy mijał łódź z Flawiuszami, Wespazjan zauważył, że cesarz przechylił głowę z lekko zdziwionym wyrazem twarzy, jakby nagle nie wiedział, gdzie się znajduje.

- Szybkość taranowania! - krzyknął przenikliwym głosem.

Prowadzący wiosłarz zareagował natychmiast i podany przez niego rytm został podjęty przez jego umięśnionych towarzyszy. Łódź ruszyła szybko w stronę grupki leniwie poruszających się żaglówek.

Nieświadomi zbliżającego się zagrożenia żeglarze nie zrobili nic, by zmienić kurs. Po kilku chwilach łódź Kaliguli była tuż przy nich, a jej mocny drewniany dziób uderzył w kadłub najbliższej płaskodennej żaglowej łódki, przewracając ją i wyrzucając ludzi do wody. Łódź Kaliguli nie zwolniła ani trochę, a cesarz ustawił wiosło sterowe w taki sposób, by uderzyć w kolejną łódkę, z takim samym jak poprzednio rezultatem. Przeprowadził jeszcze dwa kolejne, równie skuteczne taranowania, i wokół zapanowała panika. Niespodziewanie zawrócił łódź i popłynął z powrotem.

Mijając szamoczące się i krztuszące wodą ofiary, wyjął wiosło sterowe z uchwytu i trzymając je oburącz, walił nim po głowach, śmiejąc się jak szaleniec, podczas gdy ci nieszczęśnicy, mężczyźni i kobiety, tracąc przytomność, tonęli.

- Mój brat Neptun też zasługuje na gości przy kolacji, przekażcie mu zatem pozdrowienia ode mnie - wołał za nimi, a jego łódź sunęła dalej, wciąż z szybkością taranowania, wprost na niewielką łódkę Flawiuszów.

Jej wstrząśnięci pasażerowie obserwowali przez krótką chwilę, jak się zbliża, po czym wszyscy zwrócili spojrzenia na starca, który, sądząc po przerażeniu widocznym w jego oczach, też zdawał sobie sprawę z tego, co nadchodzi. Słaby wiatr i brak czasu wykluczały szybką zmianę kursu i stary żeglarz siedział jak skamieniały, wpatrując się w coraz bliższe zagrożenie. Nie było sensu wołać do niego, bo i tak nic już nie mógł zrobić. Pozostało tylko czegoś się chwycić i czekać na to, co nieuchronnie musiało nastąpić.

Chwilę później silne uderzenie przewróciło łódkę.

Wespazjan wpadł do wody. Miał dość przytomności umysłu, by zanurkować głębiej i w ten sposób uniknąć wiosła Kaliguli. Policzył do trzydziestu i dopiero wtedy wypłynął na powierzchnię. Zrobił to niemal równocześnie z Sabinusem. Rozejrzał się. Tuż obok pojawiła się głowa Magnusa.

- Gdzie Gajusz? - zawołał Wespazjan.

Wszyscy trzej zaczęli się rozpaczliwie rozglądać; zza przewróconej do góry dnem łódki wypłynęli starzec z wnukiem. Gajusza nie było widać. Wespazjan zanurkował. Choć nie był ani szczególnie wytrzymałym, ani uzdolnionym pływakiem, desperacja dodała mu sił i skoordynowawszy ruchy, szybko opuścił się w głąb, mijając ciało Enora, z którego uderzonej wiosłem głowy sączyła się krew. Woda była przejrzysta i wkrótce zobaczył wujka, z oczyma wytrzeszczonymi wysiłkiem wstrzymywania oddechu i walczącego bezskutecznie z żywiołem, bo ściąganego w dół przez ciężar togi. Ruszył w jego stronę, Sabinus i Magnus za nim. Chwyciwszy ramię Gajusza, Wespazjan zaczął ciągnąć go w górę, a pozostali zrywali z niego togę. W końcu im się udało i Wespazjan poczuł mniejszy opór, wtedy Gajusz spojrzał na niego wzrokiem człowieka udreżonego, a z nosa i z ust wydobyła się masa bąbelków powietrza; zadygotał, kiedy woda wypełniła mu płuca.

Wszyscy trzej wypchnęli go na powierzchnię. Podczas gdy oni wciągali łapczywie powietrze, Gajusz nawet nie drgnął. Miał blade usta i zamknięte oczy.

- Szybko do brzegu! - wrzasnął Wespazjan do towarzyszy.

Starzec z wnukiem ruszyli im na pomoc. Byli świetnymi pływakami i szybko pokonali

z Gajuszem dwadzieścia kroków dzielące ich od podwyższonej drogi.

Wiele rąk wyciągnęło się, by pomóc wyjąć ciężkie ciało z wody, podczas gdy za ich plecami Kaligula wciąż siał strach wśród pasażerów i załóg łodzi.

Kiedy już wyciągnięto Gajusza, Wespazjan obrócił go na brzuch i ułożył tak, by głowa zwisała mu z krawędzi drogi i woda zaczęła wypływać mu z ust.

- Magnusie, pamiętasz, co powiedziałeś, kiedy zajmowaliśmy się Poppeuszem? Trzeba chwilę poczekać, zanim usunie im się wodę z płuc, ponieważ mogliby powrócić do życia.

Twarz Magnusa się rozjaśniła.

- Słusznie, panie - oświadczył, klękając okrakiem nad biodrami Gajusza i kładąc dłonie na jego plecach.

Wespazjan i Sabinus uklękli z obu stron wuja.

- Gotowi? - spytał Magnus. - Teraz! - Sześć rąk ścisnęło jednocześnie tors senatora. - Teraz! - I znowu. - Teraz! - I jeszcze raz.

Po kilku próbach z ust Gajusza trysnął strumień wody; po kilku kolejnych wypłynął drugi, jeszcze większy, a potem rozległy się dźwięki spazmatycznego krztuszenia. Wyciśnięto jeszcze trochę wody, po czym Gajusz odetchnął chrapliwie i otworzył oczy. Wstrząsnęły nim potężne torsje i pozbył się morskiej wody z żołądka, a potem z wysiłkiem wykaszła z płuc resztę wody. Magnus nacisnął jeszcze kilka razy i wstał.

Po kilku chwilach Gajusz mógł już oddychać, choć szybko, płytko i z wielkim trudem. Zwrócił nierozumiejący wzrok na Wespazjana.

- Pamiętam, że się utopiłem - stwierdził.

- Cóż, ale wróciłeś do życia, wuju. Może Neptun zaczął się martwić, że go objesz przy

kolacji.

- Moi chłopcy? - zapytał Gajusz z niepokojem.

Wespazjan pokręcił powoli głową, po czym spojrzał w stronę przystani, gdzie tuż obok wywróconej łodzi, twarzami do dołu, unosiły się dwa ciała.

Nie wiadomo, czy Kaligulę w końcu znudziło posyłanie gości na ucztę u swojego brata boga, czy też zaniepokoił się, że sam będzie miał za mało gości na uczcie zwycięstwa, dość, że wkrótce po tym, jak Gajusz doszedł do siebie, cesarz wrócił i nakazał wszystkim udać się do ogromnego triklinium usytuowanego po północnej stronie mostu.

Był w radosnym nastroju, kiedy prowadził Incitatusa drogą wzdłuż mostu, od czasu do czasu wpychając swawolnie do wody jakiegoś gramolącego się z łodzi senatora, jednak ponieważ otoczony był swoimi Germanami, nikt nie ośmielił się protestować. Obecność ponurych żołnierzy gwardii pretoriańskiej na moście zapewniała mu dodatkowo bezpieczeństwo. Cesarz był jedynym powodem ich istnienia, zatem byli bezwzględnie lojalni i jakakolwiek próba pozbawienia go życia w tak widocznym miejscu spotkałaby się z błyskawiczną i brutalną zemstą: senat zostałby całkowicie unicestwiony. I oni o tym wiedzieli, podobnie jak Kaligula.

Świadomy tej sytuacji cesarz wygłosił długą mowę, gratulując swoim wiernym żołnierzom spektakularnego zwycięstwa, jakie odnieśli w Puteoli, i po bezpiecznym powrocie do Rzymu obiecał im nagrodę w wysokości rocznego żołdu. Po tym stwierdzeniu kwestia jego bezpieczeństwa przestała istnieć.

Po południu Kaligula poprowadził senatorów na ucztę zwycięstwa. Wespazjan i Sabinus podążali tuż za nim, razem z Gajuszem, który podtrzymywany przez Magnusa, szedł z najwyższym trudem, wciąż osłabiony przejściami i żalem po utracie swoich młodych niewolników, ale nie odważył się odejść.

- Aha, Sabinus! - zawołał Kaligula, zatrzymując się i czekając, aż Flawiusze go dogonią. - Uważam, że przyszedł już czas na niespodziankę.

- Zaszczycasz mnie, boski Gajuszu - powiedział Sabinus z kamienną twarzą.

- Wiem. Ale na mój rok podbojów potrzebuję ludzi, którym mogę zaufać. Przecież nie mogę robić wszystkiego sam.

- Skoro tak mówisz, boski Gajuszu.

- Właśnie tak. W przyszłym roku będę potrzebował Dziewiątego legionu Hispana na wyprawę do Germanii, więc pozbywam się tego strachliwego imbecyla, który nim teraz dowodzi, i mianuję ciebie legatem; służyłeś w nim chyba jako trybun.

Sabinus spojrział na cesarza ze zdumieniem i wdzięcznością.

Kaligula zaniósł się śmiechem.

- Ach, ta ulga, kiedy człowieka spotyka zaszczyt, a nie upokorzenie; wiedziałem, że spodoba mi się twoja mina po tylu dniach niepewności.

- Nigdy w ciebie nie wątpiłem, boski Gajuszu. Jak mogę się odplacić?

Kaligula opuścił rękę na ramię Sabinusa. Zbliźali się do wysokich drewnianych drzwi triklinium.

- Wczoraj tego jeszcze nie wiedziałem. Teraz wygląda na to, że znajdzie się sposób, i to szybciej, niż sądzisz.

Cherea czekał przy drzwiach otwartych szeroko przez niewolników, by zameldować się u cesarza.

- Hasło, Chereo - powiedział cesarz, odpychając go na bok - brzmi „Eunuch”.

Wchodząc do środka, Wespazjan dojrzał w oczach trybuna płomień tej samej nienawiści, ale już wkrótce o tym zapomniał, kiedy rozglądając się wokół, uświadomił sobie, że choć wszystko tego dnia, zgodnie z kaprysem Kaliguli, przebiegało chaotycznie i

gorączkowo, to tę część programu przygotowano perfekcyjnie. Pomieszczenie było okazałe. Urządzono je na podobieństwo świątyni, włącznie z podtrzymującymi sklepienie malowanymi drewnianymi kolumnami. Miało się wrażenie przestronności i przewiewności. Na drugim końcu znajdowały się drzwi prowadzące do dalszych sal; przed nimi grupa muzyków szarpała struny lir i wygrywała wysokie dźwięki na tibiach. Na marmurowej posadzce, w równych od siebie odległościach, stały dziesiątki stołów otoczonych sofami. Jednak tym, co zapierało dech w piersi, były niewielkie kwadratowe otwory wycięte w stropie nad każdym stołem, tak usytuowane, że o tej porze słońce oświetlało każdy ze stołów, a nie otaczające go sofy.

- Doskonale! - zawołał Kaligula do Kallistosa, który z opuszczoną głową stał już w drzwiach obok Narcyza. - Kallistosie, dobrze się sprawiłeś; mam ochotę wynagrodzić cię wolnością.

Zarządca podniósł głowę. Na jego twarzy nie było widać żadnych oznak wdzięczności.

- Jak sobie życzysz, boski panie - powiedział tylko.

- Wszystko jest tak, jak ja sobie życzę - oświadczył Kaligula i zwrócił się do Narcyza.
- A życzę sobie, byś zapewnił wygodę naszym najważniejszym gościom, reszta niech się układa, gdzie chce.

- Oczywiście, boski Gajuszu - oświadczył słodziutko Grek, kiedy Kaligula go mijał, zdążając ku grupie pań, z których jedna trzymała na rękach niemowlę, czekających na drugim końcu sali, przy honorowym stole, żeby go powitać. Kobietom towarzyszył Klemens, Klaudiusz i, co zadziwiające, Korwinus.

Narczyz chwycił ramię Wespazjana, kiedy ten go mijał, i szepnął mu do ucha:

- Gratuluję świeżo nabytego bogactwa. Jeszcze nie powiedziałem o tym cesarzowi; zatrzymamy to dla siebie, zgoda? - Poklepał młodszego mężczyznę po ramieniu i odszedł, by nadzorować senatorów, którzy całą falą napływali do środka.

- Czego chciał ten śliski wyzwolenciec? - spytał Sabinus, wciąż promieniejąc dumą z powodu swojego awansu.

- Nic takiego. Była to tylko zawołowana groźba oznaczająca, że moje życie jest w jego rękach, gdyby Kaliguli zaczęło brakować pieniędzy.

- Co jest jak najbardziej możliwe, jeśli zdarzy się jeszcze jeden taki dzień jak ten, drogi chłopcze - oświadczył słabym głosem Gajusz.

Wespazjan popatrzył na pozłacane półmiski ze stosami wybornych smakołyków, jakie niewolnicy stawiali na stołach, przy których senatorowie z małżonkami zaczęli się układać.

- Ktoś to musi powstrzymać - mruknął.

Gajusz opadł ciężko na sofę.

- Muszę przyznać, że gdybym czuł się silniejszy, to sam bym to zrobił.

- Nie przejmuj się, panie - zapewnił go Magnus - wkrótce poczujesz się lepiej i znowu górę weźmie instynkt samozachowawczy.

- Chciałbym wierzyć, że masz rację, Magnusie, bo chyba nie jestem dość zwinny, by władać sztyletem jako skrytobójca.

- Ale Cherea jest - zauważył Wespazjan - i jeszcze kilka podobnych obelg ze strony Kaliguli, a będzie gotowy. Pozostaje pytanie: jak zachowa się Klemens? - Spojrzał w stronę bladej twarzy prefekta pretorianów i przeraziło go widoczne na niej spustoszenie. Obok Klemensa stał Korwinus, który z uśmiechem zadowolenia patrzył na zbliżającego się Kaligulę.

- Agrypina i Julia Liwilla - zachwycił się cesarz, witając swoje siostry pocałunkami - mam nadzieję, że wyciągnęłyście naukę z tej lekcji.

Nie wyglądało na to, by ostatnie doświadczenia wywarły na nich jakieś wrażenie.

- Tak, drogi bracie - odparła Agrypina. Jej siostra jedynie skinęła głową. - Znowu należymy w całości do ciebie.

- Świetnie, moja słodka - powiedział Kaligula, gładząc rudawe włoski na główce niemowlęcia, które trzymała na rękach. - Jak się miewa młody Lucjusz Domicjusz?

- Jest silny i uparty.

- Przyda mu się siła, jeśli będę musiał zesać was na nagą skałę, gdzie nasza matka spędziła swoje ostatnie dni. - Uniósł delikatnie jej brodę i pocałował w usta. - Proszę, nie zmuszaj mnie do tego. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do kobiety stojącej obok jego siostry. - Messalino, twój brat wyświadczył mi ogromną przysługę. Z przyjemnością czekam, aż dołączysz do naszej rodziny w przyszłym miesiącu... nawet jeśli oznacza to poślubienie tego błazna. - Spojrzał z pogardą na Klaudiusza, który skłonił głowę, mamrocząc pod nosem podziękowania za to, że raczono go zauważyć.

Messalina uśmiechnęła się, spojrzenie jej ciemnych oczu pomknęło w stronę Wespazjana. Na chwilę przytrzymała jego wzrok, podczas gdy jej brat, Korwinus, spoglądał na niego triumfująco. Klemens wyglądał tak, jakby ze wszystkich sił starał się opanować. Wszędzie wokół nich goście układali się na sofach.

Kaligula podszedł do czwartej, ostatniej z kobiet. Była starsza od pozostałych trzech i niezbyt atrakcyjna. Miała taką samą podłużną twarz i długi nos jak jej przyrodni brat Korbulon.

- Cezonio Milonio - powiedział Kaligula, kładąc dłoń na jej brzuchu - jak przebiega ciąża?

- Noszę dziecię boga, boski Gajuszu, a ono znakomicie się rozwija.

- Oczywiście; ale teraz dam ci odpocząć i będę czerpał przyjemność gdzie indziej; wpierw jednak coś zjedzmy.

Kaligula ogryzał łabędzie udko i machał lekceważąco ręką na setki senatorów spoczywających wokół licznych stołów.

- Popatrzcie na nich - z pogardą w głosie zwierzał się leżącym na sofie obok Wespazjanowi i Sabinusowi. - Nienawidzą mnie teraz za wszystko, co robiłem im przez ostatnie dwa lata; ale ileż by dali za to, by znaleźć się tutaj, gdzie wy jesteście, obok swojego cesarza.

- Robisz nam zaszczyt swoją łaską - przyznał Wespazjan, bez specjalnego apetytu spoglądając na potrawy przed sobą.

- Robię, a te wszystkie owce strasznie wam zazdroszczą, że ich nie traktuję tak samo. Cokolwiek im zrobię, wciąż udają, że mnie kochają.

- To nie jest udawana miłość, oni naprawdę nie czują nienawiści.

Kaligula spojrzał na Wespazjana z rozbawieniem.

- Nie okłamuj mnie, przyjacielu. Myślisz, że co takiego zrobiłem, odkąd zostałem cesarzem? Sprawiedliwie rządziłem?

Wespazjan przyglądał się przez chwilę twarzy Kaliguli i zdumiało go, że cesarz ma spojrzenie klarowne i rozsądne.

- Zrobiłeś wiele wielkich rzeczy, a w przyszłym roku dokonasz jeszcze wspanialszych czynów - odparł ostrożnie, starając się nie myśleć o masakrze, do jakiej doszło tego dnia.

- Owszem, ale najwspanialszą rzeczą, jaką zrobiłem, było postawienie przed senatem lustra, żeby senatorowie mogli sami się przekonać, kim tak naprawdę są, a mianowicie lizusami i pochlebcami, którzy inaczej nie potrafią żyć. Te wszystkie lata procesów o zdradę, kiedy denuncjowali jeden drugiego w nadziei zaskarżenia sobie przychylności Augusta, Tyberiusza czy Sejana i ze świadomością, że jeśli doprowadzą do wyroku skazującego, to otrzymają majątek swojej ofiary, doprowadziły ich do moralnego bankructwa. Kosztowały również życie większej części mojej rodziny, a honor zobowiązuje mnie, bym swoich

krewnych pomścił.

Wespazjan i Sabinus popatrzyli na siebie, obaj zaskoczeni szczerością cesarza.

- W tych wszystkich upokorzeniach chodziło o zemstę? - spytał Sabinus.

Kaligula uśmiechnął się lodowato.

- Naturalnie - odparł. - Widzisz, Wespazjanie, twój brat teraz nie udaje. I ty powinieneś tego spróbować. Uważasz, że jestem szalony?

Słowa uwięzły Wespazjanowi w gardle; każda odpowiedź mogła go pograżyć.

- Odpowiedz! I powiedz prawdę. Uważasz, że jestem szalony?

- Tak, tak uważam, boski Gajuszu.

Kaligula wybuchnął śmiechem, ale w jego oczach nie było rozbawienia.

- Dobra robota, mój przyjacielu, jesteś pierwszą osobą, która powiedziała mi prawdę, mimo że obawiasz się o własne życie. Oczywiście, że uważasz mnie za szalonego, kto uważałby inaczej? I może jestem, a może po prostu nie mam ochoty stosować samokontroli. Tak czy owak, każdym takim jawnie szalonym postępkim jeszcze bardziej upokarzam senat; chcę wiedzieć, jak nisko upadną i wciąż będą mi schlebiać, by zaskarbić sobie moje łaski. Kiedy byłem chory, przychodzili codziennie pod moje drzwi, modląc się i składając ofiary w intencji mojego powrotu do zdrowia, a ja wiedziałem, że tak naprawdę tylko czekają na wieść o mojej śmierci. Postanowiłem więc kazać im się czołgać, robić rzeczy, jakich żaden Rzymianin przed nimi nie robił, a mianowicie wielbić żywego boga. No i popatrz na nich, robią to. Ale ja nie jestem bogiem; oni to wiedzą, i co więcej, wiedzą również, że ja wiem, że oni wiedzą, a mimo to wszyscy zachowujemy pozory. Nawet ty przy mnie udajesz, że jestem bogiem, prawda?

Wespazjan przełknął ślinę.

- Tak, boski Gajuszu.

- Oczywiście, że udajesz, musisz utrzymać się przy życiu. Jestem najpotężniejszym człowiekiem na świecie, a czymże jest władza, jeśli się nią nie popisujesz? Ludzie wielbią tych, którzy ją mają, bo pragną dostąpić łask. To zachwycająco zabawne. Pamiętasz tego idiotę, który ofiarował swoje życie w zamian za moje? Spodziewał się nagrody za to przypochebienie, tymczasem ja kazałem mu dotrzymać słowa. Natomiast potem nagrodziłem milionem sestercji kłamcę, który przysięgał, że widział, jak duch Druzylli unosi się do niebios, by obcować z bogami. Owce! Będę nimi pomiatał bez końca, bo mogę to robić, a poza tym bawi mnie to i cieszy.

Wespazjan zmarszczył brwi.

- Ale któregoś dnia doprowadzisz kogoś do ostateczności.

- Czyżby? Nie sądzę. Gdyby komuś udało się mnie zabić, co byłoby bardzo trudne, sam też by zginął. Kto z tutaj obecnych zrobiłby coś takiego, poświęcił cały majątek i tym samym pozbawił środków do życia swoją rodzinę? Wy byście tak zrobili?

Żaden z braci nie odpowiedział na to pytanie.

Kaligula spojrział na nich szyderczo i wstał.

- Widzicie, wy byście tego nie zrobili, prawda? Jesteście nic niewarci jak ta cała reszta. I zaraz wam to udowodnię. - Podeszedł do stojącego przy drzwiach Korwinusa. Był tam też Klemens, wciąż wyglądający na zdruzgotanego. Z pobliza dochodziły dźwięki muzyki.

- Korwinusie, już można.

- Z przyjemnością, boski Gajuszu - powiedział mężczyzna, otwierając drzwi i znikając za nimi. Rozległ się krótki krzyk i mężczyzna pojawił się znowu, ciągnąc brutalnie za rękę nagą kobietę.

- Klementyna! - krzyknął Sabinus, zrywając się z sofy.

Wespazjan przycisnął ramieniem klatkę piersiową brata.

- Nie! - syknął. - Kaligula ma rację, ty zginiesz, a twój majątek będzie stracony; Klementyna i dzieci pozostaną bez środków do życia.

- Czy to nie rozkoszny widok - cedził z wyraźną przyjemnością cesarz. - Korwinus sprowadził twoją żonę z jakiegoś miejsca, gdzie ją ukryłeś, Sabinusie, a ja nawet go o to nie prosiłem. - Czy to nie było uprzejme z jego strony, Klemensie?

Klemens zamknął oczy i oddychał głęboko, a jego ciałem wstrząsała tłumiona wściekłość. Za tą okropną sceną tymbie i liry połączyły dźwięki w subtelnej harmonii.

Wespazjan przytrzymał Sabinusa, który wyrywał się, łkając.

Kaligula chwycił Klementynę za nadgarstek.

- Twój małżonek dopiero co zastanawiał się, jak mógłby mi podziękować; ależ ma szczęście, że tak szybko znalazł sposób. - Rzucił braciom złośliwe pytające spojrzenie. - Owce?

Wydawało się, że czas zwolnił biegu; dźwięki stały się przytłumione i niewyraźne, kiedy Wespazjan starał się poskromić ogarniające go uczucie grozy. Z obojętną miną wytrzymał przez chwilę spojrzenie Kaliguli i w tym momencie doszedł do wniosku, że cesarz się myli: ktoś go zabije, i to wkrótce, nie może być inaczej.

Ale kto przyjdzie na jego miejsce, zastanowił się.

Wespazjan odwrócił się i wciąż z kamienną twarzą wpatrzył w Klaudiusza, jedyne dorosłego dziedzica rodu julijsko-klaudyjskiego, podrygującego i śliniącego się na widok nagiej Klementyny, jednocześnie nieświadomie obejmującego dłonią pierś Messaliny. Zobaczył, jak Messalina i jej brat wpatrują się w Klemensa, a potem wymieniają krótkie, pełne zadowolenia spojrzenie ludzi, których ambicje się spełniają. Wespazjan zrozumiał, co takiego Korwinus puścił w ruch, kiedy porwał Klementynę, siostrę prefekta gwardii

pretoriańskiej, i sprowadził tutaj, żeby jego pan mógł ją skalać... Korwinus wiedział, że ostatecznie skorzysta na tym Messalina, bo któż inny mógłby zostać cesarzem, jeśli nie jej przyszły małżonek?

Przeniósł wzrok z Messaliny na siostrę Kaliguli, Agrypinę, która patrzyła na nią z nienawiścią, trzymając w ramionach swoje niemowlę o marchewkowych włoskach... kolejnego dziedzica płci męskiej, tyle że o wiele za młodego. W końcu jego oczy spoczęły na Cezonii Milonii, rozdętej od nasienia Kaliguli, patrzącej z wyższością na dwie pozostałe kobiety, i wiedział, że to dziecko nie przetrwa śmierci cesarza. Zatem będzie to Klaudiusz, pomyślał, teraz już całkiem pewien. Ponownie spojrzął na tego pokrakę, którego bezwstydną erekcją wybrzuszała tunikę. To było najlepsze, co mogła zaoferować linia Cezara. Jak długo jeszcze można coś takiego tolerować?

Drżący dźwięk tibii dotarł do jego świadomości, przeistaczając się w pieśń Feniksa i wypełniając ciszę w jego głowie. Za nią nieproszone, nieprzywoływane, pojawiło się proroctwo Trazyllusa i gdy jego spojrzenie ogarniało dziedziców Cezara, Wespazjan poznał pytanie, jakie miało go zaprowadzić z powrotem do świątyni Amona w oazie Siwa. Zniknęło ono równie szybko, jak się pojawiło, kiedy dźwięki ponownie napłynęły do jego uszu i czas znowu biegł swoim równym nieubłaganym rytmem.

Klementyna spojrzała na męża i na brata. W oczach miała błaganie, ale oni nie mogli nic zrobić, kiedy pan życia i śmierci wyciągał ją z sali jadalnej.

Drzwi się zamknęły. Rozległ się przejmujący krzyk Klementyny. Klemens podszedł do braci i szepnął Sabinusowi do ucha:

- Nie tutaj, nie teraz, ale w czasie i miejscu, które wybiorę, razem.

Sabinus prawie niezauważalnie skinął głową, a po twarzy spływały mu łzy i pierwszy raz w życiu Wespazjan lękał się o brata, człowieka, którego poczucie honoru było silniejsze od rozsądku.

A potem zaczął się lękać o siebie. Wiedział, że kiedy Sabinus wróci do Rzymu, to w sercu będzie niósł śmierć i on, Wespazjan, będzie musiał dokonać wyboru i albo zlekceważyć

święte więzy krwi, albo pomóc bratu zgładzić cesarza.

Od Autora

Niniejszą powieść historyczną oparłem przede wszystkim na dziełach Swetoniusza, Tacyta i Kasjusza Diona, Józefa Flawiusza i Filona.

Wydarzenia związane z ukrzyżowaniem Joszui są co najmniej niejasne. Moim zdaniem motywacje ludzi i czas poszczególnych wydarzeń wydają się mocno pomieszane. Nie ulega wątpliwości, że starożytni pisarze próbowali tworzyć opowieść kawałek po kawałku, by pasowała ona do założeń nowo stworzonego Pawłowego chrześcijaństwa. W mojej wersji opowieści nie roszczę sobie pretensji do pełnej zgodności z rygorami naukowymi; skonstruowałem ją wyłącznie po to, by Sabinus mógł być świadkiem narodzin stworzonej przez człowieka religii, która w miarę postępów fabuły stanie się ważną jej częścią.

Jestem wdzięczny A.N. Wilsonowi za to, że w swojej pracy, *Paul: The Mind of the Apostle* zasugerował brzmienie pełnego imienia Pawła, i za intrygujący pomysł, że mógł być tym strażnikiem, któremu Piotr odciął ucho, a także świadkiem ukrzyżowania.

Nie ma dowodów na to, że Paweł udał się na Kretę i do Cyrenajki, aby prześladować wyznawców Joszui. Wespazjan był tam kwestorem w roku 34 albo wkrótce potem, jeśli przyjmiemy datowanie w doskonałej biografii Barbary Levick, zatytułowanej *Wespazjan*. Wybrałem rok 34, bo według Tacyta wtedy właśnie po raz kolejny odrodził się Feniks. Kasjusz umieszcza to wydarzenie w roku 36. Tacyt najwyraźniej wierzy w Feniksa, bo poświęca na jego opis ponad połowę strony.

Sylfion zaczął wymierać w tym właśnie czasie i miało to poważny, negatywny wpływ na gospodarkę Cyrenajki. Podobno dwadzieścia lat później Neronowi подарowano ostatnią żywą roślinę.

Prawdopodobnie wyrządziłem Marmarydom krzywdę, przedstawiając ich jako bezwzględnych handlarzy niewolników, za co w tym miejscu przepraszam.

Wyrocznia Amona znajdowała się w oazie Siwa, Aleksander naprawdę ją odwiedził i

wysłuchał przepowiedni. Nigdy jednak nie wyjawiał tego, co usłyszał.

Kaligulę rzeczywiście łączył długi związek z żoną Makrona, Ennią, i przysiągł, że uczyni ją cesarzową, a Makrona prefektem Egiptu, zanim wydał rozkaz, by popełnili samobójstwo, za cudzołożenie i za stręczycielstwo. Udział Wespazjana w tym wydarzeniu jest oczywiście literacką fikcją.

Poppeusz zmarł śmiercią naturalną w roku 36. Tacyt napisał, że w służbie dla Rzymu sprostał powierzonym mu zadaniom i nic więcej. Nic nie świadczy o tym, by miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Pomponiusza rok wcześniej; ta śmierć wydaje się bowiem dziełem Tyberiusza.

Delegacja Partów rzeczywiście przybyła w tym czasie do Rzymu i Tyberiusz poparł roszczenia Fraatesa. Armia rzymska pod dowództwem Lucjusza Witelliusza, namiestnika Syrii, interweniowała na Wschodzie. Udział w tym Heroda Agryppy jest moim pomysłem, podobnie jak jego obecność w Jerozolimie w czasie ukrzyżowania, a także spiskowanie z Makronem i Poppeuszem, mające na celu przechwycenie prowincji wschodnich.

Również ja uczyniłem Sabinusa edylem odpowiedzialnym za zboże, choć akurat mniej więcej w tym czasie mógł on uzyskać takie stanowisko. Prawdą jest, że Tyberiusz w ostatnich miesiącach swojego panowania przekazał mnóstwo pieniędzy na odbudowę Awentynu po pożarze. Tacyt twierdzi, że Makron udusił cesarza, a Kasjusz Dion wspomina, jak to Kaligula kazał senatowi obalić testament cesarza z powodu jego szaleństwa, które było oczywiste, skoro Tyberiusz wyznaczył obok Kaliguli małego chłopca jako jednego z dziedziców.

U Swetoniusza znajdujemy sympatyczną wskazówkę, tłumaczącą, w jaki sposób Wespazjan przetrwał panowanie Kaliguli. Píše on bowiem, że Wespazjan wygłosił w senacie mowę, dziękując Kaliguli za to, że poprzedniego wieczoru zaprosił go na ucztę, w ten sposób pokazując nam, że uważany był za przyjaciela przez cesarza i że dobrze wiedział, iż służalczość jest słabością ratującą życie.

Jeśli wierzyć historykom, a nie mam powodów, by nie wierzyć, ekscesy Kaliguli były liczne i różnorodne, nawet jeśli uznamy, że nieco przesadzono w opisach. Wszystkie niecne czyny, jakie popełnia w tej powieści, są opowiedziane lub zasugerowane albo przez

Swetoniusza, albo przez Kasjusza Diona. Relacje Tacyta na ten temat niestety się nie zachowały. Przesadziłem jedynie w dwóch punktach: po pierwsze, w sprawie publicznego seksu z Druzyllą; nie znalazłem zapisków, by Kaligula zbudował specjalny teatr na te widowiska, choć zasugerowali coś takiego obdarzeni większą wyobraźnią piszący na ten temat współcześni autorzy. Pomysł mi się spodobał, więc go pożyczyłem. Gdyby ktoś mógł mi wskazać miejsce, gdzie jest to historycznie udokumentowane, z zadowoleniem przyjąłbym ten fakt do wiadomości! Po drugie, informacje o zmuszaniu przez Kaligulę siostr do uprawiania w pałacu seksu z miejskimi biedakami pochodzą z podobnych źródeł. Włączyłem je tutaj, bo wiadomo, że robił z pałacu burdel i prostytuował siostry, zachęcając je do współżycia ze swoimi przyjaciółmi, a jedno i drugie można znaleźć u Swetoniusza.

Choroba Kaliguli stanowi tajemnicę i było kilka teorii na temat tego, czym mogła być. Pewne jest jedno, a mianowicie, że potem nie był już sobą. Bezwstydnie zapożyczyłem od Roberta Gravesa pomysł, że Kaligula uważał, jakoby po odzyskaniu zdrowia przeistoczył się w boga, bo było to takie zabawne. Dziękuję cieniowi jednego z największych autorów powieści historycznych.

Wespazjan był edylem odpowiedzialnym za porządek na ulicach miasta podczas panowania Kaliguli. Swetoniusz szczegółowo opisuje zde gustowanie Kaliguli stanem ulic, kiedy każe wcisnąć śmieci w zanadrze togi Wespazjana. Historyk twierdzi, że miał to być znak, iż pewnego dnia Rzym dostanie się w objęcia Wespazjana. Osobiście uważam, że świadczyło to raczej o tym, iż Wespazjan tak naprawdę nie przejmował się swoimi obowiązkami edyla.

To Waleriusz Katullus, a nie Klemens, narzekał, że wykończyło go to ciągłe chędożenie Kaliguli, ale ja chciałem jakoś umieścić ten pikantny szczegół w powieści.

Zachowanie Kaliguli doprowadziło Antonię do samobójstwa i na pewno w swoim testamencie obdarzyła wolnością Cenis, która akurat wtedy skończyła trzydzieści lat.

Udział Wespazjana w sprowadzeniu z Aleksandrii napierśnika Aleksandra jest wytworem mojej wyobraźni. W końcu ktoś musiał to zrobić, dlaczego więc nie nasz bohater? W ten sposób mógł znaleźć się w tym mieście podczas zamieszek żydowskich w roku 38. Owe zajścia i upokorzenie Heroda Agryppy oparłem na relacjach Józefa i Filona, a także na

doskonałych Alexandrian Riots of 38 and the Persecution of the Jews pióra Sandry Gambetti. To ja umieściłem tam Pawła w tym czasie. Jeśli po swoim damasceńskim nawróceniu żył trzy lata na pustyni, to pojawiłby się ponownie właśnie około 38 roku, choć raczej nie w Aleksandrii.

Mój ulubiony komentarz na temat tamtych rozruchów pochodzi od Filona, brata alabarchy Aleksandra, którego oburzało nie tyle zabijanie, co fakt, że stojących wysoko w społecznej hierarchii Żydów batożono wówczas jak zwykłych egipskich chłopów na polu, zamiast - tak jak im się należało - okładać ich laską; a na dodatek batożący byli Grekami z najniższych sfer. Hańba!

Wespazjan musiał spotkać Flawię Domicyllę w okresie, jaki obejmuje akcja tej książki. Była kochanką Statyliusza Kapelli z Sabraty i córką Flawiusza Liberalisa, sekretarza kwestora, który został ekwitą.

Most Kaliguli przez Zatokę Neapolitańską musiał przedstawiać zachwycający widok. Rzeczywiście spowodował ogromne braki żywności w całej Italii. Opisane w związku z tym kaprysem cesarza wydarzenia zaczerpnięte są ze źródeł historycznych. Jedyne, co zmieniłem, to skróciłem czas ich trwania z dwóch dni do jednego. Korbulon nie miał zapewne nic wspólnego z budową mostu na statkach, choć rzeczywiście narzekał w senacie na stan dróg, w związku z czym Kaligula mianował go najważniejszym urzędnikiem odpowiedzialnym za drogi... być może dla żartu?

Gwałt popełniony przez Kaligulę na Klementynie należy do sfery fikcji, choć jak najbardziej pasuje do charakteru i sposobu postępowania tego cesarza.

Podziękowania należą się ponownie mojemu agentowi Ianowi Drury'emu z Sheil Land Associates oraz Gai Banks i Virginii Ascione za ich ciężką pracę w dziale praw autorskich.

Wdzięczny jestem Sarze O'Keefe i Toby'emu Mundy'emu z Corvus/Atlantic za wiarę w serię o Wespazjanie i dalsze jej wydawanie.

Współpraca z Richendy Todd, redaktorką moich powieści, była jak zawsze

wspaniałym doświadczeniem; to ona sprawiła, że ta książka jest o wiele lepsza.

Wreszcie, wielkie dzięki Tobie, Anju, za wysłuchiwanie każdego wieczoru wszystkiego, co napisałem.

W kolejnym tomie Wespazjan ruszy do Germanii i Brytanii.